



Karl Ove

KNAUSGÅRD

Moja walka

POWIEŚĆ

3.



Karl Ove

KNAUSGÅRD

Moja walka

KSIĘGA TRZECIA

Z norweskiego przetłóżyła Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ 4

Przypisy

Tytuł oryginału: MIN KAMP. TREDJE BOK. ROMAN

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: HENRYKA SALAWA

Adiustacja i korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, JOANNA ZABOROWSKA, JACEK BŁACH

Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

This translation has been published with the financial support of NORLA.

Tłumaczenie dofinansowane w ramach programu dotowania tłumaczeń literatury norweskiej NORLA (Norwegian Literature Abroad).

Copyright © Forlaget Oktober as, Oslo, 2009

All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2015

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05815-2

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Część 4

W pewien ciepły, chociaż pochmurny dzień w sierpniu 1969 roku wąską drogą na samym krańcu wyspy położonej na południu kraju, wśród ogrodów i skał, łąk i zagajników, wspinając się pod górę i zjeżdżając z niewielkich wzgórz, pokonując ostre zakręty, czasami mając drzewa po obu stronach, niczym tunel, kiedy indziej widok na morze, najeżdżał autobus. Należał do Towarzystwa Żeglugi Parowej w Arendal i jak wszystkie autobusy tego przedsiębiorstwa, był jasno- i ciemnobrązowy. Przejechał przez most, potem wzdłuż zatoki, kierunkowskazem zasygnalizował jazd w prawo i stanął. Drzwi się otworzyły i z pojazdu wysiadła niewielka rodzina. Ojciec, wysoki, szczupły mężczyzna w białej koszuli i jasnych terylenowych spodniach, niósł dwie walizki. Matka, w beżowym płaszczu i jasnoniebieskiej chustce na długich włosach, jedną ręką pchała wózek dziecięcy, drugą trzymała za rączkę małego chłopczyka. Autobus pojechał dalej, nad asfaltem jeszcze przez chwilę wisiały tłuste szare spaliny.

– Kawalek trzeba przejść – oznajmił ojciec.

– Dasz radę, Yngve? – Matka spojrzała na chłopczyka, a ten skinął głową.

– Pewnie – odparł.

Miał cztery i pół roku, jasne, niemal białe włosy i opaloną skórę po długim, słonecznym lecie. Jego brat, niespełna ośmiomiesięczny, leżał w wózku i wpatrywał się w niebo, nie wiedząc ani gdzie są, ani dokąd idą.

Wolno ruszyli pod górkę. Na drodze było pełno żwiru, a także większych i mniejszych kałuż po deszczu. Po obu stronach rozciągały się pola. Na końcu równiny o długości mniej więcej pięciuset metrów zaczynał się las, który opadał ku plażom z otoczków, niewysoki, jakby przyciśnięty do ziemi wiatrem od morza.

Po prawej stronie stał niedawno wzniesiony dom. Poza tym dookoła nie widać było żadnych zabudowań.

Grube sprężyny wózka zgrzytały, niemowlę po pewnym czasie zamknęło oczy, ukołysane do snu przyjemnym huśtaniem. Ojciec, mężczyzna o krótkich ciemnych włosach, z gęstą czarną brodą, odstawił jedną walizkę, żeby ręką otrzeć pot z czoła.

– Ależ duchota! – powiedział.

– Rzeczywiście – potwierdziła matka. – Ale może bliżej morza będzie chłodniej.

– Miejmy nadzieję – odparł i znów chwycił walizkę.

Ta pod każdym względem zwyczajna rodzina, młodzi rodzice, tak jak młodzi byli niemal wszyscy rodzice w owym czasie, z dwojgiem dzieci, tak jak niemal wszyscy mieli dwoje dzieci w owym czasie, przeprowadziła się z Oslo, gdzie przez pięć lat mieszkiała przy Thereses gate, tuż obok stadionu Bislett, na wyspę Tromøya, bo tu, na osiedlu, budowano dla nich nowy dom. W oczekiwaniu na ukończenie budowy wynajęli inny dom, stary, w bazie wojskowej w Hove. W Oslo on w ciągu dnia studiował, angielski i norweski, nocą zaś pracował jako stróż, a ona uczyła

się w Szkole Pielęgniarskiej Ullevål. On, mimo że nie ukończył jeszcze studiów, został zatrudniony jako nauczyciel w Gimnazjum Roligheden, a ona miała rozpocząć pracę w Kokkeplassen, sanatorium dla nerwowo chorych. Poznali się w Kristiansand, kiedy mieli po siedemnaście lat, zaszła w ciążę, kiedy mieli po dziewiętnaście, no i pobrali się, kiedy mieli po dwadzieścia. Ślub wzięli w niewielkim gospodarstwie w Vestlandet w zachodniej Norwegii, tym, w którym ona się wychowała. Na wesele nie przyjechał nikt z jego rodziny i chociaż pan młody uśmiecha się na wszystkich zrobionych wtedy zdjęciach, otacza go aura samotności, widać, że nie do końca znalazł swoje miejsce wśród jej braci i siostr, ciotek i wujów, kuzynów i kuzynek.

Teraz mają po dwadzieścia cztery lata, a przed sobą prawdziwe życie. Własna praca, własny dom, własne dzieci. Są we dwoje, a również przyszłość, której idą na spotkanie, jest ich własna.

Ale czy na pewno?

Oboje urodzili się w tym samym roku, 1944, i należeli do pierwszego powojennego pokolenia, które pod wieloma względami stanęło w obliczu czegoś zupełnie nowego, przede wszystkim z tego powodu, że było to pierwsze w kraju pokolenie, które od początku żyło w społeczeństwie objętym planami na wielką skalę. Lata pięćdziesiąte były okresem rozwoju rozmaitych państwowych służb – służb oświatowych, służby zdrowia, służb opieki społecznej, służby drogowej, a także urzędów i biur centralizowanych na potęgę, co w zaskakująco krótkim czasie zaowocowało zmianą sposobu życia. Jej ojciec, urodzony na początku dwudziestego wieku, pochodził z zagrody, w której i ona się wychowała, położonej w Sørbøvåg w Ytre Sogn, i nie miał żadnego wykształcenia. Jej dziadek pochodził z jednej z wysp na zachodnim wybrzeżu, prawdopodobnie tak jak jego ojciec i ojciec ojca. Matka wywodziła się z gospodarstwa w Jølster, odległego o sto kilometrów, i również nie miała żadnego wykształcenia, a korzenie jej rodu dawało się wytrócić aż do szesnastego wieku. Jego rodzina plasowała się znacznie wyżej w hierarchii społecznej, w takim sensie, że zarówno jego ojciec, jak i stryjowie mieli wyższe wykształcenie. Lecz oni także mieszkali w tym samym miejscu co ich rodzice, to znaczy w Kristiansand. Jego matką, która nie zdobyła żadnego wykształcenia, pochodziła z Åsgårdstrand, jej ojciec pracował jako pilot portowy, w rodzinie byli również policjanci. Kiedy poznała swego męża, przeprowadziła się do niego, do jego rodzinnego miasta. Tak był schemat. Zmiana, która nastąpiła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, była prawdziwą rewolucją, tyle że pozbawioną typowych dla rewolucji gwałtowności i irracjonalności. Dzieci rybaków i wieśniaków, robotników i sklepikarzy nie dość, że szły na uniwersytety i kształciły się na nauczycieli i psychologów, historyków i magistrów nauk społecznych, to jeszcze wiele z nich osiedlało się z dala od okolic, z których wywodziły się ich rodziny. Ci młodzi ludzie robili to wszystko z całkowitą oczywistością, co wiele mówi o sile ducha tych czasów. Duch czasów pojawia się z zewnątrz, ale działa na wewnątrz. Wszyscy są wobec niego równi, ale on dla nikogo nie jest taki sam. Dla tej młodej matki z lat sześćdziesiątych pomysł poślubienia chłopaka z którejś z sąsiednich zagród i spędzenia tam reszty życia byłby absurdalny. Przecież chciała iść w świat! Chciała mieć w ł a s n e życie! Tego samego pragnęli jej brat i siostry, a także dzieci z innych rodzin w całym kraju. Ale dlaczego tego pragnęli? Skąd brało się tak silne dążenie? Skąd brało się t o n o w e? W jej rodzinie nie było takich tradycji, jako jedyny wyjechał w świat stryj Magnus, ale on wyprawił się do Ameryki z powodu panującej w domu biedy, a życie, które tam wiódł, długo nie różniło się od jego życia w Vestlandet. Sytuacja młodego ojca z lat sześćdziesiątych przedstawiała się inaczej, w jego

rodzinie oczekiwano, że młody człowiek będzie się kształcił, lecz raczej nie spodziewano się, że weźmie ślub z dziewczyną z małej zagrody w Vestlandet i zamieszka w nowym osiedlu na obrzeżach niewielkiego miasta na południu kraju.

Tak więc szli w ten gorący, pochmurny dzień w sierpniu 1969 roku do swojego nowego domu, on, dźwigając dwie ciężkie walizki wypchane ubraniami z lat sześćdziesiątych, ona – popychając wózek z lat sześćdziesiątych z niemowlęciem w charakterystycznym dla tego okresu ubraniu, mianowicie białym i pełnym koronek, a między nimi biegał, to w jedną, to w drugą stronę, wesoły i ciekawy, podniecony i pełen nadziei ich starszy syn Yngve. Przeszli przez równinę, przez wąski pas lasu i dotarli do otwartej bramy prowadzącej na wielki obszar dawnej bazy wojskowej. Po prawej stronie stał warsztat samochodowy, będący własnością niejakiego Vraaldsena, po lewej – ustawione wokół otwartego placu duże czerwone baraki, a za nimi sosnowy las.

Kilometr dalej na wschód stał kościół Tromøy, kamienny, pochodzący z 1150 roku, ale niektóre jego części były jeszcze starsze, toteż najprawdopodobniej zaliczał się do najstarszych kościołów w całym kraju. Wznosił się na niewielkim wzgórzu i od niepamiętnych czasów służył przepływającym w pobliżu statkom jako znak nawigacyjny, był zaznaczony na wszystkich mapach morskich. Na Mærdø, niewielkiej wysepce wśród szkierów, znajdował się stary imponujący dom bogatego kapitana, świadectwo czasów prosperity tej okolicy w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, kiedy kwitł handel ze światem, zwłaszcza handel drewnem. W trakcie wycieczek klasowych do Muzeum Okręgu Aust-Agder uczniom pokazywano stare holenderskie i chińskie przedmioty pochodzące z tamtych, albo nawet z dawniejszych czasów. Na Tromøi rosły niezwykle, obce rośliny, przybyłe na statkach zrzucających tu wodę balastową, a w szkołach uczono, że Tromøya była pierwszym w Norwegii miejscem, w którym zaczęto uprawiać ziemniaki. Wyspę kilkakrotnie wspominają królewskie sagi Snorrego, a w ziemi na łąkach i polach znajdowano groty strzał z epoki kamiennej, wśród okrągłaków zaś na długich plażach leżały skamieliny.

Ale w czasie gdy rodzina, która właśnie się tu sprowadziła, powoli szła przez otwarty teren z całym swoim dobytkiem, wpływu, jaki na okolicę wywarły wielki dziesiąty, dwunasty, siedemnasty czy dziewiętnasty, nie było widać. Ślad natomiast odcisnęła druga wojna światowa. Podczas wojny ten teren wykorzystywali Niemcy. To oni postawili baraki i wiele z tutejszych domów. W lesie stały niskie bunkry, zupełnie nienaruszone, a na szczycie nadbrzeżnych stromizn było kilka stanowisk dział przeciwlotniczych. Niedaleko znajdowało się nawet stare niemieckie lotnisko przeznaczone dla niedużych samolotów.

Dom, w którym rodzina miała mieszkać przez następny rok, stał na osobności, w środku lasu. Czerwony, z białymi ościeżnicami. Od morza, niewidocznego stąd, lecz znajdującego się zaledwie kilkaset metrów dalej, dobiegał monotony szum. Pachniało lasem i słoną wodą.

Ojciec odstawił walizki, wyjął klucz i otworzył drzwi. Za nimi były przedpokój, kuchnia, pokój z piecem na drewno, łazienka połączona z pralnią, a na piętrze trzy sypialnie. Ściany bez izolacji, wyposażenie kuchni proste. Nie było telefonu, zmywarki, pralki ani telewizora.

– No, to jesteśmy – oświadczył ojciec i zaniósł walizki do sypialni. Yngve w tym czasie biegał od okna do okna, a matka zaparkowała wózek ze śpiącym niemowlęciem na kamiennej płycie przed progiem.

Oczywiście nic z tego czasu nie pamiętam. Kompletnie niemożliwe jest dla mnie identyfikowanie się z niemowlęciem, któremu moi rodzice robili zdjęcia; wręcz niesłuszne wydaje mi się używanie słowa „ja” w odniesieniu do tego dziecka, które na przykład leży na przewijaku, ma dziwnie czerwoną skórę, wywija rączkami i nóżkami, z buzią wykrzywioną od krzyku, którego powodu nikt już nie pamięta, albo leży na rozciągniętym na podłodze kożuchu w białej piżamce, wciąż czerwone na twarzy, z wielkimi ciemnymi oczami, które leciutko zezują. Czy owo stworzenie jest tym samym, które siedzi tu, w Malmö, i to pisze? I czy owo stworzenie, obecnie czterdziestoletnie, które siedzi w Malmö i to pisze w pochmurny wrześnieowy dzień, w pokoju wypełnionym ulicznym szumem i wyciem jesiennego wiatru w staroświeckim systemie wentylacyjnym, będzie tym samym stworzeniem co siwy, zgarbiony starzec, który za czterdzięci lat może będzie trząsł się i ślinił w domu starców gdzieś wśród szwedzkich lasów? Nie mówiąc już o ciele, które kiedyś spocznie wyprostowane na stole w kostnicy? Wciąż będzie się o nim mówić „Karl Ove”. Czy to właściwie nie jest dość niesamowite, że jedno zwykłe imię zawiera to wszystko? Obejmuje płód w łonie matki, niemowlę na przewijaku, czterdziestolatka przy komputerze, starca w fotelu i zwłoki na stole? Czy nie byłoby bardziej naturalne operowanie różnymi imionami, skoro tożsamość tych stworzeń i ich postrzeganie samych siebie do tego stopnia się różnią? Płód mógłby na przykład nosić imię Jens Ove, niemowlę – Nils Ove, pięcioletek do ukończenia dziesięciu lat – Per Ove, chłopak w wieku od dziesięciu do dwunastu lat – Geir Ove, od trzynastu do siedemnastu – Kurt Ove, od siedemnastu do dwudziestu trzech – John Ove, od dwudziestu trzech do trzydziestu dwóch – Tor Ove, od trzydziestu dwóch do czterdziestu sześciu – Karl Ove i tak dalej, i tak dalej. Imię reprezentowałoby wtedy wyjątkowość danego wieku, drugie imię oznaczałoby ciągłość, a nazwisko przynależność do rodziny.

Nie, nic z tego nie pamiętam, nie wiem nawet, w którym domu mieszkaliśmy, chociaż tata kiedyś mi go pokazywał. Wszystko, co wiem o tym czasie, znam z opowieści rodziców i ze zdjęć. Tamtej zimy śniegu napadało na kilka metrów, tak jak potrafi w Sørlandet, a droga do domu przypominała niewielki jar. Oto Yngve, pcha wózek, w którym leżę, a tu stoi na swoich krótkich nartach i uśmiecha się do fotografującego. Stoi w domu, wskazuje na mnie i się śmieje, albo ja sam stoję, przytrzymując się mocno szczebelków łóżeczka. Nazywałem go „Aua”, to było moje pierwsze słowo. Yngve również jako jedyny rozumiał, co mówię, podobno z czasem zaczął tłumaczyć moje słowa rodzicom. Wiem też, że chodził po domach w okolicy i dzwonił do drzwi, by spytać, czy są tam jakieś dzieci. Tę historię często opowiadała później babcia, matka ojca. „Czy są tu jakieś dzieci?” – mówiła dzieciennym głosem i wybuchała śmiechem. Wiem też, że spadłem ze schodów i przeżyłem coś w rodzaju szoku, przestałem oddychać, posiniałem na twarzy i dostałem konwulsji, mama porwała mnie na ręce i pobiegła do najbliższego domu, w którym był telefon. Myślała, że to atak padaczki, ale to nie była padaczka, to w ogóle nic nie było. No i wiem też, że tata świetnie się tu czuł w roli nauczyciela, że był dobrym pedagogiem i że przynajmniej raz w tym okresie wybrał się ze swoją klasą w góry. Zachowały się zdjęcia z tej wycieczki, na wszystkich jest młody i zadowolony, w otoczeniu nastolatków ubranych zgodnie z tą miękką modą charakterystyczną dla początku lat siedemdziesiątych. Robione na drutach swetry, szerokie spodnie, kałosze. Dużo włosów na głowach, nie nastroszonych jak w latach sześćdziesiątych, tylko miękko opadających na miękkie nastoletnie twarze. Mama

powiedziała kiedyś, że tata chyba nigdy nie był równie szczęśliwy jak wtedy. No i są też zdjęcia babci, Yngvego i mnie – dwa zrobione przy skutym lodem jeziorze: Yngve i ja, obaj w grubych, wydzierganych przez babcie na drutach swetrach, mój jest musztardowo-brązowy – i dwa na werandzie w domu dziadków w Kristiansand: na jednym babcia przytula się policzkiem do mojego policzka, jest jesień, niebo błękitne, słońce wisi nisko, a my spoglądamy na miasto, mam pewnie dwa albo trzy lata.

Można by pomyśleć, że te fotografie stanowią coś w rodzaju pamięci, są czymś w rodzaju wspomnień, tyle że bez tego „ja”, z którego wspomnienia zwykle się biorą, więc oczywiście pojawia się pytanie, co w takim razie znaczą. Oglądałem nieskończoną ilość rodzinnych fotografii moich kolegów i moich dziewczyn z tego samego okresu, są do tego stopnia identyczne, że wręcz łatwo się pomylić. Takie same kolory, takie same ubrania, takie same pomieszczenia, takie same czynności. Niczego jednak z tymi zdjęciami nie kojarzę, są dla mnie jakby pozbawione sensu, a aspekt ten staje się jeszcze wyraźniejszy, kiedy oglądam zdjęcia poprzednich pokoleń, to tylko zbiorowisko ludzi w dziwnych ubraniach, zajmujących się czymś, czego nie potrafię zgłębić. Fotografujemy czas, a nie ludzi, którzy w nim żyją, ich nie da się uchwycić. Podobnie nie dali się uchwycić ludzie w mojej bezpośredniej bliskości. Kim była kobieta pozująca przy kuchence w mieszkaniu na Thereses gate, ubrana w jasnyniebieską sukienkę, ze złączonymi kolanami, a rozsuniętymi łydkami, w tej typowej dla lat sześćdziesiątych pozie? Ta z upiętymi włosami? Z niebieskimi oczami i uśmiechem tak lekkim, że prawie nie był uśmiechem? Ta, która zaciska dłoń na uchwycie błyszczącego dzbanka do kawy z czerwoną pokrywką? No tak, to moja matka. Mama we własnej osobie, ale kim była? O czym myślała? Jak patrzyła na swoje życie, i to przeżyte do tej pory, i to, które miała przed sobą? Wie to tylko ona, a zdjęcie nie mówi o tym nic. Obca kobieta w obcym pomieszczeniu, to wszystko. A ten mężczyzna, który dziesięć lat później siedzi w górach na kamieniu i pije kawę z tej samej czerwonej pokrywy, bo zapomniał o zapakowaniu kubków, kim był? Ten z wypielegnowaną czarną brodą i gęstymi czarnymi włosami? Ten ze zmysłowymi wargami i wesołym spojrzeniem? No tak, oczywiście, to mój ojciec. Tata we własnej osobie. Ale kim był dla samego siebie w tamtej chwili, tak jak we wszystkich innych chwilach, tego nie wie już nikt. Tak samo jest ze wszystkimi innymi zdjęciami, również tymi, na których jestem ja. Są zupełnie puste, jedynym znaczeniem, jakie można z nich wyczytać, jest zawarty w nich czas. Mimo wszystko te zdjęcia stanowią część mnie i mojej najbardziej intymnej historii, tak jak zdjęcia innych ludzi stanowią część ich historii. Pełne sensu, bez sensu, pełne sensu, bez sensu, taka fala przepływa przez nasze życie, tworząc jego fundamentalne napięcie. Wszystko, co pamiętam z pierwszych sześciu lat swojego życia, wszelkie zachowane zdjęcia i przedmioty z tego czasu, przyciągam do siebie, one stanowią istotną część mojej tożsamości, wypełniają pusty i pozbawiony wspomnień skraj mojego „ja” sensem i ciągłością. Z tych wszystkich ułamków i kawałeczków zbudowałem sobie jakiegoś Karla Ovego, jakiegoś Yngvego, jakichś rodziców, jakiś dom w Hove i jakiś dom na wzgórzu Tybakken, jakichś dziadków ze strony ojca i ze strony matki, jakieś sąsiedztwo i jakąś gromadę dzieciaków.

Tę prowizoryczną, przy pominięciu slums budowlę nazywam swoim dzieciństwem.

Pamięć nie stanowi w życiu żadnej obliczalnej wielkości. A jest tak z tego prostego powodu, że pamięć wcale nie ceni prawdy najwyższej. To nie wymóg zgodności z prawdą decyduje o tym,

czy pamięć odzwierciedla jakieś zdarzenie w sposób właściwy lub nie. Decyduje o tym korzyść własna. Pamięć jest pragmatyczna, przebiegła i zdradziecka, chociaż nie działa wrogo czy złośliwie, przeciwnie, czyni wszystko, aby zadowolić swego gospodarza. Pewne rzeczy usuwa w nicosć zapomnienia, jedne przekształca nie do rozpoznania, inne w kapitalny sposób źle rozumie, a tylko niektóre – tych jest tak mało, że prawie w ogóle ich nie ma – zapamiętuje ostro, wyraźnie i prawidłowo. Ale decyduje o tym, co zostaje prawidłowo zapamiętane, nigdy nie zależy od nas.

W moim wypadku wspomnienia z pierwszych lat życia w zasadzie nie istnieją. Nie pamiętam prawie nic. Nie mam pojęcia, kto się mną opiekował, co robiłem, z kim się bawiłem, wszystko zostało jakby zdmuchnięte, lata 1969–1974 to w moim życiu wielka pustka. Drobiazgi, które sobie przypominam, nie są zbyt wiele warte: stoję na drewnianym mostku w rzadkim lesie, prawie takim, jakie rosną wysoko w górach, pode mną szmerze duży strumień, woda jest zielonobiała, podskakuję w górę i w dół, mostek się kołysze, a ja się śmieję. Obok mnie stoi Geir Prestbakmo, chłopiec z sąsiedztwa, również on podskakuje ze śmiechem. Siedzę z tyłu w samochodzie, zatrzymujemy się na świątkach, tata się odwraca i oznajmia, że jesteśmy w Mjøndalen. Mówiono mi, że jedziemy na mecz Startu, drużyny z Kristiansand, ale z podróży tam, z meczu i z jazdy powrotnej nie pamiętam nic. Idę pod górkę koło domu, popychając przed sobą dużą plastikową ciężarówkę, jest żółto-zielona, a jej posiadanie wypełnia mnie fantastycznym poczuciem bogactwa i radości.

To już wszystko. To moje pierwsze sześć lat.

Ale te pierwsze wspomnienia przeszły kanonizację, powstały już u siedmio-, ośmiolatka, to magia dzieciństwa: absolutnie pierwsze rzeczy, jakie zapamiętałem! Istnieje jednak również inny rodzaj wspomnień. Te, które nie wryły się w pamięć i nie dają się przywołać siłą woli, tylko od czasu do czasu jakby od czegoś się odrywają i same z siebie pojawiają się w świadomości, przez pewien czas unoszą się w niej niczym przezroczyste meduzy, pobudzone do życia przez jakiś konkretny zapach, konkretny smak, konkretny dźwięk.. Towarzyzy im zawsze natychmiastowe i intensywne poczucie szczęścia. No i są jeszcze te wspomnienia związane z ciałem, kiedy robi się coś, co się kiedyś robiło, unosi rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem, łapie piłkę w powietrzu, biegnie po łące ze sznurem od latawca w dłoni i z własnymi dziećmi depczącymi po piętach. Są wspomnienia towarzyszące uczuciom: nagły gniew, nagły płacz, nagły lęk i człowiek trafia tam, gdzie kiedyś był, jakby odrzucony z powrotem w siebie, ciśnięty w dół, w szalonym pędzie przelatuje poszczególne okresy życia. No i są wspomnienia powiązane z krajobrazem. Krajobraz w dzieciństwie różni się bowiem od krajobrazów, które ogląda się później, naładowanych uczuciami w zupełnie inny sposób. W tamtych krajobrazie znaczenie miały każdy kamień, każde drzewo, zarówno dłatego, że wszystko to było oglądane po raz pierwszy, jak i dłatego, że było oglądane tak wiele razy, przez co odcisnęło swój ślad w głębi świadomości, nie słabo i mgliście, jak dorosła osoba po zamknięciu oczu widzi krajobraz otaczający dom, musząc go przywoływać, lecz z niesamowitą precyzją, pełen szczegółów. Wystarczy, żebym w myślach otworzył drzwi i wyszedł za nie, aby napłynęły obrazy. Żwir na podjeździe, latem wręcz niebieskawy. Już same te podjazdy z dzieciństwa! I te samochody z lat siedemdziesiątych, które na nich stały! Garbusy, Citroëny żaby, taunusy, granady, ascony, kadetty, consule, lady, amazony... No ale dobrze, przejść dalej po żwirze wzdłuż zabejcowanego na brązowo płotu, przez płytki rów oddzielający naszą

drogę, Nordåsen Ringvei, od Elgstien, która biegła przez całą okolicę i oprócz naszego osiedla mijala jeszcze dwa inne. Ciemna, tłusta ziemia na zboczu ciągnącym się od krawędzi drogi w dół, do lasu! Prawie od razu zaczęły z niej wystrzelać cienkie zielone łodyżki: kruche, jakby osamotnione wśród całej tej nowej wielkiej czerni, i to ich niemal brutalne zwielokrotnienie w następnym roku, aż zbocze całkiem pokryło się gęstymi, bujnymi zaroślami. Małe drzewka, trawa, naparstnice, mleczce, paprocie i krzaki całkowicie zatarły tę wcześniej tak wyraźną granicę między drogą a lasem. Pod górkę chodnikiem z wąskimi krawężnikami, przy których woda płynęła, szemrała, burzyła się, kiedy padał deszcz! Ścieżka w prawo, droga na skróty do nowego supermarketu B-Max. Obok nieduże mokradło, nie większe niż dwa miejsca do parkowania, i brzozy pochylające się nad nim, jakby spragnione. Dom Olsenów na szczycie niewielkiego wzgórza i droga, która wcinała się w nie od tyłu. Nazywała się Grevlingveien. W pierwszym domu po lewej stronie mieszkał John z siostrą Trude. Dom stał na działce będącej mniej lub bardziej usypiskiem kamieni. Zawsze się bałem tamtędy przechodzić. Po części dlatego, że John często gdzieś tam się czał i rzucał kamieniami albo śnieżkami we wszystkie przechodzące tą drogą dzieciaki, a po części dlatego, że mieli wilczura... Ten wilczur... Tak, teraz już sobie przypominam. Co to była za cholerna bestia. Stał przywiązany na werandzie albo na podjeździe, szczekał na wszystkich przechodzących, podkładał się to tu, to tam, tak daleko, jak pozwalała mu linka do biegania, wył przy tym i piszczał. Był chudy, miał żółte, chore oczy. Raz pędził ze wzgórza prosto na mnie, ciągnąc za sobą smycz, a za nim biegła Trude. Słyszałem gdzieś, że nie wolno uciekać przed ścigającym cię zwierzęciem, na przykład przed niedźwiedziem w lesie, w takiej sytuacji należy stanąć zupełnie nieruchomo i udawać, że nic się nie dzieje, więc na widok nadbiegającego psa natychmiast się zatrzymałem. W niczym to nie pomogło. Wilczur wcale się nie przejął moim zneruchomieniem, tylko otworzył pysk i wbił mi zęby w przedramię, tuż przy nadgarstku. Trude dopadła go sekundę później, złapała smycz i mocnym szarpnięciem odciągnęła go do tyłu. Z płaczem pobiegłem dalej. Prerażało mnie wszystko w tym zwierzęciu. Szczekanie, żółte ślepie, ślina ciekąca z pyska, okrągłe ostre zęby, które odcisnęły mi się na rękę. W domu nie przyznałem się, co mi się przytrafiło, z obawy, że zostaną skrzyżdzeni, bo w takim zdarzeniu kryło się wiele możliwości czynienia mi wyrzutów: nie powinienem był znaleźć się akurat wtedy w tym miejscu albo nie powinienem był płakać, pies, czego tu się bać? Od tego dnia na widok wilczura zawsze przenikał mnie strach. A to było jeszcze gorsze, wręcz fatalne, bo słyszałem nie tylko o tym, że w razie ataku groźnego zwierzęcia należy zneruchomieć, lecz także, że pies potrafi wyczuć lęk. Nie wiem, kto tak mówił, to była jedna z tych rzeczy, które się powtarzało i o których wszyscy wiedzieli: psy potrafią wyczuć zapach twojego strachu. Wtedy albo same zaczynają się bać, albo stają się agresywne i ruszają do ataku. Jeśli człowiek się nie boi, są przyjazne.

Ile ja się nad tym zastanawiałem! Jakto możliwe, że mogły wyczuć zapać strachu? Jak p a c h n i e strach? I czy można udawać, że człowiek się nie boi, żeby psy to właśnie wyczuły zamiast tego p r a w d z i e g o, ukrywanego uczucia?

Kanestrømowie, którzy mieszkali dwa domy za naszym, również mieli psa, golden retrievera o imieniu Alex, łagodnego jak jagnię. Posłusznie chodził krok w krok za panem Kanestrømem, ale również za każdym z czworga jego dzieci, jeśli musiał. Miał dobre oczy i jakby miękkie, przyjazne ruchy. Lecz nawet jego się bałem. Kiedy bowiem człowiek ukazywał się na zboczu i podchodził, żeby zadzwonić do drzwi, Alex zaczynał szczekać. Nie były to ostrożne, radosne, czy

też wyrażające zdziwienie szczeknięcia, tylko mocne, głębokie i dźwięczne ujadanie. Zatrzymaliśmy się wtedy.

– Cześć, Alex – potrafiłem powiedzieć, jeśli nikogo nie było w pobliżu. – Nie boję się ciebie, wiesz? Wcale.

Jeśli jednak ktoś przy tym był, musiałem jak gdyby nigdy nic robić to, po co przyszedłem, udawać, że nic się nie dzieje, jakby przedzierać się przez to szczekanie, a kiedy pies stawał tuż przede mną z otwartym pyskiem, nachylałem się i parę razy głaskałem go po boku, chociaż serce waliło mi w piersi i wszystkie mięśnie miałem osłabłe ze strachu.

– Cicho, Alex! – mówił wtedy Dag Lothar, jeśli akurat nadbiegł żwirową alejką prowadzącą od drzwi do piwnicy albo wyskoczył z domu. – Karl Ove boi się tego twojego szczekania, ty głupi psie!

– Wcale się nie boję – zaprzeczałem. Dag Lothar tylko na mnie patrzył z czymś w rodzaju wymuszonego uśmiechu, który miał oznaczać, że nie powinienem nawet próbować.

Potem gdzieś szliśmy.

Dołąd?

Do lasu.

Nad zatokę Ubekilen.

Na pływające pomosty.

Na most.

Do Gamle Tybakken.

Do fabryki, w której produkowano łodzie z plastiku.

Na szczyt Góry.

Nad jezioro Tjenna.

Na górę, do B-Maxu.

W dół, do stacji benzynowej Fina.

Chyba że po prostu biegaliśmy wkoło po drodze, przy której mieszkaliśmy, lub kręciliśmy się przy którymś z domów, albo siedzieliśmy wysoko na gałęziach dużej wiśni, która nie miała właściciela.

To było wszystko. Tak wyglądał nasz świat.

Ale co to był za świat!

Osiedle nie ma żadnych korzeni w przeszłości, ani też żadnych gałęzi sięgających ku niebu przyszłości, jakie miały niegdyś blokowiska na przedmieściach. Osiedla pojawiły się jako pragmatyczna odpowiedź na praktyczne pytanie o to, gdzie mają mieszkać wszyscy ci, którzy się tu sprowadzają: niech będzie tu, w lesie, przygotujemy kilka działek i wystawimy na sprzedaż. Jedyne domy, jaki stał tam wcześniej, należał do rodziny o nazwisku Beck, ojciec pochodził z Danii i zbudował ten dom własnymi rękami, w środku lasu. Beckowie nie mieli samochodu, nie mieli też pralki ani telewizora. Żadnego ogrodu, jedynie podwórze z mocno ubitej ziemi między drzewami. Pryzmy drewna pod brezentem, a zimą odwrócona do góry dnem łódź. Dwie siostry, Inga Lill i Lisa, gimnazjalistki, opiekowały się Yngvem i mną w pierwszych latach, kiedy tam mieszkaliśmy. Ich brat miał na imię John, był o dwa lata starszy ode mnie, chodził w dziwnych, sztych w domu ubraniach i kompletnie nie interesowało go to, co interesowało nas, zawsze zwracał się ku czemuś innemu, na czym my się nie znaleźliśmy. Kiedy miał dwanaście lat, zbudował własną łódź. Nie taką jak tratwy, które usiłowaliśmy kłecić z marzeń i żądzy przygód, tylko prawdziwą, porządną łódź wiosłową. Powinien być prześladowany, ale nie był. W pewnym sensie dzielił go od nas zbyt duży dystans. Nie był jednym z nas i wcale mu na tym nie zależało. Ojciec, jeżdżący na rowerze Duńczyk, który być może jeszcze mieszkając w Danii, nosił w sobie marzenie o samotnym domu w lesie, musiał przeżyć rozczarowanie, gdy przygotowano plany budowy osiedla i do lasu tuż przy jego domu wjechały pierwsze buldożery. Rodziny, które się tam sprowadziły, pochodziły z całego kraju i wszystkie miały dzieci. W domu po drugiej stronie drogi mieszkali Gustavsenowie, on był strażakiem, ona gospodynią domową, pochodzili z Honningsvåg, a dzieci nosiły imiona Rolf i Leif Tore. W domu naprzeciwko nas mieszkali państwo Prestbakmo, on był nauczycielem w gimnazjum, ona pielęgniarką. Przyjechali z Troms, a dzieci nosiły imiona Gro i Geir. Za nimi mieszkali Kanestrømowie, on pracował na poczcie, ona nie pracowała. Pochodzili z Kristiansund, a dzieci nosiły imiona Steinar, Ingrid Anne, Dag Lothar i Unni. Po drugiej stronie Karlsenowie, on był marynarzem, ona ekspedientką w sklepie, pochodzili z Sørlandet, dzieci nosiły imiona Kent Arne i Anne Lene. Za nimi Christensenowie, on marynarz, jej zawodu nie znałem, a ich córki nosiły imiona Marianne i Eva. Naprzeciwko mieszkali Jacobsenowie, oboje z Bergen, on był typografem, ona nie pracowała, a dzieci nosiły imiona Geir, Trond i Wenche. Nad nimi Lindlandowie z Sørlandet, dzieci nosiły imiona Geir Håkon i Morten. Gdzieś w tym miejscu zaczynałem tracić rozeznanie, przynajmniej co do nazwiska i zajęcia rodziców. Bente, Tone Elisabeth, Tone, Liv Berit, Steinar, Kåre, Rune, Jan Atle, Oddlaug, Halvor, takie imiona nosiły dzieci w tej części osiedla. Większość z nich była moimi rówieśnikami, najstarsi o siedem lat ode mnie starsi, najmłodsi o cztery lata młodszy. Z pięciorgiem miałem chodzić do jednej klasy.

Sprowadziliśmy się tam latem 1970 roku. Większość domów na osiedlu wciąż jeszcze była w budowie. Przenikliwy dźwięk syreny ostrzegawczej, który rozlegał się przed wysadzeniem

skały, był normalnym odgłosem w okresie mojego dzieciństwa, a to wyjątkowe wrażenie końca świata, jakie wywołuje fala uderzeniowa po wybuchu, rozchodząc się po ziemi i wprawiając w drżenie podłogę w domu, stało się dla nas całkiem zwyczajne. Istnienie powiązań na ziemi – dróg, kabli elektrycznych, lasów i morza – było naturalne, ale istnienie takich powiązań pod ziemią bardziej niepokoiło. Czy to, na czym staliśmy, nie powinno być absolutnie nienaruszalne i nieprzeniknione? Jednocześnie wszelkie otwory w ziemi z niezwykłą siłą przy ciągnięcia działały na mnie i na wszystkie inne dzieciaki, z którymi dorastałem. Niemalø razy gromadziliśmy się wokół jednego z licznych wykopanych w sąsiedztwie rowów, którymi zamierzano poprowadzić rury kanalizacyjne albo kable energetyczne, lub obok dołu, w którym przygotowywano wylewkę w piwnicy, i gapiliśmy się w głąbię, to żółte tam to piasek, czarne, brązowe albo rudobrązowe to ziemia, szare to glina, no i dno, które prędzej czy później zawsze pokrywało się szarozółtą mętną taflą wody, niekiedy sterczał z niej jeden czy drugi głaz. Nad dołem królowała lśniąca żółta lub pomarańczowa koparka, trochę podobna do ptaka, z łyżką w roli dzioba na samym końcu długiej szyi, obok niej zaparkowana ciężarówka, której reflektory przypominały oczy, osłona chłodnicy – usta, a zakryta brezentem paka – grzbiet. W wypadku większych projektów mogły tam stać również buldożery lub wywrotki, na ogół żółte, z ogromnymi kołami na oponach, których bieżnik był głęboki na całą naszą dłoń. Przy odrobinie szczęścia udawało nam się w dole albo w jego pobliżu znaleźć kawałki lontu, zabieraliśmy je, bo lont miał wysoką wartość, zarówno użytkową, jak i wymienną. Poza tym zawsze gdzieś niedaleko znajdowały się bębny wysokości człowieka, przypominające szpulki do nici drewniane konstrukcje, z których odwijano się kable, a ponadto stopy gładkich brązowoczerwonych plastikowych rur o średnicy mniej więcej naszych przedramion. Były też stopy rur cementowych i odlanych już cementowych kręgów studziennych, takich szorstkich i wspaniałych, nieco wyższych od nas, idealnych do wspinaczki; długie, nie do ruszenia maty ze starych pościętych opon samochodowych, których używano podczas wybuchów, stopy drewnianych słupów telefonicznych, zielonych od środka impregnującego, skrzynki dynamitu, baraki, w których robotnicy przebierali się i jedli. Jeśli tam byli, trzymaliśmy się z szacunkiem na odległość i przyglądaliśmy się, co robią. Jeśli ich nie było, schodziliśmy do dołu, wspinaliśmy się na koła wywrotek, balansowaliśmy na stertach rur, sprawdzaliśmy, czy drzwi do baraków są zamknięte, i zaglądaliśmy do okien, opuszczaliśmy się do cementowych studni, próbowaliśmy przepchnąć szpulę z kablami i napychaliśmy kieszenie kawałkami odciętych przewodów, plastikowymi uchwytami i lontem. W naszym świecie nikogo nie cenilo się wyżej niż tych robotników, żadna praca nie wydawała się bardziej sensowna niż ich. Nie interesowały mnie szczegóły techniczne, które się na nią składały, podobnie jak marka maszyn budowlanych. Oprócz tych zmian w krajobrazie, jakie ci ludzie powodowali, najbardziej fascynowały mnie towarzyszące im ślady ich prywatnego życia. Na przykład gdy z pomarańczowego kombinezonu albo z niebieskich, luźnych, wręcz bezkształtnych spodni wyciągali grzebień i czesali się, z kaskiem pod pachą, wśród wszystkich tych maszyn budowlanych i ich warczących, huczących działań, lub ów mistyczny, prawie niezrozumiały moment, gdy po południu wychodzili z baraku w zupełnie zwyczajnych ubraniach, wsiadali do własnych samochodów i odjeżdżali jak zupełnie zwyczajni mężczyźni.

Istnieli również inni robotnicy, których zapamiętaliśmy obserwując, z uwagą. Jeśli w pobliżu pojawił się ktoś z Telekomunikacji, wieść roznosiła się wśród dzieciaków jak ogień. Tam stał

samochód, tam stał robotnik, monter telekomunikacyjny, a tam leżały te jego fantastyczne buty ze słupozalami! Mając już na nogach te buty i wokół bioder pas z narzędziami, z kliknięciem zapinał uprząż obejmującą go wraz ze słupem, a następnie powolnymi i wyważonymi, ale dla nas ko m p l e t n i e niezrozumiałymi ruchami zaczynał się wspinać. Jak to m o ż l i w e? Proste plecy, bez widocznego trudu, bez widocznego używania siły s u n ą ł na szczyt. Z wytrzeszczonymi oczami gapiliśmy się, jak tam pracuje, nie było mowy o tym, żeby stamtąd odejść, bo przecież wkrótce zacznie schodzić z taką samą łatwością, bez najmniejszego wysiłku, w niepojęty dla nas sposób. Ach, mieć takie buty, z tym przypominającym słoniową trąbę metalowym szpicem, który owijał się wokół słupa, czegoż by wtedy nie dało się zrobić!

No i byli jeszcze pracownicy kanalizacji. Ci, którzy parkowali swój samochód przy jednej z wielu studzienek na drodze, zagłębionych w asfalcie lub umieszczonych na lekkich murowanych podwyższeniach tuż obok, a potem, włożywszy buty sięgające im do p a s a! – łosem unosili okrągłą, niewyobrażalnie ciężką metalową pokrywę, odsuwali ją na bok i schodzili w głąb. To, jak w otworze pod drogą znikają najpierw łydki, następnie uda, potem brzuch, pierś, a na koniec głowa... A co tam było pod spodem, jeśli nie tunel? Tunel, którym płynęła woda, którym można było chodzić, ach, to przecież fantastyczne! Może robotnik w tej chwili znajdował się gdzieś w pobliżu roweru Kenta Arnego rzuconego na chodnik mniej więcej dwadzieścia metrów dalej, tyle że p o d ziemią?! A może te studzienki były jedynie czymś w rodzaju stacji, studniami, w których można skontrolować rury i czerpać z nich wodę w razie pożaru? Nikt tego nie wiedział. Kiedy robotnicy znikali pod ziemią, nam zawsze kazano trzymać się z dala. Zapytać ich o to nie ośmielił się nikt, nikt też nie był dostatecznie silny, aby unieść ciężkie metalowe pokrywy przypominające ogromne monety. Ta sprawa pozostała więc zagadką, jak wiele innych spraw w tym czasie.

Nawet zanim zaczęliśmy chodzić do szkoły, mieliśmy swobodę i mogliśmy włóczyć się tam, gdzie chcieliśmy, z dwoma wyjątkami. Jednym była duża droga, ta biegnąca od mostu w stronę stacji Fina. Drugim było morze. „Nigdy nie chodźcie sami nad morze”, wbijali nam do głów dorośli. Ale właściwie dlaczego nie? Czyżby myśleli, że wpadniemy do wody? „Nie, nie o to chodzi”, wyjaśnił ktoś, gdy siedzieliśmy na Górze, za niewielką łąką, gdzie od czasu do czasu grywaliśmy w piłkę, i patrzyliśmy w wodę, ku której stromo opadało zbocze Góry, mniej więcej trzydzieści metrów pod nami. Chodziło o wodnika. Wodnik porwał dzieci.

– Kto tak mówi?

– Mama i tata.

– I on jest tu?

– Tak

Wpatrywaliśmy się w szarawą powierzchnię zatoki Ubekilen. Wcale nie wydawało się nieprawdopodobne, że coś się może pod nią kryć.

– Tylko tu? – spytał ktoś. – W takim razie możemy przecież iść gdzieś indziej. Nad Tjennę?

– Albo na Małe Hawaje?

– Tam grasują inne wodniki. One są niebezpieczne. Tak mówią rodzice. Zabierają dzieci i je topią.

– A taki wodnik może przyjąć tu, na Górę?

– Nie wiem, chyba nie. Nie, to za daleko. Tylko na samej krawędzi jest niebezpiecznie.

Bałem się później wodnika, ale nie tak, jak bałem się lisów, myśl o nich budziła przerażenie; gdy tylko widziałem, że jakiś krzak się porusza, i słyszałem szelest, natychmiast próbowałem uciec w bezpieczne miejsce, to znaczy na otwartą polanę w lesie albo od razu na osiedle, gdzie lisy nigdy się nie zapuszczały. Tak bardzo się ich bałem, że wystarczyło, by Yngve, leżąc nade mną na piętrowym łóżku, powiedział: „Jestem lisem i zaraz cię złapię”, żebym zamierał ze strachu. „Wcale nie jesteś żadnym lisem”, mówiłem wtedy. „Właśnie, że jestem”, upierał się, wychyłał nad krawędzią i uderzał mnie ręką. Mimo że tak robił, mimo że od czasu do czasu mnie straszyl, brakowało mi go, kiedy dostaliśmy osobne pokoje i nagle musiałem spać sam. Właściwie nie miałem nic przeciwko temu, przecież znajdowaliśmy się w e w n ą t r z domu, nowy pokój też tam się znajdował, ale nie było już tak przyjemnie jak wtedy, gdy Yngve leżał w łóżku nade mną. Wtedy mogłem na przykład po prostu spytać: „Yngve, boisz się?”, a on mógł odpowiedzieć: „Nieee, dlaczego miałbym się bać? Przecież tu się nie ma czego bać”. Wtedy wiedziałem, że ma rację, i uspokajałem się od razu.

Mniej więcej w siódmym roku mojego życia lęk przed lisami minął. Pustka, którą pozostawił, szybko jednak zapełniła się czym innym. Któregoś dnia przed południem przechodziłem obok telewizora, włączonego, mimo że nikt niczego nie oglądał, puszczała akurat przedpołudniowy film, na którym – o, nie! – po schodach wchodził człowiek bez głowy! Aaaa! Wbiegłem do pokoju, ale to w niczym nie pomogło, byłem tam równie osamotniony i bezbronny, musiałem więc poszukać mamy, jeśli była w domu, albo Yngvego. W przeciwieństwie do innych strasznych wyobrażeń obraz człowieka bez głowy prześladował mnie nie tylko w ciemności. Człowiek bez głowy potrafił zaskoczyć mnie w biały dzień i jeśli byłem wtedy sam, ani trochę nie pomagało to, że świeciło słońce i śpiewały ptaki, serce i tak waliło, a lęk płynął każdym, nawet najcieńszym włókiem nerwowym. To było nawet gorsze, ta ciemność istniejąca również w świetle. Tak, jeśli naprawdę czegoś się bałem, to właśnie ciemności w świetle. Najstraszniejsze, że nie dało się nic z tym zrobić. Nie pomagało wołanie o pomoc, nie pomagało stawanie na otwartej przestrzeni, nie pomagała ucieczka. No i jeszcze tamta pierwsza strona magazynu detektywistycznego, którą kiedyś pokazał mi tata, czasopisma z jego dzieciństwa – był na niej szkielet dźwigający na grzbiecie mężczyznę, odwracał głowę w moją stronę i pustymi oczami w trupiej czaszce patrzył wprost na mnie. Również tego szkieletu się bałem, on też pojawiał się we wszelkich możliwych i niemożliwych kontekstach. Bałem się także gorącej wody w łazience. Kiedy bowiem się ją odkręcało, przez rury przebiegał przenikliwy zgrzyt i za moment, jeśli wody natychmiast się nie zakręciło, zaczynało w nich dudnić. Te dźwięki, takie głośne i dzikie, przerażały mnie do obłędu. Istniał sposób na to, by ich unikać, należało najpierw odkręcić zimną wodę, a dopiero potem delikatnie puszczać gorącą. Mama, tata i Yngve robili w ten sposób. Ja też próbowałem, ale przeraźliwy odgłos przenikający ściany, z następującym po nim dudnieniem o szybko rosnącej częstotliwości, jakby coś tam gdzieś na dole wpadało we wściekłość, zaczynał się w momencie, gdy odkręcałem kran z gorącą wodą, zakręcałem go więc czym prędzej i uciekałem, w całym ciele czując pulsujący strach. Dlatego rano albo myłem się w zimnej wodzie, albo przemawiałem po Yngvem brudną, ale przynajmniej ciepłą wodę w umywalce.

Psy, lisy i rury doprowadzające wodę stanowiły zagrożenia konkretne, fizyczne, dzięki czemu mogłem nad nimi zapanować. Były na swoich miejscach, albo się pojawiały, albo się nie

– Cześć – odpowiedzieliśmy.

– Chcecie się dowiedzieć, jak się mówi po niemiecku siedemset siedemdziesiąt siedem? – spytał.

– Chcemy.

– *Siebenhundert-und-siebenundsiebzig!* – wyrecytował zachrypniętym głosem. – Cha, cha, cha!

My też się roześmialiśmy. Jego śmiech przeszedł w kaszel.

– No dobrze – powiedział, kiedy było już po tym ataku wesołości, włożył kluczyk w zamek w drzwiczkach i przekęcił. Cały czas drgały mu wargi i jedna powieka.

– Dokąd idziecie? – spytał Trond.

– Nie wiemy – odparłem.

– Mogę iść z wami?

– Jasne.

Trond był w tym samym wieku co Geir i ja, ale o wiele niższy. Miał okrągłe oczy, grubą, czerwona dolną wargę, mały nos. Tę niemal lalkowatą buzię otaczały jasne, lekko wijące się włosy. Jego brat wyglądał zupełnie inaczej, oczy miał wąskie, chytre, uśmiech często drwiący, włosy proste, żółto-brązowe, piegi u nasady nosa. Ale i on był niewysoki.

– Włóż kurtkę od deszczu – powiedziała matka.

– Zaraz przyjdę, tylko włożę kurtkę – rzucił Trond i pobiegł do domu.

Czekaliśmy na niego bez słowa, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, jak dwa pingwiny. Przestało padać. Na lekkim wietrze kołysały się wysokie, smukłe sosny rosnące tu i ówdzie w ogrodach. Skrajem drogi płynął niewielki strumyk, porywając ze sobą kupki rozsypanych wszędzie pozostałości sosnowych igieł, przypominających litery V albo złote nogi.

Na niebie za naszymi plecami pojawiło się nagle rozdarcie, krajobraz, wśród którego staliśmy, z jego dachami, trawnikami, kępami drzew, pagórkami i zboczami, zaczął się jakby żarzyć. Ze wzgórza ponad naszym domem, tym, które nazywaliśmy „Górą”, wyrzuciła tęcza.

– Zobaczcie! – zawołałem. – Tęcza!

– Ojej! – westchnął Geir.

Trond zamknął za sobą drzwi domu i biegiem ruszył do nas.

– Na Górze jest tęcza! – powiedział Geir.

– Idziemy szukać skarbu?

– Tak, idziemy! – podchwycił Trond.

Pobiegliśmy w dół. Na trawniku Karlsenów stała Anne Lene, młodsza siostra Kenta Arnego, i śledziła nas wzrokiem. Była w szelkach umocowanych do linki do biegania, żeby gdzieś nie zwała. Czerwony samochód ich matki stał zaparkowany na podjeździe. Latarnia na ścianie była zapalona. Pod domem Gustavsenów Trond zwolnił.

– Leif Tore na pewno będzie chciał iść z nami – stwierdził.

– Chyba nie ma go w domu – powiedziałem.

– W każdym razie spytamy – zdecydował Trond i kierując się w stronę podjazdu, wszedł

między dwa wmurowane w ziemię słupki bramy, której w ogóle nie było, dlatego mój ojciec stroił sobie z niej żarty. Na każdym ze słupków umieszczono pustą metalową kulę, z której sterczała strzała, a kulę dźwigał na zgiętych plecach nagi mężczyzna. To były zegary słoneczne, z których również śmiał się mój ojciec, no bo jaki jest sens mieć dwa zegary słoneczne?

– Leif Tore! – zawołał Trond. – Wyjdziesz?

Spojrzał na nas, teraz już wszyscy trzej zawołaliśmy chórem:

– Leif Tore! Wyjdziesz?

Minęło kilka sekund. W końcu otworzyło się kuchenne okno i wyjrzała matka.

– Zaraz przyjdzie, tylko włoży ubranie przeciwdeszczowe. Nie musicie już więcej krzyać.

Miałem zupełnie konkretne wyobrażenie o charakterze tego skarbu. Uważałem, że to wielki czarny kocioł na trzech nogach, pełen błyszczących klejnotów. Złota, srebra, diamentów, rubinów, szafirów. Czekał u stóp tęczy, a właściwie czekały dwa, po jednym na każdym końcu. Już raz kiedyś szukaliśmy tego skarbu, ale bez powodzenia. Należało się spieszyć, przecież tęcza nigdy nie trwa długo.

Leif Tore, który od dłuższej chwili był widoczny w postaci cienia za żółtą szybą w drzwiach, wreszcie je otworzył. Z wnętrza buchnęło ciepłe powietrze, u nich w domu zawsze było tak gorąco. Poczulem lekki zapach czegoś jednocześnie kwaśnego i słodkiego. Właśnie tak pachniało u nich. Wszystkie domy, z wyjątkiem naszego, miały swój zapach, a to był ten Gustavsenów.

– Co robimy? – spytał Leif Tore, zatraskując drzwi za sobą, aż zabręczało sżdło.

– Na Górze jest tęcza, idziemy szukać skarbu – oznajmił Trond.

– No to chodźmy. – Leif Tore puścił się pędem. Ruszyliśmy za nim, zbiegając z ostatniego fragmentu zbrocza na drogę prowadzącą w stronę Góry. Zobaczyłem, że roweru Yngvego ciągle nie ma na swoim miejscu, ale przed domem stały zarówno zielony garbus mamy, jaki czerwony kadett taty. Kiedy wychodziłem na dwór, mama odkurzała. To było najgorsze, co mogło być. Nienawidziłem tego dźwięku, przypominał napierającą na mnie ścianę. Przy sprzątaniu rodzice otwierali też okna, do środka wpadało lodowate powietrze, a ten chłód jakby przenosił się również na mamę, nie miała w sobie żadnej nadwyżki uczuć, gdy stała nachylona nad wiadrem i wykęcała szmatę albo ciągnęła szcztokę lub odkurzacza po podłodze, a ponieważ miejsce dla mnie było jedynie w nadwyżce, ja również stawałem się zimny w te sobotnie przedpołudnia, prawdę mówiąc, tak zimny, że ów chłód przenikał mnie aż do głowy, utrudniając nawet czytanie komiksów w łóżku, ki kiedy indziej uwielbiałem, aż w końcu nie miałem żadnego innego wyboru, niż się ubrać i wybiec z domu z nadzieją, że na dworze coś się wydarzy.

W naszym domu sprząтали i mama, i tata, co nie było powszechnym zwyczajem; z tego co wiedziałem, żaden inny ojciec nie zajmował się sprzątaniem, może z wyjątkiem pana Prestbakmo, chociaż nigdy nie widziałem, żeby to robił, i w zasadzie miałem wątpliwości.

Ale tego dnia tata wybrał się do miasta i na przystani rybackiej kupił kraby, później siedział w gabinecie, palił papierosy i być może poprawiał wypracowania, może przeglądał jakieś dokumenty, może zajmował się swoją kolekcją znaczków albo czytał komiksy o Fantomie.

Koło naszego pomalowanego na czarno płotu, tam gdzie zaczynała się ścieżka do B-Maxu, woda wypływająca ze studzienki zalała ziemię. Rolf, brat Leifa Torego, kilka dni wcześniej

powiedział, że odpowiedzialność za to ponosi mój tata. „Odpowiedzialność” nie była słowem, którego zazwyczaj używał, domyśliłem się więc, że usłyszał je od swojego ojca. Tata zasiadał w radzie gminy, to ci ludzie rządzą wyspą i właśnie to miał na myśli Gustavsen, ojciec Leifa Torego i Rolfa. Tata powinien zgłosić to zalenie, żeby przysłano kogoś, kto to naprawi. Kiedy szliśmy pod górę i mój wzrok znów spoczął na nienaturalnym rozlewisku między niewysokimi, cienkimi drzewkami w dole, na którego powierzchni tu i ówdzie unosiły się też kawałki białego papieru toaletowego, postanowiłem, że mu o tym powiem, jeśli nadarzy się okazja. Że musi to zgłosić na zebraniu w poniedziałek.

Ojej, już tam był. Ubrany w swoją niebieską kurtkę przeciwdeszczową bez kaptura, w niebieskie dżinsy, które wkładał do prac w ogrodzie, i zielone sięgające kolan kałosze, wyłonił się zza węgła domu. Górną połowę ciała miał nieco wykręconą, ponieważ niósł drabinę, którą starał się utrzymać w równowadze, idąc przez trawnik, a sekundę później ustawił ją na ziemi, poprawił i podsunął pod dach. Odwróciłem się i przyspieszyłem, żeby dogonić resztę.

– Tęcza ciągle jest! – zawolałem.

– Widzimy! – odrzyknął Leif Tore.

Dogoniłem ich tam, gdzie zaczynała się ścieżka, siedłem tuż za żółtymi plecami Tronda, między drzewami, z których skapywała mnóstwo kropli za każdym razem, gdy ktoś odchylił na bok gałąź, poniżej brązowego domu Moldenów, u których nie było już dzieci, tylko młodzież, chłopak z długimi włosami, w wielkich okularach, w brązowym ubraniu i spodniach dzwonach. Nie wiedzieliśmy nawet, jak mu na imię, więc po prostu mówiliśmy o nim Molden.

Najlepsza droga na szczyt Góry prowadziła obok ogrodu i właśnie tamtędy szliśmy, powoli, ponieważ na stromym zboczu rosła wysoka, pożółkła trawa, teraz śliska. Momentami chwyciłem się jakiegoś drzewka i podciągałem. Tuż pod szczytem Góry był nagi nawis skalny, na który nie dało się wejść, w każdym razie kiedy było tak mokro jak teraz, ale z boku, w szczelinie między samą Górą a niedużą wystającą skałą, dawało się znaleźć oparcie dla stóp i bez trudu pokonać ostatnie metry do szczytu.

– No ale gdzie ona jest? – spytał Trond, który dotarł na szczyt jako pierwszy.

– Była przecież tam. – Geir wskazał kilka metrów w głąb niedużego płaskowyżu.

– O nie! – jęknął Leif Tore. – Teraz jest na dole, zobaczcie!

Wszyscy się odwrócili i spojrzeli w dół. Tęcza rozciągała się daleko nad lasem, jednym końcem opierała się o drzewa poniżej domu Becków, drugim – mniej więcej o trawiaste zbocze prowadzące nad zatokę.

– Idziemy tam? – spytał Trond.

– Ale może słońce ciągle tu jest – podsunął Leif Tore. – W każdym razie możemy trochę poszukać.

Powiedział to dialektem, którym się posługiwaliśmy.

– Tu go nie ma – stwierdziłem. – On jest tylko tam, gdzie tęcza.

– A kto by zdążył go zabrać? Chciałbym to wiedzieć – powiedział Leif Tore.

– Nikt – odparłem. – Zgłupiałeś? Nikt go sobie nie wzięł, jeśli tak ci się wydaje. Tęcza go zabrała.

– Sam jesteś głupi – odparował Leif Tore. – Skarb nie może przecież zniknąć sam z siebie.

– Właśnie że może – powiedziałem.

– Właśnie że nie – upierał się Leif Tore.

– Właśnie że tak Szukaj sobie i zobacz, czy go znajdziesz!

– Ja też chcę szukać – stwierdził Trond.

– I ja – powiedział Geir.

– A ja nie – oświadczyłem.

Odwrócili się i ruszyli w głąb płaskowyżu, rozglądając się na boki. Poczułem, że mam ochotę iść z nimi, ale teraz już nie mogłem. Zamiast tego zacząłem się więc rozglądać. To było najlepsze miejsce widokowe ze wszystkich. Widać było most, jakby wyrastający z koron drzew, widać było cieśninę, po której zawsze pływały łodzie, i widać było wielkie białe zbiorniki z gazem po jej drugiej stronie. Widać było wysepkę Gjerstadholmen, widać było nową drogę i niski betonowy most, widać było zatokę Ubekilen. I widać było osiedle. Wszystkie czerwone i pomarańczowe dachy wśród drzew. Naszą drogę. Nasz ogród, ogród Gustavsenów; reszta pozostawała ukryta.

Niebo nad osiedlem było teraz niemal całkiem niebieskie. Chmury od strony miasta białe. Natomiast po drugiej stronie, za Ubekilen, wciąż pozostawały szare i ciężkie.

Widziałem w dole tatę. Malusieńką postać, nie większą od mrówki, na samym szczycie drabiny tuż przy dachu.

Mógł mnie zobaczyć tu, tak wysoko?

Nagle powiał wiatr.

Odwrociłem się, żeby sprawdzić, gdzie są chłopcy. Kolorowe plamy, dwie żółte i jasnozielona, krążyły między drzewami. Śkała na płaskowyżu była ciemnoszara, mniej więcej tej samej barwy co niebo w oddali, w jej szczelinach rosła żółta, a w kilku miejscach niemal biała trawa. Gruby konar nachylał się, ale nie dotykał ziemi, opierał się bowiem na wielu cienkich jak igły bocznych gałązkach. Dziwnie to wyglądało.

W lesie, który zaczynał się kawałek dalej, właściwie nigdy nie byłem. Najdalej w głąb zapuściłem się jakieś trzydzieści metrów, do wielkiego, wywróconego z korzeniami drzewa. Stamtąd widać było łagodnie opadające zbocze, na którym nie rosło nic oprócz wrzosów. Z obu stron obramowywały je wysokie, smukłe sosny, a zamykała gęsta ściana świerków, przez co miało się wrażenie przebywania w wielkim pokoju.

Geir mówił, że widział tam kiedyś lisa. Nie uwierzyłem mu, ale z lisami nie było żartów, więc na wszelki wypadek zabieraliśmy łanapki i butelki z sokiem na krawędź Góry, gdzie mieliśmy pod stopami cały znany nam świat.

– Jest tutaj! – krzyknął nagle Leif Tore. – O kurczę! Skarb!

– Kurczę! – zawołał Geir.

– Mnie nie oszukacie! – odkrzyknąłem.

– Ojej! – zawołał Leif Tore. – Będziemy bogaci!

– O kurczę! – zawołał Trond.

Potem zapadła cisza.

Naprawdę znaleźli?

Na pewno nie. Chcieli mnie tylko nabrać.

Ale tęcza jedną nogą stała właśnie tutaj.

A jeśli prawdą było to, co mówił Leif Tore, że kociołek nie zniknął wraz z tęczą?

Zrobiłem kilka kroków do przodu, usiłując zobaczyć coś przez jałowce, za którymi stali.

– Ojej, spójrzcie na to! – zawołał Leif Tore.

Podjąłem natychmiastową decyzję i ruszyłem biegiem między pniami i krzewami. Zatrzymałem się.

Popatrzyli na mnie.

– Nabrałeś się! Cha, cha, cha! Nabrałeś!

– Cały czas wiedziałem – oświadczyłem. – Chciałem tylko po was przyjść. Tęcza zniknie, jeśli się nie pospieszymy.

– Aha, na pewno. – Leif Tore się zaśmiał. – Nabraliśmy cię, przyznaj!

– Chodź, Geir – powiedziałem. – Pójdziemy poszukać skarbu na dole.

Niezdecydowany spojrział na Leifa Torego i Tronda. Ale ponieważ był moim najlepszym przyjacielem, poszedł ze mną. Trond i Leif Tore niechętnie się do nas przyłączyli.

– Muszę się wysikać – powiedział Leif Tore. – Robimy zawody? Będziemy sikać za krawędź? Polecą naprawdę daleko.

Sikać na dworze, kiedy tata był tam, na dole, i mógł to zobaczyć?

Leif Tore już zdjął nieprzemakalne spodnie i teraz mocował się z suwakiem rozporoka. Geir i Trond stanęli po obu jego stronach i kręcąc pupami, ścigali spodnie przeciwdeszczowe.

– Ja nie mogę – powiedziałem. – Dopiero sikałem.

– Nieprawda. – Geir odwrócił głowę w moją stronę, obiema rękami przytrzymując siusiaka. – Przecież cały dzień byliśmy razem.

– Sikałem, kiedy szukaliście skarbu – wyjaśniłem.

Sekundę później buchnęła para z ich sików. Zrobiłem kilka kroków do przodu, żeby zobaczyć, kto wygrał. O dziwo, pierwsze miejsce zajął Trond.

– Rolf ściągnął skórkę z sisia. – Leif Tore zasunął rozporok – Od razu dalej sikał.

– Tęcza zniknęła. – Geir ostatni raz potrząsnął siusiakiem, zanim go schował.

Wszyscy spojrzeli w dół.

– No to co teraz robimy? – spytał Trond.

– Nie wiem – odparł Leif Tore.

– Idziemy do szopy na łódzie? – zaproponowałem.

– A co tam będziemy robić? – spytał Leif Tore.

– Na przykład wejdziemy na dach.

– Dobra – zgodził się Leif Tore.

Ruszyliśmy ukosem stromo pod górę, przedarliśmy się przez gęsty świerkowy las i pięć minut później dotarliśmy do szutrowej drogi biegnącej wzdłuż zatoki. Na trawiastym zboczu po drugiej

stronie zwykle zimą jeździliśmy na nartach. Latem i jesienią rzadko tam zachodziliśmy, no bo co tam robić? Zatoka była płytka i gliniasta, żadnego fajnego miejsca do kąpieli, tamtejszy pomost w ruinie, a wysepka po drugiej stronie całkowicie zapaskudzona przez kolonię mew, która się tam zagnieździła.

Jeśli już tam trafialiśmy, to na ogół wtedy, gdy wałęsaliśmy się bez żadnego celu, tak jak w tamto przedpołudnie. Na samej górze, między opadającym ku wodzie polem a skrajem lasu, stał stary biały dom, w którym mieszkała siwowłosa staruszka. Nic o niej nie wiedzieliśmy. Ani jak się nazywa, ani co robi. Od czasu do czasu zaglądaliśmy do środka, przykładaliśmy dłonie do okna i przyciskaliśmy twarze do szyby. Bez żadnego szczególnego powodu, nawet nie z ciekawości, po prostu dlatego, że dało się to zrobić. Widzieliśmy wtedy pokój ze starymi meblami albo kuchnię pełną rupieci. Obok domu, po drugiej stronie wąskiej drożki, była czerwona, jakby zapadnięta w sobie stodoła, a na samym dole, nad strumieniem wypływającym z lasu stała stara szopa na łódzie, z surowego drewna, z dachem krytym papą. Wzdłuż strumienia rosły paprocie, a także rośliny z ogromnymi liśćmi na cienutkich łodygach; gdy się je rozgarnęło rękami płynnym ruchem, jakiego się używa, by móc spojrzeć za coś, co się poddaje, ziemia sprawiała wrażenie nagiej, jakby rośliny chciały nas oszukać, tylko udając, że tu jest zielono i bujnie, bo w rzeczywistości pod gęstymi liśćmi nie rosło prawie nic. Nieco niżej, w pobliżu wody, ziemia czy glina, czy co to było, była czerwonawa, trochę jak rdza. Od czasu do czasu zaplątywały się tu rozmaite rzeczy, kawałek foliowej torby albo kondom, ale nie w takie dni jak dzisiejszy, kiedy z rury pod drogą woda waliła z wielką siłą i przestawała się pienić dopiero na niedużym, przy pominającym deltę obszarze, gdzie się rozlewała przed dotarciem do zatoki.

Szopa na łódzie zupełnie poszarzała ze starości. W kilku miejscach między deski dało się wsunąć całą dłoń, wiedzieliśmy więc, jak wygląda w środku, chociaż żaden z nas nigdy tam nie był. Przez chwilę zaglądaliśmy przez te szczeliny, a potem skierowaliśmy naszą uwagę na dach, na który zamierzaliśmy spróbować się wdrapać. Żeby to się udało, musieliśmy znaleźć coś, na czym dałoby się stanąć. W pobliżu nie było nic odpowiedniego, więc podeszliśmy do stodoły i tam się rozejrzeliśmy. Najpierw się upewniliśmy, czy po drugiej stronie nie stoi samochód, bo czasami tak się zdarzało. Właścicielem auta był mężczyzna, może syn tej siwej pani, który zabraniał nam biegać po podwórzu, gdy chcieliśmy przedłużyć trasę narciarską, co z jej strony nigdy nas nie spotkało. Jego staraliśmy się więc wystrzegać.

Żadnego samochodu nie było.

Pod ścianą leżało kilka białych pojemników. Znałem je z gospodarstwa rodziców mamy, to były pojemniki po kwasie mrówkowym. Zardzewiała beczka. Zdjęte z zawiasów drzwi.

No ale tam! Paleta!

Podnieśliśmy ją. Prawie wrosła w ziemię. Kiedy ją dźwignęliśmy, na wszystkie strony rozpierchły się stonogi i jakieś małe pająkowate stworzenia.

Ponieśliśmy ją między sobą przez pole aż do szopy na łódzie. Ustawiliśmy ukośnie pod ścianą. Leif Tore, znany jako najodważniejszy spośród nas, spróbował pierwszy. Kiedy stanął na palecie, udało mu się położyć na dachu jeden łokieć, drugą ręką uchwycił się krawędzi, a potem w y r z u c i ł w powietrze jedną nogę. Przeleciała nad krawędź, przez moment leżała na dachu, ale jednocześnie na rękach musiał utrzymać się większy ciężar, więc zaraz uścisk palców osłabł

i Leif Tore runął w dół jak worek, nie mogąc nawet w żaden sposób się podeprzeć. Wylądował bokiem na ustawionej ukosem palecie i zsunął się na ziemię.

– Aua! – krzyknął. – O cholera, au! – Podniósł się powoli, spojrzął na swoje dłonie, potarł pośladek – Ale boli! Niech teraz ktoś inny spróbuje.

Patrzył na mnie.

– Mam za słabe ręce – powiedziałem.

– Ja mogę – oświadczył Geir.

Jeśli Leif Tore słynął z odwagi, to Geir słynął z zuchwalstwa. Nie rodziło się ono samo z siebie, bo gdyby mógł, to – tak jak lubił najbardziej – przez cały dzień siedziałby w domu, rysował i pierdział w stołek, ale wystarczyło go podpuścić. Może był trochę naiwny. Tego lata zbudowaliśmy we dwóch, chociaż ze sporą pomocą jego ojca, drewniany samochód, a kiedy był gotowy, namówiłem go, żeby mnie w nim woził, wyjaśniając tylko, że od czegoś takiego można nabrać siły. Był więc naiwny, ale również zuchwały, czasami przekraczał wszelkie granice, gotów na wszystko.

Wybrał inną metodę niż Leif Tore. Stojąc na palecie, zacisnął na krawędzi dachu palce obu rąk i zawiesiwszy się na nich całym ciężarem, spróbował zrobić kilka kroków p o ścianie. To było idiotyczne. Nawet gdyby mu się udało, to zatrzymałby się w pozycji leżącej p o d dachem, a więc o wiele gorszej niż ta, od której zaczął.

Palce się ześlizgnęły i uderzył o paletę, najpierw pupą, a potem tyłem głowy.

Wydał z siebie cichy jęk Kiedy się podniósł, po jego minie poznałem, że mocno się potłukł. Z zaciętą twarzą zrobił kilka kroków tam i z powrotem, wciąż lekko pojękując. Potem podjął kolejną próbę. Tym razem wykorzystał metodę Leifa Torego. Kiedy przerzucił nogę ponad krawędź, jego ciałem nagle wstrząsnęło, jakby kilka razy przeszył go prąd, noga uderzyła o papę, ciało się wygięło i pstryk! – już kłęczał na dachu i patrzył na nas z góry.

– To całkiem łatwe! – stwierdził. – Dalej, chodźcie! Mogę was wciągnąć!

– Nie możesz – zaprotestował Trond. – Nie masz na to dość siły.

– W każdym razie możemy spróbować – nie ustępował Geir.

– Złaź – powiedział Leif Tore. – Niedługo i tak będę musiał wracać do domu.

– Ja też – dodałem.

Ale Geir na górze nie wyglądał wcale na rozczarowanego. Raczej na zdeterminowanego.

– Zeskoczę – zapowiedział.

– Nie za wysoko? – spytał Leif Tore.

– Skąd – odparł Geir. – Muszę się tylko trochę skoncentrować.

Długo kucał wpatrzony w ziemię, głęboko wciągając powietrze i powoli je wypuszczając, jakby zamierzał zanurzyć się pod wodę. Na moment z jego ciała zniknęło wszelkie napięcie, musiał zmienić decyzję, ale potem znów stwardniał, no i skoczył. Upadł, przetoczył się, poderwał jak sprężyna i jeszcze zanim się wyprostował, zaczął otrząpywać uda, by zasygnalizować rozluźnienie i spokój.

Gdybym tylko ja zdobył ten dach, byłby to ogromny triumf. Leif Tore za nic by się nie

poddał. Nawet gdyby miał się wspinać i spadać przez cały wieczór, nie zrezygnowałby, bo chciałby zniwelować ten nagle objawiony brak równowagi, pokazać, że wcale nie jest gorszy ode mnie. Ale z Geirem było inaczej. On naprawdę potrafił robić niezwykłe rzeczy, na przykład zimą wykonać pięciometrowy skok w zaspę, na co nikt inny by się nie poważył, ale to i tak nie miało dla niego większego znaczenia. Jakby się do końca nie liczyło. Geir dalej był tylko Geirem, bez względu na to, co wy myślił.

Bez dalszych dyskusji ruszyliśmy pod górę. W kilku miejscach woda zabrała ze sobą nawierzchnię drogi, w innych wyżłobiła głębokie doły. Na chwilę zatrzymaliśmy się, wbijając pięty w nasiąkniętą jak gąbka ziemię, mokry żwir wpełzał na czubki kałoszy, co było naprawdę przyjemne. Trochę zmarzłem w ręce. Kiedy je zaciskałem, palce zostawiały białe ślady na zaczerwienionej skórze. Ale kurzajki, trzy na jednym kciuku, dwie na drugim, jedna na palcu wskazującym i trzy na grzbiecie dłoni, nie zmieniły barwy, pozostały jak zawsze brązowoczerwone, pokryte małymi kropkami, które dawało się zdrapać. Wyszliśmy na drugą część pola, tę dochodzącą do kamiennego ogrodzenia i lasu, który zaczynał się zaraz za nim, jakby obramowaną podłużnym skalnym grzbieciem, dość stromym, wysokim na mniej więcej dziesięć metrów, porośniętym świerkami, pomiędzy których prześwitywała naga skała. Chodząc tam albo po podobnych miejscach, zawsze czułem radość na myśl, że krajobraz przypomina ten nadmorski. Wyobrażałem sobie, że łąka to morze, z którego wyrastają góry i wysepki.

Ach, gdyby tak móc pożegłować łodzią przez las! Popływać między drzewami! To by dopiero było coś!

Czasami przy ładnej pogodzie jeździliśmy z rodzicami na drugą stronę wyspy, tę od otwartego morza, zostawialiśmy samochód na terenie dawnej strzelnicy i schodziliśmy na płaskie, gładkie skały, gdzie mieliśmy swoje stałe miejsce, niedaleko od plaży na Spornes, na którą oczywiście wolałem jeździć, ponieważ tam był piasek i mogłem brodzić po wodzie na takiej głębokości, jaka mi odpowiadała. Przy skałach dno opadało gwałtownie. Wprawdzie była tam niewielka zatoczka, coś w rodzaju szczeliny wypełnionej wodą, do której dało się wejść, żeby się kąpać, ale jej nierówne dno pokrywały pąkle, wodorosty i muszle. Kiedy fale biły o skały, poziom wody w szczelinie się podnosił, czasami sięgał mi aż do szyi, a wtedy kawałki styropianu w kapoku, który miałem na sobie, dotykały moich uszu. Stawałem wtedy przerażony, nie mogłem złapać oddechu inaczej niż łapczywie i głośno wciągając powietrze. Tak samo się bałem, gdy fale się cofały i poziom wody opadał z odgłosem przypominającym siorbanie. Kiedy morze było spokojne, zdarzało się, że tata nadmuchiwał żółtozielony materac kąpielowy, na którym mogłem leżeć i kołysać się tuż przy brzegu; naga skóra lepiła się do mokrej gumy, plecy miałem suche i rozgrzane palącym słońcem. Przemieszczałem się, lekko poruszając dłońmi w wodzie, chłodnej i słonej, oglądałem wodorosty falujące wzdłuż skały, do której były przyrośnięte, wypatrywałem ryb albo krabów, śledziłem wzrokiem przepływające w oddali łodzie. Po południu przyплыwał prom z Danii, widzieliśmy go w oddali na horyzoncie, kiedy tu przyjeżdżaliśmy, i obserwowaliśmy go, gdy sunął niedaleko nas przez cieśninę, kiedy odjeżdżaliśmy. Biały i potężny, górował nad niewielkimi szkiełkami. Czy to „Venus”? A może „Christian Quart”? Dzieciaki z całego południowego i zachodniego brzegu wyspy, a prawdopodobnie również te, które mieszkają po drugiej stronie cieśniny Galtesundet, na nieznanym nam wyspie Hisøya, lubiły się

kapać, kiedy prom przyplwał, bo wielkie fale z jego kilwatu były już słynne. W jedno z takich popołudni leżałem na dmuchanym materacu, wiosłując rękami, gdy nagle fale poderwały mnie, uniosły i wpadłem do morza. Poszedłem na dno jak kamień. W tym miejscu było głęboko na jakieś trzy metry. Zacząłem machać rękami i nogami, krzyczałem spanikowany, nałykałem się wody, co jeszcze wzmogło mój strach, który nie trwał jednak dłużej niż dwadzieścia sekund, bo tata wszystko widział. Wskoczył w fale i wyciągnął mnie na brzeg. Wyplułem z siebie trochę wody i zrobiło mi się zimno, więc szybko wróciliśmy do domu. Nie było żadnego zagrożenia i całe to zdarzenie nie pozostawiło we mnie ani śladu, oprócz tego poczucia, które mnie wypełniło, kiedy po powrocie do domu ruszyłem pod górę, by o tym, co się stało, opowiedzieć Geirowi: świat był czymś, po wierzchu czego chodziłem, nieprzenikniony i twardy, nie dało się w niego zapaść, bez względu na to, czy wznosił się w postaci stromych gór, czy też opadał głęboko w dolinę. Wiedziałem przecież, że tak jest, ale nigdy wcześniej nie czułem, że chodzimy po powierzchni.

Pomimo tego epizodu i nieprzyjemnego wrażenia, jakiego czasami doznawałem podczas kąpieli w tamtej wąskiej rozpadlinie, zawsze wysoko ceniłem te wycieczki. Siedzenie na ręczniku obok Yngvego i patrzenie w błękitną, gładką jak lustro powierzchnię morza, ginącego dopiero gdzieś za horyzontem, po którym wielkie statki zawsze przesuwały się powoli jak wskazówki zegara, albo na dwie latarnie morskie na wysepkach Torungen, ostro odcinające się bielą od jaskrawobłękitnego nieba: mało co mogło się z tym równać. Picie oranżady wyjętej z turystycznej lodówki w czerwonej kratkę, jedzenie herbatników, śledzenie wzrokiem taty, gdy opalony i muskularny stawał na krawędzi skały, po to by za sekundę skoczyć z dwóch metrów na główkę do morza. Sposób, w jaki potrzasał głową i odgarniał włosy z oczu, kiedy wypływał na powierzchnię, szum bąbelków powietrza wokół jego ciała, wyjątkowy błysk radości w oczach, kiedy podpływał do brzegu ciężkimi, powolnymi ruchami, kołysząc się na falach. Albo odwiedzanie dwóch garnców lodowcowych, wydrążonych w skałe kawałek dalej, jednego głębokiego na mniej więcej dwa metry, z wyraźnymi spiralnymi śladami na ścianach, wypełnionego słoną morską wodą, z dnem pokrytym zielonymi morskimi roślinkami i dużymi kępami wodorostów, drugiego płytszego, ale nie mniej pięknego. Albo chodzenie po płytkich, ekstremalnie słonych, ciepłych kałużach, tworzących się w zagłębieniach skał, w których świeża woda pojawiała się tylko w czasie sztormu; na ich powierzchni było aż gęsto od małych, ruchliwych owadów, a dno porastały chorobliwie żółte algi.

W jeden z takich dni tata postanowił nauczyć mnie pływać. Kazał mi iść za sobą na brzeg, gdzie mniej więcej pół metra pod powierzchnią wody wcinał się w morze niewielki, śliski, porośnięty wodorostami grzbiet skalny, na którym miałem stać. Sam popłynął na szkieł oddalony o jakieś cztery – pięć metrów od brzegu. Odwrócił się do mnie.

– Teraz do mnie przyplńiesz – oznajmił.

– Ale tu jest głęboko – zaprotestowałem, bo rzeczywiście było głęboko. Dno między tymi dwoma skalnymi wałami ledwie dało się dostrzec. Mogło do niego być nawet ze trzy metry.

– Przecież stoję tutaj, Karl Ove. Myślisz, że cię nie uratuję, gdybyś zaczął tonąć? Płyn, to nic strasznego! Wiem, że potrafisz. Skocz do wody i ruszaj rękami. Jak ci się uda do mnie dotrzeć, to

będzie oznaczało, że umiesz pływać, rozumiesz? Będziesz umiał pływać!

Przykucnąłem w wodzie.

Zielonkawe dno prześwitywało daleko w dole. Miałbym się nad nim unosić?

Serce waliło mi w piersi tak mocno, jak zawsze gdy się bałem.

– Nie potrafię! – zawołałem.

– Oczywiście, że potrafisz! – odkrzyknął tata. – To takie łatwe! Po prostu ześlizgnij się do wody, kilka razy porusz rękami i już tu będziesz!

– Nie mogę!

Popatrzył na mnie. W końcu westchnął i przepłynął na moją stronę.

– Okej – powiedział. – Będę płynął obok ciebie. Mogę trzymać rękę pod twoim brzuchem. Wtedy na pewno nie utoniesz.

Ale ja nie mogłem. Dlaczego nie chciał tego zrozumieć?

Rozplakałem się.

– Nie mogę – powtórzyłem.

Głębia była w mojej głowie, w mojej piersi. Głębia była w rękach i w nogach, w palcach u rąk i u stóp. Wypełniała mnie całego. Miałbym o niej zapomnieć?

Teraz skończyły się już uśmiechy. Tata z zaciętą miną wyszedł na brzeg, skierował się do naszych rzeczy i wrócił z moim kapokiem.

– No to włoż to – powiedział, rzucając mi kamizelkę. – W niej nie utoniesz, nawet gdybyś się starał.

Włożyłem kapok, chociaż wiedziałem, że to niczego nie zmieni.

Tata znów przepłynął na szkieł. Odwrócił się.

– Dalej! – krzyknął. – Płyn do mnie!

Kucnąłem. Woda sięgnęła mi do kąpielówek. Wyciągnąłem ręce pod wodą.

– O tak, właśnie tak – powiedział tata.

Wystarczyło rzucić się w morze, kilka razy poruszyć rękami i byłoby po wszystkim.

Ale ja nie mogłem. Za nic na świecie nie mogłem znaleźć się nad tą głębią.

Po policzkach polały mi się łzy.

– Dalej, chłopcze! – zawołał tata. – Nie możemy na to tracić całego dnia!

– Nie mogę! – zawołałem. – Słyszysz?

Zesztywniał i spojrzał na mnie z nagłą wściekłością w oczach.

– Taki jesteś uparty?

– Nie – odpowiedziałem, nie mogąc powstrzymać szlochu. Ręce mi się trzęsły.

Znów przepłynął na moją stronę i mocno złapał mnie za ramię.

– Chodź tutaj! – Próbował ściągnąć mnie do wody. Wygiąłem się w stronę łądu.

– Nie chcę! – zapierałem się.

Puścił mnie i głęboko odetchnął.

– Aha – powiedział. – No to już wiemy.

Podszedł do naszych rzeczy, wziął ręczniki trzy mając go w obu rękach, zaczął wycierać twarz. Zdjąłem kapok i poszedłem za nim, zatrzymując się w odległości kilku metrów. Podniósł jedną rękę, wytarł się pod pachą, potem pod drugą, nachylił się i wysuszył uda. Rzucił ręcznik, sięgnął po koszulę; zapinał ją, wpatrzony w gładkie jak lustro morze. Potem włożył skarpetki i wsunął stopy w buty. To były brązowe skórzane półbuty bez sznurowania, które nie pasowały ani do skarpetek ani do kąpielówek.

– Na co czekasz? – rzucił.

Wciągnąłem przez głowę jasnoniebieski T-shirt z napisem „Las Palmas”, który dostałem od babci i dziadka, zawiązałem niebieskie adidas. Tata wrzucił dwie puste butelki po oranżadzie i skórki z pomarańczy do lodówki turystycznej, zawiesił ją sobie na ramieniu i ruszył, ściskając mokry ręcznik w drugiej ręce. W drodze do samochodu nie odezwał się ani słowem. Otworzył bagażnik, wstawił lodówkę, wyjął mi kapok z rąk i ułożył go obok swojego ręcznika. O tym, że również ja miałem ręcznik, najwyraźniej nie myślał, a ja w takiej sytuacji nie mogłem mu zwracać tym głowy.

Mimo że zaparkował w cieniu, samochód stał teraz w słońcu. Nagrzane czarne siedzenia aż piekły w uda. Przez moment zastanawiałem się, czy nie rozłożyć na nich mokrego ręcznika. Ale on by to zauważył. Podłożyłem więc sobie pod pupę dłonie i na nich usiadłem, na samym brzeżku.

Tata uruchomił auto i zaczął jechać z prędkością pieszego: cała ta otwarta żwirowa równina, nazywana strzelnicą, była pełna wielkich kamieni. Na drodze, w którą za chwilę skręcił, dodatkowo trafiały się często wielkie dziury, więc i po niej jechał równie wolno. Zielone liście i krzaki ocierały się o maskę i dach, czasami z lekkim stuknięciem, kiedy jakaś gałąź uderzyła o karoserię. Dłonie też mnie piekły, ale już mniej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że tata również siedzi w krótkich spodniach na rozpalonym siedzeniu. Zerknąłem na jego twarz w lusterku. Była zacięta i ponura, ale bez oznak, że cokolwiek go piecze.

Gdy wyjechaliśmy na drogę poniżej kościoła, gwałtownie przyspieszył i tych pięć kilometrów do domu pokonał, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość.

– On się boi wody – oświadczył tego popołudnia mamie. To nie była prawda, ale nie zaprotestowałem, nie byłem głupi.

Tydzień później z wizytą przyjechali dziadkowie, rodzice mamy. Pierwszy raz odwiedzili nas na Tybakken. W gospodarstwie w Sørbøvåg nie mieli w sobie absolutnie nic dziwnego, pasowali tam idealnie, dziadek ze swoimi niebieskimi kombinezonami, czarnymi czapkami z krótkim daszkiem, długimi brązowymi kaloszami i nieustającym spluwaniem tytoniem, babcia w spranych, ale czystych kwaciastych sukienkach, z siwymi włosami, okrągła, z zawsze odrobinę drżącymi dłońmi. Ale kiedy wysiedli z samochodu na podjeździe pod naszym domem, po tym jak tata odebrał ich z lotniska w Kjevik, od razu się zorientowałem, że tu nie pasują. Dziadek był w szarym garniturze, miał jasnoniebieską koszulę i szary kapelusz, w rękę trzymał swoją fajkę, ale nie za cybuch jak tata, tylko zaciskając palce wokół samej główki. Cybucha używał do wskazywania różnych rzeczy, jak się zorientowałem, kiedy później oprowadzaliśmy ich po naszym ogrodzie. Babcia miała jasnoszary płaszcz i jasnoszare buty, a na ramieniu zawieszoną

torebkę. Tutaj nikt się taknie ubierał. W mieście też nie widywało się nikogo w takim stroju. Jakby przybyli z innej epoki.

Wypełnili nasze pokoje swoją obcością. Rodzice również nagle zachowywali się inaczej, głównie tata, który zaczął być taki jak zwykle w święta. Jego ciągle „nie” zmieniło się w „czemu nie?”, czujne spojrzenie padające na nas nabrało życzliwości, zdarzało się nawet, że w przelocie po kumpłowsku kładł rękę na ramieniu moim albo Yngvego. Ale chociaż z zainteresowaniem rozmawiał z dziadkiem, widziałem, że tak naprawdę wcale go ta rozmowa nie ciekawi, co chwila odwracał wzrok, a oczy miał wtedy zupełnie martwe. Dziadek, wesoły i przejęty, ale jakby mniejszy i bardziej bezbronny niż u siebie w domu, zdawał się tego nie zauważać. A może po prostu postanowił nie zwracać na to uwagi.

Pewnego wieczoru podczas pobytu dziadków tata kupił kraby. Uważał je za zdecydowanie najbardziej odświętne danie i chociaż był dopiero początek sezonu, umiał wyciągnąć z nich coś do zjedzenia. Ale dziadkowie nie jadali krabów. Jeśli dziadkowi złapał się w sieć jakiś krab, od razu go wyrzucał. Tata później często o tym opowiadał, uważał to za komiczne, za coś w rodzaju przesady, że niby kraby miały być mniej czyste niż ryby tylko dlatego, że biegają po dnie, a nie pływają swobodnie w wodzie. Niewykluczone, że kraby jedzą zwłoki, ponieważ zjadają wszystko, co spadnie na dno, ale jak duża była szansa na to, że akurat te kraby tego wieczoru natknęły się na jakiegoś truposza gdzieś w głębi Skagerraku?

Któregoś popołudnia siedzieliśmy w ogrodzie, piliśmy kawę i sok, a później poszedłem do swojego pokoju, położyłem się na łóżku i czytałem komiksy, gdy nagle usłyszałem, że dziadkowie wchodzi po schodach. Nic nie mówili. Ciężko stąpali po stopniach, po czym weszli do salonu. Słońce oświetlało ściany w moim pokoju na złocisto. Trawnik przed domem miał wielkie żółte, a nawet brązowe place, mimo że tata włączał zraszacz dokładnie z wybiciem godziny, od której pozwalano podlewać. Wszystko, co widziałem wzdłuż drogi, wszystkie domy, wszystkie ogrody z meblami ogrodowymi i zabawkami, wszystkie samochody, wszystkie drobne narzędzia, jakie dało się dojrzeć pod ścianami i przed progami, nagle wydały mi się uśpione. Moja spocona pierś nieprzyjemnie lepiała się do kołdry. Wstałem, otworzyłem drzwi i poszedłem do salonu, dziadkowie siedzieli już w fotelach.

– Może chcielibyście popoglądać telewizję? – spytałem.

– Tak, chyba niedługo wiadomości, prawda? – powiedział dziadek – To nas interesuje, przecież wiesz.

Włączyłem telewizor. Minęło kilka sekund, zanim pojawił się obraz. Ekran powoli się rozjaśniał, duże logo „Wiadomości” coraz bardziej się powiększało, a jednocześnie towarzyszył temu prosty, brzęczyący jak ksylofon sygnał, din, don, din, dooon, najpierw cichy, później coraz głośniejszy. Zrobiłem krok do tyłu, dziadek wychylił się w fotelu z cybuchem fajki wystającym z dłoni.

– Już – oświadczyłem.

Właściwie nie wolno mi było samodzielnie włączać telewizora, podobnie jak dużego radia, które stało na półce przy ścianie, zawsze musiałem prosić o to mamę albo tatę, jeśli chciałem coś obejrzeć albo czegoś posłuchać. Teraz jednak zrobiłem to dla dziadków, więc chyba tata nie powinien się gniewać.

Nagle obraz gwałtownie zamigotał. Kolory się rozmyły. Nastąpił krótki błysk, rozległo się

głośno „puf!” i ekran szerniał.

O nie.

O nie, nie, nie.

– Co się stało z telewizorem? – spytał dziadek

– Zepsuł się – odparłem z oczami pełnymi łez.

To ja go popsulem.

– Takie rzeczy się zdarzają – pocieszył mnie dziadek – A my właściwie najbardziej lubimy słuchać wiadomości w radiu.

Wstał z fotela i drobnymi kroczkami podszedł do odbiornika. Wróciłem do swojego pokoju. Złodowaciały ze strachu, z żołądkiem podchodzącym do gardła, położyłem się na łóżku. Poszwa na kódrę była chłodna w zetknięciu z ciepłą nagą skórą. Sięgnąłem po komiks ze stosu leżącego na podłodze. Ale nie mogłem czytać. On wkrótce się zjawi, podejdzie do telewizora i go włączy. Gdyby się to stało w czasie tylko mojej obecności w domu, mógłbym udawać, że nic o tym nie wiem, dzięki czemu tata pomyślałby, że telewizor sam się zepsuł. Chociaż najprawdopodobniej nawet wtedy wiedziałby, że to ja, bo takie rzeczy potrafił dosłownie wywęszyć. Wystarczyło mu zaledwie jedno spojrzenie na mnie, by się zorientować, że coś jest nie tak a umiał dodać dwa do dwóch. W każdym razie teraz nie mogłem już udawać, że pierwszy raz o tym słyszę, bo babcia i dziadek wszystko widzieli, więc powiedzą, co się stało, a gdybym w takiej sytuacji próbował to ukrywać, jeszcze pogorszyłbym sprawę.

Usiadłem na łóżku. Coś ścisnęło mnie w żołądki, ale nie miało w sobie ciepła i miękkości choroby. Było zimne, bolesne i takie twarde, że żadne lzy na świecie nie zdołałyby tego rozpuścić.

Przez chwilę siedziałem i płakałem.

Gdyby tylko Yngve był w domu! Mógłbym wtedy jak najdłużej siedzieć u niego w pokoju. Ale Yngve poszedł się kąpać ze Steinarem i Kårem.

Przeświadczenie, że będę bliżej Yngvego, jeśli wejdę do jego pokoju, nawet pustego, kazało mi wstać. Otworzyłem drzwi i ostrożnie przeszedłem przez korytarz. Łóżko Yngvego było pomalowane na niebiesko, moje na pomarańczowo, tak jak drzwiczki jego szafek były niebieskie, a moje pomarańczowe. Pachniało tu Yngvem. Podszedłem do łóżka i usiadłem.

Okno było uchyłone!

To było więcej, niż mogłem oczekiwać. Dzięki temu słyszałem ich głosy z dołu i z tarasu, a oni nie wiedzieli, że tu jestem. Gdyby okno było zamknięte, otwierając je, ujawniłbym się.

Głos taty wznosił się i opadał spokojnie, jak zawsze, kiedy był w dobrym humorze. Od czasu do czasu docierało do mnie jaśniejszy, łagodniejszy głos mamy. W salonie grało radio. Z jakiegoś powodu wyobraziłem sobie, że babcia i dziadek śpią w fotelach z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami. Może dlatego, że od czasu do czasu widywałem ich tak w Sørbøvåg, kiedy przyjeżdżaliśmy tam z wizytą.

Zabręczyły filiżanki.

Czyżby sprząтали ze stołu?

Tak, bo chwilę później rozległo się stukanie sandałków mamy, gdy okrążyła dom.

Będę mógł pobyć z nią przez chwilę sam! Będę mógł jej to pierwszej powiedzieć!

Zaczekałem, aż dotarł do mnie odgłos otwieranych na dole drzwi. Potem, dopiero wtedy gdy mama weszła po schodach, niosąc tacę z filiżankami, talerzykami, szklankami i błyszczącym dzbankiem do ławy z czerwoną pokrywką, ustawionym na podstawie z klamerek do bielizny, którą Yngve zrobił na pracach ręcznych, wyszedłem na korytarz.

– Siedzisz w domu w taką piękną pogodę? – spytała.

– Tak – powiedziałem.

Już chciała mnie wyminąć, ale się zatrzymała.

– Coś się stało?

Spuściłem wzrok.

– Więc jak?

– Telewizor się popsuł.

– O nie! – westchnęła. – To niedobrze. Babcia i dziadek tam siedzą?

Kiwnąłem głową.

– Miałam zamiar po nich pójść. Jest taki piękny wieczór. Może i ty byś wyszedł, dobrze? Należę ci jeszcze soku, jeśli chcesz.

Pokręciłem głową i wróciłem do swojego pokoju. Zatrzymałem się tuż za drzwiami. Może jednak najsprytniej byłoby wyjść razem z nimi? On by nic nie zrobił w ich obecności, nawet gdyby się dowiedział, że zepsułem telewizor.

No ale akurat to mogłoby go jeszcze bardziej wkurzyć. Kiedy ostatnio byliśmy w Sørbøvåg i wszyscy razem siedzieliśmy przy stole, Kjartan opowiadał, jak Yngve pobił się z Bjørnem Atlem, chłopcem z sąsiedztwa. Wszyscy się z tego śmiali, tata również. Ale kiedy mama zabrała mnie do sklepu, pozostali zdrzemnęli się po obiedzie, a Yngve położył się na łóżku z jakimś tygodnikiem, tata przyszedł do niego, zaczął go szarpać i rzucać nim o ścianę, za to że wdał się w bójkę.

Nie, najlepiej będzie zostać u siebie. Jeśli dziadek albo mama powiedzą mi, że telewizor jest zepsuty, może jego gniew minie, kiedy będzie siedział razem z nimi.

Znów położyłem się na łóżku. Przez pierś przebiegł mi spazm, a z oczu znów trysnęły łzy.

Och. Och. Och.

Już wkrótce przyjdzie. Wiedziałem o tym.

Przyjdzie wkrótce.

Zatkałem uszy rękami i zamknąłem oczy, próbując udawać, że nic nie istnieje. Tylko ta ciemność i ten oddech.

Ale po chwili pokonała mnie bezbronność i zrobiłem coś odwrotnego, udknąłem w łóżku i wyjrzałem przez okno, patrzyłem na powódź światła zalewającego ziemię, na rozpalone dachówki i migoczące szyby.

Drzwi na dole otworzyły się i zatrzasnęły.

W panice rozejrzałem się dookoła. Wstałem, przyciągnąłem krzesło do biurka, usiadłem. Na schodach rozległy się kroki. Ciężkie. To był on.

Nie mogłem siedzieć odwrócony plecami do drzwi, dlatego przeniosłem się na brzeg łóżka.

Otworzył drzwi mocnym szarpnięciem. Zrobił krok do środka. Spojrzał na mnie.

Oczy miał zwężone, wargi zaciśnięte.

– Co robisz, chłopcze? – spytał.

– Nic. – Spuściłem wzrok

– Patrz na mnie, kiedy do mnie mówisz!

Popatrzyłem na niego. Ale długo taknie wytrzymałem, znów odwróciłem oczy.

– Głuchy jesteś? Patrz na mnie!

Znów popatrzyłem na niego. Ale jego wzroku nie mogłem znieść.

Zrobił trzy szybkie kroki i złapał mnie za ucho, wykręcił je, jednocześnie ciągnąc mnie całego do góry.

– Co mówiłem o włączaniu telewizora? – spytał.

Zaszlochałem, nie byłem w stanie odpowiedzieć.

– Co mówiłem? – Wykręcił mi ucho jeszcze bardziej.

– Że ja... ja mam... tego nie robić – wyjąkałem.

Puścił moje ucho, złapał mnie za ramiona i potrząsnął.

– S p ó j r z n a m n i e! – krzyknął.

Uniosłem głowę, łzy prawie całkiem zacierały mi jego obraz.

Zacisnął palce jeszcze mocniej.

– Nie mówiłem, że masz się trzymać z daleka od telewizora? Nie mówiłem? Teraz będziemy musieli kupić nowy, a skąd weźmiemy na to pieniądze? Możesz mi odpowiedzieć?

– Nieeee – szlochałem.

Rzucił mnie na łóżko.

– Zostaniesz w swoim pokoju, dopóki nie pozwolę ci wyjść. Jasne?

– Tak

– Masz areszt domowy dziś wieczorem i jutro.

– Tak

Wyszedł. Szlochanie nie pozwoliło mi usłyszeć, dokąd się skierował. Mój oddech był przerywany, jakbym podskakiwał, jakbym wchodził po schodach. Pierś mi drżała, ręce się trzęsły. Leżałem i płakałem pewnie przez dwadzieścia minut, potem zacząłem się uspokajać. Znów uklęknąłem na łóżku i wyjrzałem przez okno. Nogi ciągle mi się trzęsły, ręce też, ale napięcie powoli mijało, miałem takie wrażenie, jakbym po burzy wszedł do zacisznego pokoju.

Z okna miałem widok na dom państwa Prestbakmo i całą frontową część ich ogrodu, graniczącą z naszym ogrodem, a także z domem i frontową częścią ogrodu Gustavsenów, kawałek z domem Karlsenów i kawałek z domem Christensenów na szczycie. Drogę widziałem aż do statywu ze skrzynkami pocztowymi. Słońce, które po południu jakby nabierało pełni, wisiało na niebie nad drzewami rosnącymi na szczycie wzgórza. Powietrze zupełnie znieruchomiało, żadne drzewo ani krzew się nie poruszały. Ludzie nigdy nie przesiadywali

w ogrodach od frontu, to by przypominało „siedzenie na wystawie”, jak tata często mówił o eksponowaniu się na widok wszystkich. W całym sąsiedztwie meble ogrodowe i grille stały w ogrodach na tyłach domów.

Nagle coś się wydarzyło. Z domu Karlsenów wyszedł Kent Arne. Widziałem tylko jego głowę ponad zaparkowanym samochodem, jego wprost jaskrawobiałe włosy sunęły jak kukułka w teatrze lalkowym. Na kilka sekund całkiem zniknął mi z oczu, potem znów się pojawił, już na rowerze, mocno naciskał pedały, hamował drobnymi szarpnięciami, w końcu wyjechał na drogę i nieźle się rozpędził, nim wreszcie gwałtownie zahamował i skręcił przed dom Gustavsenów. Dwa lata wcześniej stracił ojca, marynarza, ledwie go pamiętałem, właściwie zachowałem tylko jedno związane z nim wspomnienie: schodziliśmy kiedyś razem ze zbroza; chwycił mroź i świeciło słońce, ale było beznamiętne. W rękę trzymałem moje małe pomarańczowe łyżwy z trzema ostrzami i rzemień, który mi mocowało się je do butów, musieliśmy się więc wybierać na jezioro Tjenna. Pamiętam też, jak dowiedziałem się o jego śmierci. Leif Tore stał przy wysokim krawężniku oddzielającym od siebie dwie drogi, tuż przed naszym domem, i powiedział, że ojciec Kenta Arnego nie żyje. Kiedy to mówił, patrzyliśmy na ich dom. Ojciec Kenta Arnego próbował wyciągnąć kogoś z jakiegoś zbiornika, który czyszczono, pełno w nim było gazu i ten ktoś stracił przytomność, a potem to samo spotkało jego. W obecności Kenta Arnego nigdy nie rozmawialiśmy o jego ojcu, ani też o śmierci. Wprowadził się do nich nowy mężczyzna, o dziwo, również nosił nazwisko Karlsen.

Jeśli Dag Lothar miał wśród nas numer jeden, to Kent Arne miał numer dwa, chociaż był o rok młodszy od nas, a o dwa lata od Daga Lothara. Leif Tore miał numer trzy, Geir Håkon numer cztery, Trond numer pięć, Geir numer sześć, a ja numer siedem.

– Leif Tore, wyjdiesz? – zawołał Kent Arne przed domem Gustavsenów. Chwilę później pojawił się Leif Tore, ubrany tylko w dżinsowe szorty i adidasy, wsiadł na rower Rolfa, zjechali ze wzgórza i zniknęli mi z oczu. Kot państwa Prestbakmo dalej leżał nieruchomo na płaskim fragmencie skały między działką Gustavsenów i Hansenów.

Znów położyłem się na łóżku. Przejrzałem kilka komiksów, wstałem, przyłożyłem ucho do drzwi, żeby się dowiedzieć, czy za nimi coś się dzieje, ale nie dotarł do mnie żaden dźwięk. Oni wciąż siedzieli na dworze. Z uwagi na obecność dziadków raczej niemożliwe było, żebym nie dostał kolacji. A jeśli jednak?

Pół godziny później usłyszałem kroki na schodach. Ktoś wszedł do łazienki, przylegającej do mojego pokoju. To nie był tata, poznałem to po krokach, lżejszych niż jego. Ale czy to była mama, babcia czy dziadek nie potrafiłem stwierdzić; ponieważ jednak po szumie wody spuszczonej w toalecie rozległo się mocne dudnienie w rurach od ciepłej wody, mogli je wywołać tylko babcia albo dziadek.

Zgłodniałem już na poważnie.

Cienie padające na ziemię wydłużyły się i zniekształciły tak, że prawie nie wykazywały już podobieństwa do form, które je zrodziły. Jakby rosły same z siebie, jakby istniała równoległa rzeczywistość mroku, z mrocznymi płotami, mrocznymi drzewami, mrocznymi domami, zamieszkała przez mrocznych ludzi, będących jakby rozbitkami tu, w świetle, i sprawiających wrażenie równie kalekich i bezradnych w oderwaniu od swojego żywiołu, jak by były szkielety z jego

wodorostami, muszlami i krabami, gdyby opuściła go woda. Czy nie dlatego cienie wydłużają się wieczorem? Wyciągają się ku nocy, ku przyplývowi ciemności, która zalewa ziemię i przez kilka godzin spełnia najskrytsze tęsknoty cieni.

Spojrzałem na zegarek. Dziesięć po dziewiątej. Za dwadzieścia minut pora iść spać.

W popołudniowym areście domowym najgorszy był załaz wychodzenia na dwór; stało się w oknie i patrzyło na wszystkich innych, którzy się bawili. Wieczorem najgorszy był brak wyraźnej granicy rozdzielającej różne fazy, z których składał się zwykły wieczór. Gdy miałem arest domowy, posiedziawszy w samotności przez pewien czas, po prostu zdejmowałem ubranie i kładłem się do łóżka. Różnica między tymi dwoma stanami, w normalnej sytuacji przecież duża, podczas arestu domowego niemal całkiem się zacierała, przez co zaczynałem sobie uświadczać samego siebie w sposób kiedy indziej mi obcy. Miałem wrażenie, że ta osoba, którą byłem, p o d spodem tego, co robiłem, na przykład jedzenia kolacji, mycia zębów, mycia twarzy, wkładania piżamy, nie tylko wylaniała się na powierzchnię, lecz również w całości mnie wypełniała, ponieważ nagle nie zostawało mi nic innego. Byłem dokładnie taki sam, kiedy siedziałem na łóżku w ubraniu, jak gdy leżałem w nim bez ubrania. Właściwie nie istniały żadne granice ani fazy przejściowe.

To poczucie mi dokuczało.

Podeszedłem do drzwi i znów przyłożyłem do nich ucho. Początkowo panowała cisza, później usłyszałem jakieś glosy, potem znów zrobiło się cicho. Trochę popłakałem, w końcu zdjąłem T-shirt i szorty i położyłem się do łóżka, z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Słońce ciągle świeciło na przeciwległą ścianę. Przeczytałem kilka komiksów, odłożyłem je na podłogę i zamknąłem oczy. Przed zaśnięciem pomyślałem jeszcze, że to nie była moja wina.

Obudziłem się, spojrzałem na zegarek. Dwa świecące węże pokazywały dziesięć minut po drugiej. Przez chwilę leżałem całkiem nieruchomo, próbując stwierdzić, co mnie obudziło. Oprócz własnego pulsu cicho szepczącego mi do ucha, dookoła panowała cisza. Żaden samochód nie przejeżdżał po drogach, żadna łódka nie płynęła po cieśninie, żaden samolot nie przelatywał po niebie. Żadnych kroków, żadnych głosów, nic. Żadnych odgłosów w domu.

Uniosłem lekko głowę, żeby uszy niczego nie dotykały, wstrzymałem oddech. Po kilku sekundach usłyszałem jakiś dźwięk dobiegający z ogrodu. Dźwięk tak wysoki i przenikliwy, że w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi, ale gdy do mnie dotarł, wydał mi się straszny.

Iiiii-iiii-iiii-iiii. Iiiii-iiii-iiii-iiii.

Ukląknąłem na łóżku, odsunąłem zasłonę i wyjrzałem przez okno. Trawnik zalewało słabe światło: nad domem wisiął księżyc w pełni. Powiew wiatru sprawił, że trawa nagle zdawała się odpływać, biała foliowa torebka zahaczona na końcu żywoplotu załopotowała, a ja pomyślałem, że osoba, która nie wiedziałaby o istnieniu wiatru, pomyślałaby, że torebka porusza się sama z siebie. Poczułem mrowienie w koniuszkach palców u stóp i rąk, jakbym znajdował się na dużej wysokości. Serce w piersi zabiło szybko. Mięśnie brzucha się napięły, przełknąłem ślinę raz i drugi. Noc była czasem duchów i upiórów, czasem człowieka bez głowy i szczerzącego zęby szkieletu. A oddzielała mnie od niej jedynie cienka ściana.

Znów ten odgłos!

Iiii-iiiiiii-iii-iiiiiiiiiiiiiiii-iii-iiiiiiiiii.

Omiotłem wzrokiem szary trawnik Blżej żywoplotu, w odległości jakichś pięciu metrów od niego, dostrzegłem kota państwa Prestbakno. Leżał wyciągnięty w trawie i uderzał w coś łapą. To coś, szara, przypominająca kamień albo kawałek gliny grudka, zostało odrzucone o kilka metrów bliżej okna. Kot się podniósł i ruszył za tym czymś. Szara grudka leżała nieruchomo w trawie. Kot ostrożnie szturchnął ją kilka razy łapą, potem spuścił łepkę i jakby pchnął ją nosem, po czym otworzył pysk i wziął ją w zęby. Kiedy znów rozległ się pisk, zrozumiałem, że to mysz. Kot sprawiał wrażenie zdezorientowanego tym nagłym dźwiękiem, w każdym razie poruszył głowę i odrzucił mysz dalej. Tym razem nie zniechęcił się, tylko co sił w nogach popędził przez trawnik. Kot stał nieruchomo i śledził ją wzrokiem. Wyglądało już niemal na to, że puści ją wolno. Nagle jednak, akurat w chwili gdy mysz dotarła do rabaty przy płocie od strony ogrodu Prestbakno, ruszył za nią. Trzy skoki i znów ją złapał.

W pokoju obok rozległ się nagle głos taty. Cichy i mamroczący, trochę jakby bez początku ani końca, jak na ogół brzmiał, kiedy tata mówił przez sen. Chwilę później ktoś tam wstał z łóżka. Po lekkości kroków poznałem, że to mama. Na trawniku kot zaczął podskakiwać. Wyglądało to jak taniec. W kolejnym podmuchu wiatru trawa znów zafalowała. Podniosłem oczy na sosnę i zobaczyłem, że jej delikatne gałęzie kołyszą się, czarne na tle żółtego, aż ciężkiego księżycy. Mama otworzyła drzwi do łazienki. Kiedy usłyszałem, że opuszcza deskę sedesową, przycisnąłem dłonie do uszu i zacząłem coś nucić. Dźwięki, które w takich chwilach z siebie wydawała, przypominające syk, trochę jakby wypuszczała parę, zaliczały się do najgorszych, jakie znałem. Od głośnego plusku taty również starałem się odgradzać, chociaż nie był on równie nieznośny jak syki mamy. Aaaaaaaaaaaaaaaaaa, powtarzałem teraz, jednocześnie licząc powoli do dziesięciu i nie spuszczać z oczu kota. Pozornie znużony zabawą, chwycił mysz w pysk, przesłizgnął się przez żywoplot, przeszedł przez drogę na podjazd Gustavsenów i tam położył ją na ziemi przed przyczepą kempingową. Przez chwilę stał i na nią patrzył. Mysz leżała tak nieruchomo, jak tylko może leżeć żywe stworzenie. Kot wskoczył na murek i niczym po równoważni przeszedł w stronę zegara słonecznego w kształcie ziemskiego globu, wieńczącego słupek. Opuściłem ręce i przestałem nucić. W łazience szumiał rezerwuar. Kot gwałtownie się odwrócił i spojrzał na mysz, która wciąż leżała nieruchomo. Strumień wody z kranu plusnął o porcelanę umywalki. Kot zeskoczył z murku, wszedł na drogę i ułożył się w pozycji niewielkiego lwa. Akurat w momencie kiedy mama nacisnęła kławkę i otworzyła drzwi, przez ciało myszy przebiegło drżenie, jakby ten dźwięk wywołał w niej jakiś impuls, i moment później podjęła kolejną desperacką próbę ucieczki przed kotem, który najwyraźniej również wziął pod uwagę taką ewentualność, gdyż potrzebował zaledwie ułamka sekundy na przestawienie się z trybu odpoczynku w tryb polowania. Ale tym razem się spóźnił. Jasna płyta eternitu rzucona na trawnik stała się ratunkiem dla myszy, której udało się pod nią wcisnąć na sekundę albo dwie, zanim dopadł ją kot.

Szybkie ruchy zwierząt jakby dalej trwały we mnie; jeszcze długo po powrocie do łóżka serce waliło mi w piersi. Może dlatego, że samo było zwierzątkiem? Po pewnym czasie znów zmieniłem pozycję, przełożyłem poduszkę w nogi i lekko odciągnąłem zasłonę, żeby móc na leżąco patrzeć w niebo obsypane gwiazdami przy pominającym mi ziarnka piasku, jak plaża, o której niewidzialny dla nas brzeg uderzały fale.

Ale co właściwie istniało poza przestrzenią kosmiczną?

Dag Lothar twierdził, że tam nie ma nic. Geir mówił, że tam płonie ogień. Ja też tak uważałem. Skojarzenie z morzem brało się raczej stąd, że rozgwieżdżone niebo wyglądało tak, jak wyglądało.

W sypialni rodziców znów zapanowała cisza. Zaciągnąłem zasłony i zamknąłem oczy. Powoli wypełniały mnie panujące w domu cisza i mrok, wkrótce spałem już głęboko.

Kiedy wstałem następnego dnia rano, babcia i dziadek siedzieli razem z mamą w salonie i pili kawę. Tata szedł przez trawnik ze zraszaczem w ręku. Wbił go na samym skraju, tak by cienkie strużki wody, przypominające machającą dłoń, padały nie tylko na trawę, lecz również na ogródek warzywny poniżej. Promienie słońca, wiszącego teraz po drugiej stronie domu, nad lasem na wschodzie, rozświetlały ogród. Powietrze wydawało się tak samo nieruchome jak poprzedniego dnia. Niebo było zamglone, jak niemal zawsze rano. Yngve siedział w kuchni przy nakrytym stole i jadł śniadanie. Białe jajka w brązowych kieliszkach przypomniały mi, że jest niedziela. Usiadłem na swoim miejscu.

– Co się stało wczoraj? – spytał Yngve cicho. – Dlaczego miałeś areszt domowy?

– Zepsułem telewizor.

Spojrzał na mnie pytająco. Ręka trzymająca kanapkę zatrzymała się tuż przy ustach.

– Tylko go włączyłem babci i dziadkowi, a on tak pufnął i już. Nic ci nie mówili?

Yngve ugryzł duży kawałek kanapki z serem kninkowym i pokręcił głową. Uderzyłem nożem w czubek jajka, odciąłem go jak pokrywkę, łyżeczką wybrałem z niego miękkie białko, sięgnąłem po solniczkę i postukałem w nią palcem wskazującym, żeby wypadło tylko kilka ziarenek soli. Posmarowałem kromkę chleba margaryną, nalałem mleka do szklanki. Na dole tata otworzył drzwi. Zjadłem ten kawałek białka i zagłębiłem łyżeczkę w żółtko, żeby sprawdzić, czy jest ugotowane na twardo, czy na miękko.

– Dzisiaj też mam areszt domowy – powiedziałem.

– C a ł y dzień? Czy tylko wieczorem?

Wzruszyłem ramionami. Jajko było na twardo. Żółtko kruszyło się o krawędź łyżeczki.

– Chyba cały dzień – odparłem.

Pusta droga za oknem lśniła w słońcu. Ale rów pod gęstymi gałęziami świerków był ciemny, zacieniony.

Ze wzgórza zjechał rower. Chłopak, który na nim siedział, mógł mieć piętnaście lat. Jedną ręką ścisnął kierownicę, drugą przytrzymał czerwony kanister na benzynę przywiązany do bagażnika. Miał czarne włosy, powiewały na wietrze.

Na schodach rozległy się kroki taty. Wyprostowałem się na krześle, szybko omiotłem wzrokiem stół, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Kilka okruszków żółtka wypadło poza kieliszek, szybko zgarnąłem je ze stołu na podstawioną dłoń i przesypałem na talerzyk. Yngve w przyśnięciem krzesła do stołu i wyprostowaniem się czekał prawie do chwili, kiedy będzie za późno, ale tylko prawie, bo gdy tata stanął w drzwiach, już siedział prosty jak struna, ze stopami mocno wbity mi w podłogę.

– Spakujcie swoje rzeczy do kąpieli, chłopcy – powiedział tata. – Przejedziemy się do Hove.

Już miałem spytać: „ja też?“, ale się powstrzymałem, bo mogło się zdarzyć, że mój szlaban wyleciał mu z głowy, a takie pytanie tylko by mu o tym przypomniało. Również jeśli pamiętał, ale zmienił decyzję, lepiej było o tym nie mówić, ponieważ mógł to odebrać jako zarzucenie mu błędu, a nie chciałem, żeby tak myślał. Przyniosłem więc bez słowa swoje kąpielówki i ręcznik ze sznurka w piwnicy, włożyłem je do reklamówki razem z maską do nurkowania, która mogłaby się przydać, gdybyśmy jechali na jedną z dwóch plaż na Hove, i usiadłem w pokoju, żeby czekać na wyjazd.

Kiedy pół godziny później dotarliśmy na wybrzeże od strony otwartego morza, w ten, być może, najładniejszy dzień w całym roku, nieruchome morze prawie nie wydawało żadnego dźwięku i dlatego całe otoczenie, już wcześniej milczące skały i już wcześniej milczący las, nabrało odcienia nierzeczywistości; każdy krok na skale, każde brzęknięcie butelek brzmiało jakby pierwszy raz, a słońce płonące na niebie w zenicie wydawało się czymś głęboko prymitywnym i obcym w swej istocie; w ten dzień, kiedy można było zobaczyć, jak morze zagina się i znika daleko za horyzontem, jak niebo ze swoim jasnym, pastelowym, nieco zamglonym błękitem unosi się nad nim takie lekkie, w ten dzień my wszyscy, Yngve i ja, mama i tata, przebraliśmy się w stroje kąpielowe i każde z nas na swój sposób pozwoliło, by ciepła woda otoczyła rozgrzane słońcem ciało, natomiast babcia i dziadek siedzieli w swoich najlepszych ubraniach, jakby w ogóle nie reagując na otoczenie i to co się działo wokół, jakby owe elementy z lat pięćdziesiątych i z Vestlandet charakteryzowały moich dziadków nie tylko powierzchownie, przejawiając się w stroju, w manierach i w dialekcie, a więc w czymś, co przyszło z zewnątrz, lecz przeciwnie, pochodziło ze środka, z głębi ich duszy, z wnętrza ich osobowości. Tak dziwnie wyglądali, kiedy siedzieli na wygładzonych przez morze skałach, mrużąc oczy w ostrym świetle, które atakowało ze wszystkich stron, tak bardzo obcy się wtedy wydawali.

Następnego dnia wyjechali do domu. Tata odwiózł ich na lotnisko Kjevik i przy okazji postanowił odwiedzić swoich rodziców, a mama zabrała mnie i Yngvego na wycieczkę nad Gjerstadvannet; mieliśmy się tam kąpać, jeść herbatniki i miło spędzać czas, ale mama, po pierwsze, nie znalazła drogi nad jezioro, musieliśmy więc iść dość daleko przez las pełen zarośli, po drugie, ta część jeziora, do której dotarliśmy, okazała się zielona od alg, a skały lepkie i śliskie, a po trzecie, ledwie zdążyliśmy odstawić lodówkę turystyczną i koszyk z herbatnikami i pomarańczami, zaczęła padać deszcz.

Żał mi było mamy, chciała nas zabrać na taką fajną wycieczkę, ale jej nie wyszło. Nie było jednak żadnego sposobu, żeby jej to przekazać. Raczej należało o tym jak najszybciej zapomnieć. I nie było to ani trochę trudne, tyle niezwykłych wydarzeń czekało nas w najbliższych tygodniach. Wkrótce bowiem miałem zacząć chodzić do szkoły, a z tym wiązała się konieczność zaopatrzenia mnie w masę rzeczy, które miały należeć tylko do mnie. Przede wszystkim tornister, po który pojechałem razem z mamą do miasta w następną sobotę przed południem. Miał ostre kandy, niebieski materiał na zewnątrz aż błyszczał, rzemienie były białe. W środku znajdowały się dwie przegródki, do których natychmiast włożyłem pomarańczowy piórnik, który również dostałem, z ołówkiem, długopisem, gumką do wycierania i temperówką, a także gruby zeszyt z okładką w pomarańczo-brązową kratkę, taki sam jak te, które miał Yngve; oprócz tego dołożyłem kilka komiksów, żeby go wypełnić. Co wieczór, kiedy się kładłem, tornister

stał oparty o nogę biurka, trochę mnie drażniąc, bo wciąż jeszcze pozostawało sporo czasu do dnia, kiedy razem z niemal wszystkimi moimi kolegami miałem pójść do pierwszej klasy. Już spędziliśmy jeden dzień w szkole, na wiosnę, poznaliśmy naszą przyszłą panią, trochę tam posiedzieliśmy i porysowaliśmy, ale tamto to było coś innego, tym razem to już nie miało być udawanie, tylko poważna sprawa. Byli tacy, którzy nienawidzili szkoły, tak prawie wszystkie starsze dzieci mówiły, że nienawidzą do niej chodzić, i w zasadzie my również wiedzieliśmy, że powinniśmy jej nienawidzić, lecz jednocześnie kusiło nas to, co miało się wydarzyć, wiedzieliśmy o tym tak mało i spodziewaliśmy się tak wiele, no i przecież sam fakt pójścia do szkoły przenosił nas z dnia na dzień do tej samej ligi, w której były starsze dzieciaki, za jednym machnięciem różdżki mieliśmy być tacy jak oni; może wtedy będzie nas stać na to, by nienawidzić szkoły, ale nie teraz... Czy rozmawialiśmy o czymś innym? Prawie wcale. Nasza rejonowa szkoła, Roligheden, w której pracowali tata oraz ojciec Geira i do której chodziły wszystkie starsze dzieciaki, nie miała dla nas miejsca, roczniki były zbyt liczne, zbyt wiele osób się tu sprowadziło, mieliśmy więc iść do szkoły położonej po wschodniej stronie wyspy, jakieś pięć, może sześć kilometrów od domu, wraz ze wszystkimi nieznanymi dziećmi z tamtych okolic, i mieliśmy być tam wożeni autobusem. To był ogromny przywilej i wielka przygoda. Codziennie będzie po nas przyjeżdżać autobus!

Dostałem też jasnoniebieskie spodnie, jasnoniebieską kurtkę i granatowe adidas z białymi paskami przy kostce. Wielokrotnie, gdy taty nie było w domu, wkładałem nowe ubranie i paradowałem w nim przed lustrem w korytarzu, czasami również z tornistrem na plecach. Kiedy więc ten dzień wreszcie nadszedł, a ja stanąłem na podjeździe, żeby mama mogła mi zrobić zdjęcie, w brzuchu łaskotały mnie nie tylko napięcie i niepewność, lecz również owo szczególne uczucie, nieomal triumf, który się pojawiał, gdy ubierałem się wyjątkowo odświętnie.

Poprzedniego wieczoru wykąpałem się, mama umyła mi włosy, a gdy się obudziłem rano, powitały mnie cichy, uśpiony dom i słońce, które wciąż jeszcze wspinało się ponad czubki świerków poniżej drogi. Jakaż to była radość: móc wyjąć z szafy nowe ubrania i je włożyć! Na dworze śpiewały ptaki, ciągle trwało lato, za welonem lekkiej mgły niebo było błękitne i ogromne, a we wciąż jeszcze cichych domach po obu stronach drogi już wkrótce miało się zagotować od gorączki przypominającej tę, która panowała w dniu święta narodowego 17 Maja, od niecierpliwości i oczekiwań. Wyjąłem komiksy z tornistra, zarzuciłem go na plecy, wyregulowałem paski i odstawiłem na miejsce. Podciągałem i opuszczałem suwak kurtki, rozważając, czy lepiej wygląda rozpięta, czy zapięta, chociaż wtedy nie widać było T-shirtu pod spodem... Wszedłem do salonu, popatrzyłem przez okno na słońce, żółtoczerwone, rozpalone za zielonymi drzewami, poszedłem do kuchni, niczego nie dotykając, spojrzałem na dom Gustavsenów, w którym wciąż nie było śladu życia. Stanąłem przed lustrem w przedpokoju, znów kilka razy pociągnąłem suwak kurtki w górę i w dół... T-shirt też był taki ładny, szkoda go nie pokazać...

No, ale mogłem teraz wyszczotkować zęby!

Pędem do łazienki, wyjąłem szczoteczkę ze szklanki, lekko zwilżyć ją wodą i wycisnąć trochę białej pasty. Szczotkowałem długo i z zapalem, przeglądając się w lustrze. Odgłos szczoteczki szorującej zęby zdawał się wypełniać mi głowę od środka, dlatego nie zorientowałem się, że tata wstał, dopóki nie otworzył drzwi. Był w samych slipach.

– Myjesz zęby przed śniadaniem? Co to za wygłupy? Natychmiast odłóż szczoteczkę i wracaj do swojego pokoju!

Ledwie zdążyłem dotknąć stopą czerwonej wykładziny w korytarzu, a on już trzasnął drzwiami i zaczął siłać z pluskiem. Klęknąłem na łóżku i popatrzyłem na dom Prestbakmo. Czyżbym w ciemności kuchennego okna dostrzegł dwie głowy? Tak, tak musiało być. Już się szykowali. Gdybym miał krótkofalówkę, mógłbym porozmawiać z Geirem! Byłoby idealnie!

Tata z łazienki przeszedł do sypialni. Usłyszałem jego głos, a potem głos mamy. A więc już nie spała!

Zostałem w pokoju, dopóki nie wstała i nie ruszyła do kuchni, po której już od pewnego czasu kręcił się tata. Osłonięty jej plecami, usiadłem na swoim miejscu. Już wcześniej kupili kornfleksy, których prawie nigdy nie jedliśmy. Kiedy postawiła przede mną głęboki talerz i dała mi łyżkę, a ja polełem mlekiem płatki, złociste, lekko perforowane, o dość nierównych kształtach, stwierdziłem, że najlepsze są kruche, a więc zanim nasiąkną mlekiem. Ale kiedy jadłem je już przez chwilę i zaczęły mięknąć, nabierając smaku własnego i smaku mleka, a na dodatek jeszcze cukru, którego sporą ilością je posypałem, zmieniłem zdanie, to takie były najlepsze.

A może nie?

Tata wyszedł do salonu z filiżanką w rękę, zwykle nie jadł śniadania, tylko siadał z papierosem i pił kawę. Zjawił się Yngve, bez słowa usiadł na krześle, nasypał do talerza kornfleksów, nalał mleka, posłodził cukrem i zaczął szuflować.

– Cieszy się? – spytał po chwili.

– Trochę – odparłem.

– Nie ma z czego.

– Oczywiście, że jest – wtrąciła się mama. – Ty w każdym razie się cieszyłeś, kiedy szedłeś do szkoły, dobrze pamiętam. A ty pamiętasz?

– Taaak – odparł Yngve. – Właściwie chyba tak.

Jeździł do szkoły rowerem, najczęściej wyruszał chwilę przed wyjazdem taty, chyba że tata musiał jeszcze coś zrobić przed pierwszą lekcją, co czasami się zdarzało. Zabieranie Yngvego samochodem nie wchodziło w rachubę, zdarzało się jedynie w zupełnie wyjątkowe dni, na przykład jeśli w nocy napadało mnóstwo śniegu, bo Yngve nie mógł czerpać żadnych korzyści z tego powodu, że jego ojciec uczył w tej samej szkole.

Po śniadaniu, kiedy oni już wyszli, przez chwilę zostałem z mamą w kuchni. Czytała gazetę, a ja paplałem.

– Mamo, myślisz, że na pierwszej lekcji będziemy pisać? A może raczej będą rachunki? Leif Tore mówi, że będziemy rysować, bo na początku ma być spokojnie, a nie wszyscy umieją czytać, pisać albo liczyć. Właściwie tylko ja umiem. W każdym razie tylko o sobie wiem. Nauczyłem się, kiedy miałem pięć i pół roku. Pamiętasz?

– Czy pamiętam, jak nauczyłeś się czytać? Co masz na myśli? – spytała mama.

– To było wtedy przy dworcu autobusowym. Kiedy przeczytałem tamten napis. „Kawarnia”. Śmiałaś się wtedy, Yngve też. Teraz już wiem, że to się nazywa kawiarnia. Mogę ci przeczytać jakieś tytuły?

Mama kiwnęła głową. Przeczytałem. Trochę się zaciąłem, ale wszystkie słowa brzmiały poprawnie.

– Świetnie sobie poradziłeś – pochwaliła mnie. – Dasz sobie radę w szkole.

Czytając, drapała się w ucho, w ten sposób, w jaki tylko ona to robiła, palcami trzymała za małżowinę i niewiarygodnie szybko je przesuwała w górę i w dół, trochę tak, jak drapie się kot.

Odłożyła gazetę i popatrzyła na mnie.

– Cieszy się?

– Nie powiem, że nie.

Uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po głowie, potem wstała, zaczęła sprzątać ze stołu. Poszedłem do swojego pokoju. Ponieważ to był pierwszy dzień, lekcje zaczynały się dopiero o dziesiątej. Mimo to w końcu zaczęło nam brakować czasu, co mamie często się zdarzało, bo przy takich okazjach bywała dość rozszargana.

Z okna obserwowałem podniecenie ogarniające te domy, z których dzieci zaczynały naukę w szkole, to znaczy w rodzinach Geira, Leifa Torego, Tronda, Geira Håkona i Marianne, przyczesywano włosy, poprawiano sukienki i koszule, robiono zdjęcia. Kiedy i ja stanąłem do fotografii, uśmiechając się do mamy i jedną ręką osłaniając oczy od słońca, które zdążyło zawędrować dość wysoko ponad czubki świerków, wszyscy dawno wyjechali. Wyruszyliśmy jako ostatni i już byliśmy spóźnieni, więc mama, która na tę okazję zwolniła się z pracy, zaczęła mnie pospieszać, otworzyłem drzwi zielonego volkswagena, przesunąłem siedzenie do przodu i usiadłem z tyłu, a ona w tym czasie wyjęła kluczyk z torebki i włożyła go do stacyjki. Zapaliła papierosa, wycofała, zerknąwszy przez ramię, kilka metrów dalej wrzuciła bieg i zaczęła zjeżdżać. Odgłos silnika przypominający charłok odbił się od ściany domu. Przesunąłem się na środek, żeby między przednimi siedzeniami mieć widok na drogę. Dwa białe zbiorniki po drugiej stronie cieśniny, duża wiśnia, czerwony dom Kristena, dalej droga do przystani małych łodzi, którą do tej pory prawie nigdy nie jeździliśmy, a ja w ciągu następnych sześciu lat miałem się na niej zaznajomić z każdą najmniejszą polaną i kamiennym murkiem, aż do niewielkich osad na wschodniej stronie wyspy, zupełnie nieznannej mamie, co trochę ją stresowało.

– To tam trzeba zjechać, Karl Ove? Pamiętasz? – spytała, gasząc papierosa w popielniczkę i jednocześnie patrząc w lusterko.

– Nie pamiętam – odparłem. – Ale wydaje mi się, że tak. To na pewno było po lewej stronie.

W dole zobaczyłem sklep koło przystani, a wokół niego skupisko domów, ale żadnej szkoły. W cieniu budynków morze było ciemnogranatowe, prawie czarne, miało nietkniętą przez upał pełnię koloru, która odróżniała je od niemal wszystkich innych barw krajobrazu, jakby rozrzedzonych po trwającej już kilka tygodni fali upałów. Żółty, brązowy, bladezielony, to były kolory, od których tak wyraźnie odcinał się chłodny ciemny granat powierzchni morza.

Mama wjechała teraz na szutrówkę. Za nami zawirował kurz. Kiedy droga się zwięzła i wyglądała na to, że już nic istotniejszego wokół niej się nie zdarzy, mama zawróciła. Po drugiej stronie wzdłuż wody biegła kolejna droga, którą postanowiła wypróbować, ale i ta nie prowadziła do żadnej szkoły.

– Spóźnimy się? – spytałem.

– Możliwe. Że też nie wzięłam mapy!

– A nie byłeś tam wcześniej?

– Byłam, ale nie mam takiej dobrej pamięci jak ty.

Wjechaliśmy na wzgórze, z którego dziesięć minut wcześniej zjechaliśmy, skręciliśmy na główną szosę tuż obok jakiejś kaplicy. Przy każdym drogowskazie i skrzyżowaniu mama zwalniała i wychylała się do przodu.

– To tam, mamo! – zawołałem nagle, pokazując palcem. Szkoły ciągle jeszcze nie było widać, ale pamiętałem zieloną równinę po prawej stronie, a szkoła stała na szczycie łagodnie wznoszącego się wzgórza. Wzdłuż budynku biegła wąska szutrowa droga, przy której parkowało mnóstwo samochodów, a kiedy mama na nią wjechała, zdążyłem zauważyć tłum ludzi na szkolnym dziedzińcu i jakiegoś gestykulującego mężczyznę stojącego na niewielkim pagórku koło masztu z flagą. Wszyscy na niego patrzyli.

– Musimy się pospieszyć! – powiedziałem. – Już się zaczęło! Mamo, już się zaczęło!

– Wiem, wiem – odparła mama. – Trzeba tylko jeszcze znaleźć miejsce do zaparkowania. Może tam. Tak

Dojechaliśmy aż do dużego, starego białego budynku, w którym mieściła się sala do robót ręcznych połączona z salą gimnastyczną, i przed nim, na wyasfaltowanym placu, mama zostawiła samochód. Nie byliśmy obeznani z tym miejscem, więc zamiast iść do końca drogi i dalej na skróty przez boisko, ruszyliśmy na szkolny dziedziniec w drugą stronę, naokoło. Mama podbiegała, ciągnąc mnie za rękę. Tornister tak przyjemnie uderzał mnie w plecy. Każdy jego podskok przypominał mi, że mam go na plecach, taki nowy i błyszczący, a w ślad za tym pojawiała się myśl o jasnoniebieskich spodniach, jasnoniebieskiej kurtce i granatowych butach.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na dziedziniec, tłum już ruszył w stronę niskiego budynku szkoły.

– Zdaje się, że przepadła nam ceremonia powitalna – stwierdziła mama.

– Nic nie szkodzi. Chodź!

Dostrzegłem Geira i jego matkę, pociągnąłem mamę w ich stronę. Obie matki przywitały się z uśmiechem i ruszyliśmy po schodach na górę w gromadzie rodziców i dzieci. Tornister Geira był identyczny jak mój, takie same mieli zresztą prawie wszyscy chłopcy. Dziewczynki natomiast miały bardzo różne tornistry, o ile zdążyłem się tak na szybko zorientować.

– Dokąd idziemy, wiesz? – spytała mama Marthę, matkę Geira.

– Nie, nie wiem. – Martha się roześmiała. – Idziemy za ich panią.

Popatrzyłem w stronę, którą wskazała ruchem głowy. I rzeczywiście, była tam Pani. Zatrzymała się przy schodach, żeby uczniowie z jej klasy tam dotarli, więc Geir i ja wbiegliśmy na górę wśród wszystkich tych ludzi i popędziliśmy korytarzem aż do końca. Pani jednak stanęła przy drzwiach tuż koło schodów, więc w efekcie nie byliśmy pierwsi, jak zamierzaliśmy, tylko prawie ostatni.

Klasa zapełniła się odświętnie ubranymi dziećmi i ich matkami. Z okien roztaczał się widok na wąską łąkę, za którą rósł gęsty las. Pani stanęła za katedrą ustawioną na niewielkim podwyższeniu, na tablicy był różowy napis: „WITAMY KLASĘ IB”, otoczony szlaczkiem z kwiatków. Na ścianie nad katedrą wisiała mapa, a także rozmaite plansze.

– Dzień dobry wszystkim – odezwała się Pani. – Witajcie w szkole Sandnes! Nazywam się Helga Torgersen i będę waszą wychowawczynią. Bardzo się z tego cieszę, naprawdę! Będziemy się tu świetnie bawić. I wiecie co? Nie tylko wy jesteście dzisiaj nowi w szkole. Ja też jestem nowa. Jesteście moją pierwszą klasą!

Rozejrzałem się. Dorośli się uśmiechali. Prawie wszystkie dzieciaki rozglądały się i zerkwały na siebie. Znałem tu Geira Håkona, Tronda, Geira, Leifa Torego i Marianne. I tego chłopaka, który rzucał w nas kamieniami, tego od straszego psa. Innych dzieci nigdy wcześniej nie widziałem.

– Sprawdźmy teraz listę obecności – oznajmiła Pani. – Czy ktoś wie, co to jest lista obecności? Nikt nie odpowiedział.

– Pani będzie wyczytywać imię, a ten, kogo wywoła, będzie się zgłaszał – powiedziałem.

Teraz prawie wszyscy popatrzyli na mnie. Uśmiechnąłem się szeroko, odsłaniając wystające zęby.

– Masz rację – potwierdziła Pani. – Zaczniemy od A, bo to pierwsza litera alfabetu. Ale o tym będziecie się uczyć później. Zaczynamy od A. Anne Lisbet!

– Jestem – rozległ się dziewczęcy głos i wszyscy odwrócili się w jego stronę, ja także.

Zgłosiła się chuda dziewczynka z czarnymi, błyszczącymi włosami. Wyglądała prawie jak Indianka.

– Asgeir? – kontynuowała Pani.

– Jestem – odpowiedział długowłosego chłopiec z dużymi zębami.

Po odczytaniu listy usiedliśmy w swoich ławkach, a rodzice zostali przy ścianie. Pani każdemu z nas wręczyła flet prosty, elementarz i zeszyt, gotowy plan lekcji, a oprócz tego skarbonkę i broszurkę z obrazkiem żółtej mrówki od miejscowego banku oszczędnościowego. Potem opowiedziała nam trochę o tym, co będzie się działo jesienią, w tym o kursie pływania na basenie w szkole po drugiej stronie cieśniny, ponieważ na Tromøi nie było ani jednej pływalni. Rozdała odbite na ksero kartki z formularzem, który należało wypełnić i oddać, jeżeli ktoś był zainteresowany kursem. Później trochę porysowaliśmy – rodzice ciągle stali i patrzyli, a potem był już koniec. Dopiero następnego dnia szkoła miała się zacząć na poważnie, dopiero następnego dnia mieliśmy sami pojechać autobusem i spędzić w szkole trzy godziny bez wsparcia rodziców.

Po wyjściu z klasy ciągle byłem podniecony wszystkim tym nowym i obcym, a to uczucie nie opuszczało mnie nawet wtedy, gdy cała moja klasa wsiadła do samochodów z rodzicami – oprócz tego pierwszego dnia szkoły jedynie w święto narodowe 17 Maja jazda samochodami odbywała się synchronicznie na taką skalę, tyle dzieci jednocześnie wyjeżdżało z jednego miejsca. Ale kiedy wyruszyliśmy w powrotną drogę do domu, powoli zaczęło mnie ogarniać rozczarowanie, a im bliżej domu byliśmy, tym bardziej robiło mi się przykro.

Przecież nic się nie wydarzyło.

Potrafiłem już czytać i pisać, więc miałem nadzieję, że już pierwszego dnia trafi mi się okazja, żeby to pokazać. Przynajmniej trochę! I tak się cieszyłem na przerwy, na dzwonek obwieszczający początek i koniec lekcji. Na korzystanie z nowego piórnika i przegródek w nowym tornistrze.

Nie, ten dzień nie sprostął moim oczekiwaniom, a ubranie, w którym tak ślicznie wyglądałem, musiałem zdjąć i odwiesić w szafie, gdzie miało czekać na inne uroczystości. Chwilę posiedziałem na kuchennym taborecie, rozmawiając z mamą, która szykowała obiad; rzadko mi się zdarzało mieć ją tylko dla siebie wczesnym popołudniem, a tego dnia towarzyszyła mi w najważniejszych chwilach, dlatego wykorzystywałem ten czas na tyle, na ile się dało, i nieprzerwanie gadałem.

– Powinniśmy mieć kota, z którym mógłbym się bawić – oświadczyłem. – Nie możemy?

– Byłoby miło – odparła mama. – Lubię koty. To dobrzy towarzysze.

– Znaczy, że to tata ich nie lubi?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że po prostu go to nie interesuje. No i może myśli, że kot to kłopot.

– Ale ja się mogę nim zajmować, to żaden problem.

– Wiem – powiedziała mama. – Zobaczmy.

– Zobaczmy, zobaczymy – powtórzyłem. – Ale gdyby Yngve chciał mieć kota, to byłoby nas już troje.

Mama się roześmiała.

– To nie jest takie proste – stwierdziła. – Musisz się uzbroić w cierpliwość. Kto wie.

Położyła obraną marchewkę na desce i zaczęła ją kroić, potem podniosła deskę i wszystko wrzuciła do dużego garnka, gdzie już pływały spore kości i kawałki mięsa. Przez dziurki w pomarańczowej zasłonce, którą mama zrobiła szydełkiem, widziałem, że na drodze jest pusto jak prawie zawsze w środku dnia.

Nagle rozniósł się ostry zapach cebuli, więc odwróciłem się do mamy, która z oczami pełnymi łez obierała główkę, trzymając ją w wyciągniętych rękach.

Gdy znów wyjrzałem przez okno, zobaczyłem biegnącego Geira, on też już się przebrał w zwykłe ubranie. Sekundę później przez półotwarte okno dotarł chrzest jego kroków, gdy pędził po zwirze na podjeździe.

– Karl Ove, wyjdiesz? – zawołał.

– Wyjdę na trochę – powiedziałem do mamy i zsunąłem się z krzesła.

– Dobrze, a dokąd się wybieracie?

– Nie wiem.

– Tylko nie zapuszczajcie się za daleko.

– Nie, nie – odpowiedziałem i szybko zbiegłem na dół, otworzyłem drzwi, żeby Geir nie pomyślał, że dom jest pusty, i nie odszedł, rzuciłem mu „cześć” i włożyłem adidasy.

– Mam pudełko zapalek – powiedział cicho i poklepał się po kieszeni szortów.

– O rany – odparłem równie cicho. – Skąd je wzięłeś?

– Z domu. Leżały w salonie.

– Zwinąłeś?

Kiwnął głową.

Wyprostowałem się, wyszedłem i zamknąłem drzwi.

– Musimy coś podpalić – powiedziałem.

– No właśnie.

– A co?

– Wszystko jedno. Coś znajdziemy. Pudełko jest pełne, możemy podpalić dużo różnych rzeczy.

– Ale musimy iść tam, skąd nie będzie widać dymu. Może na Górę?

– Możemy.

– No i musimy mieć coś do gaszenia – dodałem. – Zaczekaj chwilę, przyniosę butelkę wody.

Znów otworzyłem drzwi, zrzuciłem buty i wszedłem po schodach na górę do mamy, która odwróciła się na mój widok.

– Idziemy na wycieczkę – oznajmiłem. – Potrzebuję butelki wody.

– A nie wolałbyś soku? Mogę ci przygotować. Przecież ciągle jest twój pierwszy dzień szkoły.

Zawahałem się. To musiała być woda. Ale upieranie się przy wodzie mogło wzbudzić w mamie podejrzenia, bo zawsze wolałem sok, dlatego popatrzyłem na nią i powiedziałem:

– Nie, Geir ma wodę, więc chcę mieć to samo.

Gdy to mówiłem, serce mocniej zabiło mi w piersi.

– Jak sobie życzysz.

Z szafki pod zlewem wyjęła pustą butelkę po soku, z ciemnozielonego, prawie nieprzeźroczystego szkła, napełniła ją wodą, zakręciła i mi wręczyła.

– Chcesz jakieś kanapki?

Zastanowiłem się.

– Nie – odparłem. – A może tak Dwie z paszтетem.

Kiedy wyjęła chleb i zaczęła go kroić, otworzyłem szerzej okno i zawołałem:

– Zaraz przyjdę!

Geir spojrział na mnie z powagą i kiwnął głową.

Kiedy mama już zrobiła mi kanapki i zawięła je w papier śniadaniowy, włożyłem je razem z butelką do reklamówki i pobiegłem do Geira. Wkrótce wspinaliśmy się pod górę. W upale krawędź drogi zmiękła i trochę się kruszyła. Tam gdzie jeździły samochody, była twardsza. Czasami kładliśmy się na asfalcie jak koty, by przypiekać się w bijącym od niego gorącu. Ale teraz mieliśmy co innego do roboty.

– Pokażesz mi? – spytałem.

Geir się zatrzymał i wyjął pudełko z kieszeni. Wziąłem je od niego i kilka razy nim potrząsałem. Rzeczywiście było pełne, otworzyłem je. Wszystkie zapalki miały czerwone główki.

Podpalić coś, podpalić.

– Przecież ono jest nietknięte. – Oddałem mu pudełko. – Nie zauważą, że zabrałeś?

– Raczej nie, a nawet jeśli się zorientują, to się nie przyznam. Niczego mi nie u d o w o d n i a.

Dotarliśmy już do domu Moldenów i weszliśmy na ścieżkę z suchą i żółtą trawą, miejscami nawet zbżrowsiałą. U Geira to matka była surowa, a ojciec łagodny, u Daga Lothara oboje byli łagodni, ojciec może trochę surowszy. U reszty to ojcowie byli surowi, a matki łagodne. Ale nikt nie był równie surowy jak mój tata, tyle wiedziałem na pewno.

Geir zatrzymał się i nachylił z zapalkami w rękę, wyjął jedną i już miał nią potrzebować o draskę.

– Co robisz? – zawołałem. – Nie tutaj, przecież tu wszyscy zobaczą!

– Wcale nie – prychnął, ale jednak schował zapalkę z powrotem do pudełka i ruszyliśmy dalej.

Na szczycie Góry rozejrzeliśmy się tak jak zwykle. Naliczyłem w cieśninie cztery niewielkie trójkąty, jakaś większa jednostka wiozła na pokładzie coś, co przypominało koparkę. Przy Gjerstadholmen cumowały dwie nieduże łódki.

Podpalić coś, podpalić.

Kiedy weszliśmy w las, cały aż drżałem z podniecenia. Plamki światła słonecznego poruszały się na leśnym podszyciu jak rozedrgane zwierzątka wśród cieni gałęzi. Stanęliśmy za wielkim korzeniem przewróconego drzewa, wyjąłem z torby butelkę z wodą i trzymałem ją w pogotowiu, a Geir nachylił się, zapalił zapalkę i przyłożył małeńki, prawie niewidzialny płomyk do strzępiastego źdźbła rosnącej tam trawy. Zajęło się natychmiast. Podpalił sąsiednie źdźbła. Kiedy płomień miał już szerokość dłoni dorosłego, spryskałem go wodą. Smużka dymu uniosła się w powietrze jakby sama z siebie, niezależna od wydarzeń, które właśnie miały miejsce.

– My ślisz, że ktoś to zobaczy!? – spytał Geir.

– Dym widać z bardzo daleka. Indianie wysyłali sygnały dymne na wiele kilometrów.

– Szybko się spaliło – stwierdził. – Widziałeś?

Uśmiechnął się, pospiesznie przeciągnął palcami przez włosy.

– Widziałem.

– Spróbujemy gdzie indziej?

– Tak, ale teraz to ja chcę podpalić.

– Okej – zgodził się, podał mi zapalnik, już rozglądając się za nowym odpowiednim miejscem.

Geir zawsze się niecierpliwił tuż przed jakimś wydarzeniem i pochłaniało go ono całkowicie, kiedy już w nim uczestniczył. Spośród znanych mi dzieci on najbardziej ulegał wyobraźni. Kiedy się bawiliśmy, na przykład w odkrywców, marynarzy, Indian, kierowców wyścigowych, astronautów, bandytów, przemytników, księżąt, małpy albo w tajnych kurierów, potrafił zaangażować się w zabawę na całe godziny, w przeciwieństwie do choćby Leifa Torego albo Geira Håkona, którym szybko się nudziło i już chcieli robić coś innego, kompletnie niezainteresowani magiczną poświatą wyobraźni dodającą uroku zabawie, poprzestawali na zadowoleniu z samego przedmiotu zabawy, na przykład wraku samochodu stojącego w kępie smukłych wierzb na polanie między placem zabaw a boiskiem; siedzenia wraku, kierownica, drążek skrzyni biegów, pedały, deska rozdzielcza, schowek na rękawiczki i drzwi były nietknięte, często się w nim bawiliśmy, ale dla nich ten wrak był tylko samochodem, wciskali pedały sprzęgła, szarpali za drążek, obracali kierownicą, ustawiali potłuczone boczne lusterka, podskakiwali na siedzeniach, udając szybkość, natomiast Geir dodatkowo dawał się porwać wszystkiemu, co można było jeszcze do tego dodać, na przykład udawaniu, że uciekamy po obrabowaniu banku, a potłuczone szyby, których odłamki ciągle leżały na czarnych gumowych wycieraczkach na podłodze, zostały roztrzaskane przez strzały z broni palnej; wtedy jeden mógł prowadzić, a drugi wymyślać się przez okno na dach i stamtąd strzelać na oślep do prześladowców, taka zabawa mogła skutkować odstawieniem na niby samochodu do garażu, po czym szliśmy dzielić się łupem, a nawet trwać dalej, już bez auta, bo przecież prześladowcy krążyli gdzieś w pobliżu, więc przemysłiliśmy się między drzewami w drodze do domu, w blasku nisko stojącego słońca. Kiedy indziej samochód stawał się pojazdem księżycowym, podobnie jak księżycowy był otaczający nas krajobraz, więc po opuszczeniu pojazdu nie mogliśmy się normalnie poruszać, tylko musieliśmy po nim skakać. Ze wszystkich znanych dzieci jedynie Geir miałby ochotę iść w górę jednego z wielu strumieni w okolicy, by znaleźć miejsce, z którego wypływał. Podczas wspólnych zabaw najczęściej wyprawialiśmy się na poszukiwanie nowych miejsc albo chodziliśmy do jednego z tych już przez nas odkrytych. Naszymi znaleźćskami mogły być wielki stary dąb z dziuplą w pniu, głębia w strumieniu, wypełnione wodą piwnice niedokończonych domów, betonowe fundamenty ogromnego przęsła mostu albo pierwsze metry mocujących go grubych stalowych lin biegnących z lasu na szczyt, po których można się było wspiąć, zrujnowana szopa między Tjenną a drogą po drugiej stronie – na razie ostatni przy czółek naszych wędrówek dalej nie zapuszczaliśmy się nigdy – z deskami śliskimi i spróchniałymi od wilgoci, dwa wraki samochodów, małe jezioro z trzema wysepkami niewiele większymi od kępy traw, jedną niemal całkowicie zajęta przez drzewo, woda w tym jeziorze była czarna i głęboka,

choć leżało tuż przy drodze; biała, przypominająca kryształ skała przy ścieżce do stacji Fina, z której dawało się odłupywać kawałeczki, fabryka małych łodzi po drugiej stronie mostu, za Gamle Tybakken, wszystkie tamtejsze hale, skorupy łodzi, zardzewiałe bloczki i maszyny, zapach oleju, smoly i słonej wody, taki przyjemny. Przemierzaliśmy ten rozciągający się na kilometr albo dwa we wszystkie strony obszar wzdłuż i wszerz, chodziliśmy tam niemal codziennie i cały wic naszych odkryć i poszukiwań polegał na tym, że to był nasz wspólny sekret, należący tylko do nas. Z innymi dziećmi bawiliśmy się w klipę albo w chowanego, graliśmy w piłkę nożną lub jeździliśmy na nartach, lecz kiedy zostawaliśmy we dwóch, szukaliśmy miejsc o cechach, które nas pociągały. Tak było z Geirem i ze mną.

Ale tego dnia magia tkwiła w tym, co robiliśmy, a nie w tym, dokąd szliśmy.

Podpalić coś, podpalić.

Zbliżyliśmy się do rosnącego kilka metrów dalej świerka. Gałęzie zwieszające się tuż nad ziemią były szare, pozbawione igieł i wydawały się nieskończenie stare. Dwoma palcami ułamałem kawałek tak suchy, że dawał się rozkruszyć. Niewielki pagórek, na którego czubku rosło drzewo, porastała trawa, również tam rzadka, wśród niej na suchej ziemi leżało mnóstwo wyschniętych, prawie pomarańczowych igieł. Ukłęknałem, przeciągnąłem czerwony łeppek zapalki po czarnej drasce, przysunąłem płomyk do trawy, która natychmiast zajęła się ogniem. Płomień był początkowo niewidzialny, wydawał się niemal drzeniem powietrza tuż nad źdźbłem, które natychmiast się zwinęło, zaraz jednak zajęła się cała kępa i stamtąd ogień zaczął się rozpełzać, jednocześnie szybko i powoli, trochę jak kolumna przestraszonych mrówek, która posuwa się prędko, gdy patrzy się na każdą mrówkę osobno, a powoli, gdy traktuje się ją jako całość. Nagle płomień zaczęły mi sięgać do pasa.

– Gaś, gaś! – krzyknąłem do Geira.

Potrząsnąłem butelką nad ogniem, który z sykem się kurczył, a ja dłonią zacząłem walić w palącą się nisko trawę na skraju.

– Uf! – westchnąłem, gdy chwilę później ogień zgasł.

– Mało brakowało. – Geir się roześmiał. – Naprawdę jarało się nieźle.

Wstałem.

– Myślisz, że to było widać? Wyjdziemy na krawędź sprawdzić, czy ktoś patrzy w tę stronę?

Nie czekając na odpowiedź, pospieszyłem między drzewa po miękkim mchu i wrzosie podsycia. Od nagłego lęku całe moje wnętrze jakby się skurczyło i za każdym razem, gdy myśl zahaczała o to, co się wydarzyło, otwierał się we mnie głęboki szyb. Nie miał dna. Co teraz będzie? O, co teraz będzie?

Na krawędzi Góry zatrzymałem się i przyłożyłem rękę do czoła, jak daszek. Samochód taty stał na podjeździe. Jego samego nie było widać. Ale mógł być wcześniej na dworze i wejść do domu. Gustavsen szedł po trawniku. Mógł zobaczyć dym i już powiedzieć tacie. Albo powie później.

Już sama myśl o tacie, o tym, że istnieje, sprawiła, że zalała mnie fala strachu.

Odwrociłem się do Geira, który szedł, wymachując moją reklamówką utrzymaną w jednej ręce. Jakis dzieciak, wyglądający na młodszego brata Geira Håkona, bawił się w piasku przy

wysokich krawężnikach rozdzielających drogi. Pod górę jechał samochód, zamknięty w sobie jak owad, czarna przednia szyba, puste oczy, skręcił w lewo i zniknął.

– W każdym razie na pewno nie możemy od razu zejść – stwierdziłem. – Jeśli ktoś widział dym, to wszystkie się domyśli.

Po co to zrobiliśmy? Po co?

– Tutaj też mogą nas zobaczyć – dodałem. – Chodź.

Ruszyliśmy w dół po porośniętym drzewami stromym zboczu. Dotarłszy do stóp Góry, zaczęliśmy przedzierać się do domu przez las w odległości jakichś dziesięciu metrów od drogi. Zatrzymaliśmy się przy wielkim świerku, którego korę pokrywał lepki sok o ostrym zapachu jałowca, barwą przypominający palony cukier. Drzewo rosło przy szerokim, płytkim i mulistym strumieniu, w którym wszystko było zielone i mroczne. Między cienkimi pniami rosnących nieco dalej jarzębin widać było nasz dom. Popatrzyłem na swoje dłonie, żeby sprawdzić, czy jest na nich sadza. Nie było śladu, ale lekko pachniały spalenizną, więc zanurzyłem je w wodzie i wytarłem o nogawki spodni.

– Co zrobisz z tym pudełkiem zapalek? – spytałem.

Geir wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie gdzieś je schowam.

– Jeśli odkryją, to nie mów nic o mnie – poprosiłem. – O tym, co zrobiliśmy.

– Dobra – zgodził się Geir. – Masz tu swoją torbę.

Ruszyliśmy w stronę drogi.

– Podpalisz dzisiaj coś jeszcze? – spytałem.

– Chyba nie.

– Nawet z Leifem Torem?

– Może jutro. – Nagle jego twarz się rozjaśniła. – Mam zabrać zapalki jutro do szkoły?

– Zwariowałeś?

Roześmiał się. Przeszliśmy na drugą stronę drogi.

– Cześć – rzucił i pobiegł dalej, do siebie.

Minąłem garbusa mamy zaparkowanego na plamie żółtej trawy tuż przy płocie, obok szarego kontenera na śmieci, i wszedłem na żwir. Znów zaczął wzbierać we mnie lęk. Samochód taty jaśniał czerwinią w ostrym świetle słońca. Spuściłem wzrok, nie chciałem napotkać tego spojrzenia, które być może czekało na mnie w kuchennym oknie. Już na samą myśl o nim targnęła mną rozpacz. Kiedy dotarłem do kamiennej płyty przed progiem i zniknąłem z pola widzenia okien na piętrze, złożyłem dłonie i zamknąłem oczy.

Dobry Boże, mówiłem w myślach. Niech nic nie będzie. Obiecuję, że już nigdy nie zrobię nic złego. Nigdy, przenigdy, święcie to przyrzekam. Amen.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do domu.

W przedpokój było chłodniej niż na dworze, a po wejściu z ostrego światła słonecznego prawie zupełnie ciemno. W powietrzu ciężko wisiał zapach lapskaus. Nachyliłem się, rozsznurowałem buty, starannie ustawiłem je na miejscu pod ścianą, ruszyłem na górę po

schodach, próbując przybrać jakąś zwyczajną minę, i w przedpokoju na górze zatrzymałem się z wahaniem. Co by było bardziej naturalne, pójść od razu do swojego pokoju, czy raczej do kuchni, żeby sprawdzić, czy obiad już gotowy?

Głosy. Szczęk sztućców o talerze.

Czyżbym się spóźnił?

Już zaczęli jeść?

O nie.

Co robić?

Myśl o tym, żeby zawrócić, spokojnie opuścić dom, wejść na Górę, powędrować w głąb lasu i już nigdy więcej tu nie wracać, była wśród całego tego napięcia jak radosna melodia trąbki.

Może wtedy by żalowali?

– To ty, Karl Ove? – zawołał tata z kuchni. Przełknąłem ślinę, pokręciłem głową, kilka razy szybko mrugnąłem i wziąłem głęboki oddech.

– Tak – odpowiedziałem.

– Jużjemy! – krzyknął. – Przychodź szybko!

Bóg wysłuchał moich modłów i urządził wszystko tak, jak prosiłem. Tata był w dobrym humorze, zobaczyłem to od razu, gdy wszedłem, siedział z rozsuniętymi nogami, oparty na krześle, z rękami w dużej odległości od siebie, a oczy błyszczały mu wesoło.

– Co takiego robiłeś, że nie pilnowałeś godziny? – spytał.

Zająłem miejsce obok Yngvego. Tata siedział przy krótszym boku stołu z prawej strony, mama przy krótszym boku z lewej. Stół, z blatem z laminatu w szarobiałym marmurkowym wzorze, z szarą listwą wokół krawędzi, z błyszczącymi nogami zakończonymi szarymi gumowymi nakładkami, był nakryty brązowymi talerzami obiadowymi i zielonymi szklankami z napisem „Duralux” na dnie, stał też na nim koszyk z chrupkim chlebem i wielki garnek, z którego sterczała drewniana chochla.

– Bawiłem się z Geirem – wyjaśniłem i wychyliłem się, by dopilnować, żeby w chochli, którą moment później wyjąłem z garnka, znalazł się kawałek mięsa.

– A gdzie byliście? – Tata podniósł widelec do ust. Do brody przylepił mu się nieduży bladeżółty kawałek cebuli.

– Po prostu w lesie.

– Tak? – zdziwił się, kilka razy przeżuł i przełknął jedzenie, cały czas ze wrokiem wbitym we mnie. – Wydawało mi się, że widziałem was w drodze na Górę.

Siedziałem jak sparaliżowany.

– Wcale tam nie byliśmy – powiedziałem w końcu.

– Nie opowiadaj bzdur! Coście tam znów znalazli, skoro nie chcesz się przyznać, że tam byliście?

– Ale my wcale nie byliśmy na Górze – zapierałem się.

Rodzice wymienili spojrzenia. Znowu mogłem poruszyć rękami, nałożyć sobie na talerz, zacząć jeść. Tata wziął dokładkę, wciąż płynnie, jakby tanecznym ruchem. Yngve już skończył jeść,

siedział obok mnie i patrzył przed siebie, z jedną ręką opartą na udzie, a drugą na samej krawędzi stołu.

– No to jak minął dzień pierwszoklasiście? – spytał tata. – Macie coś zadane?

Pokręciłem głową.

– A pani, jest miła?

Kiwnąłem głową.

– Jak się nazywa?

– Helga Torgersen – odparłem.

– No właśnie – potwierdził tata. – Mieszka... Mówiła wam o tym?

– W Sandum – powiedziałem.

– Wydawała się bardzo miła – wtrąciła mama. – Młoda i chętna do tej pracy.

– Ale my się spóźniliśmy – oznajmiłem, całym sobą chłonąc ulgę wywołaną przez zwrot, jaki przyjęła ta rozmowa.

– Tak? – zdumiał się tata, patrząc na mamę. – O tym nie mówiłaś.

– Pomyliliśmy drogę – wyjaśniła. – Dlatego spóźniliśmy się kilka minut. Ale wydaje mi się, że najważniejsze nas nie ominęło, prawda, Karl Ove?

– Prawda – mruknąłem.

– Nie mów z jedzeniem w ustach – pouczył mnie tata.

Przełknąłem.

– Dobrze – powiedziałem.

– A co u ciebie, Yngve? – spytał tata. – Jakieś niespodzianki pierwszego dnia?

– Nie. – Yngve odrobinę się wyprostował.

– Idziesz dzisiaj na trening, prawda? – spytała mama.

– Tak – potwierdził Yngve.

Zmienił klub piłki nożnej, przeszedł z Traumy, miejscowej drużyny z wyspy, w której grali wszyscy jego koledzy, tej, która miała takie fantastyczne stroje, niebieskie koszulki z ukośnym białym pasem, białe spodenki i niebiesko-białe skarpety, do Saltrød, klubu z niewielkiej osady położonej mniej więcej naprzeciwko nas po drugiej stronie cieśniny. Dziś miał być jego pierwszy trening z nową drużyną. Miał sam przejechać rowerem przez most, czego nigdy wcześniej nie robił, i całą dalszą drogę, aż do boiska. Mówił, że to pięć kilometrów.

– Nic więcej się nie wydarzyło w szkole, Karl Ove? – spytał tata.

Kiwnąłem głową i przełknąłem ślinę.

– Mamy mieć kurs pływania – poinformowałem. – Sześć razy. W innej szkole.

– No proszę. – Tata grzbietem dłoni wytarł usta, ale nie strącił kawałka cebuli z brody. – To niegłupie. Nie można mieszkać na wyspie i nie umieć pływać.

– W dodatku ten kurs jest bezpłatny – wtrąciła mama.

– Ale muszę mieć czepkę – powiedziałem. – Wszyscy muszą. I może nowe kąpielówki. Nie sorty, tylko takie... no wiecie.

– Czepek załatwimy. Ale szorty będą musiały wystarczyć – stwierdził tata.

– I okularki do pływania – dodałem.

– Okularki do pływania też? – Tata spojrział na mnie rozbawionymi oczami. – Jeszcze zobaczymy. – Odsunął od siebie talerz i odchylił się na krześle. – Dziękuję, mamusiu, było pyszne.

– Dziękuję. – Yngve od razu się poderwał. Pięć sekund później dotarł do nas odgłos zamykanych drzwi do jego pokoju.

Posiedziałem chwilę, na wypadek gdyby tata miał ochotę jeszcze ze mną porozmawiać. Wyglądał przez okno na czwórkę dzieci kręcących się na rowerach przy drugim skrzyżowaniu. W końcu wstał, wstawił swój talerz do zlewu, wziął pomarańczę z szafki i z gazetą pod pachą zszedł na dół do gabinetu; już więcej do nikogo się nie odezwał. Mama zaczęła sprzątać ze stołu, a ja poszedłem do pokoju Yngvego. Pakowałem torbę. Usiadłem na jego łóżku i przyglądałem się, jak to robi. Miał porządne buty do piłki nożnej, czarne adidasy z karkami, porządne spodenki marki Umbro i żółto-czarne skarpety klubu Start. Mama najpierw kupiła mu białe-czarne skarpety klubu Grane z Arendal, ale ich nie chciał, więc dostały się mnie. Ale najfajniejszy był dres Adidas, niebieski z białymi paskami, z lśniącego gładkiego materiału, nie matowego przypominającego krepinę elastiku, kojarzącego się natychmiast z nudną gimnastyką, z którego dawniej szyto wszystkie dresy. Czasami wachałem ten jego dres, zanurzałem nos w śliski materiał, bo pachniał fantastycznie. Może zapach tak mi się podobał, ponieważ sam bardzo chciałem mieć taki dres, dlatego nasycałem go własnym pożądaniem. A może wydawało mi się tak, ponieważ ten zapach, taki na wskroś syntetyczny, nie przypominał niczego innego i dlatego zdawał się nie należeć do tego świata. W pewnym sensie niósł obietnicę przyszłości. Oprócz tego dresu Yngve miał również niebiesko-biały zestaw Adidas, który wkładał, kiedy padał deszcz.

Pakując się, milczał. Zaciągnął duży czerwony suwak torby i usiadł przy biurku. Spojrzała na leżący tam plan lekcji.

– Macie coś zadane? – spytałem.

Pokręcił głową.

– My też nie – powiedziałem. – Obłożyłeś już książki?

– Nie, mamy na to cały tydzień.

– Ja będę okładał dziś wieczorem. Mama mi pomoże.

– Ty to masz dobrze – skomentował i wstał. – Spadam. Jeśli nie wrócę do północy, to znaczy, że człowiek bez głowy mnie zjadł. Ciekawe tylko czym?

Ze śmiechem zszedł po schodach. Śledziłem go wzrokiem przez okno łazienki, patrzyłem, jak najpierw stawia jedną nogę na pedale, odpychając się drugą, potem przerzuca ją przez ramię, a później, jak pedałuje z całych sił na najwyższym biegu, aż dotarł na szczyt wzgórza z taką prędkością, że potem mógł zjechać bez pedałowania do samej krzyżówki.

Kiedy zniknął mi z oczu, wyszedłem na korytarz i przez chwilę stałem nieruchomo, żeby zlokalizować rodziców. Ale panowała kompletna cisza.

– Mamo? – zawałałem cicho.

Żadnej odpowiedzi.

Wszedłem do kuchni, tam jej nie było. Potem do ostatniego pokoju, tam też jej nie było. Czyżby poszła do ich sypialni?

Sprawdziłem i tam, chwilę postąpiłem pod drzwiami.

Nie.

No to może w ogrodzie?

Z różnych okien wyjrzałem na wszystkie cztery strony ogrodu, ale nigdzie jej nie zobaczyłem.

A samochód stał przed domem, prawda?

No tak

To, że nie wiedziałem, gdzie jest, sprawiło, że dom w pewnym sensie nabral obcości, otworzył się w dezorientujący, wręcz niepokojący sposób, więc aby stawić temu czoło, poszedłem do swojego pokoju i usiadłem na łóżku, żeby poczytać komiks, gdy nagle mnie oświeciło, że mama oczywiście jest na dole, w gabinecie taty.

Ja prawie nigdy do niego nie wchodziłem, byłem tam zaledwie kilka razy, wyłącznie po to, by o coś spytać, na przykład czy mogę obejrzeć jakiś konkretny program telewizyjny, i to po zapukaniu do drzwi i usłyszeniu „proszę”. Zapukanie do tych drzwi wiele mnie kosztowało. Czasami tak wiele, że wolałem iść spać, nie obejrząwszy programu. Parę razy zdarzyło się też, że on nas tam zaprosił, chciał nam coś pokazać albo coś dać, na przykład koperty ze znaczkami, które moczyliśmy w dodatkowej kuchni w zlewie, służącym, o ile dobrze wiedziałem, wyłącznie do tego celu. Klej na znaczkach wtedy puszczał i po kilku godzinach suszenia mogliśmy układać je we własnych klaserach.

Poza tymi sytuacjami w ogóle tam nie zaglądałem. Nawet kiedy byłem sam w domu, nie przychodziło mi to do głowy. Ryzyko, że on to odkryje, było zbyt duże. Wychwytował każdą nieregularność, w jakiś sposób potrafił ją wywęszyć, bez względu na to, jak starannie usiłowałem ją ukryć.

Identycznie jak to z Górą podczas obiadu. Chociaż nie widział nic oprócz tego, że zśliśmy w tamtą stronę, domyślił się, że robiliśmy tam coś złego. Gdyby nie to, że był w takim dobrym humorze, wycisnęłoby ze mnie całą prawdę.

Położyłem się na brzuchu i zacząłem czytać *Tempo*. To był komiks Yngvego, pożyczony od Jana Atlego, a ja czytałem go już wiele razy. Był przeznaczony dla starszych dzieci, więc w moim pojęciu otaczała go silna aura przynależności do odległego, ale wspaniałego świata. Obojętne mi były czasy, w których rozgrywała się akcja – czy to była druga wojna światowa, jak w serii *Na skrzydłach* albo *Walka*, dziewiętnasty wiek w Ameryce, jak w *Texie Willerze*, *Jonah Hexie* albo *Blueberry*, angielskie międzywojnie, jak w *Paulu Temple’u*, czy też rzeczywistości całkowicie wymyślone, takie jak w seriach o Fantomie, Supermanie, Batmanie, Czwórcie i wszystkich tych, w których bohaterami były postacie Disneya – ale uczucia, jakie we mnie wywoływały, mimo wszystko się od siebie różniły, budziły we mnie rozmaite reakcje. Niektóre z serii *Tempa*, na przykład te rozgrywane się na torze wyścigowym, albo poszczególne zeszyty z serii *Buster*, na przykład o Johnnym Pumie i Benny m Złotej Stopie, szczególnie mnie pociągały, może dlatego, że były bliższe tej rzeczywistości, o której istnieniu wiedziałem. Skórzane kombinezony i kaski z przyłbicami używane przez kierowców Formuły 1 można było zobaczyć latem w motocyklistów na drodze, niskie samochody ze wszystkimi spojlerami – w telewizji, gdzie

od czasu do czasu wpadały na ogrodzenie albo na jakieś inne samochody, koziółkowały i stawały w ogniu, a kierowca albo spalał się na śmierć, albo wstawał ze stojącego w płomieniach wraku i spokojnie się oddalał.

Zwykle całkowicie zagłębiałem się w te opowieści, w ogóle o tym nie myśląc, bo cały wic polegał przecież właśnie na niemyśleniu, przynajmniej nie własnymi myślami, lecz jedynie na śledzeniu tego, co się działo. Tego popołudnia jednak dosyć szybko odłożyłem komiks, z jakiegoś powodu nie mogłem usiedzieć spokojnie, a była dopiero piąta, dlatego postanowiłem, że znów wyjdę z domu. Zatrzymałem się przy schodach, nic, żadnego dźwięku, mama wciąż była na dole, co właściwie tam robiła? Przecież prawie nigdy tam nie schodziła, przynajmniej o tej porze. Nachyliłem się po buty w korytarzu, zasznurowałem je. Zastukałem do gabinetu taty. To znaczy w drzwi do przedpokoju prowadzącego do trzech pomieszczeń: łazienki, gabinetu i dodatkowej kuchni z niedużym składzikiem na końcu. Właściwie ta część była przeznaczona pod wynajem, ale nikt inny nigdy tam nie mieszkał.

– Wychożę! – zawołałem. – Idę do Geira!

Przykazy wano mi zawsze mówić, że wychożę, i dokąd idę.

Mimo to w głosie taty, który rozległ się dopiero po kilku sekundach, zabrzmiała irytacja.

– Dobrze, dobrze! – zawołał.

Minęły kolejne sekundy ciszy.

W końcu usłyszałem głos mamy, ży czliwszy, jakby miał zatrzeć tę irytację taty.

– W porządku, Karl Ove!

Wyszedłem po cichu, ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi i pobiegłem do Geira. Stałem przed jego domem i kilka razy go zawołałem, aż wreszcie zza węgła wysza jego matka. Miała na rękach rękawice robocze, a ubrana była w szorty koloru khaki, niebieską rozpinaną bluzkę i czarne drewniak. W rękę trzy mała czerwoną ogrodową łopatkę.

– Cześć, Karl Ove – powiedziała. – Geir jakiś czas temu wyszedł z Leifem Torem.

– A dokąd się wybierali?

– Nie wiem. Nie powiedział.

– Aha. No to do widzenia.

Odwrociłem się i wolnym krokiem zszedłem z podjazdu, z oczami pełnymi łez. Dlaczego nie przyszli po mnie?

Zatrzymałem się przy betonowej barierce między dwiema drogami. Przez chwilę postać nieruchomo, nasłuchując. Nic. Przystałem na jednym z elementów. Szorstki beton zakłuł w uda. W rowie rosły mleczce, całkiem szare od kurzu. Obok była wpuszczona w ziemię zardzewiała krata z wypłowiałym na słońcu opakowaniem po papierosach wciśniętym między metalowe pręty.

Dokąd oni mogli pójść?

Nad Ubekilen?

Na przystań?

Na boisko i plac zabaw?

A może Geir zabrał Leifa Torego w któreś z naszych miejsc?

Może na szczyt Góry?

Podniosłem wzrok W każdym razie nie było ich tam widać. Wstałem i ruszyłem w dół. Na skrzyżowaniu koło dużej wiśni miałem do wyboru trzy drogi prowadzące na pływające pomosty. Wybrałem tę na prawo, przez furtkę, wzdłuż ścieżki pokrytej gałązkami, wśród głębokich cieni koron wielkich dębów, przez łąkę, gdzie graliśmy w piłkę, chociaż opadała na obie strony, a w sięgającej kolan trawie zdeptanej już wczesną wiosną rosły małe drzewka, minąłem urwisko z szarawymi, tu i ówdzie pokrytymi porostami, ale głównie nagimi skałami, i poszedłem dalej przez las do szosy. Za nią znajdowała się niedawno zbudowana przystań z trzema identycznymi pomostami. Wszystkie miały drewniane poszycie unoszące się na pomarańczowych pontonach.

Tutaj też nie było chłopaków. Ale i tak wszedłem na jeden z pomostów. Przy samym jego końcu właśnie zacumowała łódka należąca do Kaneströmów, poszedłem więc zobaczyć, co będzie dalej. Pan Kaneström był sam na pokładzie, a kiedy zatrzymałem się przy dziobie, lekko uniósł głowę.

– To ty? Tak tu sobie chodzisz? – spytał. – Byłem na rybach.

Słońce błysnęło w szkłach jego okularów. Miał wąsy, krótkie włosy, niewielką łysinę, był w niebieskich dzinsowych szortach i kracastej koszuli, a na nogach miał sandały.

– Chcesz zobaczyć?

Podsunał mi czerwone wiadro. Było pełne smułych, śliskich makreli, niebieskawych i błyszczących, niektóre drgały, ten ruch przenosił się jakby na pozostałe ciała, tak przyciśnięte jedno do drugiego, że można by mówić o jednej istocie.

– Ojej – powiedziałem. – Tyle pan złapał?

Kiwnął głową.

– I to dosłownie w parę minut. Niedaleko kręciła się cała ławica. Mamy teraz obiad na kilka dni.

Postawił wiadro na wąskim pomoście, zdjął z łodzi stary kanister na benzynę i umieścił go obok. Potem położył kilka uchwytów z nawiniętą żyłką z haczykami, a także pudełko z błyskami. Cały czas nucił jakąś starą piosenkę.

– Wie pan, gdzie jest Dag Lothar? – spytałem.

– Nie, niestety, nie wiem. A co, szukasz go?

– Tak, trochę.

– Podrzucić cię na górę?

Pokręciłem głową.

– Raczej nie. Mam sporo rzeczy do zrobienia.

– Aha. – Przeskoczył na pomost, nachylił się i zaczął zbierać swoje rzeczy. Szybko zszedłem z pomostu, żeby nie musieć iść obok niego. Przebiegłem przez kamienisty parking, a potem, balansując na krawężniku, przeszedłem aż do szosy, do miejsca, z którego dość stroma ścieżka wchodziła w las. Prowadziła na Skałki, do kąpieliska, z którego korzystali wszyscy z osiedla, można tam było skakać do morza z dwumetrowej skały i przepływać na wyspę Gjerstadholmen położoną po drugiej stronie mniej więcej dziesięciometrowego kanału. Chociaż woda była tam głęboka, a ja nie umiałem pływać, chodziłem tam czasami, bo sporo się tam działo.

Teraz z lasu dobiegły mnie głosy. Wysoki głos dziecka i trochę niższy starszego chłopaka. Chwilę później spomiędzy pokrytych plamami słońca pni drzew wyłonili się Dag Lothar i Steinar, mieli mokre włosy, a pod pachami trzymali ręczniki.

– Cześć, Karl Ove! – zawołał na mój widok Dag Lothar. – Widziałem dzisiaj żmiję!

– Naprawdę? A gdzie? Tutaj?

Kiwnął głową i zatrzymał się przede mną. Steinar też przystanął, swoją pozą dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru gadać, tylko jak najszybciej iść dalej. Chodził do gimnazjum, był w klasie taty. Miał długie ciemne włosy i cień nad górną wargą. Grał na basie w swoim pokoju w suterenie, z osobnym wejściem.

– Biegłem tędy, no nie? – Dag Lothar wskazał na ścieżkę. – Prawie najszybciej jak mogłem. A kiedy wybiegłem zza zakrętu, na ścieżce leżała żmija. Ledwie zdążyłem się zatrzymać!

– I co się stało? – spytałem.

Jeżeli czegoś się bałem na tym świecie, to węży i żmij.

– Posunęła w krzaki jak błyskawica.

– Jesteś pewien, że to była żmija?

– Absolutnie. Miała zygzak na łbie.

Patrzył na mnie z uśmiechem. Twarz miał trójkątną, włosy jasne i miękkie, oczy niebieskie, często były z nich zapały i przejęcie.

– Boisz się tam teraz zejść?

– Nie wiem – odparłem. – Geir i reszta tam są?

Pokręcił głową.

– Tylko Jørn i jego młodszy brat. I jeszcze rodzice Evy i Marianne.

– Mogę wracać z wami? – spytałem.

– Jasne – odparł Dag Lothar. – Ale ja nie mam czasu się teraz bawić. Idziemy na obiad.

– Ja też muszę wracać do domu – powiedziałem. – Będę okładał książki.

Kiedy dotarliśmy do drogi koło naszego domu, a Dag Lothar i Steinar poszli dalej do siebie, mimo wszystko nie wszedłem do domu, tylko przez chwilę rozglądałem się za Geirem i Leifem Torem. Wciąż nigdzie nie było ich widać. Z pewnym wahaniem ruszyłem dalej. Słońce wiszące tuż nad wzgórzem paliło mnie w ramiona. Ostatni raz spojrzałem w dół na drogę, na wypadek gdyby się tam pojawili, i wbiegłem na ścieżkę za domem. Początkowo prowadziła wzdłuż naszego ogrodzenia, potem wzdłuż kamiennego murku państwa Prestbakmo, częściowo ukryta za młodymi, smukłymi osikami, które tam rosły i przez całe lato trzęsły się po południu, kiedy słońce się przesunęło i pojawiała się bryza. Dalej ścieżka rozstawała się z osiedlem, biegła przez teren gęsto obrosnięty młodymi drzewkami liściastymi i przecinała bagno, za którym była niewielka polana pod ogromnym bukiem wyrastającym krzywo ze stromego zbocza i rzucającym cień na całe otoczenie.

Dziwne, ale wszystkie wielkie drzewa miały własną osobowość, wyrażaną przez niepowtarzalne pozy i przez aurę tworzoną łącznie przez pnie, korzenie, korę i gałęzie, grę światła

i cieni. Jakby mówiły. Oczywiście nie głosami, ale tym, czym były, tym, co jakby w y c i ą g a ł o się ku patrzącej na nie osobie. I mówiły wyłącznie o tym, czym były, o niczym innym. Bez względu na to, gdzie po osiedlu czy po otaczającym je lesie chodziłem, słyszałem te głosy, a przynajmniej wyczuwałem obecność tych bezgranicznie wolno rosnących sylwetek. Ten przykład nad strumieniem poniżej domu był świerk o niewiarygodnie grubym pniu na samym dole, miał wilgotną korę i korzenie przypominające grube liny, rozciągające się d a l e k o od niego. Gałęzie, układające się w piramidę, z pewnej odległości wydawały się gęste i gładkie, ale z bliska okazywały się pokryte drobnymi, ciemnozielonymi igłami o idealnym kształcie. I wszystkie te suche gałęzie, jasnoszare i porowate, które potrafiły rosnąć pod dachem wcale nie szarych, lecz całkiem czarnych gałęzi z zielonymi igłami. Sosna na działce państwa Prestbakmo, wysoka i smukła jak maszt statku, z czerwieniącą się korą i zielonymi, lekko kołyszącymi się pęczkami długich igieł na końcu każdej z gałązek, które zaczynały wyrastać dopiero na samym czubku. Dąb za boiskiem do piłki nożnej, jego pień u podstawy bardziej kojarzył się z kamieniem niż z drewnem, lecz nie miał w sobie nic ze zwartości świerków, bo gałęzie tego dębu rozchodziły się na zewnątrz, tworząc nad podszyciem delikatny baldachim z liści, tak lekki, że aż trudno było uwierzyć w istnienie połączenia z dolną częścią pnia i zewnętrznymi delikatnymi gałązkami, podobnie jak w to, że ten pień był ich początkiem i źródłem. W połowie pnia znajdowało się coś, co przypominało grootę, drzewo utworzyło w tym miejscu miękko uformowany, lecz mimo wszystko twardy i sekaty owal, z wnętrzem wielkości ludzkiej głowy. Liście, wszystkie, bez względu na to, skąd wyrastały, powtarzały ten sam piękny, po części łukowaty, a po części strzępiasty wzór, zarówno wtedy, gdy zwisały z gałęzi, zielone, grube, śliskie i gładkie, jak i kilka miesięcy później, gdy leżały na ziemi, rudobrazowe i kruche. Jesienią ziemię wokół tego drzewa zawsze pokrywał gruby dywan liści, początkowo jaskrawożółtych, a z czasem coraz ciemniejszych, bardziej wiotkich.

No i było drzewo na stromiźnie przed bagnem. Nie wiedziałem, co to za gatunek. Nie rosło zwężle jak inne wielkie drzewa, lecz miało cztery równoważne pnie, wijące się jak węże, z szarzieloną korą pełną podłużnych zagłębień; drzewo to zajmowało równie duży obszar jak dąb czy świerk, ale nie robiło wrażenia wspaniałości, zdawało się raczej rosnąć chyłkiem. Na jednej z gałęzi zawieszono trapez, prawdopodobnie zrobiony to dzieci z sąsiedztwa, mieszały równie blisko tego miejsca jak my. Nikogo tam teraz nie było, podszedłem więc pod gałęzie, złapałem się drążka obiema rękami, rozhuštałem i skoczyłem. Powtórzyłem to jeszcze dwa razy. Potem chwilęostałem pod drzewem, zastanawiając się, co tu wymyślić. Z domu naprzeciwno, w którym mieszała para z małym dzieckiem, docierały głosy i brzęk sztućców. Niczego nie widziałem, ale zorientowałem się, że muszą być w ogrodzie. Gdzieś z daleka dobiegł warkot samolotu. Zrobiłem kilka kroków po wyschniętym bagnie, patrząc w niebo. Znad morza nadlatywał hydroplan, leciał dość nisko, słońce odbijało się w białym kadłubie. Kiedy zniknął za wzgórzami, znów puściłem się biegiem, w cień po drugiej stronie, gdzie powietrze było odrobinę chłodniejsze. Spojrzałem na dom Kanestrømów, pomyślałem, że na pewno siedzą teraz i jedzą te makrele, w każdym razie przed domem nie było nikogo. Potem spojrzałem na ścieżkę, na której znałem każdy kamień, każdy dołek, każdą kępę trawy. Gdyby zorganizowano wyścig tą ścieżką od naszego domu do B-Maxu, nikt by mnie nie pokonał, mógłbym tędy przebiec z zawiązanymi oczami. Nie musiałbym się nigdzie zatrzymywać, zawsze wiedziałbym, co się pojawi za następnym

zakrętem, gdzie najlepiej postawić stopę. Kiedy urządzaliśmy wyścigi wzdłuż szosy, za każdym razem wygrywał Leif Tore, ale tu zwyciężyłbym ja, nie miałem co do tego wątpliwości. To była przyjemna myśl, dobre uczucie, starałem się je zachować jak najdłużej.

Zanim dotarłem do boiska, już z daleka usłyszałem dobiegające stamtąd głosy, krzyki, wrzaski i śmiech, które zza drzew brzmiały trochę jak małe nawoływania. Zatrzymałem się na polanie. Na boisku przede mną roilo się od dzieci w rozmaitym wieku, wielu z nich wcześniej nawet nie widziałem, większość kłębiła się wokół piłki, którą każde usiłowało kopnąć, i cały ten tabun przesuwał się to w przód, to w tył, drobnymi mi szarpnięciami. Boisko było to ciemne, mocno ubitej ziemi, znajdowało się w środku lasu. Z jednej strony lekko się wznosiło i tam też wyłaziły na wierzch korzenie. Na obu końcach stały duże bramki z drewnianych belek, bez siatki. Jeden jego bok był sporo skrócony przez wystającą skałę, drugi zaś ciągnął się wzdłuż nierównego obszaru porośniętego wielkimi kępami sztywnej trawy. Niemal wszystkie moje marzenia wyrastały właśnie stąd. Bieganie tutaj oznaczało wielkie szczęście.

– Mogę z wami zagrać? – zawołałem.

Każde kopnięcie w piłkę odbijało się głuchym echem od skalnej ściany.

Rolf, który stał na bramce, odwrócił się do mnie.

– Możesz bronić, jeśli chcesz – powiedział.

– Okej. – Pobiegłem do bramki, którą Rolf powoli, lekko kołyszącym się krokiem opuścił.

– Karl Ove będzie u nas bronił! – krzyknął.

Ustawilem się między słupkami, dokładnie pośrodku, i zaczęłem obserwować toczącą się grę. Powoli zaczęłem odróżniać tych, którzy grali w mojej drużynie. Nachylałem się w gotowości, gdy piłka się zbliżała, a kiedy nastąpił pierwszy strzał, spokojna piłka po ziemi, kucnąłem i ją złapałem. Trzy razy przekozłowałem i wykopnąłem. Piłka w zetknięciu ze stopą lekko się ugięła, była duża, miękka i zniszczona, kolorem przypominała wyschniętą na słońcu ziemię. Przez pęknięcie prześwitywała pomarańczowa dętka. Piłka zatoczyła w powietrzu łuk, niewysoki, ale i tak poleciała daleko, odbiła się od ziemi po prawej stronie, z prawdziwą radością obserwowałem, jak gromada dzieciaków za nią biegnie. Chciałem zostać bramkarzem. Stałem na bramce tak często, jak tylko miałem okazję. Nic nie mogło się równać z przyjemnością rzucenia się do piłki i obronienia strzału. Problem polegał na tym, że potrafiłem rzucać się tylko w jedną stronę, w lewo, rzucanie się w prawo wydawało mi się sprzeczne z naturą, nie mogłem się przemóc, więc jeśli piłka leciała w tym kierunku, musiałem bronić nogą.

Od drzew ciągnęły się na boisku długie cienie, a za biegającymi dziećmi sunęły ruchliwe ciemne plamy, cały czas to zlewając się ze sobą, to się rozdzielając. Wkrótce jednak wielu zawodników zaczęło chodzić, zamiast biegać, niektórzy stawiali pochyleni do przodu, z rękami na kolanach, i ku wielkiemu rozczarowaniu zrozumiałem, że gra dobiega końca.

– Muszę już wracać do domu – powiedział ktoś.

– Ja też – dodał ktoś inny.

– Pograjmy jeszcze trochę – domagał się trzeci.

– Ja już muszę lecieć.

– To co, dzielimy się na nowe drużyny?

– Ja już idę.

– Ja też.

W ciągu paru minut cały scenariusz runął, boisko opustoszało.

Papier do okładania książek, który kupiła mama, był niebieski i półprzezroczysty. Siedzieliśmy w kuchni, rozwijałem go po kawałku i odcinałem, a jeśli brzeg był zbyt nierówny i postrzępiony, mama wyrównywała. Kładłem książkę na papierze, rozkładałem przypominające skrzydła okładki, zaginałem na nie papier i sklejałem go taśmą klejącą w rogach. Mama w trakcie korygowała to, co należało skorygować. Oprócz tego robiła na drutach coś, z czego miał wyjść sweter dla mnie. Sam go wybrałem z jej gazet z modelami, biały z ciemnobrązowymi ściągaczami, dość oryginalny, bo pod szyją zupełnie prosty, a poza tym miał rozporuki po obu bokach, co trochę się kojarzyło z przepaską biodrową. Bardzo mi się podobał ten element indiańskości i często uważnie sprawdzałem, ile zdążyła już wydziergać.

Mama lubiła robotki ręczne. Zrobiła szydełkiem firanki do salonu i do kuchni, a białe zasłony w naszych pokojach, Yngvego w brązowe kwiatki z brązowym brzegiem, moje w czerwone kwiatki z czerwonym brzegiem, uszyła sama. Robiła też na drutach swetry i czapki, cerowała mi skarpety, latała spodnie i kurtki. Kiedy nie zajmowała się robotkami, nie gotowała, nie zmywała i nie piekła chleba, czytała. U nas cały regał po brzegi wypełniały książki, czegoś takiego nie było u innych rodziców. Mama, w przeciwieństwie do taty, miała również przyjaciół, głównie kobiety w podobnym wieku, z którymi razem pracowała; od czasu do czasu odwiedzała je, albo one przychodziły do nas. Wszystkie je lubiłem. Była wśród nich Dagny, z której synem i córką, Torem i Liv, chodziłem do przedszkola. Była Anne Mai, gruba i wesoła, zawsze przynosiła nam czekoladę, jeździła Citroënem i mieszkała w Grimstad, kiedyś odwiedziłem ją razem z całym przedszkolem. I była Marit, która miała syna Larsa, w tym samym wieku co Yngve, i o dwa lata młodszą córkę, Marianne. Nie bywały u nas często, bo tata nie lubił tych wizyt, ale mniej więcej raz w miesiącu pojawiała się jedna lub kilka, mogłem siedzieć wtedy razem z nimi i pławić się w blasku, jakiego mi to przydawało. No i od czasu do czasu wieczorem wybieraliśmy się do Pracowni w Kokeplassen, czegoś w rodzaju warsztatu, w którym można było robić mnóstwo różnych rzeczy. Do Pracowni przychodziły też dzieci innych pracowników i właśnie tam przygotowywaliśmy na przykład prezenty gwiazdkowe.

Mama miała twarz łagodną, ale poważną. Wsunęła długie włosy za uszy.

– Dag Lothar widział dzisiaj żmiję! – powiedziałem.

– Tak? – spytała. – A gdzie?

– Na ścieżce na Skalki. O mało na nią nie wpadł! Ale na szczęście żmija się wystraszyła tak samo jak on i uciekła w krzaki.

– To dobrze.

– A tam gdzie ty się wychowywałaś, były żmije?

Pokręciła głową.

– W Vestlandet nie ma żmij.

– Dlaczego?

Zaśmiała się.

– Nie wiem. Może tam dla nich za zimno.

Zaczęłam machać nogami, palcami wybijając rytm o stół i nucąc: *kisses for me, all of the kisses for me, by, by, baby, by, by.*

– Pan Kanestrøm złapał dzisiaj mnóstwo makreli. Widziałem na własne oczy. Pokazał mi wiadro. Pełniusienkie. Jak myślisz, będziemy mieć niedługo własną łódź?

– Nie za dużo naraz? – spytała. – I łódź, i kot! Niewykлучzone. Ale nie w tym roku, tyle jest pewne. Może w przyszłym? To kosztuje, przecież wiesz. No ale możesz spytać tatę, prawda?

Oddała mi noży czki.

Aha, na pewno, pomyślałem, spytać tatę, ale głośno tego nie powiedziałem. Staralem się prowadzić noży czki tak, żeby sunęły przez papier, nie tnąc nimi, ale się zahaczyły, ścisnąłem więc uchwyt i znów było nierówno.

– Yngvego coś długo dzisiaj nie widać – odezwała się mama, wyglądając przez okno.

– Jest w dobrych rękach – oświadczyłem.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie tak

– Kartka! – przypomniałem sobie. – Kurs pływania. Możesz mi to teraz podpisać?

Kiwnęła głową. Poderwałem się i pobiegłem przez korytarz do pokoju, wyciągnąłem kartkę z tornistra i już miałem pobiec z powrotem, kiedy na dole otworzyły się drzwi, a do mnie po dodatkowym uderzeniu serca dotarło, co przed chwilą zrobiłem.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki taty. Znieruchomiałem przy łazience, gdy jego wzrok z półpiętra sięgnął do moich oczu.

– Nie biega się po domu – upomniał mnie. – Ile razy mam ci to powtarzać? Taki huk, jakby wszystko się waliło. Zrozumiano?

– Tak

Wszedł na górę i mnie wyminał, szerokie plecy w białej koszuli. Kiedy zobaczyłem, że wchodzi do kuchni, uszła ze mnie cała radość. Ale ja też musiałem tam wejść.

Mama siedziała jak wcześniej. Tata stał i wyglądał przez okno. Ostrożnie położyłem kartkę na stole.

– Proszę – powiedziałem.

Została mi do obłożenia jeszcze jedna książka. Usiadłem i zacząłem ją owijać w papier. Poruszały się tylko moje ręce. Wszystko inne zamarło. Tata się nad czymś zastanawiał.

– Yngve jeszcze nie wrócił do domu? – spytał.

– Nie – odparła mama. – Zaczynam się już trochę niepokoić.

– Co ty tu przyniosłeś? – Tata spojrział na stół.

– Kurs pływania. Mama miała podpisać.

– Pokaż. – Sięgnął po kartkę, przeczytał. Potem wziął ze stołu długopis, napisał swoje nazwisko i podał mi ją. – Już – oświadczył i skinieniem głowy wskazał na stół. – A teraz zabierz stąd to wszystko do swojego pokoju. Tam możesz skończyć. Teraz będziemy tu jeść kolację.

– Dobrze, tato – powiedziałem. Ułożyłem książki w stos, papier zwinąłem i schowałem pod pachę, do jednej ręki wzięłem nożycki i taśmę klejącą, do drugiej książki i wyszedłem.

W czasie gdy siedziałem przy biurku i obcinałem papier do obłożenia tej ostatniej, na zwór wjechał rower. Chwilę później otworzyły się drzwi wejściowe.

Tata już czekał w korytarzu, kiedy Yngve wchodził po schodach.

– Co to ma znaczyć? – spytał.

Odpowiedź Yngvego była za cicha, żebym mógł ją zrozumieć, ale wyjaśnienie musiało być dobre, bo zaraz poszedł do siebie. Umieściłem książkę na przyściętym kawałku papieru, zagiąłem go, na wierzch położyłem inną, żeby przytrzymać papier i mieć wolne ręce na oderwanie taśmy, która przykleiła się do rolki. Kiedy w końcu złapałem za koniec i zacząłem go ciągnąć, taśma pękła, musiałem więc zacząć od nowa. Za mną otworzyły się drzwi, to był Yngve.

– Co robisz? – spytał.

– Chyba widzisz. Okładam książki.

– Po treningu dostaliśmy bułeczki i oranżadę – powiedział. – W budynku klubu. No i w drużynie były dziewczyny. Jedna naprawdę świetna.

– Dziewczyny? – zdziwiłem się. – Może tak być?

– Najwyraźniej. A Karl Fredrik jest naprawdę fajny.

Przez otwarte okno wpadły jakieś głosy i dźwięk kroków wspinających się pod górę. Kawałek taśmy, który miałem na palcu, przykleiłem do papieru i podszedłem zobaczyć, kto to. Geir i Leif Tore. Zatrzymali się przy podjeździe do domu Leifa Torego, z czegoś się śmiali. Potem się pożegnali i Geir pobiegł do siebie. Kiedy tam skręcił, mogłem wreszcie zobaczyć jego twarz. Uśmiechał się. Rękę trzymał zaciśniętą w kieszeni szortów.

Odwrociłem się do Yngvego.

– A gdzie będziesz grał?

– Jeszcze nie wiem. Pewnie w obronie.

– Jakі macie kolor strojów?

– Biało-niebieskie.

– Takie jak Trauma?

– Prawie.

– Chodźcie jeść! – zawołał tata z kuchni.

Kiedy tam weszliśmy, na naszych miejscach stały już talerze z trzema kanapkami i szklanki z mlekiem. Ser kminkowy, brązowy ser kozi i dżem. Rodzice w salonie oglądali telewizję. Na zewnątrz droga była szara, gałęzie na drzewach na jej skraju też prawie szare, natomiast niebo nad drzewami po drugiej stronie cieśniny wciąż pozostawało niebieskie i otwarte, jakby unosiło się nad światem innym niż ten, w którym siedzieliśmy.

Następnego dnia rano obudziłem się, kiedy tata otworzył drzwi do mojego pokoju.

– Wstawaj, śpiochu! – powiedział. – Słońce świeci, ptaki śpiewają!

Odrzuciłem kołdrę i spuściłem nogi na podłogę. Oprócz kroków taty, już ginących w korytarzu,

w domu panowała zupełna cisza. Był wtorek Mama wychodziła wcześniej do pracy, Yngve szedł wcześniej do szkoły, no ale tata zaczynał dopiero od drugiej lekcji.

Podszedłem do szafy i zacząłem przeszukiwać leżące w niej ubrania, wybrałem białą koszulę, najlepszą, jaką miałem, i niebieskie sztruksowe spodnie. Doszedłem jednak do wniosku, że koszula jest za elegancka, tata na pewno zwróci na nią uwagę, może spyta, dlaczego tak się stroję, i każe mi ją zdjąć. Lepszy więc będzie biały T-shirt Adidasa.

Z ubraniem pod pachą wszedłem do łazienki. Na szczęście Yngve pamiętał, żeby zostawić mi wodę w umywalce. Zamknąłem drzwi za sobą. Podniosłem kłapę sedesu i się wysikałem. Siki były zielonożółte, nie ciemnożółte, jak czasami bywały rano. Chociaż bardzo się starałem, żeby wszystkie krople trafiły do muszli, gdy otrząsałem siusiaka, kilka i tak skapnęło na podłogę obok, przezroczyście pęcherzyki wilgoci na niebieskoszarym linoleum, wytarłem je kawałkiem papieru toaletowego, który wrzuciłem do sedesu, zanim spuściłem wodę. Jeszcze szumiała, kiedy stawałem przy umywalce. Woda w niej miała lekko zielonkawy kolor. Na powierzchni unosiły się drobne, prawie przezroczyste płatki, nie bardzo wiedziałem, czym są. Ułożyłem dłonie w miseczkę, napełniłem je wodą, nachyliłem się i zanurzyłem twarz. Woda była odrobinę chłodniejsza od mojej skóry, po plecach przebiegł mi dreszcz. Namydliłem ręce, prędko przeciągnąłem nimi po twarzy, zamykając przy tym oczy, opłukałem, wytarłem dłonie i twarz w żółtobrązowy ręcznik, który wisiał na moim wieszaku.

Gotowe!

Odsunąłem zasłonkę i wyjrzałem. Drzewa w lesie, nad którym akurat wzniosło się słońce, rzucały głębokie, mroczne cienie na zazwyczaj lśniący w słonecznych promieniach asfalt. Ubrałem się i poszedłem do kuchni.

Na moim miejscu stał głęboki talerz z kornfleksami, a obok karton mleka. Taty nie było. Czyżby poszedł do gabinetu, żeby się spałować?

Nie. Usłyszałem, że kręci się po salonie.

Usiadłem i zalałem płatki mlekiem. Zanurzyłem łyżkę, podniosłem ją do ust.

O, jasny gwint!

Mleko skwaśniało, smak, który wypełnił mi całe usta, wywołał odruch wymiotny, skurcze żołądka rozniosły się na pierś. Przełknąłem. W tej samej chwili usłyszałem krok taty. Przeszedł przez kuchnię, zbliżył się do stołu, oparł o blat. Patrzył na mnie z uśmiechem. Znowu zanurzyłem łyżkę w talerzu i podniosłem do ust. Na samą myśl o smaku, który mnie czeka, żołądek mi się wyrócił. Ale starałem się oddychać ustami i przełknąłem, wcześniej dwa razy poruszywszy szczęłkami.

Cholera.

Tata nie wykazywał zamiaru wyjścia, więc dalej jadłem. Gdyby zszedł na dół do gabinetu, mógłbym wyrzucić płatki do śmieci i przykryć innymi odpadkami, ale dopóki był w kuchni czy w ogóle na piętrze, nie miałem wyboru.

Po jakimś czasie odwrócił się i otworzył szafkę. Wyjął taki sam talerz jak mój, w szufladzie znalazł łyżkę i usiadł po drugiej stronie stołu.

Nigdy tak nie robił.

– Ja też trochę zjem – oświadczył. Nasypał złocistych kruchych płatków z kartonu z zielono-czerwonym kogutem i sięgnął po mleko.

Przestałem jeść. Wiedziałem, że to zmierza wprost ku katastrofie.

Tata zanurzył łyżkę w talerzu i wypełnioną mlekiem z płatkami, podniósł do ust. Gdy tylko się w nich znalazła, skrzywił się. Z powrotem wypluł wszystko do talerza, nawet nie gryząc.

– Faj! – powiedział. – Mleko skwaśniało! Cholera!

Potem spojrział na mnie. Wiedziałem, że zapamiętam to spojrzenie do końca życia. Jego oczy nie były złe, jak się spodziewałem, tylko zdumione, jakby patrzył na coś, czego absolutnie nie mógł zrozumieć, ba, jakby w ogóle pierwszy raz mnie zobaczył.

– Jadłeś kornfleksy z zepsutym mlekiem? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Nie możesz tego jeść. Zaraz dostaniesz świeże mleko.

Wstał, wylał skwaśniałe mleko do zlewu, mocno potrząsając kartonem, wypłukał go, zgniół i wrzucił do śmieci pod zlewem, a potem z lodówki przyniósł świeże mleko.

– Poczekaj – powiedział. Zabrał mój talerz, wylał jego zawartość do zlewu, kilka razy potarł go szczotką do zmywania, opłukał, postawił przede mną na stole. – Już. Weź sobie świeże płatki i świeże mleko, okaj?

– Tak

To samo zrobił ze swoim talerzem. Dalej jedliśmy już w milczeniu.

W szkole wszystko w tych dniach było nowe, ale każdy dzień miał ten sam schemat, z którym tak prędko się zapoznaliśmy, że minęło zaledwie kilka tygodni, a nic już nas nie zaskakiwało. To co mówiono z katedry, uznawaliśmy za prawdę, już sam fakt wypowiedzenia słów z tego miejsca sprawiał, że najbardziej nieprawdopodobne rzeczy stawały się prawdopodobne. Prawdą było, że Jezus chodził po wodzie. Prawdą było, że Bóg objawił się Mojżeszowi w postaci krzewu gorejącego. Prawdą było, że choroby są wywoływane przez stworzonka tak małeńkie, że nikt ich nie widzi. Prawdą było, że wszystko, również my, składa się z malusieńkich ziarenek, jeszcze mniejszych niż bakterie. Prawdą było, że drzewa żywią się światłem słonecznym. Ale przyjmowaliśmy bez zastrzeżeń nie tylko wszystko to, co nauczyciele mówili, lecz również to, co robili. Mielśmy wielu starych nauczycieli, urodzili się przed pierwszą wojną albo w jej czasie i byli aktywni zawodowo od lat trzydziestych lub czterdziestych. Siwowłosi, w garniturach, nigdy nie potrafili zapamiętać naszych imion, a umiejętności i wiedza, jakie mieli nam do przekazania, nigdy do nas nie docierały. Jeden z nich nazywał się Thommesen i raz w tygodniu podczas dużej przerwy czytał nam książkę, zgarbiony przy katedrze, lekko bełkocząc. Miał bladą, prawie żółtą cerę, sinoczerwone wargi. Książka, którą nam czytał, opowiadała o jakiejś kobiecie na pustkowiu, nie mogliśmy nic z niej zrozumieć, więc te chwile, które on sam prawdopodobnie uważał za miłe, za gest życzliwości w stosunku do najmłodszych uczniów, były dla nas prawdziwą udręką, bo musieliśmy siedzieć cicho, podczas gdy on, charcząc i mamrocząc, przedzierał się przez tę niezrozumiałą opowieść.

Inny z nauczycieli, Myklebust, pochodził gdzieś z Vestlandet, mieszkał na Hisøi i utrzymywał

żelazną dyscyplinę. Przed każdą lekcją z nim musieliśmy nie tylko ustawić się w pary i wchodzić do klasy marszem, lecz kiedy już się tam znaleźliśmy, musieliśmy również stać przy ławkach, a on zatrzymywał się obok katedry i długo nam się przyglądał, dopóki nie zapadła kompletna cisza. Stawał wtedy na palcach, kłaniał się i mówił: „Dzień dobry, klaso” albo „Witam klasę”, na co my odpowiadaliśmy: „Dzień dobry panu” albo „Witamy pana”. W trudnych sytuacjach nie wahał się uderzyć ucznia albo popchnąć go na ścianę. Często naśmiewał się z tych, których nie lubił. Lekcje gimnastyki z nim zmieniały się w prawdziwą musztrę. Było także kilka nauczycielek w podobnym wieku, równie surowych formalistek, otaczała je aura, której nie znaliśmy, lecz instynktownie czuliśmy przed nią respekt, a nierzadko również lęk. Pamiętam, że raz, kiedy powiedziałem coś niewłaściwego, jedna z nich podniosła mnie za włosy. Poza tym jednak poprzestawały na uwagach w dzienniczku, ponieważ dłuższe zostawanie po lekcjach czy przychodzenie na godzinę zerową nie wchodziło w grę z uwagi na autobus. Oprócz tej gromady starszych, niektórych zatrudnionych w tej szkole przez całe życie, było również pokolenie nowych nauczycieli, w wieku naszych rodziców albo jeszcze młodszych. Do nich należała nasza wychowawczyni, Helga Torgersen. Była, jak się to mówi, „miła”, to znaczy nigdy nie reagowała ostro, kiedy coś złe się działo, nigdy nie wpadała w złość, nie krzyczała, nie biła ani nie ciągnęła za włosy, spokojna i opanowana, wszystkie konflikty rozwiązywała rozmową i raczej swoją obecnością niż rolą, w takim znaczeniu, że jako nauczycielka w klasie niezbyt się różniła od osoby, jaką była prywatnie, wśród przyjaciół albo w domu z mężem, z którym nie tak dawno wzięła ślub. Nie była w tym osamotniona, wszyscy młodzi nauczyciele tak się zachowywali i tych lubiliśmy. Dyrektor szkoły należał do młodych, miał około trzydziestki, nazywał się Osmundsen, nosił brodę, był potężny, dość podobny do taty, ale jego się baliśmy, może najbardziej ze wszystkich. Nie z powodu tego, co robił, tylko z powodu tego, kim był. To do jego gabinetu wzywano, kiedy popełniło się jakieś poważne wykroczenie. To, że w żadnej klasie nie uczył na co dzień, tylko przebywał w szkole jako coś w rodzaju cienia, wcale tego strachu nie umniejszało. Był owiany legendą również z innego powodu. Rok wcześniej, w odległości zaledwie kilku metrów od gładkich skał po wschodniej stronie wyspy, odnaleziono wrak statku niewolniczego, który zatonął tam w roku 1768, odkrycie to opisywały wszystkie gazety, mówiono o nim nawet w telewizji. Dyrektor Osmundsen był jednym z trzech nurków, którzy go znaleźli. Dla mnie, ceniącego nurkowanie ponad wszystko, może z wyjątkiem żaglowców, był największym z wielkich ludzi, jakiego mogłem sobie wyobrazić. Jakbym miał za dyrektora astronautę. Kiedy rysowałem, to oprócz żaglowców zapełniałem całe strony wyłącznie nurkami, wrakami, rybami i rekinami. Po obejrzeniu któregoś z programów przyrodniczych, jakie w tamtym czasie puszczano w telewizji, o nurkowaniu na rafie koralowej albo w klatce wśród rekinów, mówiłem o nim później całymi tygodniami. A on był tak blisko, ten brodaty mężczyzna, który rok wcześniej wynurzył się nad powierzchnię wody, trzymając w rękach kiel słoniowy, wyciągnięty z jednego z nielicznych zachowanych wraków statków niewolniczych, jakie zostały odnalezione.

Przyszedł do naszej klasy już na drugi dzień, trochę nam mówił o szkole i obowiązujących w niej regulach, a po jego wyjściu Pani zapowiedziała, że któregoś dnia, już niedługo, przyjdzie opowiedzieć o wraku, w którego odnalezieniu uczestniczył. Podczas jego obecności stała przy oknie z rękami założonymi za plecy i cały czas się uśmiechała, tak samo było, kiedy zjawiał się dwa tygodnie później, jak obiecał. Byłem niezmiernie podniecony jego opowieścią, lecz również

odrobineń zawiedziony, kiedy się okazało, że wrak leżał na głębokości zaledwie kilku metrów. Dość znacznie pomniejszało to jego osiągnięcie, bo spodziewałem się nawet stu metrów, z nurkami, którzy przy wynurzeniu, trzymając się liny, musieli robić postoje, może nawet godzinne, z uwagi na panującą na dole wysokie ciśnienie. Głębokiego mroku, błyskających promieni latarek, może nawet niewielkiej łodzi podwodnej albo dzwonu nurkowego. Ale tak na płyciźnie, tuż pod stopami kąpiących się tam ludzi? W zasięgu każdego chłopaka wyposażonego w płetwy i maskę do nurkowania? No ale z drugiej strony dyrektor pokazywał zdjęcia z tego odkrycia, nurkowie mieli ponton do nurkowania, zacumowany w głębi zatoki, mokre kombinezony i butle, a całe przedsięwzięcie zostało bardzo starannie i dokładnie zaplanowane na podstawie starych map i dokumentów.

Tata raz prawie też był w telewizji. Przeprowadzono z nim wywiad, miało to jakiś związek z polityką, ale kiedy usiedliśmy oboje przed „Wiadomości”, nagranie się nie pojawiło, nie puszczone go również dzień później, gdy także zasiedliśmy przed telewizorem. Raz wystąpił za to w radiu, rozmawiano z nim przy okazji wystawy znaczków pocztowych, o czym całkiem zapomniałem, więc kiedy tego dnia wróciłem do domu, okazało się, że jest już po wszystkim, a on na mnie nakrzyczał.

Wielu nauczycieli początkowo myliło moje imię, byli to przecież koledzy z pracy mojego ojca i zakładali, że otrzymałem imię po nim, ale mnie się nawet podobało, że mnie znają, że jestem synem swego ojca. Już od pierwszego dnia w szkole starałem się ze wszystkich sił, głównie po to, żeby być najlepszy w klasie, lecz również miałem nadzieję, że do uszu taty dotrze, jak jestem zdolny.

Uwielbiałem chodzić do szkoły. Uwielbiałem wszystko, co się tam działo, i pomieszczenia, w których się to działo.

Nasze krzesła – niskie i stare, z metalowych rurek, z drewnianą płytą do siedzenia i drugą służącą jako oparcie dla pleców, nasze ławki – porysowane i poplamione atramentem przez wszystkich tych, którzy siedzieli w nich wcześniej. Tablicę, kredę i gąbkę, litery wyrastające spod kredy trzymanej przez Panią, O, U, I, E, Å, Æ, zawsze białe, takie jak białe stawały się w końcu jej dłonie. Wschniętą na wiór gąbkę, która ciemniała i miękła, gdy Pani płukała ją w zlewie. I to przyjemne uczucie, kiedy wycierała wszystko, na kilka minut pozostawiając mokry ślad, aż w końcu tablica znów była czysta i zielona jak przedtem. Panią, która mówiła dialektem z Karmøy w zachodniej Norwegii, miała duże okulary i krótkie włosy, nosiła bluzki i spódnice. I wszystko to, co nam opowiadała i o co nas pytała. Mieliśmy się nauczyć, że nie należy mówić jedno przez drugie i odzywać się bez niepytania, a tylko wtedy, gdy podniesiemy rękę do góry, a ona na nas wskaże albo skinie nam głową. Na początku w klasie wyrastał cały las rąk machały niecierpliwie, niektórzy wołali: j a, j a, j a, bo Pani nie pytała o nic trudnego, zadawała takie pytania, na które wszyscy potrafili odpowiedzieć. No i przerwy. Wszystko, co się działo podczas nich, tłum dzieciaków wychodzących z klas, gromady, które się tworzyły i rozpyływały, zajęcia, które rozkwitały i zamierały. Wieszaki w korytarzu przed klasą, na których zostawialiśmy kurtki, zapach dziesięcioleci mycia wszystkiego szarym mydłem, smród sików w kiblu, zapach mleka w szafkach, zapach dwudziestu paczek z drugim śniadaniem z różnymi serami czy wędliną otwieranych jednocześnie w klasie. System dyżurnych, kiedy to jeden uczeń przez cały tydzień

odpowiadał za rozdawanie tego, co należało rozdać, ścieranie tablicy po lekcji i przynoszenie kartonów z mlekiem na dużej przerwie. Związane z tym poczucie, że jest się wybranym. I to wyjątkowe wrażenie chodzenia po korytarzach w czasie, gdy wszyscy inni byli w klasach, zupełnie wtedy pustych korytarzach, między wiszącymi po obu stronach kurtkami, wśród szmerów dobiegających z sal, światło odbijające się w linoleum, a jeśli świeciło słońce – tysiące cząsteczek kurzu w powietrzu lśniących jak Droga Mleczna. Wybiegający z nagle otwartych drzwi chłopiec potrafił zmienić atmosferę w całym długim korytarzu, ściągając na siebie wszelką uwagę i stać się zbiorem wszelkich znaczeń: nagle tylko on się liczył. Jakby porywał ze sobą cały zapach, cały kurz, całe światło, wszystkie kurtki i szmery, niczym kometa na niebie, zbierająca po drodze mijany pył i śmieci, wchłaniająca je w długie, chociaż w stosunku do świecącego centrum blady ogon.

Uwielbiałem tę chwilę, kiedy Geir dzwonił do drzwi i w podskokach pędziliśmy do supermarktu, i konkurencję, która właśnie tam się narodziła, polegającą na jak najwcześniejszym przybyciu na miejsce zbiórki, żeby położyć tornister jak najbliżej początku kolejki i dzięki temu móc sobie potem wybrać najlepsze miejsce w autobusie. Uwielbiałem wysiadywać przed sklepem, obserwować, jak inne dzieciaki nadciągają ze wszystkich stron. Niektóre mieszkaly na osiedlach na wyżynie za supermarktem, inne przychodziły z Gamle Tybakken, a jeszcze inne z osad na równinie po drugiej stronie Góry. Lubilem patrzeć zwłaszcza na Anne Lisbet. Miała nie tylko czarne, lśniące włosy, lecz również ciemne oczy i duże czerwone usta. Zawsze była taka wesoła, dużo się śmiała, a jej ciemne oczy błyszczały, jakby nosiła w sobie tyle radości, że zawsze zdawały się nią wypełnione. Jej rudowłosa przyjaciółka miała na imię Solveig, mieszkaly po sąsiedzku i zawsze trzymały się razem, tak jak Geir i ja. Solveig była blada i piegowata, niewiele się odzywała, ale oczy miała dobre. Mieszkaly na najwyższym położonym osiedlu na Tybakken, w okolicy, w której byłem zaledwie dwa razy i nikogo tam nie znałem. Anne Lisbet miała o rok młodszą siostrę, tak mówiła, kiedy przyszła jej kolej na opowiadanie o sobie w klasie, i o cztery lata młodszego braciszka. Mieszkał tam również inny chłopiec z naszej klasy, o imieniu Vemund, był trochę grubawy i powolny, może wręcz ociężały. Biegał najwolniej ze wszystkich, był najslabszy, rzucał jak dziewczyzna, źle grał w piłkę i nie umiał czytać, za to lubił rysowanie i większość innych zajęć, które wykonywało się na siedząco i pod dachem. Jego matka była wysoka, potężną i energiczną kobietą, o pełnych złości oczach i przenikliwym głosie. Ojciec, chudy i blady, chodził o kulach, cierpiał na jakąś chorobę mięśni i krwawiczkę, jak oświadczył Vemund z dumą. Ktoś spytał, co to jest krwawiczką. Krew mu nie krzepnie, wyjaśnił Vemund. Kiedy tata się skałeczy i zacznie mu lecieć krew, to nigdy nie przestaje, tylko leci i leci. Kiedy wtedy wziąć lekarstwo albo jechać do szpitala, bo inaczej umrze.

Sąsiedztwo Anne Lisbet, Solveig i Vemunda, okolica, w której mieszkaly wiele innych dzieci, o rok lub dwa starszych albo młodszych od nas, zostało nagle dodane do naszego świata, kiedy zaczęliśmy chodzić do szkoły. Podobnie było z wszystkimi innymi okolicami, z których dzieci trafiły do naszej klasy. Trochę tak, jakby odsunęła się kurtyna i to, co postrzegaliśmy jako scenę, okazało się jedynie proscenium. Dom w pobliżu Góry, którego zupełnie płaski, otoczony zieloną siatką ogród mogliśmy zobaczyć ze szczytu, jakby balansujący na białym murze, opadającym stromo mniej więcej pięć metrów, przestał być na przykład po prostu jakimś tam domem i stał się domem, w którym mieszkaly Siv Johannesen. Pięćdziesiąt metrów dalej, za gęstym lasem,

kończyła się droga, a przy niej mieszkali Sverre, Geir B. i Eivind. Poniżej, ale już w całkiem innej osadzie, w zupełnie innym świecie, mieszkali Kristin Tamara, Marian i Asgeir.

Wszyscy oni mieli swoje miejsca, wszyscy oni mieli swoich przyjaciół i wszystko to w ciągu kilku tygodni późnego lata otworzyło się również przed nami. Było jednocześnie nowe i znajome, przecież niczym się nie różniliśmy, zajmowaliśmy się tym samym i pod tym względem byliśmy otwarci na innych. Jednocześnie każdy miał coś swojego. Sølvi była tak nieśmiała, że prawie nie mogła mówić. Unni w każdą sobotę pracowała na targu razem z rodzicami i braćmi, sprzedawali warzywa, które sami uprawiali. Ojciec Vemunda chodził o kulach. Kristin Tamara miała okulary z jednym szkłem zasłoniętym czarną kłapką. Geir Håkon, zawsze taki twardy, nagle przed tablicą tracił rezon. Dag Magne cały czas chichotał. Geir tuż po urodzeniu otrzymał ostatnie namaszczenie, bo wszyscy sądzili, że zaraz umrze. Asgeir zawsze lekko śmierzdział siłami. Marianne była silna jak chłopak Eivind umiał czytać i pisać, świetnie grał w piłkę. Trond był drobny i szybki. Solveig znakomicie rysowała. Ojciec Anne Lisbet był nurkiem. A John miał najwięcej wujków ze wszystkich.

Któregoś dnia mieliśmy w szkole trzy lekcje i koło jedenastej autobus wysadził nas przy supermarkecie. Geir i ja ruszyliśmy do domu z Johnem. Słońce świeciło, niebo było błękitne, droga sucha i zakurzona. Kiedy dotarliśmy do domu Johna, zaprosił nas do siebie na sok. Postanowiliśmy, że pójdziemy. Weszliśmy za nim na werandę, odłożyliśmy tornistry i usadowiliśmy się na stojących tam plastikowych krzesłach. Otworzył drzwi do domu i zawołał:

– Mamo, chcemy soku! Koledzy z klasy przyszli!

Matka stanęła w drzwiach, była w białym bikini, miała opaloną skórę, długie ciemnoblonde włosy, a całą górną część twarzy zakrywały jej wielkie przeciwsłoneczne okulary.

– Jak miło – powiedziała. – Zaraz sprawdzę, czy znajdę dla was trochę soku.

Zniknęła w drzwiach w głębi. Pokój miał w sobie jakąś pustkę, był podobny do naszego, ale z mniejszą liczbą mebli, a na ścianach nie wisały żadne obrazy. Drogą przechodziły akurat dwie dziewczynki z naszej klasy. John wychylił się przez balustradę i krzyknął za nimi, że przy pominięciu mały.

Geir i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

Dziewczynki nie zareagowały, szły dalej, nie zatrzymując się. Marianne, wyższa od wszystkich chłopców, miała wysokie czosło, mocno zarysowane kości policzkowe i długie jasne włosy, zwisające jak zasłony po obu stronach twarzy. Czasami, kiedy była wzburzona albo smutna, czoło jej się marszczyło, a oczy nabierały szczególnego wyrazu, na który lubiłem patrzeć. Potrafiła się też rozłościć i odgryźć, jak żadna inna dziewczyna.

Matka Johna przyniosła na tacy trzy szklanki i dzbanek wody z sokiem. Postawiła przed nami po szklance i nalała do pełna. Na powierzchni czerwonego soku pływały gęsto jedna przy drugiej kostki lodu. Popatrzyłem na matkę Johna, kiedy wchodziła do środka. Nie była ładna, ale miała w sobie coś, co przykuwało uwagę i przyciągało wzrok

– Patrysz na tyłek mojej matki? – John roześmiał się głośno.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Dlaczego miałbym patrzeć na tyłek jego mamy? Było mi głupio, bo w dodatku powiedział to tak głośno, że musiała słyżeć.

– Nie, wcale nie – zaprotestowałem.

Śmiał się jeszcze bardziej.

– Mamo! – zawołał. – Chodź na chwilę!

Przyszła, wciąż w bikini.

– Karl Ove patrzył na twój tyłek! – oznajmił.

Dała mu w twarz.

John dalej się śmiał. Zerknąłem na Geira, spoglądał gdzieś przed siebie, cicho pogwizdując. Matka weszła do domu. Duszką opróżniłem szklanę z sokiem.

– Chcecie zobaczyć mój pokój? – spytał John.

Pokiwaliśmy głowami i ruszyliśmy za nim. Na jednej ścianie wisiał plakat z motocyklem, a na drugiej – z prawie nagą kobietą, która miała skórę pomarańczową od słońca.

– To kawasaki siedemset pięćdziesiąt – oznajmił John. – Chcecie jeszcze soku?

– Chyba nie – powiedziałem. – Muszę wracać do domu na obiad.

– Ja też – stwierdził Geir.

Kiedy wychodziliśmy, zaczął na nas warczeć pies. Szliśmy w dół z boczka bez słowa. John pomachał nam z werandy. Geir mu odmachał.

Dlaczego miałbym patrzeć na tyłek matki Johna? Czy było coś z tyłkami, czego nie zauważyłem? Dlaczego on tak do mnie zawołał? Dlaczego powiedział o tym jej? Dlaczego go uderzyła? Dlaczego, na miłość boską, dalej się potem śmiał? Jak można się śmiać, kiedy mama cię uderzy? Kiedy w ogóle ktoś cię uderzy?

Owszem, patrzyłem na jego matkę i miałem wtedy mgliste poczucie winy, ponieważ była prawie naga, ale nie patrzyłem na jej tyłek, dlaczego miałbym patrzeć?

To był pierwszy raz, kiedy byłem u Johna w domu, i jak się miało okazać, ostatni. Z Johnem graliśmy w piłkę albo się kąpaliśmy, ale nie znajdował się w gronie tych, których odwiedzaliśmy w domu. Wszyscy trochę się go bali, bo chociaż mówiliśmy, że on tylko udaje, a tak naprawdę wcale nie jest taki twardy, to jednak wszyscy wiedzieliśmy, że właśnie jest. Garnął się do chłopaków z wyższych klas, jako jedyny spośród nas wdawał się w bójki, jako jedyny potrafił postawić się nauczycielom i odmówić zrobienia czegoś, co kazali. Rano bywał śpiący, bo pozwalano mu siedzieć wieczorem tak długo, jak chciał, a kiedy na lekcjach opowiadał o domu, jak my wszyscy, zawsze się okazywało, że mieszka tam jakiś wujek. Ani on, ani my nie pytaliśmy o status tych mężczyzn, zresztą dlaczego mielibyśmy pytać? John miał więcej wujków niż którykolwiek z naszych kolegów i tyłu.

Kilka dni później, w sobotę na początku września, w jeden z tych wczesnojesiennych dni, po które lato sięga i całkowicie je wypełnia, kiedy ziemia jest nagrzana i pokryta kurzem, niebo ciemnobłękitne, pierwsze zwiędłe liście niemal wbrew naturze wirują w powietrzu, ponieważ

wiatr jest ciągle ciepły, a wszystkie twarze, jakie się widzi, aż błyszczą od potu, Geir i ja wybraliśmy się na wycieczkę w górę osiedla. Mieliśmy ze sobą kanapki i butelkę z sokiem. Zamierzaliśmy pójść nową drogą, odchodzącą w lewo przy końcu dużej równiny, mniej więczej tam, gdzie zaczynała się ścieżka do Finy. Żeby tam dotrzeć, musieliśmy przejść przez działkę z domem, o którym mało wiedzieliśmy, oprócz tego, że jego właściciel potrafi się rozłożyć, ponieważ pewnej wiosennej niedzieli całą gromadą graliśmy w piłkę na samym końcu jego posesji, z jednej strony ograniczonej skalami, z drugiej strumieniem, a on po półgodzinie przyszedł szybkim krokiem i zaczął krzyczeć, jeszcze zanim mogliśmy go usłyszeć, jednocześnie wyrażając nam pięćcią, więc zaraz stamtąd uciekliśmy. Ale teraz nie zamierzaliśmy grać w piłkę, teraz chcieliśmy tylko przejść przez jego działkę wzdłuż strumienia i dotrzeć do ścieżki, a właściwie niewielkiej drogi wysypanej drobnymi, płaskimi i głównie białymi kamyczkami. Była tam brama, przepchnęliśmy ją na boki i znaleźliśmy się w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie byliśmy. Ścieżkę spowijał cień, po obu stronach rosły wysokie drzewa, więc szło się prawie jak w tunelu. Kawalek dalej ścieżka skręcała i zaraz w blasku słońca załśniła biała góra. To z niej musiały pochodzić kamyczki, po których stąpaliśmy. Zatrzymaliśmy się przed nią. Zbocze nie było poszarpane, jakby póżgnięte, jak potrafiły wyglądać po wybuchu bardziej porowate skały, ani też łagodnie nachylone i lekko szorstkie, jak płaskie skały nad morzem i wiele innych nagich skał, na które natykaliśmy się w lesie, nie, to zbocze było zupełnie gładkie, niemal jak szkło, i składało się z wielu ukośnych płaszczyzn. Czyżbyśmy natknęli się na jakąś żyłą kamieni szlachetnych? Tak to niemal wyglądało. Jednocześnie góra znajdowała się zbyt blisko osiedla, więc nie było szans, abyśmy odkryli coś, czego nie odkrył do tej pory nikt inny. Mieliśmy tego świadomość. Ale mimo wszystko napełniliśmy plecaki tymi kamyczkami. Ruszyliśmy dalej w dół. Ścieżka biegła wzdłuż strumienia, który na samej górze płynął głębokim, przypominającym otchłań korytem, a kawalek dalej, tam gdzie robiło się bardziej stromo, spadał małymi, szemrzącymi kaskadami. W pewnym miejscu, w którym płynął mniej więczej na wysokości ścieżki, spróbowaliśmy zbudować tamę. Zaczęliśmy znosić kamienie, dziury między nimi zatykaliśmy mchem i za jakieś pół godziny udało nam się skierować wodę na ścieżkę. Nagle usłyszeliśmy strzał. Popatrzyliśmy po sobie, po czym nałożyliśmy plecaki i co sił w nogach puściliśmy się biegiem w dół. Strzały, czy to możliwe, że to myśliwi? Po kilkuset metrach ścieżka się wypłaszczyła i prowadziła teraz w głębokim zielonoczarzym cieniu, rzucanym przez gęste rzędy wielkich świerków. Sto metrów dalej dostrzegliśmy wyasfaltowaną drogę i tam się zatrzymaliśmy, bo strzały rozlegały się teraz wyraźniej i dochodziły z lewej strony. Weszliśmy między drzewa, na miękką dywan z krzewinek jagód, mchu i wrzosu, wdrapaliśmy się na nieduże wzniesienie i nagle jakieś dwadzieścia metrów dalej zobaczyliśmy olbrzymi, skąpany w słońcu bezdrzewny obszar pełen śmieci.

Wy sy pisko!

Wy sy pisko śmieci w lesie!

Nad jego najdalszym krańcem fruwały mewy. Zanosząc się krzykiem, zataczały koła nad śmietnikiem jak nad morzem. Zapach, słodkawy, ale zarazem mocny, kręcił w nosie. Za chwilę znów rozległy się strzały. Niezbyt głośne, raczej suche, przypominające chrzęst. Wolno ruszyliśmy w stronę brzegu wysypiska i tam, o rzut kamieniem od nas, zobaczyliśmy dwóch mężczyzn. Jeden stał przy wraku samochodu, drugi leżał obok. Obaj mieli strzelby skierowane w stronę śmietnika. Odgłos wystrzałów roznosił się w odstępach dwóch sekund. W końcu ten,

kóry leżał, wstał i obaj ze strzelbami w rękach skierowali się na wysypisko. Podeszliśmy do miejsca, z którego przed chwilą strzelali. Między stosami śmieci, wznoszącymi się i opadającymi niczym wzgórze i pagórki, prowadził korytarz, którym poszli. Byli ubrani jak prawdziwi myśliwi, z butami i rękawicami włącznie. Dorośli, ale nie starzy. Dookoła widziałem wraki samochodów, lodówek, zamrażarki, telewizory, szafy i komody. Widziałem kanapy, krzesła, stoły i lampy. Narty i rowery, wędki, żyrandole, opony samochodowe, kartony, drewniane skrzynki, pudła ze styropianu i całe góry wypchanych plastikowych worków. Mieliśmy przed sobą krajobraz rzeczy wyrzuconych. W przeważającej mierze tworzyły go worki zawierające resztki jedzenia i opakowania, rzeczy, jakie we wszystkich gospodarstwach domowych codziennie wyrzucało się do pojemnika na śmieci, ale w tej części wysypiska, przy której staliśmy i którą szli ci dwaj mężczyźni, zajmującej mniej więcej jedną piątą całego obszaru, leżały większe odpady.

– Oni strzelają do szczurów – powiedział Geir. – Spójrz tam!

Przystanęli. Jeden podniósł szczura za ogon. Cały bok zwierzęcia wyglądał na zmiażdżony, mężczyzna kilka razy zakręcił nim w powietrzu i puścił, szczur poleciał, wylądował na jakichś torbach i zsunął się między nie. Zaśmiali się. Drugi kopnął inne truchło, wsunął pod nie czubek buta i odrzucił je na bok.

Wrócili. Mrużąc oczy od ostrego słońca, przywitali się z nami. Byli do siebie podobni jak bracia.

– Wybraliście się na wycieczkę, chłopcy? – spytał jeden. Spod niebieskiej czapki z daszkiem wystawały rude, kręcone włosy. Miał szeroką twarz, grube wargi i duże wąsy, również rudawe.

Pokiwaliśmy głowami.

– Wycieczka na wysypisko śmieci! A to dopiero! – powiedział ten drugi. Oprócz koloru włosów, jasnych, prawie białych, i pozbawionej zarostu górnej wargi, był jak odbicie pierwszego. – Zamierzacie zjeść swój prowiant tutaj, na szczycie góry śmieci?

Wybuchnęli śmiechem. My też się roześmialiśmy.

– Chcecie popatrzeć, jak strzelamy do szczurów?

– Tak, bardzo chętnie – odparł Geir.

– No to musicie stać za nami. To ważne. Jasne? I nie ruszajcie się, żebyście nam nie przeszkadzali.

Pokiwaliśmy głowami.

Tym razem obaj się położyli. Długo leżeli nieruchomo. Usiłowałem zobaczyć to co oni. Ale dopiero gdy padły strzały, dostrzegłem szczura, sunącego po ziemi, jakby szarpniętego przez nagły i niewiarygodnie silny podmuch wiatru.

Wstali.

– Chcecie iść z nami zobaczyć? – spytał jeden.

– Nie ma czego oglądać – stwierdził drugi. – Martwego szczura!

– Ja chcę zobaczyć – powiedział Geir.

– Ja też – dodałem.

Ale szczur nie był martwy, jeszcze się wił. Tylną część ciała miał prawie całkiem odstrzeloną. Jeden z mężczyzn walnął go mocno w głowę kolbą. Rozległo się miękkie chrupnięcie, szczur

zneruchomiał. Mężczyzna z zatroskaną miną obejrzał kołbę.

– Po co ja to zrobiłem? – westchnął.

– Chciałeś się popisać – orzekł ten drugi. – Chodź, idziemy. Możesz ją wytrzeć koło samochodu.

Wrócili „na suchy ląd”. My za nimi.

– Wasi rodzice wiedzą, że tu jesteście? – spytał jeden.

– Tak – odparłem.

– To dobrze. Pewnie wobec tego uprzedzili was, że nie wolno niczego dotykać. Pełno tu bakterii i innego szajsu.

– Tak – powiedziałem.

– To dobrze. Trzy macie się, chłopcy!

Kilka minut później uruchomili samochód, który stał niżej przy drodze, i zostaliśmy sami. Przez chwilę tylko biegaliśmy w kółko, oglądając różne rzeczy. Opróżnialiśmy worki, przewracaliśmy szafki, żeby sprawdzić, czy za nimi nie ma nic fajnego, cały czas informując się głośnym wołaniem o tym, co znaleźliśmy. Moim największym odkryciem była torba z całkiem porządnymi, prawie nowymi komiksami. Były tam *Tempo* i *Buster*, kieszonkowy *Tex Willer* i kilka małych, podłużnych komiksów kowbojskich z lat sześćdziesiątych. Geir znalazł płaską latarkę, nieduży wyhaftowany obrazek przedstawiający jelenia, a także dwa kółka od dziecięcego wózka. Kiedy nie chciało nam się już dłużej grzebać w śmieciach, usiedliśmy we wrzosie z naszymi skarbami i zjedliśmy kanapki.

Geir zgniół papier i cisnął go najdalej jak potrafił. Zamierzał pewnie dorzucić na sam środek wysypiska, ale akurat z przeciwnej strony powiał wiatr, a papier był tak lekki, że nie doleciał nawet do początku, tylko wylądował we wrzosie.

– Zrobimy kupę? – spytał Geir.

– Możemy. A gdzie?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

Pochodziliśmy trochę po lesie w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Robienie kupy na wysypisku śmieci z jakiegos powodu uznaliśmy za niestosowne, łączyło się z czymś brudnym, tak mi się wydawało, co było dziwne, bo przecież chodziło o śmieci. Ale tutaj śmieci oznaczały błyszczące worki i kartony, zepsuty sprzęt AGD i stopy gazet. Wszystkie, co miękkie i brudzące, na wysypisku leżało opakowane. Musieliśmy więc iść do lasu.

– Spójrz na to drzewo! – zawołał Geir.

Jakieś dziesięć metrów dalej leżała przewrócona wielka sosna. Wdrapaliśmy się na pień, ściągaliśmy spodnie i wypięliśmy tyłki, przytrzymując się gałęzi. Geir poruszył pupą akurat wtedy, kiedy kupa z niego wychodziła, więc poleciała na bok.

– Widziałeś? – Zaśmiał się.

– Cha, cha, cha! – Też się śmiałem, próbując zrobić coś przeciwnego, wypuścić z siebie kupę tak jak samolot zrzuca bombę na miasto. To było cudowne uczucie, kiedy coraz bardziej wychodziła, ta chwila, kiedy wisiała, nim w końcu się urwała i upadła na ziemię.

Czasami wstrzymywałem się przez kilka dni, żeby móc zrobić naprawdę dużą kupę, dlatego że

ta czynność sama w sobie sprawiała mi przyjemność. Kiedy już naprawdę musiałem się załatwić, i to tak, że nie mogłem się nawet wyprostować, tylko musiałem zginać się wpół, czułem w ciele fantastyczne mrowienie, jeśli się nie poddawałem, lecz z całej siły zaciskałem mięśnie tyłka, jakby w p y c h a j a c kupę z powrotem do środka. To było jednak dość niebezpieczne, bo jeśli powtórzyło się zbyt wiele razy, kupa w końcu robiła się taka wielka, że nie dawało się jej wycisnąć. Cholera, ależ to potrafiło boleć, kiedy taka wielka kupa wychodziła. Prawdę mówiąc, było nie do wytrzymania, ból wypełniał mnie całego, rozrywał od środka. „A a a a c h”, krzyczałem wtedy, „a a a a c h”, i nagle, kiedy zapowiadało się, że gorzej już być nie może, kupa wreszcie opuszczała kiszki.

O rany, ależ wtedy było przyjemnie! Cóż za fantastyczne uczucie!

Koniec bólu.

Kupa w sedesie.

Całego mnie wypełniał spokój. Spokój tak wielki, że właściwie nie miałem ochoty się podetrzeć i wstać, chciałem tylko tak siedzieć.

Ale czy było warto?

Zrobienia wielkiej kupy potrafiłem się bać przez cały dzień. Nie chciałem iść do toalety, bo przecież wiedziałem, że będzie tak bardzo boleć. No ale wiedziałem też, że jeśli tego nie zrobię, będzie boleć jeszcze bardziej.

Musiałem więc wreszcie usiąść na sedesie. Ze świadomością, że to będzie tak cholernie, piekielnie, straszliwie bolało.

Raz bałem się tak, że próbowałem znaleźć jakiś inny sposób na wydobycie kupy. Lekko się uniosłem i wsunąłem sobie palec w tyłek tak daleko, jak się dało. Była tam! Kupa twarda jak kamień! Kiedy już ją zlokalizowałem, spróbowałem wiercić palcem, żeby poszerzyć przejście, jednocześnie trochę się napiąłem i tak powolutku przesunąłem całą kupę aż do brzegu. Pokonanie ostatniego odcinka ciągle sprawiało ból, ale już nie taki wielki.

To dopiero metoda!

Wcale się nie przejmowałem, że cały palec mam brudny, bo przecież można go było umyć. Gorzej z zapachem – chociaż tarłem i szorowałem, lekki smród kupy tkwił przy czepiony do palca przez cały dzień i całą noc, a czasami czułem go nawet rano następnego dnia, po obudzeniu.

Należało więc zważyć wszystkie te wady i zalety.

Kiedy Geir i ja już skończyliśmy, podtarliśmy się liśćmi paproci i poszliśmy obejrzeć rezultat. Moja kupa miała zielonkawy połysk i była taka miękka, że już trochę się rozplynęła po ziemi. Kupa Geira była jasnobrązowa z czarnym fragmentem na końcu, twardszym i bardziej grudkowatym.

– Czy to nie dziwne, że moja kupa ładnie pachnie, a twoja śmierdzi? – spytałem.

– To twoja śmierdzi! – oburzył się Geir.

– Wcale nie.

– O kurczę. – Geir ścisnął palcami nos, grzebiąc w mojej kupie grubą gałęzią.

Kręciło się nad nią kilka much. One też miały zielonkawy połysk

– Idziemy? – spytałem. – W przyszłą sobotę możemy sprawdzić, co się z nimi stanie.

– W sobotę wyjeżdżam.

– A dokąd?

– Do Risør. Chyba mamy oglądać kóź.

Pobiegliśmy po nasze rzeczy i wyruszyliśmy w drogę do domu. Geir w każdej ręce niósł kółko, ja dzwigałem reklamówkę pełną komiksów. Kazałem mu obiecać, że nie powie w domu, gdzie byliśmy, bo przeczuwałem, że gdy rodzice się dowiedzą, nie pozwolą nam tam więcej iść. Wymyśliłem już wytłumaczenie dla tych komiksów, na wypadek gdyby tata je odkrył i zareagował. Zamierzałem powiedzieć, że pożyczyłem je od chłopca, który ma na imię Jørn i mieszka na tym drugim osiedlu.

W przedpokoju przez chwilę stałem cicho. Nie usłyszałem niczego niezwykłego, więc nachyliłem się, żeby rozsznurować buty.

Otworzyły się drzwi w głębi. Zdjąłem but i postawiłem go przy ścianie. Otworzyły się drugie drzwi i tata stanął tuż przede mną. Odstawiłem pod ścianę drugi but i się wyprostowałem.

– Gdzie byłeś? – spytał tata.

– W lesie. – Nagle przypomniała mi się wymyślona wymówka, więc dodałem ze wzrokiem wbitym w podłogę: – I jeszcze na szczycie wzgórza.

– Co masz w tej torbie?

– Komiksy.

– Skąd je wzięłeś?

– Pożyczyłem od jednego takiego, który ma na imię Jørn. Mieszka tam.

– Pokaż – powiedział tata.

Podąłem mu torbę, zajął do środka i wyjął kieszonkowego *Texa Willera*.

– To zabieram – oświadczył i wrócił do gabinetu.

Przeszedłem do drugiego przedpokoju i już zacząłem wchodzić po schodach, kiedy mnie zawołał.

Zorientował się? Może komiks cuchnął śmieciem?

Zawróciłem i znów zszedłem na dół. Nogi miałem takie miękkie, że prawie nie chciały mnie nieść.

Stał w otwartych drzwiach.

– Nie dostałeś jeszcze tygodniówki – powiedział. – Yngvemu dałem już wcześniej. Proszę.

Włożył mi do ręki pięciokoronówkę.

– Bardzo dziękuję.

– Ale B-Max jest już zamknięty. Jeśli chcesz sobie kupić coś dobrego, musisz iść na Finę.

Do Finy było daleko. Najpierw długie zbocze, potem długa równina, a jeszcze dalej długa ścieżka przez las do żwirowego nasypu schodzącego do szosy, przy której stała równie

fantastyczna, co pełna zła stacja benzynowa. Zbocze i równina nie stanowiły żadnego problemu. Tam po obu stronach było dużo domów, samochodów i ludzi. Gorzej ze ścieżką, bo zaledwie po kilku metrach znikło się wśród drzew i nie było już ani ludzi, ani nic stworzonego przez człowieka. Tylko liście, krzaki, pnie, kwiaty, od czasu do czasu bagno, pagórek ze zrąbanymi drzewami, łąka. Idąc ścieżką, śpiewałem różne piosenki. *Szedłem sobie ścieżką i Przeleciał ptaszek, Niedźwiedź śpi, Przebyłem morza i lądy.* Kiedy śpiewałem, miałem wrażenie, że nie jestem sam. Jakby piosenka była innym chłopcem. Kiedy nie śpiewałem, rozmawiałem ze sobą. Mówiłem: ciekaw jestem, czy ktoś mieszka po drugiej stronie? A może las ciągnie się w nieskończoność? Nie, to niemożliwe, przecież mieszkamy na wyspie, więc gdzieś musi być morze. Ciekawe, czy przepływa teraz prom do Danii. Kupię sobie cukierków, noxów i foxów. Foxów i noxów. Noxów i foxów. Foxów i noxów. Noxów i foxów.

Na prawo pod drzewami otwierało się coś w rodzaju wielkiej sali. Korony wysokich liściastych drzew tworzyły dach tak gęsty, że innej roślinności na ziemi było niewiele.

Wkrótce potem wyszedłem na szutrową drogę. Idąc nią, minąłem stary biały dom i starą czerwoną stodołę. Już słyszałem szum samochodów dobiegający z szosy w dole, a kiedy do niej dotarłem, pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyłem stację benzynową w całej okazałości.

Cztery dystrybutory przykładały palce do skroni w swoim zwykłym salucie. Wielki biały plastikowy szyld z niebieskim napisem „FINA” jaśniał blado na szczycie wysokiego słupa. Stała przy nim ciężarówka z przyczepą, kierowca wystawił rękę przez otwarte okno i rozmawiał z kimś stojącym na ziemi. Przed sklepem stały trzy motorowery. Do jednego z dystrybutorów podjechał samochód. Wysiadł z niego mężczyzna, tylną kieszeń wypychał mu portfel. Podszedł do dystrybutora i wsunął końcówkę do baku. Stałem przy nim. Pompa zaczęła warczeć. Liczby na tym, co uważałem za twarz dystrybutora, zmieniały się błyskawicznie. Jakby mrużał z szaloną prędkością. W tym czasie mężczyzna patrzył w inną stronę, co wydało mi się wspaniałym gestem – nie patrzeć na to, co się dzieje. To był ktoś, kto się świetnie na wszystkim znał, co do tego nie miałem wątpliwości.

Podszedłem do sklepu i otworzyłem drzwi. Serce zabiło mi szybciej, nigdy nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać w środku. Czy ktoś zagada? Rzuci jakiś żart, z którego wszyscy będą się śmiać?

– No to mamy i małego Knausgård – potrafili na przykład powiedzieć. – Gdzie dziś podziałeś swojego ojca? Siedzi w domu i poprawia wypracowania?

Kręcili się tu gimnazjaliści. Nosili kurtki dżinsowe, albo nawet skórzane, często z naszywkami. Z napisami „Pontiac”, „Ferrari” albo „Mustang”. Niektórzy mieli chustki na szyi. Wszystkimi włosy spadały na oczy. I wszyscy podrzucali głowami, kiedy chcieli je odgarnąć. Na dworze cały czas spluwali i pili colę, a niektórzy wrzucali do butelki orzeszki ziemne, więc jednocześnie pili i jedli. Prawie wszyscy palili, chociaż to było zabronione. Najmłodszy mieli rowery, najstarsi motorowery, a czasami przyłączali się do nich jeszcze starsi chłopcy, którzy mieli samochody.

W tym właśnie kryło się zło. Motorowery, długie włosy, palenie, wagary, gry na automatach, wszystko, co działo się na stacji benzynowej, było złe.

Najstraszniejszy był ich śmiech, który zawsze we mnie uderzał, gdy uświadamiali sobie, że jestem małym Knausgårdem. Nie umiałem się przecież odciąć, musiałem po prostu spuścić

głowie i chyłkiem przemykać do lady, żeby kupić to, po co przyszedłem.

– Mały Knausgård się boi! – potrafili wtedy zawołać, jeśli byli akurat w takim humorze, bo równie często jak mnie zaczepiali, zostawiali mnie w spokoju. Nigdy nie dało się niczego przewidzieć.

Tym razem mi nie dokuczali. Trzech stało przy automacie do gry, czterech siedziało przy stoliku i piło colę, a przy stoliku w głębi sklepu siedziały jeszcze trzy wymalowane dziewczyny i chichotały.

Kupiłem foxów i noxów za całe pieniądze, jakie miałem, więc sporo tego wyszło. Ekspedient włożył je do przezroczystej foliowej torebki i szybko wyszedłem.

Pod górę żwirowym nasypem, na którym powietrze było chłodne, ponieważ słońce już tam nie docierało, i dalej na ścieżkę. Nie najgorzej mi poszło, uznałem, omiatając wzrokiem wszystkie pnie drzew w dali, żeby sprawdzić, czy coś tam się nie porusza. Na głos zadałem sobie pytanie: „Ale jak mam to właściwie zrobić, jeść na przemian, czy raczej najpierw wszystkie foxy, a potem wszystkie noxy?”.

W krzakach z prawej strony coś nagle zaszeleściło.

Zatrzymałem się, spojrzałem w tamtym kierunku, na wszelki wypadek cofnąłem się o kilka kroków.

Znów ten szelest.

Co to mogło być?

– Hej! – zawołałem. – Jest tu ktoś?

Cisza.

Nachyliłem się, wziąłem do ręki kamień. Rzuciłem nim w krzaki i ruszyłem pod górę ile sił w nogach. Kiedy znów się zatrzymałem i zobaczyłem, że nic mnie nie goni, zacząłem się śmiać.

– No to dostałeś! – powiedziałem i dalej wspinałem się pod górę.

Jeśli chodziło o zmarłych, to najważniejsze było o nich nie myśleć. Cały czas skupiać się na czymś innym. Bo kiedy już raz zaczęło się o nich myśleć, o tym, że są tutaj, na przykład za tamtym świerkiem, to nagle myślenie o czymś innym stawało się niemożliwe i człowieka ogarniał coraz większy strach. W końcu nie pozostawało nic innego niż ucieczka z sercem dziko walącym w piersi i echem krzyku wypełniającym całe wnętrze.

Chociaż więc tym razem wszystko poszło gładko, to i tak poczułem ulgę, kiedy ścieżka otworzyła się na równinę z osiedlem.

Powietrze, całkiem przejrzyste, kiedy wychodziłem z domu, nabrało szarości nad polem i między domami przy drodze.

Trochę sobie pobiegłem.

Przed jednym z domów stały dwie dziewczyny. Obserwowały, jak idę przez trawę, potem biegiem ruszyły w moją stronę.

Czego chciały?

Patrzyłem na nie, ale dalej szedłem.

Zatrzymały się tuż przede mną.

Jedną z nich była siostra Toma, chyba największego chłopaka na osiedlu. Miał własny samochód, czerwony i błyszczący. Tej drugiej nigdy wcześniej nie widziałem. Miały co najmniej dziesięć lat.

– Gdzie byłeś? – spytała jedna.

– Na Finie – odpowiedziałem.

– A co tam robiłeś? – spytała druga.

– Nic. – Dałem krok naprzód.

Zastąpiły mi drogę, tak że nie mogłem ich wyminąć.

– Odsuńcie się – poprosiłem. – Idę do domu.

– A co masz w tej torebce?

– Nic.

– Coś masz. Foxy i noxy. Przecież widać.

– I co z tego? Kupiłem dla brata. On ma jedenaście lat.

– Daj nam to.

– Nie dam – powiedziałem.

Ta jedna, siostra Toma, sięgnęła po torebkę. Machnąłem nią w bok. Druga wyciągnęła ręce i popchnęła mnie tak, że się przewróciłem.

– Dawaj torebkę! – zawołała.

– Nie – zaprotestowałem, trzymając mocno cukierki, a jednocześnie próbując się podnieść.

Znowu mnie popchnęła. Rozłożyłem się jak długi i rozpląkałem.

– To moje! – krzyknąłem. – Nie możecie mi ich zabrać!

– A nie mówiłeś, że twojego brata? – spytała ta pierwsza i wyrwała mi torebkę z ręki. Śmiejąc się, pobiegły przez trawę w stronę drogi.

– To moje! – wołałem za nimi. – To moje!

Całą drogę do domu płakałem. Ukradły mi moje cukierki. Jak to możliwe? Jak mogły po prostu podejść i mi je zabrać? Przecież były moje! Dostałem pieniądze od taty i poszedłem tak daleko, aż na Finę! A one po prostu mi je zabrały! I jeszcze mnie popchnęły! Jak mogły coś takiego zrobić?

W pobliżu domu wytarłem twarz rękawami bluzy, szybko mrugając i potrząsając głową, żeby nikt nie widział, że rzycałem.

Raz, kiedy miałem pięć lat, młodsza siostra Tronda, Wenche, rzuciła we mnie wielkim kamieniem i trafiła prosto w brzuch. Rozpląkałem się i podbiegłem do naszego płotu, bo tata pracował w ogrodzie. Byłem pewien, że mi pomoże, ale on wcale nie chciał, przeciwnie, powiedział, że Wenche nie dość, że jest dziewczyną, to jeszcze o rok młodszą ode mnie, więc nie ma się co mazać. Oświadczył, że wstyd mu za mnie i że muszę się w końcu nauczyć oddawać. Ale ja nie mogłem tego pojąć. Przecież wszyscy wiedzieli, że rzucanie kamieniami jest złe, że to najgorsza rzecz, ostatnia, jaką można zrobić.

Ale nie tata, o nie. On stał surowy, z rękami założonymi na piersiach i patrzył na drogę, na której bawily się dzieciaki, w końcu kazał mi wracać do zabawy, przestać zawracać mu głowę.

A teraz to dziewczyny ukradły mi cukierki, więc szukanie pomocy u taty nie miało sensu.

Stanąłem w przedpokój, chwilę nasłuchiwałem, zdjąłem buty, postawiłem je pod ścianą i ostrożnie wszedłem po schodach na górę do pokoju Yngvego, a jednocześnie myśl o wszystkich foxach i noxach, które przepadły, powróciła z nową siłą i znów łyży polały mi się po policzkach.

Yngve leżał na łóżku na brzuchu, z uniesionymi nogami, i czytał *Bustera*. Między sobą a komiksem wy sy pał cukierki z torebki.

– O co ryczysz? – spytał.

Opowiedziałem mu, co się stało.

– Nie mogłeś po prostu uciec?

– Nie, bo zagroziły mi drogę.

– Popchnęły cię. Nie mogłeś sam ich popchnąć?

– Nie, bo były ode mnie o wiele większe i silniejsze – zasłochalem.

– Nie musisz z tego powodu tak ryczeć – powiedział Yngve. – Lepiej ci będzie, jak ci dam trochę swoich?

– Taak – wysłochalem.

– Ale niedużo, tylko trochę. Możesz na przykład wziąć ten, ten i ten. I jeszcze może ten. Już. Tak lepiej?

– Tak. Mogę tu trochę posiedzieć?

– Możesz, dopóki wszystko nie zjesz. Potem musisz iść.

– Dobrze.

Kiedy już zjadłem cukierki i obmyłem twarz zimną wodą, poczułem się tak jakbym zaczynał się od nowa. Słyszałem, że mama jest w kuchni, gotowała, szumiał wentylator. Taty z góry nie słyszałem, więc prawie na pewno był w swoim gabinecie. Wszedłem do kuchni i usiadłem na krześle.

– Kupiłeś sobie sobotnie słodczyce? – spytała mama. Stała przy kuchence i coś mieszała na patelni, chyba mielone mięso. Skwierczało i syczało. Na drugiej płytce stał garnek, coś w nim szumiało, ale przy działającym wentylatorze ledwie dało się to słyszeć.

– Tak, tak – powiedziałem.

– Byłeś aż na stacji Fina?

Zawsze mówiła „stacja Fina”, a nie po prostu „Fina”, jak my.

– Tak. A co będzie na obiad?

– Danie jednogarnkowe z ryżem, taki mam zamiar.

– Z ananasem?

Uśmiechnęła się.

– Nie, bez ananasa. To meksykańskie danie.

– Aha.

Zapadła cisza. Mama oddała końcówkę jakiejś torebki i posypała jej zawartością mięso, potem odmierzyła wodę i wlała na patelnię. Tymczasem woda w garnku zaczęła bulgotać, wtedy wysypała do niej ryż. Usiadła na krześle po drugiej stronie stołu, założyła ręce za plecy i przeciągnęła się.

– Co ty właściwie robisz w Kokkeplassen? – spytałem.

– Przecież wiesz. Byłeś tam tyle razy.

– Opiekujesz się tymi, którzy tam mieszkają?

– Tak, można tak powiedzieć.

– Ale dlaczego oni tam są? Dlaczego nie mieszkają u siebie?

Długo się zastanawiała. Właściwie tak długo, że zacząłem już myśleć o innych rzeczach. W końcu odpowiedziała:

– Wielu z tych ludzi, którzy tam przebywają, cierpi na lęki. Wiesz, co to jest?

Pokręciłem głową.

– Lęk jest wtedy, kiedy się czegoś boisz, ale nie wiesz czego.

– Czy oni się boją przez cały czas?

– Tak. Wtedy z nimi rozmawiam. Robię z nimi różne rzeczy, żeby tak bardzo się nie bali.

– Ale... czy oni nie boją się czegoś konkretnego? Po prostu się boją?

– Właśnie tak. Po prostu się boją. No ale to mija i wtedy wracają do domu.

Chwila ciszy.

– Dlaczego o to pytasz? Od dawna się nad tym zastanawiasz?

– Nie. To przez Panią. Mieliliśmy opowiedzieć, co robią nasi rodzice. No to powiedziałem, że pracujesz w Kokkeplassen, a ona wtedy spytała, co robisz. Nie bardzo wiedziałem. A wiesz, co powiedział Geir? Powiedział, że jego mama uczy tych, którzy są w jej pracy, zawiązywać buty!

– Całkiem niezłe powiedziane. Te osoby, z którymi ona pracuje, nie mają żadnych lęków. Ale mają problemy z wykonywaniem tego, co dla nas jest naturalne. Na przykład z gotowaniem i praniem. Z ubieraniem się. Martha im w tym pomaga.

Wstała i zamieszała w garnku.

– To mongoły, tak? – spytałem.

– Ludzie niepełnosprawni umysłowo, tak się mówi. – Spojrzała mi w oczy. – Mongoły to brzydkie wyrażenie.

– Naprawdę?

– Tak.

Na dole otworzyły się drzwi.

– Pójdę na trochę do Yngvego – powiedziałem, wstając.

– Dobrze, idź.

Poszedłem najszybciej jak mogłem, nie biegnąc. Kiedy ruszałem, słysząc pierwsze drzwi, mogłem zdążyć dotrzeć do pokoju Yngvego, zanim tata wejdzie na schody i mnie zobaczy. Kiedy

zaś ruszałem, słysząc drugie drzwi, z całą pewnością zawsze mnie widział.

Teraz usłyszałem pierwszy krok na schodach akurat w chwili, gdy zamykałem za sobą drzwi do pokoju Yngvego.

Yngve ciągle leżał i czytał. Tym razem „Fotballrevyen”.

– Niedługo obiad? – spytał.

– Chyba tak. Mogę pożyczyć od ciebie jakiś komiks?

– Proszę. Tylko bądź ostrożny.

Tata minął drzwi do pokoju. Nachyliłem się nad stosem komiksów na półce. Yngve je kolekcjonował, *Fantomy* na przykład przechowywał w segregatorach, podczas gdy moje leżały porzucane. Był też członkiem Klubu Fantoma.

– Mogę wziąć cały segregator? – spytałem.

– Nie ma mowy.

– No a album?

– Możesz. Tylko odnieś, jak skończysz!

W soboty około południa jedliśmy *risgrøt*, gęsty ryż na mleku z cynamonem i cukrem, a dopiero wieczorem obiad, najczęściej jakieś danie jednogarnkowe, zawsze w jadalni, nigdy w kuchni jak zwykle. Przy każdym talerzu leżała serwetka. Rodzice do jedzenia pili piwo albo wino, my dostawaliśmy oranżadę. Potem oglądaliśmy telewizję, najczęściej nadawano ze studia w Oslo jakiś show w stylu broadwayowskim, podczas którego kobiety w siatkowych pończochach, w marynarkach, z laseczkami i w cylindrach schodzili z białych schodów, śpiewając jakąś piosenkę. Często była to *New York, New York*. Brała w tym udział Sølvi Wang, którą mama tak lubiła. W soboty w telewizji występowali również Leif Juster, Arve Opsahl i Dag Frøland, a Wenche Myhre grała w śleczu, udając dziecko w przedszkolu, no chyba że odbywał się akurat konkurs Eurowizji, będący obok finału Pucharu Anglii, finału Pucharu Europy i Wimbledonu najważniejszym telewizyjnym wydarzeniem roku.

Tego wieczoru pokazywano jakiegoś człowieka w lachmanach, który siedział na dachu i śpiewał niewiarygodnie głębokim głosem: *Oul man riva*. Cały wieczór nuciłem tę piosenkę. *Oul man riva*, śpiewałem, myjąc zęby. *Oul man riva*, śpiewałem, rozbierając się. *Oul man riva*, śpiewałem, leżąc w łóżku przed zaśnięciem.

Rodzice zamknęli przesuwane drzwi i dalej siedzieli w salonie, palili papierosy i słuchali muzyki, pijąc wino, które zostało od obiadu. Między piosenkami słyszałem burkliwy głos taty i wiedziałem, że kiedy milkł, mama też coś mówiła, ale jej głosu nie słyszałem.

Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, oni dalej tam siedzieli. Czyżby mieli zamiar przegadać całą noc? – pomyślałem i znów zasnąłem.

Ciepłe, pogodne wrześniowe dni okazały się ostatnim wysiłkiem lata, które nagle mimo wszystko się załamało i pojawił się deszcz. Koszulki i szorty trzeba było zamienić na bluzy i długie spodnie, rano trzeba było pamiętać o kurtkach, kiedy zaś nadciągnęły jesienne ulewy, trzeba było

włożyć kalosze, a także przeciwdeszczowe spodnie i kurtki. Strumienie wezbrały, na szutrowych drogach pojawiły się kałuże, wzdłuż krawężników płynęła woda, porywając ze sobą piasek, kamyczki i świerkowe igły. Życie na plażach zamarło, ludzie przestali wypływać łodziami na całodienne weekendowe wycieczki, wszelki ruch wokół przystani wiązał się teraz z łowieniem ryb. Również tata wyciągał swój sprzęt, wędkę, kołowrotki, błystki i osękę, ubierał się w ciemnozielony strój przeciwdeszczowy i jeździł na wybrzeże od strony otwartego morza, gdzie od czasu do czasu w weekendy spędzał w samotności kilka godzin, czatując na duże dorsze, które przyływały tam w zimowej połowie roku.

Kurs pływania rozpoczął się właśnie w tym czasie i było to ze wszech miar dobrze pomyślane, bo spędzanie godzin w basenie, kiedy na zewnątrz paliło słońce, wydawało się wręcz sprzeczne z naturą. Zajęcia miały się odbywać przez całą jesień, w każdy wtorek wieczorem, a zapisała się na nie cała klasa. Ponieważ mama wychodziła do pracy rano, jeszcze zanim wstałem, poprzedniego wieczoru przypomniałem jej, żeby po drodze do domu nie zapomniała kupić mi czepka. Mieliśmy to załatwić już dawno, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Kiedy więc usłyszałem jej samochód podjeżdżający pod dom, zbiegłem do przedpokoju i czekałem. Weszła w płaszczu, z torebką na ramieniu i uśmiechnęła się do mnie zmęczonym uśmiechem. Nigdzie nie widziałem torby z żadnego sklepu sportowego. Może miała go w torebce? Czepek pływacki nie jest przecież duży.

– Kupiłaś czepkę? – spytałem.

– Och, nie. No wiesz...

– Zapomniałaś? Nie mogłaś zapomnieć! Przecież to dzisiaj!

– Zapomniałam. Taką byłam zamyślona po drodze z pracy, ale wiesz co... O której to się zaczyna?

– O szóstej.

Spojrzała na zegarek

– Teraz jest wpół do czwartej. Sklepy zamykają o czwartej. Zdążę, jeśli pojedę od razu. Tak zrobię. Powiedz tacie, że wrócę za godzinę, dobrze?

Kiwnąłem głową.

– Tylko się pośpiesz – rzuciłem jeszcze.

Tata stał w kuchni i smażył kotlety. Nad kuchenką unosił się swąd. Pokrywka garnka z ziemniakami podzwaniała, poruszana ciśnieniem pary. Tata miał włączone radio, stał odwrócony do mnie tyłem, w jednej ręce trzymał łopatkę do przewracania kotletów, drugą opierał się o brzeg blatu.

– Tato... – zacząłem.

Gwałtownie się odwrócił.

– Co? – spytał, a zobaczywszy mnie, dodał: – Co chcesz?

– Mama wróci do domu za godzinę – przekazałem. – Mówiła, że mam ci to powiedzieć.

– Przyjechała i znów pojechała?

Kiwnąłem głową.

– Dlaczego? Po co?

– Żeby mi kupić czepkę. Idę dzisiaj na kurs pływania.

Irytacji w jego oczach, kiedy na mnie patrzył, nie dało się pomylić z niczym innym. Ale sytuacja nie była jeszcze do końca wyjaśniona, nie mogłem po prostu odwrócić się i odejść.

W końcu ruchem głowy wskazał mój pokój, więc poszedłem, ucieszony, że tak łatwo się wywinąłem.

Dziesięć minut później nas zawałał. Wymknęliśmy się po cichu ze swoich pokoi, delikatnie odsunęliśmy krzesła, usiedliśmy, zaczęliśmy, aż tata nałożył nam na talerze ziemniaki, kotleta, kupałkę przyasmażonej cebuli i gotowane marchewki, i dopiero zaczęliśmy jeść, wyprostowani i sztywni, poruszały się tylko przedramiona, usta i głowy. Podczas posiłku nikt się nie odzywał. Kiedy na talerzach zostały już tylko ogryzione do czysta kości i łupiny od ziemniaków, podziękowaliśmy za jedzenie i wróciliśmy do swoich pokoi. Tata w kuchni gotował kawę, domyśliłem się tego po narastającym syku. Kiedy dźwięk ustał, tata zszedł do gabinetu, zapewne z filiżanką kawy w ręku. Leżałem i czytałem, z uwagą przez cały czas skupioną na dźwiękach dobiegających z zewnątrz, na warkocie przejeżdżających samochodów, więc odgłos samochodu mamy uchwyciłem, gdy tylko zjechała ze skrzyżowania na główną drogę, odgłos garbusa były nie do pomylenia z niczym innym, a nawet gdybym jednak się pomylił, to pewnością nabrałem, gdy kilka sekund później rozległy się na drodze okrążającej osiedle. Wstałem i wyszedłem na korytarz przy schodach. Ponieważ tata siedział w gabinecie, to było najlepsze miejsce na czekanie.

Otworzyły się drzwi. Usłyszałem, jak mama zdejmuje najpierw kozaki, następnie płaszcz, po czym wieszę go na stojącym w rogu wieszaku. Jej kroki na chodniku w korytarzu na dole, które po dotarciu do schodów jakby połączyły się z jej widokiem.

– Kupiłaś?

– Tak, udało się.

– Pokaż.

Podawała mi białą torebkę z Intersportu, którą trzymała w ręku. Otworzyłem ją i wyciągnąłem czepkę.

– Mamo, przecież na nim są kwiatki! – zawołałem. – Nie mogę mieć kwiatków! To niemożliwe! To przecież babski czepkę! Kupiłaś mi babski czepkę!

– Nieladny?

Patrzyłem na czepkę ze łzami w oczach. Był biały i przyozdobiony nie tylko nadrukowanymi kwiatkami, lecz również drobnymi wypułkościami układającymi się w kwiatowy wzór.

– Musisz od razu pojechać i go wymienić – powiedziałem.

– Ależ kochanie, sklep jest już zamknięty. Nie da się. – Położyła mi rękę na głowie. – Uważasz, że jest taki okropny? – spytała.

– Nie mogę w nim iść na kurs pływania. W ogóle nie pójdę. Zostanę w domu!

– Ależ Karl Ove!

Po policzkach już lały mi się łzy.

– Przecież tak się cieszyłeś na ten kurs. Co ci szkodzi kwiatki na czepkę? Możesz go włożyć. Na następny raz kupimy nowy. A ten wezmę ja. Przyda mi się. Mnie się te kwiatki podobają.

– Ty nic nie rozumiesz! Nie mogę włożyć tego czepla! To babski czepek! – prawie krzyknąłem.

– Uważam, że teraz zachowujesz się nierozsądnie – stwierdziła mama.

W tej samej chwili trzasnęły drzwi do gabinetu taty. Potrafił wywęszyć takie sytuacje z odległości kilku kilometrów. Błyskawicznie wytarłem oczy i schowałem czepek z powrotem do torby. Ale było już za późno. Tata stał na podeście schodów.

– O co chodzi? – spytał.

– Karlowi Ovemu nie podoba się czepek kąpielowy, który mu kupiłam – wyjaśniła mama. – I teraz w ogóle nie chce iść na kurs pływania.

– Co za bzdura! – Tata wszedł na górę i ujął mnie pod brodę. – Pójdiesz na kurs pływania w tym czeplu, który mama ci kupiła. Zrozumiano?

– Tak – powiedziałem.

– I nie płacz z powodu takiej błażostki. To żalność.

– Dobrze. – Jeszcze raz przetarłem ręką oczy.

– A teraz pójdiesz do swojego pokoju i zostaniesz tam aż do wyjścia.

Usłuchałem.

– Że też w ogóle pojechałaś do miasta, żeby kupić ten czepek – usłyszałem jeszcze, kiedy szli do kuchni.

– On się tak cieszył na ten kurs – powiedziała mama. – Nie mogłam zrobić inaczej. Przecież mu obiecałam. No i zapomniałam.

Godzinę później przyszła po mnie mama. Zeszliśmy na dół. Już wcześniej postanowiłem, że nie będę się do niej odzywać, więc nic nie mówiłem, tylko włożyłem buty i kurtkę od deszczu. W rękę ścisnąłem torbę z kąpielówkami, ręcznikiem i czeplem. Kiedy otworzyłem drzwi, Geir i Leif Tore już czekali na zewnątrz, obaj z reklamówkami w rękach. Zmierzchało się, padała mżawka. Włosy mieli wilgotne, a kurtki w świetle lampy nad drzwiami błyszcząły.

Przywitali się z mamą, mama z nimi i szybkim krokiem przeszła po żwirze, my za nią. Otworzyła drzwiczki, pchnęła siedzenie tak, byśmy mogli usiąść z tyłu.

Włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik.

– Coś nie gra z rurą wydechową? – spytał Leif Tore.

– Tak, to stary samochód. – Mama wrzuciła wsteczny, cofnęła się pod górkę. Wycieraczki powoli przesuwają się tam i z powrotem po przedniej szybie. Reflektory oświetlały czarne świerki po drugiej stronie drogi, które przez to jakby robiły krok w naszą stronę.

– Geir już umie pływać – powiedziałem, zaraz jednak przypomniałem sobie, że mam milczeć.

– To świetnie. – Mama opuściła dźwignę kierunkowskazu i przez szybę obejrzała się w prawo, zanim wyjechała na drogę, po czym ruszyła do następnego skrzyżowania, gdzie powtórzyła cały manewr, tylko odwrotnie, teraz uniosła dźwignę kierunkowskazu i wyjrzała przez lewe okno.

– A ty, Leif Tore, też już umiesz pływać? – spytała.

Warkot silnika odbił się od skalnej ściany po drugiej stronie drogi, kiedy podjeżdżaliśmy na

wzgórze w kierunku mostu. Czerwone światła na szczycie pylonu żarzyły się w ciemności. Pomyślałem sobie, że ktoś obcy uznałby, że unoszą się w powietrzu.

Leif Tore w odpowiedzi pokręcił głową.

– A raczej trochę – poprawił się.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, zobaczyłem, że w deszczowym mroku cieśnina zaczyna zlewać się ze wzgórzami na lądzie, chociaż wciąż dawało się je odróżnić, bo ciemność łądu była odrobinę głębsza i gęściejsza niż spokojnej wody, która miała w sobie jakąś gładkość. Światła po obu stronach jakby zawisły w powietrzu, te najdalsze wyglądały prawie jak gwiazdy na niebie, natomiast te najbliższe, których oświetlone otoczenie dało się dostrzec, były w zupełnie inny sposób związane z krajobrazem. Tu i ówdzie świeciły się zielone albo czerwone latarnie na łodziach, albo małe latarnie morskie. Zjechaliśmy na brzeg za mostem, po jednej stronie drogi pojawiły się domy i ogrody, po drugiej zabudowania przemysłowe, żółte i puste w świetle reflektorów, jakby nakryte ociekającym wodą brezentem ciemności. Wycieraczkі biegały teraz po szybie. Rozpadało się. Leif Tore powiedział, że Rolf chodził do tej samej szkoły pływania. Instruktorka, czterdziestokilkuletnia kobieta, jest według Rolfa bardzo surowa. Ale Rolf wygadywał tyle dziwnych rzeczy. Jeśli tylko nadarzała mu się okazja do nabrania Leifa Torego czy kóregokolwiek z nas, zawsze ją wykorzystywał. Powiedziałem, że na razie jeszcze nie mam okularków do pływania, ale że umiem otwierać oczy pod wodą, więc to nie jest żaden problem. Geir pokazał swoje. To były okulary marki Speedo, z niebieskim szkłem i białą gumką.

– No a czepki? – spytał Leif Tore.

– Taty. Trochę za duży! – Geir się roześmiał.

– Twój tata ma czepki kąpielowy? Mój nie ma. A twój? – Leif Tore spojrzał na mnie.

– Chyba nie. Która godzina, mam? Zdąży mi?

Mama uniosła lewą rękę i zerknęła na zegarek.

– Za dwadzieścia pięć szósta. Mamy dużo czasu.

– Dlaczego tylko panie i dzieci noszą czepki pływackie? – nie odpuszczał Leif Tore.

– Wcale nie. Sportowcy pływacy też mają czepki.

– Przy następnej wypłacie dostanę czepki z norweską flagą – pochwalił się Geir. – Tata mi to dzisiaj obiecał. I powiedział, że będę mógł się zapisać do klubu pływackiego, kiedy już się nauczę dobrze pływać. W mieście.

– Przecież mieliśmy razem zacząć trenować piłkę – przy pomniałem.

– Nooo. Mogę trenować jedno i drugie – powiedział Geir.

Mama kierunkowskazem zasygnalizowała zjazd z głównej drogi i skręciła na szutrówkę prowadzącą do pogrążonej w ciemności szkoły, przed którą zaparkowała.

– Wydaje mi się, że to tam. – Wskazała na niski sąsiedni budynek.

– Tak, to tam – potwierdził Leif Tore. – Bo tam już stoją Trond i Geir Håkon.

– Wobec tego przyjadę po was za godzinę – zapowiedziała. – Powodzenia!

Wysypaliśmy się z samochodu z naszymi torbami i pobiegliśmy do wejścia, a zielony garbus mamy zawrócił i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyjechał.

Szatnia była zimna, podłoga zielonkawa, ściany białe, światło na suficie ostre. Pod trzema ścianami ciągnęły się żółtobiałe drewniane ławki, a nad nimi rząd wieszaków. Pięciu chłopców już przyszło, rozbierali się, gadając ze śmiechem. Przywitani się z nami.

– Woda w basenie jest zimna – ostrzegł Sverre.

– Lodowata – powiedział Geir B.

– Sprawdzaliście? – spytał Leif Tore.

– Jasne – odparł Sverre.

Usiadłem na ławce, ściągnąłem sweter przez głowę. Wstałem i zdjąłem spodnie. Lekki zapach chloru budził we mnie radość. Uwielbiałem chlor, uwielbiałem basen, uwielbiałem się kąpać. Geir B., Sverre i Dag Magne nadzy weszli pod prysznic. Trond i Geir Håkon zaraz za nimi. Surowo nam przykazano, że przed wejściem do basenu musimy się umyć. Patrzyłem, jak wszyscy stają w pewnej odległości od prysznica, wyciągają jedną rękę, żeby go włączyć, ostrożnie, jak do humorzastego zwierzęcia, a drugą badają tryskającą z prysznica wodę. Kiedy była dostatecznie ciepła, weszli pod jej strumień, wszyscy odwrócenii plecami do ściany. Włosy przylepiły im się do czoła. Zdjąłem majtki, ułożyłem ubranie w stosie na ławce i zaczęłam chwilę, aż Geir i Leif Tore skończą się rozbierać. Otworzyły się drzwi, weszło czterech chłopców, wśród nich John. Teraz kiedy się pojawili osłonięci ubraniami, coś w nagości przestało mi się podobać, wziąłem więc z torby mydelniczkę, ręcznik i poszedłem pod prysznic, ten najbardziej w głębi, jeden z trzech wolnych. Geir i Leif Tore na szczęście przyszli zaraz za mną.

Ach, jak cudownie było stać pod gorącym prysznicem w pomieszczeniu z wolna wypełniającym się parą! Mógłbym tak stać przez całą wieczność. Niestety, moja skóra czerwieniała się pod gorącą wodą, zwłaszcza pośladki, po dziesięciu minutach wyglądały niemal jak zadek małpy jednego z tych gatunków, które mają czerwone tyłki. Nie dało się tego nie zauważyć ani tego nie skomentować, więc już po paru minutach błyskawicznie sprawdziłem kolor z tyłu, zakręciłem prysznic, wytarłem się i poszedłem do szatni włożyć kąpielówkę. Tyłek nie dość, że mi czerwieniał pod prysznicem, to jeszcze wystawał. Tata mówił, że mam sterczący tyłek. Owszem, to była prawda, ale chodziło o to, żeby nikt tego nie zauważył, takie rzeczy szybko się roznosiły.

Przez chwilę siedziałem pochylony na ławce, z rękami opartymi o kolana i patrzyłem na innych, po kolei wychodzących spod prysznica, wszyscy mieli duże głowy, jasne włosy, chociaż teraz pociemniałe od wilgoci, i bladą skórę, widoczna zaledwie kilka tygodni wcześniej granica kąpielówek i koszulek powoli się zacierała, i drobne ciała, bo w naszej klasie nikt nie był gruby, nawet Vemund był tylko nieco pulchny i miał okrągłe policzki, ale o nim i tak mówiło się, że jest gruby, najgrubszy w klasie. Ktoś przecież musiał być. W chłodnym powietrzu ramiona pokryły mi się gęsią skórą. Kilka razy potarłem je dłońmi. Usiłowałem przywrócić tamto uczucie, którym wypełnił mnie zapach chloru, ale teraz nie mogłem go uchwycić, jakby całe już się zużyło albo wtopiło we wszystko inne, co się działo.

Przez uchylone drzwi zauważyłem, że na basenie zapaliło się światło.

– Zaczyna się! – krzyknął ktoś.

Kilku chłopców będących jeszcze pod prysznicem zaczęło się spieszyć. Pozostali wkładali

kąpielówki, okulary i czepki.

Z hali basenowej rozległ się gwizdek. Wyjąłem czepkę z torby, ścisnąłem go w rękę i poszedłem na basen za Geirem, a przed Johnem. Jednocześnie ze swojej szatni po drugiej stronie zaczęły wychodzić dziewczynki. Instruktorka pływania stała przy brzegu basenu i przywoływała nas gestem. Gwizdek miała zawieszony na szyi na sznurku, w rękę trzymała kartkę w przezroczystej plastikowej koszulce.

Znów dmuchnęła w gwizdek. Ostatni chłopcy ze śmiechem wybiegli z szatni.

– Proszę nie biegać! – zawołała instruktorka. – Tutaj się nie biega! Jest ślisko, a podłoga twarda. – Poprawiła okulary. – Witam na kursie pływania! Spotkamy się sześć razy w ciągu jesieni, a naszym celem jest nauczyć wszystkich pływać. Ponieważ dzisiaj jest pierwszy raz, zajęcia będą nieco spokojniejsze. Najpierw pobawimy się swobodnie w wodzie, a później zaczniemy ćwiczyć ruchy pływackie na tych materacach, które tam widzicie.

– Na łądzie? – zdziwił się Sverre. – Będziemy się uczyć pływania na łądzie?

– Właśnie tak. No i jest kilka prostych zasad, do których należy się stosować. Przed wejściem do basenu zawsze musicie wziąć prysznic. Czy ktoś się nie wykąpał?

Nikt się nie odezwał.

– Świetnie. Wszyscy muszą też mieć czepki. Nikomu nie wolno biegać, nawet po zakończeniu zajęć. Nie wolno nikogo przytrzymywać pod wodą. Nigdy! Nie wolno też wskakiwać do basenu, zawsze trzeba używać jednej z tych dwóch drabinek, które tu widzicie.

– A wolno skakać na główkę? – spytał John.

– Umiesz skakać na główkę?

– Tak, trochę – odparł John.

– Nie, nie wolno – oświadczyła instruktorka. – Nawet „trochę”. Czyli żadnego wskakiwania do basenu, żadnego skakania na główkę i żadnego biegania. A za każdym razem kiedy gwizdnę, podchodźcie do mnie. Jasne?

– Tak.

– Wobec tego zaczniemy od sprawdzenia listy obecności. Będziecie odpowiadać „jestem”, gdy wyczytam wasze imię.

Jak zwykle jako pierwsza została wyczytana Anne Lisbet. Stała z samego tyłu, w czerwonym kostiumie kąpielowym i uśmiechała się, wręcz śmiała, odpowiadając. Zrobiło mi się przyjemnie. Jednocześnie bałem się tej chwili, gdy instruktorka wyczyta moje imię. Wydawało mi się, że każde z imion jest jakby odcinane niczym kromka chleba i odkładane na bok, nienawidziłem tego. Zwykle w klasie cieszyłem się na swoją kolej, bo wtedy na moment cała uwaga skupiała się na mnie, głośno i wyraźnie odpowiadałem „jestem”... Ale tutaj było inaczej.

– John! – zawołała.

– Jestem. – John pomachał wyprostowaną ręką.

Ledwie na niego zerknęła zza kartki.

– Karl Ove!

– Jestem.

Na mnie spojrziała.

– A gdzie masz czepkę? Nie przyniosłeś?

– Mam tutaj. – Leciutko uniosłem dłoń z czepkiem, żeby mogła zobaczyć.

– No to go wóź, chłopcze.

– Wolałbym poczełać, aż będziemy wchodzić do wody.

– Nie ma żadnego „wolałbym”. Wkładaj!

Rozłożyłem czepkę, rozciągnąłem go i nasunąłem na głowę. Nie odbyło się to niezauważenie.

– Spójrzcie na Karla Ovego! – zawołał ktoś. – On ma babski czepkę!

– Czepkę kąpielowy w kwiatki! To dla starych bab!

– Spokój! – krzyknęła instruktorka. – Wszystkie czepki są dobre. Marianne!

– Jestem – powiedziała Marianne.

Ale tej uwagi, którą na siebie ściągnąłem, trudno było się pozbyć. Wokół mnie czały się uśmieški, szturchańce i bezcelne spojrzenia. Miałem wrażenie, że czepkę płonie mi na głowie.

Kiedy odczytywanie listy obecności dobiegło końca, wszyscy czym prędzej przeszli do dwóch drabinek w rogach basenu. Woda była zimna, ale należało zanurzyć się jak najszybciej, więc kucnąłem, a potem rzuciłem się do przodu i zrobiłem tyle ruchów pływackich, ile zdołałem, tuż nad dnem. Pod wodą umiałem pływać, to na powierzchni miałem problem. Ale cóż to było za uczucie mieć dno zaledwie kilka centymetrów pod sobą, a całą wodę nad sobą! Kiedy wynurzyłem się na powierzchnię i stanąłem, zacząłem wzrokiem szukać Geira.

– Pożyłeś sobie czepkę od mamy? – spytał Sverre.

– Wyobraź sobie, że nie – odparłem.

Geir i Leif Tore złapali już deski do pływania i rzucili się z nimi na wodę, machając z całych sił nogami. Zbliżyłem się do nich.

– Może się trochę odsuniemy i ponurkujemy? – zaproponowałem.

Kiwnęli głowami, więc poszliśmy tym powolnym, ciężkim krokiem, jakim się chodzi w wodzie, dopóki nie sięgnęła nam do pach.

– To prawda, że umiesz otwierać oczy pod wodą? – spytał Leif Tore.

– Tak – potwierdziłem. – Wystarczy ich nie zamykać.

– Ale przecież to okropnie piecze.

– Nie mnie – odparłem, ucieszony, że pozwolił mi się tak popisać. Przez chwilę usiłowaliśmy nurkować jak nurkowie, to znaczy leżeć na powierzchni wody, a potem zginać się w pół, tak żeby nogi sterczały w powietrzu. Żadnemu z nas to nie wychodziło, ale Geir był już blisko. Miał talent do wszystkiego, co wiązało się z wodą.

Kiedy rozległ się gwizdek i zebraliśmy się przy cienkich niebieskich materacach, żeby ćwiczyć ruchy pływackie, prawie już zapomniałem o czepku. Ale podeszła do mnie Marian.

– Dlaczego masz damski czepkę? Tak ci się spodobały te kwiatki?

– Dość o tym czepku! – odezwała się stojąca tuż za nami instruktorka. – Jasne?

– Tak – powiedziała Marian.

Przez pewien czas leżeliśmy na materacach na brzuchach i wymachiwaliśmy rękami i nogami jak wielkie, blade żaby. Instruktorka chodziła dookoła i korygowała nasze ruchy. Potem znów pozwoliła nam wejść do basenu i z deską ćwiczyć ruchy nogami. Trochę tak popływaliśmy i nagle był już koniec lekcji. Po krótkim zebraniu przy brzegu basenu, podczas którego pochwaliła nas, wyjaśniła, co będziemy robić następnym razem, i przypomniała o prysznicu, posłaliśmy do szatni. Usiadłem na ławce i już miałem włożyć czepek do torby, kiedy Sverre podskoczył i wyrwał mi go z rąk

– Pokaż! – zawołał.

– Nie! Oddawaj!

Wyciągnąłem rękę, ale odskoczył, włożył czepek i zaczął chodzić po szatni, kręcąc tyłkiem.

– Ach, jakie mam śliczne kwiatki na moim czeplu kąpielowym! – powiedział dziewczynskim głosem.

– Oddaj! – Poderwałem się z ławki.

Zrobił jeszcze kilka takich samych kroków.

– Karl Ove ma babski czepek! Karl Ove ma babski czepek! – zaczął powtarzać.

Kiedy do niego podbiegłem, ściągnął czepek, niby mi go podał, ale zaraz odskoczył w tył.

– Oddawaj! To mój czepek!

Wyciągnąłem po niego rękę. Sverre rzucił czepek Johnowi.

– Karl Ove ma babski czepek! – zaśpiewał John.

Odwróciłem się w jego stronę, by mu go odebrać, ale złapał mnie za ramię i ścisnął, wymachując mi czeplikiem tuż przed nosem.

Rozplakałem się.

– Oddajcie! – wołałem. – Oddajcie mi go!

Prawie nic nie widziałem przez łzy.

John znów rzucił czepek Sverremu, który podniósł go na wysokość oczu i przyjrzał mu się.

– Jakie ładne kwiatki – powiedział. – Ach, jakie śliczne!

– Oddaj mu go – odezwał się ktoś. – Przecież on płacze.

– Biedny malutki niunio, chcesz z powrotem swój śliczny czepek? – Sverre rzucił go na moje miejsce. Wróciłem tam, schowałem czepek do torby, wziąłem ręcznik i poszedłem pod prysznic. Przez krótką chwilę stałem pod strumieniem ciepłej wody, potem się wytarłem, ubrałem i pierwszy opuściłem szatnię. Włożyłem buty, które stały wśród innych w korytarzu, otworzyłem szklane drzwi i wyszedłem na wyasfaltowany plac, gdzie powierzchnię wielkich, ale płytkich kałuż, widocznych jedynie dzięki temu, że lśniły nieco bardziej niż otaczający je asfalt, cały czas dziurawiły krople deszczu. Nie było tu nikogo. Przeszedłem w stronę budynku szkoły, niemal identycznego jak nasz, i zobaczyłem zielonego garbusa, zaparkowanego dokładnie w tym samym miejscu, w którym mama wypuściła nas przed ponad godziną.

Otworzyłem drzwiczki i usiadłem z tyłu.

– Cześć. – Mama odwróciła się do mnie. Jej twarz ledwie oświetlał blask latarni zwieszającej się nad krawędzią dachu szkoły jak sęp.

– Cześć – odpowiedziałem.

– Dobrze poszło?

– Tak

– A gdzie Geir i Leif Tore?

– Zaraz przyjdą.

– No i co, umiesz już pływać?

– Prawie. Ale pływaliliśmy głównie na łądzie.

– Na łądzie?

– Tak, na takich materacach, żeby się nauczyć ruchów.

– Aha, o to chodzi. – Mama znów się odwróciła. Dym z papierosa, którego trzymała w ręku, gęsty, szarawy, zawisł pod skośnie opadającą przednią szybą. Zaciągnęła się jeszcze raz, a potem wysunęła małą metalową popielniczkę i zgasiła niedopałek. Z drzwi pływalni wysypała się cała banda. Światła jakiegoś samochodu omiotły asfalt, potem kolejne. Oba auta podjechały prawie pod samo wejście.

– Może powiem, że tu stoisz? – Otworzyłem drzwiczki. – Geir i Leif Tore! – zawołałem. – Samochód czeka tutaj!

Obaj spojrzeli w moją stronę, ale nie podchodzili. Dalej stali w tej grupie, która zebrała się przy drzwiach.

– Geir! Leif Tore! – krzyknąłem. – Chodźcie!

Ruszyli. Powiedzieli najpierw coś pozostałym, a potem zaczęli się wlec obok siebie przez plac. Białe plastikowe torby miały im się w rękach, jedynie w tych torbach odbijało się światło, a wyglądały tak, jakby w środku leżały odcięte głowy.

– Dobry wieczór, pani Knausgård – przywitali się i usiedli z tyłu.

– Dobry wieczór. Fajnie było?

– Ta-ak – odpowiedzieli. Patrzyli na mnie.

– Całkiem fajnie – potwierdziłem. – Ale jest straszny rygor.

– Naprawdę instruktor jest taki surowy? – Mama uruchomiła silnik

– To pani – poprawiłem ją.

– Aha.

Kiedy cztery dni później szedłem przez las razem z Geirem, Leifem Torem i Trondem, po krótkiej, nieudanej wyprawie po skarb na końcu tęczy, tamta fantastyczna myśl o pływaniu wśród drzew kazała mi zadać sobie pytanie, czy kiedykolwiek w ogóle nauczę się pływać. Dziadek, ojciec mamy, nie umiał, a przecież był kiedyś nawet rybakiem. Czy babcia ze strony mamy umie pływać, nie wiedziałem, ale jakoś nie potrafiłem jej sobie wyobrazić kąpiącej się w morzu.

Nad pochylającymi mi się sosnami chmury biegły po niebie.

Która mogła być godzina?

– Masz zegarek, Geir? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Ja mam – oświadczył Trond i machnął ręką tak, żeby rękaw sam mu opadł, odsłaniając zegarek

– Za pięć wpół do drugiej. Nie, wpół do trzeciej – powiedział.

– Wpół do trzeciej? – powtórzyłem.

Kiwnął głową, a mnie ścisnęło w żołądku. W soboty jedliśmy *risgrøt* o p i e r w s z e j.
Nie, o nie!

Puściłem się biegiem, jakby to mogło mi w czymś pomóc.

– Coś cię ugryzło w tyłek? – zawołał za mną Leif Tore.

Odwrociłem głowę.

– U nas był obiad o pierwszej – wyjaśniłem. – Muszę lecieć!

Pognałem pod górę, po miękkim, posypanym świerkowymi igłami zboczu, na drugą stronę pełnego alg strumyka, obok wielkiego świerka i znów pod górę do drogi. Przed domem stały oba samochody, i mamy, i taty. Ale nie było roweru Yngvego. Czyżby przyjechał do domu, zjadł i znów gdzieś się wyprawił? A może on też się spóźnia?

Ta myśl, chociaż tak nieprawdopodobna, dała mi odrobinę nadziei.

Jeszcze tylko na drugą stronę drogi i na podjazd. Tata mógł być za domem, mógł wyjść z za węgla, mógł stać i czekać na mnie w korytarzu, mógł być w gabinecie i usłyszawszy mnie, gwałtownie otworzyć drzwi. Mógł stać przy kuchennym oknie i czekać, aż wejdem na górę.

Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi i znieruchomiałem na kilka sekund. Nade mną ktoś chodził po kuchni. To były kroki taty. Zdjąłem buty, ustawiłem je przy ścianie, rozpiąłem kurtkę od deszczu, ściągnąłem nieprzemakalne spodnie, zaniósłem je do kotłowni i tam powiesiłem na sznurku. Zatrzymałem się i zerknąłem na siebie w lustrze nad komodą. Policzki miałem czerwone, włosy rozczochrane, pod nosem trochę błyszczącego śluzu, zęby sterczały jak zawsze. Suszyły się, jak mówiono. Poszedłem na górę do kuchni. Mama zmywała, tata jadł szczypcę krabów. Oboje spojrzeli na mnie. Garnek z ryżem stał na kuchence. Wystawała z niego pomarańczowa pastikowa łyżka.

– Zapomniałem się – powiedziałem. – Przepraszam. Bawiliśmy się i było tak fajnie.

– Siadaj! – odezwał się tata. – Wyobrażam sobie, że jesteś głodny.

Mama wyjęła z szafki talerz, nałożyła mi ryżu, przysunęła miseczkę z cukrem, paczkę margaryny i pojemnik z cynamonem, których jeszcze nie sprzątnęła ze stołu.

– A gdzie by liście? – spytała. – Aha, potrzebna ci jeszcze łyżka.

– Tak sobie chodziliśmy.

– Ty i...? – spytał tata, nie patrząc na mnie. Odgiął małe białe płatki wystające z pomarańczowych, włochatych szczypic i zaczął je wysysać krótkimi siorbnięciami. Słyszałem, jak mięso się odrywa i spada mu do ust.

– Geir, Leif Tore i Trond – wyjaśniłem.

Przełamał puste szczypcę i wziął się do następnych. Ja położyłem grudkę margaryny na ryżu, chociaż nie był dostatecznie gorący, by tłuszcz się roztopił, posypałem cynamonem i cukrem.

– Czyściłem rynnę – powiedział. – Powinieneś być mi w tym pomocą.

– Aha.

– A teraz zamierzam porąbać drewno, więc jak tylko zjesz, pójdziesz ze mną.

Kiwnąłem głową, starając się zrobić zadowoloną minę, ale on umiał czytać mi w myślach.

– Oczywiście wrócimy na mecz – dodał. – Kto dzisiaj gra?

– Stoke i Norwich – powiedziałem.

– Norwich – poprawił mnie.

– Noj-icz – powtórzyłem.

Lubiłem Norwich, ich zielono-żółte stroje. Stoke i ich koszulki w czerwono-białe pasy również darzyłem sympatią. Najbardziej jednak lubiłem Wolverhampton, oni grali w pomarańczowożółtych strojach, a ich symbolem był wilk. *Wolves* to była moja drużyna.

Najchętniej poleżałbym i poczytał aż do rozpoczęcia meczu, ale nie mogłem sprzeciwić się tacie, a pamiętając o tym, co mogło mnie spotkać, powinienem i tak gratulować sobie szczęścia.

Ryż był zimny i pochłonąłem go w ciągu kilku minut.

– Najadłeś się? – spytał tata.

Kiwnąłem głową.

– No to idziemy.

Zgarnął puste skorupki krabów do śmieci, talerz odstawił na blat i wyszedł ze mną depczącym mu po piętach. Z pokoju Yngvego dobiegała muzyka. Zdezorientowany, popatrzyłem na drzwi. Jak to możliwe? Przecież jego roweru nie było.

– No chodź – Tata już stał na podeście schodów. Ruszyłem za nim. Włożył kurtkę i buty, wyjść na żwir i czekać na niego. Przyszedł kilka minut później z siekierą w ręku i błyskiem rozbawienia w oczach. Przejść za nim po ścieżce z kamiennych płyt, potem przeciąć nasiąkniętą wodą trawnik. Nie wolno nam było chodzić po trawie, ale kiedy mu towarzyszyłem, takie zakazy przestawały obowiązywać.

Już jakiś czas temu tata ściął brzozę rosnącą przy ogrodzeniu warzywnika, został z niej tylko stos kłoców, które trzeba było porąbać. Nic nie musiałem robić, tylko stać i patrzeć, żeby „dotrzymać mu towarzystwa”, jak to nazywał.

Ściągnął brezent, chwycił jeden kłoc i umieścił go na pieńku do rąbania.

– No i jak? – spytał. Uniósł siekierę nad ramię, przez moment się koncentrował i uderzył. Ostrze zagłębiło się w jasne drewno. – Dobrze ci idzie w szkole? Jak myślisz?

– Dobrze – powiedziałem.

Uniósł kłoc siekierą i kilka razy uderzył nim o pieńek, aż kłoc rozpadł się na dwie części. Potem i je porąbał na mniejsze kawałki, rzucił na ziemię pod skałę, wytarł ręką czoło i się wyprostował. Całym sobą wyrażał zadowolenie.

– A pani? Torgersen, tak się nazywa?

– Tak. Jest bardzo fajna.

– Fajna? – Wziął nowy kłoc i powtórzył całą procedurę.

– Tak.

– A ktoś nie jest fajny?

Zawahałem się. On na moment przestał rąbać.

– Skoro mówisz, że jest fajna, to musi być ktoś, kto nie jest fajny, bo inaczej to słowo traci całe swoje znaczenie, rozumiesz?

Wrócił do rąbania.

– Chyba tak

Zapadła chwila ciszy. Odwróciłem się i popatrzyłem na wodę zalewającą trawę po drugiej stronie ścieżki.

– My klebust nie jest fajny – stwierdziłem wreszcie i znów się odwróciłem w stronę taty.

– My klebust! Znam go.

– Naprawdę?

– Tak Spotykałem go na zebraniach Związku Nauczycieli. Kiedy następnym razem go zobaczę, powtórzę mu, co powiedziałaś. Że nie jest dla was fajny.

– Nie, nie rób tego, tak cię proszę!

Uśmiechnął się.

– Oczywiście, że nie powiem, możesz być spokojny.

Znów zapadła cisza. Tata pracował, a ja stałem nieruchomo, z rękami spuszczoneymi wzdłuż boków i patrzyłem. Nie włożyłem grubych skarpet i stopy w kaloszach zaczęły mi marznąć. Zmarzły mi też palce u rąk

Dookoła było całkiem pusto. Od czasu do czasu przejechał samochód, a oprócz tego nie było widać żywej duszy. Światła w domach zaczęły świecić mocniej, jakby specjalnie ustawione i wyostrzone w zapadającym zmierzchu, który sądząc po otwartym jasnym niebie, wypełzał gdzieś z ziemi, jakby gdzieś pod nami znajdował się zbiornik z ciemnością, która każdego dnia po południu zaczynała się sączyć przez tysiące, ba, miliony otworków w skorupie ziemskiej.

Przyglądałem się tacie. Z czoła spływał mu pot. Próbowałem rozcierać dłonie. Tata się nachylił, sięgając po kolejny kloc, i akurat w chwili, gdy miał się wyprostować, puścił bąka. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Mówiłeś, że bąki można puszczać tylko w ubikacji – przyomniałem.

Początkowo nie odpowiedział.

– Na świeżym powietrzu to co innego – stwierdził w końcu, nie patrząc mi w oczy. – Wtedy można, nie tak puszczać bąki swobodnie.

Wbił siekierę w kloc, który już od pierwszej próby rozpadł się na dwie części. Odgłos rąbania odbijał się od ściany domu i od skały powyżej. To ostatnie następowało z dziwnym opóźnieniem, jakby tam, na górze, ktoś stał i za każdym razem uderzał siekierą o sekundę później niż tata.

Tata znów się zamachnął i rzucił cztery polana na stos. Przyniósł nowy kloc.

– Nie mógłbyś zacząć ich układać, Karl Ove? – spytał.

Kiwnąłem głową i podszedłem do stosu.

Jak miałem to zrobić? Jak on to sobie umyślił? Wzdłuż skały, czy raczej tak, żeby sąg odstawał? Miał być krótki czy długi?

Znów na niego spojrziałem. Nie zwrócił na to uwagi. Przykucnąłem i wziąłem polano do ręki. Położyłem je pod skałą. Obok drugie. Kiedy już miałem pięć w rządku, następnym położyłem w poprzek tamtych. Miało dokładnie taką samą długość jak łączna szerokość tamtych pięciu. Dołożyłem jeszcze cztery, w ten sposób powstały dwa tej samej wielkości kwadraty. Teraz mogłem ułożyć dwa takie same kwadraty obok albo zacząć układać kolejną warstwę.

– Co ty wyprawiasz? – zdenerwował się tata. – Kompletnie zgłupiałeś? Drewna się tak nie układa!

Nachylił się i swoimi wielkimi dłońmi rozrzucił polana. Stałem i patrzyłem na to ze łzami w oczach.

– Polana kładzie się wzdłuż, w ten sposób. Nigdy nie widziałeś sęgu drewna? – Spojrzał na mnie. – I nie maż się jakdziewczyna, Karl Ove! Czy ty nic nie potrafisz zrobić dobrze?

Wrócił do rąbania. Zacząłem układać polana według jego wskazówek. Parę razy cicho zaszlochalem, było mi zimno w palce u rąk i nóg. Ale takie układanie drewna nie sprawiało mi trudności. Pozostawało jeszcze pytanie, jak długi ma być ten sąg. Kiedy już ułożyłem wszystkie polana w rządku, wyprostowałem się, stanąłem z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i patrzyłem na tatę. Błysk w jego oczach zniknął, poznałem to od razu po sposobie, w jaki zerkał na mnie kątem oka. Ale nie musiało się nic wydarzyć, bylebym tylko nie powiedział albo nie zrobił czegoś, co go zirytuje. Jednocześnie nie dawała mi spokoju myśl o meczu. Już dawno musiał się zacząć. Tata o tym zapomniał, a ja nie mogłem mu przypominać w takiej sytuacji. W palcach kłuło mnie coraz bardziej. Tata dalej rąbał i rąbał, od czasu do czasu przestawał na moment i odgarniał włosy typowym dla niego gestem. Głowa wtedy zdawała się cofać lekko wraz z ręką, w swoisty m powolnym odchyleniu.

Niedawno przydzielono nam skrytkę pocztową w Pusnes, co oznaczało, że przestaliśmy dostawać listy do skrzynki pocztowej na wzgórzu, przynoszono tam tylko gazety, a po resztę korespondencji tata musiał jeździć na pocztę. Zeszłej soboty pojechałem razem z nim. Przed wyjściem z domu cesał się przed lustrem, poświęcił na to aż minutę, potem lekko poklepał dłonią lśniące jak lustro gęste włosy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Kiedy wchodził do budynku poczty, jakaś kobieta się za nim obejrzała. Nie wiedziała, że ktoś, kto go zna, siedzi w samochodzie i to obserwuje, ale dlaczego się odwróciła? Znała go? Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Może była matką jakiegoś jego ucznia?

Ułożyłem kolejne rzucane przez tatę polana na ich miejscu w rządku. Kilka razy poruszyłem palcami w butach, ale to nic nie pomogło, nie przestawało kłuć.

Chciałem mu powiedzieć, że mi zimno, już nawet nabrałem powietrza, ale się powstrzymałem, odwróciłem się i popatrzyłem na lśniącą kałużę, której nie powinno tam być. Wielka przezroczysta bańka cały czas burzyła jej powierzchnię tuż nad zardzewiałą studzienką. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem idącego drogą Steinara. Na plecach miał futerał od gitary, szedł zgięty w pół, czarne długie włosy, które opadały mu aż na ramiona, lekko się przy tym kołysały.

– Dzień dobry, panie Knausgård! – zawołał, kiedy nas mijał.

Tata wyprostował się i kiwnął mu głową.

– Cześć! – odkrzyknął.

– Widzę, że rąbie pan drewno – powiedział Steinar, nie zwalniając.

– Najwyraźniej.

Tata wrócił do pracy. Zrobiłem kilka drobnych kroków tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– Przestań! – syknął.

– Dobrze, ale zmarzłem.

Spojrzał na mnie zimno.

– Zmaj złość? – powiedział.

Oczy znów napełniły mi się łzami.

– Nie drażnij się ze mną.

– Tak? Mam się z tobą nie djaźnić?

– Tak! – krzyknąłem.

Zesztywniał, wypuścił siekierę i podszedł do mnie. Złapał mnie za ucho i je wykręcił.

– Pyskujesz mi?

– Nie. – Wbiłem wzrok w ziemię.

Wykręcił mi ucho jeszcze mocniej.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Uniosłem głowę.

– Nie wolno ci pyskować, rozumiano?

– Tak

Puścił mnie, odwrócił się i położył na pieńku kolejny kloce. Płakałem tak, że nie mogłem złapać oddechu. Tata dalej rąbał, nie zwracając na to uwagi. Zostały jeszcze tylko dwa kłocce, wreszcie skończył.

Podszedłem do niewysokiego sągu i dołożyłem nowe polana do poprzednich. Cały czas starałem się poruszać palcami w butach. Mój płacz w końcu ucichł, jeszcze tylko od czasu do czasu pojawiała się jego echo w postaci nagłych i kompletnie niemożliwych do opanowania szlochów. Wytarłem oczy rękawem, tata dorzucił jeszcze cztery polana, ułożyłem je na miejscu, gdy wtem nowa myśl poprawiła mi humor. Nie będę oglądał tego meczu. Pójdę od razu do swojego pokoju, niech oglądają go sami z Yngvem.

Właśnie tak

Tak

– Już – Rzucił cztery ostatnie polana. – No, skończyliśmy.

Ruszyłem za nim bez słowa, zdjąłem i odwiesiłem ubranie, poszedłem na górę, po odgłosach z salonu zorientowałem się, że Yngve już ogląda mecz, ale skierowałem się do siebie.

Usiadłem przy biurku i udawałem, że czytam.

Było tylko on to zauważył.

Zauważył.

Kilka minut później otworzył drzwi.

– Mecz już się zaczął – oznajmił. – Chodź.

– Nie będę oglądać – odparłem, nie patrząc mu w oczy.

– Jeszcze się buntujesz?

Wszedł do pokoju, złapał mnie za ramię i podciągnął do góry.

– Chodź – powiedział i puścił mnie.

– Nie chcę oglądać tego meczu. – Nie ruszałem się z miejsca.

Bez słowa znów ścisnął mnie za ramię i płaczącego zaciągnął do salonu, gdzie rzucił mnie na kanapę obok Yngvego.

– Będziesz teraz tu siedział i oglądał mecz razem z nami, zrozumiano?

Zamierzałem zamknąć oczy, jeśli zmusi mnie do oglądania, ale teraz nie miałem odwagi tego zrobić.

Kupił torebkę miętowych landrynek i drugą, toffi w czekoladzie. Te toffi były najpyszniejszą rzeczą, jaką znałem, ale landrynki też zawsze lubiłem. Zazwyczaj trzymał torebki z cukierkami obok siebie na stoliku, od czasu do czasu rzucał po jednym mnie i Yngvem. Dzisiaj też tak zrobił, ale ja swoich nie zjadłem, leżały przede mną nietknięte. W końcu zareagował.

– Zjedz swoje cukierki – powiedział.

– Nie mam ochoty.

Wstał.

– Masz je natychmiast zjeść.

– Nie. – Znów się rozplakałem. – Nie chcę!

– Zjadaj! – Złapał mnie za rękę i ścisnął.

– Nie chcę – wyszlochałem.

Przycisnął mi głowę prawie do samego stołu.

– Leż tutaj. Widzisz? Masz je zjeść. I to już.

– Dobrze – powiedziałem, wtedy mnie puścił. Stał nade mną, dopóki nie odwinąłem oblewanego czekoladą cukierka z papierka i nie włożyłem go do ust.

Następnego dnia wybieraliśmy się do Kristiansand, w odwiedziny do babci i dziadka, rodziców taty. Często jeździliśmy tam w te niedziele, kiedy drużyna Startu grała mecz u siebie. Najpierw jedliśmy obiad, potem Yngve, tata i dziadk szli na mecz, mama czasami się do nich przyłączała, a ja, jeszcze na to za mały, zostawałem z babcią.

Rodzice ubrali się bardziej elegancko niż zwykle. Tata włożył białą koszulę, brązową tweedową marynarkę z brązowymi latami na łokciach i jasnobrązowe płócienne spodnie, mama niebieską sukienkę. My z Yngvem mieliśmy na sobie koszule i aksamitne spodnie, Yngve brązowe, a ja niebieskie.

Było pochmurno, ale chmury z rodzaju tych białoszarych i lekkich, chociaż zasłaniały całe niebo, nie niosły ze sobą deszczu. Asphalt był suchy i szary, żwir suchy i niebieskoszary, a pniesosen nieruchomo górujących nad osiedlem – suche i czerwone.

W samochodzie usiedliśmy z Yngvem z tyłu, rodzice z przodu. Tata zapalił papierosa i dopiero uruchomił silnik. Zajmowałem miejsce tuż za jego siedzeniem, więc nie mógł widzieć mnie

w lusterku, chyba że wychyliłem się na bok Kiedy dotarliśmy do krzyżówki u stóp zbrocza prowadzącego na most, zacząłem się w duchu modlić.

Dobry Boże, nie pozwól, żebyśmy mieli dziś wypadek

Amen.

Odmawiałem tę modlitwę za każdym razem, kiedy wybieraliśmy się gdzieś dalej, bo tata jeździł bardzo szybko, nigdy nie przestrzegał ograniczeń prędkości, zawsze wyprzedzał inne auta. Mama mówiła, że jest dobrym kierowcą, i zapewne właśnie tak było, ale za każdym razem, kiedy samochód przyspieszał i zjeżdżał na przeciwny pas ruchu, zdejmował mnie strach.

Prędkość i gniew były ze sobą związane. Mama jeździła ostrożnie, uważała na innych, nigdy się nie denerwowała, kiedy jakiś samochód jechał za wolno, tylko cierpliwie wlokła się za nim. W domu też taka była. Nie złościła się, zawsze miała czas, żeby pomóc, nie przejmowała się, jeżeli coś się zepsuło, bo takie rzeczy się zdarzały, lubiła z nami rozmawiać, interesowała się tym, co mówimy, często dawała nam do jedzenia coś, co nie było bezwzględnie konieczne: gofry, bułeczki, kakao, świeżo upieczony chleb, tata natomiast usiłował ogołocić nasze życie ze wszystkiego, co nie miało bezpośredniego znaczenia dla danej sytuacji: jedliśmy, ponieważ musieliśmy, a czas poświęcany na jedzenie nie miał sam w sobie żadnej wartości; kiedy oglądaliśmy telewizję, to mieliśmy ją oglądać, a nie rozmawiać czy zajmować się czymś innym; w ogrodzie musieliśmy chodzić po ścieżkach z kamiennych płyt, ponieważ ułożono je specjalnie w tym celu, natomiast po samym trawniku, wielkim i zapraszającym, nie wolno było ani chodzić, ani biegać, ani tym bardziej się na nim położyć. Fakt, że Yngve i ja nigdy nie wyprawialiśmy w domu urodzin, wywodził się z tej samej logiki: to było zbędne. Kawałek tortu z rodziną po obiedzie wystarczył. Podobnie nie pozwalano nam zapraszać do siebie kolegów, bo po co mieliśmy siedzieć w domu, gdzie tylko bałaganiliśmy i hałasowaliśmy, skoro można było bawić się na dworze? Nasi koledzy mogliby opowiedzieć swoim rodzicom o tym, jak u nas jest, i to zapewne również miało znaczenie, właściwie łączyło się z tą samą logiką. W zasadzie tłumaczyło wszystko. Nie wolno nam było ruszać żadnego z narzędzi taty, to znaczy młotka, śrubokrętu, obcęgow czy piły, szufli do śniegu ani szczotki, nie wolno nam było przygotowywać sobie jedzenia w kuchni, nawet samodzielnie ukroić kromki chleba, ani włączać telewizora czy radia. Gdyby nam na to pozwolono, po domu stale by się coś pałętało, a tak był porządek, wszystko pozostawało w spokoju tak jak powinno, a kiedy jakaś rzecz była wykorzystywana przez tatę albo przez mamę, następowało to w sposób uporządkowany i celowy. To samo dotyczyło jazdy samochodem. Tata chciał dotrzeć z jednego punktu do drugiego jak najszybciej, z jak najmniejszymi przeszkodami. Tym razem z Tromøi do Kristiansand, rodzinnego miasta tego trzydziestoletniego nauczyciela gimnazjum.

Nigdy czas nie płynie tak szybko jak w dzieciństwie, nigdy godzina nie jest tak krótka jak wtedy. Świat stoi otworem, biega się raz tu, raz tam, robi się to jedno, to drugie, tymczasem słońce zachodzi i nagle człowiek staje wśród zmierzchu, a czas spada mu przed nosem jak szlaban: o nie, już dziewiąta? Ale też czas nigdy nie płynie równie wolno jak w dzieciństwie i żadna godzina nie dłuży się tak jak wtedy. Kiedy znika otwartość, te możliwości biegania raz tu, raz tam, czy to w myślach, czy w fizycznej rzeczywistości, to szlabanem staje się każda minuta, a czas – kłatką,

w którą człowiek zostaje schwytyany. Czy dla dziecka może być coś gorszego niż siedzenie przez całą godzinę w samochodzie jadącym znaną na wylot trasą, w dodatku w drodze ku czemuś, na co się cieszy? W samochodzie wypełnionym dymem papierosów dwojga palących rodziców, z ojcem, który sykiem wyraża swoją irytację za każdym razem, gdy siedzący z tyłu zmienia pozycję i przypadkiem szturchnie kolaniem w jego oparcie?

Ach, jak powoli płynął czas! Ach, jak wolno pojawiały się za szybą znane punkty orientacyjne! Ostro pod górę z centrum Arendal, przez osady w stronę mostu na Hisøye, potem przeciąć całą wyspę, obok Kolløplassen, sanatorium dla nerwowo chorych, w którym pracowała mama, później w dół, minąć tamtejsze sklepy, przez most nad rzeką Nidelva i niekończące się równiny z domami, lasami i polami w stronę Nedenes. A jeszcze nawet nie dotarliśmy do Fevik! Z Fevik wciąż było daleko do Grimstad, nie mówiąc już o tym, jak daleko było z Grimstad do Lillesand, a z Lillesand do Timenes, a z Timenes do mostu Varodd, a z mostu Varodd na Lund...

W milczeniu siedzieliśmy z tyłu i patrzyliśmy na pofalowany i jakże różny krajobraz, przez który wiała się droga. Wzdłuż cieśniny z wyspami i szkiarami, przez głębokie lasy, przez rzeki i ich przełomy, tereny mieszkalne i przemysłowe, gospodarstwa i łąki, a wszystko to było tak znajome, że w każdej chwili wiedziałem, co będzie dalej. Jedynie kiedy przejeżdżaliśmy obok zoo, wyrwaliśmy się z uśpienia, bo tam mogło się zdarzyć, że jakieś zwierzę ukaże się za wysokim płotem z metalowej siatki, i to całkiem gratis! Zaraz po przejechaniu tego odcinka znów zapadliśmy w śpiączkę. Przez godzinę siedzieliśmy nieruchomo na tylnym siedzeniu, przez całą niekończącą się godzinę, nim w końcu miasto wokół nas zaczęło nabierać kształtu i punkt ciężkości między czelającą nas wizytą u dziadków a samą podróżą samochodem zaczął się przesuwac. Wjazd do miasta był jak wjazd do czasu. Tu znów zegarki zaczęły cykać, tam był sklep Oasen, dalej mieszkało nasze rodzeństwo cioteczne, Jon Olav i Ann Kristin, dzieci Kjellaug, siostry mamy, i jej męża Magnego; po tamtej stronie ulicy rosły kasztanowce, a za nimi wznosiły się wysokie, brudne murowane domy. Tam była apteka, a tam kiosk na Rundingen, tam skrzyżowanie ze światłami, sklep z płytami, wąska droga i nagle z lewej strony wyłonił się żółty dom dziadków.

Tata go minął, przejechał kawałeczek dalej w dół, a potem cofnął w przeciwny zaulek i dopiero wtedy mógł wjechać na krótki, stromy podjazd.

W kuchennym oknie ukazała się twarz babci. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, zaparkowanego tuż przy drzwiach do garażu, lakierowanych, z czarnymi okuciami, i już wchodziliśmy po pomalowanych na czerwono murowanych schodkach, otworzyła drzwi.

– Jesteście! – zawołała. – Wejdźcie!

A kiedy znaleźliśmy się w małej sieni:

– Tak na was czekałam, uwierzcie mi, chłopcy!

Długo ścisnęła Yngvego, lekko go przy tym kołysząc, trochę odwracał twarz, ale i tak to lubił. Potem długo ścisnęła mnie i też trochę kołysała. Ja również odwróciłem twarz, ale też to lubiłem. Jej policzek był taki gorący i tak przyjemnie pachniała.

– Chyba widzieliśmy wilka w zoo – oznajmiłem, kiedy mnie puściła.

– Naprawdę? – Roześmiała się, mierzwiąc mi włosy.

– Wcale nie – zaprotestował Yngve. – To się wydarzyło tylko w wyobraźni Karla Ovego.

– Naprawdę? – Zmierziła włosy i jemu. – W każdym razie cieszę się, że was widzę!

Odwiesiliśmy kurtki w przedpokoju, gdzie była otwarta, wbudowana w ścianę szafa, i po niebieskiej wykładzinie weszliśmy na górę. Na piętrze po prawej stronie był salon, a kuchnia po lewej. Z salonu korzystano tylko w Wigilię i przy innych uroczystych okazjach. Pod krótszą ścianą stało pianino, na nim trzy zdjęcia synów w studenckich czapkach, nad nimi wisiały dwa obrazy. Dłuższą ścianę zajmowały ciemne regały z przeszklonymi drzwiczkami, a na nich wystawiono pamiątki z podróży dziadków, między innymi świecąca gondola i dzbanek do herbaty z brązowożółtego szkła z okropnie długim dziobkiem, ozdobiony czymś, co uważałem za diamenty i rubiny. W głębi dwie czarne skórzane kanapy, przy nich antyczna ludowa narożna szafka, a między nimi niski stolik. Z wielkich okien miało się widok na rzekę i rozciągające się za nią miasto. Ale podczas zwyczajnej wizyty, takiej jak ta, w ogóle tam nie wchodziliśmy, od razu kierowaliśmy się do drzwi na lewo, do kuchni i dwóch pokoi, z których ostatni był połączony z salonem przesuwными drzwiami, a wchodziło się do niego po niskich stopniach. Pół dłuższej ściany zajmowało tu okno, z którego roztaczał się widok na ogród, dalej na rzekę rozlewającą się przy spotkaniu z morzem, a na samym końcu królowała na horyzoncie biała latarnia morska Grønningen.

Pachniało tam przyjemnie, ale nie tylko z kuchni, gdzie babcia już szykowała klopsiki i brązowy sos, które przyrządzała pysznie jak mało kto. Unosił się tam również zapach, którym podszyte były wszystkie inne wonie i który pozostawał niezmienny; jego lekko owocowa słodycz natychmiast przywodziła mi na myśl ten dom, gdy tylko zetknąłem się z nią gdzie indziej, na przykład kiedy dziadkowie przyjeżdżali z wizytą do nas, bo wtedy przywozili ten zapach ze sobą, tkwił w ich ubraniu, a wyczuwałem go od razu, ledwie przekroczyli nasz próg.

– Jak się jechało? – spytał dziadek, kiedy weszliśmy do kuchni. – Duży ruch na drodze?

Siedział na swoim krześle z lekko rozsuniętymi nogami, miał na sobie robiony na drutach szary rozpinany sweter, a pod spodem niebieską koszulę. Brzuch trochę mu sterczał nad paskiem ciemnoszarych spodni. Włosy miał czarne, zaczesane do tyłu, tylko jeden kosmyk opadał na czoło. Z ust zwiślał do połowy wypalony, ale zgaszony papieros.

– Nie, było w porządku – odparł tata.

– A jak wczorajsze zakłady piłkarskie? – spytał dziadek.

– Na razie nic – powiedział tata. – Najlepszą miałem siódemkę.

– Ja zgarnąłem dwie dziesiątki.

– Nieźle.

– Nie trafiłem numeru siedem i jedenaście – wyjaśnił dziadek – Najgorszy był ten ostatni. Bramka padła przecież już po zakończeniu meczu.

– No tak – przyznał tata. – Ja też tego nie zakreśliłem.

– Słyszeliście, co jakiś uczeń powiedział kóregoś dnia Erlingowi? – odezwała się babcia od strony kuchni.

– Nie? – zainteresował się tata.

– Kiedy przyszedł rano, ten uczeń spytał: „Wy grał pan w zakładach piłkarskich?”. Erling odparł: „Nie, a dlaczego?”. „Bo ma pan taką zadowoloną minę”. – Roześmiała się. – Bo ma pan taką zadowoloną minę – powtórzyła.

Tata się uśmiechnął.

– Macie ochotę na filiżankę kawy? – zaproponowała babcia.

– Tak, dziękuję, bardzo chętnie – odparła mama.

– Wobec tego usiądziemy w pokoju – zdecydowała babcia.

– Możemy iść na górę po jakieś pisma? – spytał Yngve.

– Oczywiście, że możecie. Tylko nie naróbcie bałaganu.

– Dobrze – powiedział Yngve.

Ostrożnie, bo to również nie był dom, po którym się biegano, wyszliśmy na korytarz i wspięliśmy się po schodach na drugie piętro. Oprócz sypialni babci i dziadka był tam również duży strych, na którym pod ścianą stały kartony ze starymi czasopismami z lat pięćdziesiątych, jeszcze z czasów dzieciństwa taty. Znajdowało się tam również wiele innych rzeczy, między innymi stara maglownica, stara maszyna do szycia, sporo starych zabawek, na przykład cynowy bąk i coś, co miało przedstawiać robota, z tego samego metalu.

Ale nas przyciągały pisma. Nie wolno nam było pożyczyć ich do domu, musieliśmy czytać je na miejscu i czasami zajmowały nas od przyjazdu do wyjazdu. Teraz też z plikiem w obu rękach zeszedliśmy na dół, usiedliśmy i nie mogliśmy się od nich oderwać, dopóki babcia nie zawołała nas do stołu, na którym już stał obiad.

Po jedzeniu babcia zmywała, a mama stała obok i wycierała. Dziadek przy stole czytał gazetę, tata wyglądał przez okno. Po chwili babcia spytała go, czy nie poszedłby z nią do ogrodu, bo chciały mu coś pokazać. Mama i dziadek trochę rozmawiali przy stole, ale głównie zalegała między nimi cisza. Wstałem, żeby iść do ubikacji. Toaleta była na parterze, nie lubiłem tam chodzić, więc już od pewnego czasu się wstrzymywałem, ale dłużej nie mogłem. Wyjść na korytarz, zejść po trzeszczących drewnianych schodach, szybko przejść przez pokryty wykładziną hol, jakby okrążony przez trzy puste pokoje za zamkniętymi drzwiami, i dalej, do łazienki. Było tam ciemno, cały się trząsałem w środku przez te sekundy, które mijały, zanim zapaliło się światło. Ale nawet kiedy się paliło, strach nie odpuszczał. Siąkałem po obrzeżu, żeby plusk strumienia moczu uderzającego w wodę na dnie nie zagłuszył mi żadnego ewentualnego dźwięku. Umyłem też ręce, zanim spuściłem wodę, bo po poruszeniu drążkiem przy rezerwarze musiałem stamtąd jak najszybciej wyjść, ponieważ szum stawał się tak głośny i tak straszny, że nie mogłem dłużej przebywać w tym pomieszczeniu. Przez parę sekund stałem w gotowości, z ręką zaciśniętą na niedużej czarnej kulce. W końcu ją nacisnąłem, wybiegłem do holu, równie straszego, ponieważ każdy znajdujący się tam, nawet najmniejszy drobiazg bezszelестnie „nadawał” sam z siebie, i ruszyłem na górę po schodach, po których oczywiście nie wolno mi było biegać, a poczułem, że coś z dołu mnie goni, towarzyszyło mi aż do chwili, gdy wszedłem do kuchni i obecność innych na piętrze je przegoniła.

W zaułku koło domu strumień ludzi idących z miasta na stadion zgęstniał, więc wkrótce tata, mama i Yngve też zaczęli się szykować do wyjścia. Dziadek zawsze jeździł na stadion na rowerze, więc wyszedł z domu jakiś czas po nich. Ubrał się w szary płaszcz, rudoczerwony szalik, szary kaszkiet i czarne rękawiczki, zobaczyłem to przez okno, kiedy wyprowadzał rower. Babcia wyjęła z zamrażarki i ułożyła na blacie bułeczki, które mieliśmy zjeść po powrocie wszystkich z meczu.

Spojrzała na mnie chytrze.

– Mam coś dla ciebie – oświadczyła.

– A co?

– Zaczekaj, to zobaczysz. Zasłoń oczy!

Zasloniłem. Słyszałem, że szuka czegoś po szufladach. W końcu stanęła przede mną.

– Teraz już możesz patrzeć – oznajmiła.

To była czekolada. Jedna z tych trójkątnych, rzadko spotykanych, takich pysznych.

– Jest dla mnie? – spytałem. – Cała?

– Tak

– Yngve nie dostanie?

– Tym razem nie. On poszedł przecież na mecz. A ty też musisz mieć jakąś przyjemność.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem i rozerwałem papierowe opakowanie, odsłaniając owiniętą w sreberko zawartość.

– Ale nie mów nic Yngvemu. – Puściła do mnie oko. – To będzie nasza tajemnica.

Jadłem czekoladę, a babcia rozwiązywała krzyżówkę.

– Niedługo założą nam telefon – powiedziałem.

– Naprawdę? No to będziemy mogli sobie rozmawiać.

– Tak. Właściwie jesteśmy daleko w kolejce, ale i tak nam założą, bo tata jest w polityce.

Roześmiała się.

– W polityce, ach tak?

– Tak – potwierdziłem. – No przecież jest.

– Tak, tak, rzeczywiście jest. Wesoło jest w szkole? – spytała.

– Bardzo. – Kiwnąłem głową.

– A co jest najprzyjemniejsze?

– Przerwy – powiedziałem, wiedząc, że babcia się roześmieje, a przynajmniej uśmiechnie.

Kiedy już zjadłem czekoladę, a ona dalej siedziała zatopiona w krzyżówce, poszedłem na strych i przyniosłem stamtąd kilka zabawek.

Po jakimś czasie spojrzała na mnie i spytała, czy i my nie wybralibyśmy się na mecz. Bardzo chciałem. Ubraliśmy się więc, babcia wyprowadziła rower z garażu, usiadłem na bagażniku, a ona na siodleku, ale jednej stopy cały czas nie odrywała od ziemi. Odwróciła się do mnie.

– Gotowy jesteś? – spytała.

– Tak – powiedziałem.

– No to trzymaj się, jedziemy!

Objąłem ją ramionami, odbiła się od ziemi, potem postawiła stopę na pedale, ruszyła w dół niewielkiego wzniesienia, skręciła w prawo i zaczęła pedałować.

– Wygodnie ci? – spytała, a ja pokiwałem głową, ale uświadomiłem sobie, że przecież mnie nie widzi, więc powiedziałem:

– Tak, bardzo wygodnie.

I naprawdę było mi wygodnie. Z przyjemnością ją obejmowałem i fajnie się z nią jechało. Babcia była jedyną osobą, która dotykała mnie i Yngvego, jedyną, która nas przytulała i głaskała po rękach. Była też jedyną osobą, która się z nami bawiła. Tacie zdarzało się to w święta, ale zawsze wtedy robiliśmy to, na co on miał ochotę, na przykład graliśmy w Master Minda, szachy, chińskie warcaby, kości, w makao albo w pokera na zapalki. Mama też uczestniczyła w tych grach, ale z nią głównie wytwarzaliśmy jakieś przedmioty, albo na kuchennym stole w domu, albo w Pracowni w Kokkeplassen. Owszem, to było fajne, ale nie tak jak z babcią, która po prostu chciała robić to co my i z zainteresowaniem słuchała, kiedy Yngve na przykład pokazywał jej coś, do czego można wykorzystać jego „Małego chemika”, albo pomagała mi układać puzzle.

Koła toczyły się coraz wolniej, aż w końcu całkiem się zatrzymały i babcia zsiadła z roweru, żeby podprowadzić go na szczyt wzgórza.

– Ty sobie siedź, jeśli chcesz – powiedziała.

Siedziałem i patrzyłem na miasto, a babcia, leciutko zdyszana, dalej prowadziła rower. Kiedy dotarliśmy na szczyt i znów usiadła na siodelku, dojechalismy łagodnie opadającym zboczem aż pod stadion. Nagle od tamtej strony dobiegło głośne westchnienie jakby ogromnego zwierzęcia, a potem okłaski. Niewiele było równie podniecających odgłosów. Babcia podjechała do krótszego bołu stadionu, oparła rower o ścianę z desek i pozwoliła mi przez kilka minut stać na bagażniku, podtrzymując mnie, żebym mógł zobaczyć boisko i to, co się tam działo. Oglądałem to z daleka, umykały mi wszystkie szczegóły, oprócz żółtych i białych koszulek na tle zielonej trawy, a także całego otaczającego je ludzkiego tłumu, czarnego i falującego, ale uchwyciłem atmosferę, wchłonąłem ją i przez następne dni hołubiłem ją w sobie.

Po powrocie do domu babcia zaczęła szykować to, co mieliśmy zjeść przed wyjściem, a niedługo potem otworzyły się drzwi w korytarzu. Wrócił dziadek z ponurą miną, a babcia, widząc to, spytała:

– Przegrali?

Pokiwał głową, usiadł na swoim miejscu, nalała mu kawy. Nigdy do końca nie pojąłem układu sił między babcią a dziadkiem. Z jednej strony zawsze go obsługiwała, szykowała wszystkie posiłki, zajmowała się zmywaniem i innymi pracami domowymi, jakby była jego służącą, z drugiej – często się na niego złościła albo irytowała, krzyczała wtedy albo się z niego wyśmiewała, mówiła ostrym, nierzadko drwiącym tonem, natomiast on niewiele się odzywał, nie odgryzał się. Dlatego że nie musiał? Dlatego że żadne z jej słów nie naruszało czegoś ważnego? Czy też dlatego że po prostu nie umiał? Gdy Yngve i ja byliśmy świadkami takiej sytuacji, babcia potrafiła puścić do nas oko, jakby dawała znak, że to wcale nie jest aż tak poważne, albo może w swojej złości na niego chciała wykorzystać również nas, stwierdzając na przykład: dziadek nie umie nawet porządnie wkręcić żarówkę, on zaś wtedy potrafił spojrzeć na nas, uśmiechnąć się i pokręcić głową nad babcią. Żadnej innej formy bliskości niż ta słowna lub okazywana przez usługiwanie mu nigdy między nimi nie widziałem.

– Słyszałam, że przegrali? – powtórzyła, kiedy dziesięć minut później na schodach pojawili się mama, tata i Yngve.

– Tak. Ale „Strata zyskiem znów dla człowieka!”^[1] – powiedział tata. – A co ty na to, ojcze?

Dziadek tylko coś burknął w odpowiedzi.

Zanim odjechaliliśmy stamtąd owego wieczoru, dostaliśmy całą torbę śliwek i całą torbę gruszek a oprócz tego torbę bułeczek. Dziadek pożegnał się z nami na górze, nie miał ochoty wstawać ze swojego krzesła, ale babcia zesłała z nami na dół, każdego serdecznie uściskała, stanęła na schodach i machała nam, dopóki nie zniknęliśmy jej z oczu.

O dziwo, droga do domu zawsze mijiała szybciej niż ta do miasta. Uwielbiałem jeździć po ciemku, z rozświetloną deską rozdzielczą, z przytłumionymi głosami dobiegającymi z przedniego siedzenia, w blasku mijanych latarni, które zalewały nas światłem jak fale, lubiłem też długie zupełnie ciemne odcinki, które pojawiały się od czasu do czasu, kiedy wyszstkłm, co było widać, a więc wszystkim, co istniało, był asfalt ukazujący się w świetle samochodowych reflektorów i fragmenty krajobrazu oświetlane na zakrętach. Pojawiające się nagle korony drzew, pojawiające się nagle skały, pojawiające się nagle morskie zatoki. Osobną przyjemnością był powrót do pogrążonego w ciemności domu: słuchanie kroków na żwirze, ostry trzask drzwiczek samochodu, podzwanianie kluczy, zapalające się w przedpokoju światło, które zdradzało obecność wszystkich znajomych rzeczy. Buty z językiem i dziurkami na sznurówki przypominającymi oczy, chłodne spojrzenie białych kontaktów nad podłogą, trochę obrażony stojący wieszak w rogu. A w pokoju: długopisy i ołówki, zebrane w pojemniku niczym banda gimnazjalistów, niektóre z pogardą wychylone poza brzeg, gotowe w każdej chwili splunąć, aby zademonstrować swój brak zainteresowania dla wszystkiego i wszystkich. Kołdra i poduszka, albo ułożone w kształt, który zapamiętał moje ostatnie ruchy, albo też wyprężone na zaścielonym łóżku, nietykalne, niczym sarkofag lub kapsuła statku kosmicznego, teraz uradowane możliwością zmiany pozycji, chociaż niestawiające wcale takich wymagań. Nieruchome spojrzenie lampy. Usta dziurki od klucza, oczy dwóch śrub na okuciu, długi, umieszczony w dziwnym miejscu nos klamki.

Umyłem zęby, zawołałem „dobranoc” do rodziców i położyłem się do łóżka, żeby jeszcze pół godziny poczytać. Miałem dwie ulubione książki, które usiłowałem wysłać na kwarantannę na tyle długą, żebym mógł je jeszcze raz przeczytać z taką świeżością jak za pierwszym razem, ale nigdy mi się to nie udawało, w końcu znów sięgałem po nie dużo wcześniej. Jedną był *Doktor Dolittle*, opowieść o lekarzu, który umiał rozmawiać ze zwierzętami, a pewnego dnia wybrał się z nimi w długą podróż do Afryki, gdzie został uwięziony przez murzyńskiego króla, ale nareszcie znalazł to, czego szukał, a mianowicie dwugłowca, rzadkie zwierzę, które miało dwie głowy, po jednej na każdym końcu ciała. Drugą książką była *Fresi Fantastika*^[2], opowieść o dziewczynce, która umiała unosić się na strumieniu wody wytryskującym z fontanny, a po wielu perypetiach przepłynęła morze, balansując na fontannie z nozdrzy ogromnego wieloryba. Tego wieczoru sięgnąłem jednak po inną książkę ze stosu, a mianowicie *Malutką czarownicę*, historię wiemy, która była za mała, by wyruszyć na tańce czarownic na Blocksbergu, lecz mimo wszystko się tam zakradła. Robiła wiele zakazanych rzeczy, na przykład czarowała w piątek, o czym prawie nie mogłem czytać, nie powinna tego robić, przecież gdyby ją odkryto... No i tak się stało, ale w końcu świetnie sobie poradziła. Preczytałem kilka stron, lecz ponieważ tak dobrze znałem tę historię, zacząłem zamiast tego oglądać obrazki. Kiedy już obejrzałem wszystkie, zgasilem światło, przyłożyłem głowę do poduszki i zamknąłem oczy.

Już prawie zasypiałem, a może nawet zasnąłem, bo nagle jakbym wrócił do łóżka i pokoju, przywołany tam dzwonkiem do drzwi.

Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń.

Kto to mógł, do licha, być? Do naszych drzwi nie dzwonił nikt, chyba że goście, których się spodziewaliśmy, czyli w dziewięciu przypadkach na dziesięć dziadkowie, a oprócz nich od czasu do czasu jakiś akwizytor albo któryś z kolegów Yngvego. Ale nikt taki nie dzwoniłby tak późno wieczorem.

Usiadłem na łóżku. Usłyszałem, że mama idzie przez korytarz i schodzi na dół, potem dobiegły stamtąd ściszone głosy, za moment wróciła na górę, zamieniła z tatą kilka słów, których nie rozumiałem, znów zeszła na dół i musiała się ubrać, bo chwilę później zamknęły się drzwi wejściowe, a po kolejnej chwili ruszył jej samochód.

Co to miało znaczyć? Dokąd się wybierała o tej porze? Przecież była już prawie d z i e s i ą t a !

Po paru minutach również tata zszedł na dół, ale on został w domu, tyle że zamknął się w gabinecie. Kiedy to usłyszałem, wstałem, ostrożnie otworzyłem drzwi i wymknąłem się do pokoju Yngvego.

Leżał na łóżku i czytał, ciągle w ubraniu. Uśmiechnął się na mój widok i usiadł.

– Przychodzisz w samych majtkach? – spytał.

– Kto dzwonił do drzwi?

– Chyba pani Gustavsen. I wszystkie dzieciaki.

– O tej porze? Dlaczego? I dlaczego mama pojechała? Po co?

Yngve wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że odwiozła ich do jakichś krewnych.

– Dlaczego?

– Gustavsen jest pijany. Nie słyszałeś, jak wcześniej na nich krzyczał?

Pokręciłem głową.

– Spałem. Leif Tore też był z nimi? I Rolf?

Yngve kiwnął głową.

– O rany! – zawołałem.

– Tata na pewno zaraz przyjdzie na górę. Więc lepiej wracaj do siebie i się połóż. Ja też już idę spać.

– Okej. Dobranoc.

– Dobranoc.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, odciągnąłem na bok zasłonę i wyjrzałem przez okno na dom Gustavsenów. Nie dostrzegłem nic niezwykłego, w każdym razie na zewnątrz panował całkowity spokój.

Pan Gustavsen już wcześniej był pijany, to była znana sprawa. Wiosną któregoś wieczoru rozniosła się plotka, że się upił, więc trzech czy czterech z nas zakradło się do ich ogrodu i zajrzało przez okna salonu, ale nie było czego oglądać. Tylko siedział nieruchomo na kanapie i patrzył przed siebie. Kiedy indziej słyszeliśmy, jak krzyczy i wrzeszczy, zarówno w domu, co było słychać przez otwarte okna, jak i na trawniku. Leif Tore tylko się z tego śmiał. Ale może tym razem stało się coś jeszcze? Do tej pory nigdy przed nim nie uciekali.

Kolejny raz obudziłem się dopiero rano. Słyszałem, że ktoś jest w łazience, najprawdopodobniej Yngve. Z drogi biegnącej wzdłuż trzymetrowej wysokości muru wokół działki Gustavsenów, podtrzymującego zupełnie płaski trawnik, dochodził warkot samochodu mamy. Zaczynała dzisiaj pracę wcześniej. Yngve zamknął drzwi łazienki, poszedł do swojego pokoju i chwilę później zbiegł na dół po schodach.

Rower!

Gdzie on podział rower?

Całkiem zapomniałem o to spytać.

Ale na pewno dlatego wychodził tak wcześniej – nie mógł jechać rowerem, musiał iść do szkoły na piechotę.

Wstałem, zabrałem ze sobą ubranie do łazienki, umyłem się w tej wodzie, której również dzisiaj nie zapomniał mi zostawić, ubrałem się i poszedłem do kuchni, gdzie tata przygotował mi trzy kanapki i talerz z nimi postawił na moim miejscu obok szklanki mleka. Karton z mlekiem, chleb i reszta były już sprzątnięte. Sam siedział w salonie, słuchał radia i palił.

Padało. Równy, siąpiący deszcz, od czasu do czasu podrywany podmuchem wiatru, sieł w szyby z odgłosem małych bębniących palców.

Poniedziałek był jedynym dniem, kiedy nikogo nie było w domu, gdy wracałem ze szkoły. Dlatego dostałem własny klucz i nosiłem go na sznurku na szyi. Ale z tym kluczem był jeden problem: nie udawało mi się nim otworzyć drzwi. W pierwszy deszczowy poniedziałek przebiegłem po żwirze w nieprzemakalnym stroju i kaloszach, ścisnąc klucz w rękę, zadowolony i dumny z nowej sytuacji. Udało mi się włożyć klucz w zamek, ale nie zdołałem go przekręcić. Nie dawało się, bez względu na to, ile sił w to wkładałem. Klucz się zaciął. Po dziesięciu minutach zacząłem płakać. Ręce miałem czerwone i zmarznięte, z nieba lał deszcz, wszystkie inne dzieci już dawno były w domach. Akurat wtedy nadeszła drogą sąsiadka, którą niezbyt dobrze znałem – była stara i mieszkała z mężem w domu na samej górze, tuż przy lesie nad boiskiem – ale kiedy ją zobaczyłem, nie wahałem się, przecież nie miała żadnych związków z moimi rodzicami, więc podbiegłem do niej i ze łzami spływającymi po policzkach spytałem, czy nie pomogłaby mi w otwarciu zamka. Oczywiście się zgodziła. I dla niej nie stanowiło to żadnego problemu! Trochę poruszała kluczem i go przekręciła. Pstryk i drzwi były otwarte. Podziękowałem i wszedłem do środka, ale wiedziałem już, że to nie z kluczem jest coś nie tak tylko ze mną. Następnym razem nie padało, więc rzuciłem tylko tornister przed progiem i pobiegłem do Geira. Tata skomentował to po powrocie do domu. Tornister nie miał prawa tak się poniewierać, więc w kolejny poniedziałek, gdy również nie padało, po prostu wziąłem go ze sobą, pod pozorem, że będzie mi potrzebny przy odrabianiu lekcji u Geira.

W międzyczasie wymyśliłem metodę, którą mogłem zastosować, kiedy pogoda się pogorszy jesienią i zimą, tak jak dzisiaj. Mianowicie w kotłowni było niewielkie okienko, niemal lufcik, mimo to na tyle duże, żebym mógł się przez nie prześlizgnąć. Kiedy stałem na trawniku na zewnątrz, znajdowało się jakieś pół metra nad moją głową. Wymyśliłem, że gdybym otworzył je rano, co nie było zbyt ryzykowne, bo przylegało do listew nawet po podniesieniu dwóch haczyków, mógłbym po powrocie do domu przyciągnąć pod ścianę pojemnik na śmieci, stanąć na nim, wślizgnąć się do kotłowni, otworzyć drzwi od wewnątrz, zabrać pojemnik, zamknąć

okienko i byłbym wtedy w domu, a nikt nie domyśliłby się, że nie umiem przekręcić klucza. Jedyne niepewne element planu stanowiła chwila podniesienia haczyków, ale jeśli padało, pójście do kotłowni było najbardziej naturalną rzeczą na świecie, bo zwykle tam wisiały ubrania od deszczu, a uniesionych haczyków nie dało się zauważyć, jeżeli się nie stało przy samych drzwiach. Byłem przecież na tyle głupi, żeby porywać się na coś takiego, gdy tata kręcił się po korytarzu.

Zjadłem te trzy kanapki i wypilem szklankę mleka. Umyłem zęby w łazience, wziąłem z pokoju tornister i zszedłem na dół, do wąskiego, ciepłego pomieszczenia z dwoma bojlerami. Na kilka sekund znieruchomiałem. Ponieważ na schodach nie rozległy się kroki, stanąłem na palcach i podniosłem haczyki. Włożyłem kurtkę przeciwdeszczową, zarzuciłem tornister na plecy, przeszedłem do przedpokoj, gdzie stały kalosze, niebiesko-białe wikingi, które dostałem, chociaż bardzo chciałem mieć całkiem białe. Krzyknąłem tacie „do widzenia” i pobiegłem do Geira, który wystawił głowę przez okno i zawołał, że jeszcze je śniadanie, ale niedługo zejdzie.

Przeszedłem do jednej z szarych kałuż na ich podjeździe i zacząłem rzucać w nią kamieniami. Ich podjazd nie był pokryty żwirem jak niemal u wszystkich innych, ani też betonowymi płytami jak u Gustavsenów, tylko ubitą czerwona ziemią, pełną drobnych okrągłych kamyczków. Nie tylko tym się różnili. Na tyłach domu nie mieli trawnika, lecz coś w rodzaju niedużego poletka, gdzie zasadzili ziemniaki, marchew, kalarepę, rzodkiewki i różne inne warzywa. Od strony lasu nie było u nich drewnianego płotu jak u nas czy siatkowego ogrodzenia jak u wielu innych, tylko kamienny murek, który pan Prestbakmo zrobił sam. Nie wyrzucali też wszystkich śmieci do pojemnika tak jak my, ale zbierali na przykład kartony po mleku oraz pojemniki na jajka i wykorzystywali je na różne sposoby, a resztki jedzenia rzucali na kompost znajdujący się pod murem.

Wyprostowałem się i popatrzyłem na betoniarkę. Jej okrągłą zieloną głowę częściowo zasłaniał biały brezent przypominający chustkę. Miała otwarte usta, wielkie i bezzębne, co takiego mogło aż tak ją zdziwić?

Z góry zjeżdżał ojciec Geira Håkona swoim zielonym taunusem. Pomachałem mu, w odpowiedzi ledwie oderwał rękę od kierownicy.

Nagle pomyślałem o Anne Lisbet. Ta myśl wystrzeliła jakby z brzucha i rozlała się po piersi eksplozją radości.

Nie przyszła w piątek do szkoły. Solveig mówiła, że jest chora, ale dzisiaj był już poniedziałek, więc na pewno wyzdrowiała.

Musiała wyzdrowieć.

Nie mogłem się doczekać, kiedy znajdę się pod B-Maxem i ją zobaczę.

Te jej czarne błyszczące oczy. Wesoły głos.

– Geir! Wy chodzisz? – zawołałem.

Jego głos rozległ się głucho zza drzwi. Moment później je otworzył.

– Idziemy ścieżką? – spytał.

– Dobra.

Pobiegliśmy więc za dom, przeleźliśmy przez kamienne ogrodzenie i popędziliśmy ścieżką.

Wcześniej było to mnóstwo kęp trawy rozdzielonych wąskimi, wyschniętymi kanałami, ale teraz bagno nasiąkło wodą i w zasadzie nie dawało się przejść przez nie suchą stopą, nawet w kaloszach, bo noga zienacka zapadała się w wypelnioną wodą dziurę aż po brzeg cholewki, ale i tak próbowaliśmy; balansując na drżących kępach, przeskakowaliśmy na następne, ślizgaliśmy się, podpieraliśmy się rękami i czuliśmy, jak ziemia pod naciskiem się ugina, a woda jakby zaczynała się w s p i n a ć po rękawie swetra pod kurtką. Ze śmiechem relacjonowaliśmy sobie kolejne potknięcia. W końcu, przeciąwszy błotniste i śliskie boisko, skręciliśmy w prawo, w szeroki pasaż wśród liściastych drzew, który był kiedyś drogą dla wozów, w każdym razie szerszy od ścieżki, całkowicie pokryty teraz dywanem z liści, żółtych, czerwonych i brązowych, tu i ówdzie przetykanych zielenią. Na samym szczycie znajdowała się niewielka polana, rosła tam wysoka żółtobiała trawa, teraz jednak lepiła się do ziemi. Za nią sterczała naga skała, na której stał stary słup elektryczny. Stara droga ciągnęła się jeszcze przez pewien odcinek, dopóki nie wchłonęła jej ta większa, biegnąca jakieś dwadzieścia metrów od łąki. W dole rósł las, głównie dęby. Między dwoma z nich stał wrak samochodu, w o wiele gorszym stanie niż ten jakieś sto metrów dalej, w którym zwykle się bawiliśmy, ale wcale nie był z tego powodu mniej atrakcyjny, przeciwnie, bo tędy prawie nigdy nikt nie chodził.

Ach, zapach starych wraków w mokrym lesie! Zapach syntetycznej tkaniny na rozprutych siedzeniach, zapach ziemi i pleśni, ostry i wręcz świeży w porównaniu z ciężkim, mrocznym zapachem gnijących liści bijącym ze wszystkich stron. Czarne uszczelki okien, oderwane i zwisające z dachu jak czułki. Całe szkło, rozbite na drobne kawałeczki, w przeważającej części już zniknęło w ziemi, lecz tu i ówdzie jeszcze leżało na wycieraczkach podłogowych albo w drzwiach, jak malutkie zmatowiałe diamenty. I te czarne wycieraczki! Kiedy się nimi poruszyło, cała horda robactwa, przerażona, rozpierchała się na wszystkie strony. Pająki, kosarze, stonogi. Opór stawiany przez trzy pedały w podłodze, które w zasadzie nie chciały nawet drgnąć. Krople padające przez okno na twarz za każdym razem, gdy wiatr wytrącał je z toru ich lotu w powietrzu albo otrząsał z liści na gałęziach kołyszących się tuż nad głową.

Czasami w pobliżu znajdowaliśmy różne rzeczy, dużo butelek, jakieś torby z pismami o samochodach, albo nawet pornograficznymi, puste pudełka po papierosach, puste plastikowe butelki po płynie do mycia szyb, od czasu do czasu jakiś kondom, a raz znaleźliśmy majtki pełne kupy. Śmiało się strasznie długo z tego, że ktoś się sfajdał, a potem przyszedł tutaj i wyrzucił całe gacie.

Ale przecież podczas naszych wypraw sami robiliśmy kupę w lesie. Potrafiliśmy wspinać się na drzewa i robić stamtąd. Stanąć na krawędzi zbrocza i załatwiać się tak, żeby kupa spadała z góry, albo stawać na brzegu strumienia i wypróżnić się do niego. Wszystko po to, żeby zobaczyć, co się stanie, jakie to będzie uczucie i jaki kolor będzie miała kupa, czy będzie czarna, zielona, brązowa czy jasnobrązowa, i jaki będzie efekt, kiedy błyszcząca poleży na leśnym podszyciu, wśród wrzosu i mchu, czy zwabi muchy, czy będą się po niej wspinać żuki. Również zapach kupy był w lesie ostrzejszy, mocniejszy, wyraźniejszy. Niekiedy wracaliśmy do miejsc, w których wcześniej nafajdaliśmy, żeby sprawdzić, jak sytuacja się rozwija. Czasami kupa całkiem zniknęła, kiedy indziej zostawały jedynie wyschnięte resztki albo leżała rozsmarowana i wyglądała tak, jakby się roztopiła.

Ale teraz szliśmy do szkoły i nie mieliśmy czasu na takie rzeczy. W dół zbrocza, przez plac

zabaw, składający się jedynie z zardzewiałych drabinek, zardzewiałej huštawki i spróchniałej piaskownicy prawie bez piasku. Stromo w górę, przez betonową barierkę, i wreszcie B-Max wyłonił się przed nami po drugiej stronie drogi. Kolejka tornistrów była już długa. Kilka dziewczynek, mimo lejącego deszczu, grało w gumę, inne stały pod dachem sklepu. Ale gdzie się podziała Anne Lisbet? Czyżby jej nie było?

W tej samej chwili zobaczyliśmy nadjeżdżający autobus. Przebiegliśmy z Geirem przez drogę i dotarliśmy na miejsce zbiórki akurat w chwili, gdy zatrzymał się na wyasfaltowanym placu przed supermarketem. Wsiadliśmy ostatni i zajęliśmy siedzenie na samym przodzie. Wielkie szyby zachodziły parą od wilgoci, którą wnieśliśmy ze sobą. Niektórzy od razu zaczęli rysować na zaparowanym szkłe. Kierowca zamknął drzwi i ruszył w stronę głównej drogi, a ja uklęknąłem na siedzeniu i spojrzałem do tyłu. Nie było jej, przez to natychmiast ogarnęło mnie takie uczucie, jakby wszystek sens całego świata znalazł sobie dziurę, przez którą wyciekał. Teraz musiałem przeżyć ten dzień, a może i następny, nie widząc jej. Nie było też Solveig, więc nie mogłem się dowiedzieć, jak bardzo chora jest Anne Lisbet i jak długo potrwa jej choroba.

Dziesięć minut później autobus zatrzymał się przed szkołą, przebiegliśmy przez dziedziniec pod wiatę chroniącą od deszczu i tam staliśmy razem z prawie wszystkimi dziećmi ze szkoły aż do dzwonka na lekcję. Z widzenia znałem już prawie każdego z chłopaków, niektórych również z imienia i nazwiska, wiedziałem też, czym się wstawili. Mieliśmy gimnastykę z równoległą kładką. Ci chłopcy mówili nad nami, ponieważ pochodzili stąd i lepiej się tu orientowali. To była ich szkoła, ich nauczyciele, traktowali nas jak kogoś w rodzaju imigrantów, pozbawionych jakichkolwiek praw. Byli też od nas twardsi, to znaczy więcej się bili, więcej łobuzowali i bezczelniej się odzywali, w każdym razie niektórzy, na co umieli zareagować tylko najtwardsi z nas, to znaczy Asgeir i John. Całą naszą resztę tutaj ustawiali według własnego widzimisię. Nagle czuło się czyjeś ramię na szyi, szarpnięcie i już człowiek leżał na ziemi. Nagle czyjaś zaciśnięta pięść łądowała na ramieniu podczas ustawiania się w pary albo w trakcie marszu do klasy, kiedy to najbardziej piekło. Nagle podczas gry w piłkę czuło się czyjaś pięta na palcach nóg. Ale John i Asgeir prędko nauczyli tamtych, że z nimi nie ma żartów, bo umieją oddawać i potrafią szaleć jak oni. Chłopcy ze wschodniej strony wyspy chodzili też inaczej ubrani niż my, przynajmniej niektórzy. Ich ubrania były starsze i wydawały się bardziej zużyte, jakby dostali je w spadku, i to nie tylko po jednym bracie, lecz po dwóch, a może i trzech... Geir i ja najbardziej baliśmy się tego, że któryś z tych chłopaków zaskoczy nas w naszym sekretnym miejscu. Ale właściwie jakiegoś wielkiego problemu nie stanowili, po prostu należało zachować pewną czujność, kiedy się chodziło po okolicy, i najczęściej wszystko kończyło się dobrze. Chyba najważniejszym efektem owych tarć było to, że nasza klasa bardziej się ze sobą zżyła, uważaliśmy, że stanowimy jedność, a salę lekcyjną postrzegaliśmy jako miejsce zapewniające pełne bezpieczeństwo.

Rozległ się dzwonek, ustawiliśmy się. Pani, wysoka i chuda, wyszła na schody swoim nieco kanciastym krokiem, jak zawsze trochę nerwowo poruszając dłońmi, pomaszrowaliśmy za nią i po odwieszeniu kurtek przeciwdeszczowych na wieszaki w korytarzu szybko usiedliśmy w klasie na swoich miejscach.

- Anne Lisbet dzisiaj też jest chora – powiedział ktoś.
- Solveig także.

– I Vemund.

– I Leif Tore – dodał Geir.

Przypomniały mi się wydarzenia poprzedniego wieczoru.

– Vemund jest chory na głowę! – zawołał Eivind.

– Cha, cha, cha!

– O nie, nie – powstrzymała nas Pani. – O nikim z klasy nie mówimy brzydko, a już na pewno nie pod jego nieobecność.

– Ojciec Leifa Torego wczoraj się upił – powiedziałem. – Moja mama musiała ich odwiedzić do krewnych. Dlatego go dzisiaj nie ma.

– Ssz... – Pani położyła palec na ustach, jednocześnie patrząc na mnie i kręcąc głową. Potem zapisała coś w notesie i rozejrzała się po klasie. – Kogoś jeszcze nie ma? Nie? Wobec tego zaczynamy.

Przysiadła na brzegu ławki. W tym tygodniu nauczyliśmy się o gospodarstwie wiejskim. Czy ktoś z nas kiedyś był w gospodarstwie?

Wyciągnąłem rękę najwyżej jak mogłem, prawie wstałem, wołając:

– Ja! Ja, ja! Ja byłem!

Ale nie tylko ja miałem coś do powiedzenia na ten temat i wcale nie moją rękę wskazała Pani, tylko Geira B.

– Jeździłem na koniu w Legolandzie – powiedział.

– Ale to przecież żadne gospodarstwo! – krzyknąłem. – Ja byłem na wsi mnóstwo razy. Babcia i dziadek..

– Czy to była twoja kolej na odpowiedź, Karl Ove? – spytała Pani.

– Nie. – Spuściłem wzrok.

– To prawda, że Legoland nie jest gospodarstwem, ale rzeczywiście konie kójarzą się z wsią, Geir. Unni?

Unni? A kto to taki?

Odwrociłem się. Aha, to ta, która tak chichocze. Pulchna, z jasnymi włosami.

– Ja mieszałam w gospodarstwie – zaczęła, czerwieniąc się. – Ale my nie mamy żadnych zwierząt. Uprawiamy warzywa. Tata sprzedaje je na targu w mieście.

– A ja byłem w gospodarstwie, w którym są zwierzęta – nie wytrzymałem.

– Ja też – odezwał się Sverre.

– I ja – dodał Dag Magne.

– Poczekajcie na swoją kolej – upomniała Pani. – Każdy będzie mógł coś powiedzieć.

Wskazała jeszcze pięć osób, zanim wreszcie mogłem opuścić rękę i wszystko z siebie wyrzucić. Moi dziadkowie, rodzice mamy, mieli duże gospodarstwo, a w nim dwie krowy i cielaka. No i kury. Wiele razy chodziłem wybierać jajka, a rano towarzyszyłem dziadkowi przy dojeniu. Najpierw wyrzucał gnój, później karmił krowy, a potem je doił. Czasami podnosiły ogon i sikały albo robiły kupę.

Uderzyła we mnie fala śmiechu. Rozogniony tym, kontynuowałem.

– A raz – powiedziałem z twarzą czerwoną z przejęcia – jedna krowa nasilała na mnie!

Rozejrzałem się i dosłownie pławiłem się w śmiechu, który gruchnął. Pani w żaden sposób tego nie skomentowała. Oddała głos komuś innemu, ale po jej minie widziałem, że mi nie wierzy.

Kiedy już wszyscy, którzy chcieli coś powiedzieć, mieli swoją szansę, przeczytała nam czytanekę o Oli-Oli Hei, chłopcu, który mieszkał na wsi. Zadawała nam pytania o to, co przeczytała, mnie kompletnie przy tym ignorując, dopiero po dzwonku poprosiła, żebym zaczął.

– Karl Ove – powiedziała. – Zostań na chwilę, chciałabym z tobą porozmawiać.

Stanąłem przy katedrze, patrząc, jak inne dzieci wybiegają z klasy. Kiedy już zostaliśmy sami, Pani przyśiadła na brzegu katedry i spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie wszystko, co wiemy o innych, musimy rozpowiadać. Na przykład to, co powiedziałeś o ojcu Leifa Torego. Nie sądzisz, że Leifowi Toremu byłoby przykro, gdyby to słyszał?

– Chyba tak – przyznałem.

– Pewnie nie chciałby, żeby inni się o tym dowiedzieli, rozumiesz?

– Tak – powiedziałem i rozplakałem się.

– Istnieje coś takiego, co się nazywa życiem prywatnym. Wiesz, co to jest?

– Nie – odparłem, pociągając nosem.

– Wszystko to, co się dzieje w domu. U nas, u was, u każdego. I nawet jeśli czasem zobaczy się, co się dzieje u innych, nie zawsze powinno się to przekazywać. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

– To dobrze, Karl Ove. Już nie płacz. Nie wiedziałeś, że tak nie należy robić. Ale teraz już będziesz wiedział. No, biegnij na przerwę.

Pobieglem przez korytarz na szkolny dziedziniec. Omiotłem wzrokiem rozmaite grupki, które tam stały. Kilka dziewczynek grało w gumę, inne skakały na skakance, jeszcze inne się goniły. Na boisku zobaczyłem gromadkę skupioną przy piłce pod bramką. Cały środek boiska zalała żółtawa kałuża błota. Geir, Geir Håkon i Eivind stali przy ławce obok skałki, na której wznosił się maszt flagowy, więc podbiegłem do nich, grali w karty ze statkami, należące do Geira Håkona.

– Ryczałeś? – spytał Eivind.

Pokręciłem głową.

– To przez wiatr – wyjaśniłem.

– A co ci powiedziała Pani?

– Nic specjalnego. Dacie mi kartę?

– Ryczałeś – orzekł Eivind.

Razem ze Sverrem i ze mną Eivind zaliczał się do klasowych prymusów. Był najlepszy z rachunków, Sverre drugi z kolei, a ja trzeci. Ja byłem najlepszy z czytania i pisania, Eivind zajmował drugie miejsce, a Sverre trzecie. Ale Eivind był o wiele szybszy ode mnie. Ze wszystkich chłopaków w klasie tylko Trond biegał szybciej niż on. Ja zajmowałem dopiero szóste miejsce. No i był ode mnie silniejszy. Ja byłem prawie najslabszy, slabszy był tylko Vemund, a ponieważ jednocześnie był najgłupszy i najgrubszy, to nikt się z nim nie liczył. Nawet Trond,

najmniejszy, był ode mnie silniejszy. Byłem za to nieco wyższy od Eivinda, trzeci w klasie. W piłce nożnej miałem numer cztery, wyprzedzali mnie Asgeir, Trond i John, a Eivind był tuż za mną. Z rysunków byłem lepszy od niego, przede mną byli tylko Geir, który umiał narysować wszystko, co chciał, i Vemund. Ale w rzucie piłeczką zajmowałem drugie miejsce od końca, również mając za sobą jedynie Vemunda.

– Wiatr mi powiał w oczy, kiedy wyszedłem na schody – powiedziałem. – Wcale nie rzyłem. Dacie mi kartę?

Na pierwszej karcie, którą wyciągnąłem, był „S/s France”, największy statek pasażerski na świecie, który wygrał ze wszystkimi innymi w każdej kategorii.

Na następnej lekcji pisaliśmy w zeszytach literki „o” jak w słowie „krowa”, „a” jak w słowie „laczka” oraz „i” jak w słowie „indyk”. Jako pracę domową mieliśmy te same literki wpisać do naszych ćwiczeń. Pani spytała, czy ktoś mieszka w pobliżu nieobecnych dzisiaj dzieci, i mógłby im przekazać, co jest zadane.

Ale możliwość, jaka się wtedy przede mną otworzyła, dostrzegłem dopiero podczas następnej, a zarazem ostatniej lekcji; mieliśmy gimnastykę i biegaliśmy po naszej małej sali gimnastycznej. Przecież mógłbym iść do Anne Lisbet i powiedzieć jej, co jest zadane! Od tego pomysłu aż mi się zrobiło gorąco z radości. Gdy więc tylko się ubraliśmy i wyszliśmy z szatni, już w drodze na placyk, na którym czekaliśmy na autobus, opowiedziałem o swoim planie Geirowi. Skrzywił się. Do Anne Lisbet? A dlaczego? Po pierwsze, nigdy tam nie byliśmy. Po drugie, mieszka tam Vemund. Czy nie lepiej jemu to przekazać? Ty nic nie rozumiesz, powiedziałem. Przecież chodzi właśnie o to, żebyśmy poszli do niej.

Ciągle się wahał. Ale kiedy pomarudziłem jeszcze trochę, w końcu się zgodził.

Zamiast wysadzić wszystkich przed B-Maxem, tego dnia autobus przejechał przez całe osiedle, wypuszczając dzieciaki po drodze. Czasami tak się zdarzało i za każdym razem był to równie dziwny widok ogromny autobus nie pasował do tamtejszych wąskich drózek, wyglądał jak statek pasażerski w kanale. Stanęliśmy na chodniku i patrzyliśmy, jak jedzie dalej pod górę, jakby stękając z wysiłku i zostawiając za sobą tuste chmury spalin nad asfaltem.

– Mam przyjść do ciebie czy ty do mnie? – spytałem.

– Ty do mnie – zdecydował Geir.

– Okej – powiedziałem i ruszyłem po podjeździe, który oczywiście i na szczęście okazał się pusty. Nie padało już, ale wszystko dookoła było mokre. Na ciemnobrązowej ścianie domu wilgoć tworzyła wielkie ciemne plamy, na kamiennej płycie przed drzwiami wszystkie drobne zagłębienia wypełniała woda, na rączce łopaty opartej o ścianę kołysały się krople. Rozpiąłem zamek kurtki i wyciągnąłem klucz, żeby sprawdzić, czy może dzisiaj pójdzie mi lepiej. Nic się jednak nie zmieniło, klucz się wsunął, ale bębenek, który miał obrócić, pozostał nieruchomy. Popatrzyłem na drogę. Nikogo tam nie było. Podszedłem więc do pojemnika na śmieci przy ogrodzeniu, wyciągnąłem czarny, do połowy zapełniony worek i położyłem go na ziemi, ująłem pojemnik za uchwyty i podniosłem. Był cięższy, niż się spodziewałem, więc po drodze do domu musiałem go kilka razy odstawiać. Dokoła ciągle nie było widać żywej duszy. Przejechał samochód, ale nie siedział w nim nikt znajomy, dotaszczyłem więc pojemnik na trawnik

i podstawilem pod okno. Wspiąłem się na niego, podniosłem okienko i wsadziłem do środka głowę i ramiona. Poczucie utraty kontroli, ponieważ nie wiedziałem już, czy ktoś na mnie patrzy, czy nie, a dodatkowo miałem przed sobą jedynie puste pomieszczenie, ciemne i nagrzone, wzbudziło we mnie panikę. Wijąc się, zacząłem wciskać się do środka, a kiedy już wsunąłem się do połowy, mogłem się złapać metalowej rury bojlera i wciągnąć do końca.

Zeskoczyłem na podłogę, zdjęć buty, przenieść je przez hol i odstawić w przedpokoju, otworzyć drzwi i znów wyjść przed dom. Półprzymotny ze strachu i napięcia, rozejrzałem się dookoła. Żadnego samochodu, nic. Byle tylko tata trzymał się z daleka przez najbliższe dwie minuty i nie wrócił do domu, bo czegoś zapomniał albo się rozchorował, co zresztą nigdy się nie zdarzało, tata nigdy nie chorował, to wszystko będzie dobrze.

Z piersi wyrwał mi się krótki szloch radości. Podbiegłem do pojemnika na śmieci, odniosłem go na miejsce, włożyłem z powrotem worek rozwijając go na brzegi, i znów pobiegłem pod okno. Ku swemu przerażeniu zobaczyłem, że kontener zostawił ślady na trawniku. I to dość głębokie. Zacząłem je wygładzać, próbowałem wzburzyć trawę tak by zakryła odciski brzegów pojemnika w błotnistej ziemi. Wyprostowałem się i uważnie przyjrzałem.

Trochę widać.

Ale jeśli ktoś się niczego nie domyśla, to może trudniej zauważyć?

Tata widzi wszystko. To też zobaczy.

Przykucnąłem i znów zacząłem mierzwić trawę.

Już.

Wystarczy.

Nawet jeśli to odkryje, wszystkiego się wyprę. Przecież nie przyjdzie mu do głowy, że miałbym ciągnąć pojemnik na śmieci pod okienko i tamtędy wchodzić? Nie, jeśli w ogóle zauważy te ślady, to będzie miał zagadkę, coś zupełnie niemieszczącego się w głowie, a jeśli tylko uda mi się wszystkim zaprzeczyć normalnym głosem i z normalną miną, to nie będzie mógł się do niczego przyczepić.

Wytarłem wilgotne, brudne ręce o spodnie i poszedłem do pokoju, zabierając tornister. Otworzyłem szafę, żeby włożyć białą koszulę, ponieważ z wielką przyjemnością myślałem o tym, że na pewno spodoba się Anne Lisbet, ale się opanowałem, bo jeszcze tata by spytał, dlaczego się przebrałem, a nie chciałem się wplątywać w coś, co umiałby rozwikłać.

Zamknąłem drzwi wejściowe od środka, wspiąłem się na bojler, odwróciłem, wysunąłem nogi i zacząłem się ostrożnie opuszczać, aż w końcu się puściłem i wylądowałem na ziemi z wielkim bum.

Czym prędzej się podnieść, pobiec na podjazd i udawać, że nic się nie stało. Ale również teraz nie widać było żadnych samochodów. Przy skrzyżowaniu stali John Beck, Geir Håkon, Kent Arne i Øyvind Sundt. Kiedy mnie zobaczyli, ruszyli na rowerach w moją stronę. Spokojnie na nich czekałem.

– Słyszałeś? – Geir Håkon zahamował tuż przede mną.

– O czym?

– Dziś rano na Vindholmen stalowa lina przecięła robotnika na pół.

– Na pół?

– Tak – potwierdził John Beck – Zerwała się przy holowaniu. Końcówka uderzyła w człowieka i przecięła go na pół. Tata tak mówił. Wszyscy dostali wolne do końca dnia.

Wyobraziłem sobie człowieka na holowniku przedzielonego na połowy; górna, ta z głową i rękami, stała obok dolnej, tej z nogami.

– Ciągle masz przebitą oponę w rowerze? – spytał Kent Arne.

Kiwnąłem głową.

– No to możesz usiąść na moim.

– Idę do Geira – powiedziałem. – A wy gdzie się wybieracie?

Geir Håkon wzruszył ramionami.

– Może na przystań?

– A wy? – spytał Kent Arne.

– Do jednej osoby z klasy, z lekcjami – odparłem.

– A do kogo, jeśli wolno spytać? – chciał wiedzieć Geir Håkon.

– Do Vemunda.

– Kolegujcie się z n i m?

– Skąd. Tylko dzisiaj. No, ale muszę już lecieć.

Pobiegnę pod górkę i zawołałem Geira, który zaraz wyszedł z kanapką w rękę.

Dwadzieścia minut później znów przechodziliśmy obok B-Maxu, wzdłuż równiny, która za zakrętem zaczynała się wznosić ku najwyższemu punktowi osiedla, skąd odchodziła droga do domów Anne Lisbet, Solveig i Vemunda. Dało się do niej dojść również z przeciwnego kierunku, bo ta trasa, wiążąca ze sobą wszystkie boczne drogi i wszystkie części osiedla, również zataczała koło, wewnątrz którego znajdowała się nasza „obwodnica”. Jakby tego nie było dosyć, jeszcze bardziej zewnętrzna główna szosa również biegła w kółko, wokół całej wyspy. Mieszaliśmy więc w kole zamkniętym w kole, które było zamknięte w kole. Sto metrów za supermarktem zewnętrzne drogi biegły równoległe, ale nie dawało się tego zobaczyć, ponieważ znajdowały się jedna nad drugą, rozdzielone skalistym zboczem, może dziesięciometrowym, z nawisem, na dole umocnionym betonem. Na tym betonowym murku założono ogrodzenie z zielonej siatki, nad nim ciągnęło się usypisko kamieni i dopiero wyżej była ta droga, którą szliśmy. Lecz choć nie widzieliśmy samochodów przejeżdżających w dole, mogliśmy je słyszeć. Odgłosy były niezwykle emocjonujące, dlatego zleźliśmy na dół, aż do ogrodzenia. Najpierw dochodził jedynie lekki szum, gdy podjeżdżały pod górę od strony Finy, ten szum nabierał intensywności, aż w końcu przejeżdżały obok mknąc z warkotem, wzmacnianym jeszcze bliskością betonowej ściany. Postanowiliśmy, że będziemy rzucać w nie kamieniami. Ponieważ nie widzieliśmy samochodów, należało dokonać odpowiednich obliczeń na podstawie dźwięków. Wzięliśmy do ręki po kamieniu i zaczęliśmy się na następny samochód. Kamienie były duże, większe od naszych dłoni, ale nie na tyle ciężkie, żebyśmy nie dali rady ich przerzucić przez ogrodzenie, za którym leciały prosto w dół, na drogę. Geir miał zacząć. Rzucił akurat w momencie, kiedy samochód znajdował się tuż pod nami, i oczywiście spuścił, usłyszeliśmy słabe, głuche uderzenie, gdy kamień wyładował

na asfalcie i potoczył się dalej. Kiedy przysła moja kolej, rzuciłem rzecz jasna za wcześnie, kamień spadł na asfalt, gdy samochód miał do przejechania jeszcze o pięćdziesiąt metrów.

Chodnikiem nadeszła jakaś pani, w obu rękach nosła torby z zakupami. Zatrzymała się i odezwała do nas, chociaż nigdy wcześniej jej nie widzieliśmy.

– Co wy tu robicie? – spytała.

– Nic szczególnego – odparł Geir.

– Najlepiej będzie, jeśli wejdziecie wyżej. Tu jest stromo i niebezpiecznie.

Odeszła wolno, co chwila się na nas oglądając. Uznaliśmy więc, że powinniśmy jej usłuchać, i ruszyliśmy pod górę.

Szliśmy po krawężnikach przez całą drogę aż do domu Vemunda, przy którym w piaskownicy bawiła się jego siostra. Kurtkę i spodnie od deszczu miała żółte, wiaderko niebieskie, łopatkę zieloną.

– Idziemy najpierw do Vemunda? – spytał Geir.

– Nie – zdecydowałem. – Zaczniemy od Anne Lisbet.

Dźwięk jej imienia miał w sobie elektryczność. Gdy pojawiło się w moich ustach, uruchomiły się we mnie tysiące połączeń.

– O co chodzi? – spytał Geir.

– Bo co?

– Jesteś jakiś dziwny.

– Dziwny? Nie. Zupełnie zwyczajny.

Po kilku krokach w górę drogi, którą spływająca woda pokrywała warstwą cienką jak błona, aż wydawało się, że bardziej drży, niż płynie, dostrzegliśmy szczyt domu Anne Lisbet. Stał na wzniesieniu, przed nim był trawnik, a z boku – resztki lasu. Świeciło się w oknie na piętrze, może to tam był jej pokój? Po drugiej stronie drogi stał dom Myrvangów, poniżej ten, w którym mieszkała Solveig, a w dole rozciągał się las, zielony, ciemny i mokry. Minęliśmy oba domy i droga skończyła się na skraju lasu placikiem do zawracania, wysypanym żwirem. Prowadził stamtąd podjazd do domu Anne Lisbet. Nad drzwiami wejściowymi paliła się latarnia.

– Zadzwonisz? – spytałem.

Geir stanął na palcach i wcisnął dzwonek. Serce mi zadrżało. Upłynęło kilka sekund. W końcu jej matka otworzyła drzwi.

– Czy jest Anne Lisbet?

– Tak

– Jesteśmy z jej klasy – wyjaśnił Geir. – Przyszedliśmy jej przekazać, co jest zadane.

– Bardzo miło – powiedziała. – Wejdziecie?

Miała jasne włosy i niebieskie oczy, wyglądała zupełnie inaczej niż Anne Lisbet, ale i na nią patrzyło się z przyjemnością.

– Anne Lisbet! – zawołała. – Przyszli do ciebie koledzy z klasy!

– Już idę! – odkrzyknęła Anne Lisbet z góry.

– Ona nie jest chora? – spytałem.

Jej matka pokręciła głową.

– Już nie. Zatrzymaliśmy ją w domu jeszcze jeden dzień na wszelki wypadek

– Aha – mruknąłem.

Rozległy się kroki na schodach i pojawiła się Anne Lisbet. W jednej ręce trzymała kanapkę i uśmiechała się do nas ustami pełnymi jedzenia.

– Cześć! – powitała nas.

– My śleliśmy, że jesteś chora – powiedziałem.

– Przyszliśmy ci przekazać, co jest zadane – dodał Geir.

Była w białym golfie w czerwony wzorek i niebieskich spodniach. Nad górną wargą miała wąsy od mleka.

– Wyjdziecie się ze mną pobawić? Cały dzień siedziałam w domu. I wczoraj też!

– Możemy. Prawda, Geir?

– Jasne.

Włożyła białe kałosze i czerwoną kurtkę od deszczu. Jej matka wyszła na schody.

– Cześć, mamol! – zawołała i wybiegła.

Wyskoczyliśmy za nią.

– Co będziemy robić? – spytała, zatrzymując się w tym miejscu, gdzie kończył się żwir, i gwałtownie odwracając w naszą stronę. – Pójdziemy do Solveig?

Tak zrobiliśmy. Solveig wyszła, Anne Lisbet zaproponowała, żebyśmy pograli w gumę, w końcu więc Geir i ja staliśmy z nogami obwiązany mi gumą, a Solveig i Anne Lisbet skakały i tańczyły według bardzo skomplikowanych wzorów, które opanowały do perfekcji. Kiedy przyszła kolej na mnie, Anne Lisbet pokazała mi, co mam robić. Położyła mi rękę na ramieniu, a mnie przeszył wtedy dreszcz. Jej ciemne oczy błyszczały. Głośno się śmiała, kiedy mi nie wychodziło, i, tak, poczułem zapach jej włosów, przeleciały mi tuż koło twarzy.

To było fantastyczne. Wszystko było fantastyczne. Nad nami niebo gęstniało, szarość nabrała granatowoczarnego odcienia, zawisała nad lasem jak dach i wkrótce zaczęło padać. Włożyliśmy kaptury i dalej skakaliśmy. Krople bębniły o kaptury i spływały po twarzach, żwir chrząścił pod stopami, nagle zapaliła się latarnia na szczycie słupa ustawionego na końcu placzyku do zawracania. Niedługo później pod górę wolno podjechał samochód.

– To tatuś! – zawołała Anne Lisbet.

Samochód, volvo kombi, zatrzymał się na końcu podjazdu. Wysiadł z niego wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna z czarną brodą. Przywołał Anne Lisbet do siebie, podbiegła, nachylił się i ją uściskał, a potem wszedł do domu.

– Będziemy teraz jeść obiad – oznajmiła. – Co mamy zadane?

Wyjaśniłem jej. Pokiwała głową, pożegnała się i weszła za ojcem.

– Ja też już muszę iść – oświadczyła Solveig, która ze smutnymi oczami związała gumę.

– My też – powiedziałem.

Gdy dotarliśmy do skrzyżowania, zaproponowałem, żebyśmy przebiegli całą drogę aż do sklepu, i tak zrobiliśmy. Tam Geir zasugerował, żebyśmy nie wracali Grevlingveien ani nie szli

przez las, tylko ruszyli główną drogą do Holtet, i tak zrobiliśmy. Stamtąd ścieżka przez niewielkie wrzosowisko prowadziła do obwodnicy naszego osiedla i nią ruszyliśmy do domu. Ale po przejściu kilkudziesięciu kroków wydarzyło się coś dziwnego. W dół jechał autobus, odruchowo odwróciłem się do niego przodem i oto okazało się, że przy oknie, w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie, za to na tej samej wysokości co moja głowa, siedział Yngve!

Co on, u licha, robił? Jechał do miasta? Teraz? Po co?

– To był Yngve – powiedziałem. – Siedział w autobusie.

– Aha. – Geir był średnio zainteresowany.

Przećliśmy trawnik przed jakimś domem i wyszliśmy na drogę.

– Naprawdę było fajnie – stwierdził Geir.

– To prawda. Pójdziemy tam jeszcze kiedyś?

– Pójdziemy. Ale może lepiej nikomu o tym nie mówić. To przecież dziewczyny.

– Pewnie, nie musimy rozpowiadać.

Ze szczytu wzgórza zobaczyłem, że samochód taty już stoi przed naszym domem. Wrócił też ojciec Geira. Obaj byli nauczycielami, więc kończyli pracę wcześniej niż inni ojcowie.

Przypomniałem sobie pojemnik na śmieci, który przestawiłem, żeby wejść do domu.

– Wymyślimy coś jeszcze? – spytałem. – Idziemy gdzieś? Do huśtawkowego drzewa?

Geir pokręcił głową.

– Okropnie leje. Poza tym jestem głodny. Wracam do domu.

– Okej – powiedziałem. – No to cześć.

– Cześć. – Geir puścił się biegiem. Trzasnął drzwiami tak mocno, że aż zadzwoniło szkło. Spojrzałem na dom Gustavsenów. Świeciło się w kuchni. Czyżby wrócili, czy też był tam tylko ojciec? Mieli garaż, więc trudno było stwierdzić, czy samochód jest, czy go nie ma.

Odwróciłem się i spojrzałem na wzgórze. Ojciec Marianne otworzył pokrywę pojemnika na śmieci i wrzucił do niego zawiązaną torbę. Był w rozpinanym swetrze robionym na drutach, nieogolony. Zawsze wyglądał tak, jakby się złościł, ale nie wiedziałem, czy to prawda, bo nigdy z nim nie rozmawiałem ani nic o nim nie słyszałem. Był marynarzem i większą część roku spędzał poza domem, ale kiedy wracał, to już w ogóle go nie opuszczał.

Zamknął drzwi, nie zwracając na mnie uwagi.

Od strony skrzyżowania zbliżała się wielka żółta ciężarówka wyładowana deskami. Ziemia lekko się zatrzęsała, kiedy przejeżdżała. Z rury wydechowej z przodu walił gęsty dym.

Yngve pokazał mi kiedyś zdjęcie największego pojazdu na świecie, znajdowało się w księżce o projekcie Apollo, którą wypoży czył z biblioteki. Wszystko w tym pojeździe było największe na świecie. Zbudowano go specjalnie w celu przetransportowania rakiety do miejsca, z którego miała zostać wystrzelona, ale włókł się jak żółw, równie powoli, jak był wielki. Tak przynajmniej mówił Yngve.

Najbardziej intrygujące było jednak samo wystrzelenie. Zdjęcia ze startu mogłem oglądać w nieskończoność. Raz widziałem to też w telewizji. Można by się spodziewać, że rakietę wystartuje z ogromną prędkością, ale tak się nie działo, przeciwnie, przez pierwsze metry unosiła

się dość powoli, ogień i dym, które z niej buchnęły, ułożyły się pod nią, tworząc poduszkę, na której przez moment jakby się zatrzymała, po czym wolno, wręcz niepewnie, zaczęła się wznosić z hukiem słyszalnym na odległość kilku kilometrów, dopiero potem zaczęła pędzić coraz szybciej, aż wreszcie osiągnęła tę szaloną prędkość, jaką sobie wyobrażałem, i mknęła po kryształowobłękitnym niebie niczym strzała albo błyskawica.

Czasami myślałem sobie, że można by wystrzelić rakietę z naszego lasu, w ukryciu za jakąś górą, można by zbudować ją w tajemnicy i któregoś dnia zobaczylibyśmy, jak wznosi się powoli, bardzo powoli, tuż nad drzewami, biała i czysta na szarzielonym tle, z chmurą ognia i dymu pod sobą, a potem nagle, jakby zaczęła zdawać sobie z nich sprawę, na moment zawiśnie nad nimi, po czym nabierze pędu i będzie coraz szybciej wznosić się ku niebu, a huk ogromnych silników odbije się od ścian naszych domów.

To była przyjemna myśl.

Podskakując, pobiegnę do domu, po żwirze podszedłem do drzwi, otworzyłem je i zacząłem zdejmować buty na wycieraczkę, gdy z gabinetu do przedpokoj u przy szedł tata.

Prędko na niego spojrziałem.

Nie wyglądał na szczególnie złego.

– Gdzie byłeś? – spytał.

– Bawiłem się z Geirem.

– Nie o to pytałem. G d z i e byłeś?

– Byliśmy koło B-Maxu. Na tyłach.

– Aha. A co tam robiliście?

– Nic specjalnego. Bawiliśmy się.

– Będziesz się tam musiał wybrać jeszcze raz – stwierdził. – Potrzebne nam ziemniaki. Dasz radę je kupić? Jak myślisz?

– Tak – zapewniłem.

Wyjął portfel z tylnej kieszeni i wyciągnął banknot.

– Pokaż mi kieszenie – nakazał.

Podniosłem się i wy sunąłem biodra.

Podał mi ten banknot.

– Schowaj go do kieszeni. I pospiesz się.

– Dobrze.

Wrócił do gabinetu, a ja znów włożyłem buty, ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem biegiem pod górę.

Yngve wrócił do domu tuż przed tym, jak mieliśmy usiąść do stołu. Zdążył tylko na chwilę wejść do swojego pokoju, zanim tata zawołał, że jedzenie gotowe. Usmażył kotlety z cebulą, ugotował kalafiora i ziemniaki. Mama zapowiedziała, że będziemy mieć raz w tygodniu pomoc do sprzątnania, starszą panią. Pani Hjellen miała przyjść już dziś po południu. Mama mówiła, że dzwoniła do niej z pracy, wydawała się miła. Wiedziałem, że tata nie chce żadnej pomocy do

sprzątania, raz tak powiedział, ale teraz nie protestował, więc zrozumiałem, że zmienił zdanie.

Cieszyłem się, że ta pani przyjdzie. Kiedy z rzadka ktoś nas odwiedzał, zawsze było fajnie. Może dlatego że te osoby, które przychodziły w gości, wypełniały dom czymś nowym i innym. No i zawsze poświęcały uwagę mnie i Yngvem. „No proszę, to wasi synowie”, mówiły, jeśli nigdy wcześniej nas nie widziały, albo: „Ależ wyrosliście”, jeśli widziały nas wcześniej, a czasami zadawały nam nawet pytania, na przykład jak nam idzie w szkole albo czy lubimy grać w piłkę.

Po jedzeniu przemknąłem się do pokoju Yngvego. Wyjął kasetę ze stojaka, *Piledriver* Status Quo, i włączył.

– Widziałem cię dzisiaj w autobusie. Dokąd jechałeś?

– Do miasta.

Położył się na łóżku i zaczął czytać jakieś pismo.

– A po co tam jechałeś?

– Nie marudź. Musiałem kupić część do roweru.

– Z e p s u ł się?

Kiwnął głową, w końcu spojrzał na mnie.

– Nie mów nikomu, nawet mamie.

– Słowo honoru.

– Stoi u Franka. Ta część, którą mocuje się kierownicę, po prostu się złamała. Ale jego ojciec obiecał, że mi zreperuje. Będzie gotowy na jutro.

– Pomyśl, co by było, gdyby tata cię zobaczył! – powiedziałem. – W mieście. Albo jakiś jego znajomy.

Yngve wzruszył ramionami i dalej czytał. Poszedłem do swojego pokoju. Po pewnym czasie rozległ się dzwonek do drzwi. Zaczekałem, aż mama wyjdzie do przedpokoju, dopiero wtedy wyjrzałem. Chwilę później po schodach weszła starsza, pulchna, a raczej wręcz gruba pani z siwymi włosami i w okularach.

– To jest Karl Ove – powiedziała mama. – Młodszy.

Kiwnąłem jej głową. Uśmiechnęła się.

– Nazywam się Hjellen – przedstawiła się. – Na pewno się zaprzyjaźnimy.

Położyła mi rękę na ramieniu. Zrobiło mi się gorąco.

– Starszy, Yngve, jest w swoim pokoju – wyjaśniła mama.

– Mam go zawołać? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie, nie musisz.

Mama zaczęła oprowadzać panią Hjellen po domu, a ja wróciłem do siebie. Zapadał zmierzch. Deszcz cicho bębnił o dach i ściany. W rynnach pluskało i szemrało. Duże krople deszczu uderzały o okno i spływały ścieżkami, których kierunku nie dało się przewidzieć. Światła samochodu omiotły świerk ponad statywem ze skrzynekami pocztowymi. To Jacobsen wrócił z pracy do domu. Zielone skrzynki i metalowy statyw, na którym się trzymały, połyskiwały

w proteście. „Nie, nie”, sygnalizowały, „tylko nie światło, tylko nie światło”. Położyłem się na łóżku i myślałem o Anne Lisbet. Nazajutrz znów się do niej wybieraliśmy. Ale najpierw zobaczę ją w szkole! I wystarczy mi sam jej widok, niczego więcej nie będę potrzebował, żeby radość rozlała się po wszystkich częściach mojego ciała. Któregoś dnia spytam ją, czy nie pobędziemy trochę razem. Któregoś dnia przyjdę do jej pokoju, a ona do mojego. Chociaż nie wolno mi przy prowadzać nikogo do domu, ona przyjdzie. To mi się musi udać. Nawet gdybyśmy musieli prześlizgiwać się przez lufcik

Usiadłem przy biurku, wyjąłem podręczniki z tornistra i zacząłem odrabiać lekcje; pani Hjellen już poszła, słyszałem, że Yngve kręci się po kuchni. Był poniedziałek, a on zaczął co poniedziałek wieczorem piec *scones* albo gofry. Zwykle kiedy się tym zajmował, ja też siedziałem w kuchni z mamą, tam było ciepło, przyjemnie pachniało ciastem, rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Kiedy Yngve kończył, jedliśmy *scones* z masłem, które się topiło, z brązowym serem, albo gofry z również topiącym się na nich masłem i cukrem, piliśmy do tego herbatę z mlekiem. Czasami, ale nie często, przychodził też tata. Najczęściej jednak szybko wracał do gabinetu.

Odrobiłem lekcje błyskawicznie. Litery przecież znałem, więc chodziło tylko o naskrobanie odpowiedniej ich liczby, i także poszedłem do kuchni. Świeciło się w pustym piekarniku. Yngve stał z podwiniętymi rękawami i, w fartuchu, i drewnianą łyżką mieszał w misce stojącej na blacie. Mama robiła na drutach.

– Kończysz niedługo? – spytałem, siadając na swoim miejscu.

– Jeszcze dzień albo dwa – powiedziała, wyciągając nitkę z motka takim ruchem, jakby siedziała w łodzi i łowiła ryby na żyłkę z kilkoma haczykami. – To zależy, ile uda mi się zrobić dzisiaj.

– Byliśmy dziś z Geirem u Anne Lisbet i Solveig.

– Tak? – zdziwiła się mama. – A kto to jest? Koleżanki z klasy?

Kiwnąłem głową.

– Zaczęłaś się bawić z dziewczynami? – spytał Yngve.

– Tak. A co?

– Zakochałeś się?

Z wahaniem popatrzyłem na mamę, potem na Yngvego.

– Chyba tak – przyznałem w końcu.

Yngve zaczął się śmiać.

– Masz dopiero siedem lat! Nie możesz być zakochany!

– Nie wolno się z tego śmiać, Yngve – powiedziała mama.

Yngve poczerwieniał i wbił wzrok w miskę przed sobą.

– Uczucia to uczucia, czy ma się siedem lat, czy siedemdziesiąt. Zawsze są tak samo ważne – dodała mama.

Zapadła cisza.

– Ale przecież z tego nic nie będzie – stwierdził Yngve.

– Może masz rację – przyznała mama. – Ale chyba wolno czuć coś do innych.

– Sam byłeś zakochany w Anne – przypomniałem.

– Wcale nie.

– Mówiłeś, że tak

– Już dobrze, dobrze – łagodziała mama. – Co tam z ciastem? Niedługo będzie gotowe?

– Chyba tak – powiedział Yngve.

– Mogę zobaczyć? – Mama odłożyła robótkę do koszyka stojącego na podłodze obok krzesła, i wstała.

– Nasmarujesz blachę, Karl Ove?

Przystawiła mi niewielkie naczynko z roztopionym masłem i podała pędzel, a z szuflady na samym dole kuchenki wyjęła blachę. Masło się zagotowało, widać to było po barwie. Na rzadkiej żółtej powierzchni utworzyły się jasnobrązowe duże zatoki i pojedyncze laguny. Jeśli masło podgrzewało się powoli, kolor był pełniejszy i czystszy. Zanurzyłem w nim pędzel i zacząłem smarować blachę. Wolno topione masło potrafiło stawić opór pędzlowi i trzeba go było raczej ciągnąć, niż nim mazać, natomiast tym zbrązowiałym, rzadkim smarowało się łatwiej, dziesięć sekund i blacha była posmarowana. Usiadłem z powrotem, a Yngve zaczął formować scones. Na dole otworzyły się drzwi. Chwilę później na schodach rozległy się ciężkie kroki taty. Wyprostowałem się na krześle. Mama znów usiadła, położyła sobie robótkę na kolanach i spojrzała na drzwi, kiedy stanął w nich tata.

– Widzę, że ciężko pracujecie. – Wsunął kciuki w szlufki i podciągnął spodnie. – Rozumiem, że niedługo będzie coś do jedzenia?

– Jeszcze kwadrans – powiedziała mama.

– Robisz scones, Yngve? – spytał.

Yngve kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

– Tak, tak – mruknął tata. Odwrócił się i poszedł do salonu. Podłoga lekko pod nim zaskrzyphała. Zatrzymał się przed telewizorem, włączył go, usiadł w brązowym skórzanym fotelu.

Ten głos rozpoznałem. Należał do prowadzącego program medyczny, był lekko zachrypnięty, jakby zardzewiała. Wydobywał się z głowy, zawsze lekko odchylonej do tyłu, jakby przemawiał do sufitu, natomiast oczy cały czas spoglądały w dół, jakby nim dyrgolały i ustawiały go na właściwym miejscu.

Wstałem i przeszedłem do salonu.

Na ekranie widać było rozciętą skórę, krew i mięśnie okolonie niebieskim materiałem.

– To operacja? – spytałem.

– Najwyraźniej tak – odparł tata.

– Mogę pooglądać?

– Tak, chyba nie ma w tym nic groźnego.

Przysiadłem na brzeжку kanapy. Można było zajrzeć do wnętrza ciała. Zrobiono w nim coś w rodzaju lejka, który pozostawał otwarty dzięki użyciu kilku metalowych klamer, widać było tkankę, z której tuż przed chwilą musiała wyciec krew, a w głębi jakiś błyszczący, pokryty błoną organ, również poplamiony krwią, wszystko to oświetlone ostrym, prawie białym światłem. Dwie

ręce w gumowych rękawiczkach grzebały w środku, dobrze z tym wszystkim zaznajomione. Od czasu do czasu pokazywano ujęcie z daleka, wtedy jasne się stawało, że ten lejkowaty otwór zrobiono w człowieku, który leżał na stole, całkowicie przykryty niebieskawym, przypominającym plastik materiałem, a dłonie należały do lekarza stanowiącego centralny punkt dla skupionych wokół niego pięciu osób ubranych na zielono, dwie środkowe osoby nachylały się nad ciałem pod przypominającą gada lampą, trzy pozostałe stały obok, trzymały tace z narzędziami i innymi rzeczami, których nie umiałem nazwać.

Tata wstał.

– Tego się nie da oglądać – stwierdził. – Jak mogą pokazywać takie rzeczy w poniedziałek wieczorem!

– Ale mogę popatrzeć? – spytałem.

– O rany, no pewnie – powiedział i skierował się do schodów.

Blona w głębi pulsowała. Krew napływała na nią, a ona jakby ją odpychała, wznosząc się, potem opadała, krew znów ją zalewała, a ona ponownie musiała ją odganiać, ponownie się unosić.

Nagle zrozumiałem, że widzę serce.

To było takie strasznie smutne. Nie dlatego że serce tak biło, nie mogąc się uwolnić, nie, nie chodziło o to. Po prostu serce nie powinno być wystawiane na widok publiczny, powinno bić w tajemnicy, poza naszym wzrokiem, to przecież oczywiste. Rozumiało się to od razu, kiedy się to widziało, serce było jak zwierzątko bez oczu, miało walić i bić w głębi piersi w zupełnej samotności.

Oglądałem jednak dalej. Telewizyjne programy medyczne zaliczały się do moich ulubionych, zwłaszcza te, na których pokazywano operacje. Już dawno postanowiłem, że jak dorosnę, zostanę chirurgiem. Rodzice czasami powtarzali moje słowa innym, w zamierzeniu miało to być zabawne, bo przecież byłem taki mały, ale naprawdę tak uważałem, właśnie tym chciałem się zajmować, kiedy będę duży, krojeniem innych ludzi i przeprowadzaniem operacji na ich ciałach. Często rysowałem i malowałem operacje, na tych rysunkach były krew, noże, pielęgniarki i lampy. Mama wielokrotnie pytała mnie, dlaczego rysuję i maluję tyle krwi, czy nie mógłbym rysować i malować czegoś innego, na przykład domów, trawy i słońca, a ja oczywiście mogłem, ale nie chciałem. Nurków, żaglowce, rakiety i operacje, to chciałem rysować i malować, a nie domy, trawę i słońce.

Kiedy rodzice mieszkali w Oslo i Yngve był maleńki, mówił, że gdy dorosnie, zostanie śmieciarzem. Babcia bardzo się z tego śmiała i często o tym wspominała. Jednym tchem dodawała, że tata w dzieciństwie chciał zostać złotą rączką. Z tego też tak samo się śmiała. Czasami nawet płakała ze śmiechu, chociaż powtarzała to już pewnie setny raz. Mój zamiar zostania chirurgiem nie był równie zabawny, świadczył o czymś innym, ale też byłem teraz znacznie starszy niż Yngve wtedy, gdy mówił o zostaniu śmieciarzem.

Krok po kroku z lejka w ciele usuwano wszystkie zaciski i kłamry. Na ekranie ukazał się prowadzący i zaczął opowiadać o tym, co przed chwilą widzieliśmy. Wstałem i wróciłem do kuchni, gdzie scones już się studziły na tacy na kuchence, w rondlu obok parowała woda na herbatę, a mama nakrywała do stołu, ustawiała talerzyki, filiżanki, noże i resztę.

Następnego dnia temperatura spadła, a deszcz ustał. Zimowe buty z zeszłego roku okazały się za małe, mama wyjęła więc grube skarpety, które miałem nosić do kałoszy. Niebieska puchówka była jeszcze dobra, włożyłem ją zatem po raz pierwszy od ubiegłej zimy. Do tego niebieska czapka, którą zaraz po wyjściu z domu ściągnąłem mocno na czoło, tak że układała się jak daszek tuż nad polem widzenia. Anne Lisbet była w jasnoniebieskiej puchówce, śliskiej i błyszczącej, w przeciwieństwie do mojej, nieco matowej i szorstkiej. Miała też białą czapkę, spod której wystawały czarne włosy, biały szalik, niebieskie spodnie i czerwone nowiutkie śniegowce. Stała razem z dziewczynkami i nie spojrzała w moją stronę, kiedy na nie patrzyłem.

Jej puchówka miała niewiarygodnie śliczny kolor.

Też chciałem taką mieć.

Kiedy już dotarliśmy do szkoły i wszyscy odłożyli tornistry w tym miejscu, gdzie się ustawialiśmy w pary, namówiłem Geira, żebyśmy ściągnęli dziewczynkom czapki, on miał zabrać czapkę Solveig, a ja Anne Lisbet. Stała do mnie tyłem i kiedy zerwałem jej czapkę, odwróciła się z piskiem. Zaczekałem, aż nasze spojrzenia się spotkają, i dopiero zacząłem uciekać. Nie biegłem tak szybko, żeby nie mogła mnie dogonić, ale też nie na tyle wolno, żeby wszyscy zobaczyli, że czekam.

Jej kroki po asfalcie rozlegały się tuż za mną.

A potem mnie objęła!

Ach!

Ta jej cudowna gruba puchówka przycisnęła się do mojej, Anne Lisbet z uśmiechem wołała „oddaj, oddaj”, a ja po prostu nie miałem siły przeciągać tej chwili przez trzymanie czapki wysoko nad jej głową, radość we mnie była za duża, po prostu oddałem jej czapkę, znieruchomiałem i patrzyłem, jak wkłada ją na głowę i odchodzi.

A potem się odwróciła i uśmiechnęła do mnie!

Jej oczy, ach, jej oczy, takie czarne i piękne, błyszczały.

To było jak wejście w strefę jasności i blasku, poza którą wszystko blakło i traciło znaczenie. Rozległ się dzwonek, pomaszzerowaliśmy na górę po schodach, przez korytarz, usiedliśmy w ławkach, wyjęliśmy książki. Robiłem to, co musiałem. Słuchałem, kiedy mieliśmy słuchać, gadałem jak zwykle, rysowałem swoje zatopione statki i pływających nurków, zjadłem drugie śniadanie, wypilem mleko, grałem w piłkę na przerwach, w autobusie w powrotnej drodze do domu siedziałem obok Geira i śpiewałem, zbiegałem w gromadzie z ostatniego wzgórza z tornistrem, cały czas obecny ciałem i duszą, a mimo wszystko nieobecny, bo pojawiło się nagle we mnie nowe niebo, pod którego sklepieniem nawet najlepiej znane myśli i czynności wydawały się nowe.

Gdy tego dnia przysiliśmy do Anne Lisbet, stała w grupce dzieciaków na placyku do zwracania przed domem. Dwie dziewczynki mechanicznie kręciły słakanką, uderzała o ziemię jak bat, a pozostałe dzieci jedno po drugim podchodziły i przeskakiwały przez tę słakankę kilka razy, po czym odbiegały i kolejka się przesuwiała.

Anne Lisbet była w tej samej czapce i w tym samym szaliku. A kiedy stanęliśmy przy nich, uśmiechnęła się.

– Bawcie się z nami – zaproponowała.

Ustawiliśmy się w rzędzie. Tak bardzo chciałem jej zaimponować, po prostu wślizgnąć się we wnętrze drżącego bębna rysowanego przez skakankę, ale udało mi się skoczyć zaledwie dwa razy, za trzecim grubym sznur uderzył mnie w łydkę i wypadłem z gry. Geir, który nie miał zbyt dobrej koordynacji ruchów, ręce i nogi wylatywały mu to tu, to tam, poza jego kontrolą, poradził sobie zdumiewająco dobrze. Hop, hop, hop, hop, hop, a potem skoczył w bok z taką siłą i zacięciem, że musiał jeszcze podbiec kilka kroków, żeby się nie przewrócić, trochę jak biegacz, który rzuca się na taśmę mety.

Teraz ona sobie pomyśli, że Geir jest lepszy ode mnie!

Mroczność tej myśli zniknęła chwilę później, bo przyszła kolej na nią. Wbiegła w przestrzeń zakreśloną przez skakankę i tańczyła w niej z wirtuozerią, ciężar ciała przenosiła raz na jedną, raz na drugą nogę, wpatrzona przed siebie, jakby głowa nie miała żadnego związku z tym, co robi ciało. Ale kiedy stamtąd wyskoczyła i nie musiała się już koncentrować, to na mnie spojrzała i do mnie się uśmiechnęła. **W i d z i a ł e ś?** – mówił jej uśmiech – widziałeś mnie?

Woda pokrywająca największe zagłębienia na placyku była prawie żółta. W mniejszych kałużach szarzielona, prawie jak otaczający je żwir, tylko odrobinę jaśniejsza. I oczywiście bardziej błyszcząca. Z lasu dochodził szum strumienia, słychać też było warkot jakiejś maszyny. Nigdy tam nie byłem, dlatego podszedłem teraz do krawędzi, żeby spojrzeć w dół. Od domu stojącego powyżej, na skraju lasu, ciągnęło się szerokie i dość strome usypisko kamieni, niżej pozołkłe mokradło, za którym rosły gęste sosny. Między pniami dostrzegłem pomalowany na zielono baraki żółty generator. To on tak warczał.

Nagle ktoś włączył młot pneumatyczny. Nie widziałem tego, ale dźwięk, ostry i monotony, z delikatnym, niemal śpiewnym wizgiem metalu uderzającego o skałę, który zasnuwał okolicę jak welon, był nie do pomylenia z niczym innym, znałem go doskonale.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że Geir kiwa głową w rytm obracającej się skakanki, by go uchwycić, zanim w niego wejdzie. Ale tym razem mu się nie udało, natychmiast przeszkodziła mu stopa i gdy dziewczynki kręcące skakanką podjęły swoje jednostajne czynności, ze zwieszoną głową podreptał w moją stronę. Zaraz potem przyszła kolejka Anne Lisbet, ale jeszcze zanim zajęła odpowiednią pozycję, skakanka uderzyła ją w ramię, wyglądało wręcz na to, że celowo się tak ustawiła.

– Idziesz, Solveig? – spytała.

Jej przyjaciółka kiwnęła głową i wystąpiła z szeregu. Obie podeszły do nas.

– Co będziemy robić? – spytała Anne Lisbet.

– Może poszukamy butelek – zaproponowałem.

– Tak! – ucieszył się Geir.

– A gdzie? Gdzie są butelki? – spytała Anne Lisbet.

– Wzdłuż głównej drogi – powiedział Geir. – I w lesie za placem zabaw. Wokół baraków. Czasami na Skalkach. Ale tam jesienią raczej nie ma czego szukać.

– Na przystanku – dodałem. – I pod mostem.

– Raz znaleźliśmy całą pełną torbę – pochwalił się Geir. – W rowie koło sklepu. Odebraliśmy aż cztery korony zastawu.

Solveig i Anne Lisbet popatrzyły na niego z podziwem. Ale przecież to ja zaproponowałem szukanie butelek! Ja na to wpadłem, nie Geir!

Nie zastanawiałem się jednak nad tym dłużej, ruszyliśmy w dół. Niebo było szare jak suchy cement, drzewami nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, wszystko znieruchomiało, zwrócone jakby do swego wnętrza. A właściwie nie, bo sosny pozostawały równie swobodne i otwarte ku niebu jak zawsze. Może trochę jakby zrobiły sobie przerwę. To świerki zwracały się do środka, pochłonięte własnym mrokiem, drzewa liściaste o cienkich pniach i rozczapierzonych gałęziach wydawały się przestraszone i kruche. Stare dęby, których sporo rosło na zboczu po przeciwnej stronie drogi, ku której teraz zmierzaliśmy, nie bały się, po prostu czuły się samotne. Ale wytrzymały tę samotność, rosły tu przecież od tak wielu lat i tak wiele lat miały jeszcze rosnąć.

– Tam jest rura, która biegnie w poprzek pod całą drogą – powiedziała Anne Lisbet. Wskazane przez nią zboczce pokrywała czarna ziemia, niedawno usypana, bo nic jeszcze z niej nie wyrosło, nawet najmniejszy kwiatek.

Zeszliśmy tam. I rzeczywiście, pod drogą biegła rura, betonowa, o średnicy nieco większej niż pół metra.

– Przeszłyście kiedyś tędy? – spytałem.

Pokręciły głowami.

– To co, idziemy? – Geir już się nachylał, jedną ręką wsparty o brzeg rury, zaglądał w ciemność.

– A jeśli utkniemy w środku? – zaniepokoiła się Solveig.

– M y możemy przez nią przejść – powiedziałem. – A wy idźcie na drugą stronę i tam na nas zaczekajcie.

– Nie boicie się? – spytała Anne Lisbet.

– Jasne, że nie. – Geir spojrzał na mnie. – Kto pierwszy?

– Ty możesz zacząć.

– Okej – zgodził się, nachylił i wsunął górną połowę ciała do rury. Widziałem, że jest za ciasno na to, żeby iść na czworakach, ale też i nie tak wąsko, żeby trzeba było pełznąć. Po kilku sekundach podrygiwania i obracania cały Geir zniknął w rurze. Popatrzyłem na Anne Lisbet, nachyliłem się i wetknąłem głowę do środka. Nozdrza wypełnił mi zapach zgnilizny, mokrej ziemi. Położyłem łokcie na betonowej powierzchni i zacząłem wciągać ciało ruchem gąsienicy. Kiedy już cały byłem w środku, uniosłem się na tyle, na ile mogłem, i przyciskając do cementu przedramiona, kolana i stopy, zacząłem posuwać się w ciemności. Przez pierwsze metry widziałem przed sobą majaczący kształt Geira, wkrótce jednak ciemność zbyt zgęstniała i zniknął mi z oczu.

– Jesteś tam? – zawołałem.

– Tak – odpowiedział.

– Boisz się?

– Trochę. A ty?

– Też trochę.

Nagle cały świat zadrżał. Nad nami musiał przejechać samochód albo ciężarówka. A jeśli rura pęknie? Albo zwęzi się tak, że utknijemy?

Lekka panika zaczęła się od wibrowania w koniuszkach palców u rąki i u stóp. Znałem to uczucie, potrafiło się pojawić, kiedy wspinałem się na skałę i nagle nie mogłem się ruszyć, śmiertelnie przerażony nieruchomiałem, nie potrafiąc ani zejść, ani piąć się w górę, cały czas przy tym mając świadomość, że jedynie moje własne ruchy są w stanie mnie z tego wyciągnąć. Nie mogłem się poruszyć, musiałem, ale nie mogłem. Musiałem, nie mogłem, musiałem, nie mogłem.

– Jeszcze się boisz? – spytałem.

– Trochę. Słyszałeś ten samochód? Jedzie następny!

Wokół mnie znów wszystko leciutko się zatrzęsło.

Znieruchomiałem. W rurze w wielu miejscach stała woda, spodnie zaczęły już nasiąkać.

– Widzę światło! – zawołał Geir.

Pomyślałem o ogromnym ciężarze, który naciska na rurę. I o tym, że jej ścianki mają zaledwie kilka centymetrów grubości. Serce zaczęło mi walić. Nagle poczułem, że bardzo chcę wstać. Ta potrzeba zaczęła narastać jak szalona, ale powstrzymała ją świadomość, że to niemożliwe, że beton otacza moje ciało jak pochwa. Nie mogłem się ruszyć.

Czasami, kiedy leżałem pod kołdrą w łóżku, Yngve siadał na mnie okrakiem i przytrzymywał tak, że nie mogłem nawet drgnąć. Kołdra zaciskała się wokół piersi, ręce były zakleszczone przez jego ręce, nogi ściśnięte przez jego nogi i przez napiętą kołdrę. Yngve robił to, bo wiedział, że dla mnie to najgorsza rzecz na świecie. Robił to, bo wiedział, że po kilku sekundach unieruchomienia wpadnę w panikę, że będę się starał zebrać wszelkie siły i próbował się uwolnić, a kiedy mi się to nie uda, kiedy dalej będzie mnie tak trzymał, zacznę z całych sił krzyczeć. I rzeczywiście krzyczałem, krzyczałem jak oszalały, bo też i byłem bliski szaleństwa ze strachu, nie mogłem się uwolnić, byłem spętany i krzyczałem, aż do opróżnienia płuc. Teraz to samo uczucie ścisnęło mi serce.

Nie mogłem się ruszyć.

Panika narastała.

Wiedziałem, że nie wolno mi myśleć o niemożności wstania, tylko muszę cierpliwie się czołgać, a wszystko się rozwiąże. Ale nie dałem rady. Potrafiłem myśleć jedynie o tym, że nie mogę się poruszyć.

– Geir! – zawołałem.

– Już prawie wyszedłem! – odkrzyknął. – Gdzie jesteś?

– Utknąłem!

Na kilka sekund zapadła cisza. W końcu usłyszałem głos Geira:

– Przyjdę ci pomóc. Muszę tylko najpierw wyjść, żeby zawrócić.

Panika była teraz niemal jak oddech, bo zaczęła się ze mnie wydobywać. Przesunąłem

przedramiona do przodu, pociągnąłem za nimi kolana, materiał puchówki na plecach zaszorował o rurę nade mną. Zaledwie kilka centymetrów wyżej tony kamienia i ziemi. Zatrzymałem się. Ręce i nogi miałem jak z waty. Położyłem się płasko.

Co Anne Lisbet i Solveig sobie teraz o mnie pomyślą?

Ach, nie!

Panika znów zaczęła narastać. Nie mogłem się ruszyć. Byłem zamknięty. Nie mogłem się ruszyć! Byłem zamknięty! Nie mogłem się ruszyć!

Gdzieś w ciemności przede mną coś drgnęło. Ubranie zaszorowało o cement. Usłyszałem oddech Geira. Od razu go rozpoznałem, bo Geir często oddychał przez usta.

Zobaczyłem go, białą twarz w ciemności.

– Mocno utknąłeś? – spytał.

– Nie – odpowiedziałem.

Złapał za rękaw mojej kurtki i pociągnął do siebie. Uniosłem plecy i przesunąłem w przód najpierw jedną rękę, potem drugą, najpierw jedno kolano, potem drugie. Geir pełził tyłem, cały czas trzymając mnie za rękaw, i chociaż to nie on mnie wyciągał, bo przecież sam się czołgałem, właśnie takie miałem wrażenie, a widok jego białej twarzy, trójkątnej jak lisi pyszczek i niesamowicie skoncentrowanej, sprawił, że nie myślałem już dłużej o rurze, ciemności ani o tym, że nie mogę się poruszyć, i właśnie dzięki temu mogłem, centymetr po centymetrze, sunąć po wilgotnym betonie, który stawał się coraz jaśniejszy, aż w końcu Geir wystawił stopy z rury, wysunął górną połowę ciała, i wreszcie ja także mogłem wynurzyć głowę na światło dzienne.

Anne Lisbet i Solveig stały obok siebie przy otworze i patrzyły na mnie.

– Utknąłeś? – spytała Anne Lisbet.

– Tak – powiedziałem. – Na chwilę. Ale Geir mi pomógł.

Geir otarł rękę o rękę, potem otrzepał kolana. Wyprostowałem się. Przestrzeń pod szarym niebem była ogromna, wszystkie kształty ostre jaknoże.

– Pójdziemy na Małe Hawaje? – spytał Geir.

– Świetny pomysł – stwierdziłem.

Cudownie biegło się przez las. Woda w niewielkim jezioru była całkiem czarna. Drzewka, które rosły na dwóch wysepkach, stały nieruchomo. Przeskoczyliśmy na swoje wyspy, Anne Lisbet i ja na jedną, Solveig i Geir na drugą.

Wargi Anne Lisbet były takie ruchliwe, tak łatwo rozciągały się i uśmiechały, czasami osamotnione w tym uśmiechu, bo oczy nie reagowały. Najwyraźniej to wargi ulegały każdemu najmniejszemu impulsowi myśli. Coś wpadało jej do głowy, a one, czerwone i miękkie, rozsuwały się nad twardą białą zębów. Niekiedy następował po tym okrzyk albo zgęstnienie radości w oczach, czasami nie miało to związku z niczym.

– Jesteście marynarzami – oświadczyła nagle. – I wracacie do domu, do nas. Nie widzieliśmy się od dawna. Pobawimy się w to?

Kiwnąłem głową. Geir też.

Dziewczyнки zeskoczyły na brzeg i weszły kawalek w las.

– Możecie już przyjąć! – zawołała Anne Lisbet.

Zruciliśmy cumy, zeskoczyliśmy na ląd i ruszyliśmy w ich stronę. Ale zśliśmy za wolno. Anne Lisbet z niecierpliwością przestępowała z nogi na nogę, aż w końcu sama puściła się biegiem, prosto do mnie. A kiedy do mnie dotarła, zarzuciła mi ręce na szyję, przytuliła się i przycisnęła policzek do mojego policzka.

– Tak się za tobą stęskniłam! – powiedziała. – O mój kochany mężu!

Zrobiła krok w tył.

– Jeszcze raz!

Pobiegnę do jeziora, przeskoczyłem na wysepkę, zacząłem, aż Geir stanie na tej drugiej i powtórzyliśmy wszystkie ruchy. Z tą różnicą, że teraz i my co sił w nogach pobiegliśmy ku dziewczynom.

Znów mnie objęła.

Serce mi waliło, bo nie tylko stałem na samym dnie lasu z niebem wysoko nade mną, stałem także na dnie siebie samego i patrzyłem w coś jasnego, otwartego, pełnego szczęścia.

Jej włosy pachniały jabłkami.

Przez grubą puchówkę czułem jej ciało. Gładki, chłodny policzek przy swoim, niemal rozpalonym.

Powtórzyliśmy to trzy razy. Potem ruszyliśmy w głąb lasu. Zaledwie po kilku metrach opadał stromo, a ponieważ rosły tu głównie drzewa liściaste, ziemię pokrywały czerwone, żółte i brązowe liście, niczym podłoga między nieszczelnymi ścianami z pni. Gdzieś szumiał strumień, polana zwęziła się, zmieniając się w ścieżkę schodzącą ostro w dół ku głównej drodze, którą dało się zobaczyć dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się parę metrów nad nią.

Po drugiej stronie pole nachylało się ku szarej jak glina cieśninie, nad którą otwierało się odrobinę jaśniejsze niebo.

Samochody jechały szybko, więc idąc drogą, trzymaliśmy się blisko rowu. Butelki, które tu znajdowaliśmy, zawsze były nowe i błyszczące, natomiast te znajdowane w lesie często pokrywały trawa i liście, które się do nich przyklepiły, a czasami pełno w nich było robactwa, dlatego podnoszenie ich przypominało wrywanie kawałka ziemi. Tego dnia jednak nie było żadnych butelek. Kiedy dotarliśmy do domu Larsena, rozpadającego się budynku, wręcz przyominającego barak, który kiedyś stanowił część gospodarstwa, ale teraz stał wciśnięty w kąt między lasem a drogą, a którego właściciel uczył w tej samej szkole co tata i jak głosiły plotki, często przychodził do pracy pijany, przecięliśmy drogę i poszliśmy wzdłuż żwirowego zbocza do Gamle Tybakken. Rozglądaliśmy się za butelkami, ale z coraz mniejszą wiarą w powodzenie. Wkrótce znaleźliśmy się na zamieszkanym obszarze. Stare białe domy stały w głębi starych ogrodów, pełnych drzew i krzewów owocowych. Kolory były tu ostre, liście lśniły żółcią i raziły w oczy czerwienią na tle pastelowej, dość chłodnej szarości nieba, co wywołało u mnie wrażenie, że znalazłem się na dnie pudła, pod pokrywą nieba opierającego się na wzgórzach otaczających mnie ze wszystkich stron jak ściany.

Po kilkaset metrach minęliśmy dużą posiadłość z trawnikiem ciągnącym się w górę, w stronę

lasu. W porównaniu do wielkości działki stał tam zaskakująco mały dom. Prowadziła do niego wąska szutrowa droga. Zatrzymaliśmy się przy skrzynce pocztowej na jej początku, bo na górze, koło domu, obok strumienia wypływającego z lasu, stała jakaś staruszka i usiłowała wyciągnąć z niego drzewo, które o coś się zaczepiło.

Drzewo było co najmniej trzy razy większe od niej. Miało szeroką koronę z cienkich gałęzi.

W jakiś sposób wyczuła, że tu stoimy, bo chwilę później wyprostowała się i popatrzyła na nas. Pomachała. Ale nie na powitanie. Dłoń zginała w swoją stronę, chciała więc, abyśmy do niej podeszli.

Co sił w nogach pobiegliśmy po zwirowym zboczach, potem przez miękką, mokry trawnik i zatrzymaliśmy się tuż przed nią.

– Wyglądacie na silnych – powiedziała. – Moglibyście pomóc starszej pani? Muszę wyciągnąć to drzewo ze strumienia. Całkiem się zakleszczyło.

Mile polechtani, wzięliśmy się do roboty. Geir podszedł jak najbliżej wody i chwycił gałąź z jednej strony, ja zrobiłem to samo z drugiej, a Anne Lisbet i Solveig ciągnęły za sam pień. Początkowo drzewo ani drgnęło, ale Geir zaczął wołać rytmicznie: „Ahoj! Ahoj!”, żebyśmy wszyscy ciągnęli jednocześnie, i powoli ruszyło z miejsca. Kiedy już się oswobodziło, woda naparła na wierzchołki całe je przekęciła, ale zdołaliśmy je utrzymać i wyszarpnąć na ład.

– Ach, jak wspaniale! – ucieszyła się starsza pani. – Bardzo wam dziękuję! Sama nigdy bym sobie z tym nie poradziła. Jesteście tacy silni, naprawdę! Zaczekajcie, przyniosę wam coś w ramach wdzięczności.

Z pochyłą głową poszła do domu.

– Jak myślicie, co dostaniemy? – spytałem.

– Na pewno jakieś ciasteczka – orzekł Geir.

– Albo torbę bułeczek – podsunęła Anne Lisbet. – Moja babcia zawsze ma bułeczki w zapasie.

– A mnie się wydaje, że jabłka – stwierdziła Solveig.

Uznałem, że to ona ma rację, bo po drugiej stronie drogi rosło wiele jabłoni.

Ale kiedy starsza pani wyłoniła się z domu i tak samo zgarbiona ruszyła w naszą stronę, szła z pustymi rękami. Czyżby nic odpowiedniego nie znalazła?

– Proszę – powiedziała jednak – Bardzo wam dziękuję za pomoc. Kto z was się tym zaopiekuje? To dla waszych stójk.

Podala nam monetę. Pięć koron.

Pięć koron!

– Ja mogę wziąć – zgłosiłem się. – Bardzo dziękujemy.

– To ja wam dziękuję. Do widzenia!

Podnieceni, zbiegliśmy ze zbocza. Odruchowo wybraliśmy tę samą drogę, którą przyszlismy, zapamiętałe dyskutując, co zrobimy z pieniędzmi. Geir i ja chcieliśmy od razu iść do sklepu, żeby kupić za nie cukierki. Anne Lisbet i Solveig też myślały o słodyczkach, ale stwierdziły, że nie mogą iść do sklepu od razu, bo zbliżała się pora obiadu i musiały wracać do domu. Postanowiliśmy, że zachowamy pieniądze do jutra i dopiero wówczas wybierzemy się na zakupy.

Przy ścieżce się rozdzieliśmy, Anne Lisbet i Solveig poszły do siebie, a my z Geirem ruszyliśmy szosą w kierunku sklepu. Kiedy już się przy nim znaleźliśmy, nie mogliśmy się powstrzymać, chociaż umówiliśmy się inaczej, pięciokoronówka dosłownie paliła w kieszeni, o niczym innym nie mogliśmy myśleć. Po prostu nie dało się czekać z zakupami do jutra. Zdecydowaliśmy więc, że kupimy cukierki teraz, a jutro Anne Lisbet i Solveig będą miały niespodziankę.

Tak też zrobiliśmy.

Ale ledwie nakupiliśmy cukierków i skierowaliśmy się w stronę drogi, nadjechał ojciec Geira ich garbusem. Zatrzymał się przy nas, odchylił siedzenie i otworzył drzwi.

– Wskakuj! – zawołał.

– Karl Ove też może z nami jechać?

– Nie, dziś nie, bo nie jedziemy do domu, tylko do miasta. Kiedy indziej, Karl Ove!

– Okej. – Geir odwrócił się do mnie i dramatycznym szeptem przykazał: – Tylko nie jedz tych cukierków!

Pokręciłem głową i zaczęłam, aż Geir wsiądzie i samochód odjedzie. Wtedy popędziłem do betonowej barierki, przeskoczyłem ją, zbiegłem po stromiznie na plac zabaw, minąłem wrak samochodu, boisko i przemknąłem przez las brzegiem bagna. Zanim znalazłem się w polu widzenia z okien naszego domu, zatrzymałem się i wszystkie cukierki przełożyłem z torebki do czterech kieszeni kurtki. Torebkę wyrzuciłem, dopiero potem wyskoczyłem na drogę i przebiegłem wzdłuż krótszej ściany domu – zobaczyłem, że świeci się w salonie – na podjazd. Stał tam samochód taty, a przy samej ścianie, na swoim zwykłym miejscu, rower Yngvego!

Metalowa część przytrzymująca kierownicę błyszczała zupełnie inaczej, o wiele mocniej niż metal wokół niej. Chyba niemożliwe, żeby tata tego nie zauważył?

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Gdyby tata mnie zaskoczył, zamierzałem po prostu odwieść kurtkę jak zwykle. Gdyby został w gabinecie albo w salonie, planowałem zabrać kurtkę na górę, schować cukierki w swoim pokoju, a potem kurtkę z opróżnionymi kieszeniami znieść na dół. Gdyby mnie wtedy przyłapał i spytał, dlaczego nie zdjąłem kurtki wcześniej, wymyśliłem, iż powiem, że tak mi się chciało do ubikacji, że nie mogłem już wytrzymać.

W domu panowała zupełna cisza.

Ale nie, tata był w salonie na górze.

Ostrożnie zdjąłem buty, przeszedłem przez korytarz i po schodach do łazienki. Rozpiąłem rozporek, wyjąłem fiutka i się wysikałem. Spuściłem wodę, umyłem ręce, wytarłem, zaczęłam, aż ustanie szum, i dopiero otworzyłem drzwi. Szybko zerknąłem w kierunku salonu, ale tam się nic nie działo, więc zamknąłem się w swoim pokoju, odsunąłem na bok kołdrę, opróżniłem kieszenie z cukierków, nakryłem je kołdrą i wyszedłem na korytarz.

– To ty, Karl Ove? – spytał tata z salonu.

– Tak – odpowiedziałem.

Wyszedł.

– Gdzie byłeś?

– W Gamle Tybakken, z Geirem.

– Co tam robiliście?

Wargi miał napięte, oczy zimne.

– Nic specjalnego – postarałem się odpowiedzieć najwesелей, jak mogłem. – Tak sobie chodziliśmy.

– Dlaczego jesteś w kurtce?

– Musiałem do ubikacji. Już zdejmuję.

Zszedłem na dół. Tata wrócił do salonu. Powiesiłem kurtkę i pospieszyłem z powrotem na górę. Bałem się, że cukierki tak leżą bez ochrony. Zapaliłem okrągłą metalową lampkę na biurku. Długa, smukła główka żarówki wypełniła żółtym światłem pusty pokój, w którym mieszkała. Usiadłem na łóżku, poprawiłem kódrę.

Co dalej?

Przenikały mnie bardzo różne uczucia. W jednej chwili o mało się nie rozplakałem, w następnej radość rozsadzała mi serce.

Wyjąłem książkę o kosmosie, którą tata przyniósł mi, gdy poprzednim razem leżałem chory. Było w niej dużo rysunków pokazujących, jak ludzie wyobrażają sobie w przyszłości loty kosmiczne. Przedstawiały zarówno sprzęt, astronautów, kształty rakiet, jak i wymyślone powierzchnie planet.

Tata przeszedł przez korytarz.

Otworzył drzwi i spojrzał na mnie.

Nie zamierzał wchodzić ani nic mówić. Zamknąłem książkę, wyprostowałem się i tylko zerknąłem na cukierki pod kódrą.

W ogóle nie było widać, że coś tam leży.

– Co tam masz? – spytał tata.

– Gdzie? Nic nie mam.

– Pod kódrą.

– Nic nie mam pod kódrą!

Wbił we mnie wzrok

Potem podszedł do łóżka i odchylił kódrę.

– Okłamujesz mnie? Okłamujesz rodzzonego ojca?

Złapał mnie za ucho i mocno je wykręcił.

– Nie chciałem! – wydusiłem z siebie.

– Skąd wzięłeś te słodycze? Skąd wzięłeś pieniądze, żeby je kupić?

– Dostałem od jednej starszej pani! – Rozplakałem się. – Nie zrobiłem nic złego!

– Od starszej pani? – Tata jeszcze mocniej wykręcił mi ucho. – Dlaczego starsza pani miałaby ci dawać pieniądze?

– Au! Au! – krzyknąłem.

– Milcz! Okłamałeś mnie, prawda?

– Tak. Ale nie chciałem!

– Patrz na mnie, kiedy do mnie mówisz! Kłamałeś?

Uniosłem głowę i spojrzałem na niego. Oczy błyszczały mu z gniewu.

– Tak – przyznałem.

– A teraz powiesz, skąd wzięłeś pieniądze. Zrozumiano?

– Tak, ale ja je dostałem od starszej pani! Pomogliśmy jej!

– Kto?

– Geir, ja i A...

– Ty, Geir i kto jeszcze?

– Nikt. Tylko ja i Geir.

– Ty mały kłamczuchu. Pójdiesz ze mną!

Znów wykręcił mi ucho, jednocześnie przyciągając rękę do siebie i tym samym zmuszając mnie, żebym wstał. Nie przestawałem szlochać i czułem się zupełnie pusty w środku.

– Do gabinetu! – nakazał, nie puszczając ucha.

– Nic... nic... z tego nie zrobiłem. My... dostaliśmy... dostaliśmy... te pieniądze.

Na dole pchnął pierwsze drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę. Przeciągnął mnie przez drugie aż na środek gabinetu, dopiero tam mnie puścił.

– Skąd wzięłeś te pieniądze? Tylko nie kłam!

– My... pomogliśmy... starszej pani.

– W czym?

– Drzewo... drzewo zakleszczyło się w strumieniu. Wyciągnęliśmy je.

– I ona miałaby dać wam za to pieniądze?

– Tak.

– Ile?

– Pięć koron.

– Kłamiesz, Karl Ove. Skąd wzięłeś te pieniądze?

– Nie kłamię! – krzyknąłem.

Wymierzył mi policzek

– Nie krzycz! – syknął. Opuścił ręce. – Ale jest sposób, żeby się tego dowiedzieć – oświadczył. – Zaraz zadzwonię do tej starszej pani i spytam, czy to prawda. – Mówiąc to, nie spuszczał ze mnie oczu. – Gdzie ona mieszka?

– Na... Gamle Ty... bakken.

Tata podszedł do telefonu na biurku, podniósł słuchawkę i wybrał jakiś numer. Przyłożył słuchawkę do ucha.

– Halo? Nazywam się Knausgård. Chodzi o mojego syna. Twierdzi, że dostał dziś od pani pięć koron. Czy to prawda?

Zapadła cisza.

– Nie? Nie odwiedziło pani dzisiaj dwóch chłopców? I nie dała im pani pięciu koron? Aha, rozumiem. Przepraszam, że niepokoiłem. Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

Nie wierzyłem własnym uszom.

Wpatrywał się we mnie.

– Nie widziała żadnych chłopców, a już z całą pewnością nie dała nikomu pięciu koron.

– Ale ja mówię prawdę! Naprawdę dostaliśmy pięć koron.

Pokręcił głową.

– Ona tego nie potwierdziła, więc dość już tych kłamstw. Skąd wzięłeś pieniądze?

Płacz znów wezbrał we mnie kolejną falą.

– Dostałem... od... starszej... pani! – wyszochałem.

Tata nie spuszczał ze mnie wzroku.

– To nas donikąd nie zaprowadzi – stwierdził w końcu. – Wyrzucisz teraz te słodczyce do śmieci i zostaniesz w swoim pokoju przez cały wieczór. A ja sobie jeszcze porozmawiam z panem Prestbakmo.

– Ale te cukierki nie są moje! – zaprotestowałem.

– Nie twoje? Przecież przez cały czas twierdzisz, że dostałeś pięć koron. A teraz mówisz, że jednaknie są twoje?

– Bo są też Geira. Nie mogę ich wyrzucić.

Patrzył na mnie z wściekłością, usta miał rozchyłone.

– Zrobisz tak, jak mówię. Nie chcę słyszeć więcej ani jednego słowa. Zrozumiano? Kradniesz, kłamiesz i jeszcze pyśkujesz. Marsz na górę!

Nie odstąpił mnie na krok. Poszedłem po cukierki, zebrałem je, wyrzuciłem do śmieci w kuchni i wróciłem do swojego pokoju.

Tej jesieni i zimy chodziliśmy do Anne Lisbet i Solveig tak często, jak tylko mogliśmy. Bawiliśmy się po ciemku, w przeciwnych ubraniach błyszczących od wilgoci, w blasku naszych kieszonkowych latarek drążących niewielkie tunele światła w lesie poniżej domów, przesiadywaliśmy w pokoju którejś z nich, rysowaliśmy i słuchaliśmy muzyki, chodziliśmy do fabryki łodzi i na znajdującą się w pobliżu wielką przystań, na rozciągające się na jej tyłach wrzosowisko, na którym żadne z nas nigdy wcześniej nie było, wałęsaliśmy się po lesie, w którym stało ogromne betonowe przeszło mostu.

Którejś soboty poszliśmy na sekretne wysypisko śmieci. Dziewczynki zachwyciły się nim tak jakmy, więc zaciągnęliśmy z Geirem do lasu cztery krzesła, stół, lampę i komodę, ustawiliśmy je jak w pokoju i zrobiło się naprawdę fantastycznie, bo przecież byliśmy w lesie, w blasku słońca, a mimo to jakby w pomieszczeniu. No i towarzyszyły nam Solveig i Anne Lisbet.

Podniecenie, które mnie ogarniało na jej widok nie ustępowało. Była taka śliczna, że aż bolało mnie w środku. Ta jej jasnoniebieska gruba puchówka z gładkiego materiału. Biała czapka. Wykończona futerkiem cholewki butów. Twarz, gdy z jakiegoś powodu gromiła nas wzrokiem. Uśmiech, promienny jak tysiąc milionów diamentów.

Kiedy spadł śnieg, wędrowaliśmy w poszukiwaniu odpowiednich miejsc do skania,

zjeżdżania albo kopania grot. Jej rozgrzane czerwone policzki i ten delikatny, lecz jednak wyraźny zapach śniegu, zmieniający się w zależności od temperatury, który towarzyszył nam wszędzie. Wszystkie te możliwości, jakie mieliśmy przed sobą. Raz między drzewami wisiała gęsta mgła, mżyło, a my mieliśmy na sobie ubrania przeciwdeszczowe, tak pozbawione tarcia w zetknięciu ze śniegiem, że mogliśmy po nim sunąć jak foki. Wspinaliśmy się na szczyt kamiennego usypiska, kładłem się na brzuchu, Anne Lisbet okrakiem siała mi na plecach, a Solveig na Geirze, i zjeżdżaliśmy tak na sam dół. To był najwspanialszy dzień w moim życiu. Wspinaliśmy się i zjeżdżaliśmy. To uczucie, kiedy jej nogi zaciskały się na moich plecach, ręce mocno trzymające się moich ramion, i jej krzyk, kiedy nabieraliśmy pędu, fantastyczny tumult, gdy docieraliśmy na dół, wywracaliśmy się, a nasze nogi i ręce spleły się ze sobą. Przez cały ten czas mgła wisiała nieruchomo na mokrych, ciemnozielonych świerkach, a mżawka kładła nam się na twarzach cienką warstwą wilgoci.

Tej zimy dokonaliśmy wielu nowych odkryć, na przykład okazało się, że las liściasty, otaczający drogę biegnącą wokół całego osiedla, to ten sam las, co nad stacją Fina; dwa miejsca, które do tej pory w naszej świadomości pozostawały całkowicie rozdzielone, nagle się połączyły. Nieoczekiwanie odkryliśmy, że stara szutrowa droga, której ostatnim odcinkiem chodziliśmy na Finę, ma również górny odcinek, mieszkały przy nim dzieci, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy, one też miały boisko w lesie, co prawda nieduże, ale z porządnymi bramkami. I jeszcze droga poniżej domów Anne Lisbet i Solveig, domy na jej końcu stały, jak się okazało, zaledwie o rzut kamieniem od ich domów. Odkryliśmy, że Dag Magne, który chodził z nami do klasy, jest sąsiadem Solveig. Zaskoczyło nas, że mieszkając tak blisko siebie, należeli do dwóch różnych światów, oddzieleni pasem lasu. Prawdopodobnie to las nas oszukał. Miał w tym miejscu nie więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści metrów szerokości, ale był czymś tak odmiennym od domów, że powiększał odległość emocjonalną do kilkaset metrów. To samo dotyczyło całego osiedla, zresztą nie tylko jego, bo również wysypiska: jeśli idąc drogą z Færvik nie skręciło się w prawo na tę prowadzącą do Hove, tylko poszło prosto, czego prawie nikt nie robił, nagle po prostu się na nie wychodziło. A jeśli skręciło się w prawo na końcu długiej równiny z drogi na wschód od szkoły, to od wysypiska rozłożonego w pełnej krasie między drzewami dzieliło zaledwie dwieście metrów. Obszary wcześniej odizolowane, tworzące zupełnie osobne światy, nagle zaczęły być ze sobą powiązane. Ile osób wiedziało, że jezioro Tjenna leży tak niedaleko jeziora Gjerstadvannet? Przecież do Gjerstadvannet dochodziło się z Sandum po drugiej stronie wyspy! Albo boczną drogą skręcającą od tej do szkoły!

Inną niespodzianką było odkrycie, że pani Hjellen, nasza pomoc domowa, mieszka razem z mężem w domu obok Anne Lisbet. Nie mieli dzieci, a ona zawsze cieszyła się z każdej wizyty, więc chodziłem do niej, zarówno sam, jak i z pozostałą trójką. Kiedy sprzątała u nas w domu, opowiadałem jej o najprzeróżniejszych rzeczach, również o takich, o jakich nie mówiłem rodzicom. To ona nauczyła mnie otwierać drzwi do domu tym kluczem, który dostałem – po włożeniu do końca należało odrobinę go wyciągnąć i dopiero obrócić.

I to właśnie pani Hjellen się zwierzyłem, gdy jeden z kamieni, którymi regularnie rzucaliśmy w samochody na drodze biegnącej w dół, wreszcie trafił. To ja rzuciłem. Staliśmy przy zielonym ogrodzeniu, Geir spuścił głowę, więc teraz ja podniosłem kamień i czekałem na kolejne auto. Kamień był większy od mojej ręki i tak ciężki, że bardziej musiałem go pchać, niż nim

rzuć. Wreszcie na zakręcie pojawił się samochód. Szum poniósł się przez równinę. Teraz!

Kamień poszybował w powietrzu. Już w momencie gdy zaczął spadać, wiedziałem, że trafi. Ale że uderzenie o dach zabrmi tak głośno, tego nie przewidziałem. Podobnie jak tego, że już sekundę później rozlegnie się pisk hamulców i sztywnych opon na asfalcie.

Geir spojrział na mnie, wystraszony.

– Spadamy! – zawołał.

Wspiął się po kamieniach, przemknął przez drogę, wdrapał się na skałę i zniknął.

Byłem kompletnie sparaliżowany. Po prostu nie mogłem się ruszyć. Za bardzo się bałem. Nawet gdy usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek, włączony silnik i odgłos samochodu podjeżdżającego do tego miejsca, w którym stałem, nie mogłem choćby drgnąć.

Pół minuty później samochód nadjechał górną drogą. Ze łzami spływającymi po policzkach i z nogami trzęsącymi się tak, że ledwie mogłem się na nich utrzymać, zobaczyłem, że wyhamowuje trzy metry nade mną. Kierowca, czerwony na twarzy z wściekłości, nie otworzył drzwi i nie wysiadł, tylko dosłownie je wypchnął i wyskoczył.

– To ty rzuciłeś kamień? – krzyczał, już zbiegając ze zbocza.

Kiwnąłem głową.

Złapał mnie za obie ręce i mocno mną potrząsnął.

– Rozumiesz, że mogłeś mnie zabić? Ten kamień mógł spaść na przednią szybę! Rozumiesz? Poza tym samochód jest zniszczony! Wiesz, ile będzie kosztowała naprawa dachu? Drogo za to zapłacisz!

Puścił mnie.

Plakałem tak, że łzy całkiem mnie oślepiły.

– Jak się nazywasz?

– Karl Ove.

– Nazwisko!

– Knausgård.

– Mieszkaś tutaj?

– Nie.

– No a gdzie mieszkaś?

– Przy Nordåsen Ringvei.

Wyprostował się.

– Jeszcze się do ciebie odezwę. A raczej do twojego ojca.

Pokonał zbocze niemal jednym skokiem, wszedł do samochodu, mocno trzasnął drzwiami i rozszluszony odjechał.

Szlochając, usiadłem na ziemi. Nie było już dla mnie żadnej nadziei.

Chwilę później z działki powyżej odezwał się Geir. Zbiegł na dół i zasypał mnie pytaniami o to, co się stało i co ten pan powiedział. Wiedziałem, cieszył się, że to ja rzuciłem i że podałem swoje nazwisko. Ale przede wszystkim chciał wiedzieć, dlaczego nie uciekłem. Przecież mieliśmy na to

sporo czasu. Gdybym uciekł, ten pan nigdy by mnie nie złapał i nie dowiedział się, że to ja cisnąłem kamień.

– Nie wiem – powiedziałem, wycierając łzy. – Ale nie mogłem. Nagle nie mogłem się ruszyć.

– Przyznasz się w domu? – spytał Geir. – Tak by było najlepiej. Jeśli powiesz prawdę, będą się gniewać, ale w końcu im minie. Jeśli nic nie powiesz, a on zadzwoni, będzie gorzej.

– Boję się – przyznałem. – Nie mogę o tym powiedzieć.

– Powiedziałeś, jak się nazywa twój tata?

– Nie, tylko jak sam się nazywam.

– Ciebie przecież nie ma w książce telefonicznej, a on musi zadzwonić do twojego ojca. Jego nazwiska nie podałeś.

– No tak – Dostrzegłem promyk nadziei.

– Wobec tego nic nie mów – orzekł Geir. – Może nic nie będzie.

Po powrocie do domu zastałem panią Hjellen. Zauważyła, że płakałem, i spytała, co się stało. Kazałem jej przysiąc, że nikomu nic nie powie. Przysięka. Opowiedziałem. Pogłaskała mnie po policzku i stwierdziła, że jednak najlepiej będzie, jeśli przyznam się rodzicom. Powiedziałem, że się boję, i na tym stanęło. W ciągu najbliższych dni przy każdym dzwonku telefonu lodowaciałem, zdjęty strachem większym niż kiedykolwiek w życiu. Te dni spowił gęsty mrok. Ale ten pan nie dzwonił, za każdym razem był to ktoś inny i już zacząłem wierzyć, że wszystko jakoś przycichnie.

Wtedy zadzwonił.

Tata odebrał na dole, minęły mniej więcej trzy minuty i rozległo się kliknięcie w aparacie na górze, oznaczające, że odłożył słuchawkę. Ruszył po schodach. Kroki były zdecydowane, stanowcze. Poszedł do mamy. Dobiegły mnie podniesione głosy. Siedziałem na łóżku i płakałem. Kilka minut później otworzyły się drzwi do mojego pokoju. Przyszli oboje. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Twarze mieli mroczne i poważne.

– Karl Ove, właśnie zadzwonił do mnie pewien pan – zaczął tata. – Powiedział, że rzuciłeś wielkim kamieniem w jego samochód i zniszczyłeś dach. Czy to prawda?

– Tak

– Jak mogłeś zrobić coś takiego?! Co jest z tobą nie tak? Mogłeś go zabić! Rozumiesz? Rozumiesz, jaka to poważna sprawa, Karl Ove?

– Tak

– Gdyby ten kamień uderzył w szybę – włączyła się mama – to samochód mógłby wypaść z drogi albo zderzyć się z innym. Ten człowiek mógł zginąć.

– Tak – powiedziałem.

– A teraz muszę zapłacić za naprawę. To będzie kilka tysięcy koron! A my tych pieniędzy nie mamy! – stwierdził tata. – Skąd je weźmiemy?

– Nie wiem.

– Przekłęty bachor! – Odwrócił się ode mnie.

– Dlaczego nic nam o tym nie powiedziałeś? – spytała mama. – Przecież minął już ponad

tydzień. Musisz nam mówić, kiedy coś takiego się stanie, rozumiesz? Musisz obiecać, że będziesz nam mówił o wszystkim.

– Powiedziałem pani Hjellen.

– Pani Hjellen? – zdumiał się tata. – Nie nam?

– Tak

Patrzył na mnie tym swoim zimnym, złym wzrokiem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała mama. – Jak mogło ci przyjść do głowy, żeby rzucać kamieniami w samochody? Chyba rozumiałeś, że to może być niebezpieczne?

– Nie wierzyliśmy, że uda nam się trafić – próbowałem tłumaczyć.

– My? – podchwycił tata. – Był z tobą ktoś jeszcze?

– Geir. Ale to ja rzuciłem tym kamieniem.

– Wygląda na to, że będę musiał porozmawiać z Prestbakmo – tata zwrócił się do mamy. A potem powiedział do mnie: – Masz areszt domowy dzisiaj i przez dwa kolejne wieczory. I nie dostaniesz kieszonkowego ani w tym, ani w przyszłym tygodniu. Zrozumiano?

– Tak

Wyszli.

Wszystko mija. Również to minęło. Najstraszniejszy był ten mrok między samym zdarzeniem a jego ujawnieniem, kiedy wszystko wyglądało zwyczajnie, a wcale takie nie było. Kiedy wszystko drżało pod nieruchomą powierzchnią codzienności. Raz, mniej więcej rok wcześniej, podobna sytuacja zmusiła mnie do ucieczki z domu. Wtedy przyczyną nieszczęścia był nie kamień, lecz nóż. Wszystkie dzieciaki miały harcierskie finki, tylko ja nie. Byłem za mały i zbyt nieodpowiedzialny. W końcu jednak kóregoś dnia, w okolicznościach przypominających ceremonię, tata wręczył mi nóż. Powiedział, że mi ufają. Ukryłem rozczarowanie tym, że kupili mi dziewczynski nóż, bo harcerz przedstawiony na futerał miał na sobie spodnicę, a nie spodnie, ale to był szczegół, którego zrozumienia nie należało oczekiwać od dorosłych, a radość z posiadania noża i tak wygrała, bo teraz mogłem ciąć, strugać, kroić i rzucać razem z innymi. Wystarczyło nie pokazywać nikomu futerału. Jeszcze tego samego dnia razem z Leifem Torem wystrugaliśmy miecze – długie kawałki drewna zastrzone na jednym końcu jak szydło, z krótszymi, przybitymi gwoździem, jako rękojeścią. Z mieczami w rękach wybraliśmy się na osiedle. Zobaczyliśmy dwie dziewczynki z wózkami dla lalek. Przez pewien czas je śledziliśmy, a następnie ruszyliśmy do ataku. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy piratami, a one statkami, i raz po raz wbijaliśmy miecze w budki lalczynek wózków. Dziewczynki rozplakały się, krzyczały, wycofaliśmy się zatem, ale one powiedziały, że poskarżą się rodzicom. Przestraszyliśmy się tego, co zrobiliśmy, więc je obserwowaliśmy. Najpierw weszły do swoich domów, zaraz potem wyszły i skierowały się w stronę domu Gustavsenów i naszego. Śmiertelnie wystraszeni konsekwencjami, postanowiliśmy uciec. Wspięliśmy się na Górę i ruszyliśmy lasem na jej szczycie, idąc nim najdalej jak się dało, czyli do urwiska nad Tjenną. Ani Leif Tore, ani ja nigdy wcześniej tam nie dotarliśmy. To było daleko od domu, więc wymyśliłem, że tam przenocujemy, a nazajutrz wyruszymy dalej. Usiedliśmy na krawędzi i patrzyliśmy w dal. Słońce wisiało nisko za naszymi plecami, a rozciągający się przed nami krajobraz w jego promieniach wydawał się złocisty. Posiedzieliśmy tak z pół godziny. W końcu Leif Tore

postanowił wracać do domu. Powiedział, że jest głodny. Próbowałem go przekonywać, przecież uciekliśmy, nie możemy wracać, ale on się upierał, za nic nie chciał spędzić nocy poza domem, a ja przecież bałem się ciemności, więc nie mogłem zostać tam sam. Wróciłem razem z nim. Tata już czekał na mnie w ogrodzie. Mocno złapał mnie za ramię i zaciągnął do mojego pokoju, gdzie dostałem arest domowy. Nóż został zarekwirowany, chociaż to nie nim się posłużyłem, tylko mieczem. Nie potrafili pojąć tej różnicy. Zadawanie ciosów nożem nie wchodziło w grę. Miecze były drewniane i to nimi walczyliśmy, więc to miecze powinni skonfiskować. A zabrali nóż. Słyszałem, jak o tym rozmawiali. „Spójrz – mówił tata – spójrz na futerał, jaki jest zniszczony”. Miał na myśli wszystkie dziury, które w nim zrobiłem, by ukryć, że harcerz nosi spódnicę, a nie spodnie. Ale on uznał to za oznakę mojej nieuwagi i niedojrzałości. Siedząc zamknięty w swoim pokoju tego wieczoru i następnego, patrzyłem, jak Leif Tore bawi się na dworze. Ojciec wymierzył mu jeden policzek i koniec. A on policzkami się nie przejmował.

Ale to minęło. Wszystko mijają. Dziewczynki dostały nowe wózki, kierowca nowy dach, arest domowy został zniesiony, tygodniówka wróciła, wieczorami na drodze przed domem było pełno dzieciaków, a las poniżej pozostawał otwarty, dniem i nocą, zimą i wiosną. Anne Lisbet i Solveig nigdy do nas nie przychodziły, zawsze to my chodziliśmy do nich, w ten sposób mieliśmy dwa światy – jeden w okolicy naszych domów, gdzie dołączaliśmy do tabunów dzieciaków, które zbierały się co wieczór, grały w piłkę, bawiły się na drodze, budowały szałas z gałęzi w lesie, biegały, wtykały nosy w każdy zakątek osiedla, a gdy przyszły mrozy i lód, jeździły na łyżwach po Tjennie, gdzie cudowne zgrzyty stali łyżew uderzającej o lód odbijały się od niskiej skały, przy której znajdowało się lodowisko, wypełniając każdy dzień niezwykle intensywną radością – i drugi u nich, gdzie wszystko z pozoru było podobne do tego, co mieliśmy u siebie, bo również tutaj pełno dzieciaków angażowało się we wszystko, w co tylko można się zaangażować, również tutaj grano w piłkę i w gumę, bawiono się po ciemku, skakano na skalance, również tu jeżdżono na łyżwach, gdy jeziora zamarzały, i na nartach, kiedy spadł śnieg, ale jednak było inaczej. Radość brała się jakby skądinąd, nie z tego, co robiliśmy, tylko z kím to robiliśmy. Była tak silna, że często pojawiała się również wtedy, kiedy dziewczyn nie było. Wieczorem, gdy graliśmy w ping-ponga w garażu Daga Lothara, gdy krążyliśmy wokół baraków przy nowej drodze w lesie, gdy siedzieliśmy w pokoju u Geira i graliśmy w chińskie warcaby lub gdy rozbiegałem się przy łóżku, nagle myśl o Anne Lisbet potrafiła napłynąć z tak wielką siłą, że w głowie mi się kręciło ze szczęścia i tęsknoty. To uczucie obejmowało zresztą nie tylko ją, lecz również jej piękną matkę, barczystego ojca, który był nurkiem i w łazience w suterenie przechowywał dwie złote butle z tlenem, jej młodszą siostrę i młodszego brata, wszystkie pomieszczenia w ich domu i ten przyjemny zapach, który je wypełniał. Wszystkie przedmioty w jej pokoju, tak inne od moich, lalki, ubranka dla lalek, dużo różowości i tiulu. No i nasze wspólne zabawy, którym jej radość i zapał jeszcze dodawały blasku. Chyba szczególnie odczuwałem to w szkole, gdy trzymaliśmy się osobno aż do momentu, gdy jakaś konkretna sytuacja zbliżała nas do siebie, na przykład wtedy gdy staliśmy w kręgu i bawiliśmy się w „mam chusteczkę haftowaną”, i to mnie ją rzucała, albo kiedy mnie łapała i obejmowała przy ostatnich słowach: „budujemy mosty”, albo kiedy gonilem ją podczas zabawy w berka, a ona specjalnie zwalniała, żeby mi łatwiej mógł ją osiągnąć. Ach, gdyby to ode mnie zależało, mógłbym biegać za Anne Lisbet całe życie, byle tylko w końcu ją objąć.

Czy wiedziałem, że to nie może trwać wiecznie?

Nie, nie wiedziałem. Sądziłem, że tak już będzie zawsze. Przyszła wiosna, a wraz z nią ulga: kóregoś dnia włożyłem nowe adidasy i bieganie w nich po półrocznym noszeniu kaloszy i zimowych butów przypominało latanie. Puchowe spodnie i kurtki, w których wszystkie ruchy były tak uciążliwe i niezgrabne, zostały zastąpione przez lekkie spodnie i cienkie kurtki. Rękawiczki, szaliki i czapki poszły do schowków. Narty, łyżwy i sanki wyniesiono do komórki i garaży. Wyciągnięto rowery i piłki, a słońce, które przez tak długi czas wisiało nisko na niebie, przyносяc pożytek wyłącznie oczom, z każdym dniem wznosiło się coraz wyżej i już wkrótce zrobiło się tak ciepło, że kurtki, które wkładaliśmy rano, leżały zwinięte w tornistrach, gdy w środku dnia wracaliśmy do domu ze szkoły. Ale najważniejszą oznaką wiosny był zapach spalenizny, roznoszący się w tych tygodniach po osiedlu. Te jeszcze zimne wieczory, niebieskawy mrok, chłód bijący z rowów, gdzie wciąż zalegały zasy stwardniałego na lód śniegu zmieszanego ze żwirem, nieustający harmider dzieci, które bawiły się na dworze, jedne biegały za piłką po drodze, inne jeździły na rowerach tam i z powrotem lub próbowały stanąć na jednym kole, wszystko kipsało życiem i lekkością, nie pozostawało nic innego, jak biegać, jeździć na rowerze, krzyczeć i śmiać się, a wszystko to wśród kręcącego w nosie ostrego, lecz jednak słodkiego zapachu płonącej zeszlorczonej trawy, który nagle dochodził z każdej strony. Od czasu do czasu biegliliśmy popatrzeć: niskie, gęste płomienie, przypominające nieduże pomarańczowe fale, niemalże wilgotne w intensywności swojej barwy wzmocnionej ciemnością wieczoru, pilnowane przez dumne matki czy ojców, często w rękawiczkach, z grabiami zarzuconymi na ramię, będących kimś w rodzaju rycerzy strzegących niższej klasy średniej. Czasami czuwal nad prawdziwymi ogniskami, na których palono wszystkie śmieci, jakie zbierały się w ogrodzie w ciągu zimy.

Co miał w sobie ten ogień?

Taki był tu obcy, tak głęboko archaiczny, że nie dało się go powiązać z otoczeniem, w którym się ukazywał: co robił ogień obok przyczepy kempingowej Gustavsenów? Co robił ogień obok należącej do Anne Lene kóparki zabawki? Co robił ogień obok nasiąkniętych wilgocią, wyblakłych na słońcu mebli ogrodowych Kanestrømów?

We wszystkich odcieniach żółci i czerwieni wyciągał się ku niebu, z trzaskiem pochłaniał świerkowe gałęzie, z sykaniem roztopiał plastik, pojawiał się raz tu, raz tam, poruszając się według kompletnie nieprzewidywalnych wzorów, równie pięknych, co niesamowitych, nie bo co on robił tu, wśród nas, zwykłych Norwegów, w te zwyczajne wieczory w latach siedemdziesiątych?

Wraz z ogniem ukazywał się inny świat i wraz z nim też znikał. To był świat wody i powietrza, ziemi i skały, słońca i gwiazd, chmur i nieba, tego wszystkiego, co istniało zawsze i dlatego w ogóle się o tym nie myślało. Ale ogień przybywał, ogień się widziało. A gdy już raz się go zobaczyło, zaczynało się widzieć go wszędzie, we wszystkich kominkach i piecach, we wszystkich fabrykach i halach produkcyjnych, we wszystkich samochodach jeżdżących po drogach, a także tych, które wieczorem stały w garażach lub przed domami, bo ogień płonął również w nich. Również samochody miały w sobie archaiczność. Głęboka przeszłość mieściła się właściwie we wszystkim, od domów zbudowanych z cegły albo drewna po wodę wpływającą do rur i z nich wypływającą, ale ponieważ każde pokolenie widzi wszystko po raz pierwszy, a to pokolenie zerwało z poprzednim, przeszłość skryła się gdzieś w głębi świadomości, jeśli w ogóle tam była,

bo nowoczesność lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku mieliśmy w sobie nie tylko my, lecz również nasze otoczenie. A nasze uczucia, te, które przepływały przez każdego z nas, mieszkających tu w tamte wiosenne wieczory, miały być uczuciami nowoczesnymi, pozbawionymi innej historii niż nasza własna. Dla nas, ówczesnych dzieci, oznaczało to brak historii w ogóle. Wszystkie działo się po raz pierwszy. O tym, że uczucia są odwieczne, może nie równie odwieczne jak woda i ziemia, lecz równie odwieczne jak ludzie, nie myśleliśmy nigdy. Dlaczego mielibyśmy o tym myśleć? Te uczucia rozsadzające pierś, te, które kazały nam wołać i krzyczeć, śmiać się i płakać, po prostu w nas były, mniej więcej tak jak światło w lodowce zapalające się po otwarciu drzwi albo dzwonek terkoczący, gdy ktoś go nacisnął.

Naprawdę wierzyłem, że to przetrwa?

Owszem, wierzyłem.

Ale nie przetrwało. Któregoś dnia pod koniec kwietnia powiedziałem Anne Lisbet, że przyjdziemy po szkołę, a ona na to, że nie możemy.

– Dlaczego?

– Bo ktoś inny przychodzi.

– A kto? – spytałem. Myślałem, że może jakiś wujek albo ciocia.

– To tajemnica – uśmiechnęła się tym swoim chytrym uśmiechem.

– Ktoś z klasy? Marianne, Sølvi albo Unni?

– To tajemnica – powtórzyła. – Wy nie możecie przyjść. Cześć.

Poszedłem do Geira i przekazałem mu, co powiedziała. Uzgodniliśmy, że i tak pójdziemy, żeby je śledzić. Po lekcjach zostawiliśmy tornistry w domach i wybraliśmy się do nich inną drogą. Przecieliśmy plac budowy w lesie poniżej, ten, na którym wznosiły się już pierwsze fundamenty, i między drzewami przekradliśmy się przez bagno do placu do nawrotek przy ich domach.

Nikogo tam nie było.

Czyżby siedziały w domu?

Zadzwonić do drzwi nie mogliśmy, bo przecież nie powinniśmy tu przychodzić. Ruszyliśmy drogą w dół. Geir wpadł na świetny pomysł, żeby zajrzeć do Vemunda. Vemund stanął w drzwiach z tym swoim głupim wyrazem na okrągłej twarzy. Tak szły tedy jakiś czas temu.

Same?

Nie, jeszcze z jakimś dwiema osobami.

Z kim?

Nie, tego nie zauważył.

Z chłopakami czy z dziewczynami?

Chyba z chłopakami. Początkowo sądził, że to my, bo ciągle się tu kęcimy, ale teraz już wie, że to jacyś inni.

Roześmiał się. Geir też się śmiał.

Kto to mógł być?

I co one z tymi nieznanymi robiły?

– Chodź, idziemy za nimi – zwróciłem się do Geira.

– Przecież nie chcieli, żebyśmy przychodzili. Może raczej wejdziemy na trochę do Vemunda?

Zrobiłem wielkie oczy, największe, jakie mogłem.

– No dobra – zgodził się w końcu.

– Tylko nie mów nikomu – przykazałem Vemundowi.

Kiwnął głową. Przeszliśmy przez jego posesję i stanęliśmy na drodze.

Gdzie oni mogli być?

Nie mieliśmy pojęcia. Mogli iść aż do sklepu. Coś jednak mi mówiło, że trzymają się blisko domów. Powinni łatwo dać się zauważyć i usłyszeć. Było ich przecież czworo.

– Pójdziemy tędy? – spytałem, zatrzymując się na skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do osiedla Daga Magnego.

Geir wzruszył ramionami.

Zaczeliśmy się pięć po żwirowym zboczu. Dom Daga Magnego stał w niewielkim zagłębieniu terenu. Obok był garaż, wypełniony rowerami, narzędziami i oponami samochodowymi. Pod werandą ułożono drewno.

Kiedy wleźliśmy na niewielki pagórek, zobaczyliśmy, że Dag Magne patrzy na nas z okna w szczytowej ścianie domu. Żeby sobie nie pomyślał, że idziemy do niego, przecięliśmy ich działkę, w ogóle na niego nie spoglądając, i weszliśmy do lasu po drugiej stronie. Zbliżała się wiosna. Trawa, tak długo biała, zaczynała się zielenić, ale na drzewach nie pojawiły się jeszcze listki. W młodym lesie liściastym mieliśmy więc dobrą widoczność.

Ktoś tam był. Tuż pod skarpą koło domu Solveig poruszało się coś niebieskiego i czerwonego.

– To oni – orzekł Geir.

Stanęliśmy zupełnie nieruchomo.

Śmiali się i rozmawiali, podnieceni.

– Widzisz, kto to jest? – spytałem cicho.

Geir pokręcił głową.

Podeszliśmy bliżej. Cały czas staraliśmy się chować za drzewami, a gdy byliśmy już w odległości mniej więcej dwudziestu metrów, kucnęliśmy za kamieniem.

Wystawiłem głowę i spojrzałem.

Z dziewczynami byli Eivind i Geir B.

Eivind i Geir B.

O holender! Eivind i Geir B., przecież oni chodzili do naszej klasy! Byli sąsiadami i najlepszymi przyjaciółmi, mieszkali zaraz za Sverrem, który mieszkał zaraz za Siv, a jej dom widać było od nas, z naszej drogi.

Czym się od nich różniliśmy?

Prawie niczym!

Oni byli najlepszymi przyjaciółmi i my byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Eivind był jednym z najlepszych uczniów w klasie i ja byłem jednym z najlepszych uczniów w klasie. Geir B. i Geir byli tylko na przy czepkę.

Ale Eivind był ode mnie ładniejszy. Miał kręcone włosy, mocno zarysowane kości policzkowe, wąskie oczy. Ja miałem wystające zęby i wystający tyłek. No i był ode mnie silniejszy.

Wisiał teraz na uschniętym drzewie, próbując je złamać. Geir B. z drugiej strony z całych sił je popychał. Anne Lisbet i Solveig stały i patrzyły.

Popisywali się przed nimi.

Holender, holender, holender!

Co mieliśmy zrobić? Podejść do nich i udawać, że nic się nie stało? Spędzać czas w sześcioro?

Odwrociłem się do Geira.

– Co robimy? – spytałem szeptem.

– Nie wiem – odszepnęła. – Może ich zlejemy?

– Ale śmieszne. Przecież oni są od nas silniejsi.

– Na pewno nie możemy tu siedzieć cały dzień.

– To co, idziemy stąd?

– No.

Wycofaliśmy się równie ostrożnie, jak przyszliśmy. Na skrzyżowaniu Geir spytał, czy pójde z nim do Vemunda.

– Na to już na pewno nie mam najmniejszej ochoty – oświadczyłem.

– Ja i tak idę – zdecydował. – No to cześć.

– Cześć.

Po kilku metrach odwróciłem się, żeby na niego spojrzeć. Znalazł jakąś gałązkę, którą uderzał się najpierw w jedno kolano, potem w drugie, idąc chodnikiem tuż przy krawężniku. Płakałem całą drogę do domu i wybrałem ścieżkę prowadzącą obok boiska, żeby nikt tego nie widział.

To się wydarzyło w piątek. W sobotę wczesnym przedpołudniem pobiegłem do Geira, ale wybierał się z rodzicami do miasta. Moi rodzice sprzątali i odkurzali dom. Yngve pojechał do miasta autobusem ze Steinaarem, więc byłem pozostawiony samemu sobie. Poszedłem do łazienki, zamknąłem drzwi na klucz, pogrzebałem w koszu na brudną bieliznę i wyciągnąłem brzydkie brązowe sztruksowe spodnie, aż czarne od brudu na kolanach. Włożyłem je, przemknąłem do pokoju i wyszukałem ohydny, żółty, robiony na drutach sweter, też się w niego ubrałem, niepostrzeżenie zszedłem na dół, do kotłowni, gdzie stały kalosze, najpaskudniejsze buty, jakie miałem, zaniósłem je do przedpokoju i tam włożyłem. Pozostawała jeszcze kurtka. Z wieszaka zdjąłem cienką, szarą, którą dostałem zeszłej wiosny. Była teraz trochę za mała i dość brudna, a poza tym suwak się zepsuł, więc musiała być rozpięta. Bardzo mi to odpowiadało, bo dzięki temu widoczny był ten obrzydliwy żółty sweter.

Ubrany najbrzydziej, jak w ogóle się dało, ruszyłem ku osiedlu, na którym mieszkała Anne Lisbet. Wzrok cały czas miałem wbity w ziemię. Chciałem, żeby ludzie mnie widzieli, żeby zobaczyli, jak bardzo jest mi źle. A gdybym spotkał Anne Lisbet, co było celem tej wyprawy, chciałem, żeby zobaczyła, co zrobiła. Brzydkie, brudne ubrania, spuszczone głowa, wszystko po to, by zrozumiała.

Zadzwoń do jej drzwi nie chciałem, bo wtedy musiałbym z nią rozmawiać. Nie, chodziło o to, żeby zobaczyła mnie przypadkiem i sama domyśliła się, jak bardzo mi smutno z powodu jej zachowania.

Kiedy dotarłem do domu Vemunda, a ona ciągle mnie nie widziała, ruszyłem mimo wszystko w stronę jej domu, chociaż to mogło zepsuć mój plan. No bo po co tu właściwie przyszedłem, jeśli nie po to, żeby spotkać się z nimi?

Może żeby się zobaczyć z Bjørnem Helgem?

Był o rok młodszy i właściwie zabawa z nim nie wchodziła w rachubę. No ale grał w piłkę i był dość duży jak na swój wiek.

Przez chwilę stałem na placu do zawracania, zastanawiając się, czy mam iść do Bjørna Helgego. Ale już na sam widok domu, w którym mieszkała Anne Lisbet, zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro, więc w końcu zszedłem do lasu. Minąłem świeżo wytyczone działki, na których stały nieruchome maszyny budowlane i baraki, wpatrujące się przed siebie pustymi czarnymi oknami, i wyostałem się na drogę wzdłuż równiny, gdzie przez chwilę patrzyłem na budowany tam nowy dom parafialny, później na łąkę, na której kiedyś graliśmy w piłkę, i na zamkniętą bramą ścieżkę do wysypiska, zaczynającą się sto metrów dalej. Wolnym krokiem ruszyłem w dół. W połowie równiny, ukryte za skałami i drzewami, stały domy, w których mieszkali Eivind i Geir B. Byliśmy tam kilka razy, żeby się z nimi bawić, a zimą, zanim spadł śnieg, zabraliśmy ich nad Tjennę na łyżwy. Raz byliśmy też na urodzinach Geira B. I raz na urodzinach Sverrego. Zgubiłem wtedy dziesięć koron, które miał dostać w prezencie. Kiedy przyszedłem elegancko ubrany, koperta okazała się pusta. Rozplakałem się, źle się stało, no ale miałem powód. Dziesięć koron to było dużo pieniędzy. Na szczęście jego ojciec poszedł ze mną ich szukać, wróciliśmy tą drogą, którą przyszedłem, i w pewnym momencie zobaczyłem jaśniejący na asfalcie niebieski dziesięciokoronowy banknot. Nie mogli więc dłużej mnie podejrzewać, że chciałem ich oszukać, wziąłem te pieniądze dla siebie i tylko udawałem, że zgubiłem.

Na trawniku w jakimś ogrodzie przy drodze stał chłopiec z długimi czarnymi włosami i indiańskimi rysami. Podbijał piłkę.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparłem.

– Ile razy umiesz odbić? – spytał.

– Cztery.

– Cha, cha. To prawie nic.

– A ty ile?

– Wcześniej udało mi się szesnaście.

– No to pokaż.

Unieruchomił piłkę i postawił na niej stopę, którą zaraz cofnął i wsunął pod piłkę ruchem wybijającym ją w górę. Raz, dwa, trzy uderzenia stopą i piłka poleciała krzywo, ostatnie kopnięcie, do którego musiał mocniej wysunąć nogę, posłało piłkę w żywopłot.

– To były cztery razy – powiedziałem.

– Dlatego że patrzysz, a ja wtedy zaczynam za bardzo myśleć o tym, co robię. Jeszcze raz.

Zaczekasz?

– Tak

Tym razem podrzucił piłkę na wysokość kolana, wtedy było łatwiej. Pięć razy podbił piłkę na przemian jednym kolaniem i drugim, zanim stracił nad nią kontrolę.

– Osiem – stwierdziłem.

– No. Ale teraz ci pokażę.

– Muszę już iść.

– Aha.

Jego ojciec, gruby mężczyzna w okularach, z gęstymi siwymi włosami, stał w oknie i nas obserwował. Przebiegłem na chodnik po drugiej stronie, nagle przypomniałem sobie o moim paskudnym ubraniu, więc zwolniłem i znów spuściłem głowę.

Kiedy zszedłem ze wzgórza, tata akurat wyjeżdżał tyłem z podjazdu. Gestem przywołał mnie do siebie, przechylił się nad siedzeniem i otworzył drzwiczki.

– Wskakuj! Przejedziemy się do miasta.

– Ale jestem tak okropnie ubrany – powiedziałem. – Mogę się najpierw przebrać?

– Co za głupstwa! Wskakuj!

Pociągnąłem za dźwignię z boku siedzenia i już chciałem je przesunąć, żeby usiąść z tyłu.

– Siadaj z przodu!

– Z przodu? – powtórzyłem.

To się nigdy nie zdarzało.

– Tak Nie mamy całego dnia. No już, wsiadaj!

Usłuchałem. Kiedy zamknąłem drzwi, wrzucił bieg i ruszył w dół.

– Rzeczywiście jesteś trochę brudny – stwierdził. – Ale jedziemy na krótko, więc nic nie szkodzi.

Zacząłem się mocować z pasem bezpieczeństwa i skupiłem się wyłącznie na tym, dopiero kiedy się zapiął, zorientowałem się, że jesteśmy już na moście.

– Mam zamiar iść na przystań rybacką. I do sklepu z płytami. Chcesz pójść ze mną?

– Tak

Prowadził, trzymając kierownicę tylko jedną ręką, druga leżała na drążku zmiany biegów, w palcach tkwił dyminyący papieros. Tata jechał tak sztywno jak zawsze.

Długo nie odzywaliśmy się do siebie.

Po lewej stronie znajdowała się stocznia Vindholmen z olbrzymimi, przypominającymi warany dźwigami i halą włókna szklanego. Parking przed zakładem był zajęty tylko w połowie. Tuż obok w cieśninie stała ogromna platforma naftowa typu Condeep, która miała być odholowana w przyszłym tygodniu.

Po przejechaniu niewielkiego tunelu w okolicy Songe tata zerknął na mnie.

– Bawiłeś się dzisiaj z Geirem? – spytał.

– Nie. Pojechali do miasta.

– No to może się z nimi spotkamy.

Znów zapadła cisza.

Przeszkadzało mi to. Tata był w takim dobrym humorze i nie zasługiwał na moje milczenie. Ale co miałem mówić?

W końcu na coś wpadłem.

– Gdzie zaparkujesz?

Spojrzał na mnie.

– Na pewno znajdziemy jakieś miejsce.

– A może na strzelnicy? Tam są zawsze miejsca w sobotę.

– Tylko w ostateczności. Sam wiesz.

Znalazł miejsce na Tyholmen. Ruszył między wysokimi drewnianymi domami, sadząc długimi krokami, musiałem podbiegać, żeby dotrzymać mu tempa. Wstydziłem się swojego brzydkiego ubrania, wyglądałem w nim jak dureń, i bacznie obserwowałem mijających nas ludzi, żeby sprawdzić, czy się gapią albo śmieją.

Na przystani rybackiej tata oglądał przeszkłone witryny, czekając na swoją kolejkę.

– Weźmiemy trochę krewetek, prawda? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– I może tego dorsza?

Nie odezwałem się.

Uśmiechnął się do mnie.

– Wiem, że nie lubisz dorszy. No, ale dorsze są dla ciebie dobre. Kiedy dorośniesz, to je polubisz.

– Raczej wątpię.

Miałem ochotę zacząć gadać i opowiadać, jak zawsze robiłem z mamą, ale z nim to nie było takie proste. Cieszyłem się jednak, że mnie ze sobą zabrał, i chciałem, żeby to zrozumiał.

Kiedy przyszła jego kolej i zaczął pokazywać ekspedientce, czego sobie życzy, inna się na niego gapiła. Gdy się zorientowała, że na nią patrzę, spuściła wzrok i wróciła do pakowania ryby, która leżała przed nią na desce. Coś w tacie w tej sytuacji, w ścisku przy ladzie, gdy tak pokazywał i rozmawiał, kazało mi myśleć, że chciałby otrząsnąć się ze wszystkiego, co go otacza. Nie ze swojego wyglądu, nie z twarzy, na której dominowała broda, nie z jasnoniebieskich oczu ani z wykrzywionych odrobinę warg, ani też z wysokiego, szczupłego ciała, chodziło o coś innego, o coś, co „wysyłał”.

– Już – powiedział, kiedy dostał resztę, a w ręku trzymał białą torbę z rybą i krewetkami. – No to idziemy.

Wśród tego szarego dnia, wśród ludzi jak zawsze w soboty zapelniających chodniki i deptaki, gdy szliśmy wzdłuż zatoki Pollen do sklepu muzycznego Musikkljønnet, kilka razy podskoczyłem obok niego, żeby zrozumiał, że się cieszę. Kiedy na mnie spojrzał, uśmiechnąłem się. Wiatr wiejący od cieśniny wzburzył mu włosy, tata szybko je przykrył.

– Potrzywasz mi przez chwilę tę torbę? – spytał już w Musikkjøret. Kiwnąłem głową i wzięłem od niego zakupy. Zaczął przeglądać płyty, szybko poruszając palcami.

Rodzice mieli zwyczaj słuchać muzyki, kiedy my z Yngvem już się położyliśmy, zwłaszcza w piątkowe i sobotnie wieczory. Często muzyka była ostatnimi dźwiękami, jakie słyszałem przed zaśnięciem. Dość często też tata nastawiał płyty, kiedy siedział sam w gabinecie. Steinar opowiadał także, że raz przyniósł do szkoły Pink Floydów i puszczał im na lekcji. Mówił o tym z szacunkiem w głosie.

– A ty nie chciałbyś wybrać dla siebie jakiejś kasety? – spytał tata nagle, nie odrywając wzroku od płyt, które miał przed sobą.

– Przecież nie mam magnetofonu.

– Możesz pożyżyć od Yngvego. No i pewnie dostaniesz własny na Gwiazdkę. Dobrze, żebyś miał już wtedy jakieś kasety. Magnetofon bez kaset nie ma sensu!

Z wahaniem przeszedłem do kaset, które nie były wystawione w skrzynkach jak płyty, tylko w gablotach wiszących na ścianie. Jedną z nich wypełniały kasety Elvise. Wybrałem sobie tę z okładką, na której siedzi uśmiechnięty, w skórzanym garniturze, z gitarą na kolanach.

Tata wziął dwie płyty, a kładąc je na ladzie, powiedział ekspedientowi, że pokażę mu, którą kasetę wybrałem. Ekspedient wziął kluczyki i podszedł ze mną do gabloty. Wskazałem mu kasetę Elvise, wyjął ją, a potem umieścił w osobnej torebeczce, tę zaś położył obok dużej torby taty.

– Nie najgorzej – ocenił tata, gdy już zśliśmy do samochodu. – Wiesz, Elvis był wielki, kiedy ja dorastałem. Mam jeszcze kilka jego starych płyt. Stoją u dziadków. Może kiedyś zabierzemy je do domu, żebyś mógł posłuchać.

– Fajnie by było. Może Yngve też by chciał.

– Pewnie sporo są dzisiaj warte – stwierdził. Zatrzymał się i wyjął z kieszeni pęk kluczy. Popatrzyłem na wielkie, niekursujące już tankowce, zacumowane w cieśninie Galtesund, od strony Tromøi. Były tak ogromne, że w porównaniu z niewielkimi wzgórzami wyglądały, jakby pochodziły z innego świata.

Tata otworzył drzwiczki z mojej strony.

– Z powrotem też mogę siedzieć z przodu? – spytałem.

– Możesz. Ale tylko dzisiaj, jasne?

– Tak

Położył torby na tylnym siedzeniu, zapalił papierosa, jeszcze zanim zapiął pas, z którym ja już zdążyłem się uporać, i uruchomił silnik. W powrotnej drodze trochę patrzyłem na okładkę kasety, a trochę przez okno. Korek wzdłuż całej ulicy Langbrygga, rozładował się dopiero tam, gdzie po jednej stronie znajdował się sklep radiowo-telewizyjny, a po drugiej punkt odbioru połowów – niskie białe murowane budynki z powiewającymi flagami. Na drugim brzegu cieśniny, przy półwyspie Skilsø, pieniały się fale, drewniane domy pięły się po zboczu od przystani promowej. Dalej były zakłady mechaniczne w Pusnes, jeszcze dalej wzdłuż brzegów wyspy rósł głównie las, za to na stałym lądzie droga biegła w górę i w dół, mijając domy i przystanie, aż do stacji benzynowej, potem były Songe i Vindholmen, i już droga na most. Wszystko lekko szarpał wiatr wiejący z południa. Znów powróciły myśli o Anne Lisbet, wywołując we mnie przygnębienie.

Może to za sprawą tej platformy naftowej, bo zamierzałem zabrać dziewczyny na most i razem z nimi oglądać jej odholowywanie. Teraz to już było niemożliwe. A może nie? Przecież Anne Lisbet jeszcze nie była w moim pokoju, a właśnie o tym marzyłem co wieczór przed zaśnięciem, marzyłem, że któregoś dnia przyjdzie, usiądzie na moim łóżku, w otoczeniu moich rzeczy; kiedy o tym myślałem, zawsze wybuchały we mnie fajerwerki radości. Anne Lisbet tutaj, u mnie!

Dlaczego nagle Eivind mógł ją odwiedzać, a ja nie? Przecież było tak fajnie!

Eivind musiał zniknąć. My z Geirem musieliśmy tam wrócić.

Ale jak to zrobić?

Pod nami cieśnina rozciągała się na wschód i na zachód. Jakiś kuter wracał na przystań, płynął blisko brzegu. Dostrzegłem postać stojącą na rufie, trzymała ster.

Tata włączył lewy kierunkowskaz i zwolnił. Zaczekał, aż przejadą dwa samochody, potem przeciął drogę i podjechał pod ostatnią górkę koło domu. Na drodze grali w piłkę Leif Tore, Rolf, Geir Håkon, Trond, Duży Geir, Geir i Kent Arne. Przyglądali się, jak wjeżdżamy na podjazd.

Kiedy wysiadłem, pozdrowiłem ich, unosząc rękę.

– Zagrasz z nami? – zawołał Kent Arne.

Pokręciłem głową.

– Idę jeść.

Po drodze do domu, akurat w miejscu, gdzie zniknęliśmy im z oczu, tata złapał mnie za rękę.

– Pokaż – powiedział. – Kurzajki jeszcze nie zeszły?

– Nie.

Puścił mnie.

– A wiesz, jak się ich pozbyć?

– Nie.

– No to ci powiem. Znam pewną starą metodę. Przyjdź później do kuchni, to wszystko ci wytłumaczę. Chcesz się ich pozbyć, prawda?

– Tak

Po powrocie do domu natychmiast wrzuciłem spodnie i sweter do kosza z praniem i przebrałem się w rzeczy, które miałem na sobie rano. Potem postawiłem na biurku kasety, opierając ją o ścianę, tak żebym mógł ją widzieć z każdego miejsca w pokoju, i dopiero wtedy poszedłem do kuchni, gdzie tata siedział nad miseczką krewetek. Ryż na mleku perkotał na kuchence, mama w salonie podlewała kwiatki.

– Zdążymy, zanim usiądziesz do jedzenia – powiedział tata. – To właściwie trochę czary. Moja babcia tak robiła, kiedy byłem mały. I zadziało. Miałem mnóstwo kurzajek na rękach. Po kilku dniach całkiem zniknęły.

– A co ona zrobiła?

– Zaraz zobaczysz. – Wstał, otworzył lodówkę i wyjął z niej jakąś białą paczkę, położył ją na stole i rozwinął. W środku był bekon.

– Najpierw musisz posmarować palce bekonem, a potem pójdziemy do ogrodu i zakopimy bekon w ziemi. Za kilka dni kurzajki znikną.

– Naprawdę?

– Tak! Właśnie to jest takie dziwne. Ale znikną, przekonasz się. Dawaj łapy!

Wyciągnąłem jedną rękę. Ujął ją, wziął plasterbek bekonu i starannie posmarował mi nim wszystkie palce, grzbiet i wnętrze dłoni.

– Teraz druga.

Wyciągnąłem drugą rękę, wziął kolejny plasterek, powtórzył całą operację.

– Wszystkie palce nasmarowane? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Wobec tego wychodzimy. Bierz, to ty musisz wynieść bekon i go zakopać.

Zszedłem za nim po schodach, włożyłem kalosze, nie dotykając ich dłońmi, bo trzymałem w nich plasterki bekonu. Tata ze spadłem w rękę okrążył dom i wszedł do warzywnika, aż pod płot od strony lasu.

Wbił szpadel w ziemię, docisnął go stopą i zaczął kopać. Po kilku minutach dół był gotowy.

– Wrzuc tutaj ten bekon – polecił.

Wrzuciłem, zasypał dziurę i wróciliśmy do domu.

– Mogę teraz umyć ręce? – spytałem.

– Tak, tak. To ten zakopany bekon niszczy kurzajki.

– A ile trzeba czekać?

– Hm... Tydzień albo dwa. To zależy, jak silna jest twoja wiara.

Po obiedzie wyszedłem na drogę. Nikt już nie grał w piłkę, ale Geir Håkon, Kent Arne i Leif Tore jeszcze zostali, próbowali wbiegać na mur ciągnący się wzdłuż drogi, chcąc się przekonać, jak wysoko wbiegną, zanim spadną. Przy odpowiednim rozpędzie udawało im się zrobić po murze trzy albo i cztery kroki, zanim siła grawitacji ściągnęła ich na ziemię. Jeśli się wbiegło za wysoko, upadało się wprost na plecy, więc było to również ćwiczenie z umiejętności zaciskania zębów. Byłem bardzo ostrożny za pierwszym, zresztą jedynym razem, ponieważ Geir Håkon zaraz po mnie okazał się zbyt śmiały i runął na trawę z głuchym łoskotem, całe powietrze uszło mu z płuc, wypełnił je na powrót z drżącym, przeciągłym zawodzeniem, walcząc ze łzami, co odebrało wszystkim ochotę na dalsze próby.

Geir Håkon zdołał się podnieść i odwrócił się tyłem do nas. Kiedy odzyskał oddech i znów stanął do nas przodem, wszyscy zobaczyli, że płakał, ale nikt nic nie powiedział.

Dlaczego?

Gdyby chodziło o mnie, na pewno by skomentowali.

– No to co teraz robimy? – spytał Kent Arne.

Ze szczytu wzgórza zjeżdżał właśnie na rowerze Kleppe. Był w czarnej kurtce i czarnej czapce, trochę rzucało nim na boki, a obwisłe policzki majtały mu się prawie tak jak dwie torby z B-Maxu zawieszane po obu stronach kierownicy. Mieszkał w domu najbardziej oddalonym od naszych i był ojcem Håvarda, chłopaka, który miał już siedemnaście lat. Bardzo go podziwialiśmy, ale rzadko się pokazywał. O ojcu krążyły plotki, że jest alkohikiem. Gdy teraz

skręcił na drogę, na której staliśmy, dostrzegłem swoją szansę. Przebiegłem kawalek obok niego, udając, że zaglądam do toreb.

– W tych torbach jest piwo! – zawołałem do kolegów i zatrzymałem się.

Kleppe nawet na mnie nie spojrział. Ale oni się śmiali.

Dzień później w pokoju Geira pisaliśmy list miłosny do Anne Lisbet. Dom Geira był identyczny jak nasz. Miał takie same pokoje, które wychodziły na te same strony świata, lecz mimo to różnice wydawały się wręcz nieskończone, bo u nich nadrzędna była użyteczność. Fotele miały być przede wszystkim wygodne, a nie służyć do ozdoby, a ta całkowicie pozbawiona kurzu, niemalże matematyczna czystość, która nadawała charakter naszym pomieszczeniom, u nich pozostawała kompletnie nieobecna. Stoły i podłogi zapełniały przedmioty, które w danym momencie ich zajmowały. Ich życie było w pewnym sensie zintegrowane z domem. Pewnie podobnie jak u nas, tyle że oni żyli inaczej. Ojcu Geira nawet przez myśl by nie przeszło, że mógłby mieć wyłączne prawo do swoich narzędzi, przeciwnie, w jego pojęciu właściwe wychowanie polegało na angażowaniu Geira i Gro jak najintensywniej w to, co akurat robił. Na dole mieli warsztat stolarski, przy którym heblowali, wbijali gwoździe, kleili i szlifowali, a kiedy na przykład zachciało nam się zbudować drewniany samochód, poruszający się siłą grawitacji, to do ojca Geira zwróciliśmy się o pomoc. Ich ogród nie był piękny i symetryczny jak nasz po latach pracy taty, lecz został urządzony bardziej przypadkowo, również według zasad użyteczności, sporo miejsca zabierał na przykład kompost, chociaż niezbyt przyjemnie wyglądał, podobnie jak zwyczajne, przypominające wręcz chwasty ziemniaki, zajmujące duży obszar za domem, tam gdzie u nas były wymierzone pod sznurektrawniki okrągłe rabaty z rododendronami.

Pokój Geira był w tym samym miejscu co mój, jego siostra Gro miała swój pokój tam gdzie Yngve, a rodzice pomiędzy nimi, tak jak u nas. Geir mógł swobodnie chodzić po wszystkich pomieszczeniach, biegał po schodach, jak chciał, a kiedy miał ochotę na kanapkę, po prostu wyjmował produkty z lodówki i ją sobie szykował. Taka sama swoboda dotyczyła również mnie, kiedy tam byłem, też mogłem biegać po pokojach, jeśli chciałem, i zrobić sobie kanapkę z Geirem. Często siedzieliśmy w salonie, słuchaliśmy płyt Knutsena i Ludvigsena^[3], śmiejąc się z tych piosenek albo z Geira, który nie dość, że znał wszystkie teksty na pamięć, to jeszcze umiał je zaśpiewać tak jak oni. Geir nie potrafił dobrze grać w piłkę nożną, zresztą słabo mu szło w każdej grze w piłkę, coś nie tak było u niego z koordynacją ruchów, ale też i brakowało mu zapału. Nigdy się nie zdarzało, żeby aż płonął z chęci do gry, jak często ja, więc z samej istoty obce mu było uczucie pojawiające się po całym długim popołudniu na boisku, kiedy robiło się ciemno i wszyscy się rozchodzili, owo wielkie pragnienie, by jeszcze chociaż trochę pograć. Niezbyt dobrze też radził sobie w szkole. Marnie czytał, słabo liczył, na lekcji rzadko potrafił opowiedzieć, co czytał lub co słyszał, lecz wcale się tym nie przejmował, dla niego piłka i szkoła nie były najważniejsze. Świetnie umiał naśladować i przedrzeźniać innych, toteż na przerwach często zbierały się wokół niego grupki, które chciały go posłuchać. Podobało mu się to. Śmiech kolegów go prowokował, kazał mu posuwać się coraz dalej, coraz śmieiej, jakby był czymś w rodzaju paliwa, lecz Geir również od takiego uznania się nie uzależnił. Miał swoje własne osobne światy. Na przykład rysowanie. Potrafił cały dzień spędzić u siebie w pokoju na

rysowaniu albo na budowaniu modeli samolotów, bo tym też często się zajmował. Śmiał się głośno, rechotliwie, czasami niemal histerycznie. Lubił puszczać bąki, może nawet najbardziej ze wszystkiego, w każdym razie dużo w tej dziedzinie eksperymentowaliśmy i dużo o tym gadaliśmy.

Miał starszą siostrę, Gro, i może z tego powodu świat dziewczyn początkowo nie fascynował go tak jak mnie. Ale do pomysłu napisania listu miłosnego się zapalił. Ja miałem na jednej kartce napisać list, a on drugą ozdobić rysunkiem. Na rysunku był chłopak, który deptał serce, a przyglądało się temu dwóch innych chłopców. Pod spodem czerwonym flamastrem napisałem: „Eivind miażdży nasze serca”. Sam list miał pięć linijek

*Kochana Anne Lisbet
Mamy złamane serca
Wróć do nas
Słyszysz
Tak bardzo Cię kochamy*

Rysunku z listem nie mogliśmy jej wręczyć, bo przecież mogła się nimi pochwalić, może nawet przed kimś w szkole, a wtedy wszyscy by się z nas wyśmiewali. Postanowiliśmy je tylko jej pokazać. Z listem i rysunkiem, zrolowanymi, jakby to były dwa traktaty, wspięliśmy się po ścianie od strony domu pani Hjellen i stanęliśmy pod jej oknem. Rzucaliśmy w nie kamykami, aż w końcu wyjrzała. Najpierw pokazałmi jej jedno i drugie, a kiedy się uśmiechnęła, podarliśmy te kartki, podeptaliśmy i odeszliśmy stamtąd. Teraz przynajmniej wiedziała, co czujemy. Teraz wszystko zależało od niej.

Na skrzyżowaniu Geir się zatrzymał.

– Zajrzę do Vemunda – powiedział. – Idziesz ze mną?

Pokręciłem głową. Po drodze do domu pomyślałem, że ja też powinienem zajrzeć do jakiegoś nowego kolegi. Może do Daga Magnego? Ale to by wyglądało dziwnie, więc po prostu wróciłem do domu. Położyłem się na łóżku i trochę czytałem, dopóki nie przyszedł Yngve z pytaniem, czy nie pogralbym w piłkę na ulicy. Chętnie się zgodziłem. Przecież najbardziej ze wszystkiego lubiłem robić coś z Yngvem. Najczęściej były to rozmaite zajęcia w domu, graliśmy w jakieś gry albo słuchaliśmy razem muzyki, na zewnątrz natomiast się rozdzielaliśmy, on spędzał czas ze swoimi kolegami, a ja ze swoimi, z wyjątkiem wakacji, kiedy razem się kąpaliśmy, graliśmy w piłkę, ping-ponga albo badmintona, i w sytuacjach takich jak ta, kiedy Yngve się nudził, a nikogo oprócz mnie nie było w pobliżu.

Ponad godzinę kopaliliśmy piłkę jeden do drugiego. Przez pewien czas Yngve strzelał, a ja bronilem i trenowałem wykopy, potem ćwiczyliśmy dośrodkowania.

Moje kurczaki zniknęły, jakby naprawdę stał się cud. Coraz bardziej się zmniejszały, aż w końcu, jakieś trzy tygodnie później, zniknęły bez śladu. Skóra na dłoniach całkiem się

wyglądała i wkrótce aż trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś wyglądała inaczej.

Ale Anne Lisbet nie wróciła. Dawniej piszczała z radości, kiedy zrywałem jej czapkę, ciągnąłem za szalik albo zasłaniałem oczy od tyłu, ale teraz irytowała się, albo wręcz złościła. W sercu mnie kłuło, kiedy widziałem ją i Solveig, jak idą razem z Eivindem i Geirem B. do autobusu. Co wieczór przed zaśnięciem wyobrażałem sobie, jak je ratuję z opresji lub w inny sposób objawiam się w świetle, które umożliwi jej zrozumienie popełnionego błędu, a wtedy do nas wróci. Czasami wyobrażałem sobie również własną śmierć i ten ogromny smutek, który ją wtedy wypełni, a także żal, gdy pojmie, że to, czego tak naprawdę pragnęła, a mianowicie być z mną, nie jest już możliwe, ponieważ leżę w trumnie obłożonej wieńcami. Myśl o śmierci w ogóle była w tym czasie dość słodka, bo nie tylko Anne Lisbet powinna żałować tego, co zrobiła, lecz również tata. Miał stać zapłakany przed trumną przedwcześnie zmarłego dziecka. Całe osiedle przysłoby na pogrzeb, wszystkie opinie o mnie należałoby zmienić, bo już nie żyłem, i pierwszy raz ukazałbym się im taki, jaki byłem naprawdę. Tak, myśl o śmierci niosła radość i słodycz, dawała wielką pociechę. Ale chociaż wciąż było mi przykro z powodu tego, co się stało z Anne Lisbet, to ona przecież nie zniknęła, codziennie widywałem ją w szkole, a dopóki tam była, istniała też nadzieja, chociaż niewielka. Ów mrok, jaki potrafiło we mnie wzbudzić myślenie o niej, należał zatem do zupełnie innej kategorii aniżeli ten, który niekiedy mnie nachodził, przygnębiał i mi ciążył, a który, jak się okazało, znał również Geir. Któregoś wieczoru siedzieliśmy u niego w pokoju, a on spytał, co mi jest.

– Nic specjalnego – odparłem.

– Przecież ty się w ogóle nie odzywasz.

– A, o to ci chodzi. Po prostu okropnie mi smutno.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Bez powodu. Po prostu jestem smutny.

– Ja też czasami tak mam.

– Naprawdę?

– Tak

– Smutno ci, chociaż nic konkretnego się nie stało?

– Tak. Ja też się tak czasami czuję.

– Nie wiedziałem, że inni też mogą się tak czuć.

– No to tak to nazwijmy. „Tak”. Będziemy tak mówić, kiedy to pocujemy. Możemy mówić: „Czuję się teraz tak”, a ten drugi z od razu będzie wiedział, o co chodzi.

– Bardzo dobry pomysł – stwierdziłem.

Pojawiały się również inne nowe słowa. Na przykład to, którego nauczył mnie Yngve – powiedział mi, że ruchanie nazywa się tak naprawdę „stosunek”. Ta nowa wiedza była tak wstrząsająca, że zabrałem Geira aż na Górę i dopiero tam odważyłem się mu to przekazać. „To się nazywa s t o s u n e k – powiedziałem – ale nie mów nikomu, że wiesz to ode mnie. Obiecuj!”. Obiecał. Poza tym coraz więcej czasu spędzał u Vemunda, a Vemund zaczął nawet niekiedy przychodzić do niego. Nie mogłem tego zrozumieć i powiedziałem mu o tym wprost. „Dlaczego

się bawisz z Vemundem? Przecież jest gruby, głupi i najgorszy w klasie”. Geir nigdy nie odpowiedział mi wyraźnie. Wyjaśnił tylko, że po prostu lubi tam być. „Ale dlaczego? – chciałem wiedzieć. – Co tam jest takiego, że tak fantastycznie się bawisz?”. „Nic – odparł Geir – głównie siedzimy i rysujemy...”. Nawet na lekcjach, kiedy mieliśmy zrobić coś w parach, czasami zwracał się do Vemunda, zamiast do mnie, jak automatycznie zawsze robił wcześniej. Parę razy pozostawiałem z nim do Vemunda, również po to, żeby być blisko Anne Lisbet, ale nudziły mnie ich zajęcia, a kiedy zaproponowałem coś innego, postawili się i nie chcieli się zgodzić. No to dobrze, skoro miał ochotę się bawić z najgłupszym chłopakiem w klasie, to niech tak będzie. Poza tym wciąż byliśmy sąsiadami, wciąż często po mnie przychodził po południu, a dodatkowo tej wiosny zaczęliśmy trenować piłkę nożną, jak prawie wszystkie dzieci z naszej ulicy. Treningi odbywały się w Hove i mama z matką Geira woziły nas tam na zmianę. Przed rozpoczęciem zajęć mama kupiła mi strój treningowy, mój pierwszy. Wiązałem z nim wielkie nadzieje, wyobrażałem sobie niebieski, błyszczący dres Adidasa, taki jaki miał Yngve, albo jeszcze lepiej Pумы, a przynajmniej Hummela albo Admirala. Ale ten, który przyniosła mi mama, nie miał w ogóle żadnej marki. Był brązowy z białymi paskami, i chociaż uważałem, że to brzydki kolor, wcale nie on był najgorszy. Najgorsze, że materiał nie był błyszczący, lecz matowy, jakby trochę szorstki, i nie zwiślał luźno, tylko obcisłał ciało, więc tyłek sterczał mi w nim jeszcze bardziej niż zwykle. Kiedy go wkładałem, nie potrafiłem przestać o tym myśleć. Nawet gdy wybiegałem na boisko i zaczynał się trening, nie myślałem o niczym innym. Tyłek mam wypięty jak balon, myślałem, biegnąc za piłką. Mam taki brzydki brązowy dres. Wyglądam w nim jak idiota. Idiota, idiota, idiota.

Nigdy jednak nie powiedziałem o tym mamie. Udałem, że się cieszę, kiedy go dostałem, bo dużo kosztował. Mama chodziła po mieście i szukała go dla mnie, więc gdybym oświadczył, że mi się nie podoba, po pierwsze, pomyślałaby, że jestem niewdzięczny, a po drugie, byłoby jej przykro, że nie kupiła mi właściwego. A tego nie chciałem. „O, jaki ładny – powiedziałem. – Świetny. Właśnie taki chciałem mieć”.

Na treningach tej wiosny najbardziej dziwiła mnie ta wielka różnica między tym, kim byłem w środku, a tym, kim byłem na boisku. W środku po brzegi wypełniały mnie uczucia i myśli o strzelaniu bramek i dryblowaniu, o tym moim strasznym dresie, o wielkim tyłku i – jako uzupełnienie tego obrazu – o wystających zębach. Natomiast na boisku, gdy po nim biegałem, w istocie pozostawałem kompletnie niewidoczny. Trenowało mnóstwo dzieci, ogromna chmara rąk, nóg i głów uganiająca się za piłką, trochę jak rój komarów; trenerzy znali imiona zaledwie garstkę, przypuszczalnie dzieci z najbliższego sąsiedztwa, własnych synów i ich przyjaciół. Pierwszy raz w swojej świadomości wyróżniłem się z tłumu pewnego wieczoru, gdy ktoś kopnął piłkę tak mocno, że poleciała w las za bramką i tam zniknęła, wszystkich więc otkomenderowano do szukania. Dwie, może trzy minuty intensywnych poszukiwań i ciągle nikt jej nie znalazł. Nagle zobaczyłem ją przed sobą, tak ładnie jaśniała bielą o zmierzchu, wciśnięta pod krzak. Wiedziałem, że mam przed sobą szansę, powinienem zawołać: „Znalazłem!”, i zanieść ją trenerowi, tak by przypadła mi zasłużona chwała, ale się nie ośmieliłem. Po prostu kopnąłem ją na boisko. „Jest piłka”, zawołał ktoś. „A kto ją znalazł?”, spytał ktoś inny. Wyszedłem z lasu razem ze wszystkimi i w ogóle się nie odezwałem, pozostało to więc tajemnicą.

Za drugim razem sytuacja była podobna, tylko jeszcze bardziej mi pochlebiała. Biegałem w grupce chłopaków w odległości jakichś dziesięciu, dwunastu metrów od bramki, dostaliśmy podanie, wszystko zmieniło się w płataninę rąk i nóg, a gdy nagle piłka znalazła się w odległości metra ode mnie, kopnąłem ją z całej siły i wpadła do bramki tuż przy słupku.

– Gol! – krzyknął ktoś.

– Kto strzelił?

Nie odezwałem się, stałem nieruchomo, nawet nie drgnąłem.

– Kto strzelił? Nikt? – zawołał trener. – Aha, no to gramy dalej!

Może sądzono, że to była bramka samobójcza i dlatego nikt się nie przyznał. Ale chociaż nie miałem odwagi powiedzieć, że to ja strzeliłem, był to mój pierwszy gol i świadomość tego jaśniała we mnie do końca treningu, a także w samochodzie wiozącym mnie do domu. Już kiedy bieглиśmy do auta, w którym czekała mama, zawołałem z daleka:

– Strzeliłem gola!

– To świetnie – powiedziała mama.

Po powrocie do domu, kiedy usiadłem przy stole w kuchni, żeby zjeść kolację, jeszcze raz to powtórzyłem.

– Strzeliłem dzisiaj gola!

– Graliście mecz? – spytał Yngve.

– Nie, jeszcze nie gramy. To był trening.

– No to przecież nic takiego – stwierdził Yngve.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Tata spojrział na mnie tym swoim twardym, zirytowanym wzrokiem.

– Nie możesz się mazać z byle powodu! – oświadczył. – Przynajmniej trochę musisz umieć wytrzymać.

Wtedy rozpłakałem się już na dobre.

Płacz przychodził mi z wielką łatwością, co stanowiło duży problem. Płakałem za każdym razem, gdy ktoś na mnie krzyczał lub mnie strofował, a nawet kiedy się spodziewałem, że tak będzie. Najczęściej chodziło o tatę, płakałem, gdy tylko podniósł głos, chociaż wiedziałem, że on tego nie toleruje. Nic nie mogłem na to poradzić. Jeśli tylko zmieniał ton, co zdarzało się często, od razu wybuchiałem płaczem. Mama nigdy nie doprowadzała mnie do płaczu. W całym moim długim dzieciństwie stało się tak tylko dwa razy. Do obu tych sytuacji doszło już po tym, jak zacząłem trenować piłkę. Pierwsza była bardziej wstrząsająca. Stałem w lesie z całą gromadą, trochę jakby w kręgu, byli tam Yngve, Edmund z jego klasy, a oprócz tego Dag Lothar, Steinar, Leif Tore i Rolf. Gadaliśmy. Od strony zatoki Ubekilen dochodził krzyk mew, niebo wciąż było jasne, chociaż nad ziemię pod drzewami zaczął już wpełzać mrok. Rozmawialiśmy o szkole, o nauczycielach, wagarowaniu, zostawianiu po lekcjach i przychodzeniu na zerową godzinę. Rozmowa zesłała na kogoś bardzo zdolnego w klasie Yngvego. Długo tylko się przysłuchiwałem, ciesząc się towarzystwem starszych chłopców, nagle jednak pojawiła się luka, w którą mogłem się wcisnąć.

– A ja jestem najlepszy w mojej klasie – oświadczyłem. – W każdym razie z czytania, pisania i przyrody. I z nauki o najbliższym otoczeniu!

Yngve spojrzął na mnie.

– Nie przechwalaj się, Karl Ove!

– Wcale się nie przechwalam. Mówię prawdę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Przecież nauczyłem się czytać, kiedy miałem pięć lat. Szybciej niż ktokolwiek inny w klasie. A teraz czytam płynnie. Edmund jest na przykład starszy ode mnie o cztery lata, a w ogóle nie umie czytać! Sam mówiłeś! To znaczy, że jestem od niego lepszy!

– Zamknij się i skończ te przechwałki! – powstrzymał mnie Yngve.

– No ale przecież to prawda. Co nie, Edmund? To nieprawda, że nie umiesz czytać? Że chodzisz na douczki? Twoja siostra jest w mojej klasie i też nie umie czytać. A przy najmniej słabo. To nie jest kłamstwo, co nie?

No i stało się coś dziwnego. Edmundowi do oczu napływały łzy. Nagle się odwrócił i ruszył pod górę.

– Co ty wyprawiasz! – syknął do mnie Yngve.

– Ale to przecież prawda! – upierałem się. – Jestem najlepszy w swojej klasie, a on w swojej najgorszy.

– Wracaj do domu, i to już! Nie pozwalam ci tutaj z nami zostać!

– Ty tu nie rządzisz!

– Zamknij się i idź do domu! – Położył mi ręce na ramionach i mocno mnie odepchnął.

– Dobrze, już dobrze. – Ruszyłem pod górkę. Przeciąłem drogę, trzasnąłem drzwiami, rozebrałem się. Przecież mówiłem prawdę, więc dlaczego mnie popchnął?

Ze łzami w oczach położyłem się na łóżku i zacząłem czytać. To było niesprawiedliwe. Powiedziałem prawdę! Niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe!

Mama wróciła z pracy, zrobiła herbatę i przygotowała kolację. Yngve wciąż był na dworze, więc zjedliśmy tylko we dwoje. Spytała, czy płakałem, więc się przyznałem, chciała wiedzieć dlaczego, a ja na to, że Yngve mnie popchnął. Obiecała, że z nim porozmawia. Pokazałem jej list, który napisałem do dziadka, jej ojca, stwierdziła, że dziadek bardzo się ucieszy, i dała mi kopertę. Włożyłem do niej list, a ona napisała na niej nazwisko z adresem i przyrzekła, że następnego dnia go wyśle. Potem poszedłem się już położyć. Kiedy czytałem w łóżku, usłyszałem, że Yngve wraca do domu, jego kroki na schodach i w kuchni, gdzie siedziała mama. Teraz mu powie, że nie wolno mu mnie popychać ani mówić, że mam się zamknąć, pomyślałem i wyobraziłem sobie spuszczoną głowę Yngvego. Nagle ich głosy i kroki rozległy się w korytarzu i otworzyły się drzwi do mojego pokoju.

Od razu zobaczyłem, że mama jest zła, więc usiadłem.

– To prawda, co mówi Yngve? – spytała. – Wyśmiewałeś się z Edmunda, dlatego że nie umie czytać?

Kiwnąłem głową.

– W zasadzie tak – przyznałem.

– Nie rozumiesz, że Edmundowi było przykro? Nie rozumiesz, że tak nie wolno o nikim mówić?

Zrobiła kilka kroków w moją stronę, stając prawie tuż przy mnie. Oczy miała zmrużone, głos podniesiony i ostry. Yngve stał z tyłu, ale wzrok wbijał we mnie.

– Rozumiesz to, Karl Ove? – powtórzyła.

– On płakał – włączył się Yngve. – Przez ciebie. Rozumiesz?

Nagle zrozumiałem. Słowa mamy bezlitośnie obnażyły to, co zaszło. Im było żal E d m u n d a, chociaż był o cztery lata starszy, bo zrobiło mu się przykro, i to przeze mnie.

Rozpłakałem się jak nigdy wcześniej.

– AAAAAAAAA! – szlochałem. – AAAAAAAAA!

Mama się nachyliła i pogłaskała mnie po policzku.

– Przepraszam, mamó – łkałem. – Nigdy więcej taknie zrobię. Nigdy, przenigdy! Przyrzekam, z całego serca!

Mój głośny płacz i przeprosiny, bardziej wykrzywane niż wypowiedziane, sprawiły, że mama złagodniała. Co innego Yngve, w jego wypadku musiało minąć kilka dni, żeby mój wybryk odszedł w zapomnienie. A przecież Edmund wcale nie był dla niego kimś ważnym, nie zaliczał się do jego najbliższych przyjaciół, po prostu był kolegą z klasy. Trochę to rozumiałem, a trochę nie.

Drugi raz mama doprowadziła mnie do płaczu, kiedy razem wybraliśmy się wieczorem na spacer. Chciała coś kupić na Finie i zdecydowała się iść piechotą, zamiast jechać samochodem, a ja tak bardzo chciałem być z nią sam, że postanowiłem jej towarzyszyć. Wziąłem latarkę, bo na ścieżce mogło być ciemno, ale zanim tam w ogóle dotarliśmy, poświeciłem w ciemne okno mijające po drodze domu.

– Nie rób tego! – syknęła mama. – Przecież tam ktoś mieszka. Nie możesz świecić ludziom w okna!

Natychmiast skierowałem latarkę w dół, kilka sekund walczyłem z płaczem, ale musiałem się poddać i lzy trysnęły mi z oczu przy wtórze łkań i szlochów.

– Aż tak przykro ci się zrobiło? – zdziwiła się mama. – Przecież musiałam ci zwrócić uwagę. Zachowałeś się niegrzecznie.

Płakałem nie dlatego, że zostałem skarcony, tylko dlatego, że zrobiła to mama.

Ale przy najmniej nie złościły jej moje lzy.

Poza domem nie płakałem prawie wcale. Oczywiście, kiedy się uderzyłem, lzy napływały mi do oczu, tego nie dało się powstrzymać, wszyscy w takich sytuacjach płakali. To, że nikt nie dzwonił do naszych drzwi, żeby się ze mną zobaczyć, miało związek z innymi rzeczami, niezależnymi ode mnie. Dużo się kłóciłem z chłopakami, zwłaszcza z Leifem Torem, nie zgadzaliśmy się w mnóstwie spraw, również w tym, kto ma rządzić, i chociaż tak samo nie ustępowaliśmy, to z nim wszyscy chcieli się bawić, a ze mną nie. Dopóki było nas wielu, na przykład gdy budowaliśmy szałas w świerkowym lesie albo graliśmy w piłkę na boisku, nie rzucało się to w oczy, ale gdy byliśmy we trzech albo czterech, stawało się wyraźne. Również w towarzystwie starszych od siebie, na przykład Daga Lothara, nie miałem problemów, wtedy po prostu przyklejałem się do niego, śledziłem wszystkie jego ruchy, nie protestowałem, nie

mówiłem, że wcale nie jest tak, tylko inaczej, i przychodziło mi to całkiem naturalnie, był przecież o rok starszy. Geirowi powiedziałem raz, że Dag Lothar rządzi mną, ja rządę Geirem, a Geir rządzi Vemundem. Rozzłościł się wtedy. Stwierdził, że wcale nim nie rządę. Właśnie, że tak upierałem się, to ja decyduję, co będziemy robić. „Ale m n a nie rządzisz”, oświadczył Geir. Spytałem: „A jaka to różnica? Przecież powiedziałem, że Dag Lothar rządzi mną, a ty rządzisz Vemundem, więc to chyba nie takie ważne, że ja rządę tobą”. Najwyraźniej jednak było ważne, bo twarz Geira się ściągnęła w ów charakterystyczny dla niego sposób, każdym swoim ruchem wyrażał niechęć i wkrótce sobie poszedł. Inni obrażali się o jeszcze mniej istotne drobiazgi, jakna przykład wtedy, gdy staliśmy na drodze pewnego wczesnego popołudnia po szkole, sami na osiedlu, Geir Håkon, Kent Arne, Leif Tore i ja, a drogą przejechała wielka ciężarówka z ładunkiem kamieni odłupanych przy wyładunku skał gdzieś wyżej.

– Widzieliście? – zawołałem. – To był mercedes!

Nie obchodziły mnie samochody, łodzie ani motocykle, w ogóle się na nich nie znałem, ale ponieważ wszyscy inni się nimi interesowali, musiałem od czasu do czasu się w to włączyć, tylko po to, by pokazać, że też mam jakieś pojęcie.

– To wcale nie był mercedes – zaprotestował Geir Håkon. – Mercedes nie robi ciężarówek

– A nie widziałeś tego znaczka? – spytałem.

– Kompletnie już zgłupiałeś? To wcale nie był znaczek Mercedesa.

– Właśnie że był.

Geir Håkon prychnął. Jego puciołowate policzki na moment jeszcze bardziej się wydeły.

– Poza tym Mercedes produkuje ciężarówki – upierałem się. – Czytałem o tym. Tak napisali w jednej mojej książce.

– Chciałbym zobaczyć tę książkę – powiedział Geir Håkon. – Kłamiesz, aż się kurzy. Kompletnie się nie znasz na ciężarówkach.

– A ty się znasz? Tylko dlatego, że twój ojciec jeździ maszynami budowlanymi?

– Właśnie tak

– Oho, ho – zakpiłem. – Wydaje ci się też, że znasz się na nartach zjazdowych, tylko dlatego, że ojciec ci takie kupił, ale nie potrafisz na nich jeździć. Jesteś niezdarą na nartach. Po co ci taki sprzęt, skoro nie umiesz z niego korzystać? Wszyscy mówią, że jesteś rozpieszczony. I rzeczywiście jesteś. Dostajesz wszystko, co tylko ci się przyśni.

– Wcale nie. A ty jesteś zazdrosny.

– Dlaczego miałbym być zazdrosny o ciebie?

– Mógłbyś już przestać, Karl Ove! – włączył się Kent Arne.

Geir Håkon odwrócił się ode mnie nie tylko twarzą, lecz całym ciałem.

– Dlaczego ja mam przestać, a nie Geir Håkon?

– Ponieważ Geir Håkon ma rację – wyjaśnił Kent Arne. – To nie był mercedes. I wcale nie on jeden ma narty zjazdowe. Ja też mam takie.

– Tylko dlatego że twój ojciec nie żyje. Dlatego mama wszystko ci kupuje.

– Wcale nie dlatego. Chce, żebym je miał. No i stać nas na to.

– Przecież twoja mama pracuje w sklepie, a tam się dużo nie zarabia.

– Uważasz, że lepiej być n a u c z y c i e m? – włączył się teraz Leif Tore. – Myślisz, że nie widzieliśmy tego waszego murku? Rozpada się i pełno w nim szczelin, bo twój ojciec nie wiedział, że potrzebne jest zbrojenie. Murował samym cementem! Jak można być tak głupim?

– No i wydaje mu się, że jest kimś, bo siedzi w zarządzie gminy – dodał Kent Arne. – Jak przejeżdża, to nie chce mu się nawet podnieść ręki, kiedy się z nami wita. Unosi tylko jeden palec. Więc się zamknij.

– Dlaczego mam się zamknąć?

– Właściwie nie musisz. Możesz tu sobie stać i pleść bzdury jak zawsze, my w każdym razie nie będziemy się z tobą bawić.

Poszli sobie.

Nasze gniewy nigdy nie trwały długo, już kilka godzin później znów się bawiłem z chłopakami, lecz mimo wszystko takie rzeczy się zdarzały. Coraz częściej znajdowałem się w sytuacjach, w których zostawałem przyparty do muru, coraz częściej koledzy odchodzili, kiedy się zjawiałem, również Geir, a czasami uświadamiałem sobie, że wręcz się przede mną chowają. Na naszym osiedlu, kiedy ktoś coś o kimś powiedział, natychmiast powtarzali to inni i nagle mówili o tym wszyscy. O mnie mówiono, że zawsze wszystko wiem najlepiej i że stale się przechwalam. Rzeczywiście wiedziałem najlepiej, wiedziałem o wiele więcej niż rówieśnicy, i co, miałem udawać, że jest inaczej? Kiedy coś wiedziałem, to wiedziałem, ponieważ taka była prawda, a jeśli chodzi o przechwałki, to wszyscy nieustannie się przechwalali. Na przykład Dag Lothar, którego wszyscy lubili, czy on nie zaczynał co drugiego zdania od słów: „Nie żebym się chwalił, ale...”, i nie opowiadał o czymś, co zrobił albo co ktoś mu powiedział?

Tak właśnie tak było. Nie chodziło więc o to, co robiłem, lecz jaki byłem. No bo dlaczego Rolf zaczął mnie nazywać „zawodowcem”, kiedy graliśmy w piłkę na drodze? Przecież nie zrobiłem nic specjalnego. „Tobie się wydaje, że tak świetnie grasz, co nie, zawodowcu?”. A ja tylko mówiłem, jak powinno być, dlaczego miałem nie mówić, skoro trenowałem nogę i naprawdę w i e d z i a ł e m? Wiedziałem, że nie powinniśmy gromadą uganiać się za piłką, tylko się rozdzielić, a potem dośrodkowywać albo dryblować, a nie grać w takim zamieszaniu.

Ale również tej wiosny miałem ostatnie słowo. Bo kiedy plan lekcji w szkole się zmienił w związku z przygotowaniami do zakończenia roku i Pani rozdała zeszyty ze sztuką, którą mieliśmy wystawiać w ten najważniejszy, czyli ostatni dzień roku szkolnego, to kto dostał główną rolę, jak nie ja?

Nie Leif Tore, nie Geir Håkon, nie Trond i nie Geir.

Tylko ja.

Ja, ja, ja!

Żaden z nich nie zdołałby nauczyć się na pamięć tylu kwestii, z chłopców mogliśmy sobie poradzić tylko ja i Eivind, i może jeszcze Sverre, a Pani w końcu wybrała mnie, i wcale nie przy padkiem.

Tak się ucieszyłem, kiedy to ogłosiła, że nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Próby mieliśmy codziennie przez cały ostatni tydzień i codziennie znajdowałem się w centrum uwagi wszystkich w klasie, również Anne Lisbet. Kiedy wreszcie przyszedł dzień zakończenia roku, z przepiękną słoneczną pogodą, zjawili się też wszyscy rodzice. Odświętnie ubrani, siedzieli na krzesłach pod ścianą, robili zdjęcia, w ciszy wysłuchiwali naszych występów, a potem głośno klaskali.

Później graliśmy na fletach i śpiewaliśmy, dostaliśmy świadectwa, Pani życzyła nam miłych wakacji, i w końcu pobiegliśmy do samochodów.

Ze świadectwem w ręku stałem z Geirem niecierpliwie i czekałem na mamę przy jej garbusie. Przyszła razem z Martha, rozmawiały i śmiały się, mnie i Geira zauważyły dopiero, gdy podszły na odległość kilku metrów.

Mama miała beżowe spodnie, rdzawoczerwoną bluzę z lekko podwiniętymi rękawami i jasnobrązowe sandały. Włosy opadały jej na plecy. Niedawno skończyła trzydzieści dwa lata. Martha, w brązowej sukience, była o dwa lata starsza.

Były młodymi kobietami, ale my o tym nie wiedzieliśmy.

Mama długo szukała w torebce kluczyków do samochodu.

– Świetnie się spisaliście – pochwaliła nas Martha.

– Dziękuję – powiedziałem.

Geir się nie odezwał, tylko zmrużył oczy przed słońcem.

– No, wreszcie je mam – oświadczyła mama. Otworzyła drzwi, wsiedliśmy do samochodu, mamy z przodu, dzieci z tyłu. Mamy zapaliły papierosy. W blasku słońca pojechaliśmy do domu.

Tego wieczoru stałem w drzwiach sypialni rodziców i obserwowałem, jak mama suszy włosy suszarką. Czasami, kiedy nie było taty, lazałem za nią po całym domu i zanudzałem ją swoim paplaniem. Teraz milczałem; świszczący szum uniemożliwiał rozmowę, więc tylko na nią patrzyłem. Przyglądałem się, jak spuszcza głowę i za pomocą szczotki, trzymanej w jednej ręce, podsuwa włosy do suszarki, trzymanej w drugiej. Od czasu do czasu zerkała na mnie z uśmiechem. Wszedłem do sypialni. Na stoliku przy ścianie leżał list. Nie chciałem być wścibski, ale nawet z daleka dostrzegłem, że na kopercie widniało imię Sissel, czyli imię mamy, a jednocześnie napis był dłuższy od jej imienia i nazwiska, bo między „Sissel” a „Knausgård”, które bardziej rozpoznałem, niż przeczytałem, znajdowało się jeszcze jakieś trzecie słowo. Podszedłem bliżej. „Sissel Norunn Knausgård”. Norunn? Kto to taki?

– Mamo! – zawołałem.

Opuściła suszarkę, żeby słyszeć mnie lepiej. Popatrzyła na mnie.

– Mamo – powtórzyłem. – Co jest napisane na tej kopercie? Co to za Norunn?

Wyłączyła suszarkę.

– Co mówisz?

– Co to za Norunn!

Wskazałem na kopertę, nachyliła się i wzięła ją do ręki.

– To ja.

– Ale tu jest napisane Norunn! Przecież ty nie masz na imię Norunn!

– Owszem. To moje drugie imię. Sissel Norunn.

– Zawsze je miałaś?

Rozpacz rozsadzała mi pierś.

– Tak całe życie. Nie wiedziałaś?

– Nie! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Po policzkach już płynęły mi łzy.

– Ależ kochanie, nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie. Sissel to moje imię, którego używam.

Norunn to takie dodatkowe imię.

Byłem do głębi wstrząśnięty. Nie samym imieniem, tylko tym, że o nim nie wiedziałem. Że mama nosi imię, którego nie znałem.

Czy nie wiedziałem jeszcze o czymś?

Miesiąc później, mniej więcej w połowie długich letnich wakacji, jechaliśmy do Sørbøvåg nad Ålfjorden w regionie Ytre Sogn, gdzie mieszkali dziadkowie ze strony mamy, i mieliśmy tam zostać dwa tygodnie. Od tak dawna cieszyłem się na ten wyjazd, że gdy obudzono mnie o świcie tego dnia, w którym mieliśmy wyruszyć, wydawało mi się to wręcz nierzeczywiste. Bagażnik samochodu był wypełniony po brzegi, rodzice siedzieli z przodu, Yngve i ja z tyłu, podróż miała trwać cały dzień aż do późnego wieczora i nawet rzeczy najbardziej znane mi ze znanych, droga do skrzyżowania i na most, wydawały mi się jakieś inne. Nie należały już do domu i do naszego życia w nim, tylko do naszej wielkiej podróży, która każdemu kamieniowi i każdej skale, każdej wysepce i każdemu szkieletowi przydawała blasku ekscytacji i nadziei.

Gdy dojechaliśmy do krzyżówki koło mostu, mimo wszystko jak zwykle złożyłem dłonie i odmówiłem krótką modlitwę, która do tej pory działała za każdym razem:

Dobry Boże.

Bardzo cię proszę, zrób tak, żebyśmy nie mieli wypadku.

Amen.

Wjechaliśmy w głąb kraju. Sunęliśmy przez ogromne, monotonne świerkowe lasy, minęliśmy Evje, gdzie stały długie, niskie wojskowe baraki, a na piaskach rosły sosny, minęliśmy Byglandsfjord i kemping nad jeziorem, wjechaliśmy w dolinę Setesdalen z jej starymi gospodarstwami, z tabliczkami informującymi o warsztatach, gdzie wytwarzano srebrną biżuterię, droga niekiedy zdawała się przebiegać niemal przez czyjeś podwórze. Potem z wolna znikły zabudowania, jakby domy wypuszczały nas z objęć i po kolei odpadały, trochę tak jak tego lata dzieciaki spadały z sunącego coraz szybciej olbrzymiego węża, którego ktoś przywiązał liną do łodzi, aż w końcu został sam wąż. Widziałem lśniące lachy piasku nad rzekami, zielone wzgórza wznoszące się coraz bardziej stromo, od czasu do czasu nagie zbocze potężnej góry, we wszystkich odcieniach szarości, z kilkoma płonącymi czerwienią pniami sosen na szczycie.

Widziałem bystrza i wodospady, jeziora i piaszczyste równiny, wszystko skąpane w mocnym, czystym blasku słońca, wznoszącego się coraz wyżej na niebie. Droga była wąska, miękko poddawała się wszystkim obniżeniom i wzniesieniom terenu, łagodnym i ostrym zakrętom, niekiedy z drzewami po obu stronach, gdzie indziej wznosząc się nagle ponad wszystko, w nieoczekiwanych punktach widokowych.

Nieregularnie pojawiały się przy niej miejsca na odpoczynek, niewielkie, wysypane żwirem placyki, przy stołach z grubo ciosanych bali siedziały rodziny, a tuż obok nich parkował samochód z otwartym bagażnikiem lub drzwiczkami, w cieniu drzew, najczęściej w pobliżu jeziora lub rzeki. U wszystkich na stole stał termos, często widać było lodówki turystyczne, a niektórzy mieli nawet prymus. „Zrobimy sobie niedługo przerwę?“, potrafiłem zapytać, zobaczywszy takie miejsce, bo przerwy, obok przepraw promowych, stanowiły niezwykle istotne momenty podróży. My też mieliśmy w bagażniku lodówkę turystyczną, my też mieliśmy termos, sok i włożone jedna w drugą plastikowe szklanki i plastikowe filiżanki, a także plastikowe talerzyki. „Nie marudź“, mówił wtedy tata, bo jemu najbardziej zależało na pokonaniu jak największej liczby kilometrów za jednym zamachem. Oznaczało to, że przejedziemy bez przerwy co najmniej całą dolinę Setesdal, miniemy Hovden i Haukeligrend i wespniemy się na góry Haukelifjellet, zanim kwestia przerwy w ogóle zacznie być rozważana. Dopiero wtedy będziemy się rozglądać za odpowiednim miejscem. Nie mogliśmy bowiem zadowolić się pierwszym lepszym przystankiem, skoro tak rzadko zatrzymywaliśmy się po drodze, przerwy musiały być w wyjątkowo ładnym otoczeniu.

W górach jechaliśmy płaskowyzem. Droga biegła prosto jak po sznurku. Nigdzie nie było ani drzewa, ani krzaka. W niektórych miejscach było pełno kamieni, jakby usypanych na ziemi, pokrytej czymś w rodzaju osadu, uznałem, że to mech albo porosty. Gdzie indziej wystawała wymyta do czysta płaska skała. Od czasu do czasu migotała gdzieś jakaś woda, lśnił śnieg. Tata jechał tu szybciej, bo miał świetną widoczność. Przy drodze w niektórych miejscach wbite były ogromne tyczki; nie mogłem uwierzyć w to, co powiedział Yngve: że są takie długie, ponieważ zimą wyznaczają drogę, bo śnieg potrafi sięgać aż do ich szczytu. Przecież były wysokie na kilka metrów!

Słońce świeciło, w oddali widać było niewysokie szczyty, a my sunęliśmy przed siebie. Zostawialiśmy za sobą kolejne przydrożne parkingi, aż w końcu tata bez żadnej zapowiedzi mignął kierunkowskazem, przyhamował i zjechał na jeden z nich.

Parking znajdował się tuż nad jeziorem, owalnym i całkiem czarnym. Na drugim brzegu łagodnie wznosiły się góry, a przy naszym leżała ogromna śnieżna łąka, prawie niebieska, z dziurą, w której zniknęło jezioro.

Dookoła nas panowała całkowita cisza. Po tylu godzinach ciągłego warkotu silnika sprawiała wrażenie sztucznej, jakby nie należała do krajobrazu, tylko do nas.

Tata otworzył bagażnik i wyjął z niego lodówkę. Postawił ją na drewnianym stole, mama natychmiast zaczęła ją wypakowywać, a on poszedł jeszcze po termos i torbę z filiżankami i talerzykami. Yngve i ja zbiegliśmy nad wodę, nachyliliśmy się nad nią i zanurzyliśmy palce. Była lodowata!

– Wykąpiemy się, chłopcy? – zawołał tata.

– O nie! – zaprotestowałem. – Woda jest strasznie zimna.

– Tacy z was tchórze?

– Ona naprawdę jest lodowata – powiedziałem.

– Tak, tak, wiem, tylko żartowałem. Na żadne kąpiele nie mamy czasu.

Podeszliśmy z Yngvem do śnieżnej łąki. Śnieg okazał się tak twardy, że nie dało się z niego ulepić kul, chociaż taki mieliśmy zamiar, a wejść na nią w obecności rodziców nie mogliśmy, bo przecież tuż pod nią była woda.

Odłamałem kawałek i wrzuciłem do jeziora. Unosił się na powierzchni, kołysząc jak mała góra lodowa. Teraz przynajmniej mogłem po powrocie do domu mówić, że obrzucaliśmy się śnieżkami w lipcu.

– Chodźcie jeść! – zawołała mama.

Usiedliśmy. Wszyscy dostali paczki z kanapkami. Po trzy kromki chleba z jajkiem na twardo. Oprócz tego na stole znalazła się paczka herbatników. W szklankach mieliśmy sok. Plastik nadawał mu inny smak, ale ja go lubiłem, przypominał mi o wycieczkach na jagody i o wakacjach na kempingu. To znaczy wcale nie byliśmy na wielu, w zasadzie tylko raz, ubiegłego lata, gdy pojechaliśmy do Szwecji z dziadkami, rodzicami taty. Za moimi plecami z głośnym szumem przejechał samochód. Dźwięk zabrzmiał drżąco, najpierw nabierał mocy, i zaraz, jakby zdmuchnięty, znów zaczął słabnąć, aż w końcu zniknął całkiem. Rodzice pili kawę, z ich filiżanek unosiła się para. Z drugiej strony nadjeżdżał samochód, ciągnący przyczepę kempingową. Obserwowałem go, opróżniając szklankę z sokiem do dna. Jechał dość wolno. Zaczął migać kierunkowskazem. Kiedy skręcił na nasz parking, tata się odwrócił.

– Czego ten idiota tu szuka? – powiedział. – Przecież tu jest tylko jeden stół. Czy on tego nie widzi?

Znów odwrócił się do nas, odstawił filiżankę i z kieszeni koszuli wyjął opakowanie tytoniu z rysunkiem lisa.

Samochód z przyczepą zatrzymał się zaledwie kilka metrów od nas. Drzwi się otworzyły i wysiadł gruby mężczyzna w beżowych szortach, złotym T-shircie i brązowym kapelusiku. Otworzył drzwi przyczepy i zniknął w niej, a jednocześnie z drugiej strony samochodu wysiadła kobieta. Ona również była gruba, ubrana w jasnoszare elastyczne spodnie w kant i wełniany sweter. Z ust zwiisał jej niezapalony papieros. Miała nastroszone szarozłote włosy i duże okulary z lekko przyciemnianymi szklkami. Stała nad jeziorem, zapaliła i rozglądała się, wypuszczając dym.

Zacząłem jeść ostatnią kanapkę.

Mężczyzna wyniósł z przyczepy kempingowej stolik. Rozłożył go między samochodem a naszym stołem. Tata znów się odwrócił.

– Czy oni nie mają za grosz kultury? Przecież my tu siedzimy i jemy, a on się tak wciska!

– Nic nam się od tego nie stanie – powiedziała mama. – Tu jest przecież tak ładnie.

– B y ł o ładnie – stwierdził tata. – Aż do przyjazdu tego idioty.

– On cię może usłyszeć – ostrzegła mama.

Mężczyzna z hałasem postawił na stoliku lodówkę turystyczną. Kobieta podeszła do niego.

– To Niemcy. Nic nie rozumieją. Możemy mówić, co chcemy. – Tata dopił ostatni łyk kawy i wstał. – No, jedziemy dalej.

– Chłopcy jeszcze nie zjedli – zauważyła mama. – Aż tak chyba nam się nie spieszy.

– A i owszem – powiedział tata. – Ale zjedzcie do końca. Tylko się nie guzdrajcie.

Wyrzucił na wół wypalonego papierosa, zaniósł szklanki i filiżanki nad wodę i wypluł je w jeziorze, a potem schował do torby razem z talerzami i termosem. Zamknął lodówkę i zapakował wszystko do bagażnika. Kobieta i mężczyzna mówili coś, czego nie rozumiałem, pokazując palcami łagodnie nachylone zbocze po drugiej stronie jeziora. Coś się tam poruszało. Mama zgniotła papier po kanapkach, schowała go do torby i wstała.

– No, to jedziemy – oświadczyła. – Herbatniki zjemy na następnym postoju.

Właśnie tego się obawiałem.

Tata przesunął przednie siedzenie, żeby móc wsiąść. Po świeżym powietrzu na dworze zapach dymu był wyraźnie wyczuwalny. Yngve wsiadł drugimi drzwiami. Skrzywił się.

– Wydaje mi się, że te tabletki na chorobę lokomocyjną już nie działają – powiedział.

– Daj znać, jeśli zrobi ci się niedobrze – poprosiła mama.

– Pomogłoby, gdybyście nie palili cały czas.

– Cicho bądź, chłopcze! – upomniał go tata. – Nie narzekaj. Jesteśmy na wakacjach.

Samochód wolno wyjechał na drogę. Spojrzałem w dal, za jezioro, na ten punkt wskazywany przez mężczyznę. Coś tam było wśród zieleni. Jakaś szara plama, która wolno się przesuwała. Co to, u licha, mogło być?

Szturchnąłem Yngvego, a kiedy na mnie spojrział, wskazałem za okno.

– Co to jest? – spytałem.

– Może renifery. W zeszłym roku też je widzieliśmy. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. Ale wtedy były o wiele bliżej. Te tutaj są małe jak myszy.

Jazda wprowadziła nas w stan niemal przypominający trans. Zjechaliśmy z gór do Rødal, a potem do Oddy, małej, brudnej miejscowości na końcu fiordu Hardanger, która mimo zaniedbania i zanieczyszczeń miała w sobie magię miejsca za górami, płynącą głównie z oszalałającej i właściwie niezrozumiałej inności od świata, który opuściliśmy zaledwie kilka godzin wcześniej. Nasz region, Sørlandet, w głównej mierze składał się z niskich wzniesień i skał, niejednorodnych, a zatem sprawiających wrażenie bałaganu lasów, w których rosły najprzeróżniejsze gatunki drzew, wśród otwartego, a zarazem jałowego krajobrazu; najwyższe wzniesienie na naszej wyspie miało zaledwie sto dwadzieścia metrów, tej krainie zaś, w którą zawsze wjeżdżało się tak nagle, charakter nadawały potężne góry, tak dominujące w swej czystości i prostocie, że wszystkie inne szczegóły krajobrazu zmuszone były się im podporządkować i po prostu znikły: kto by się przejmował brzoza, nawet dużą, kiedy rosła pod jedną z tych nieskończenie pięknych gór, które miały wznosić się tu przez wieczność. Jednak najbardziej rzucała się w oczy różnica nie w wymiarach, lecz w kolorach, tutaj wydawały się bowiem głębsze – nigdzie zieleni nie ma takiej głębi jak w Vestlandet – i czystsze, nawet niebo, nawet jego błękit był głębszy i czystszy niż błękit nieba tam, skąd przyjechałem. Ziemię na zboczach dolin uprawiano, sadzono drzewa owocowe – wiosną i wczesnym latem bielily się po

japońsku morzem kwiatów. Szczyty gór były mglistoniebieskie, tu i ówdzie pokryte śniegiem, a między ich pasmami, wznoszącymi się po obu stronach, rozciągał się fiord, miejscami zielonkawy, gdzie indziej niebieskawy, a wszędzie migoczący w słońcu, równie głęboki, jak wysokie były góry.

Wjazd w ten krajobraz zawsze był ogromnym przeżyciem, bo nic, co mijaliśmy wcześniej, nie przygotowywało na to, co tu czekało. Dopiero potem, gdy jechaliśmy wzdłuż wschodniego brzegu fiordu, objawiały się wszystkie obce nam szczegóły, takie jak elektryczne ogrodzenia pastwisk, czerwone stodoły, stare białe drewniane domy, pasące się krowy, długie rzędy stojaków do suszenia siana na zboczach dolin. Traktory, sieczkarnie polowe, piwnice na gnojówkę, brązowe kalosze z długimi cholewkami przed progami domostw, rzucające cień podwórzowe drzewa, konie, sklepy w suterenach zwykłych domów. Dzieciaki sprzedające czereśnie albo truskawki na ustawionych przy drodze niewielkich straganach z ręcznie wypisanymi szyldami. Życie tutaj różniło się od życia w domu; nagle mogłem zobaczyć zgiętą wpół staruszkę w kwiciastej sukience i chustce na głowie, jakich nie spotykało się tam, skąd przyjechałem. Albo zgarbionego staruszka w niebieskim kombinezonie i czarnej czapce z daszkiem na polu czy szutrowej drodze. Bez względu jednak na to, jak wiele wrażeń wywoływały te miejsca, do czego przyczyniały się naturalnie również ich nazwy – Tyssedal, Espe, Hovland, Sekse, Børve, Opedal, Ullensvang, Lofthus, i takie obce w brzmieniu Kinsarvik, moje ulubione, no bo co to, na miłość boską, znaczy „kinsar” – bez względu na czyistość barw i odmienność szczegółów, to jednak nad tymi wioskami wisiała atmosfera pustkowi, nie nad ludźmi i ich zajęciami, lecz nad przestrzenią, po której się poruszali, jakby dla nich zbyt wielkiej – może czułem tak za sprawą potężnego, zalewającego wszystko słonecznego światła, może ogromu błękitu nieba, może łańcucha wyciągających się ku niemu gór – a może to wrażenie wynikało jedynie z faktu, że po prostu tędy przejeżdżaliśmy, nigdzie się nie zatrzymując, z wyjątkiem tego przystanku autobusowego, na którym Yngve wytoczył się z samochodu, żeby zwymiotować; z tego, że nikogo tu nie znaleźliśmy i w żaden sposób nie byliśmy związani z tym, co widzieliśmy. Bo kiedy wreszcie dotarliśmy na przystań w Kinsarvik i wysiedliśmy z samochodu, który tata ustawił w kolejce, to wrażenie pustkowi nie było już tak wyraźne, przeciwnie, wszystko tutaj wydawało się takie przyjazne i przytulne, z dźwiękami radia płynącymi z samochodów, z odgłosem otwieranych i zamykanych drzwiczek, z ludźmi wysiadającymi, żeby rozprostować nogi, i przechadzającymi się tam i z powrotem, z dziećmi, które ostrożnie kopały do siebie piłkę tuż obok kolejki samochodów albo robiły to, co Yngve i ja: szły do kiosku na końcu przystani sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, na co warto wydać wakacyjne pieniądze.

Może lody?

O tak.

Yngve kupił lody w łódce z wafła, a ja w pojemniczku z czerwoną łopatką, i trzymając je w rękach, przeszliśmy na nabrzeże, tam przysiedliśmy na murku i patrzyliśmy w wodę, na tłuste, gęste łepy wodorostów przyklejonych do skały. Z daleka widać już było płynący prom. Pachniało słoną wodą, algami, trawą i spalinami, słońce piekło w twarz.

– Jeszcze ci niedobrze? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Szkoda, że zapomnieliśmy piłki – powiedział. – Ale może mają jakąś w Våjen.

Wymówił „Våjen” tak jak dziadek

– No. – Zmrużyłem oczy od słońca. – Myślisz, że zabierzemy się tym promem?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że tak

Pomachałem trochę nogami. Łopatką oddzieliłem spory kawałek lodów i włożyłem go do ust. Był taki zimny i taki wielki, że musiałem przesuwać go językiem, żeby wytrzymać tę lodowatość. Odwróciłem się i spojrzałem na nasz samochód. Tata siedział przy otwartych drzwiach z jedną nogą na ziemi i palił papierosa. Słońce odbijało się w jego okularach przeciwsłonecznych. Mama stała obok. Na dachu postawiła koszyk z czereśniami, po które od czasu do czasu sięgała.

– Co będziemy robić jutro? – spytałem.

– Ja w każdym razie idę z dziadkiem do obory. Obiecał, że wszystkiego mnie nauczy, żebym kiedyś mógł go zastąpić.

– Myślisz, że można się tam teraz kąpać?

– Zwariowałeś? Woda w fiordzie jest tak samo zimna jak w tym jeziorze w górach.

– Właściwie dlaczego?

– Bo to tak daleko na północy!

W niektórych samochodach włączano silniki. W oddali już otwierała się brama dziobowa na promie. Yngve wstał i ruszył do samochodu. Jak najszybciej dojadłem lody i poszedłem za nim.

Po przeprawie promem, który dowiózł nas do Kvanndal, następnym ważnym punktem podróży był wjazd w góry Vikafjellet. Wąska droga trawersowała po stromym zboczach raz w jedną stronę, raz w drugą, raz w jedną, raz w drugą, chwilami mieliśmy z boku taką stromiznę, że bałem się, iż samochód się przechyla i spadnie.

– Na pewno wielu turystów czeka tu niespodzianka – stwierdził tata, gdy nią podjeżdżaliśmy, a ja trząsałem się ze strachu, patrząc na przepaść w dole. – Oni jadą na hamulcach, a to może być śmiertelnie niebezpieczne.

– A my na czym jedziemy? – spytałem.

– My hamujemy silnikiem.

Bo my nie byliśmy turystami, wiedzieliśmy, jak tu jest. To nie nas widziało się w kłębach dymu przy otwartej masce samochodu koło drogi. Wkrótce po tej rozmowie jednak o mało nie skończyło się to źle, bo na następnym zakręcie natknęliśmy się nagle na samochód z przyczepą kempingową. Niewiele metrów dzieliło nas od zderzenia, ale tata wcisnął hamulec i to samo zrobił kierowca tego auta z przyczepą. Tata wycofał się do punktu, w którym oba pojazdy mogły się wyminąć. Kierowca tamtego, przejeżdżając, uniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Znałeś go, tato? – spytałem.

W lusterku zobaczyłem, że się uśmiechnął.

– Nie, nie znałem. Podniósł rękę, żeby mi podziękować za to, że ustąpiłem mu miejsca.

Potem były kolejne góry i zjazd nad kolejny fiord. Szczyty wznosiły się tu równie wysoko jak nad Hardangerfjorden, ale były w pewnym sensie łagodniejsze, nie pięły się tak ostro, no i fiord

był tu szerszy, w niektórych miejscach rozlewał się szeroko jak jezioro. Góry nad Hardangerfjorden pytały, co się dzieje. Te tutaj odpowiadały: spokojnie, wszystko w porządku.

– Będziemy spać na zmianę? – spytał Yngve.

– Możemy.

– Okej, to ja pierwszy, dobrze?

– Okej – zgodziłem się.

Położył głowę na moich kolanach i zamknął oczy. Miło było, gdy tak spał, głowę miał przyjemnie ciepłą. Odniosłem wówczas wrażenie, jakby różne rzeczy działały się w dwóch różnych miejscach jednocześnie. Za oknem krajobraz, który nieustannie się zmieniał, a w który cały czas się wpatrywałem, i głowa Yngvego uśpionego na moich kolanach.

Obudził się, gdy zatrzymaliśmy się w kolejce do następnego promu. Stanęliśmy na pokładzie i napawaliśmy się wiatrem smagającym nasze twarze. Pół godziny później znów siedzieliśmy w samochodzie i teraz to ja położyłem głowę na kolanach Yngvego.

Obudziłem się i zorientowałem, że dojeżdżamy. Im bliżej byliśmy morza, tym niższe stawały się góry i tym gęstsza roślinność, choć oczywiście ta okolica nawet nie przypominała wypolerowanego przez fale krajobrazu Sørlandet. Żadna z tutejszych dróg nie zapadła mi w pamięć. Wyglądałem przez okno i niczego z tego, co widziałem, z niczym nie kojarzyłem, dopóki nagle nie rozpoznałem góry nazywanej Lihesten, jej wysokiej na kilkaset metrów skalnej ściany opadającej pionowo do fiordu po przeciwnej stronie niż ta, po której mieszkali dziadkowie. Tę skałę długo mieliśmy przed sobą, ale była nierozpoznawalna ze wszystkich innych stron oprócz tej, po której teraz się znaleźliśmy, gdy nagle mieliśmy ją z boku. Poczułem ścisnąjące serce podniecenie. Dotarliśmy na miejsce! Tak tam jest wodospad! Tam kaplica! I hotel! Tam jest sztyl z nazwą Salbu! I dom! Dom babci i dziadka!

Tata zwolnił i skręcił w szutrówkę. Biegła najpierw obok sąsiadów, potem przez bramę w płocie z drewnią po jej prawej stronie, kawałek stromo pod górę i już byliśmy przed domem. Otworzyłem drzwi, jeszcze niemal zanim samochód się zatrzymał, i wyskoczyłem. Na drugim końcu podwórza zobaczyłem dziadka. Stał przy ulach w stroju pszczelarza, w białym kombinezonie, białym kapeluszu z długą białą woalką wokół głowy. Wszystkie jego ruchy były powolne, również gdy unosił rękę na powitanie. Wyglądało to trochę tak, jakby znajdował się pod wodą lub na obcej planecie, gdzie działa inna siła ciężenia. Ja też uniosłem rękę i pomachałem mu, a potem wbiegłem do domu. Babcia była w kuchni.

– O mało się nie zderzyliśmy z innym samochodem w górach, w Vikfjellet! Jechaliśmy o, tak – Rysowałem palcem na żółtej ceracie, a ona z uśmiechem patrzyła na mnie tymi swoimi ciepłymi ciemnymi oczami. – A z drugiej strony nadjechał samochód z przyczepą kempingową...

– Cieszę się, że dotarliście cali i zdrowi – powiedziała.

Mama weszła drugimi drzwiami. Usłyszałem, że w korytarzu ktoś, pewnie tata, wnosi walizki. A gdzie był Yngve? Pobiegł do dziadka? Mimo wszystkich tych brzęczących pszczół?

Pospiesznie wyszedłem na podwórze. Nie. Yngve pomagał tacie wyładować bagaż. Dziadek,

wciąż w tym białym kosmicznym stroju, bardzo powoli wyciągał z ula jakieś płytki. Słońce opuściło już zagrodę, ale świeciło na świerki rosnące na łagodnym zboczu za jeziorkiem. Powiał lekki wiatr, poruszył koronami drzew nad moją głową. Z obory wyszedł Kjartan. Był w kombinezonie i kaloszach. Czarne półdługie włosy, prostokątne okulary.

– Dobry wieczór – przywitał się, przystając koło samochodu.

– Cześć, Kjartan – powiedział tata.

– Dobrze się jechało?

– Jasne. Bez problemu.

Kjartan był o dziesięć lat młodszy od mamy, więc w tamtym roku miał nieco ponad dwadzieścia lat. Była w nim jakaś ponurość, niemal złość, i chociaż nigdy nie skrupiało się to na mnie, mimo wszystko się go bałem. Jako jedyny z rodzeństwa mieszkał z rodzicami. Najstarsza córka dziadków, Kjellaug, wyprowadziła się do Kristiansand z mężem Magnem i dwójkiem dzieci, Jonem Olavem i Ann-Kristin, które wkrótce też miały tu przyjechać, a najmłodsza, Ingunn, studiowała w Oslo i mieszkała tam z Mårdem i ich dwuletnią córeczką Yngvild. Kjartan i dziadek często się kłócili, rozumiałem, że Kjartan nie był taki, jakim dziadek chciałby widzieć jedynego syna. Miał przejąć gospodarstwo, gdy przyjdzie na to czas. Teraz kształcił się na hydraulika na statkach, miał pracować w stoczni w którymś z miast regionu. Ale gdy mówiło się o Kjartanie, to najczęściej o tym, że był komunistą. Zagorzałym komunistą. Podczas dyskusji o polityce z mamą lub tatą, które zdarzały się często, gdy się spotykali, z jakiegoś powodu zawsze schodzono na ten temat, wtedy jego nieśmiałość, umykające spojrzenie diametralnie się zmieniło, a w oczach zapalał się ogień. W domu, gdy wspomniano o Kjartanie, tata niekiedy się z niego śmiał, głównie po to, by dokuzyć mamie, która wprawdzie nie była komunistką, ale nie zgadzała się z tatą w większości spraw związanych z polityką. Tata był nauczycielem, członkiem Lewicy^[4].

– Zdejmę te lachy i wezmę prysznic, żeby nie było czuć ode mnie oborą, skoro mamy takich eleganckich gości – powiedział Kjartan. – Wydaje mi się, że w domu już czeka na was jedzenie.

Nawet na dworze słyszałem skrzypienie schodów, kiedy szedł do łazienki na piętrze. Schody tutaj tak niesamowicie skrzypiały!

Rzeczywiście w salonie już dla nas nakryto. Oprócz chleba i dodatków do kanapek stał tam stos jeszcze ciepłych *svele*, grubych na centymetr naleśników, a także cała patera cieniutkich placzków zwanych *lefse*. Mama krążyła między salonem a kuchnią. Chociaż się stąd wyprowadziła w wieku szesnastu lat, wyszła za tatę i urodziła Yngvego w wieku dwudziestu, i od tamtej pory mieszkała ze swoją rodziną, to gdy tu przyjeżdżaliśmy, prędko wpasowywała się w ten dom. Zmieniał się nawet jej sposób mówienia. Stawał się jeszcze bliższy temu, jak mówili jej rodzice. Z tatą było odwrotnie. Prawie zawsze tu znikał. Kiedy siedział i rozmawiał z dziadkiem, który uwielbiał rozmowy i na każdą okazję miał na podorzędziu jakąś opowieść, często związaną z własnymi przeżyciami, tata nie mógł wyzybyć się czysto formalnej uprzejmości, przez którą stawał się taki obcy, chociaż świetnie go wtedy rozpoznawałem, bo właśnie w ten sposób rozmawiał z innymi rodzicami i kolegami z pracy. Dziadek pod tym względem nie dbał o formy, był w pełni sobą, dlatego więc tata siedział, kiwał głową i mówił: „aha, tak, naprawdę, mhm, mhm?”. Mama też się zmieniła. Więcej się śmiała i więcej mówiła, w sumie więc obie te zmiany wychodziły nam

na plus, żeby nie powiedzieć – na ogromny plus: tata zniknął, mama była bardziej ożywiona, a w tym domu nie obowiązywały żadne takie zasady jak w naszym. Tu mogliśmy robić, co chcieliśmy. Jeśli któryś z nas przewrócił szkanę z mlekiem, nie było żadnej katastrofy, dziadkowie rozumieli, że takie rzeczy mogą się zdarzyć. Wolno nam było nawet siedzieć w salonie z nogami na stole, oczywiście pod nieobecność taty, a na kanapie, brązowej w pomarańczowe i beżowe pasy, mogliśmy się skulić w takich pozycjach, na jakie mieliśmy ochotę, a nawet położyć. Towarzyszyliśmy dziadkom przy wszystkich wykonywanych przez nich pracach i pomagaliśmy im, rzecz jasna, na naszą małą skalę. Nie czuliśmy się tu niechciani, przeciwnie, oczekiwano, że będziemy pomagać tyle, ile zdołamy. Że będziemy grabić siano podczas sianokosów, układać je na stojakach, chodzić po jajka, przerzucać gnój do gnojówki, nakrywać do stołu przed posiłkami, zbierać czarne i czerwone porzeczki i agrest, kiedy dojrzeją. Drzwi do tego domu pozostawały otwarte, goście wchodziłi bez pukania, wołali tylko z sieni i nagle stawali w salonie; zadomowieni, siadali w fotelu i pili kawę z dziadkiem, który nie robił wielkiego halo z ich przybycia, tylko podejmował rozmowę, tak jakby została przerwana zaledwie na kilka sekund. Ci ludzie, którzy przychodzili, wydawali mi się dziwni, zwłaszcza jeden, mężczyzna z wielkim brzuchem, trochę obdarty i odrobinę cuchnący, o donośnym głosie, który pod wieczór podjeżdżał nie całkiem prosto na swoim motorowerze. Mówił takim dialektem, że rozumiałem zaledwie połowę. Dziadek rozjaśniał się na jego widok, ale czy dlatego, że wyjątkowo go lubił, trudno było stwierdzić, bo właściwie niemal przy każdym gościu twarz mu jaśniała. Byłem pewien, że lubi również nas, chociaż jemu z pewnością taka myśl nawet nie przemknęła przez głowę. Istnieliśmy i to mu wystarczało. Z babcią chyba było trochę inaczej, w każdym razie tak mogło wynikać z zainteresowania, jakie wykazywała dla tego, o czym mówiliśmy.

Mama stała nieruchomo, wpatrzona w stół, zapewne sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu. Babcia w kuchni zdjęła z ognia dzbanek z kawą i narastający od dłuższej chwili szum ucichł po krótkim westchnieniu. W pokoju tuż nad naszymi głowami tata postawił bagaż. Do sieni wszedł dziadek, odwiesiwszy w piwnicy strój pszczelarski.

– Widzę, że naród norweski rośnie – powiedział na nasz widok. Podeszedł i pogłaskał mnie po głowie, trochę jak psa. Tak samo pogłaskał głowę Yngvego i usiadł akurat w chwili, kiedy babcia przyniosła z kuchni kawę, a na schodach pojawili się tata i Kjartan.

Dziadek był drobny, twarz miał okrągłą, głowę łąsą, oprócz wianuszka rzadkich siwych włosów. W kąciakach ust często zostawały mu brązowe ślady po tytoniu. Oczy za okularami patrzyły bystro, ale zmieniały się całkowicie, gdy je zdjął. Przypominały wtedy małeńkie dzieci, które właśnie się obudziły.

– Wygląda na to, że zjawiłem się w samą porę – stwierdził i położył sobie kromkę chleba na talerzu.

– Słyszałyśmy, że jesteś w piwnicy – powiedziała mama. – Więc to nie był taki zupełny przypadek – Popatrzyła na mnie. – A ty pamiętasz, jak usłyszeliśmy, że kręcisz się po korytarzu, na dziesięć minut przed twoim przyjściem?

Kiwnąłem głową. Tata i Kjartan usiedli każdy po swojej stronie stołu. Babcia zaczęła nalewać kawę do filiżanek.

Dziadek, który smarował chleb masłem, podniósł głowę.

– Uslyszeście go, z a n i m przyszedł?

– No właśnie, dziwne, prawda?

– To taki znak – orzekł dziadek, patrząc wprost na mnie. – Mówi, że będziesz długo żył.

– Naprawdę to znaczy? – Mama się zaśmiała.

– Tak – potwierdził dziadek

– Chyba w to nie wierzysz? – spytał tata.

– Słyszeliście go, chociaż go nie było? – upewnił się dziadek – To przecież niezwykle. Dlaczego więc bardziej niezwykle miałyby być to, że to coś oznacza?

– E, tam – mruknął Kjartan. – Robisz się coraz bardziej przesądny na stare lata, Johannes.

Spojrzałem na babcię. Ręce jej się trzęsły, a kiedy nalewała kawę, dzbanek drżał tak mocno, że jedynie ogromnym wysiłkiem woli udało jej się skierować strużkę kawy z dziobka do filiżanki, nie zalewając obrusa.

Mama też to obserwowała. Już wstawała, prawdopodobnie, by ją zastąpić, ale usiadła z powrotem i wyciągnęła rękę do koszyka z chlebem. Przykro było patrzeć na babcię, bo nalewała tak wolno, w dodatku kawa lała się na spodeczek, a jednocześnie zdumiewało, że babcia, dorosła osoba, nie radzi sobie z rzeczą tak prostą jak nalanie kawy bez rozlewania. Poza tym niezwykłość widoku osoby, której ręce nieustannie drżą jakby same z siebie, kazała mi śledzić jej ruchy z ogromnym zainteresowaniem.

Mama nakryła mi rękę dłonią.

– Nie masz ochoty na *svele*?

Pokiwałem głową. Zaraz przełożyła mi jeden na talerz. Posmarowałem go grubo masłem i posypałem cukrem. Mama sięgnęła po dzbanek z mlekiem i nalała mi do szklanki. Mleko, ciepłe i żółtawe, zostało przyniesione prosto z obory, pływały w nim maleńkie grudki. Zerknąłem na mamę. Dlaczego mi nalała? Nie mogłem wypić tego mleka, było wstrętne, naprawdę prosto od krowy, i to nie byle jakiej krowy, tylko tej, która stała w oborze, sikała i srała.

Zjadłem *svele*, wziąłem jeszcze jednego, a tata zadał dziadkowi kilka pytań, na które ten wyczerpująco odpowiadał. Kjartan demonstracyjnie głośno wzdychał – albo wszystko to już kiedyś słyssał, albo też ani trochę mu się to nie podobało.

– Myśleliśmy o tym, żeby zrobić sobie w tym roku wycieczkę na Lihesten – oznajmił tata.

– Co ty powiesz? – ucieszył się dziadek – Świetny pomysł. Ładnie tam. Będziecie mieć stamtąd widok na siedem parafii.

– Nie możemy się już doczekać – powiedział tata.

Babcia z mamą rozmawiała o dębie i ostrokrzewie, które dziadkowie przywieźli w zeszłym roku z Tromøi i zasadzili tutaj.

Postanowiłem je zobaczyć.

Spojrzenie taty zatrzymało się na mnie.

– Nie pijesz mleka, Karl Ove? – spytał. – Jest bardzo świeże. Lepszego mleka nigdzie nie dostaniesz.

– Wiem.

Ponieważ nie dałem znaku, że mam zamiar je pić, wbił we mnie wzrok

– Pij to mleko, chłopcze!

– Trochę za ciepło – tłumaczyłem. – I są w nim grudki.

– Robisz przykrość swoim dziadkom – oświadczył tata. – Masz pić i jeść to, co ci podają, koniec i kropka.

– Chłopak nawykł do pasteryzowanego mleka – odezwał się Kjartan. – Z kartonu z lodówki. U nas w sklepie też takie sprzedają. Oczywiście, że takie będzie dostawał. Możemy kupić już jutro. Nie jest przyzwyczajony do mleka prosto od krowy.

– To zupełnie zbędne – stwierdził tata. – Przecież tutejsze mleko jest równie dobre, jeśli nie lepsze. To głupota kupować mleko tylko dlatego, że jest rozpieszczony.

– Sam wolę pasteryzowane – dodał Kjartan. – Całkowicie się zgadzam z twoim synem.

– Chyba że tak – powiedział tata. – Ale raczej po prostu jak zwykle stajesz po stronie słabszych. Tylko że to bardziej kwestia wychowania, rozumiesz?

Kjartan uśmiechnął się i spuścił wzrok. Podniosłem szklanę z mlekiem do ust, przestałem oddychać przez nos i starając się myśleć o czymkolwiek innym, tylko nie o tych białych grudkach, wypilem wszystko czterema wielkimi łykami.

– No proszę – powiedział tata. – I co, nie było dobre?

– Było.

Po jedzeniu spyaliśmy, czy moglibyśmy na trochę wyjść, chociaż było już późno. Pozwolono nam. Włożyliśmy buty, wyszliśmy na podwórze, skierowaliśmy się do stodoły. Lekki zmierzch pokrył wszystko dookoła niczym pajęczyna. Zachowały się kształty, za to zniknęły lub zszarzały kolory. Yngve zdjął haczyk z drzwi do obory i pchnął. Zacięły się, jakby przyrośnięte, musiał się o nie oprzeć całym swoim ciężarem, żeby je otworzyć. Wewnątrz panowała prawie całkowita ciemność. Blade światło sączące się przez brudne okno umożliwiała jedynie rozróżnienie konturów. Wszystkie trzy krowy, które leżały w osobnych bokсах, poruszyły się na dźwięk naszych kroków. Jedna odwróciła łeb.

– Spokojnie, krowki – odezwał się Yngve.

W środku było ciepło i przytulnie. Cielątko, stojące osobno w czymś w rodzaju zagrody po drugiej stronie rynny, którą spływała gnojówka, przemieściło się z głośnym tupaniem. Nachyliliśmy się nad nim. Patrzyło na nas wystraszonymi oczami. Yngve je pogłaskał.

– Spokojnie, cielaczkę – powiedział.

Nie tylko drzwi sprawiały wrażenie zarośniętych, ale też wszystkie ściany, podłoga i okna, jakby całe to pomieszczenie zapadło się kiedyś pod wodę i tam już zostało.

Yngve otworzył drzwi do stodoły. Po leżącym tam sianie wdrapaliśmy się na stryszek, wyszliśmy po prowadzącym do niego pomostie i otworzyliśmy drzwi do niewielkiego kurnika. Tu podłogę pokrywały trociny i pióra. Kury nieruchomo siedziały na grzędach, wpatrzone przed siebie.

– Wygląda na to, że nie ma żadnych jajek – stwierdził Yngve. – Pójdziemy popatrzeć na norki?

Kiwnąłem głową. Kiedy zamykał wysokie wrota stodoły, obok nas przemknął jak strzała mały biały kot i zniknął pod pomostem. Szukaliśmy go tam i wołaliśmy, wiedzieliśmy przecież, że musi gdzieś być, ale się nie pokazał, więc w końcu zrezygnowaliśmy i ruszyliśmy w stronę trzech klatek dla nerek, stojących na zachodnim końcu gospodarstwa, tuż pod lasem. Ostry smród, który w nas uderzył, kiedy się zbliżyliśmy, był prawie nie do wytrzymania, więc spróbowałem oddychać przez usta. Kiedy się zatrzymaliśmy, we wszystkich klatkach zaczęło szeleścić.

To było straszne.

Tu, blisko lasu, panowała gęstsza ciemność. Pazury nerek podzwaniały o metal klatek, gdy zwierzęta po nich krążyły. Podeszliśmy jeszcze bliżej. Czarne zwierzę uciekło w najodleglejszy kąt, zwróciło łeb w naszą stronę i syknęło. Błysnęły zęby. Oczy miało czarne jak czarne kamyczki, i gdy dwadzieścia minut później leżałem już w łóżku w pokoju przydzielonym nam na piętrze, na waleta z Yngvem, który z głową na poduszce w drugim końcu czytał jakąś gazetę piłkarską, to właśnie o nich myślałem. I o tym, że norki krążą po klatkach przez całą noc w tym czasie, kiedy śpimy. Nagle głosy w salonie pod nami nabrały mocy. To rodzice dyskutowali z Kjartanem. Ale ich głośna rozmowa wcale nie była groźna, przeciwnie, czułem się bezpiecznie, oni czegoś od

siebie chcieli, i to tak bardzo, że nie wystarczyło szeptać czy mamrotać, trzeba było krzyczeć.

Następnego dnia rano przyszedł dziadek i spytał, czy chcemy z nim wyciągać sieci. Chcieliśmy, więc kilka minut później, depcząc dziadkowi po piętach, schodziliśmy ścieżką nad fiord, niosąc między sobą duży biały cebrzyk.

Łódź cumowała przy czerwonej boi, ławalek od brzegu. W gęstej mgłę wyglądała tak, jakby unosiła się w powietrzu. Dziadek ją przyciągnął, wskoczyliśmy, a kiedy już się odepchnął wiosłem od dna, Yngve usiadł na ławeczce przy dulkach i zaczął wiosłować. Dziadek siedział na rufie i dyrygował, kiedy to było konieczne, a ja z dziobu patrzyłem na mgłę. Lihesten po drugiej stronie prawie całkiem zniknęła, widoczna była jedynie jako smuga nieco twardszej szarości wśród całej tej wełnistej wilgoci.

– Taka mgła rzadko tu bywa – powiedział dziadek – Przy najmniej o tej porze roku.

– Byłeś na szczycie Lihesten, dziadku? – spytał Yngve.

– Jasne, że tak i to wiele razy. Ale od ostatniego minęło już ładnych parę lat. – Oparł się łokciami o uda. – Raz brałem udział w akcji ratunkowej. To była pierwsza katastrofa samolotu w Norwegii. Słyszeliście o tym?

– Nie – powiedział Yngve.

– Była taka mgła jak teraz. Samolot wleciał wprost w Lihesten. Usłyszeliśmy huk. Nie mogliśmy pojąć, co to było. No ale zgłoszono zaginięcie samolotu i lensman potrzebował ludzi, którzy z nim tam pójdą, więc się zgłosiłem.

– Znaleźliście samolot? – spytałem.

– Tak. Ale wszyscy już nie żyli. Widziałem głowę kapitana. Tęgo widoku nigdy nie zapomnę. Włosy miał idealnie zaczesane do tyłu! Ani jeden włoszek nie odstawał! Tak, tak, nigdy tego nie zapomnę.

– A gdzie ten samolot się rozbił? O samą ścianę? – dopytywał się Yngve.

– Nie. Stąd tego miejsca nie widać. Ale na płaskowyżu sterczy szczyt i o niego się roztrzaskał. Musieliśmy się wspinać aż do wraku. Trochę bardziej na białburcie!

Yngve zmrugał oczy. Prawdopodobnie usiłował sobie przypomnieć, z której strony jest białburta.

– O, bardzo dobrze – pochwalił go dziadek – Świetnie wiosłujesz. Tak, to była głośna historia. Pisały o niej wszystkie gazety i wiele się mówiło w radiu.

Przed nami wśród szarości zajaśniała czerwona boja nad siecią.

– Wyciągniesz ją, Karl Ove? – spytał dziadek.

Nachyliłem się z bijącym sercem i chwyciłem obiema rękami. Okazała się jednak śliska i od razu wysunęła mi się z rąk.

– Musisz złapać od spodu – poinstruował mnie dziadek – Próbuje jeszcze raz. Yngve, podwiosłuj trochę do tyłu, o tak.

Tym razem udało mi się wciągnąć boję na pokład. Yngve zdjął wiosła i ułożył je w łodzi. Dziadek zaczął wyjmować sieć. Ryby ukazywały się najpierw jako małe światełka mrugające

głęboko wśród czerni, potem rosły i nabierały kształtu, a moment później, trzepoczące się, wpadały do łodzi przez burtę. Były takie błyszczące i czyste z tymi szarobrązowymi albo niebieskawymi rysunkami na grzbietach, żółtymi oczami, bladoczerwonymi pyszczkami i ostrymi jak noże płetwami i ogonami. Przytrzymałem jedną w rękach. Rzuciła się z taką siłą, o jaką trudno było ją posądzać, gdy chwilę później leżała nieruchomo na pokładzie u moich stóp.

Dziadek cierpliwie wypłatywał je z oczek sieci i rzucał do cebrzyka. Wyciągnęliśmy dwadzieścia sztuk. Głównie czarniak, ale trafiły się też jeden i drugi dorsz, rdzawiec i dwie makrele.

Kiedy Yngve zaczął wiosłować z powrotem, usłyszałem nagle ściszony szum, połączony z pluskiem, trochę podobny do tego, jaki towarzyszy sunącym po morzu żaglówkom. Odwróciłem głowę. Mniej więcej trzydzieści metrów od nas w wodzie poruszało się kilka ciemnych grzbietów.

Wystraszyłem się.

– Co to jest? – spytał Yngve, unosząc pióra wioseł. – To, tam!

– Gdzie? – spytał dziadek – A, to morświny. Pojawiły się już kilka dni temu. To dość rzadkie, ale nie niezwykle. Przyjrzyjcie się im uważnie. Zobaczyć morświna to dobry znak

– Naprawdę? – spytałem.

– O tak

Dziadek oprawił ryby nad zlewem w piwnicy, która bardziej przypominała grocie niż domowe pomieszczenie. Betonowa posadzka była najczęściej wilgotna, sufit tak niski, że tata nie mógł się wyprostować, co nie przeszkadzało dziadkowi, który nie był najwyższego wzrostu – a półki na ścianach zapępiały najprzeróżniejsze przedmioty i narzędzia, których nabierało się w ciągu długiego życia dziadków. Kiedy już się z tym uporał, i ryby, zaledwie kilka godzin wcześniej rzucające się w łodzi, leżały teraz w zamrażarce owinięte w folię, pomogliśmy mu oczyścić sieć. Robiliśmy to na trawie koło drewni, w deszczu, dopóki mama nie zawołała nas na obiad.

Po obiedzie dziadkowie ucieli sobie drzemkę. Tata, który już po jednym dniu nie mógł sobie znaleźć miejsca, w korytarzu skinał na mnie palcem.

– Chodź się ze mną przejść – powiedział.

Włożyłem kalosze i kurtkę przeciwdeszczową. Poszedłem za nim przez pola. Sadił długimi krokami i zdawał się omiatać krajobraz wzrokiem. Mgła wisiała nad świerkowym lasem. Woda w jeziorku lśniła czernią między pniami drzew. Drogą po drugiej stronie przejechał traktor.

– Podoba ci się tutaj? – spytał tata.

– Taak – odpowiedziałem, niepewny, do czego to zmierza.

Zatrzymał się.

– Mógłbyś tu mieszkać?

– Taak

– Może któregoś dnia przejmemy to gospodarstwo? Chciałbyś?

– Mieszkać tutaj?

– Tak. Kiedy przyjdzie czas, będzie taka możliwość.

Sądziłem, że gospodarstwo ma przejąć Kjartan, ale głośno tego nie powiedziałem, bo to by zepsuło tacie taką przyjemną chwilę.

– Chodź, rozejrzyjmy się – powiedział i ruszył przed siebie.

Mieszkać tutaj?

O, to była zupełnie obca myśl. Nie potrafiłem wyobrazić sobie taty w tym domu, w otoczeniu tych rzeczy. Tata wieszający siano na stojakach? Tata koszący trawę i wrzucający ją do silosu? Tata rozrzucający nawóz na polach? Tata w fotelu w salonie, słuchający prognozy pogody?

Gdy przyjeżdżałem tam jako dziecko, przeszłość dla mnie nie istniała i wszystko należało do chwili bieżącej, lecz jednak wyczuwałem jej obecność. Dziadek spędził tu całe życie i w pewien sposób wywierało to jakiś wpływ na jego obraz, który w sobie nosiłem. Lecz jeśli na czymś ten mój obraz dziadka się koncentrował, to wcale nie na wszystkim, co działo się w ciągu długiego życia, o którym zresztą niewiele wiedziałem, a tego, co wiedziałem, nie miałem możliwości z niczym porównać, nie, mój obraz dziadka koncentrował się na jednej jedynej rzeczy, a mianowicie na małym dwutakowym traktorze, którego dziadek używał do wszystkiego, do czego tylko się dało. Ten traktorek był kwintesencją dziadka. Czerwony, trochę zardzewiały, zapalało się go przez nadeptanie stopą na metalowy pedał. Do zmiany biegu miał jeden drążek z czarną kulką, a do gazu drugi. Dziadek używał go do koszenia, szedł wtedy za traktorem, podczas gdy ogromne, przypominające nożyce urządzenie, które montowało się z przodu, ścinało trawę. Używał go też do transportowania ciężkich rzeczy, doczepiał wtedy wagonik z zielonym siedzeniem, z którego kierował tym, co nagle stawało się pojazdem przypominającym ciężarówkę. Mało co ceniłem wyżej niż możliwość jazdy razem z nim, siedzenia na pace podczas wyprawy na przykład do dwóch sklepów w Vågen, skąd odbierał pojemniki z kwasem mrówkowym albo worki z paszą czy sztucznym nawozem. Pojazd poruszał się tak wolno, że można było iść obok, ale to nie miało znaczenia, nie prędkość się liczyła, tylko wszystko inne, pochrapywanie silnika, spaliny, które tak przyjemnie pachniały i zasnuwały drogę. No i ta pełna swoboda na pace, możliwość przemieszczania się raz na jedną, raz na drugą stronę i wychylania nad krawędzią, obserwowania wszystkiego, co było do zobaczenia po drodze, w tym również drobnej postaci dziadka w czapce z daszkiem tuż przede mną, a w dodatku często jeździliśmy do sklepu i na przystań, tam gdzie przybijały statki z Bergen i do Bergen, my z Yngvem mogliśmy sobie chodzić, liżąc lody, a dziadek w tym czasie załatwiał sprawy, które przyjechał załatwić.

Dziadkowie mieli też ręczny wózek do przewożenia cięższych rzeczy na krótszych odcinkach, na przykład baniek z mlekiem, które codziennie rano wożono na rampę przy drodze, skąd zabierał je samochód z mleczarni. Wózek był metalowy, z kołami wielkimi jak u roweru. Wśród rzeczy, których w domu nie mieliśmy, były jeszcze kosy, zarówno te trzy duże, z drewnianym kosiskiem, jak i te małe, wymagające nachylania się przy pracy, a także wielki kamień koło drewni, na którym je ostrzono. Widły do siana, z trzema długimi, cienkimi zębami. Płaskie, ciężkie szufle, używane do przerzucania gnoju do piwnicy pod podłogą obory, oddzielonej jedynie kłapą. Elektryczny pastuch, na którego pierwszy i ostatni raz tego lata, za namową Yngvego, nasikałem. Stojaki do suszenia siana, te dziwaczne, wysokie, nieśmiałe stwory, które stały koło wszystkich domów, jakby czekając na jałmużnę, chyba że patrzyło się na nie z daleka lub po ciemku, wtedy

przypominały raczej oddziały armii ustawione w szyku bojowym. Wielka, idealnie okrągła blacha, na której babcia piekła *svele*. Czarna foremka do waflowych rożków. Filtry do mleka, płaskie metalowe urządzenia, no i same bańki na mleko, z brzuchatymi ciałami i krótkimi, pozbawionymi głowy szyjami. Gwałtownie ucinały swoje brzęczące pogawędkę, gdy napełniano je mlekiem, potem stawiano na wózku i wieziono na rampę, jedną przy drugiej, nagle dostojne i pełne powagi, chyba że któraś zachwiała się wesoło, jeśli koło wpadło w dziurę na drodze. I dziadek który każdego popołudnia stawał przy oborze i śpiewem wabił krowy.

– Chooodźcie, krówki! – śpiewał. – Chooodźcie, krówki! Chooodźcie, krówki!

Jak mogłem o tym wszystkim opowiedzieć kolegom w domu, kiedy pytali, gdzie byliśmy i co robiliśmy w wakacje? To było niemożliwe i miało pozostać niemożliwe. Te dwa światy rozdzielał nieprzebyty mur, zarówno w moim wnętrzu, jaki na zewnątrz.

W ciągu tych dwóch tygodni, które tam spędziliśmy, to, co obce, stało się domowe, natomiast to, co domowe, do czego wróciliśmy po całodziennej podróży samochodem, zdążyło stać się obce, a raczej zapadło się w jezioro obcości, bo kiedy zjeżdżaliśmy ze wzgórza za mostem na Tromøye i skręcaliśmy na ostatni odcinek drogi do domu, pomalowanego na brąz z czerwonymi ościeżnicami, otoczonego wyschniętym, wypalonym trawnikiem, z ciemnymi oknami, które patrzyły na nas z pewnym smutkiem, czułem się tak, jakbym go poznawał, a zarazem nie poznawał, bo chociaż moje spojrzenie było zaznajomione ze wszystkim, na co się natykało, coś w tym jednak stawiało opór, mniej więcej taki, jaki potrafi stawić para nowych adidasów, kiedy niemal błyszczą tą swoją nieużywanością i jakby odmawiają podporządkowania się otoczeniu, upierają się przy własnej odrębności, dopóki nie znosi się ona kilka tygodni później i nie staną się jedynie parą butów wśród innego obuwia. Jakaś część takiego wrażenia nowości przyłgnęła do osiedla, kiedy nadjechalismy, jakby nas omotała i miała ustąpić dopiero kilka dni później.

Tata zatrzymał samochód i zgasił silnik. Na kolanach mamy spał mały biały kociak. Cały rano miauczał i piszczał w klatce, a kiedy wreszcie pozwolono mu z niej wyjść, biegał tam i z powrotem po tylnym siedzeniu i wskakiwał na półkę pod tylną szybą, aż w końcu mama wzięła go na kolana, gdzie uciął i zasnął. Miał całkiem czerwone oczy, a futerko nastroszone i puszyste, lecz pod nim był maleńki. Zwłaszcza łepkę, aż mnie to uderzyło, kiedy go głaskałem i poczułem pod ręką maleńką czaszkę, ale i szyja. Taki był chudziusiński.

– Gdzie będzie mieszkał Białasek?

– A cóż to za imię? – jęknął tata, otworzył drzwiczki i wysiadł.

– Urządzimy mu mieszkanie w piwnicy – powiedziała mama. Jedną ręką uniosła kotka na wysokość piersi, a drugą otworzyła drzwiczki.

Tata przesunął siedzenie, wysiadłem na żwir, miałem zupełnie miękkie nogi. Yngve wyskoczył drugą stroną i razem ruszyliśmy za tatą do drzwi domu. Otworzył je i od razu poszedł do pralni w piwnicy, tam uchylił lufcik i wysunął przez niego końcówkę węża. Drugi koniec przykręcił do kranu i wyszedł ze zraszaczem w rękę, a mama, Yngve i ja poszliśmy do schowka, gdzie kot, który ciągle spał, dostał koszyk wyściełany kocymiem, miseczkę z wodą i drugą z kilkoma kawałeczkami kiełbasy wyjętej z lodówki. I jeszcze niską plastikową miskę z piaskiem ustawioną w rogu.

– Teraz pozamykamy wszystkie drzwi oprócz tych – oznajmiła mama. – Żeby gdzieś nie uciekł, kiedy się obudzi.

Cienkie strumyki wody padały na trawnik, tata wnosił bagaże z samochodu, Yngve, mama i ja w tym czasie jedliśmy kolację w kuchni. Była niedziela, wszystkie sklepy pozamykane, więc mama wzięła z Sørbvåg chleb, masło i coś do kanapek. Do kolacji piliśmy herbatę, ja z mlekiem i trzema łyżeczkami cukru.

Nagle kot pisnął w korytarzu. Wszyscy poderwali się i wyszliśmy. Stał na podeście schodów. Na nasz widok wrócił na dół. Ruszyliśmy za nim. Mama go wołała. Nagle przebiegł

obok nas po podłodze, popędził po schodach w stronę salonu i tam zniknął. Minęło kilka minut szukania i nawoływania, aż wreszcie Yngve go znalazł. Kociak ułożył się w wąskiej przestrzeni między regałem a ścianą, nie dało się go osiągnąć bez przesuwania całego wielkiego mebla.

Mama zeszła na dół i przyniosła tamte dwie miseczki, z jedzeniem i wodą. Ustawiła je przy regale i powiedziała nam, że kot wyjdzie, kiedy będzie miał ochotę. Kiedy sprawdziłem salon następnego dnia rano, ciągle się nie poruszył. Dopiero pod wieczór wyszedł, trochę zjadł i zaraz znów się schował. Spędził tam trzy dni. Ale kiedy wreszcie wyszedł, to już na dobre. Ciągle był trochę przestraszony, lecz coraz bardziej się do nas przyzwyczajał i po tygodniu już biegał, bawił się, wskakiwał nam na kolana i mruczał, kiedy go głaskaliśmy. Co wieczór stawał przed telewizorem i uderzał łapką w to, co się tam ukazywało. Szczególnie interesowała go piłka nożna, ignorował wszystkich zawodników, przejęty wyłącznie samą piłką, której ruchy uważnie śledził, a czasami, szukając jej, zaglądał za telewizor.

Kiedy rozpoczęła się szkoła, zaczął kasłać. Brzmiało to komicznie, niemal tak, jakby w piwnicy siedział człowiek. Powoli, niemal niezauważalnie poranki stawały się coraz chłodniejsze, aż wreszcie kałuże na drodze zaczęła pokrywać rano cienka, szklista warstewka lodu, która po kilku godzinach zniknęła, lecz mimo wszystko jesień już dawała o sobie znać. Liście na drzewach na wzgórzu ponad domem pożółkły i poczerwieniały, odrywały się od gałęzi i spadały, wirując, gdy nadciągał wiatr. Mama się rozchorowała i leżała w łóżku, zarówno kiedy wychodziłem do szkoły rano, jak i gdy wracałem kilka godzin później. Nie miała siły podnieść głowy z poduszki, kiedy przychodziłem do niej porozmawiać. Właśnie wtedy zachorował też Białasek. Prawie cały czas spędzał w swoim koszyku i kasłał. W szkole martwiłem się o niego i codziennie po powrocie do domu od razu zaglądałem do piwnicy. Byle tylko szybko wyzdrowiał! Działo się jednak odwrotnie, kotek był coraz bardziej chory, a któregoś dnia, gdy po szkole do niego pobiegłem, nie leżał w koszyku, tylko w łacie, na betonowej posadzce, po której wił się, parsłając. Dotknąłem go ręką, ale dalej tylko się mიაł.

– Mamo, mamo! – zawołałem. – On umiera! Białasek umiera!

Pobiegłem na górę do jej pokoju i szarpnięciem otworzyłem drzwi. Mama odwróciła się do mnie sennie i uśmiechnęła.

– Musisz zadzwonić do weterynarza! – krzyknąłem. – Natychmiast!

Ostrożnie usiadła.

– Co się dzieje? – spytała.

– Białasek umiera! Leży i tak się wije! Strasznie go boli! Musisz zadzwonić do weterynarza! Szybko!

– To na nic, Karl Ove. Na pewno nic mu nie pomoże. A ja jestem chora...

– Musisz zadzwonić! – krzyczałem. – Mamo, on umiera, rozumiesz?

– Nic na to nie poradzę, bardzo mi przykro. Nie da się nic zrobić.

– Ale przecież Białaseku m i e r a!

Lekko pokręciła głową.

– Ale mamo!

Westchnęła.

– Prawdopodobnie był chory już wtedy, gdy go do siebie wzięliśmy. To przecież albinos, one często by wają trochę słabsze, nic się na to nie poradzi. Nie możemy mu pomóc.

Popatrzyłem na nią oczami pełnymi łez. Po chwili trzasnąłem drzwiami i zbiegłem do piwnicy. Kot leżał na boku i pazurami drapał o podłogę, cały czas szycząc. Wstrząsały nim konwulsje. Nachyliłem się i go pogłaskałem. Potem wybiegłem z domu do lasu, aż na drugą stronę jeziora. Cały czas płakałem, biegnąc wokół wody, a kiedy znów ukazał się nasz dom, przyspieszyłem, ile sił w nogach. Chciałem jeszcze raz spróbować przekonać mamę. Przecież nie była weterynarzem, więc czy mogła wiedzieć, co się da zrobić, a czego nie? Otworzyłem drzwi i zatrzymałem się. W domu panowała zupełna cisza. Na palcach zszedłem do piwnicy. Kotek znów leżał w koszyku, zupełnie nieruchomy, z lepkiem odrzuconym w tył.

– Mam o! – zawołałem. – Musisz przyjść!

Wbiegłem na górę po schodach i znów otworzyłem drzwi do jej pokoju.

– On się w ogóle nie rusza – powiedziałem. – Możesz sprawdzić, czy już umarł? A może wyzdrowiał?

– Nie mógłbyś zacząć do powrotu taty? – spytała mama. – To już niedługo.

– Nie! – zaprotestowałem.

Przez dłuższą chwilę na mnie patrzyła.

– No dobrze, pójdę. – Odsunęła kódrę, spuściła nogi na podłogę i wstała. Wszystko to robiła bardzo powoli. Była w białej nocnej koszuli, włosy miała rozczochrane, twarz bladą i bardziej miękłą niż zwykle. Jedną ręką opierała się o szafę. Zbiegłem na dół i czekałem na nią przed drzwiami do schowka. Nagle nie chciałem wejść tam sam.

Nachyliła się nad kotem i go dotknęła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – On już nie żyje.

Spojrzała na mnie i wyprostowała się. Przytuliłem się do niej.

– Już go nic nie boli – dodała.

– No tak

Nie płakałem.

– Pochowamy go od razu? – spytałem.

– A nie lepiej poczekać, aż tata i Yngve wrócą?

– Może i lepiej.

I tak się stało. Mama leżała w łóżku, a tata zaniósł kota w kąt ogrodu. Yngve i ja sziśliśmy za nim. Wykopał dół, położył tam kota i przysypał ziemią. O żadnym krzyżu nie chciał nawet słyszeć.

Są dwa zdjęcia tego kota. Na jednym stoi przed telewizorem z uniesioną łapką i chce złapać pływaka, którego widać na ekranie. Na drugim leży na kanapie obok Yngvego i mnie. Na szyi ma niebieską kołardę.

Kto mu ją zawiązał?

Musiała to zrobić mama. Ona robiła takie rzeczy, wiem o tym, ale podczas tego mojego pisania, trwającego tyle miesięcy, w tej powodzi wspomnień o zdarzeniach i ludziach, które obudziłem do życia, jej prawie całkiem nie ma, jakby w ogóle jej tam nie było, jakby wręcz należała do tych fałszywych wspomnień, które zrodziły się w wyniku opowieści, a nie samych przeżyć.

Z czego to może wynikać?

Przecież jeśli był ktoś na dnie tej studni, jaką jest dzieciństwo, to właśnie ona, moja matka, mama. To ona szykowała nam wszystkie posiłki, co wieczór gromadziła nas wokół siebie w kuchni. To ona kupowała, robiła na drutach i szyła nasze ubrania. To ona je latała, kiedy się darły. To ona przynosiła plaster na potłuczone kolana, to ona zawiozła mnie do szpitala, kiedy złamałem obojczyk i do lekarza, kiedy już mniej spektakularnie dostałem świerzbę. To ona szalała z niepokoju, gdy jakaś dziewczynka umarła na zapalenie opon mózgowych, a ja w tym samym czasie się przeziębilem i miałem trochę sztywny kręgosłup, natychmiast wsadziła mnie wtedy do samochodu i wciskając gaz do dechy, zawiozła do Kokkeplassen, z lękiem wyzierającym z oczu. To ona nam czytała, to ona myła nam głowy podczas kąpieli, to ona wkładała nam później piżamy. To ona woziła nas wieczorami na treningi piłki nożnej, chodziła na wywiadówki, zasiadała wśród rodziców podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego i robiła nam zdjęcia. To ona klejała je później do albumu. To ona piekła torty na nasze urodziny, ciasta na święta i pączki na tłusty czwartek.

Wszystko to, co matki robią dla swoich synów, ona robiła dla nas. Jeśli się rozchorowałem i leżałem rozpalony, to ona kładła mi zimny kompres na czoło. Ona wtykała mi termometr w pupę, żeby zmierzyć gorączkę, przynosiła wodę, sok, winogrona, herbatniki, wstawała w nocy i w samej koszuli przychodziła sprawdzić, jak się czuję.

Zawsze była, wiem o tym, tylko że tego nie pamiętam.

Nie mam żadnych wspomnień z tego, jak mi czytała. Nie przypominam sobie żadnego plastra, który by mi przyklejała na kolano, ani jej obecności na którymkolwiek z zakończeń roku.

Z czego to może wynikać?

Ocalała mnie, bo gdyby jej nie było i gdybym dorastał tylko z tatą, prędzej czy później, w taki czy inny sposób, odebrałbym sobie życie. No ale ona była, równoważąc mrokotaty, ja żyję, a to, że żyję bez radości, nie ma żadnego związku z brakiem równowagi w dzieciństwie. Żyję, mam własne dzieci, a w związku z nimi zawsze zależało mi w zasadzie na jednej jedynej rzeczy, mianowicie na tym, żeby nie bały się własnego ojca.

Nie boją się. Wiem to na pewno.

Kiedy wchodzi do pokoju, w którym siedzą, nie kulą się, nie wbijają oczu w podłogę, nie wymyślają się, gdy tylko nadarzy się taka sposobność, a kiedy na mnie patrzą, to obojętnie, rejestrująco. I jeśli cieszy mnie, że ktoś mnie nie zauważa, to cieszę się, że nie zauważają mnie moje dzieci. Jeśli cieszy mnie, że ktoś przyjmuje mnie za oczywistość, to cieszę się, że jestem oczywistością dla moich dzieci. A gdyby w wieku czterdziestu lat miały zupełnie nie pamiętać, że kiedyś przy nich byłem, to uklonię się i przyjmę to z głęboką wdzięcznością.

* * *

Tata sam wiedział, że tak jest. Brak samoświadomości nie był jedną z jego wad. Któregoś wieczoru na początku lat osiemdziesiątych powiedział panu Prestbakmo, że to mama ocaliła jego dzieci. Pozostaje pytanie, czy to wystarczyło. Pozostaje pytanie, czy nie ona była odpowiedzialna za to, że przez tyle lat byliśmy narażeni na jego obecność, na obecność człowieka, wobec którego odczuwaliśmy fundamentalny strach, zawsze, o każdej porze. Pozostaje pytanie, czy to wystarczy, by zrównoważyć mrok.

Ona dokonała wyboru, została z nim, musiała mieć ku temu powód.

To samo dotyczy jego. On również dokonał wyboru, również został z nią. Przez całe lata siedemdziesiąte i początek lat osiemdziesiątych właśnie tak żyli, obok siebie w domu na Tybakken, z dwojgiem dzieci, z dwoma samochodami i dwiema pracami. Mieli jedno życie poza domem, jedno życie w domu w roli kogoś, kim byli dla siebie nawzajem, i jedno życie w domu w roli kogoś, kim byli dla nas. My, jako dzieci, przypominaliśmy psy w tłumie ludzi, zainteresowane wyłącznie innymi psami czy psimi rzeczami, nigdy nie zwracaliśmy uwagi na nic, co się działo ponad naszymi głowami. Kim tata był na zewnątrz, jedynie wyczuwałem, bo coś jednak przesączało się nawet do mnie, ale nigdy nie miało to żadnego większego sensu. Zawsze był dobrze ubrany, tyle zauważyłem, ale nie wiedziałem, jakie to miało znaczenie. Dopiero kiedy dorosłem i spotkałem kilku jego byłych uczniów, potrafiłem go ujrzeć w tej roli. Młodego, szczupłego, dobrze ubranego nauczyciela, który wysiadał ze swojej ascony, zdecydowanym krokiem wchodził do pokoju nauczycielskiego, odkładał teczkę z papierami, nalewał kawy do filiżanki, zamieniał kilka słów z kolegami, szedł na lekcję, gdy rozlegał się dzwonek, wieszal brązową sztruksową marynarkę na oparciu krzesła i patrzył na milczących, wpatrzonych w niego uczniów. Miał czarną wypielęgowaną brodę, niebieskie błyszczące oczy, piękną twarz. Chłopcy z jego klasy bali się go, był surowy, nie tolerował żadnych wybryków. Dziewczyny się w nim podkochiwały, bo był młody, otaczała go silna aura i różnił się od pozostałych nauczycieli. Lubił uczyć, miał do tego talent. Potrafił zaczarować klasę, gdy z przejęciem o czymś opowiadał. Jego ulubionym pisarzem norweskim był Obstfelder^[5], ale cenił również Kincka^[6], a ze współczesnych – Bjørneboega^[7].

W stosunkach z kolegami był poprawny, ale zawsze utrzymywał dystans. Dystans przejawiał się w ubraniu, wielu innych nauczycieli potrafiło przyjąć do szkoły w ludowych koszulach bez kołnierzyka i džinsach, albo nosić ten sam garnitur przez kilka miesięcy z rzędu. Dystans przejawiał się też w jego rzeczowości. Dystans przejawiał się w mowie ciała, pozie, aurze.

Zawsze wiedział o nich więcej niż oni o nim. Ta zasada obowiązywała w całym jego życiu, dotyczyła wszystkich, nawet jego rodziców i braci. A może zwłaszcza ich.

Po powrocie ze szkoły do domu szedł do swojego gabinetu i przygotowywał się do wieczornych zebrań; był reprezentantem Lewicy w zarządzie i radzie gminy, oprócz tego zasiadał w kilku komisjach, a w jakimś momencie miał kandydować do parlamentu z ramienia swojej

partii, przynajmniej tak mówił. Ale to, co mówił, nierzadko miało się z prawdą. Notorycznie manipulował faktami wśród ludzi, którzy go otaczali, chociaż nie w pracy i nie w polityce, tam był uczciwy i przyzwoity. Należał również do klubu filatelistycznego w Grimstad i brał udział w rozmaitych wystawach, na których prezentował swoje zbiory. W letniej połowie roku pracował w ogrodzie, również do tego podchodził ambicjonalnie i perfekcyjnie, jeśli w ogóle można sobie coś takiego wyobrazić w związku z ogródkiem otaczającym dom na osiedlu z lat siedemdziesiątych. Zainteresowanie wszystkim, co rośnie, odziedziczył po matce i być może właśnie o tym rozmawiał z nią najczęściej, o rozmaitych roślinach, krzewach i drzewach i o swoich doświadczeniach z nimi. Słońce, ziemia, wilgotność, kwasowość. Szczepienie, przycinanie, podlewanie. Przyjaciół nie miał. Wszelkie jego kontakty towarzyskie ograniczały się do pokoju nauczycielskiego i do rodziny. Często odwiedzał rodziców, braci, wujów i ciotki, ci zaś równie często odwiedzali jego. Dla nich miał zastrzeżony ton, obcy mnie i Yngvem, dlatego przyglądaliśmy się temu podejrzliwie.

Życie mamy pod wieloma względami różniło się od jego życia. Miała wiele przyjaciółek, większość z pracy, lecz również z innych miejsc, zwłaszcza z sąsiedztwa. Przesiadywała z nimi i rozmawiała lub, jak mówił tata, „trajkotała”, paliły papierosy, jadły upieczone przez siebie ciasta albo robiły na drutach w chmurze tytoniowego dymu, który w latach siedemdziesiątych gęsto zalegał w tak wielu salonach. Interesowała się polityką, optowała za silnym państwem, dobrze rozbudowaną służbą zdrowia, równymi prawami dla wszystkich, prawdopodobnie popierała ruch wyzwolenia kobiet i ruchy pokojowe, była przeciwna kapitalizmowi i rosnącemu materializmowi, zapewne sympatyzowała z ruchem „Przyszłość w naszych rękach” Dammanna^[8], krótko mówiąc, trzymała się lewej strony. Sama mówiła, że między dwudziestką a trzydziestką znajdowała się w stanie przypominającym letarg, kiedy wszystko kręciło się wokół pracy, dzieci i wysiłków, by życie jakoś toczyło się dalej, sytuacja finansowa pozostawała napięta, należało walczyć, by związać koniec z końcem, ale po przekroczeniu trzydziestki znów dostrzegła samą siebie i społeczeństwo, którego część stanowiła. Podczas gdy tata rzadko sięgał po coś innego niż lektury obowiązkowe, ją ogólnie bardzo interesowała literatura. Była idealistką, on pragmatykiem, ona filozofką, on praktykiem.

Wychowywali nas wspólnie, chociaż sam nigdy tak tego nie postrzeżalem, zawsze ich bardzo wyraźnie rozróżniałem i traktowałem jak dwie zupełnie osobne istoty. Wieczorami, kiedy już spaliśmy, rozmawiali o sąsiadach, kolegach z pracy, o nas, dzieciach, albo dyskutowali o polityce czy literaturze. Z rzadka jeździli bez nas na urlop, do Londynu, do doliny Renu albo w góry, my z Yngvem byliśmy wtedy u dziadków, jednych albo drugich. Wcielali w życie ideę równouprawnienia w większym stopniu niż rodzice moich kolegów, tata sprzątał i gotował, czego nie robił żaden inny ojciec. Do tego dochodziło jeszcze gromadzenie zapasów, co w tym czasie bardzo ich zajmowało – wszystkie te ryby, które tata łowił po stronie otwartego morza, i te setki litrów rozmaitych owoców i jagód, zwożonych ze wsi, zbieranych późnym latem i jesienią. Później robili z nich soki i dżemy, zamykali w butelkach i słoikach, które przez całą zimę stały na półkach w piwnicy, leciutko się żarząc w świetle wpadającym przez okienko pod sufitem. Maliny, jeżyny, borówki i moroszkę, tata, gdy w górach natrafił na te ostatnie, potrafił aż krzyzczeć z radości. Tarnina na wino. Oprócz tego płacili za możliwość samodzielnego zbierania owoców w ogrodach na Tromøi, stamtąd mieliśmy jabłka, gruszki i śliwki. No i była jeszcze wiśnia, która

rosła u wuja taty, Alfa, w Kristiansand, i oczywiście drzewa owocowe jednej i drugiej babci. Nasze dni były rozplanowane i przejrzyste. W niedziele – niedzielny obiad z deserem, w tygodniu – głównie ryba w rozmaitych formach i wariantach. Zawsze wiedziliśmy, na którą idziemy do szkoły następnego dnia, ile będziemy mieli lekcji i jakich. Lecz również to, co działo się wieczorem, miało swoje ramy, ponieważ było uzależnione od pory roku – jeżeli spadł śnieg lub przyszedł mróz, wtedy liczyły się narty i łyżwy. Jeśli temperatura wody wzrastała powyżej piętnastu stopni, to się kąpaliśmy, i w słoneczne dni, i w deszczowe. Jedynym naprawdę nieprzewidywalnym elementem w tym życiu, powtarzającym się przez kolejne jesienie, zimy, wiosny i lata, był mój ojciec. Bałem się go tak, że nawet przy największym wysiłku woli nie jestem w stanie oddać tego strachu. Uczuć, jakie wobec niego żywiłem, nigdy później nie doznałem, nawet się do nich nie zbliżyłem.

Jego kroki na schodach, czyżby szedł do mnie?

Dziłość w oczach. Grymas na twarzy, skrzywione usta, niekontrolowane, rozchylające się wargi. I jego głos.

Nawet teraz, kiedy tu siedzę, mam go w uszach i jestem bliski płaczu.

Jego wściekłość nadciągała jak fala, przelewała się przez pokoje, uderzała we mnie, waliła raz po raz, a potem się cofała. Spokój mógł zalec na kilka tygodni. Ale mimo to spokoju nie było, bo wściekłość mogła równie dobrze powrócić za dwie minuty jak za dwa dni, bez żadnych ostrzeżeń. Nagle po prostu stawał się wściekły. Nie miało większego znaczenia, czy wtedy bił. Tak samo się bałem, kiedy wykręcał mi ucho, ścisnął mnie za ramię albo ciągnął mnie gdzieś, żebym zobaczył, co zrobiłem. Nie bólu się bałem, tylko jego. Głosu, twarzy, ciała, tej wściekłości, która z niego biła. Tego się bałem. I ten lęk nigdy mnie nie opuszczał. Tkwił we mnie codziennie, przez całe dzieciństwo.

Po takich konfrontacjach chciałem umrzeć. Fantazje o własnej śmierci należały do najprzyjemniejszych. Dobrze mu tak. Niech sobie myśli o tym, co zrobił, niech żałuje. Ach, jak gorzko by żałował! Już widziałem, jak stoi i załamuje ręce z rozpaczą, z głową uniesioną ku niebu, przy małej trumience, w której leżą ze swoimi wystającymi zębami, wciąż nieumiejący wymówić „r”.

Jaka słodycz kryła się w tym obrazku! Wprawiała mnie z powrotem niemal w dobry humor. Tak właśnie było w dzieciństwie. Dystans między tym, co dobre, a tym, co złe, był o wiele krótszy niż w dorosłym wieku. Wystarczyło wysunąć głowę za drzwi, a już działo się coś fantastycznego. Już samo pójście do B-Maxu i czekanie na autobus było wielkim wydarzeniem, mimo że powtarzało się niemal codziennie przez kilka lat. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Ale kiedy wszystko migotało od wilgoci we mgle, kiedy buty nasiąkały wodą ze śniegowego błota pokrywającego asfalt, śnieg w lesie zbijał się i twardniał, a my staliśmy w grupie i gadaliśmy lub graliśmy w coś, albo biegaliśmy za dziewczynami, żeby podstawić im nogi, zrywać czapki czy po prostu popychać je w zaspę, i kiedy czułem którąś z nich przy sobie w momencie, gdy z całej siły ścisnąłem ją w pasie, może Marianne, może Siv albo Marian, bo zawsze to którąś z nich wyróżniałem i myślałem o niej więcej niż o innych, wtedy drżały mi wszystkie nerwy, a w piersi musowała radość – ale z czego? Ach, z tego mokrego śniegu! Z mokrych puchówek! Z tyłu ładnych dziewczynek! Z autobusu, który podjeżdżał, podzwaniając łańcuchami. Z zaporowanych szyb, z naszych krzyków i hałasów. Z tego, że Anne Lisbet tam siedziała, ciągle taka wesola

i ładna, tak samo ciemnowłosa i czerwonousta jak zawsze. Każdy dzień był świętem, w tym sensie, że wszystko, co się działo, aż drżało od emocji i że nic tak naprawdę nie dawało się przewidzieć. Nie kończyło się to z chwilą podjechania autobusu, wtedy dopiero się zaczynało, bo mieliśmy przed sobą cały dzień w szkole, wraz z tym przeobrażeniem, które się dokonywało, gdy mokre ubrania zostawały odwieszane na haczyki i wchodziliśmy do klasy w samych skarpetkach, z czerwonymi policzkami, rozczochranymi, wilgotnymi na końcach włosami, które wcześniej wystawały spod czapek. Gdy nadchodziła przerwa, z rozsadzającą nas niecierpliwością bieglismy po schodach, korytarzami, na dwór, przez dziedziniec i w dół skarpy, na boisko. A potem powrót do domu, słuchanie muzyki, czytanie, może przypinanie nart i zjazd po stromym zboczach nad Ubekilen, gdzie zawsze byli już inni, zjeżdżanie ze stoku z takim zapalem, jaki ma się jedynie w dzieciństwie, a potem podchodzenie jodełką do góry i znów zjazd, aż do chwili gdy ciemność tak gęstniała, że nie widzieliśmy nic na wyciągnięcie ręki, wtedy stawaliśmy nachyleni, oparci na wciśniętych pod pachy kijach i gadaliśmy o wszystkim, o czym się dało.

Błysk lodu na zatoce, pokrytego dziesięciocentymetrową warstwą wody. Światła domów na osiedlu, tworzące coś w rodzaju kopyły ponad lasem. Wszystkie wzmacniane przez ciemność dźwięki, za każdym razem, gdy ktoś zmienił pozycję i niebieskie mininarty stuknęły o siebie albo wbiły się głębiej w miękki śnieg. Samochód nadjeżdżający wąską szutrową drogą, garbus należący do tych, którzy tu mieszkali, jego światła na chwilę czy dwie rozlewały się po łące i wszystko nagle w upiorny sposób się otwierało, ale zaraz znów wokół nas zamykała się ciemność.

Nieskończoność takich chwil, zawsze jednakowo gęstych i nasyconych – właśnie z nich składało się dzieciństwo. Niektóre potrafiły wnieść mnie na takie wyżyny, że aż kręciło mi się w głowie, tak jak tamten wieczór, kiedy zacząłem chodzić z Tone i to biegłem, to ześlizgiwałem się ze wzgórza drogą, którą, sądząc po jej lśniącej powierzchni, przed chwilą musiał przejechać pług, a gdy dotarłem do ciemnego obszaru między drogami koło naszego domu, położyłem się w białym puchu na plecach, patrzyłem w gęstą, wilgotną, pozbawioną światła ciemność nade mną i czułem pełnię szczęścia.

Inne chwile potrafiły otwierać przede mną otchłań, tak jak tamten wieczór, kiedy mama oznajmiła, że w przyszłym roku zaczyna na naukę w szkole. Siedzieliśmy wtedy przy kolacji.

– Szkoła jest w Oslo – powiedziała. – To tylko rok. Co piątek będę przyjeżdżać do domu i zostawać na cały weekend. W poniedziałek będę tam wracać. Trzy dni tutaj i cztery dni tam.

– To znaczy, że zostaniemy sami z tatą? – spytał Yngve.

– Tak. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Będziecie spędzać więcej czasu ze sobą.

– Dlaczego idziesz do szkoły? – spytałem. – Przecież jesteś dorosła.

– Istnieje coś takiego, co się nazywa uzupełnianiem wykształcenia – wyjaśniła. – Będę się uczyć więcej o moim zawodzie. To bardzo interesujące, naprawdę.

– Nie chcę, żebyś jechała.

– To tylko rok. No i będę w domu spędzać trzy dni w tygodniu. I wszystkie ferie. Będę miała długie ferie.

– I tak nie chcę – powtórzyłem.

– Rozumiem – powiedziała mama. – Ale na pewno wszystko będzie dobrze. Tata chce pobycć

z wami. W przyszłym roku będzie odwrotnie. Wtedy to tata będzie się kształcił, a ja zostanę w domu.

Wypiłem ostatni łyk herbaty przez prawie całkiem zamknięte usta. Piłem tak, żeby się sączyła i żeby nie połknął żadnego z czarnych, mokrych listków leżących na dnie.

Uniosłem się, sięgnąłem po ciężki imbryk z herbatą i obiema rękami przysunąłem go do filiżanki. Nalałem i odstawiłem na miejsce. Herbata była prawie całkiem czarna, tak długo już naciągała. Dolałem sobie dużo mleka i wyspałem trzy wielkie łyżki cukru.

– Cukier z herbatą – stwierdził Yngve.

– I co z tego? – odparowałem.

W tej samej chwili na schodach rozległy się kroki taty.

A ja nalałem sobie do pełna! Musiałem teraz tu siedzieć, dopóki wszystkiego nie wypiję. Yngve mógł się niczym nie martwić, wstał i wyknął się do siebie.

Tata pełny mi złości krokami i minął kuchnię. Włączył telewizor i usiadł w fotelu.

– Nie chcesz kolacji? – spytała mama.

– Nie – odparł.

Dolałem jeszcze trochę mleka, żeby ostudzić herbatę, i wypięm ją trzema haustami.

– Dziękuję! – powiedziałem, wstając.

– Na zdrowie – odparła mama.

Nowina była szokująca, ale szok minął, kiedy szedłem później do swojego pokoju, był kwiecień, szkoła mamy miała się zacząć dopiero w sierpniu, za cztery miesiące, a w dzieciństwie cztery miesiące to wieczność. Uzupełniające kształcenie mamy należało do przyszłości w taki sam mglisty sposób, jak na przykład moje gimnazjum, konfirmacja czy osiemnaste urodziny. Znajdowałem się w samym środku dzieciństwa, a w nim pojęcie czasu nie istniało. To znaczy chwile gnały w dzikim pędzie, ale upływ dni, w których się zawierały, był nieuchwytny. Nawet gdy nadszedł dzień zakończenia roku szkolnego i przestaliśmy już być trzecioklasistami, nie myślałem wcale o tym, że mama niedługo wyjeżdża, bo czyż od tego momentu nie oddzielały nas całe długie letnie wakacje? Dopiero kiedy zaczęła w sypialni szykować ubrania, a na podłodze stała walizka z rozdziawioną paszczą, zrozumiałem, że to już. Jednocześnie działo się tyle innych rzeczy, następnego dnia znów zaczynała się szkoła, w której my, czwartoklasiści, zdecydowanie zaczęliśmy się zaliczać do najstarszych dzieci. Mielśmy przenieść się do nowej klasy i co ważniejsze, dostać nową wychowawczynię. W moim pokoju leżał nowy tornister, a w szafie wisiały nowe ubrania. Myśl o tym wszystkim laskotała mnie w brzuchu i chociaż smutno mi się zrobiło, kiedy zobaczyłem, że mama się pakuje, nie byłem o wiele smutniejszy niż zazwyczaj, kiedy jechała do pracy.

Przerwała pakowanie i spojrzała na mnie.

– Wrócę do domu już w czwartek – przypomniała. – To tylko cztery dni.

– Wiem. Niczego nie zapomniałaś?

– Wiesz, że chyba nie. Pomożesz mi zamknąć walizkę? Uklęknij na niej, żeby się dobrze

zamknęła.

Zrobiłem tak, jak poprosiła.

Na górę wszedł tata.

– Gotowa jesteś? – spytał, ruchem głowy wskazując walizkę. – Wezmę ją.

Mama mnie uściskała i ruszyła za nim na dół.

Obserwowałem ich z okna łazienki. Kiedy wsiadała do zielonego garbusa, miałem wrażenie, że jest zwyczajne popołudnie, że po prostu musi jechać do pracy. Wszystko tak samo, oczywiście oprócz tej walizki w bagażniku. Pomachałem jej, odmachała, włączyła silnik, cofnęła się pod górkę, wrzuciła bieg, samochód przypominający żuka zjechał na drogę i zniknął.

Co się teraz stanie?

Jak będą wyglądały dni?

To przecież mama wiązała je ze sobą, to ona stanowiła centrum mojego życia i życia Yngvego. Wiedzieliśmy o tym, wiedział też o tym tata, ale może ona nie wiedziała? Bo jak inaczej mogła tak po prostu wyjechać?

Noże i widelce pobrzękują o talerze, poruszają się łokcie, głowy pozostają w bezruchu, plecy proste. Nikt nic nie mówi. To my, ojciec i dwaj synowie, siedzimy przy stole i jemy. Ze wszystkich stron otaczają nas lata siedemdziesiąte.

Cisza narasta. Wyczuwamy to wszyscy trzej, ta cisza nie jest z rodzaju tych, które się rozwiewają, to taka cisza, która trwa do końca życia. Owszem, można coś wśród niej powiedzieć, można mówić, ale ona wcale z tego powodu nie zniknie.

Tata odłożył łyżkę na talerz z lupinami ziemniaków i wziął sobie drugiego kotleta. My z Yngvem dostaliśmy tylko po jednym.

Yngve już zjadł.

– Dziękuję – powiedział.

– Jest jeszcze deser – oznajmił tata.

– Nie chcę. To znaczę dziękuję.

– Dlaczego nie chcesz? – spytał tata. – To ananas z bitą śmietaną, przecież lubisz.

– Robią mi się od tego pryszczki – odparł Yngve.

– Ach tak? No to możesz odejść od stołu.

Kiedy Yngve wstawał, tata patrzył na mnie, jakby Yngve wcale nie istniał.

– Ale ty chcesz zjeść deser, Karl Ove?

– Jasne! To przecież najpyszniejsze na świecie!

– To dobrze.

Siedziałem i wyglądałem przez okno, czekając, aż tata skończy jeść. Z pokoju Yngvego dochodziła muzyka. Gromada dzieci zebrała się na drodze, położyły dwa kamienie na ziemi jako bramkę, zaraz potem dało się słyszeć ciężkie dudnienie stóp kąpiących sflaczałą piłkę i rozległy się okrzyki, zawsze towarzyszące grze w nogę, bez względu na to, w jakiej formie się ona odbywa.

Tata wreszcie wstał, zebrał talerze, oczyścił je z resztek nad wiadrem na śmieci. Jedną miseczkę ananasa z bitą śmietaną postawił przede mną, drugą przed sobą.

Jedliśmy, nie odzywając się do siebie.

– Dziękuję – powiedziałem i wstałem.

Tata nie odpowiedział, ale też wstał, nalał wody do dzbanka, z szafki wyjął kawę.

Potem się odwrócił.

– Posłuchaj – zaczął.

– Tak?

– Nie wolno ci się wyśmiewać z Yngvego z powodu pryszczki, rozumiano? Nie chcę nigdy słyszeć na ten temat ani słowa.

– Dobrze.

Stałem, czekając na dalszy ciąg.

Ale tata odwrócił się i nożyczkami obciął róg torebki z kawą, więc poszedłem do pokoju Yngvego; siedział i grał na swojej gitarze elektrycznej, czarnej podróbce Les Paula, która tak mnie zdziwiła, kiedy usłyszałem ją pierwszy raz, bo byłem przekonany, że bez wzmacniacza nie wydobędzie się z niej żaden dźwięk. No ale się wydobywał. Yngve brzdąkał na niej, z twarzą pełną pryszczki.

– Zagramy w coś? – spytałem.

– Ja już gram.

– W jakąś grę, idioto.

– Może w „Zbierz pięćdziesiąt dwie karty”.

– Ale śmieszne. W to można zagrać tylko raz, a ja już grałem. Nauczysz mnie jakiegoś chwytu?

– Nie teraz. Kiedy indziej.

– Tak cię proszę.

– No dobrze. Jednego. Usiądź tutaj.

Usiadłem obok niego na łóżku. Włożył mi gitarę do rąk. Trzy palce położył na gryfie.

– To jest E – oznajmił i cofnął rękę.

Przyłożyłem palce w to samo miejsce.

– Dobrze – powiedział. – A teraz uderz w struny.

Uderzyłem, ale tylko niektóre się odezwały.

– Musisz przycisnąć mocniej – poinstruował mnie Yngve. – I uważać, żeby pozostałe palce nie tłumili luźnych strun.

– Aha. – Spróbowałem jeszcze raz.

– Teraz było dobrze. Teraz już umiesz zagrać E.

Oddałem mu gitarę i wstałem.

– Pamiętasz, które struny są które?

– E, A, D, G, H, E.

- Dobrze. Teraz brakuje ci tylko bandy.
- Musiałbym pożyczyć gitarę od ciebie.
- Gitary nie dostaniesz.

Nic nie powiedziałem, bo to się mogło szybko zmienić.

- Na którą lekcję jutro idziesz? – spytałem, zamiast dyskutować dalej.
- Na pierwszą. A ty?
- Ja chyba zaczynam o jedenastej.
- Chyba?
- Nie, na pewno.
- A tata?
- Na pewno na pierwszą.

To były dobre wiadomości. Zostanę kilka godzin sam w domu.

Odwrociłem się i poszedłem do siebie. Nowy tornister stał przy nodze biurka. Tamten niebieski, prostokątny, który miałem przez wszystkie te lata, zrobił się za mały i zbyt dziecinny. Ten, który dostałem teraz, był ciemnozielony, z syntetycznego materiału, i niebiańsko pachniał.

Przez chwilę go wąchałem. Potem puściłem *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*, położyłem się na łóżku na plecach i patrzyłem w sufit.

Getting so much better all the time!

It's getting better all the time!

Better, better, better!

It's getting better all the time!

Better, better, better!

Getting so much better all the time!

Muzyka mnie poderwała, zacząłem jedną ręką wywijać w powietrzu, jednocześnie wymachując głową w przód i w tył, całym sobą czułem radość. *Beta, beta, beta*, śpiewałem. *Beta, beta, beta*.

Kiedy wysypaliśmy się z autobusu, pomalowana na czarno szkoła błysnęła do nas swoimi wieloma oknami. Należeliśmy teraz do starszych uczniów, wiedzieliśmy już, jak mamy się zachowywać i co nas czeka. Nowi pierwszoklasiści stali z rodzicami i słuchali dyrektora przemawiającego koło masztu z flagą, wystrojeni, z ulizanymi włosami, a my się przechadzaliśmy, spluwaliśmy albo opieraliśmy się o ścianę wiaty przeciwdeszczowej, rozmawiając o tym, co robiliśmy latem. Trzy krowy w wiejskiej zagrodzie nie mogły już nikomu zaimponować, lecz chociaż latem wyjechaliśmy tylko do Sørbovåg, gdzie spędziłem tydzień sam z Jonem Olavem i resztą, i tak miałem co opowiadać, bo była tam też dziewczyna, moja dalsza kuzynka, jasnowłosa Merethe, która mieszkała pod Oslo. Powiedziałem, że z nią chodziłem,

i chociaż nie było to porównywalne z Lisebergiem w Göteborgu, największym wesołym miasteczkiem w Europie Północnej, to jednak lepsze niż nic.

Dziewczyny wyciągnęły z nieznanych mi skrytek zwoje gumy i zaczęły skakać.

A raczej tańczyć.

Namówiliśmy je, by gumę wykorzystać do skoków wzwyż, bo wtedy mogliśmy się z nimi bawić, nie tracąc twarzy przed innymi chłopakami. Dwie dziewczyny trzymały gumę, a my po kolei podbiegaliśmy do niej, wyrzucaliśmy nogi w górę i lądowaliśmy z drugiej strony.

Z prawdziwą radością patrzyło się na dziewczyny, jak wzbijają się w powietrze z nogami w górę, z elegancją i pełną kontrolą nad ciałem.

Szuu, rozlegało się i już stały pewnie po drugiej stronie.

Podnosiliśmy wysokość, aż w końcu została tylko jedna osoba.

Miałem nadzieję, że będę to ja, bo również Anne Lisbet się do nas przyłączyła, ale wygrała, jaktyle razy wcześniej, Marianne.

Tup, tup, tup, a potem szuuu, skakała i pewnie pokonywała poprzeczkę.

Uśmiechała się skromnie, palcem odgarniała na bok długie do ramion jasne włosy, a ja zastanawiałem się, czy to w niej będę się kochał w tym roku.

Prawdopodobnie nie. Przecież chodziła do mojej klasy.

A może to będzie któraś dziewczyna z klasy A?

A może, hej, cudowna przyszłości, może jakaś z innej szkoły?

Na pierwszej lekcji, kiedy dostaliśmy już plan zajęć i kilka nowych podręczników, po kolei opowiadaliśmy, jak spędziliśmy wakacje. Na drugiej miały się odbyć wybory do nowego samorządu szkolnego. W poprzednim roku razem z Siv reprezentowałem klasę i uważałem, że ponowny wybór będzie jedynie formalnością, aż do chwili kiedy Eivind podniósł rękę i zgłosił, że on też chce kandydować. Do wyborów stanęło w końcu sześć osób. Zgłoszenie Eivinda sprawiło, że zламаłem niepisana zasadę mówiącą, iż nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno głosować na samego siebie. Pomyślałem, że sprawa może się rozstrzygnąć o włos, i właśnie ten jeden mój głos może okazać się decydujący. Wykluczyłem, by ktoś mógł się dowiedzieć, że głosowałem sam na siebie. Wybory były przecież tajne, jedyną osobą, która oglądała karteczki z wypisywanymi przez nas imionami, a tym samym mogła mnie odkryć po charakterze pisma, była Pani, a ona przecież nie rozpozna.

Jak mogłem popełnić aż taki błąd?

Napisałem na karteczce drukowanymi literami KARL OVE, zagiąłem ją i podałem Pani, a ona wrzuciła ją jak wszystkie inne do kapelusza. Na tablicy wypisała imiona sześciorga kandydatów, a potem zawołała Sølvi – ze wszystkich wybrała akurat ją – do odczytywania kartek. Po każdym odczytaniu przez Sølvi imieniu Pani stawiała przy nim krzyżyk.

Mijał czas, a nikt nie głosował na mnie. Początkowo prawie wszystkie głosy były na Eivinda, na pewno samych chłopców. Nagle jednak, ku swemu przerażeniu, zorientowałem się, że prawie nie ma już karteczek. Nie dostałem żadnego głosu! Jak to możliwe?

No ale wreszcie jest.

– Karl Ove – przeczytała Sølvi, a Pani postawiła krzyżyk przy moim imieniu.

– Eivind – kontynuowała Sølvi.

– Eivind.

– Eivind.

– To już chyba koniec. Zaraz zobaczymy. W tym roku klasę w samorządzie szkolnym reprezentować będą Eivind i Marianne!

Wbiłem wzrok w stół.

Jeden głos.

Jakto możliwe?

W dodatku mój własny.

Ale przecież byłem najlepszy w klasie! W każdym razie z norweskiego! I z przyrody! Z matematyki miałem drugie miejsce, no, może trzecie, ale łącznie? Kto był łącznie lepszy ode mnie?

Okej. Eivind wygrał. Ale jeden głos? Jakto możliwe?

Nikt nie głosował na mnie?

Musiała zająć jakaś pomyłka.

N i kt?

Kiedy otworzyłem drzwi do domu, tata stał tuż za nimi.

Przestraszyłem się.

Jakmu się to udało? Czyżby po prostu stał tu i czekał?

– Musisz iść do B-Maxu – oświadczył. – Masz. – Podał mi listę zakupów i sto koron. – Chcę całą resztę z powrotem, zrozumiano?

– Tak – Odstawiłem tornister i wybiegłem na drogę.

Jeśli na coś uważałem na tym świecie, to na resztę. Wkrótce po otwarciu B-Maxu Yngve przyniósł do domu za mało pieniędzy. Tata sprawił mu takie lanie, jakiego nigdy wcześniej nie dostał. A to znaczyło niemało, bo Yngve często dostawał lanie. O wiele częściej niż ja. Tak, ja się łatwiej ze wszystkiego wywijałem. Nawet spać mogłem chodźć później niż on w moim wieku.

Spojrzałem na kartkę.

1 kg ziemniaków

1 op. kotletów siekanych

2 cebule

kawa (do gotowania)

1 puszka ananasa

1/4 l śmietanki kremówki

1 kg pomarańczy

A n a n a s? Znów mieliśmy mieć deser? W poniedziałek?

Włożyłem zakupy do koszyka, przez kilka minut przeglądałem jakieś czasopisma na półce przy ladzie, zapłaciłem, resztę schowałem do kieszeni i pobiegłem do domu, wymachując dość ciężką torbą.

W kuchni wręczyłem ją tacie razem z pieniędzmi, które schował do kieszeni, a potem stałem i czekałem, aż powie, że mogę iść. Ale tak nie powiedział.

– Siadaj! – Wskazał krzesło.

Usiadłem.

– Wyprostuj się, chłopcze!

Wyprostowałem się.

Wyjął z torby ubrudzone ziemią kartofle i zaczął je plukać.

Czego chciał?

– I co? – Odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć; w tym czasie dłonie cały czas pracowały w strumieniu wody pod kranem.

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Jak początek roku? – spytał.

– Roku?

– Tak, jak uku. Pani nie miała wam nic ciekawego do powiedzenia w pierwszy dzień szkoły?

– No, przywitała nas. Dostaliśmy plan lekcji i kilka książek.

– I jak ten plan lekcji wygląda? – Podeszedł do szafki przy kuchence i wyjął garnek.

– Mam przynieść?

– Nie, nie. Chyba coś pamiętasz? Nieźle wygląda?

– Tak – powiedziałem. – Całkiem nieźle.

– To dobrze.

Tego wieczoru zrozumiałem, co to oznacza, że mamy nie ma.

Pokoje były martwe.

Tata siedział na dole w gabinecie, a salon i kuchnia pozostawały zupełnie bez życia. Zakradłem się tam na palcach i ogarnęło mnie uczucie, którego czasem doznawałem, kiedy byłem sam w lesie, a las był na tyle zajęty samym sobą, że nie chciał mnie do siebie dopuścić.

Pokoje były tylko pokojami. Jakąś otchłanią, w którą wchodziłem.

Na szczęście nie mój. Ten wpuścił mnie do siebie łagodnie i życzliwie jak zawsze.

Dzień później w B-Maxie podeszli do mnie Sverre i Geir Håkon. Kilka innych osób z klasy stało w pobliżu.

– Na kogo wczoraj głosowałeś, Karl Ove? – spytał Geir Håkon.

– To tajemnica.

– Głosowałeś na siebie. Dostałeś ty lko jeden głos i sam go sobie dałeś.

– Nie.

– Właśnie że tak – powiedział Sverre. – Pytaliśmy wszystkich w klasie. Nikt na ciebie nie głosował, więc zostajesz ty lko ty. Głosowałeś na siebie.

– Nie, to nieprawda. Nie głosowałem na siebie.

– A kto na ciebie głosował?

– Nie wiem.

– My naprawdę już pytaliśmy wszystkich i na ciebie nie głosował nikt. Głosowałeś na siebie. Musisz się przyznać.

– To nieprawda.

– Ale my już pytaliśmy wszystkich. Zostałeś ty lko ty.

– No to ktoś kłamie.

– Dlaczego miałby kłamać?

– Skąd mogę wiedzieć?

– To ty kłamiesz. Głosowałeś na siebie.

– Nie głosowałem.

Plotka rozniosła się po szkole, ale się wypierałem. Wypierałem się do końca. Wszyscy wiedzieli, co się stało, ale dopóki się nie przyznałem, nie mogli mieć całkowitej pewności. Uważali, że to dla mnie typowe. Sądziłem, że jestem kimś. A nie byłem. Ktoś, kto sam głosuje na siebie, jest nikim. Mojej opinii nie pomagało również to, że nigdy nie chodziłem na jabłka do cudzych ogrodów, nigdy nie ukradłem niczego w sklepie, nigdy nie strzelałem z procy do ptaków ani nie plulem pestkami wiśni przez rurkę w samochody czy przechodniów, nie uczestniczyłem w zamykaniu nauczyciela gimnastyki w pokoiku ze sprzętem za salą gimnastyczną ani w podkładaniu pinesek na krzesła nauczycieli, którzy przychodzili na zastępstwo, i nie moczyłem gąbki tak, żeby ociełała wodą. Przeciwnie, mówiłem, żeby tego nie robili, że to złe. Ale wiedziałem, że to ja mam rację i że to oni postępują niewłaściwie. Czasami modliłem się do Boga, żeby im wybaczył. Na przykład kiedy przekinali, wtedy nagle pojawiała się we mnie modlitwa: „Dobry Boże, wybacz Leifowi Toremu, że przeklina. On tego nie chciał”. Sam mówiłem „kurczę”, „kurczę blade”, „kuchnia”, „choinka”, „cholercia”, „o rany”, „kurka siwa”, „holender”, „choroba”, „cholewka”, „psiakrew”. Ale chociaż nie przeklinałem, nie kłamałem w sytuacjach innych niż w samoobronie, niczego specjalnie nie niszczyłem ani nie dokuczałem nauczycielom, interesowałem się ciuchami i wyglądem, zawsze chciałem mieć rację i być najlepszy, więc ogólna opinia o mnie nie była zbyt dobra i nikt by nie powiedział, że jestem lubiany, ale też nie unikano mnie i nie stroniono ode mnie, a jeśli nawet mnie to spotkało, na przykład ze strony Leifa Torego i Geira Håkona, to zawsze pozostawali inni. Na przykład Dag Lothar. Dag Magne. A kiedy dzieciaki zbierały się w wielkie gromady, to nigdy nikogo z nich nie wyrzucano, zabawa była dla wszystkich, również dla mnie.

Lecz o wiele łatwiej było siedzieć w domu i czytać, to jasne.

Opinii o mnie nie pomogła również moja religijność. Właściwie była to wina mamy. Któregoś dnia rok przedtem ogłosiła zakaz czytania komiksów. Wróciłem wcześniej ze szkoły, wesoly i zadowolony pobiegłem na górę, ponieważ tata ciągle jeszcze był w pracy.

– Głodny jesteś? – spytała. Siedziała na fotelu w salonie z książką na kolanach.

– Tak – odparłem.

Wstała i wyszła do kuchni, wyjęła z szafki pieczywo.

Za oknem lał deszcz. Drogą szło jeszcze kilku spóźnialskich z autobusu, ze spuszczoneymi głowami w kapturach.

– Obejrzałam sobie dziś kilka twoich komiksów – powiedziała mama, krojąc chleb. – Co ty właściwie czytasz? Jestem wstrząśnięta.

– Wstrząśnięta? A co to znaczy?

Położyła mi kromkę na talerzu, otworzyła lodówkę, wyjęła żółty ser i margarynę.

– Czytasz okropne rzeczy. Tam jest sama przemoc. Ludzie do siebie strzelają i tylko się z tego śmieją. Jesteś za mały, żeby czytać coś takiego.

– Ale wszyscy to czytają.

– To nie jest żaden argument. Nie musisz tego czytać tylko dlatego.

– Ale ja to lubię – oświadczyłem, rozsmarowując margarynę na kromce.

– I właśnie to jest okropne. – Usiadła. – Strasznie mi żal ludzi w tych komiksach. Zwłaszcza kobiet. Rozumiesz? Nie chcę, żeby komiksy wywierały na ciebie wpływ.

– To, że zabijają?

– Na przykład.

– Ale przecież to tylko dla zabawy!

Mama westchnęła.

– Wiesz, że Ingunn pisze na uniwersytecie pracę o przemocy w komiksach?

– Nie.

– To nie jest dla ciebie dobre. Po prostu. Tyle przynajmniej powinieneś zrozumieć. Że coś nie jest dla ciebie dobre.

– To znaczy, że już mi nie wolno ich czytać?

– Tak.

– Cooo?

– To dla twojego dobra.

– Nie wolno mi? Ale mam o, mam o... Nigdy?

– Czytaj *Kaczora Donalda*.

– D o n a l d a? – krzyknąłem. – N i k t nie czyta Donalda!

Rozpłakałem się i pobiegłem do swojego pokoju.

Mama przyszła za mną, przysiadła na brzegu łóżka i pogłaskała mnie po plecach.

– Możesz czytać książki. To o wiele lepsze. Będziemy chodzić do biblioteki, ty, ja i Yngve. W mieście, raz w tygodniu. Będziesz mógł wypożyczyć tyle książek, ile zechcesz.

– Ale ja nie chcę czytać książek, tylko komiksy!

– Karl Ove – powiedziała. – Już zdecydowałam.

– Przecież t a t a czyta komiksy!

– Tata jest dorosły. To różnica.

– To już nigdy nie będę czytał komiksów?

– Dziś wieczorem idę do pracy. Ale jutro możemy się wybrać do biblioteki. Umawiamy się?

Nie odpowiedziałem, a ona wyszła.

Prawdopodobnie natknęła się na jakiś numer z serii *Walka* lub *My wygramy*, których akcja rozgrywała się w czasie wojny, a wszystkich Niemców, fryców, szwabów, sauerkrautów, czy jak ich nazywano, zabijano z uśmiechem na ustach, przy czym roilo się tam od *Donnerwetter!*, *Dummkopf!* lub podobnych okrzyków, które wydawali w ogniu walki. Albo też mama przeglądała jakiś zeszyt z serii *Agent X9* lub serię *Spesial*, w której większość kobiet chodziła ubrana w bikini, albo nawet bez tego. Przyjemnie było popatrzeć na Modesty Blaise, bohaterkę komiksu pod tym samym tytułem, kiedy się rozbierała, ale tylko wtedy gdy byłem sam, w innych sytuacjach nagość niewiarygodnie mnie krępowała. Za każdym razem, gdy w telewizyjnym paśmie dla dzieci leciał film, którego bohaterem był Agaton Sax, czerwieniłem się, jeśli byli przy tym rodzice, bo w czołówce Agaton patrzył przez lornetkę na nagą kobietę. Od czasu do czasu w którymś z telewizyjnych seriali albo filmów zdarzały się sceny łóżkowe, a jeśli był to akurat program, który pozwolono mi oglądać, nie mogłem tego znieść. Siedzieliśmy całą rodziną, ojciec, matka i dwaj synowie, a w telewizji ktoś się ruchał w samym środku salonu, gdzie wtedy podziac oczy?

Okropne.

Ale z komiksami do tej pory miałem spokój. Mama nigdy nawet nie rzuciła na nie okiem.

A teraz tak nagle mi ich zakazała?

Jakie to niesprawiedliwe!

Pląkałem, wściekałem się, poszedłem do niej i powiedziałem, że nie ma prawa mi tego odmawiać, chociaż wiedziałem, że ta bitwa jest już przegrana, mama podjęła decyzję, więc gdybym nie przestał protestować, mogła o wszystkim powiedzieć tacie, któremu przecież nie można było się sprzeciwić.

Pożyczone komiksy zostały zwrócone właścicielom, pozostałe wyrzucone. Następnego dnia pojechaliśmy do biblioteki, założyliśmy karty biblioteczne, no i stało się, od tej pory liczyły się książki. Co śród schodziłem ze schodów biblioteki publicznej w Arendal, w każdej ręce dźwigając torbę pełną książek. Szedłem do samochodu z mamą i Yngvem, który również wypożyczał ogromne ilości, jechaliśmy do domu, tam kładłem się na łóżku i czytałem właściwie codziennie przez cały wieczór, całą sobotę i całą niedzielę, z krótszymi lub dłuższymi przerwami na wyjście, w zależności od tego, co się działo na dworze, a kiedy mijał tydzień, oddawałem dwie torby przeczytanych książek i brałem z biblioteki nowe. Przeczytałem wszystkie serie, jakie tam mieli, najbardziej lubiłem tę o Pocomoto, małym chłopcu, który dorastał na Dzikim Zachodzie, no i oczywiście detektywistyczne powieści o braciach Hardy, rodzeństwie Bobbseyów i Nancy

Drew, dziewczynie detektywie. Podobała mi się seria o Słynnej Piątce i przeorałem również tę o postaciach autentycznych, czytałem o Henrym Fordzie i Thomasie Alvie Edisonie, o Benjaminie Franklinie i Franklinie D. Rooseveltcie, o Winstonie Churchillu, Johnie F. Kennedy'm, Livingstonie i Louisie Armstrongu, zawsze ze łzami w oczach na ostatnich stronach, bo przecież oni wszyscy już umarli. Czytałem serię *Byliśmy tam*, o mniej i bardziej znanych ekspedycjach, książki o żaglowcach i podróżach kosmicznych. Yngve namówił mnie na Dänikena, który uważał, że wszystkie wielkie cywilizacje powstały w wyniku spotkań z pozaziemskimi istotami, a także na książki o projekcie Apollo, sięgające początków kariery astronautów i ich prób bicia rekordu szybkości. Przeczytałem również wszystkie stare, dobre książki dla chłopców wydawane przez Gyldendal w młodości taty – największe wrażenie zrobiła na mnie *Przez góry kajakiem*, historia ojca, który wybrał się z dwoma synami pod namiot i natknęli się na alkę olbrzymią, ptaka z gatunku, o którym sądzono, że już wymarł. Przeczytałem też książkę o chłopcu, którego w okresie międzywojennym w Anglii zabrał na pokład zeppelin, i wiele książek Juliusza Verne'a, przy czym najbardziej podobały mi się *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* i *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*, a także tę zatytułowaną *Los na loterię*, o ubogiej rodzinie z Telemarku, która wygrała nagrodę w wielkiej loterii. Przeczytałem *Hrabiego Monte Christo*, *Trzech muszkietierów*, *Dwadzieścia lat później* i *Czarnego tulipana*. Przeczytałem *Małego lorda*, przeczytałem *Olivera Twista* i *Dawida Copperfielda*. Przeczytałem *Bez rodziny*, *Wyspę skarbów* i książkę kapitana Marryata, którą uwielbiałem i czytałem raz po raz, ponieważ dostałem ją na własność i nie musiałem wypożyczać. Przeczytałem *Bunt na Bounty*, książki Jacka Londona, książki o synach Beduinów, o łowcach żółwi, pasażerach na gapę, kierowcach samochodów wyścigowych. Przeczytałem serię o pewnym szwedzkim chłopcu, który uczestniczył w amerykańskiej wojnie domowej jako dobosz, czytałem o chłopcach, którzy grali w piłkę, towarzysząc im przez kolejne sezony, a także książki bardziej dydaktyczne, które Yngve przynosił ze szkoły, o młodych dziewczynach, które zaszyły w ciążę i miały urodzić dzieci, lub o młodych ludziach, którzy wpadli w złe towarzystwo i zaczęli zażywać narkotyki, temat ich miał dla mnie znaczenia, czytałem wszystko, absolutnie wszystko. Na dorocznym pchlim targu w Hove znalazłem całą serię książek o Rocambole'u, kupiłem je i połączyłem. Przeczytałem całą, chociaż z pewnością miała czternaście tomów, serię o dziewczynce o imieniu Ida. Przeczytałem wszystkie należące do taty stare numery magazynu detektywistycznego, kupowałem książki o Knucie Gribbie, jeśli tylko dostałem na to pieniądze. Czytałem o Krzysztofie Kolumbie i Magellanie, o Vasco da Gamie, o Amundsenie i Nansenie. Czytałem *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* i norweskie baśnie ludowe, które wspólnie z Yngvem dostaliśmy od dziadków ze strony mamy. Czytałem o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. O Robin Hoodzie, Małym Johnie i Lady Marion, o Piotrusiu Panu i o biednych chłopcach, którzy zamieniali się na domy i rodziny z synami bogaczy. O chłopcach, którzy brali udział w akcjach sabotażowych w Danii podczas wojny, i o takich, którzy uratowali kogoś z lawiny śnieżnej. Czytałem o dziwnym człowieczku, który mieszkał na plaży i żywił się szczątkami znalezionych tam wraków, o angielskich chłopakach, którzy służyli jako kadeci na okrętach wojskowych, o przygodach, jakie przeżył Włoch Marco Polo u Dżyngis-chana. Książka za książką, torba za torbą, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Ze wszystkich lektur uczyłem się, że trzeba być odważnym, że odwaga to cecha najwspanialsza, że trzeba być uczciwym i szczerym we wszystkim, co się robi, i że nigdy nie wolno zawieść innych. Nigdy nie wolno ulegać, nie wolno się poddawać, bo jeśli będzie się

konsekwentnym w dążeniu do celu, uczciwym, odważnym i szczerym, bez względu na to, jak samotnym można się przez to stać, to na końcu mimo wszystko czeka nagroda. Wiele o tym myślałem. To była jedna z tych myśli, którymi lubiłem się zajmować w samotności: że kiedyś tu wrócę i będę kimś, zostanę wielkim człowiekiem, którego wszyscy z Tybakken, chcąc nie chcąc, będą zmuszeni podziwiać. Wiedziałem, że ten dzień nie nadejdzie jutro, bo nie przysporzyło mi szacunku to, że rzuciłem się na Asgeira, ponieważ powiedział coś poniżającego o mnie i dziewczynie, która mi się podobała, a on po prostu powalił mnie na ziemię, usiadł na mnie okrakiem i zaczął mnie szturchać palcami w pierś i policzki, śmiejąc się ze mnie i drwiąc, a ja, przypadkiem mając usta pełne żółtego foxa, usiłowałem go opluć i nie udało mi się nawet to, uważane przez wszystkich za haniebną, tylko sam sobie rozmasałem na twarzy żółty klej. „Cuchniez szczykami, gówniarzu”, powiedziałem mu, zgodnie z prawdą. I nie dość na tym, Asgeir miał dwa komplety zębów, tak jak rekina, jeden rząd za drugim, i na ten ohydny widok również skierowałem uwagę wszystkich, którzy zebrali się dookoła. Ale nic mi z tego nie przyszło, leżałem na ziemi, byłem pokonany, nie miałem mocy, która wpłynęłaby na cokolwiek. Trudno było bardziej się oddalić od tych ideałów, które wchłonałem przez czytanie – popularnych również wśród dzieci, bo w gromadzie obowiązywało wiele tych samych pojęć honoru, chociaż akurat tego słowa się nie używało, ale przecież o to chodziło. Byłem słaby, powolny i tchórliwy, a nie silny, szybki i odważny. W czym mogło pomóc to, że w przeciwieństwie do pozostałych miałem k o n t a k t z ideałami, że znałem je na wylot, lepiej, niż cokolwiek z nich miał je kiedykolwiek poznać, skoro nie umiałem wprowadzić ich w życie? Skoro płakałem bez powodu? To, że właśnie ja, który tyle wiedziałem o bohaterstwie i odwadze, zostałem dotknięty taką słabością, było niesprawiedliwe. Ale istniały książki również o takich słabościach, jedna z nich wyniosła mnie w górę na swojej fali i utrzymywała tam przez kilka miesięcy.

To było jesienią, zachorowałem i leżałem sam w domu w ciągu dnia, okropnie się nudząc. Któregoś ranka tata przed wyjściem do pracy przyniósł mi kilka książek. Trzymał je w piwnicy, to były książki z jego dzieciństwa w latach pięćdziesiątych, zgodził się mi je pożyczyć. Niektóre zostały wydane przez wy dawnictwa religijne i z jakiegoś powodu właśnie one wywarły na mnie największe wrażenie. Jedna wręcz niezatarte. Była to opowieść o chłopcu, który miał chorą matkę i pielęgnował ją. Jego ojciec umarł, więc żył w biedzie, a to, czy zdoła ją przetrwać, całkowicie zależało od owego chłopca. Przeciwno sobie miał grupę, a raczej bandę łobuzów. Prześladowali go i bili, ponieważ tak się od nich odróżniał, ale też przekinali i kradli, a niesprawiedliwość zwycięstw tej bandy w porównaniu z nieustającymi kłeskami dobrego, kochającego i sprawiedliwego głównego bohatera była wręcz nie do zniesienia. Płakałem nad tą niesprawiedliwością, płakałem nad złem, i ta dynamika, w której dobro pozostawało ukryte, a niesprawiedliwość ciągle narastała, wstrząsnęła mną do głębi i doprowadziła do tego, że postanowiłem zostać dobrym człowiekiem. Od tej pory miałem spełniać dobre uczynki, pomagać wszędzie, gdzie tylko będę mógł, i nigdy nie robić nic złego. Zacząłem mówić o sobie, że jestem chrześcijaninem. Miałem dziewięć lat, w moim najbliższym otoczeniu nikt tak o sobie nie mówił, ani mama, ani tata, ani rodzice żadnego z kolegów – z wyjątkiem rodziców Øyvinda Sundta, którzy z tego powodu nie pozwalali mu na kino, telewizję, colę i słodycze – i oczywiście żadne z dzieci, więc w tym przedsięwzięciu, które rozpocząłem na Tybakken pod koniec lat siedemdziesiątych, byłem dość osamotniony. Zacząłem się modlić, kiedy się budziłem i kiedy

kładłem się spać. Gdy jesienią chłopcy umawiali się, że pójdą na jabłka do Gamle Tybakken, prosiłem, żeby zrezygnowali, bo kradzież jest złem. Nigdy nie mówiłem tego wszystkim jednocześnie, nie miałem śmiałości, dobrze znałem różnicę między reakcją grupy, której członkowie podpuszczają się nawzajem, a reakcją pojedynczej osoby, kiedy każdy sam musi stanąć twarzą w twarz z problemem, bez tworzącego dystans zaplecza grupy, za którym można się ukryć. Właśnie dlatego podchodziłem do tych, których znałem najlepiej, czyli do moich rówieśników, i rozmawiałem z nimi po kolei – nie wolno chodzić na jabłka, to jest złe, zastanów się, nie musisz tego robić. Ale nie chciałem zostawać sam, więc wyprawiałem się razem z nimi. Zatrzymałem się przy płocie i patrzyłem, jak o zmierzchu zakradają się do starych ogrodów. Szedłem obok nich, kiedy pogryzali jabłka, a kurtki mieli nimi wypchane, ale gdy ktoś mi zaproponował jabłko, zawsze odmawiałem, no bo paser nie był w niczym lepszy od złodzieja.

Kiedy podczas wielkanocnych odwiedzin u dziadków w Sørbøvåg poznałem nowego kolegę, gorąco go prosiłem, żeby nie przeklinał. Pamiętam, jak któregoś popołudnia przyszedł poznać moich dziadków, a ja tak bardzo się bałem, że mimo wszystko zlekceważył moje instrukcje, chociaż tyle razy go prosiłem o złożenie obietnicy, że się powstrzyma. To, że mnie potem unikał, męźnie zniosłem, przekonawszy się, że postąpiłem słusznie i właściwie. Ustępowałem starszym osobom miejsca w autobusie, pytałem, czy nie zanieść im zakupów, kiedy wychodzili ze sklepu, nigdy nie czepiałem się samochodów, niczego nie tułłem, nie próbowałem zabijać ptaków z procy, idąc, rozglądałem się, żeby nie nadepnąć na mrówkę czy żuka, a nawet kiedy wiosną zrywałem kwiaty z Geirem i innymi, serce mi się ścisnęło na myśl o tym życiu, które niszczy.

Kiedy zimą spadł śnieg, postanowiłem pomóc starszym ludziom przy odśnieżaniu. Któregoś dnia, to był poniedziałek po szkole, a śnieg sypał mocno przez całą noc, usiłowałem nakłonić Geira do odśnieżenia podjazdu jednego ze staruszków. Dopiero kiedy przebaknąłem coś o tym, że starszy pan może dać nam jakieś pieniądze za pomoc, zgodził się ze mną iść. Tata kupił sobie właśnie nową szufłę do śniegu, z rodzaju tych, które nazywano sørlandzkimi łopatami. Była śliczna, jasnoczerwona, a ponieważ tata już rano odśnieżył nasz podjazd, uznałem, że szufła nie będzie mu tego dnia więcej potrzebna, i ją zabrałem, po czym ruszyłem ramie w ramie z Geirem, który pchał przed sobą ich zieloną sørlandzką łopatę. Wybrałem dom stojący na zakręcie, a staruszek, który otworzył drzwi, kiedy zadzwoniliśmy, rozjaśnił się, gdy zrozumiał, że wcale nie zamierzamy obrzucać jego domu śnieżkami, czym zajmowało się wielu innych, lecz przeciwnie, odśnieżyć podjazd. To była ciężka praca, ale całkiem fajna. Zrobiliśmy drogę, którą transportowaliśmy śnieg i wyrzucaliśmy go przez krawędź do rowu. Spadał wtedy jak mała lawina. Niebo było szare i ciężkie, śnieg tak mokry, że po ściśnięciu go wypływała woda. Od latarni morskiej Torungen dochodził dźwięk syreny przeciwmiełnej. Obok dzieciaki przejeżdżały na sankach albo na nartach, powracające do domów samochody, ślizgając się, pokonywały wzniesienie. Odśnieżenie podjazdu zajęło nam godzinę. Kiedy poszliśmy powiedzieć, że skończyliśmy, staruszek bardzo nam podziękował i zamknął drzwi. Geir popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Przecież mieliśmy dostać za to pieniądze, prawda?
- No, właściwie tak. Ale to nie moja wina, że nic nam nie dał.
- Wszystko to zrobiliśmy za nic?
- Na to wygląda, ale nic nie szkodzi. Chodź, idziemy.

Trochę obrażony, ruszył za mną. Kiedy weszliśmy na drogę przy naszym domu, zobaczyłem, że tata stoi w drzwiach. Serce przestało mi bić, w żołądku ścisnęło tak, że ledwie mogłem oddychać. Z oczu taty wyzierała dzikość.

– Chodź tutaj! – krzyknął, kiedy dotarłem do podjazdu.

Ostatnie kroki robiłem ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Spójrz na mnie!

Podniosłem głowę.

Uderzył mnie pięścią w policzek

Załkałem.

Potem złapał mnie za puchówkę na wysokości piersi i przy cisnął do ściany.

– Zabrałeś moją szufłę! – krzyknął. – Jest zupełnie nowa! I moja! Nie wolno ci ruszać moich rzeczy, rozumiesz? I to bez uprzedzenia! Myślałem, że ktoś ją ukradł!

Plakałem i szlochałem tak, że jego słowa prawie do mnie nie docierały. Znów złapał mnie za kurtkę, wepchnął za drzwi i rzucił mną o ścianę w korytarzu.

– Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy! A teraz marsz do swojego pokoju, zostaniesz tam, dopóki nie powiem, że możesz wyjść! Zrozumiano?

– Tak, tato.

Trzasnął drzwiami do gabinetu, a ja zacząłem się rozbierać. Zdjąłem rękawiczki, czapkę, zrzuciłem buty, potem ściągnąłem puchowe spodnie i kurtkę, później gruby sweter. W pokoju położyłem się na łóżku. W środku wszystko rozpaliło mi się do czerwoności. Szlochałem, łzy lały się na poduszkę, a jednocześnie szarpała mną gwałtowna wściekłość, z którą nie wiedziałem, co zrobić. Nienawidziłem go i musiałem się zemścić. Postanowiłem, że to zrobię. On jeszcze zobaczy. Zniszczę go, zmiążdżę!

Nagle przyszło mi coś do głowy: A co zrobiliby ten dobry chłopiec? Co zrobiliby prawdziwy chrześcijanin?

Wybaczyłyby.

Kiedy o tym pomyślałem, rozlało się po mnie ciepło.

Postanowiłem, że mu wybaczę.

To była wielka myśl.

I zrobiła ze mnie wielkiego człowieka.

Ale tak myśleć potrafiłem tylko wtedy, kiedy byłem sam. Gdy przebywałem w jednym pomieszczeniu z tatą, on jakby pochłaniał wszystko, co w sobie miałem. Zostawał tylko on. O niczym innym nie mogłem myśleć.

Pierwszy dzień tylko z tatą stworzył wzorec dla wszystkich innych dni w całym następnym roku. Gotowe śniadanie na stole, drugie śniadanie w lodówce, a kiedy wracałem do domu, siedzenie i odpowiadanie na pytania, podczas gdy przygotowywał obiad, od czasu do czasu lekkie ukłucia nożem w plecy, po których następowało nieodłączne: „Wyprostuj się, chłopcze” – czasami musiałem tam siedzieć, dopóki nie skończył, kiedy indziej mówił nagle, że mogę iść, jakby

naprawdę rozumiał, jak bardzo uciążliwe były dla mnie te półgodziny, kiedy musiałem dotrzymać mu towarzystwa w kuchni – później jedliśmy obiad, resztę wieczoru spędzaliśmy sami na górze lub na dworze, a on albo siedział na zebranie, albo siedział na dole i pracował. Raz w tygodniu po szkole jeździliśmy do centrum handlowego Stoa na duże zakupy. Wieczorami zdarzało się, że przychodził na górę, żeby pooglądać z nami telewizję. Nic mu wtedy nie dawaliśmy od siebie. Siedzieliśmy wyprostowani jak struny, nie ruszając się i nie odzywając. Jeśli o coś pytał, odpowiadaliśmy półsłówkami.

Powoli odwracał się od Yngvego. Coraz więcej czasu poświęcał mnie, a ja nigdy nie powazyłem się na taką mrulkiwość jak Yngve.

Ale nie zawsze wszystko się udawało.

Jego kroki na schodach były niczym zły znak. Jeśli słuchałem wtedy muzyki, przyciszałem. Jeżeli czytałem na leżać, siadałem, żeby nie sprawić wrażenia rozlazłego.

Szedł do mnie?

Oczywiście.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich.

Była ósma. Nie wchodził na górę od obiadu o czwartej.

Omiótł spojrzeniem pokój. Zatrzymało się na biurku.

– Co ty tam masz? – spytał. Wszedł, wziął do ręki talię kart. – Zagramy w karty?

– Możemy – odparłem, odkładając książkę.

Usiadł na łóżku obok mnie.

– Nauczę cię nowej gry – powiedział. Podniósł talię i rozsyłał wszystkie karty po pokój. – Ta gra nazywa się „Zbierz pięćdziesiąt dwie karty”. Bardzo proszę, pozbieraj.

Sądziłem, że naprawdę ze mną zagra, i bardzo się rozczarowałem tym, że tylko się wyglupiał, i że musiałem łązić na kolanach i zbierać karty, podczas gdy on siedział na łóżku i śmiał się ze mnie. W końcu z ust wyrwało mi się niewłaściwe słowo.

Nigdy bym go nie wymówił, gdybym się zastanowił.

Ale się nie zastanowiłem i po prostu mi się wyrwało.

– O kurczę – powiedziałem. – Dlaczego to zrobisz?

Zeszytniał. Złapał mnie za ucho i wstał, jednocześnie je wykręcając.

– Przekinasz, zwracając się do ojca? – Wykręcał mi ucho coraz bardziej, dopóki się nie rozplakałem. – Zbieraj te karty! – syknął, ale ucha nie puszczał, więc tak się nachyliłem i zacząłem zbierać.

Dopiero gdy miałem już całą talię, puścił mnie i wyszedł. W porze kolacji dalej siedział w swoim gabinecie. A kiedy przyszedliśmy do kuchni, okazało się, że przygotował wszystko już wcześniej.

Następnego dnia nie wezwał mnie do kuchni, kiedy szykował obiad, chociaż weszło mu to już w zwyczaj. Zawołał nas dopiero, kiedy jedzenie było gotowe. Usiedliśmy, bez słowa nałożyliśmy sobie na talerze befszytk z wieloryba z brązowym sosem, ziemniakami i cebulą. Jedliśmy

w całkowitym milczeniu, dopiero po zjedzeniu podziękowaliśmy i wstaliśmy od stołu. Tata pozmywał, w salonie zjadł pomarańczę, co poczułem po zapachu, i napił się kawy, co poznałem po syku dzbanka, potem zszedł do gabinetu, gdzie trochę posłuchał muzyki, po czym ubrał się, wszedł do samochodu i gdzieś pojechał.

Już w momencie gdy warkot silnika zaczął cichnąć na drodze, otworzyłem drzwi i pobiegłem do salonu. Padłem na brązowy skórzany fotel i położyłem nogi na stole. Zaraz wstałem, poszedłem do kuchni i zajrzałem do lodówki: dwa talerze z kanapkami, nasza kolacja, stały już gotowe. Otworzyłem szafkę obok, wyjąłem pudełko z rodzynkami, nasypałem sobie pełną garść i wepchnąłem je do ust, a drugą ręką wyrównałem poziom rodzynek w pudełku. Żując, wróciłem do salonu i włączyłem telewizor. O wpół do siódmej nadawali powtórkę *Pasażera na gapę*. To był serial o statku kosmicznym, bardzo straszny, właściwie puszczano go w piątkowe wieczory i nie wolno nam było go oglądać, ale ani mama, ani tata nie mieli pojęcia o powtórcie, którą na nasze niesamowite szczęście nadawano podczas ich nieobecności.

Przyszedł Yngve i położył się na kanapie.

– Co jesz? – spytał.

– Rodzynki.

– Ja też chcę.

– Tylko nie bierz za dużo – powiedziałem, kiedy wstał. – Bo tata zauważy.

– Nie bój się. – Już otwierał szafkę. – Chcesz kilka migdałów?

– Chcę. Ale tylko kilka.

Latarnia na dworze świeciła w mroku pomarańczowo. Asphalt lśnił tym samym kolorem. I świerk z tyłu też był pomarańczowy, lecz dalej las ciemny jak grób. Z najbardziej stromej części wzgórza dobiegało udręczone wycie motoroweru.

– Masz – Yngve wrzucił kilka migdałów do mojej otwartej dłoni. Wyraźnie wyczułem jego zapach. Ostry, chociaż jednocześnie słaby, trochę jakby metaliczny. To pachniała jego skóra, wcale nie pot, który czuć było zupełnie inaczej. Skóra Yngvego pachniała metalem. Czuję to, kiedy się biliśmy, kiedy mnie łaskotał, a czasami, kiedy na przykład leżał i czytał, potrafiłem przyłożyć nos do jego ramienia, żeby wdychać ten zapach. Kochałem go, kochałem Yngvego.

Pięć minut przed rozpoczęciem *Pasażera na gapę* Yngve wstał.

– Zamkniemy drzwi wejściowe na klucz – oświadczył. – I pogasimy wszystkie światła, żeby było naprawdę strasznie.

– Nie! – zaprotestowałem. – Nie rób tego!

– Już się boisz? – roześmiał się Yngve.

Wstałem i zagroziłem mu drogę. Objął mnie, podniósł i przestawił za siebie. Dalej szedł w stronę schodów.

– Nie rób tego – powtórzyłem. – Tak cię proszę!

Znów się roześmiał.

– Idę teraz zamknąć drzwi – powiedział.

Pobiegłem za nim.

– Naprawdę cię proszę, Yngve!

– Przecież wiem. – Zamknął drzwi i stanął przed nimi. – Ale to ja rządzę, kiedy jesteśmy w domu sami.

Zgasił światło.

W półmroku, rozjaśnionym jedynie lampą świecącą w pokoju obok, jego uśmiech miał w sobie coś diabolicznego. Pobiegłem na górę i usiadłem w fotelu. Słyszałem, jak przekręca kolejne wyłączniki. Korytarz, lampa nad stołem w salonie, na suficie w kuchni. Potem cztery kinkiety na ścianie nad kanapą, a na koniec lampa na telewizorze. Oprócz słabego światła latarni na dworze i niebieskiej, migoczącej poświaty telewizora, kiedy zaczął się serial, w domu panowała całkowita ciemność. Już czołówka była okropna. Jakis człowiek kosił trawę, potem się odwrócił, a jego twarz nie była twarzą, tylko maską. Poczulem mrowienie w palcach u rąk i nóg. Ze strachu ścisnęło mnie w dołku. Ale oglądałem. Musiałem oglądać. Pół godziny później, kiedy film się skończył, Yngve za moimi plecami wstał.

– Nic nie mów! – poprosiłem. – Nic nie rób!

– Wiesz co, Karl Ove?

– O nie!

– Wcale nie jestem tym, za kogo mnie masz – oświadczył, idąc w moją stronę.

– Właśnie, że tak!

– Ja nie jestem Yngve. Jestem kimś innym.

– Wcale nie. Jesteś Yngve! Powiedz, że jesteś Yngve!

– Jestem cyborgiem. A to tutaj... – Wsunął rękę i podciągnął rękaw swetra. – ...to wcale nie jest ciało i kość, tylko metal i przewody. Wygląda jak ciało, ale nim nie jest. Nie jestem człowiekiem.

– Jesteś! – Już zaczynałem płakać. – Jesteś Yngve. Yngve! Powiedz, że jesteś Yngve!

– Pójdiesz teraz ze mną do piwnicy. He, he, he...

– Yngve! – krzyknąłem.

Uśmiechnął się.

– Przecież ja się tylko wygłupiam. Chyba nie myślałeś na poważnie, że jestem cyborgiem?

– Nie wolno ci tak robić! Natychmiast zapal światło!

Zrobił krok w moją stronę.

– Nie! – krzyknąłem.

– Okej, okej – powiedział ze śmiechem. – Zaraz zapalimy światło. Jemy już? Głodny jesteś?

– Najpierw włącz światło!

Zapalił kinkiety i lampkę na telewizorze, już zaczęły się wiadomości. Poszliśmy do kuchni zjeść kolację. Yngve zrobił herbatę, uchodziło nam to płazem, jeśli tylko starannie po sobie posprzątałyśmy. Może dlatego, że tata nawet sobie nie wyobrażał, że pod jego nieobecność możemy włączyć kuchenkę i zagotować wodę. Później zanieśliśmy naszą grę w piłkarzyki na stół w salonie, zostawiając otwarte drzwi do pokoju Yngvego, z którego leciała moja ulubiona płyta

Queen, *A Night at the Opera*.

Kiedy usłyszeliśmy samochód taty przed domem, prędko wszystko sprzątnęliśmy i rozsiedliśmy się do swoich pokoi. Tata czasami po powrocie wzywał do siebie Yngvego, pytał, co robiliśmy i czy nic się nie stało, ale tego wieczoru poszedł prosto do salonu i usiadł przed telewizorem.

Pozostawał daleki, co przynosiło nam ulgę, ale nie tylko, czułem bowiem, że to wbrew jego woli, a powietrze w domu zdawało się gęstnieć od tego wrażenia, od potrzeby, której nikt nie mógł zaspokoić.

Jego kolejna bytność u nas na górze miała gwałtowny przebieg. Akurat rozładała mnie choroba, byłem przeziębiony, w ciągu ostatniej godziny gorączka wyraźnie zaczęła mi rosnąć, siedziałem na łóżku Yngvego, oparty o ścianę, i czytałem jeden z jego komiksów. Yngve odrabiał lekcje przy biurku, a z gramofonu leciała płyta Boomtown Rats.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich tata.

Był w świetnym humorze, oczy błyszczały mu energią.

– Słuchacie muzyki – stwierdził. – Nieźle to brzmi. Jak oni się nazywają?

– Boomtown Rats – odparł Yngve.

– Szczury z barakowiska. Pamiętacie, jak się śmialiście, kiedy wam tłumaczyłem, że Crystal Palace to znaczy Kryształowy Pałac? Nie chcieliście uwierzyć! – Tata, uśmiechnięty, wszedł do pokoju. – Tobie też się podoba ta muzyka, Karl Ove? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Chodź, zatańczymy! – powiedział.

– Jestem chory, tato. Gorączka mi rośnie. Nie mam siły.

– Masz, masz! – Tata złapał mnie za ręce, pociągnął na nogi i zaczął mną obracać.

– Przestań! Jestem chory. Nie mam siły.

Ale on dalej obracał mnie coraz szybciej, z coraz większą dzikością. To się stało nie do wytrzymania, o mało nie zwymiotowałem.

– Przestań, tato! – W końcu zacząłem krzyzczeć. – P r z e s t a ń!

Zatrzymał się równie gwałtownie, jak zaczął. Rzucił mnie na łóżko i wyszedł.

W każdy piątek mama wracała do domu, zawsze wtedy starałem się być w pobliżu, żebym mógł się przy niej znaleźć najpierwszy ze wszystkich, bo gdy zdążyłem, tata nie mógł odesłać mnie do pokoju, jak potrafił, jeśli już siedzieli i rozmawiali. Po jej wyjeździe w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek rano okazywało się, że tata w tym czasie zdążył się jakby znów zbliżyć do nas, a przynajmniej do mnie, bo potem wzywał mnie do kuchni, żebym w trakcie szykowania obiadu opowiadał, co się wydarzyło. Jedliśmy w milczeniu, a po zmywaniu zawsze zniknął w gabinecie. Od czasu do czasu przychodził na górę pooglądać z nami telewizję, ale najczęściej siedział u siebie aż do kolacji. Wtedy czuliśmy się z Yngvem prawie tak, jakbyśmy zostawali sami w domu. Co prawda, nie wykorzystywałem tego czasu w znacząco inny sposób niż podczas obecności taty. Głównie czytałem na leżąco. Ponieważ mama nie wozila nas już

regularnie do biblioteki w mieście, a ze szkolnej przeczytałem wszystkie książki, zabrałem się do pólek rodziców. Przeczytałem Agatę Christie, przeczytałem *Czerwone i czarne* Stendhala, a także zbiór francuskich opowiadań, przeczytałem powieść Jona Micheleta i biografię Tolstoja. Sam zacząłem pisać książkę, miała to być opowieść o żaglowcu, ale po napisaniu pierwszych dziesięciu stron, będących w głównej mierze wyliczeniem wszystkich osób na pokładzie, prowiantu i ładunku, usłyszałem od Yngvego, że w dzisiejszych czasach nikt nie pisze o żaglowcach, pisało się o nich, kiedy pływały, a dzisiaj pisze się o tym, co jest teraz, więc porzuciłem tę powieść. Tej jesieni przygotowałem również gazetkę w trzech egzemplarzach, które wrzuciłem do skrzynek pocztowych Karlsenów, Gustavsenów i Prestbakmo, ale nigdy nie usłyszałem od nich ani słowa komentarza, jakby wszystkie trzy egzemplarze zniknęły, jakby nigdy nie istniały.

Wiedziałem jedno życie w domu, a drugie poza domem. Tak było zawsze i pewnie dotyczyło wszystkich; przed telewizorem w sobotni wieczór, w otoczeniu rodziców i rodzeństwa, moi koledzy byli na pewno inni, o wiele łagodniejsi i bardziej powściągliwi niż podczas naszych spotkań w lesie, gdzie panowała totalna wolność i nic ich nie powstrzymywało od ulegania każdemu impulsowi. Szczególnie wyraźnie było to widoczne jesienią. Wiosną i latem życie w przeważającej mierze toczyło się na dworze, więc kontakt dzieci z życiem dorosłych był zupełnie inny, ale kiedy nadchodziła jesień ze swoim mrokiem, ktoś jakby nagle przecinał wszelkie więzy i zaraz po zamknięciu drzwi do domu zagłębialiśmy się w swoje własne światy. Podczas krótkich, ciemnych i chłodnych wieczorów ujawniało się całe to napięcie, które dotąd istniało niewidzialne, w ukryciu. Jesień – to były ciemność, mrok, ziemia, woda, kryjówki. Oddechy, śmiech, światło latarek, szalasy z gałęzi, ogniska, gromada dzieci snujących się to tu, to tam. A później własne pokoje. Chociaż miałem zakaz przyprowadzania kolegów do domu i żadne dziecko z osiedla nigdy nie odwiedziło mojego pokoju, zawsze mogłem chodzić do innych. Do niektórych tylko od czasu do czasu, do innych często. Tej jesieni najważniejszy był dla mnie pokój Daga Lothara. Z twarzami zaczerwienionymi od biegania po ciemku siadaliśmy w jego pokoju i graliśmy w Monopol, a z magnetofonu kasetowego leciała muzyka z jednego z jego dwóch albumów Beatlesów, czerwonego albo niebieskiego. Wolałem ten czerwony, z ich pierwszymi piosenkami, prostymi i wesołymi, refreny mogliśmy bez trudu śpiewać na głos, prawie wykrzykiwać po angielsku, ale nie dbając o semantyczną stronę języka, naśladując jedynie dźwięki, lecz coraz częściej słuchaliśmy też niebieskiego albumu, w miarę jak zaczynały nam się podobać jego mroczne, bardziej niezwykłe tony.

Te wieczory zaliczam do najszczęśliwszych w moim życiu. Dziwne, bo nie miały w sobie nic niezwykłego, robiliśmy to, co robią wszystkie dzieci, graliśmy w gry, słuchaliśmy muzyki, gadaliśmy o tym, co nas zajmowało.

Lubiłem jednak zapach tego domu, lubiłem tam być. Lubiłem ciemność, z której przychodziliśmy – przydawała wszystkiemu pewnej obcości, zwłaszcza gdy miała w sobie wilgotność, wtedy dawało się ją wyczuć całym ciałem, a nie tylko dostrzec oczami. Lubiłem światło latarni. Lubiłem atmosferę, która się tworzyła, gdy byliśmy w dużej grupie, głosy w ciemności, ciała poruszające się wokół mnie. Lubiłem dźwięk syreny przeciwmiełnej dochodzący od strony morza. Tym wieczorom towarzyszyła stale myśl, że wszystko się może zdarzyć. Lubiłem po prostu chodzić, natykać się na różne rzeczy i sytuacje. Baraki wybudowane

w lesie nad pływającymi pomostami stały wieczorami puste, ale w oknach się świeciło, więc zaglądaliśmy do środka. Czy leżą tam gazetki pornograficzne? Tak, leżały. Nikt nie miał odwagi zbić szyby i po nie wejść, ale zaistniała w ogóle taka możliwość i wiedzieliśmy, że wkrótce ktoś to zrobi, może nawet my. To były czasy, kiedy nagle rano na drodze przed domem potrafiła się pojawić rozkładówka wyrwana z takiej gazetki. To były czasy, kiedy pornografię znajdowało się w rowach, na łąkach, pod mostami. Kto zostawiał tam te pisma, nie mieliśmy pojęcia, jakby rozrzuciła je ręka Boga, były częścią przyrody, jak zawilce, kotki na wierzbie, wezbrane strumienie, śliskie od deszczu skały. Żywioty też odciskały na nich swoje piętno, papier był albo nabrzmiały od wilgoci, albo zupełnie suchy, aż trzeszczał i kruszył się w palcach, często wyblakły na słońcu, poplamiony ziemią, brudny.

Czułem dziwne ssanie, kiedy myślałem o tych gazetkach. Nie miało ono nic wspólnego ze sposobem, w jaki o nich rozmawialiśmy, wtedy udawaliśmy twardzieli, śmialiśmy się i chciwie je oglądaliśmy, owo ssanie natomiast płynęło z jakiegoś innego miejsca, tak głębokiego, że my śli nigdy tam nie docierały.

Zapewne wielu chłopaków z osiedla przechowywało pornosy w domach i byli to bez wyjątku ci sami, których można było podejrzewać, że gdy przyjdzie na to czas, kupią sobie motorowery, zaczną palić i wagarować, jednym słowem ci, którzy kręcili się wokół Finy. Ci źli. Pisma pornograficzne budziły więc we mnie różne, kompletnie od siebie oderwane skojarzenia. Stały po stronie zła, ale zarazem ogromnie pożądałem owego intensywnego ssania, które zmuszało mnie do przełykania raz po raz śliny. Patząc na którąś z tych nagich kobiet, całkiem się rozklejałem. To było straszne, lecz również fantastyczne, otwierał się przede mną świat, a jednocześnie ukazywało się piekło. Zapalało się światło i zapadała ciemność. Pragnęliśmy jedy nie przerzucić kolejne kartki, moglibyśmy stać tak przez całą wieczność pod ciężkimi gałęziami świerków, wśród zapachu wilgotnej ziemi i wilgotnej skały i oglądać te zdjęcia. Te kobiety zdawały się wylaniać wprost z bagna, wprost z pozółkłej jesiennej trawy, a w każdym razie były z nimi blisko związane. Fragmenty zdjęć bywały niekiedy zniszczone, lecz my i tak dostrzegaliśmy na nich to połączenie miękkości z twardością na tyle, by świadomość jego istnienia nigdy nas nie opuściła, dlatego każda wieść o kolejnym znalezisku musiała być natychmiast sprawdzona.

Geir zaliczał się pod tym względem do najzacieklejszych. Już w drugiej klasie wyniósł z domu należący do jego ojca magazyn dla mężczyzn „Vi Menn”; rozsiedliśmy się z nim w lesie, oglądaliśmy zdjęcia kobiet topless, a na wszelki wypadek by nie narazić się na żadne podejrzenia, głośno rozmawialiśmy o tym, co robią Kaczor Donald i Kaczka Daisy, jakbyśmy oglądali komiks Disneya.

A teraz pisma pornograficzne leżały w barakach.

Krążyliśmy wokół nich, ale drzwi były zamknięte na klucz, a nam brakowało śmiałości do wybicia szyby, otwarcia okien i zabrania tych gazetek.

Ale ochota już się obudziła, należało więc rozejrzeć się po całej okolicy.

Kępa drzew wokół wraku samochodu w lesie?

Rów po drugiej stronie przystanku przy B-Maxie?

Las pod mostem?

Kurczę, wy sy pisko! Tam chyba musi ich być mnóstwo? Setki? Tysiące?

Pewnego niedzielnego ranka pod koniec września tata był na rybach, mama w salonie, Yngve na rowerze gdzieś po wschodniej stronie wyspy, a ja wyszedłem z domu ubrany w beżową kurtkę i niebieskie džinsy i pobiegłem po mokrym żwirze do Geira, z motylami w brzuchu, bo nareszcie wybieraliśmy się na wysypisko. Świeciło słońce, ale nad ranem musiał padać deszcz, bo tam gdzie promienie słońca nie docierały, na przykład w cieniu świerków koło naszego domu, asfalt był ciągle mokry.

Geir już czekał gotowy i od razu popędziliśmy. Pod górkę, przez długą równinę, gdzie na trawnikach przed domami leżały łódzie nakryte brezentem, głównie małe plastikowe łódki, ale też kilka mniejszych jolek i jeden słynny w okolicy cabin cruiser. Trawniki były żółte, drzewa za domami pomarańczowe i czerwone, niebo błękitne. Zdjęliśmy kurtki i przewiązaliśmy się nimi w pasie. Minęliśmy dom Ketila, weszliśmy na żwirową drogę i dotarliśmy do bramki na jej końcu, dalej już biegła tylko ścieżka. Po drugiej stronie pola stał nowy dom parafialny, gdzie spotykały się i ćwiczyły jasnowłose dziewczyny z przykościelnego chóru zorganizowanego w ramach akcji Ten Sing.

W strumieniu wzdłuż ścieżki było mnóstwo wody, płynęła leniwie, chłodnozielona, w dół łagodnego zbocza. Zabarwiła się od wrzosu, trawy i innych roślin, które pokryła, kiedy strumień wezbrał. Jedyne lekkie drżenie powierzchni zdradzało, że jest w ruchu. Tam gdzie zbocze opadało i potok zaczynał płynąć bardziej wartko, puściliśmy się biegiem. Białe kamyki na ścieżce były w cieniu matowe i szare, ale w słońcu żółtawe i błyszczące.

Przed nami ktoś wspinał się pod górę, więc zwolniliśmy. Jakaś starsza para. Kobieta miała siwe włosy i robiony na drutach rozpinany sweter, mężczyzna był w brązowej sztruksowej marynarce ze skórzanymi łokciami i w rękę trzymał laszkę. Usta miał otwarte, broda mu drżała.

Kiedy nas minęli, odwróciliśmy się za nimi.

– To przecież był Thommesen! – zauważył Geir.

Nie widzieliśmy go, odkąd nas uczył w drugiej klasie.

– Myślałem, że już dawno nie żyje – powiedziałem.

Weszliśmy na starą drogę na skróty przez las i dotarliśmy do granic wysypiska. Góra białych foliowych toreb i czarnych worków na śmieci lśniła w słońcu. Unosiło się nad nią kilkadziesiąt mew, mocno bijących skrzydłami. Zleźliśmy ze wzgórza i zanurzyliśmy się w całe to bogactwo. W niektórych miejscach ułożone w ogromne stosy, nawet cztery razy wyższe od nas, gdzie indziej po prostu rozsypane. Szukaliśmy toreb i kartonowych pudeł, znaleźliśmy ich całe mnóstwo, również z czasopismami, takimi, które czytali starsi ludzie – „Hjemmet”, „Allers” i „Norsk Ukeblad”, z czasopismami dla dziewczyn – „Starlet”, „Det Nye” i „Romantik”, stopy gazet, głównie „VG” i „Agderposten”, ale również „Vårt Land”, „Aftenposten” i „Dagbladet”, znaleźliśmy „A-Magasinet” i „Kvinner og Klær”, dziewczynskie pisma o koniach, komiksy z Kaczorem Donaldem i jeden gruby album *Fantoma*, który natychmiast odłożyłem sobie na bok, a także albumowe wydanie *Tempa*, kilka zeszytów *Kapitana Miki* i kieszonkowego *Agenta X9*, z którego też byłem dość zadowolony, lecz to, czego tak naprawdę poszukiwaliśmy – a mianowicie czasopism takich, jak „Alle Menn”, „Lek”, „Cocktail” i „Aktuell Rapport”, a może nawet jakichś zagranicznych, bo w obiegu było sporo duńskich, jedno nazywało się „Weekend Sex”, a także szwedzkich i angielskich – okazało się nie do znalezienia. Nie trafiliśmy na żadnego pornosa! Co to

znaczy, czyżby ktoś nas uprzedził? Przecież musiały tu być!

Po godzinie się poddaliśmy. Rozłożyliśmy się na trawie i zaczęliśmy czytać te zwykłe czasopisma. Może dlatego, że tak się nastawiłem na coś innego i cały dzień spędziłem w emocjach oczekiwania, nie byłem usatysfakcjonowany samym takim siedzeniem. Czegoś mi brakowało, więc wstałem, położyłem trochę między drzewami, w końcu zszedłem nad strumień.

– Pochodzimy po wodzie? – zawołałem.

– Możemy. Tylko najpierw doczytam. – Geir nie podnosił głowy znad komiksów.

Podszedłem do dwóch toreb z butelkami, na które natknęliśmy się wcześniej. Głównie były tam te długie, brązowe, z żółtą etykietką Browaru w Arendal, ale również kilka zielonych, niższych i bardziej pękatych, po heinekach. Wyjąłem jedną. Do szklki przyklepiło się trochę ziemi i trawy, pomyślałem, że pewnie przez jakiś czas leżała na obrzeżach czyjś trawnika i znaleziono ją dopiero przy sprzątaniu ogrodu przed zimą.

Ssanie w brzuchu nie ustało.

Obróciłem butelkę w dłoniach. Ciemnozielone szkło błysnęło w słońcu.

– Myślisz, że dałoby się do niej włożyć siurka? – spytałem.

Geir odłożył komiks na kolana.

– Nooo. Jeśli szyjka nie jest za wąska. Spróbujesz?

– Tak Ty też?

Wstał i podszedł do mnie. Wziął sobie butelkę.

– Ktoś może nas tu zobaczyć? – spytał.

– Zwariowałeś? Przecież jesteśmy w środku lasu. Ale dla wszelkiej pewności przenieśmy się tam.

Podeszliśmy do pnia wielkiej sosny. Rozpiąłem paseki i opuściłem spodnie do kolan. Jedną ręką wyjąłem ptaszka, w drugiej trzymałem butelkę. Przycisnąłem go do szyjki. Szkło było zimne i twarde w zetknięciu z miękką, ciepłą skórą, a szyjka właściwie za wąska, ale kiedy trochę pokręciłem tyłkiem, jednocześnie przyciskając, wszedł. Po plecach przebiegł mi dreszcz, a jednocześnie w członku zaczęło pulsować, bo szkło naciskało na niego coraz mocniej.

– Mnie nie wchodzi – oświadczył Geir. – Nie da się.

– A mnie się udało. Zobacz!

Odwrociłem się do niego.

– Ale nie można poruszać – powiedziałem. – Nie ma miejsca na żaden ruch. Jakby się przyklepiła!

Żeby zademonstrować, jak mocno trzyma się butelka, puściłem ją. Zwisła mi między nogami.

– Cha, cha, cha! – zaniósł się śmiechem Geir.

Już miałem ją ściągnąć, gdy nagle poczułem ostry ból.

– Au! O choroba!

– Co się stało? – spytał Geir.

– Au, au! Niech to piorun trzaśnie!

Kłuło mnie tak, jakbym wbił sobie tam nóż albo ostry kawałek szkła. Szarpałem z całej siły, w końcu udało mi się ściągnąć butelkę.

Na czubku siurka siedział czarny żuk

– Cholera, cholera, cholera! – krzyczałem. Ścisnąłem w palcach tego żuka, czy co to było, czarnego, z wielkimi szczypcami, oderwałem go i z całej siły cisnąłem w las, a potem zacząłem biegać w kółko, wymachując rękami.

– Co się stało? – dopytywał się Geir. – Co się stało, Karl Ove?

– Żuk! Ugryzł mnie w sisiora!

Geir najpierw patrzył na mnie z otwartymi ustami, potem zaczął się śmiać. To było zdarzenie idealnie w jego guście. Ze śmiechu aż przewrócił się na trawę.

– Tylko nikomu o tym nie mów – przykazałem mu, zapinając pasek spodni. – Jasne?

– Okęeej – krztusił się Geir. – Cha, cha, cha!

Jeszcze trzy razy zmuszałem go, żeby przysiągł milczenie, kiedy szliśmy pod górę, dźwigając torby z butelkami, ze słońcem palącym w kark. Pomodliłem się też o wybaczenie za to, że przeklinałem.

– Pójdziemy od razu na Finę oddać butelki? – spytał Geir.

– A tam przyjmują te po piwie?

– Rzeczywiście, chyba nie. No to je schowamy.

Z powrotem poszliśmy przez pole, przeskoczyliśmy przez strumień i tam, po drugiej stronie, w kępie drzew w pobliżu domu modlitwy, zostawiliśmy torby z butelkami. Zerwaliśmy trochę paproci i trawy, żeby je jak najstaranniej przykryć. Rozejrzeliśmy się, czy nikogo nie ma w pobliżu, potem spokojnie, wolnym krokiem stamtąd odeszliśmy, wiedzieliśmy przecież, że ktoś, ko biegnie, ściąga na siebie uwagę. Dotarliśmy do drogi prowadzącej do domu modlitwy i ruszyliśmy nią w dół.

Przy drzwiach do piwnicy swojego domu stał Ketil nad odwróconym do góry kołami rowerem. Jedną ręką kręcił pedałem, obracając tylnym kołem, a smarem z trzymanego w drugiej ręce małego plastikowego pojemniczka oliwił łańcuch. Czarne gładkie włosy opadały mu na twarz.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odpowiedzieliśmy.

– Gdzie byliście?

– Na wysy pisku.

– A co tam robiliście?

– Szukaliśmy pornosów – odparł Geir.

Spojrzałem na niego. Co on wyprawia? To przecież tajemnica!

– I co, znaleźliście jakieś? – Ketil się uśmiechnął.

Geir pokręcił głową.

– A ja mam w pokoju cały stos – oznajmił Ketil. – Chcecie pożyżyć?

– Tak! – uradował się Geir.

– Naprawdę? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Chcecie je teraz?

– Ja muszę wracać na obiad – powiedziałem.

– Ja też – stwierdził Geir. – Ale możemy je zabrać i schować w lesie.

Ketil pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Zniszczą się. Musicie je wziąć do domu. Ale okej, sam wam je przyniosę po południu.

– Dobrze – zgodziłem się. – Ale musimy się spotkać na ulicy. I nie dzwoń do drzwi, jasne?

– Tak? – Uśmiechnął się, mrużąc oczy. – Boisz się, że je pokażę twojemu ojcu?

– Nie, ale... On zadaje tyle pytań. No i jeszcze u mnie nie byłś.

– W porządku. Bądźcie na dworze koło piątej, to przyjdę. Pasuje?

– Ale wtedy jest mecz – zauważyłem.

– No to o szóstej. Tylko nie mówcie, że będziecie oglądać program dla dzieci!

– Okej, o szóstej.

Mama siedziała w kuchni i czytała książkę, grało radio, a na kuchence gotował się ryż. Cały jeden bok garnka był biały od mleka, a kuchenkę między płytkami też pokrywała skorupa ryżu z mlekiem, prawie całkiem już zaschnięta od gorąca, więc zrozumiałem, że wykpiąło.

– Cześć – powiedziałem.

Odłożyła książkę.

– Cześć. Gdzie byliście?

– Tak sobie chodziliśmy. Znaleźliśmy butelki, zaniesiemy je w poniedziałek do sklepu.

– Świetnie – odpowiedziała.

– Zrobisz wieczorem pizzę? – spytałem.

Uśmiechnęła się.

– Takі miałam zamiar.

– Fajnie!

– Zacząłeś już czytać tę książkę, którą dostałeś?

Kiwnąłem głową.

– Tak, już wczoraj. Bardzo fajna. Właśnie chciałem iść poczytać.

– No to idź. Jemy za piętnaście minut.

Zawsze coś przywoziła, kiedy wracała w piątek do domu. Tym razem była to książka. Miała tytuł *Czarnoksiężnik z Archipelagu*, a napisała ją Ursula K. Le Guin, i już po pierwszych paru stronach wiedziałem, że jest naprawdę fantastyczna. Ale chociaż tak uważałem, to nie bez wahania kładłem się, żeby poczytać, bo przecież mama wróciła do domu, a chciałem spędzić z nią jak najwięcej czasu. I tak jednak była blisko, a zatem wszystkie dobre strony jej obecności – zwłaszcza to, że przy niej tata nigdy nic nam nie robił, nigdy nie miał tych swoich ataków

wściekłości, zawsze nad sobą panował – przecież nie znikaly, mimo że leżałem na łóżku w swoim pokoju, a ona siedziała w kuchni.

Mecz obejrzałem z Yngvem i tatą. Tata jak zwykle kupił toffi w czekoladzie, a wcześniej pozwolił nam obu wypełnić kupon zakładów piłkarskich, po osiem rządków każdemu. Miałem pięć trafień, śmiali się ze mnie, bo to było mniej niż połowa, więc równie dobrze mogłem rzucić kostką i na tej podstawie zakreślać. Tata stwierdził, że tak samo trudno jest mieć pięć trafień co dziesięć, ale podczas gdy ci, którzy mieli dziesięć, dostawali pieniądze od Norweskiego Monopolu Loteryjnego, to ci, którzy mieli pięć trafień, powinni sami im zapłacić. Yngve miał siedem, a tata dziesięć, ale niestety, akurat tym razem za dziesięć trafień nic nie wypłacano.

Kiedy podano już wszystkie wyniki, zrobiła się za dwie szósta. Ketil zjechał ze wzgórza na rowerze, z grubą plastikową torbą przymocowaną do bagażnika. Wstałem i oświadczyłem, że wychodzę.

– Co ty znowu wymyśliłeś? – spytał tata. – Przecież w telewizji zaczyna się program dla dzieci!

– Nie mam ochoty oglądać. No i umówiłem się z Geirem.

– Umówiłeś się? – powtórzył. – No to dobrze. Żebyś tylko wrócił na ósmą.

– Wychodzisz? – Mama stanęła w drzwiach. – A ja myślałam, że zrobisz ze mną pizzę?

– Bardzo chętnie, ale się umówiłem.

– Nasz syn zaczął się umawiać – stwierdził tata. – Jesteś pewien, że z Geirem, a nie z jakąś miłą dziewczynką?

– Najzupełniej.

– No dobrze, tylko wróć na ósmą – powiedziała mama.

Tata wstał.

– Niedługo będziemy spędzać wieczory całkiem sami, Sissel. – Podciągnął spodnie za szlufki i ręką przegarnął włosy. Już szedłem korytarzem i nie słyszałem, co mama odpowiedziała. Nagle z podniecenia zaschło mi w gardle, cały drżałem. Na dole włożyłem adidas – bo jeśli będziemy mieć szczęście, to w lesie zdążyło już wyschnąć – niebieski, robiony na drutach sweter i niebieską puchową kamizelkę, którą mama właśnie mi uszyła, otworzyłem drzwi i pobiegłem do Ketila; siedział na rowerze z jedną nogą na pedale, drugą opierał się o ziemię. Geir stał obok. Obaj patrzyli na mnie.

– Idziemy do szopy na łódzie – zarządziłem. – Tam nikt nas nie zobaczy.

– Dobra – zgodził się Ketil. – Pojadę naokoło. Spotkamy się na miejscu.

Geir i ja zbiegliśmy ze skarpy na ścieżkę, przeskoczyliśmy przez strumień i pogналиśmy w dół zbocza, które zdawało się drzeć pod naszymi stopami. Przecieliśmy pole, żwirową drogę i zwiniliśmy dopiero na trawiastym zboczu poniżej; w tej samej chwili na jego szczycie, tuż koło starego białego domu, pojawił się Ketil.

Ketil był o dwa lata od nas starszy i dużo czasu spędzał sam, przynajmniej tak to wyglądało w naszych oczach. Miał mocno zarysowane kości policzkowe, wąskie oczy i lśniące czarne włosy, co sprawiało, że wyglądał jak Indianin i dlatego interesowały się nim dziewczyny. Zaczęło się to

niedawno. Z dnia na dzień nagle zaczęły mówić o Ketilu i patrzeć na niego. Nagle jego imię słychać było niemal wszędzie, a najbardziej w tym wszystkim dziwiło nie to, że tak nagle zaistniał, wcześniej zaś przebywał jakby w dolinie cieni, ale to, że u tych dziewczyn, które o nim mówiły i na niego patrzyły, pojawiło się coś w rodzaju dumy, to one zaczynały być interesujące z powodu dokonania tak nieoczekiwanego wyboru, niemal bardziej interesujące od niego. Bo on dalej żył tak, jak żył, jeździł na rowerze, pojawiał się raz tu, raz tam, ciągle osamotniony i zawsze dla nas ży czliwy.

Opuścił podpórkę pomarańczowej wyścigówki DBS z kierownicą typu baranek, taśma przy jednej ręczce poluzowała się i zwisała, podniósł zabezpieczenie bagażnika, wziął torbę i podszedł do nas, już leżących na trawie z długimi źdźbłami w ustach.

– No to teraz będzie porno. – Chwycił torbę za dno i wysypał pisma na trawę.

Na niebie słońce wisiało nisko, tuż nad wzgórzem za nami i na ziemi ścielił się cień Ketila. Z wysepki w zatoce dobiegał krzyk mew. Miękką na całym cieple, sięgnąłem po jedno z czasopism i ułożyłem się na brzuchu. Chociaż patrzyłem na każde zdjęcie z osobna, a czasami tylko na jego fragment, na przykład na piersi, których wystarczał mi zaledwie kawałek, żeby poczuć przypływy podniecenia, na przykład na nogi i wywołującą niemal dzikie ssanie szparę między nimi, mniej lub bardziej rozwartą, mniej lub bardziej czerwoną lub błyszczącą, na której często spoczywał palec lub dwa; na przykład na usta, często rozchylone, często wykrzywione w grymasie, albo na pośladki, czasami tak śliczne i okrągłe, że nie mogłem spokojnie uleżeć; i nie chodziło o te fragmenty same w sobie, raczej o coś, w czym się pławiłem, swego rodzaju morze, które nie miało początku ani końca, morze, które zawsze, od pierwszej chwili, od pierwszego zdjęcia, pochłaniało mnie całego.

– Masz jakąś ładną cipkę, Geir? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Nie, ale mam tu jedną z ogromnymi cyckami. Chcesz zobaczyć?

Kiwnąłem głową, więc podsunął mi pismo.

Ketil siedział po turecku kilka metrów wyżej, z czasopismem w rękach. Ale już po kilku minutach odrzucił je i wstał.

– Oglądałem je już tyle razy – powiedział. – Niedługo będą mi potrzebne jakieś nowe.

– A skąd je masz? – spytałem, patrząc na niego i osłaniając oczy przed słońcem.

– No jak to, kupiłem.

– Kupiłeś???

– Tak

– Ale one przecież są stare.

– Używane, ty durniu. W mieście jest taki salon fryzjerski, w którym sprzedają też stare czasopisma. Mają mnóstwo pornosów.

– I wolno ci je kupować?

– Najwyraźniej.

Przyglądałem mu się przez kilka sekund. Żartował sobie ze mnie?

Raczej nie.

Przerzucałem kolejne kartki. Nagle pojawiły się zdjęcia dwóch dziewczyn na korcie tenisowym. Były w spódniczkach do tenisa, jedna w jasnoniebieskiej, druga w białej, miały białe koszulki, opaski na nadgarstkach, białe skarpetki i białe tenisówki. Każda trzymała w ręku rakietę. Chyba nie zamierzały grać?

Przerzuciłem stronę.

Jedna leżała na trawie, spod podciągniętej koszulki wystawały piersi, głowę odchyliła.

Nie miała majtek?

Nie miała.

Na sąsiednim zdjęciu już obie były nagie, kłęczały przy siatce z wypiętymi tyłkami. To było fantastyczne. Fantastyczne. Fantastyczne!

– Patrz, Geir! Dwie, co grają w tenisa!

Rzucił na mnie okiem i kiwnął głową, zbyt pochłonięty swoimi zdjęciami, żeby marnować choćby chwilę.

Ketil zszedł na stary, rozpadający się pomost i zaczął puszczać kaczki kamieniami, które znalazł przy brzegu morza. Woda była nieruchoma jak lustro i po każdym podskoku płaskich kamyków rozchodziły się na niej kręgi.

Zdążyłem przejrzeć trzy czy cztery pisma, kiedy podszedł do nas. Podniosłem głowę.

– Przyjemnie się leży na brzuchu i je ogląda – powiedziałem.

– Cha, cha, cha. Lubisz się ocierać!

– Lubię.

– Wierzę. Ale muszę już lecieć. Zatrzymajcie sobie te pisma, jeśli chcecie. Mnie się już znudziły.

– Dajesz je nam? – zdumiał się Geir.

– Bardzo proszę.

Podniósł podpórkę i ruszył pod górę, prowadząc rower jedną ręką za środek kierownicy. Wyglądało to prawie tak, jakby prowadził zwierzę.

Tak oczywiście dla nas było, że to Geir musi ukryć pornosy u siebie, że kiedy godzinę później rozstawaliśmy się przed naszym domem, nawet o tym nie rozmawialiśmy.

Pizze mamy miały grube spody wysoko wznoszące się po bokach, więc farsz z mielonego mięsa, pomidorów, cebuli, pieczarek, papryki i sera wyglądał jak równina otoczona ze wszystkich stron łańcuchami górskimi. Siedzieliśmy przy stole w salonie, jak zawsze w sobotnie wieczory. Nigdy nie jedliśmy przed telewizorem, to zaliczało się do rzeczy nie do pomyślenia. Tata ukroił kawałek i położył na moim talerzu, sam nalałem sobie coli do szklanki z litrowej butelki, na której biały napis „Coca-cola” był nadrukowany na lekko zielonkawym szkłe zamiast na czerwonej naklejce, jak również się zdarzało. Pepsi-coli nie sprzedawano w Sørlandet, piłem ją tylko na Norway Cup, i obok kolejki podziemnej i śniadań, na które mogliśmy jeść tyle kornfleksów, ile chcieliśmy, była jednym z najbardziej emocjonujących elementów tego turnieju^[9].

Po zjedzeniu pizzy tata spytał, czy chcemy zagrać w nową grę. Chcieliśmy.

Mama sprzątnęła ze stołu, tata przyniósł z gabinetu bloczek do pisania i cztery długopisy.

– Zagrasz z nami, Sissel? – zawołało do mamy, która zaczęła zmywać.

– Chętnie. – Wyszała do nas. Miała pianę na przedramieniu i na skroni. – A w co będziemy grać? W yatzy?

– Nie – odparł tata. – Każdy dostanie kartkę, na której w osobnych kolumnach będzie wypisywać państwa, miasta, rzeki, morza, jeziora i góry. Wybierzemy literę i w ciągu trzech minut trzeba będzie wypisać tyle nazw na tę literę, ile się zna.

Nigdy wcześniej w to nie graliśmy, ale wydawało się fajne.

– Jest jakaś nagroda? – spytał Yngve.

Tata się uśmiechnął.

– Tylko chwała. Ten, kto wygra, zostanie mistrzem rodziny.

– Zaczynicie sami, ja jeszcze zaparzę herbatę – powiedziała mama.

– Wobec tego robimy rundę próbną – oświadczył tata. – A naprawdę zaczniemy grać, kiedy do nas dołączysz.

Spojrzał na nas.

– M – zdecydował. – Litera M. Już wiecie?

– Tak – Yngve od razu zaczął pisać, drugą ręką zasłaniając kartkę.

– Tak – potwierdziłem.

W rubryce „góry” wpisałem Mont Blanc. W „miastach” Mandal, Morristown, Mjøndalen, Molde, Malmö, Metropolis i Monachium. Morza żadnego nie miałem, ani też rzeki. Dalej były kraje. Czy są jakieś kraje na M? Przeleciałem w myślach wszystkie, które znałem, ale nie, nic.

Moelva^[10], czy to rzeka? Mo i Rana to na pewno miasto. Już wiem, Mississippi.

– Czas minął – oświadczył tata.

Jeden rzut oka na ich kartki wystarczył, by zobaczyć, że mnie pokonali.

– Czytaj swoje, Karl Ove – polecił tata.

Kiedy doszedłem do Morristown, tata i Yngve wybuchnęli śmiechem.

– Nie śmiećcie się ze mnie!

– Przecież Morristown istnieje tylko w *Fantomie* – powiedział Yngve. – Myślałeś, że to prawdziwe miasto?

– Tak? I co z tego? Jego żona Sala pracuje w budynku ONZ-etu w Nowym Jorku, a on przecież istnieje. Dlaczego Morristown miałyby nie istnieć?

– Dobra odpowiedź, Karl Ove – stwierdził tata. – Dostaniesz za nią pół punktu.

Wykrzywiłem się do Yngvego, który tylko drwiąco się uśmiechnął.

– Jest herbata – obwieściła mama.

Poszliśmy po filiżanki. Do swojej dolałem mleka i wsypałem cukier.

– No to zaczynamy grać naprawdę – powiedział tata. – Przerobimy trzy litery. Pewnie tyle zdąży my, zanim będziecie musieli iść spać.

Okazało się, że mama zna prawie tak samo mało nazw jak ja. Albo może nie koncentrowała się tak jak Yngve i tata. Mnie to w każdym razie odpowiadało, bo było dwoje na dwóch. Kiedy tata podliczył punkty po pierwszej rundzie, mama nagle oświadczyła, że zmieniła nazwisko.

– Wróciłam do swojego starego, panieńskiego nazwiska. Teraz nazywam się Hatløy, a nie Knausgård.

Zrobiło mi się zimno.

– Nie nazywasz się Knausgård? – Patrzyłem na nią z otwartymi ustami. – Ale przecież jesteś naszą mamą!

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że jestem. I zawsze nią będę!

– No to dlaczego? Dlaczego nie będziesz się nazywać tak samo jak my?

– Urodziłam się jako Sissel Hatløy, przecież wiesz. To jest moje nazwisko. Knausgård to nazwisko taty. I wasze!

– Rozwodzicie się?

Uśmiechnęli się oboje, i mama, i tata.

– Nie, nie rozwodzimy – powiedziała mama. – Będziemy tylko mieć różne nazwiska.

– Ale są tego pewne nieprzyjemne konsekwencje – włączył się tata. – Od tej pory nie będziemy się widywać z babcią i dziadkiem, z moimi rodzicami. Im się nie podoba, że wasza mama zmienia nazwisko, więc nie chcą nas widzieć.

Spojrzałem na niego.

– No a święta? – spytałem.

Tata pokręcił głową.

Rozplakałem się.

– Nie ma o co płakać, Karl Ove – powiedział tata. – Na pewno im minie. Teraz są po prostu źli. Ale to przejdzie.

Odsunąłem gwałtownie krzesło, wstałem i pobiegłem do pokoju. Kiedy zamykałem drzwi, usłyszałem, że ktoś za mną idzie. Położyłem się na łóżku, wbiłem głowę w poduszkę i głośno szlochałem, a łzy płynęły mi z oczu jak nigdy do tej pory.

– Ależ Karl Ove! – Tata przysiadł na brzegu łóżka. – Nie możesz tak się tym przejmować. Tak lubisz babcię i dziadka?

– Tak! – krzyknąłem w poduszkę. Całym moim ciałem wstrząsały konwulsyjne szlochy.

– No ale oni nie chcą się widywać z twoją mamą, więc spotkania z nimi raczej nie byłyby zbyt przyjemne. Chyba to rozumiesz. Nie żyć zą sobie naszymi wizyt.

– Dlaczego mama zmieniła nazwisko? – krzyknąłem.

– To jej właściwe nazwisko – wyjaśnił tata. – I mama tego chce. Ani ja, ani dziadek, ani babcia nie możemy jej tego zabronić, prawda?

Na krótką chwilę położył mi rękę na ramieniu. Potem wstał i wyszedł z pokoju.

Kiedy lzy przestały mi płynąć, sięgnąłem po książkę, którą kupiła mi mama, i dalej czytałem. Gdzieś w podświadomości zarejestrowałem, że Yngve poszedł się położyć, potem zamknęły się rozsuwane drzwi i w salonie zaczęła grać muzyka. Ale tak naprawdę nie zwróciłem na to uwagi, bo od pierwszego zdania zapadłem się głęboko w opowieść i zapadałem się w nią coraz głębiej. Głównym bohaterem książki był Ged, chłopiec, który mieszkał na wyspie. Gdy odkryto jego nadzwyczajne zdolności, wysłano go do szkoły magów. Raz, gdy chciał się popisać przed innymi, wykazał się zbyt dużą zuchwałością i otworzył wrota do innego, podziemnego świata, do królestwa umarłych, i wypuścił stamtąd cień. W wyniku starcia z cieniem Ged stracił siły, był bliski śmierci, i chociaż został odratowany, zadane mu przez cień rany na duszy i ciele w ogóle się nie goją. Uciekając przed cieniem, Ged ukrył się na odległej wyspie, zrezygnował z wszelkich ambicji, świadom, że wszystko, co robił do tej pory, to jedynie prościutkie czarodziejskie sztuczki, istnieje bowiem inna, głębsza magia, spleciona ze wszystkim, co żyje, a prawdziwym zadaniem czarnoksiężnika jest utrzymanie właściwej równowagi. Wszystkie istoty mają swoje prawdziwe imiona, związane z ich naturą, i tylko jeśli zna się te imiona, można nad nimi zapanować. Ged to potrafił, ale nie wykorzystywał, bo wiedział, że każde zaklęcie, każda próba czarowania może zachwiać tę równowagę i gdzieś w zupełnie innym miejscu może wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Mieszkańcy wioski, w której się osiedlił, uważali go zatem za marnego czarnoksiężnika, nie chciał przecież wykonać najprostszej sztuczki z tych, z których utrzymywał się każdy wiejski czarnoksiężnik. Ged był młody, poważny, a na twarzy miał wielką bliznę i często marzył, ale w najważniejszych momentach korzystał jednak ze swoich zdolności. Raz chodziło o umierające dziecko. Poszedł za nim do królestwa śmierci i przyniósł je z powrotem, chociaż nie powinien, bo to było bardzo niebezpieczne, gdyż jeśli w ogóle jakiejś równowagi nie należało zakłócać, to właśnie tej między życiem a śmiercią. On jednak to zrobił i o mało sam nie umarł. Mieszkańcy wioski po raz pierwszy zobaczyli, kim naprawdę jest, ale odkrył go też cień, którego wypuścił z tamtego drugiego świata; cały czas go szukał i za każdym razem, gdy Ged wykorzystywał swoją moc, cień go wyczuwał. Ged znów musiał uciekać, wypłynął łodzią jak najdalej na morze. Cień stale się zbliżał. Po wielu konfrontacjach, podczas których Ged był bliski śmierci, nastąpiła ta ostatnia, najgorsza. Ged cały czas usiłował znaleźć imię cienia. Przeszukiwał księgi, w których wymieniano stworzenia z najdawniejszych czasów, wypytywał innych, mądrzejszych czarnoksiężników, jednak bez powodzenia. Ta istota pozostawała nieznana, bezimienna. I nagle w samotności na morzu, czując obecność zbliżającego się cienia, zrozumiał. Cień miał na imię Ged. Cień nosił jego imię. Cień był nim.

Kiedy gasiłem światło po przeczytaniu ostatniej strony, była już prawie dwunasta, a oczy miałem pełne łez.

Cień był nim!

Tej jesieni i zimy co najmniej raz, a często i dwa razy w tygodniu zostawałem w domu sam. Tata chodził na zebrania, Yngve na próby orkiestry szkolnej, na trening siatkówki lub koszykówki, albo do swoich kolegów. Lubilem być sam w domu. Czulem się cudownie, kiedy nikt mną nie rządził i nic ode mnie nie chciał, chociaż jednocześnie nie było to wcale takie przyjemne, bo ciemność zapadała coraz wcześniej, a odbijające się w oknach oświetlone pokoje, po których chodziłem, przejmowały mnie lękiem, według mnie wiązały się ze śmiercią i zmarłymi.

Wiedziałem, że taknie jest. Ale cóż mi po wiedzy?

Najstraszniej było wtedy, kiedy całkowicie zatapiałem się w tym, co czytałem, bo kiedy w końcu podnosiłem głowę znad książki i wstawałem, czułem się tak, jakbym n i g d z i e nie był zakotwiczony. Miałem poczucie całkowitej, kompletnej samotności, odizolowany ciemnością, która była jakściana.

Owszem, mogłem wtedy nalać sobie wody do wanny, jeśli miałem na to odpowiednio dużo czasu przed powrotem taty do domu – on nie lubił moich kąpeli w porę i nie w porę, według niego raz w tygodniu najzupełniej wystarczyło i pilnował tego tak samo jak wszystkiego innego, co robiłem. Ale jeśli już sobie na to pozwoliłem, nalałem wody do wanny, usiadłem w niej, włączyłem magnetofon i zanurzyłem ciało w ciepłej wodzie, wtedy widziałem siebie jakby z zewnątrz, z rozdziawionymi ustami, jakbym zamiast głowy miał trupa czaszkę. Śpiewałem, a głos zwracał się przeciwko mnie, zanurzałem głowę i ogarniał mnie śmiertelny strach: Nic nie widzę! Ktoś mógł się zakraść! Ktoś chodzi po piętrze?! Te dwie, trzy czy cztery sekundy, kiedy byłem cały pod wodą, stanowiły dziurę w czasie, a przez tę dziurę ktoś mógł potajemnie wejść. Może nie do łazienki, bo tu przecież nikogo nie widziałem, ale do domu.

Najlepszym ratunkiem w takich sytuacjach było zgaszenie światła w kuchni albo w moim pokoju i wyglądanie, bo kiedy znikало odbicie w szybie, za oknem pojawiały się inne domy, inne rodziny, a czasami na dworze bawiły się inne dzieci. Nic nie dawało mi większego poczucia bezpieczeństwa.

Któregoś wieczoru kęcałem po ciemku na kuchennym stołku i wyglądałem przez okno. Padał śnieg, bardzo mocno wiało. Wiatr zawodził, podzwaniało w rynnach, szumiało w kominie. Zapadła już noc, w żółtym blasku pod latarniami nie było widać żywej duszy, jedynie niesione wiatrem płatki śniegu.

Przyjechał samochód. Skręcił na drogę wokół osiedla, zbliżył się do naszego domu. Czyżby ktoś do nas?

Tak. Stał na podjeździe.

Kto to mógł być?

Wybiegłem z kuchni na dół, do przedpokoju.

Tam się zatrzymałem.

Przecież do nas nikt nie przychodził z wizytą.

Kto to mógł być?

Wystraszyłem się.

Podszedłem do drzwi i przycisnąłem nos do chropowatej szyby. Nie musiałem otwierać, mogłem tam stanąć i sprawdzić, czy poznaję tego, kto przyjechał.

Drzwiczki samochodu się otworzyły i jakaś postać dosłownie z nich w y p a d ł a.

Poruszała się n a c z w o r a k a c h.

O nie!

Podeszła, kołysząc się jak niedźwiedź. Zatrzymała się przy dzwonku i stanęła na dwóch nogach!

Cofnąłem się.

Co to za stwór?

Din-don, zadzwonił dzwonek

Postać znów opadła na cztery łapy.

Człowiek śniegu? Yeti?

Ale tutaj? Na Tybakken?

Postać znów się podniosła, zadzwoniła i opadła na cztery łapy.

Serce mi waliło.

W końcu jednak zrozumiałem.

No tak, oczywiście.

To był ten sparaliżowany mężczyzna, który zasiadał w radzie gminy.

To musiał być on.

Przecież człowiek śniegu nie mógł przyjechać samochodem?

Otworzyłem drzwi akurat w chwili, gdy postać zaczęła odchodzić, znów na czworakach.

Odwróciła się.

To był on.

– Cześć – powiedział. – Zastąłem twojego ojca?

Pokręciłem głową.

– Nie. Poszedł na zebranie.

Mężczyzna, który miał brodę, okulary, zawsze odrobinę śliny w kąciku ust i często woził młodzież swoim specjalnie przystosowanym samochodem, westchnął.

– No to pozdrów go i powiedz, że byłem.

– Dobrze.

Przemieścił się za pomocą rąk, otworzył drzwiczki i podciągnął się na siedzenie. Patrzyłem na niego wielkimi oczami. W samochodzie powolność i bezradność jego ruchów uległa przeobrażeniu. Mocno dodał gazu, cofnął się pod górkę, z głośnym warłotem wyjechał na drogę i zniknął.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do swojego pokoju. Ledwie się położyłem, a już drzwi wejściowe się otworzyły.

Po odgłosach poznałem, że to Yngve.

– Jesteś? – zawołał ze schodów.

Wstałem i wyszedłem.

– Strasznie mi się chce jeść – powiedział. – Zjemy kolację?

– Przecież dopiero trochę po ósmej.

– Im wcześniej, tym lepiej, bo będę mógł zrobić dla nas herbatę. Poza tym jestem naprawdę okropnie głodny.

– No to zawołaj, kiedy herbata będzie gotowa.

Kwadrans później siedzieliśmy i jedliśmy kanapki, a przed każdym z nas stał wielki kubek herbaty.

– Był tu dzisiaj jakiś samochód? – spytał Yngve.

Kiwnąłem głową.

– Tak, tego sparaliżowanego z rady gminy.

– Czego chciał?

– Skąd mogę wiedzieć?

Yngve spojrział na mnie.

– Ktoś dzisiaj o tobie mówił – powiedział.

– Tak? – Zdjął mnie chłód.

– Tak Ellen.

– A co mówiła?

– Że dziwnie chodzisz.

– Wcale tak nie powiedziała!

– Powiedziała. I to prawda, co nie? Ty naprawdę trochę dziwnie chodzisz, nie zastanawiałeś się nad tym?

– Wcale nie! – krzyknąłem.

– Właśnie, że tak Mały niunius nie potrafi nawet porządnie chodzić!

Wstał i zaczął przechadzać się po kuchni, a przy każdym kroku jakby opadał do przodu. Patrzyłem na niego ze łzami w oczach.

– Chodzę zupełnie zwyczajnie – oświadczyłem.

– To Ellen tak powiedziała, nie ja – przypomniał, siadając. – Mówią o tobie, że jesteś trochę dziwny.

– Wcale że nie! – wrzasnąłem i z całej siły rzuciłem w niego kanapką. Odchylił głowę i kanapka z plaśnięciem uderzyła o kuchenkę.

– Maluszek się rozłościł? – zadrwił.

Wstałem z kubkiem w ręku. Yngve, widząc to, też się podniósł. Chlusnąłem w niego gorącą herbatą. Oblała mu brzuch.

– Jesteś taki słodki, kiedy się złości, Karl Ove. Biedny mały niunius! Może mam cię nauczyć chodzić? Bo ja to potrafię, wiesz?

Oczy miałem pełne łez, ale nie dlatego nic nie widziałem, tylko z powodu wściekłości, która we mnie narosła i wypełniła mi głowę jakby czerwoną mgłą.

Rzuciłem się na Yngvego i z całej siły uderzyłem go w brzuch. Złapał mnie za ręce i obrócił. Próbowałem się wyrwać, on trzymał mnie mocno, próbowałem kopać, on przycisnął mnie jeszcze mocniej do siebie, próbowałem go ugryźć, on mnie odepchnął.

– Już dobrze – powiedział.

Znów się na niego rzuciłem, chciałem obić mu głowę, zmasakrować, i gdybym miał pod ręką nóż, nie zawahałbym się przed wbiciem mu go w brzuch. Ale on o tym wiedział, to się zdarzyło już tyle razy wcześniej, więc znów zrobił to samo: przytrzymał mnie i mocno do siebie przycisnął, powtarzając, że jestem mały niunius, taki słodki, kiedy się złości, aż do chwili kiedy

znów spróbowałem go ugryźć, a on nie dał rady dłużej przytrzymać mojej głowy, więc mnie od siebie odepchnął. Tym razem już go nie zaatakowałem, tylko wybiegłem z kuchni. W salonie na stole stała patera z owocami. Chwyliłem pomarańczę i z całej siły cisnąłem nią o ziemię. Pękła, a cienka strużka soku trysnęła na tapetę na ścianie korytarza.

Yngve obserwował mnie, stojąc w drzwiach.

– Patrz, co zrobiłeś! – odezwał się wreszcie.

Spojrzałem na niego. Potem zobaczyłem ślad na tapecie.

– Zmyj to, idioto! – warknąłem.

– Tego się nie da zmyć. Tylko się rozmaże i zostanie większy ślad. Tata się wścieknie, kiedy to zobaczy. Dlaczego to zrobiłeś?

– Może nie zauważy.

Yngve tylko na mnie patrzył.

– Miejmy nadzieję – powiedział w końcu. Potem się nachylił i zabrał pomarańczę do kuchni. Po szelestach, które nastąpiły, zorientowałem się, że ukrył ją na dnie wiadra ze śmieciami. Później przyszedł ze szmatą i wytarł podłogę.

Trząsłem się tak, że ledwie mogłem stać. Smuga na ścianie była cienka, ale długa. Nie wyobrażałem sobie, żeby tata po powrocie do domu mógł jej nie zauważyć.

Yngve umył garnek po herbacie i oba kubki. Wyrzucił kanapkę, zgarnął okruchy. Siedziałem na krześle przy stole z głową opartą na rękach.

Yngve stanął przede mną.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem doprowadzać cię do płaczu.

– Wiem.

– Ale ty się tak śmiesznie złościś. Zrozum, że to wtedy kusi. No i już cię przeprosiłem.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Że tak dziwnie chodzę.

– Daj spokój. Każdy chodzi na swój sposób. Najważniejsze, żeby się przemieszczać. Wyglupiałem się. Chciałem cię tylko rozzłościć. I udało mi się. Wcale nie chodzisz dziwniej niż inni.

– Na pewno?

– Na bank

Kiedy tata wrócił do domu, już leżałem w łóżku. Po ciemku słuchałem jego kroków. Nie zatrzymały się w korytarzu, jak się spodziewałem, tylko przeszły dalej, do kuchni. Tam tata trochę się pokręcił i wyszedł. Również tym razem nie zatrzymał się w korytarzu. Nie odkrył tego. Byliśmy uratowani.

Następnego dnia wieczorem pojechałem z Geirem na trening pływania. Autobus z Holtet

dowiół nas na dworzec autobusowy w mieście, a stamtąd ruszyliśmy do hali Stinta z torbami sportowymi na ramionach. W mojej leżały granatowe kąpielówki Arena, biały czepek Speedo z norweską flagą z boku, okularki Speedo, mydło i ręcznik Członkami Klubu Pływackiego w Arendal byliśmy od zeszłej zimy. Wtedy nawet nie umieliśmy pływać, już samo przemieszczenie się bez odpczynku z jednego końca basenu na drugi stanowiło ogromny wysiłek, na granicy możliwości, ale ponieważ tego od nas wymagano jako absolutnego minimum warunkującego zapisanie się do klubu, a trener, mężczyzna w drewniakach, z wytatuowanymi ramionami, obserwował nas z brzegu basenu i krzyczał, w zdumiewająco krótkim czasie opanowaliśmy tę sztukę bez większych problemów. Nie byliśmy dobrzy, przynajmniej w porównaniu ze starszymi chłopcami, którzy od czasu do czasu się tam pojawiali, długonodzy, szczupli, a jednak umięśnieni, mknęli przez basen jak burza, z otwartymi ustami, w okularach wyglądających jak owadzie oczy. Czasami myślałem sobie, że w porównaniu z nimi bardziej przypominamy kijanki, kiedy chłapiąc, kręciliśmy się w kółko po torze, zamiast sunąć do przodu. Ale chociaż nabieraliśmy coraz większej wprawy i już wkrótce potrafiłem przepłynąć tysiąc metrów w trakcie jednego treningu, chodziłem na te zajęcia nie z powodu postępów w pływaniu – wiedziałem przecież, że nigdy nie będę zawodnikiem, bo kiedy dopuszczano nas do zawodów, dawałem z siebie wszystko, ale to i tak nigdy nie wystarczało, nie udawało mi się wyprzedzić nawet Geira – lecz dlatego, że lubiłem całą otoczkę, to co się zaczynało już w chwili, gdy wsiadaliśmy do autobusu, i co trwało podczas drogi w ciemności do Arendal – wyludnione wieczorem miasto, przez które szliśmy, te same sklepy, przed którymi się zatrzymywaliśmy w drodze na pływalnię, wejście do hali, wielkiego komunalnego budynku z jego dziwnym pomieszczeniem tego co w środku i tego co na zewnątrz; wchodziliśmy tam jak przez służę, najpierw grubo opatuleni w zimowe ubrania staliśmy w holu, a piętnaście minut później prawie nady, ubrani jedynie w strzęp materiału, stawaliśmy na krawędzi basenu; po odprawieniu całego niewielkiego rytuału rozbierania się, mycia i ubierania wreszcie mogliśmy rzucić się w cudownie przezroczyście, chłodną, pachnącą chlorem wodę. Właśnie to lubiłem, dźwięki odbijające się od ścian hali, ciemność za oknami, przypominające sznury koralu taśmy oddzielające tory, skupki, przeciągające się nawet do pół godziny gorące prysznicze po zajęciach, kiedy cały proces się odwracał i z białych, drobnych, prawie nagich chłopców z dużymi głowami znów zmienialiśmy się w tych grubo opatulonych w zimowe ubrania, tyle że teraz z mokrymi włosami pod czapką i zapachem chloru na skórze, czujących w rękach i nogach cudowne zmęczenie.

Lubiłem też to uczucie zamknięcia w samym sobie, kiedy wkładałem czepki pływackie i okularki, zwłaszcza na zawodach, podczas których od słupka ciągnął się tor przeznaczony tylko dla mnie. Najczęściej jednak myśli w astronautycznej samotności pływania bywały chaotyczne, a niekiedy wręcz paniczne. Do okularków potrafiła wlać się woda, przelewała się w nich, zaburzając widzenie, co oczywiście zakłócało również przejrzystość myśli. Mogłem połknąć wodę, mogłem spudłować przy nawrocie, przez co jeszcze bardziej brakowało mi oddechu i więcej jej piłem. Bywało też, że widziałem tych na sąsiednich torach, którzy za bardzo już mnie wyprzedzili, co mówił mi ten tak przejęty chęcią zwycięstwa głos, z którym niekiedy potrafiłem rozmawiać. Ale chociaż ta wewnętrzna rozmowa odbywała się bez emocji, na wodzie walczyłem z całym sobą, dlatego wyglądało to niemal jak panika, przy pominało też trochę centrum dowodzenia ukryte głęboko w bunkrze, gdzie oficerowie dyskutują ze spokojem, a nad ich

głowami toczy się walka; jednak dzięki tej rozmowie potrafiłem nieco przyspieszyć i przez kilka sekund udawało mi się naprawdę dawać z siebie wszystko, lecz to i tak nie pomagało ani trochę. Geir dalej mnie wyprzedzał, czego nie mogłem zrozumieć. Przecież właściwie byłem od niego lepszy, o tyle więcej od niego wiedziałem, również o woli zwycięstwa. A jednak to on dotykał ręką brzegu basenu w t y m momencie, a ja

..... w t y m.

Dlatego kiedy trener odgwiżdżał zakończenie tego treningu, nie bez ulgi podciągnąłem się rękami na brzeg basenu, żeby razem z Geirem pobiec po wykładanej kafelkami podłozie do umywalni, gdzie prędkość jakby malała, przynajmniej nasza, gdy ścigaliśmy czeplki i kąpielówki i wchodziliśmy pod prysznic, by z zamkniętymi oczami rozkoszować się ciepłem rozlewającym się po ciele i nie musieć już nic mówić czy robić, ani nawet szukać sił na to, żeby się śmiać, gdyby jeden z mężczyzn przychodzących na pływalnię w godzinach otwarcia dla wszystkich zaczął pod nosem śpiewać. Panująca tam atmosfera miała w sobie coś ze snu, te białe ciała ukazujące się w drzwiach, wykonujące powolne, jakby skierowane do swojego wnętrza ruchy, stające pod prysznicem, szum wody spadającej na kafelki, zmieszany ze stłumionym nieco gwarem z hali pływalni, powietrze przesycone parą, głuchy ton głosów, kiedy ktoś rozmawiał.

Zwykle zostawaliśmy jeszcze długo po tym, jak ci, z którymi razem trenowaliśmy, już wyszli spod prysznic. Geir stał twarzą do ściany, ja odwrócony twarzą na zewnątrz, żeby ukryć pupę. Czasami obserwowałem go, kiedy nie widział. Miał szczuplejsze ręce niż ja, ale był silniejszy. Ja byłem od niego trochę wyższy, ale on był szybszy. Nie dlatego jednak pływał szybciej ode mnie. Po prostu bardziej chciał. Inaczej przedstawiała się sprawa z jego rysunkami. To było coś, co tylko on potrafił, co miał w sobie od zawsze. Z wyjątkiem ludzi potrafił dokładnie narysować wszystko. Domy, samochody, łodzie, drzewa, czołgi, samoloty, rakiety. Przypominało to wręcz misterium. Nigdy bowiem nie odrysowywał, tak jak ja, a matka nie pozwalała mu używać ani linijki, ani gumki. Czasami w jego wypowiedziach pojawiały się dziwne słowa. Mówił na przykład: „fantyzjować” i „czterokąt”, a zamiast „śliwka” – „śliwek”, i chociaż za każdym razem go poprawiałem, dalej używał tych wyrazów, jakby stanowiły jego nieodłączny element, jak kolor oczu czy zgryz.

Teraz wyczuł moje spojrzenie i popatrzył mi w oczy. Z uśmiechem stanął na palcach i przycisnął dłoń do główki prysznic, by zdławić strumień; woda pod jego palcami jakby zgęstniała. Roześmiał się i odwrócił do mnie. Pokazałem mu swoje dłonie. Koniuszki palców miałem czerwone i nabrzmiałe od wilgoci.

– Wyglądają jak rodzyńki – stwierdziłem.

Obejrzał swoje ręce.

– Moje też. Pomyśl, co by było, gdyby całe ciało się takie robiło podczas kąpieli?

– Jajka zawsze są pomarszczone – zauważyłem.

Obaj się nachyliliśmy, żeby sprawdzić. Wolno powiodłem palcem po twardych, a mimo to wrażliwych fałdach skóry i przebiegł mnie dreszcz.

– Przyjemnie się tam głaskać – wyznałem.

Geir się rozejrzał. Potem zakręcił prysznic, podszedł do rzędu haczyków, na których wisiały ręczniki, zdjął jeden i zaczął się wycierać. Ja wziąłem do ręki mydło i puściłem nim kaczkę przez

całą umywalnię. Sunęło po podłodze, aż odbiło się od ściany w rogu i zatrzymało na kratce ściekowej. Zakręciłem prysznic i już miałem iść za Geirem, ale nagle nie mogłem znieść myśli o tym kawałku mydła na podłodze. Podniosłem je i wyrzuciłem do śmietnika pod ścianą. Wcisnąłem twarz w suchy ręcznik frotté.

– Wyobraź sobie, co to będzie, jak nam włosy urosną na siurku. – Geir zrobił kilka kroków na szeroko rozstawionych nogach.

– A jak urosną naprawdę długie? – Roześmiałem się.

– Aż do kolan!

– Trzeba je będzie czesać!

– Albo wiązać w koński ogon!

– Albo chodzić do fryzjera. Dzień dobry, chciałbym prosić o strzyżenie włosów na fiutku.

– Aha. A jaka fryzura?

– Na jeża!

Otworzyły się drzwi, więc przestaliśmy się śmiać. Wszedł starszy, gruby mężczyzna ze smutnymi oczami, a pustka, którą pozostawił w nas śmiech, zaraz wypełniła się chichotem, gdy najpierw uprzejmie się nam uklonił, a potem, skrępowany, odwrócił, żeby zdjąć kąpielówkę. Chwyciliśmy nasze rzeczy, a Geir przy wyjściu z umywalni rzucił jeszcze na cały głos:

– Na pewno ma wielkiego.

– Albo małego – dodałem tak samo głośno.

Trzasnęliśmy drzwiami i pobiegliśmy do szatni. Przez chwilę zaśmiewaliśmy się, rozważając, czy nas słyszał, czy nie, aż w końcu spokojna atmosfera tego miejsca udzieliła się również nam i jakby przesyconymi nią ruchami zaczęliśmy się pakować i ubierać. Słychać tu było jedynie odgłosy stóp na linoleum, szelest nogawek spodni wciąganych na nogi, rękawów kurtek wsuwanych na ręce, ostrzejszy brzęk, który towarzyszył otwieraniu lub zamykaniu szafki, od czasu do czasu westchnienie kogoś wykończonego gorącem w saunie.

Wyjąłem z szafki torbę i wrzuciłem do niej rzeczy. Najpierw okularki, na które jeszcze przez chwilę patrzyłem, bo były nowe i czułem radość, że są moje. Potem kąpielówkę, czepek i ręcznik, a na koniec mydelniczkę. Miękką zaokrągloną, zielonkawa i lekko pachnąca perfumami, należała do zupełnie innej sfery niż pozostały sprzęt pływacki. Była intymnie związana z mamą, z jej rzeczami w szafce: kołczykami, pierścionkami, flakonami, sprzączkami do paska, broszkami, apaszkami i woalkami. Mama z całą pewnością sama nie zdawała sobie sprawy z istnienia takiej sfery, inaczej nigdy by mi nie kupiła wtedy damskiego czepka. Bo damski czepek pływacki również tam należał. No a wszyscy wiedzieli, że jednej sfery nigdy nie wolno łączyć z drugą.

Obok mnie Geir był już prawie gotowy. Wstałem, wciągnąłem slipy, wyjąłem kałesony i włożyłem w nie najpierw jedną nogę, potem drugą. Mocno podciągnąłem je aż do pasa, a potem wśród reszty ubrania zacząłem szukać skarpetek. Znalazłem tylko jedną, więc przejrzałem cały stos ubrań jeszcze raz.

Nie było jej.

Zajrzałem do szafki.

Pusta.

O nie!

Nie, nie, nie.

Z wściekłością sprawdziłem wszystkie ubrania ponownie, kolejno potrząsając każdą częścią garderoby, z nadzieją, że skarpetka jednak wypadnie i ułoży się przede mną na podłodze.

Ale skarpetki nie było.

– Co się stało? – spytał Geir. Siedział na ławce naprzeciwko, kompletnie ubrany.

– Nie mogę znaleźć drugiej skarpetki – powiedziałem. – Nie widzisz jej?

Nachylił się i zajrzał pod ławkę.

– Tutaj nie ma.

O nie!

– No ale gdzieś musi być. Pomóżesz mi szukać? Tak cię proszę!

Słyszałem, że głos odrobinę mi drży. Ale Geir tego nie skomentował, jeśli w ogóle usłyszał. Schylił się i zajrzał pod wszystkie ławki, a ja poszedłem do umywalni, żeby sprawdzić, czy czasem skarpetka nie zaplątała się w ręcznik i nie wypadła gdzieś po drodze. Ale tam też jej nie było. Może nieopatrnie spakowałem ją razem z rzeczami do pływania?

Szybko wróciłem do szatni i wysypałem całą zawartość torby na podłogę.

Ale nie. Skarpetki nie było.

– I co, nie znalazłeś? – spytałem.

– Nie – odparł Geir. – Ale musimy już lecieć, Karl Ove. Autobus nam ucieknie.

– Muszę najpierw znaleźć skarpetkę.

– Jej tu nie ma. Sprawdziliśmy już w s z e d z i e. Nie możesz po prostu iść bez?

Nie odpowiedziałem. Jeszcze raz przetrząsnąłem wszystkie ubrania, schyliłem się i zajrzałem pod ławki. Znów poszedłem do umywalni.

– Naprawdę musimy już iść. – Podał mi pod oczy zegarek – Wściekną się, jak się spóźnię na autobus.

– Będę się ubierał, a ty jeszcze poszukaj, dobrze?

Kiwnął głową i bez przekonania zaczął chodzić po szatni, wpatrzony w podłogę. Włożyłem podkoszulek i sweter.

Może na najwyższej półce?

Stanąłem na ławce i zajrzałem do szafki.

Nic.

Wciągnąłem zwykłe spodnie, na nie puchowe, zapiąłem suwak kurtki i usiadłem, żeby zawiązać buty.

– Chodź już – pospieszał mnie Geir.

– Idę. Zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Po jego wyjściu jeszcze raz pobiegłem do umywalni. Zajrzałem do kosza na śmieci, przeleciałem dłonią parapety, otworzyłem nawet drzwi do hali basenowej.

Ale nie. Nic.

Kiedy wyszedłem, Geir stał już na szczycie wzgórza. Zaczął zbiegać w dół, jeszcze zanim do niego dołączyłem.

– Zaczekaj na mnie! – zawałałem, ale się nie zatrzymał, nawet się nie odwrócił, więc puściłem się biegiem za nim. W dół, w ciemność, między szarawymi drzewami, do światła na drodze. Z każdym krokiem naga stopa ocierała się o grubą skórę buta. Zgubiłem skarpetkę, dudniło mi w mózgu. Zgubiłem skarpetkę. Zgubiłem skarpetkę. Jednocześnie zaczęło mi cykać w głowie. Czasami mi się to zdarzało podczas biegania, cykało w lewej skroni, cyk, cyk, powtarzało, lecz chociaż było niepokojące, ponieważ brzmiało, jakby coś w środku się urwało, albo raczej się o coś ocierało; nie mogłem o tym nikomu powiedzieć, bo mówiliby tylko, że coś mi się poprzestawiało, i wyśmiewaliby się ze mnie.

Cyk, cyk, cyk

Cyk, cyk, cyk

Biegłem za Geirem całą drogę aż do sklepu ze słodyczami, do którego zawsze staraliśmy się zajrzeć; torebka cukierków, z którą stamtąd wychodziliśmy, była jednym z ważniejszych elementów tych wypraw. Geir czekał przed sklepem, z niecierpliwością przestępując z nogi na nogę, zatrzymałem się przed nim. Zasy pył sniegu odrzuconego przez pługi sprawiły, że staliśmy o pół metra wyżej niż zwykle, a z tego nowego punktu obserwacyjnego cały sklep wyglądał inaczej. Nabrał jakby cech piwnicy, a ta piwniczność odmieniała wszystko, jeden rzut oka wystarczył mi, żeby stwierdzić, że półki są tylko „półkami”, towary – „towarami” ulokowanymi w całkiem zwyczajnym pomieszczeniu w budynku, krótko mówiąc, że sklep jest „sklepem”. Nie sformułowałem tego jednak w myślach, było to raczej przelotne wrażenie, które pojawiło się nagle i równie szybko zniknęło.

Geir otworzył drzwi i wszedł do środka.

Ruszyłem za nim.

– Bardzo mało mamy czasu? – spytałem.

– Tak. Odchodzi za jedenaście minut.

Na zapleczu ekspedientka odłożyła gazetę i przeszła do lokalu sklepowego. Stała za ladą z obojętną, może nawet trochę pogardliwą miną. Była stara i wstrętna; z pieprzyka na brodzie sterczały trzy długie siwe włosy.

Całą jedną ścianę zajmowały fajki i wyciory, bibułki do papierosów i maszyny do ich nabijania, paczki z tytoniem, paczki z papierosami, pudełka cygar i rozmaitych kształtów i kolorów puszki ze snusem, wszystkie z napisami różną czcionką i małymi, stylizowanymi obrazkami, psów, lisów, koni, żaglowców, samochodów wyścigowych, uśmiechniętych Murzynów, palących marynarzy i kobiet w nonszalanckich pozach. Półka z cukierkami, na którą obaj się teraz gapiliśmy, zajmowała całą drugą ścianę. W przeciwieństwie do produktów tytoniowych słodycze nie były opakowane, czekoladki, landrynki i żelki leżały w przezroczystych plastikowych pojemnikach i prezentowały się same, nieoddzielone od nas żadnym obrazkiem: dostawiliśmy to, co widzieliśmy. Czarne miały smak soli albo lukrecji, żółte – cytryny, pomarańczowe – pomarańczy, czerwone – truskawki, a brązowe – czekolady. Małe kwadratowe kawałeczki czekolady o twardej powierzchni nazywały się „rekruty” i zawierały twarde karmel, tak jak obiecywał ich kształt, a czekoladki w kształcie serca wypełniała miękka, galaretowata masa

o smaku brzoskwiowym, czego również można się było spodziewać. W wypadku landrynek i żelków obowiązywały kody kolorystyczne, z nielicznymi odstępstwami, które usiłowaliśmy rozpoznać. Niektóre czarne landrynki smakowały ciemną zielenią, a niektóre ciemnozielone – również zielenią, ale taką jak pastylki na gardło, eukaliptusową, a więc jaśniejszą, inną niż normalnie cukierki, jak można by sądzić po kolorze. No i były też czarne landrynki o smaku „Króla Danii”^[11], czyli brązowopomarańczowym. Dziwne, że nigdy nie szło to w odwrotną stronę, nie było brązowopomarańczowych cukierków „Król Danii”, które miałyby czarny smak, nie natrafiliśmy też na takie w kolorze eukaliptusowej zieleni o smaku cukierkowo-zielonym lub czarnym.

– No i czego sobie ży czy sz? – spytała ekspedientka.

Geir już położył na szklanej ladzie pieniądze, które zamierzał wydać, i nachylił się, żeby lepiej widzieć asortyment, wyraźnie zdekoncentrowany tym, że mamy tak mało czasu.

– No... – zaczął.

– Pospiesz się – powiedziałem.

Nagle się z niego wyspało:

– Trzy takie, trzy takie i trzy takie. I jeszcze cztery takie i jeden z tych, i jeden z tych – mówił, pokazując poszczególne pojemniki.

– Trzy...? – Ekspedientka otworzyła papierową tutkę i podeszła do półki.

– Te zielone. Albo cztery. I jeszcze trzy te biało-czerwone. Te w kropki... I pięć smoczków...

Kiedy wychodziliśmy z torebkami w rękach, do odejścia autobusu zostały już tylko cztery minuty. Ale powiedzieliśmy sobie, że jeszcze możemy zdążyć, i ruszyliśmy pędem w dół po schodach. Stopnie były śliskie od udeptanego śniegu, musieliśmy więc trzymać się poręczy, co wykluczało prędkość, jaką chcieliśmy osiągnąć. W dole leżało miasto, białe ulice, które w blasku latarni wydawały się wręcz żółte, dworzec autobusowy, gdzie powoli wjeżdżały i skąd wyjeżdżały autobusy, sunąc niemal jak sanie, wielki kościół z czerwoną dachówką i zieloną wieżą. Nad tym wszystkim wznosiło się czarne niebo, posypane iskrzącymi gwiazdami. Kiedy zostało już tylko dziesięć czy piętnaście stopni, Geir puścił poręcz i ruszył biegiem. Już po paru krokach stracił równowagę i jedyną szansą na odzyskanie kontroli nad ciałem był jeszcze szybszy bieg. Gnał jak wściekły. Potem zmienił taktykę, próbował się ześlizgiwać, ale górna połowa ciała była już zbyt rozpedzona, rzuciło nim do przodu i poleciał na głowę wprost w zaspę odgarniętego przy drodze śniegu. Wszystko odbyło się tak szybko, że zacząłem się śmiać dopiero, gdy już leżał.

– Cha, cha, cha!

Nie ruszał się.

Czyżby mocno się uderzył?

Jak najszybciej do niego dobiegłem. Łapał powietrze krótkimi, przypominającymi szloch oddechami. Potem nagle wydał z siebie głuchy, przeciągły świst.

– Cholera – szepnął, trzy mając się za pierś. – Cholera, cholera, cholera.

– Wolałbym, żebyś nie przeklinał.

Posłał mi krótkie, ponure spojrzenie.

– Uderzyłeś się? – spytałem.

Znów nie mógł złapać tchu.

– Straciłeś oddech?

Kiwnął głową, usiadł i zaczął oddychać normalnie. W oczach miał łzy.

– Teraz już na pewno nie zdążymy na autobus – orzekłem.

– Straciłem oddech. Wcale nie płaczę.

Podnosząc się, trzymał się za boki cały czas się krzywił.

– Dasz radę iść? – spytałem.

– Jasne.

Z okolic wejścia do centrum handlowego Arena obserwowaliśmy, jak nasz autobus rusza, wyjeżdża na ulicę i znika za rogiem. Następny odchodził za pół godziny.

Usiedliśmy w poczekalni na dworcu autobusowym, na ławce koło automatu do zdjęć, i zaczęliśmy jeść cukierki. Ludzi było niewiele, dwóch młodych chłopaków kupowało hamburgery i frytki, ich samochód stał na zewnątrz z włączonym silnikiem. Na podłodze spał na siedząco z pochyloną głową jakiś pijak, i była jeszcze koleżanka dziewczyny pracującej w kiosku.

Geir wsunął do ust czerwono-białą landrynkę.

– Jakim kolorem smakuje? – spytałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Jako takim? Czerwonym i białym. Przecież to czerwono-białe cukierki.

– Ale wcale nie jest pewne, że ma taki smak. Pomyśl, co by było, gdybym ja go spróbował i mnie smakowały na przykład na zielono.

– O czym ty właściwie mówisz?

– A gdyby na przykład smakował konfiturami?

– Konfiturami?

– Czy ty niczego nie rozumiesz? – spytałem. – Przecież nie możemy wiedzieć, czy one smakują jednakowo!

On jednak rzeczywiście tego nie rozumiał. Sam nie byłem pewien, czy do końca rozumiem. Ale kiedyś Dag Lothar i ja jednocześnie włożyliśmy do ust czarne świderki, spojrzeliśmy na siebie i powiedzieliśmy chórem: „Przecież to ma zielony smak”. A później tej jesieni było u nas w domu przyjęcie, przyjechali dziadkowie, Gunnar, brat dziadka Alf i jego żona Sølvi, jedliśmy krewetki, kraby i homara, którego tata przypadkiem złapał w sieć kilka dni wcześniej. W trakcie jedzenia Sølvi spojrzała na tatę i powiedziała:

– Aż trudno uwierzyć, że sam złapałeś tego homara. Pyszny!

– Naprawdę pyszny – zawtórowała babcia.

– Nie ma nic lepszego od homara – stwierdził tata. – Ale nie wiadomo, czy on identycznie smakuje każdemu.

– Co przez to rozumiesz? – spytała Sølvi.

– Wiem, jaki ma smak dla mnie – tłumaczył tata. – Ale nie mam pojęcia, jaki ty czujesz.

– Oczywiście smak homara – odparła Sølvi.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nie rozumiałem, z czego się śmieją. Przecież mieli rację. Ale śmiałem się i ja.

– Dobrze, ale skąd możesz wiedzieć, że homar ma taki sam smak dla mnie jak dla ciebie? Przecież ja mogę na przykład czuć smak konfitur.

Sølvi już miała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Spojrzała na homara, potem na tatę i pokręciła głową.

– Nic nie rozumiem – przyznała. – Przecież tu leży homar. A on smakuje jak homar. Nie jak konfitury.

Inni znów się zaśmiali. Wiedziałem, że tata ma rację, ale nie bardzo pojmowałem dlaczego. Długo się nad tym zastanawiałem. Cały czas jakbym już, już miał to pojąć, uchwycić, ale w ostatniej chwili się wy mykało. Myśl była dla mnie odrobinę za duża do ogarnięcia.

Ale dla Geira okazała się jeszcze większa, stwierdziłem w duchu, patrząc na drzwi poczekalni, które właśnie się otwierały. To był Stig. Uśmiechnął się na nasz widok i podszedł.

– Hej – rzucił.

– Hej – odpowiedział Geir.

– Hej – powiedziałem i ja.

– Nie zdąży liście na autobus? – spytał Stig, siadając przy nas.

Geir pokiwał głową.

– Chcesz trochę? – spytał, podsuwając mu torebkę z cukierkami.

Stig z uśmiechem wybrał sobie smoczek. Teraz i ja musiałem go poczęstować. Kurczę, dlaczego Geir to zrobił? Przecież wcale nie kupiliśmy aż tak dużo.

Stig chodził o klasę wyżej i trzy razy w tygodniu trenował w mieście gimnastykę. Startował w zawodach na poziomie krajowym, ale nie miał w sobie wyniosłości, jak na przykład Snorre, który startował w pływaniu i nie chciał mieć z nami nic wspólnego. Za to Stig był jednym z najmilszych chłopaków, jakich znałem. Kiedy przyjechał autobus, usiadł przede mną i Geirem. Mniej więcej przy końcu nabrzeża Langbrygga rozmowa jednak się urwała, wtedy odwrócił się i już do końca jechał tyłem do nas. Również Geir i ja milczeliśmy, a wtedy myśl o zgubionej skarpetce odżyła z nową siłą.

Nie, nie!

Co teraz będzie?

O nie!

Co teraz będzie?

O nie, o nie, o nie.

O nie.

Półgodzinne spóźnienie mogło ściągnąć na mnie uwagę taty. Może będzie stał i czekał. No ale mógł być przecież czymś zajęty, w takim razie byłbym bezpieczny. Gdyby udało mi się niepostrzeżenie przejść z korytarza do kotłowni, byłoby dobrze, bo tam wisały inne skarpetki, które mógłbym włożyć.

Autobus wjechał na most i w karoserię uderzył wiatr. Szyby zdrząły. Geir, który zawsze chciał zasygnalizować przystanek jako pierwszy, już wyciągnął rękę i złapał za sznurek, chociaż w tym miejscu wysiadaliśmy jako jedyni. Przystanek znajdował się u stóp zbrocza, więc wysiadając, zawsze miałem wyrzuty sumienia, bo autobus musiał rozpedzać się na nowo i prędkość odzyskiwał dopiero po podjechaniu na szczyt kilkaset metrów wyżej. Niekiedy to przykre odczucie było tak silne, że wysiadałem dopiero na następnym przystanku, koło B-Maxu, zwłaszcza gdy jechałem sam. Nawet teraz, z wypalającą mózg myślą o skarpetce, poczułem lekkie ukłucie, kiedy Geir pociągnął za sznurek, a autobus z irytacją zaczął hamować, żeby nas wysadzić.

Staliśmy przy odgarniętym przez pług śniegu i zaczęliśmy, aż wyjedzie z zatoczki. Stig uniósł rękę na pożegnanie. Przeszliśmy na drugą stronę drogi i ruszyliśmy ścieżką prowadzącą do osiedla.

Zwykle kilka razy tupalem o kamienną płytę przed drzwiami, żeby otrzepać śnieg z butów, a potem odśnieżałem nogawki spodni specjalnie do tego przeznaczoną szczotką, która stała oparta o ścianę. Ale tym razem zrezygnowałem z tupania, bo mógł je przecież usłyszeć, tylko trochę otrzepałem nogawki, a potem ostrożnie otworzyłem drzwi, wśliznąłem się do środka i zamknąłem je za sobą.

Ale to wystarczyło. Usłyszałem, że otwierają się drzwi jego gabinetu, a potem te na korytarz.

Stanął przede mną.

– Spóźniłeś się – powiedział.

– Wiem, przepraszam. Ale Geir po drodze się przewrócił i potłukł, dlatego nie zdążyliśmy na autobus.

Zacząłem rozsznurowywać but na tej nodze, na której miałem skarpetkę.

Tata najwyraźniej nie miał zamiaru odejść.

Ściągnąłem but i postawiłem go pod ścianą.

Spojrzałem na niego.

– O co chodzi? – spytał.

– Nie, o nic – powiedziałem. Serce waliło mi w piersi. Wstać i iść dalej w jednym bucie oczywiście się nie dało, czekanie, aż on sobie pójdzie, również nie wchodziło w grę, bo najwyraźniej nie zamierzał się ruszyć.

Powoli zacząłem rozwiązywać sznurówkę. W trakcie wpadł mi jeszcze do głowy pewien pomysł. Zdjąłem szalik, położyłem go koło buta, a kiedy sznurówki już miałem rozwiązane i zacząłem ściągać but, jednocześnie sięgnąłem po szalik, usiłując niby przypadkiem zakryć nim bosą stopę.

I tak z szalikiem leżącym na stopie wstałem.

– Gdzie masz skarpetkę? – spytał tata.

Spojrzałem na stopę, potem na niego.

– Nie mogłem znaleźć – powiedziałem, znów spuszczając oczy.

– Z g u b i ł e ś?

– Tak

Moment później był już przy mnie. Żelaznym chwytem złapał mnie za ramiona i przycisnął do ściany.

– Z g u b i ł e ś skarpetkę?

– Tak! – zawołałem.

Potrząsał mną, w końcu mnie puścił.

– Ile ty właściwie masz lat? I jak ci się wydaje, ile my mamy pieniędzy? Myślisz, że stać nas na to, żebyś gubił ubrania?

– Nie. – Patrzyłem w podłogę, z oczami pełnymi łez. Złapał mnie za ucho i je wykręcił.

– Przekłety bachorze, naucz się wreszcie utrzymywać porządek w swoich rzeczach!

– Dobrze.

– Nie pójdziesz więcej na pływalnię. Jasne?

– Słucham?

– Nie pójdziesz więcej na pływalnię! – krzyknął.

– Ale... – zaszlochałem.

– Nie ma żadnego ale!

Puścił moje ucho i ruszył do drzwi. Odwrócił się do mnie.

– Jesteś za mały na chodzenie na pływalnię. Dzisiaj to pokazałeś. Nie wolno ci tam więcej chodzić. To był ostatni raz, jasne?

– Tak

– A teraz marsz do swojego pokoju. Nie dostaniesz dzisiaj kolacji. Możesz od razu iść spać.

Tydzień później nie poszedłem na trening, ale tak bardzo mi tego brakowało, że w następnym tygodniu udałem, iż nic się nie stało, spakowałem swoje rzeczy i pojechałem do miasta autobusem razem z Geirem i Dagiem Lotharem. Chwilami przejmował mnie lęk, ale coś mi mówiło, że będzie dobrze. I rzeczywiście. Kiedy wróciłem do domu, wszystko było jak dawniej. A on już mi więcej nie zabraniał chodzenia na pływalnię.

Na początku grudnia, trzy dni przed moimi urodzinami i dwa przed przyjazdem mamy, siedziałem na sedesie i robiłem kupę, kiedy po znajomym odgłosie samochodu taty na podjeździe nie nastąpił równie znajomy odgłos otwieranych i zamkniętych drzwi, tylko dźwięk dzwonka.

Co to miało znaczyć?

Szybko się podtarłem, spuściłem wodę, podciągnąłem spodnie, otworzyłem okno nad wanną i wystawiłem głowę.

Tata stał na dole, ubrany w nowy anorak. Miał też spodnie do kolan i długie niebieskie podkolanówki, a na nogach białe-niebieskie buty narciarskie. Wszystko nowiusienkie.

– Chodź! – zawołał. – Idziemy na narty!

Ubrałem się migiem i wyszedłem do niego. Już przywiązywał do bagażnika na dachu moje

narty i kijki, tuż obok nowiutkich długich nart marki Splitkain.

– Kupiłeś sobie narty? – spytałem.

– Tak. A co, źle? Będziemy mogli jeździć razem.

– Fajnie – powiedziałem. – A dokąd jedziemy?

– Wybierzemy się na tę stronę wyspy od otwartego morza, do Hove.

– A tam są trasy?

– Tam? Najlepsze trasy są właśnie tam.

Trochę w to wątpiłem, ale się nie odezwałem. Usiadłem tylko obok niego i pojechaliśmy do Hove. Wydawał się taki obcy w nowym stroju. Nie padło ani jedno słowo, dopóki nie zatrzymał samochodu i nie wysiadł.

– No to jesteśmy – oznajmił.

Wjechał na teren dawnej bazy wojskowej, na którym stało wiele czerwonych domów i baraków pochodzących jeszcze z czasów wojny, podobno zbudowali je Niemcy, tak jak strzelnicę, o której krążyły plotki, że była kiedyś lotniskiem, jak betonowe stanowiska dział nad przybrzeżnymi skałami i plażami z otoczków mniej więcej na skraju lasu oraz niskie, tak atrakcyjne dla nas bunkry w lesie, w których zwykle się bawiliśmy, i na dachu, i w środku, gdy przychodziliśmy tu po południu w święto 17 Maja. Tata wszystko to minął i wjechał w las wąską ścieżką prowadzącą do niewielkiej piaskarni, przy której zaparkował.

Zjął narty z dachu, a potem wyciągnął niedużą walizeczkę pełną sprzętu do smarowania, którą też kupił, i nasmarowaliśmy narty niebieskim smarem Swix, ponieważ wyczytał na jednej z tubek, że powinien być najlepszy. Na przypięcie nart poświęcił więcej czasu niż ja, wydawało mi się, że zbyt dobrze radzi sobie z wiązaniami. Potem przełożył ręce przez pętle przy kijkach. Ale nie zrobił tego od spodu, żeby pasek się nie zsunął, nawet jeśli kijek wypadnie z ręki. Przełożył ręce od góry!

Przecież tak trzymały kijki tylko małe dzieci!

Przykro było na to patrzeć, ale nie mogłem nic powiedzieć. Sam wyjąłem tylko ręce z pasków i włożyłem je jeszcze raz, żeby zobaczyć, jak należy to zrobić.

Ale on na mnie nie patrzył. Wpatrywał się w grzbiet niewielkiego wzgórza nad piaskarnią.

– No to jedziemy – powiedział.

Chociaż nigdy wcześniej nie widziałem, jak biega na nartach, nawet przez myśl mi nie przeszło, że tego nie umie. Ale nie umiał. Nie posuwał nart, tylko na nich szedł, tak jak w butach. Robił krótkie, niezdarne kroki, w dodatku się chwiał, bo momentami zamierał w pół ruchu i musiał wbijać kijek w śnieg, żeby się nie przewrócić.

Pomyślałem, że może to dopiero początek, że wkrótce złapie rytm i zacznie biec jak należy, sunąc po trasie. Ale kiedy dotarliśmy na szczyt wzgórza, skąd między drzewami prześwitywało morze, szare, ze spienionymi mi białymi grzbietami fal, i ruszyliśmy dalej, włóknąc się tak samo.

Od czasu do czasu odwracał się do mnie i uśmiechał.

Zrobiło mi się go tak żal, że gotów byłem krzyknąć: „biedny tata, biedny, biedny tata”.

Jednocześnie było mi też głupio, że mój rodzony ojciec nie umie jeździć na nartach, dlatego

cały czas trzymałem się w pewnym oddaleniu, aby ludzie, którzy ewentualnie będą nas mijać, nie łączyli nas ze sobą. On po prostu był turystą, który tu sobie biegał, a ja przyszedłem na narty sam, byłem stąd, umiałem.

Trasa znów skręciła w las, ale chociaż morze zniknęło z pola widzenia, jego szum ciągle wisiał wśród drzew, to wznosił się, to opadał. Zewsząd też dochodził zapach słonej wody i zgnitych wodorostów. Mieszał się z innymi woniami lasu, zimą znacznie słabszymi, przy czym najbardziej wyróżniał się chyba ten dziwny zapach śniegu, mieszanka ostrości z łagodnością.

Tata się zatrzymał, wsparty na kijach. Stałem obok. Na horyzoncie przesuwał się statek. Niebo nad nami było jasnoszare. Błdy, szarozółty pas nad latarniami morskimi na Torungen ujawniał pozycję słońca.

Spojrzał na mnie.

– Masz dobry ślizg? – spytał.

– Niezły. A ty?

– Pewnie. Jedziemy dalej? Ale chyba pora zawracać. Musimy przecież zjeść obiad. No, ruszaj!

– Nie pójdziesz pierwszy?

– Nie, biegnij przodem. Ja za tobą.

Ta nowa kolejność przetasowała wszystko w mojej głowie. Jeśli będzie szedł za mną, to zobaczy, jak poruszam się na nartach, ja, który to potrafię, i uświadomi sobie własną nieudolność. Każdy swój ruch kijkiem widziałem jego oczami. Wbijały mi się w umysł jak noże. Już po kilku metrach zwolniłem, biegłem wolniej i bardziej szarpałem, trochę jak on, tylko nie tak bezradnie, bo rozumiałby wtedy, co robię, i byłoby jeszcze gorzej. W dole powolne spienione fale zalewały plażę z otoczków. Gdzieś wiatr podrywał śnieg z kamieni. W powietrzu żeglowała mewa, nie poruszając skrzydłami. Zbliżaliśmy się do samochodu i na ostatnim wzniesieniu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Zmieniłem rytm, na kilku metrach z całym siłą przyspieszyłem, potem udałem, że tracę równowagę, i przewróciłem się na śnieg obok trasy. Podniosłem się jak najszybciej i otrzepywałem spodnie, kiedy mnie wyminął.

– Najważniejsze to utrzymać się na nogach – rzucił.

Do domu wracaliśmy w milczeniu i dopiero gdy wreszcie byliśmy na podjeździe i wyprawa narciarska definitywnie się zakończyła, poczułem ulgę.

Kiedy staliśmy w korytarzu i zdejmowaliśmy stroje narciarskie, też się nie odzywaliśmy. Ale gdy otworzył drzwi na schody, spojrzał na mnie.

– Dotrzymasz mi towarzystwa przy szykowaniu obiadu – powiedział.

Kiwnąłem głową i poszedłem za nim na górę.

W korytarzu zatrzymał się i popatrzył na ścianę.

– Co to jest, u licha? Widziałeś to już?

Całkiem zapomniałem o tamtej strużce soku, ale zdumienie, z jakim pokręciłem głową, musiało mieć w sobie coś bardzo szczerego, bo od razu odwrócił się ode mnie, nachylił i dotknął palcem tej linii. Pewnie nawet jego wyobraźnia nie sięgała tak daleko, by przeszło mu przez myśl, że mogłem rzucić pomarańczą o podłogę akurat w tym miejscu.

Wyprostował się i poszedł do kuchni, a ja jak zwykle usiadłem na stolku. Wyciągnął z lodówki opakowanie filetów czarniaka, położył je na blacie, z szafki wyjął mąkę, sól i pieprz, wysypał wszystko po trochu na talerz i zaczął w tej mieszance otaczać miękkie, galaretowate rybne mięso.

– Jutro po szkole pojedziemy do miasta kupić ci prezent na urodziny – oznajmił, nie patrząc na mnie.

– Ja też jadę? To nie będzie tajemnica? – spytałem.

– Przecież wiesz, co byś chciał dostać. Strój piłkarski, prawda?

– Tak

– No to równie dobrze możesz go zmierzyć, żebyśmy mieli pewność, że pasuje. – Nożem odkroił kawałek masła i palcami wrzucił go na patelnię.

Chciałem mieć strój Liverpoolu, ale kiedy weszliśmy do sklepu Intersport, nie było takiego na wieszaku.

– Nie możemy spytać kogoś, kto tu pracuje? Może mają w magazynie.

– Skoro nie wisi, to nie mają – orzekł tata. – Weź jakiś inny.

– Ale ja kibicuję Liverpoolowi.

– Weź Everton, to przecież to samo miasto.

Przyjrzałem się strojowi Evertonu. Niebieski z białymi spodenkami. Marki Umbro.

Popatrzyłem na tatę. Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego, kilka razy się rozejrzał.

Wciągnąłem koszulkę na sweter, a spodenki przyłożyłem do siebie.

– Ładne – powiedziałem.

– No to załatwione. – Tata zabrał strój i poszedł zapłacić. Sprzedawca pakował koszulkę i spodenki, a on w tym czasie przerzucał banknoty w grubym portfelu, odgarniał włosy i wyglądał przez okno na ulicę pełną ludzi robiących zakupy. Były trzy tygodnie do świąt.

W swoje urodziny obudziłem się o świcie. Paczka ze strojem piłkarskim leżała u mnie w szafie. Nie mogłem się już doczekać, kiedy wreszcie go włożę. Rozerwałem papier, wyjąłem strój i przycisnąłem do nosa – czy istnieje jakiś ładniejszy zapach niż nowego ubrania? Włożyłem spodenki z błyszczącego materiału, potem koszulkę, bardziej szorstką, trochę nawet drapiącą, i białe podkolanówki. Poszedłem do łazienki się przejrzeć.

Obracałem się, stawałem tyłem i przodem.

Ładny.

To nie był strój Liverpoolu, ale był naprawdę ładny, no i to drużyny z tego samego miasta.

Nagle tata szarpnięciem otworzył drzwi do łazienki.

– Co ty wyprawiasz, chłopaku?

Spojrzał na mnie.

– Rozpakowałeś prezent? Sam?

Złapał mnie za rękę i zaciągnął do pokoju.

– Teraz go z powrotem zapakujesz! I to już!

Z płaczem zdjąłem strój, usiłowałem go złożyć najporządniej, jak potrafiłem, owinąłem w papier i zalepiłem jednym kawałkiem taśmy, który jeszcze się kleił.

Tata wszystko to obserwował. Gdy tylko skończyłem, wyrwał mi paczkę z ręki i wyszedł.

– Właściwie powinienem ci go odebrać – powiedział. – Ale tylko go schowam do czasu, aż dostaniesz wszystkie prezenty. Masz przecież urodziny.

Ponieważ wiedziałem, co dostanę, a nawet mierzyłem strój w sklepie, byłem pewien, że to d z i e ń się liczy, że to w ten d z i e ń będę go mógł włożyć. Nie uważałem go za taki prezent jak inne, które dostawałem, kiedy po południu jedliśmy tort. Jednak wytłumaczenie tego tacie było niemożliwe. Ale to ja miałem rację, nie on. Przecież ten strój był mój, od tego dnia należał do mnie!

Leżałem na łóżku i płakałem, dopóki wszyscy nie wstali. Mama była wesola i złożyła mi życzenia, kiedy przyszedłem do kuchni. Poprzedniego wieczoru upiekła bułki, które teraz podgrzała w piekarniku, ugotowała też jajka. Ale mnie to nie obchodziło. Nienawiść do taty zaciemniała wszystko.

Po południu jedliśmy tort i piliśmy oranżadę. Gości na urodzinach nie miałem nigdy, tym razem także. Byłem obrażony i zły. Tort jadłem bez słowa, a kiedy tata położył przede mną prezenty, z uśmiechem, jakby zupełnie nieświadomy tego, co się wydarzyło rano, jakbyśmy naprawdę mogli zacząć wszystko od nowa, spuściłem tylko głowę i rozpakowałem strój Evertonu. Bez żadnych oznak radości.

– Jak ładny – powiedziała mama. – Nie przy mierzysz?

– Nie. Mierzyłem w sklepie. Pasuje.

– Włóż go – kazał mi tata. – Żeby mama i Yngve mogli zobaczyć.

– Nie – powtórzyłem.

Wbił we mnie wzrok

Zabrałem strój do łazienki, przebrałem się i wróciłem.

– Bardzo ładny – stwierdził tata. – Załóż się, że zimą będziesz najlepszy na treningu.

– Mogę już zdjąć?

– Zaczekaj, aż obejrzyś wszystkie prezenty. Tu masz coś ode mnie. – Podał mi niedużą kanciastą paczuszkę. W środku m u s i a ł a być kasetka.

Odpakowałem.

To była nowa kasetka Wings. *Back to the Egg*.

Spojrzałem na niego. Wyglądał przez okno.

– Zadowolony? – spytał.

– Tak! To przecież nowa kasetka Wings! Zaraz ją puszczę!

– Zaczekaj chwilę! – powstrzymał mnie. – Dostaniesz jeszcze parę prezentów.

– A to jest drobiazg ode mnie – powiedziała mama.

Prezent był duży, ale lekki. Co to mogło być?

– To coś do twojego pokoju – dodała.

Rozpakowałem. To był stołek Cztery drewniane nogi, a między nimi siatkowe siedzenie.

– Niezły – ocenił Yngve.

– Bardzo dziękuję – wymamrotałem. – Przyda mi się do czytania.

– I jeszcze ode mnie – powiedział Yngve.

– Ciekawe, co wymyśliłeś.

To była książka do nauki gry na gitarze.

Oczy mi zwilgotniały.

– Dziękuję.

– W środku są solówki, skałe i wszystko. Bardzo proste. Miejsca, w których trzeba naciskać, zaznaczono czarną kropką. Nawet ty zrozumiesz.

Przez cały wieczór słuchałem *Back to the Egg*.

Przyszedł do mnie Yngve i powiedział, że w jednym utworze gra John Bonham, perkusista Led Zeppelin. I że czytał w jakiejś gazecie, że na samym początku jednej z piosenek słychać głos norweskiego pastora. Doszliśmy do wniosku, że to musi być *Reception*, bo tam były nagrania z radia.

– Tutaj – stwierdził Yngve. – Puść jeszcze raz.

Wtedy i ja usłyszałem.

„Ale spróbujmy przez moment spojrzeć na to w świetle Nowego Testamentu”, mówił słaby, zgrzytliwy głos starego człowieka.

Od myśli, że ani Paul McCartney, ani Linda McCartney, ani Denny Laine, Steve Holly czy Laurence Juber nie mieli pojęcia, co to za słowa, a Yngve i ja je rozumieliśmy, bo byliśmy Norwegami, aż zakręciło mi się w głowie.

Tata jak zawsze był miły przez całe święta, nawet rano. Kiedy zbliżał się sylwester i wreszcie na kilka godzin otwarto sklepy, mama pojechała do miasta po jedzenie i fajerwerki. Chyba coś wspomniała o tym, że może nie trzeba kupować rakiet za setki koron, jak zawsze robił tata, w każdym razie to na nią spadła odpowiedzialność za ten zakup, a tata się nie wtrącał.

Nie wyszło to najlepiej.

Tata zwykle pokazywał nam te fajerwerki, które kupił, i mówił na przykład: „Tak, w tym roku pobijemy Gustavsena o kilka ładnych długości” albo: „W tym roku naprawdę narobimy niezłego huku”. Kiedy przychodził wieczór, obserwowaliśmy, jak z kosmykiem włosów opadającym na twarz, która z powodu brody była prawie niewidoczna w ciemności, stoi na migoczącym śniegu na trawniku i sprawnie, z wielką dbałością ustawia rakiety. Potrafił położyć na śniegu stojak do suszenia ubrań i oprzeć o niego te największe, a inne umieszczać w całej baterii butelek, czy też innych wydrążonych przedmiotów, które wcześniej przyszykował. Kiedy już się z tym uporał, pozostawało czekanie do wpół do dwunastej, wtedy wołał nas do ogrodu i rozpoczynało się

witanie Nowego Roku wystrzałami. Zaczynał od najmniejszych, mnie i Yngvem u dawał małe petardy albo zimne ognie, potem stopniowo zwiększał moc, a największą rakiętę odpalał punktualnie o północy. Później mógł z zadowoleniem twierdzić, że w tym roku fajerwerki w okolicy były piękne, ale u nas jak zwykle najładniejsze. Akurat na ten temat można było dyskutować, bo nie jedyni na osiedlu wydawaliśmy mnóstwo pieniędzy na sztuczne ognie. Gustavsenowie i Karlsenowie też na nich nie oszczędzali.

Ale w tego sylwestra tata, król fajerwerków, abdykował.

Dużo się zastanawiałem, jaki może być tego powód, i bez względu na przyczynę, przeczuwałem, że konsekwencje mogą się okazać poważne. A nawet nie przeczuwałem, po prostu byłem tego pewien.

Kilka minut po wpół do dwunastej, kiedy mama oświadczyła, że chyba pora wystrzelić rakiętę, szczęka mi opadła ze zdumienia.

– Rakiętę? – powtórzyłem. – Mamy tylko jedną? Jedną rakiętę?

– Tak – potwierdziła mama. – Chyba wystarczy. To duża rakieta. W sklepie powiedzieli, że najładniejsza, jaką mają.

Tata uśmiechnął się drwiąco pod nosem. Wyszedł za mną i Yngvem, stanął obok nas na tarasie na tyłach domu, gdzie mieliśmy wystrzelić fajerwerki.

Rakieta była naprawdę duża, pod tym względem mama miała rację.

Wetknęła ją w butelkę, ale butelka okazała się za mała i przewróciła się razem z rakiętą. Mama się rozejrzała. Była w rozpiętym jasnym kożuchu, suwaki w długich kożakach miała rozpięte, więc kiedy się przemieszczała, rozkładały się jak dwa płatki kwiatu dziwnego gatunku. Na szyję zarzuciła swój gruby rudobrązowy szalik.

– Powinniśmy mieć coś większego, żeby ją wystrzelić – stwierdziła.

Tata się nie odezwał.

– Tata zwykle wykorzystuje stojak do suszenia bielizny – odpowiedział Yngve.

– Rzeczywiście – ucieszyła się mama.

Stojak używany tylko latem, był drewniany i stał pod ścianą. Mama przyniosła go i ustawiła na śniegu. Oparła o niego rakiętę, ale od razu się zorientowała, że tak się nie da, i wyprostowała się z rakiętą w rękę. Wokół nas trzaskały fajerwerki. Niebo cały czas rozjaśniały wybuchy, których raczej domyślaliśmy się, niż je widzieliśmy, bo było pochmurno i mgliście, więc z deszczu gwiazd rozmaitych kolorów i wzorów zostawały właściwie jedynie drżące przebłyśki światła.

– Może połóżysz go na boku – poradził Yngve. – Tata tak robi.

Mama usłuchała.

– Już północ. Puścisz wreszcie tę naszą rakiętę? – zniecierpliwiał się tata.

– Puszczę. – Mama wyjęła z kieszeni zapalniczkę, kucnęła, osłoniła płomyk dłonią, jednocześnie się odsuwając, już szykowała się do ucieczki. Gdy tylko zapalił się lont, przybiegła do nas.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedziała.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – powtórzył Yngve.

Ja się nie odezwałem, bo rakietą, której lont już się dopalił, wydała cichy syk Płomyk zaraz zgasł i syk też ucichł.

– O nie! – zawołałem. – Niewybuch! A mamy tylko jedną! Dlaczego kupiłaś tylko jedną? Jak mogłaś?

– No i tyle z tego sylwestra – stwierdził tata. – Może jednak w przyszłym roku ja się zajmę fajerwerkami?

Jeszcze nigdy nie było mi tak żal mamy jak wtedy, kiedy wśród okrzyków i huku z domów rozweselonych sąsiadów wracaliśmy z tarasu do ciepłego wnętrza. Najbardziej mnie bolało, że starała się jak mogła, naprawdę lepiej nie umiała.

Któregoś popołudnia dwa tygodnie później stałem nad jeziorem Tjenna i straszliwie marzęm w nogi. Miejscowy oddział Framfylkingen, utworzonej przy Partii Pracy organizacji zrzeszającej rodziny i działającej na rzecz dzieci, której członkiem byłem z prawie wszystkimi innymi dziećmi z osiedla, zorganizował biegi narciarskie. Były numery na piersiach i medale dla wszystkich, ale zwłaszcza lodowate zimno, kiedy czekało się na swoją kolej. A kiedy moja kolej wreszcie nadeszła, narty tak mi się ślizgały do tyłu, że nie mogłem porządnie przyspieszyć i zająłem dalekie miejsce. Zaraz po dotarciu do mety i odebraniu medalu ruszyłem do domu. Ciemność wisiała między gałęziami, mróz kąsał drzewa, narty się ślizgały, pod najbardziej strome zbocze nie udało mi się podejść nawet jodełką, musiałem schodkować. Ale w końcu zobaczyłem drogę z zapalonymi o zmierzchu latarniami, niczym świetlistą wstążkę, i nasz dom po drugiej stronie. Podreptałem na podjazd, zdjąłem narty, postawiłem je przy ścianie domu, otworzyłem drzwi i zamarłem.

Co to za zapach?

Babcia?

B a b c i a tutaj?

Nie, nie ma mowy, to niemożliwe.

Może tata był w Kristiansand i przywiózł ten zapach ze sobą?

O choinka, ktoś rozmawia w kuchni!

Czym prędzej zdjąłem buty, ale zorientowałem się, że mam mokre skarpetki, więc nie mogłem w nich wejść, bo zostałyby ślady, dlatego pobiegłem przez korytarz do kotłowni, gdzie wisiała inna para, włożyłem suche najszybciej, jak potrafiłem, wszedłem po schodach, stanąłem.

Zapach tutaj był bardziej intensywny. Bez wątplenia babci.

– To ty, Karl Ove? – spytał tata.

– Tak – odpowiedziałem.

– Przyjdź na chwilę!

Wszedłem do kuchni.

Babcia!

Podbiegłem i przytuliłem się do niej.

– Aleś ty urósł! – Ze śmiechem zmierzwiła mi włosy.

– Co ty tu robisz? Gdzie jest samochód? Gdzie dziadek? – zasypałem ją pytaniami.

– Przyjechałam autobusem.

– Autobusem? – zdumiałem się.

– Tak Pomyślałam, że mój syn został sam z dziećmi, więc chyba mogę go odwiedzić i trochę mu pomóc. Zobacz, zrobiłam wam obiad.

– Jak długo zostaniesz?

Roześmiała się.

– Będę chyba musiała wrócić jutro. Ktoś musi się też zająć dziadkiem. Nie może za długo zostawać sam.

– To prawda. – Znów się do niej przytuliłem.

– Już dobrze, dobrze – włączył się tata. – Idź teraz do siebie. Zawołam cię, kiedy będziemy jedli.

– Ależ musi najpierw dostać prezent – powiedziała babcia.

– Dziękuję za ten gwiazdkowy. Bardzo fajny.

Babcia nachyliła się, podniosła torebkę, wyjęła z niej niedużą paczuszkę i mi ją wręczyła.

Zerwałem papier.

To był kubek Startu.

Biały, z logo Klubu Sportowego Start z jednej strony, z piłkarzem w żółtej koszulce i czarnych spodenkach z drugiej.

– Kubek Startu! – zawołałem i jeszcze raz ją uściskałem.

To było takie dziwne, że babcia tu jest. Prawie nigdy nie widywałem jej bez dziadka i prawie nigdy samej z tatą. Rozmawiali w kuchni, słyszałem to przez drzwi do pokoju, które zostawiłem uchylone. Chwilami zapadała cisza, wtedy jedno z nich wstawało i coś robiło. Potem znów trochę rozmawiali, babcia się śmiała, opowiadała jakąś historię, tata mruczał. Zawołał nas, zjedliśmy, a on zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle, cały czas jakby się zbliżał i oddalał. Momentami słuchał uważnie tego, co babcia mówi, a potem zaraz się wycofywał, odwracał głowę albo wstawał coś zrobić, po czym znów na nią patrzył, uśmiechał się, rzucał komentarz, z którego się śmiała, i znów się odwracał.

Pojechała następnego dnia wieczorem. Uściskała mnie i Yngvego, a potem tata odwiózł ją do miasta, na dworzec autobusowy. Nastawiłem *Rubber Soul* i położyłem się z biografią Madame Curie. Kiedy zaczęła się druga piosenka, *Norwegian Wood*, podniosłem wzrok znad książki i leżałem wpatrzony w sufit, a nastrój tej muzyki w niepojęty sposób wsączył się we mnie i zabrał mnie tam, skąd się wywodził. To było niesamowite uczucie. Nie tylko dlatego, że było piękne, miało również w sobie coś innego, bez żadnego związku z pokojem, w którym leżałem, ani ze światem, który mnie otaczał.

*I once had a girl, or should I say, she once had me...
She showed me her room, isn't it good, norwegian wood?*

Fantastyczne, fantastyczne!

Dalej czytałem o Madame Curie, aż do dziesiątej. Zgasilem światło.

Po drodze do snu, kiedy wśród tego, co znajdowało się wokół mnie w pokoju, zaczynały się pojawiać obrazy, które brały się nie wiadomo skąd, lecz które mimo wszystko akceptowałem, drzwi nagle się otworzyły i zapaliło się światło na suficie.

Tata.

– Ile jabłek wzięłeś dzisiaj? – spytał.

– Jedno.

– Na pewno? Babcia mówiła, że jedno dostałeś od niej.

– No tak

– Ale jedno dostałeś też po obiedzie, pamiętasz?

– O nie! Zupełnie zapomniałem!

Tata zgasił światło i zamknął drzwi, nie mówiąc nic więcej.

Następnego dnia po obiedzie zawołał mnie do kuchni.

– Siadaj! – polecił. – Dostaniesz ode mnie jabłko.

– Dziękuję.

Podał mi.

– Masz siedzieć i zjeść je tutaj.

Zerknąłem na niego. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Oczy miał poważne, więc spuściłem wzrok i zacząłem gryźć jabłko. Kiedy je zjadłem, podał mi kolejne.

Skąd je brał? Miał schowany za plecami worek?

– Masz jeszcze jedno – powiedział.

– Dziękuję, ale przecież dostaję tylko jedno dziennie.

– Wczoraj wzięłeś dwa, prawda?

Kiwnąłem głową, chwyciłem jabłko, zjadłem.

Podał mi następne.

– Masz jeszcze jedno. To twój szczęśliwy dzień.

– Już się najadłem.

– Zjedz to jabłko.

Zjadłem.

Poszło mi o wiele wolniej niż z dwoma poprzednimi. Kawałeczki jabłka jakby kładły się na obiedzie w żołądku. Miałem wrażenie, że czuję tam zimny miąższ.

Tata podał mi kolejne.

– Nie mogę.

– Wczoraj twoje łakomstwo nie miało granic – powiedział. – Zapomniałeś? Wziąłeś dwa jabłka, bo tak chciałeś? A dzisiaj możesz dostać tyle, ile chcesz. Więc jedz.

Pokręciłem głową.

Nachylił się. Oczywiście miał zupełnie zimne.

– Zjadaj to jabłko, już!

Zacząłem jeść. Za każdym razem, gdy przełykałem, ścisnęło mnie w żołądku, musiałem kilka razy przełykać ślinę, żeby nie zwymiotować.

Stał za moimi plecami, nie było sposobu, żebym jakoś się z tego wykręcił. Płakałem i przełykałem, przełykałem i płakałem. W końcu nie dałem już rady.

– Już się najadłem! Więcej nie mogę!

Spróbowałem przełknąć jeszcze parę kęsów, ale naprawdę się nie dało.

– Nie mogę – oświadczyłem.

Popatrzył na mnie. Potem wziął nadgryzione jabłko i wrzucił je do kosza na śmieci w szafce pod zlewem.

– Możesz iść do swojego pokoju. Mam nadzieję, że się czegoś nauczyłeś.

W swoim pokoju tęskniłem właściwie tylko za jednym, a mianowicie, żeby być już dorosły. To oznaczało swobodne decydowanie o własnym życiu. Nienawidziłem taty, ale byłem w jego rękach. Nie miałem żadnego sposobu wyrwania się spod jego władzy. Nie mogłem się na nim zemścić inaczej niż w myślach i wyobraźni, którą tak wychwalano. W wyobraźni mogłem go zmiażdżyć. W wyobraźni mogłem urosnąć, być od niego większy, ścisnąć mu policzki, żeby wargi ułożyły się w ten głupi grymas, który robił, kiedy mnie naśladował z powodu moich wystających zębów. W wyobraźni mogłem uderzyć go zaciśniętą pięścią w nos tak mocno, żeby się złamał i popłynęła krew. Albo jeszcze lepiej, żeby kość nosowa wbiła mu się do mózgu i żeby umarł. Potrafiłem ciskać nim o ścianę, zrzucić go ze schodów, mogłem chwycić go za karki wbić jego twarz w stół. Takie myśli przychodziły mi do głowy, ale w momencie gdy znajdowałem się w tym samym pomieszczeniu co on, wszystko się rozmywało. Był moim ojcem, dorosłym mężczyzną, o tyle większym ode mnie, że wszystko musiało się dziać według jego woli. Moją wolę niszczył bez najmniejszego wysiłku.

Chyba właśnie dlatego, oczywiście nie mając takiej świadomości, przeksztalcałem wnętrze pokoju w ogromny świat zewnętrzny. Kiedy czytałem, leżąc nieruchomo w łóżku, a przez pewien czas nie robiłem prawie nic innego, zawsze poruszałem się w tym zewnętrznym świecie, i nie tylko w tym istniejącym tu i teraz, ze wszystkimi obcymi krajami i obcymi ludźmi, lecz również w tym dawnym, nawet w epoce kamiennej opisywanej w książkach o chłopcu Niedźwiedzim Pazurze, i w tym, który miał nadejść, objawiającym się na przykład w powieściach Juliusza Verne'a. No i była też muzyka. Ona również otwierała przestrzeń, dzięki swoim nastrojom i silnym emocjom, które we mnie budziła, niemającym żadnego związku z tym, co odczuwałem na co dzień. Głównie słuchałem nagrań The Beatles i Wings, lecz także ulubionych wykonawców Yngvego, do których długo zaliczali się Gary Glitter, Mud, Slade, Sweet, Rainbow, Status Quo, Rush, Led Zeppelin i Queen, ale w jego okresie gimnazjalnym zaczęło się to zmieniać i między

wszystkie te stare kasety i płyty zaczęły się wkładać zupełnie inne, jak singiel The Jam i singiel The Stranglers zatytułowany *No More Heroes*, longplaye Boomtown Rats i The Clash, kasety Sham 69 i Kraftwerk, a oprócz tego piosenki, które nagrywał z jednego programu muzycznego w radiu, Pop Spezial. Zaczął się kolegować z chłopakami, których interesował ten sam rodzaj muzyki i którzy też grali na gitarze. Jeden z jego kumpli nazywał się Bård Torstensen i któregoś dnia na początku maja, kiedy tata wyszedł na kilka godzin, zatem w domu mieliśmy swobodę, Yngve przyprowadził go do swojego pokoju. Siedzieli tam, grali na gitarach, słuchali płyt. Po jakimś czasie zapukali do moich drzwi, bo Yngve chciał coś Bårdowi pokazać. Leżałem na łóżku i czytałem, ale wstałem na ich widok

– Zobacz! – Yngve podszedł do plakatu z Elvisem, który wisiał u mnie na ścianie nad biurkiem. – Zgadniesz, co jest po drugiej stronie?

Bård pokręcił głową.

Yngve wyciągnął pineski, zdjął plakat i go odwrócił.

– Spójrz! Johnny Rotten! A on powiesił sobie Elvisa!

Obaj się śmiali.

– Mogę go od ciebie odkupić? – spytał Bård.

Pokręciłem głową.

– Nie, jest mój.

– Ale powiesiłeś go złą stroną! – Bård znów się roześmiał.

– Wcale nie. To przecież Elvis.

– Elvis to zero! – orzekł Bård.

– Owszem, Elvis, ale Costello – stwierdził Yngve.

– No tak, to prawda – przyznał Bård.

Po ich wyjściu przez chwilę porównywałem obie strony. Ten cały Johnny Rotten był taki brzydki. A Elvis ładny. Dlaczego miałem powiesić brzydkiego, a zasłonić ładnego?

Na dworze robiliśmy to co każdej wiosny: ucinaliśmy brzoźowe gałęzie i do kikutów przywiązaliśmy butelki, następnego dnia były pełne jasnego, gęstego soku, który piliśmy. Ścinałiśmy gałązki wierzby i z kory robiliśmy fujarki. Zbieraliśmy wielkie bukiety zawilców i dawaliśmy je naszym matkom. Na to ostatnie byliśmy już w zasadzie za duzi, ale gest pozostawał gestem, okazaniem serca, więc któregoś przedpołudnia, kiedy mieliśmy tylko trzy lekcje, zaciągnąłem Geira do lasu, bo znałem pewne miejsce, gdzie zawilce rosły tak gęsto, że z daleka wyglądały jak plama śniegu. Nie obyło się bez wątpliwości, bo przecież kwiaty żyły i zrywanie ich było równoznaczne z zabijaniem, ale intencje mieliśmy dobre, kwiatami mieliśmy sprawić radość. Plamki światła przedzierały się przez gałęzie, mech był jaskrawozielony, obaj zebraliśmy po ogromnym bukiecie i pobiegliśmy do domów.

U mnie tata coś akurat robił w pralni. Kiedy do niego przyszedłem, odwrócił się do mnie, każdym ruchem przejawiając złość.

– Nazrywałem ci kwiatów – powiedziałem.

Wyciągnął rękę, wziął bukiet, wrzucił go do wielkiego zlewu i oświadczył:

– Zrywanie kwiatów to zajęcie dla dziewczynek

Miał rację. I chyba się mnie wstydził. Kiedyś przyszedł do niego kolega z pracy, zobaczyli mnie na schodach, miałem zupełnie jasne włosy, dość długie, bo to była zima, no i czerwone rajstopy.

– Śliczną masz córeczkę – powiedział kolega.

– To chłopiec – odparł tata. Wtedy się uśmiechał, ale znałem go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że z pewnością go to nie ucieszyło.

Ja przecież, z moim zainteresowaniem strojami, mazałem się, jeśli nie dostałem dokładnie tych butów, które chciałem. Mazałem się, bo było zimno, kiedy wypływaliśmy łodzią. Tak mazałem się, gdy tylko podniósł głos. Czy to dziwne, że zadawał sobie pytanie, jakiego właściwie ma syna?

Byłem też maminsynkiem, stale to powtarzał, i rzeczywiście, tęskniłem za mamą. Nie było większej radości niż moja, kiedy pod koniec tego miesiąca mama na dobre wróciła do domu.

Gdy minęło lato, a ja miałem zacząć piątą klasę, przyszła kolej na tatę. Wyjeżdżał aż do Bergen, zamierzał zamieszkać w czymś o nazwie Miasteczko Studenckie Fantoft, dokończyć studia na filologii norweskiej i zdobyć stopień lektora, najwyższy tytuł zawodowy, jaki mógł uzyskać nauczyciel.

– Niestety, nie będę mógł przyjeżdżać do domu w każdy weekend – oznajmił przy obiedzie, tuż przed wyjazdem. – Może nawet nie częściej niż raz w miesiącu.

– To niedobrze – powiedziałem.

Wyszedłem na podjazd, żeby się z nim pożegnać. Włożył walizki do bagażnika i zajął miejsce od strony pasażera, bo to mama miała go odwieźć na lotnisko.

Wyglądało to bardzo, bardzo dziwnie.

Tata w żadnym razie nie pasował do garbusa, to było oczywiste, a skoro już miał do czegoś takiego wsiąść, to na pewno nie jako pasażer, wyglądał w tej roli wręcz groteskowo, zwłaszcza kiedy mama usiadła obok, włączyła silnik, obróciła się i zaczęła cofać.

On nie był pasażerem, nikt nie mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Pomachałem, ledwie uniósł rękę i odjechali.

Co miałem teraz zrobić?

Iść do komórki, gdzie był warsztat? Piłować, walić, rąbać i ciąć, dopóki starczy mi siła?

Iść do kuchni i upiec gofry, usmażyć jajka, zrobić herbatę?

Usiąść w salonie z nogami na stole?

Nie, już wiedziałem. Pójdę do pokoju Yngvego, wezmę którąś z jego płyt, nastawię i rozkręcę głośność na cały regulator.

Wziąłem *Play* zespołu Magazine.

Podgłośniłem prawie najmocniej, otworzyłem drzwi i poszedłem do salonu.

Ściany niemal trzęsły się od basów. Muzyka dosłownie wlewała się do pokoju. Zamknąłem oczy i zacząłem się kołysać do taktu. Po pewnym czasie poszedłem do kuchni, wziąłem czekoladę do gotowania, która tam leżała, i zjadłem całą. Muzyka dudniła wokół mnie, ale ja w niej nie byłem. Stanowiła raczej wyposażenie domu, jak stół czy obrazy na ścianach. Znow zacząłem się kołysać i wtedy ją wchłonąłem. Nareszcie miałem ją w sobie, zwłaszcza kiedy zamknąłem oczy.

Ktoś zawołał z dołu.

Otworzyłem oczy i aż mnie zatkało. Z trudem łapałem powietrze.

Zapomnieli o czymś? Wrócili?

Pognałem do pokoju Yngvego i całkiem ściszyłem.

– Co ty właściwie robisz? – krzyknął z dołu Yngve.

O, jak dobrze!

– Nic – powiedziałem. – Pożyczyłem sobie twoją płytę.

Wchodził po schodach na górę. Za nim siedł inny chłopak Nigdy wcześniej go nie widziałem. Może kolega z siatkówki?

– Czyś ty kompletnie oszalał? Rozwalisz głośniki! Na pewno już zepsuleś. Głupiek!

– Nie wiedziałem. Przepraszam. Tysiąc razy przepraszam.

Ten drugi chłopak się uśmiechnął.

– To jest Trond – przedstawił go Yngve. – A to mój głupawy braciszek.

– Cześć, braciszku – odezwał się Trond.

– Cześć – odparłem.

Yngve trochę podkręcił głośność i przyłożył głowę do głośnika.

– Na szczęście nie rozwalone – stwierdził, prostując się. – Miałeś fart. Inaczej musiałbyś mi odkupić. Osobiście bym tego dopilnował. – Spojrzał na mnie. – Dawno pojechali?

Wzruszyłem ramionami.

– Jakies pół godziny temu.

Yngve zamknął drzwi do swojego pokoju, a ja jeszcze trochę pokręciłem się po salonie, aż w końcu na dworze zobaczyłem Marianne i Solveig. Pchały dziecięcy wózek.

Wyszedłem i pobiegłem za nimi.

– Mogę iść z wami? – spytałem.

– Możesz. A dokąd idziesz?

– W tamtą stronę.

– A do kogo?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy je to dziecko?

– Leonardsenów.

– Ile dostajecie?

– Pięć koron.

– Oszczędzacie na coś?

– Na nic szczególnego. Może na kurtkę.

– Ja też chcę sobie kupić nową kurtkę. Czarną Matinique. Widziałyście taką?

– Nie.

– Ma szerokie rękawy z innego materiału niż reszta. Trochę jakby pofałdowane. I klapę przez środek taką, że zasłania suwak. A ty jaką kurtkę byś chciała?

Marianne wzruszyła ramionami.

– Może płaszczyk?

– Płaszczyk? Jasny?

– Może. Dość krótki.

– Jesteś jedynym chłopakiem, który gada o ciuchach – zauważyła Solveig.

– Wiem.

Odkryłem to niedawno. Tak trudno się gadało z dziewczynami. Można im było ściągać czapki albo je przezywać, ale na tym właściwie się kończyło. No, jeszcze porozmawiać o lekcjach. Ale o niczym więcej. I nagle na to wpadłem. Przecież one interesują się ciuchami! Więc o tym po prostu trzeba mówić.

Kiedy zbliżyliśmy się do B-Maxu, pożegnałem się z nimi i zbiegłem ze skarpy na plac zabaw, który był pusty, potem wspiąłem się po trawiastym zboczu do starego wraku, również pustego, później poszedłem na puste boisko i dalej, przez płot, do państwa Prestbakmo, gdzie okrążyłem dom i zadzwoniłem do drzwi. Ale Geir jadł obiad, a potem wybierał się do Vemunda.

Ach tak

Na drodze też było pusto. Niedziela, pora obiadu. Wszyscy albo jedli, albo pojechali w gości, albo na wycieczkę z rodzicami.

Nagle się rozjaśniłem: przecież Yngve też miał gościa! Może mógłbym posiedzieć z nimi w pokoju?

Zbiegłem ze wzgórza, ale rowery zniknęły, więc na pewno już wyszli.

Co tu wymyślić?

Było pochmurno i niezbyt ciepło. Na Skałkach też na pewno nikogo nie ma.

Wolnym krokiem ruszyłem w stronę pływających pomostów. Tam raczej też będzie pusto, ale można przynajmniej pogapić się na łodzie i chłonąć to charakterystyczne dla tego miejsca powietrze, przesycone zapachem włókna szklanego, drewna, benzyny i słonej wody.

Ale była tam cała banda. Niepostrzeżenie wślizgnąłem się między chłopaków. Ci, którzy mieli łodzie, siedzieli na pokładzie i pluili do wody, słuchając tych, którzy stali na pomoście i łodzie nie mieli, ale chcieli trzymać się blisko tych, którzy je mieli. Stałem wśród nich, chociaż nie marzyłem o własnej łodzi. To było tak nierealne, że równie dobrze mógłbym marzyć o tym, by następnego dnia rano obudzić się w epoce wikingów, jak pewien chłopiec w którejś z przeczytanych przeze mnie książek. Nie, jeśli w ogóle o czymś marzyłem, to o parze nowych białych tenisówek z jasnoniebieskim logo Nike, takich jakie miał Yngve, albo o nowych jasnoniebieskich lewisach czy jasnoniebieskiej kurtce Catalina. Albo o nowych karkach Pумы, stroju treningowym Admiral, szortach Umbro. Albo o kąpielówkach Speedo. Dużo też myślałem

o czarno-białych adidasach Olympia. Chciałem również mieć ochraniacze na łydki i stopy, torbę Pумы, a na zimę narty zjazdowe Atomic i buty Dynastar. Spodnie narciarskie i kurtkę z prawdziwego puchu. Narty z włókna szklanego Splitkein, nowe wiązania Rottefella. I jasne, podobne do lapońskich buty ze skóry, takie z malutkim, podwiniętym noskiem. Miałem ochotę na nową białą koszulę i czerwoną bluzę. Wypatrzyłem sobie białe kalosze zamiast tych moich granatowych. Marzył mi się też naszyjnik z różowych koralików, który gdzieś widziałem, w ostateczności z białych.

O łodziach, motorowerach i samochodach myślałem mniej. Ale ponieważ nie mogłem się przed nikim do tego przyznać, również w tej dziedzinie miałem swoje ulubione marki. Łódź: dziesięciostopowa With Dromedille z pięciokonnym silnikiem Yamahy. Motorower: Suzuki. Samochód: BMW. Wybór tych marek miał w dużym stopniu związek z niezwykłymi literami. Y, Z, W. Z tego samego powodu pociągała mnie drużyna Wolverhampton Wanderers, pierwsza, której kibicowałem, i chociaż później rolę tę przejął Liverpool, to jednak moje serce wciąż biło również dla Wolves. Jak mogło być inaczej, skoro ich stadion nazywał się Molineux Grounds, a ich symbolem był czarny wilk na pomarańczowym tle?

Wiele myślałem o spodniach, kurtkach, butach i sprzęcie sportowym, bo chciałem ładnie wyglądać i chciałem wygrać. Kiedy u Johna McEnroe, którego cenilem chyba najbardziej ze wszystkich sportowców, po jakimś rozstrzygnięciu sędziowskim pojawiał się ten groźny błysk w oku, gdy jakby zerkał w stronę sędziego, rzucając piłkę o trawę przed serwisem, myślałem zrozpaczony: nie, nie rób tego, nie rób, to się nie uda, możesz stracić punkt, nie rób tak – i prawie nie mogłem patrzeć, kiedy jednak to robił i zaczynał krzyzczeć na sędziego, albo nawet rzucał rakietą o ziemię, tak że podskakiwała kilka metrów w górę. Identyfikowałem się z nim do tego stopnia, że płakałem za każdym razem, kiedy przegrywał, nie mogłem wtedy wytrzymać w domu, musiałem wyjść na drogę, tam siadałem na krawężniku i z policzkami mokrymi od łez rozpaczalem nad porażką. To samo dotyczyło Liverpoolu. Przegrany finał Pucharu Anglii wypędził mnie na drogę zalaną łzami. W tej drużynie wybrałem sobie Emlyna Hughesa, to za niego najmocniej trzymałem kciuki, ale oczywiście również za wszystkich innych, szczególnie za Raya Clemence'a i Kevina Keegana, zanim odszedł do Hamburga i Newcastle. W jednym z czasopism piłkarskich Yngvego przeczytałem porównanie Kevina Keegana z tym, który go zastąpił, Kennym Dalglishem. Porównywano ich punkt po punkcie i chociaż mieli różne mocne i słabe strony, to jednak wypadali mniej więcej podobnie, jedno tylko wryło mi się w pamięć: napisano tam, że Kevin Keegan jest otwarty, a Kenny Dalglish zamknięty w sobie.

Już samo to określenie „zamknięty w sobie” doprowadziło mnie do rozpacz.

Czy ja byłem zamknięty w sobie?

Czy nie byłem?

Czy nie płakałem więcej, niż się śmiałem? Czy nie leżałem cały czas w pokoju i nie czytałem?

To chyba znaczy zamknięty w sobie.

Zamknięty w sobie, zamknięty w sobie, nie chciałem taki być. To była ostatnia, najgorsza rzecz.

No ale taki byłem. I ta świadomość rosła w moich myślach jakrak

Kenny Dalglish dużo czasu spędzał sam.

Ja też! Ale wcale tego nie chciałem. Chciałem być otwarty! Otwarty!

Godzinę później, po tym jak zdecydowałem się na powrót przez las, gdzie jeszcze wdrapałem się na drzewo, żeby zobaczyć, jak rozległy jest stamtąd widok, wyszedłem na drogę akurat w chwili, gdy pod górę podjeżdżał garbus mamy. Pomachałem jej, ale mnie nie zauważyła, co sił w nogach pogałem więc za samochodem, najpierw pod górę, potem kawałek po płaskim, aż do domu, przed którym ona właśnie wysiadła, zarzuciła torebkę na ramię i zamknęła drzwiczki.

– Cześć – powiedziała. – Pomożesz mi upiec chleb?

To mógł być ten rok, kiedy tata nas sobie odpuścił.

Wiele lat później miał twierdzić, że to w Bergen zaczął pić.

– Nie mogłem spać – mówił. – Dlatego popijałem wieczorami, zanim się położyłem.

Potem powiedział też, że miał w Bergen przyjaciółkę.

Wyszło to przypadkiem. Odwiedziłem go w kóreś wakacje na początku lat dziewięćdziesiątych, był pijany, poinformowałem go wtedy, że zimną przenoszę się na Islandię, a on na to:

– Na Islandię? Byłem tam kiedyś, w Rejkiawiku.

– Nic nie mówiłeś. Kiedy?

– Mieszkałem w Bergen, pamiętasz? Miałem tam przyjaciółkę, Islandkę, i razem pojechaliśmy do Rejkiawiku.

– W tym czasie, gdy byłeś z mamą?

– Tak. Miałem trzy dzieci pięć lat i mieszkałem w miasteczku studenckim.

– Nie musisz się tłumaczyć. Możesz robić, co chcesz.

– Dziękuję, synu.

Oczywiście wtedy nie mieliśmy o tym pojęcia i brakowało nam doświadczenia, by coś takiego nawet sobie wyobrazić. Dla mnie liczyło się tylko to, że nie ma go w domu. Ale mimo że dom się otworzył i pierwszy raz w życiu mogłem w nim robić to, co chciałem, tata wciąż był tam obecny w jakiś dziwny sposób, myśl o nim razila mnie jak piorun, jeśli nabrudziłem w przedpokojku albo nakruszyłem na stół przy posiłku, czy choćby wtedy, gdy przy jedzeniu gruszki pocięł mi po brodzie sok. Nie potrafisz nawet zjeść gruszki, żeby nie brudzić, chłopcze? – rozlegał się w moich uszach jego głos. A kiedy dobrze mi poszło na klasówce, to wciąż jemu chciałem o tym powiedzieć, nie mamie, bo to nie było to samo. Jednocześnie to, co się działo wokół mnie, w wolna zmieniało charakter. Zarazem pogarszało się i polepszało, trochę tak, jakby łagodny świat dzieciństwa, w którym ciosy, jakie spadały, były tępe, w pewnym sensie niepowiązane ze mną i dotyczyły wszystkiego i niczego, teraz nabrał ostrości i wyrazistości, wątpliwości zniknęły: to c i e b i e nie lubimy i tego, co t y mówisz; stanowiło to ograniczenie, ale jednocześnie otworzył się inny świat, związany bezpośrednio nie tylko ze mną, ale być może dotyczący mnie w jeszcze większym stopniu niż tamten, bo byłem jego częścią, a moja rodzina nie miała z nim nic wspólnego, to był n a s z świat, świat poza domem.

Tamtej jesieni, kiedy zacząłem chodzić do piątej klasy, ogromnie pociągały mnie prawie

wszystkie dziewczyny, ale nie dostrzegałem ich radykalnej odmienności. Czułem, że mam w sobie coś, co umożliwia mi zbliżenie się do nich. O tym, że to wielki błąd, właściwie największy, jaki może popełnić chłopak, nie miałem pojęcia.

W tym roku naszą klasę wzięła pewna starsza nauczycielka, pani Høst, uczyła nas kilku przedmiotów i lubiła wystawiać sztuki. Często inscenizowała krótkie epizody, a ja zawsze zgłaszałem się na ochotnika, bo bardzo lubiłem zarówno to, że wszyscy na mnie patrzą, jaki to, że gram kogoś innego. Miałem szczególny talent do odgrywania dziewczyn. Byłem w tym naprawdę dobry. Zakładałem włosy za uszy, lekko wysuwałem usta, chodząc, kręciłem tyłkiem, mówiłem z nieco większą egzaltacją niż zwykle. Pani Høst czasami zaśmiewała się do łez.

Któregoś wieczoru, kiedy wałęsałem się ze Sverrem, który również lubił grać w przedstawieniach, dobrze radził sobie w szkole, a z wyglądu był do mnie na tyle podobny, że dwaj nauczyciele, którzy przyszli na zastępstwo, niezależnie od siebie uznali nas za bliźniaków, zaproponowałem, żebyśmy wybrali się do pani Høst. Mieszkała mniej więcej trzy kilometry na wschód od osiedla.

– Nieżyły pomysł – stwierdził Sverre. – Ale na rowerze nie pojedę, bo złapałem gumę. A piechotą za daleko.

– Pojedziemy stopem.

– Okej.

Zeszliśmy na skrzyżowanie i stanęliśmy przy drodze. W ciągu ostatniego roku sporo jeździłem stopem, najczęściej z Dagiem Magnem do Hove albo do Roligheden czy innych miejsc, do których nas ciągnęło, i nigdy nie zdarzało się, żebyśmy musieli czekać na okazję dłużej niż godzinę.

Tego wieczoru zatrzymał się pierwszy przejeżdżający samochód.

Dwóch młodych chłopaków.

Wsiadliśmy. Słuchali głośnej muzyki. Szyby drżały od basów. Kierowca spojrzął na nas.

– Dołąd chcecie jechać?

Wyjaśniliśmy, wrzucił bieg i przyspieszył tak, że wcisnęło nas w siedzenia.

– A kto tam mieszka?

– Pani Høst – odparł Sverre. – Nasza nauczycielka.

– Aha – odezwał się ten z siedzenia pasażera. – Chcecie jej podokuczać? My też tak robiliśmy, kiedy byliśmy mali. Chodziliśmy do nauczycieli i dręczyliśmy ich do obłądu.

– Nie, my nic takiego nie zamierzamy – zaprotestowałem. – Chcemy ją po prostu odwiedzić.

Aż się odwrócił, żeby na mnie spojrzeć.

– Odwiedzić? Po co? Coś z lekcjami?

– Nie. Po prostu mamy ochotę.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu. Samochód zatrzymał się przy skrzyżowaniu.

– No, wyskalkujcie, dzieciaki! – rzucił kierowca.

Miałem trochę wyrzutów sumienia, bo rozumiałem, że ich rozczarowaliśmy, ale kłamać się nie dało. Podziękowałem więc tylko najserdeczniej, jak umiałem.

Odjechali z dudnieniem muzyki i zniknęli w ciemności.

Sverre i ja ruszyliśmy żwirową drogą. Po jej obu stronach rosły duże liściaste drzewa z rozczapierzonymi gałęziami. Nigdy nie byliśmy w tym domu, ale dobrze wiedzieliśmy, gdzie go szukać.

Stały przed nim dwa samochody, świeciło się we wszystkich oknach.

Zadzwońłem.

– To wy? – zdumiała się pani Høst, kiedy nas zobaczyła.

– Pomyśleliśmy sobie, że panią odwiedzimy – wyjaśniłem.

– Możemy wejść? – spytał Sverre.

Zawahała się.

– Wiecie, mam gości, więc zjawiliście się trochę nie w porę. Ale naprawdę przysłiście z tak daleka tylko po to, żeby mnie odwiedzić?

– Tak

– No to wejdźcie. Możecie zostać pół godziny, jeśli macie ochotę. Mam ciastka, poczęstuję was. I trochę soku.

Weszliśmy.

Salon był pełen dorosłych. Pani Høst przedstawiła nas. Usiedliśmy na stołkach przy stole, postawiła przed każdym talerzyk z trzema kruchymi ciastkami i szklanę z sokiem.

Powiedziała, że jesteśmy jej ulubionymi uczniami i że świetnie gramy w przedstawieniach.

– A nie mogliby czegoś odegrać? – spytał ktoś.

Pani Høst popatrzyła na nas.

– Możemy – zgodziłem się. – Co ty na to?

– Jasne – potwierdził Sverre.

Wsunąłem włosy za uszy, złożyłem usta w ciup i ruszyliśmy; improwizowaliśmy, ale i tak całe towarzystwo się śmiało. Po odegraniu scenki ukloniliśmy się, zaczerwienieni ze wstydu, ale zadowoleni z siebie, rozległy się ołdaski.

Powtórzyłem ten sukces na balu przebierańców tuż przed świętami. Obaj z Dagiem Magnem przebraliśmy się za kobiety, mieliśmy sukienki, torebki i pełny makijaż, a moje przebranie było tak dobre, że nikt mnie nie poznał, nawet Dag Lothar, który dopiero po co najmniej pięciu minutach uświadomił sobie, kim jest ta nieznamiona dziewczyna, chociaż stałem tuż obok.

Nie wstydziłem się przebrać za dziewczyny ani rozmawiać z nimi na dziewczynskie tematy, no i zacząłem też z nimi chodzić. Najładniejsza miała na imię Mariann i nasze chodzenie trwało dwa tygodnie; razem jeździliśmy na łyżwach, siadała mi na kolanach, całowaliśmy się, jako jedyny chłopiec zostałem też zaproszony na jej urodziny, wtedy także usiadła mi na kolanach, a ja ją objąłem i z takiej pozycji rozmawiała z koleżankami, znów się całowaliśmy, ale w końcu miałem już dość, bo chociaż ją lubiłem – bez wątpienia należała do najatrakcyjniejszych dziewczyn w szkole, co prawda nie z samej czołówki, i może trochę było mi jej żal, bo mieszkała tylko z matką i siostrą, więc żyły dość biednie, Mariann prawie nigdy nie miała nic nowego do ubrania, jej matka starała się jak najlepiej przerabiać stare rzeczy, które dostawała w spadku od

krewnych – to przesiadując u niej w pokoju, czułem jedynie pustkę, i klaustrofobię, kiedy się całowaliśmy. Najbardziej chciałem stamtąd wyjść. W końcu któregoś dnia namówiłem Daga Magnego, by jej przekazał, że to już koniec. Zaraz potem popełniłem wielkie głupstwo, Mariann przebiegała obok mnie w wiacie przeciwdeszczowej, a ja wtedy odruchowo wysunąłem nogę, potknęła się i poleciała twarzą na asfalt. Pokaleczyła się, płakała, ale najgorsza była wściekłość, z jaką mnie potem zaatakowała, a wszystkie inne dziewczyny przyłączyły się do niej, zgodnie ją wspierając, więc chyba nie muszę mówić, że przez następne tygodnie nie cieszyłem się zbyt wielką popularnością. Moje tłumaczenie, że zrobiłem to wyłącznie dla zabawy, bez żadnego innego celu, nie spotkało się ze zrozumieniem. Czasami odnosiłem wrażenie, że dziewczyny naprawdę mnie nienawidzą, uważają mnie za coś w rodzaju śmiecia, ale kiedy indziej było całkiem odwrotnie, nie tylko ze mną rozmawiały, ale jeszcze na imprezach klasowych, które zaczęliśmy organizować zarówno w domach, jak i w szkole, chciały ze mną tańczyć. Mój stosunek do nich również był ambiwalentny, przynajmniej gdy chodziło o dziewczyny z klasy. Z jednej strony po blisko pięciu latach w szkole znałem je tak dobrze, że traktowałem je zupełnie obojętnie, ale z drugiej – zaczęły się zmieniać, wypukłości pod ich swetrami rosły, biodra się zaokrąglaly, zachowywały się też inaczej, odnosiły się do nas z wyższością, a swoją uwagę kierowały na chłopców dwie albo trzy klasy wyżej. Nas z naszymi wysokimi głosami, mniej lub bardziej skrycie chłonących to, co nagle się u nich pojawiło, traktowały jak powietrze. Ale mimo że tak zadzierały nosa, to nie wiedziały nic o świecie, ku któremu się zwracały. No bo co one wiedziały o mężczyznach, kobietach i pożądaniu? Czy czytały Wilbura Smitha, u którego kobiety brano przemocą wśród szalejącej burzy? Czy czytały Kena Folletta, który opisuje, jak mężczyzna goli cipkę kobiety leżącej z zamkniętymi oczami w wannie pełnej piany? Czy czytały *Insektssommer* Knuta Faldbakkena, ten fragment, który znałem na pamięć, kiedy chłopak ściga dziewczynę nie mającą na sianie? Czy kiedykolwiek trzymały w rękach pornosa? No i co wiedziały o muzyce? Lubily wyłącznie to, co lubili wszyscy, norweski pop, The Kids i inny szajs z list przebojów. Muzyka właściwie nie odgrywała w ich życiu żadnej roli, nie miały pojęcia, czym jest ani czym może być. Nie potrafiły się nawet ubrać, pojawiały się w szkole w najdziwniejszych kombinacjach ciuchów, nie zdając sobie nawet sprawy z braku gustu. I one miałyby patrzeć na mnie z pogardą? Ja już czytałem Wilbura Smitha, Kena Folletta i Knuta Faldbakkena, od kilku lat oglądałem pisma pornograficzne, słuchałem zespołów, które naprawdę się liczyły, umiałem się ubrać. Ja miałbym być od nich gorszy?

Żeby pokazać, jak naprawdę się rzeczy mają, dokonałem niewielkiego przewrotu na lekcji muzyki. Co piątek układaliśmy klasową listę przebojów. Sześciu uczniów proponowało po jednym utworze, na które później wszyscy głosowali. Moje propozycje zawsze zajmowały ostatnie miejsce, bez względu na to, co puszczałem. Led Zeppelin, Queen, Wings, The Beatles, Police, Jam, Skids – rezultat zawsze był ten sam, jeden albo dwa głosy, ostatnie miejsce. Wiedziałem, że to przeciwko mnie głosują, a nie przeciwko muzyce. Muzyki tak naprawdę nikt nie słuchał. Irytowało mnie to bezgranicznie. Poskarżyłem się Yngvememu, a on nie tylko zrozumiał moją złość, bo również nie lubił muzyki z list przebojów, ale wymyślił też sposób na nabranie całej mojej klasy. Druga płyta The Kids jeszcze wtedy nie wyszła. W któryś piątek zabrałem do szkoły pierwszy longplay The Aller Værste!^[12], *Materialtretthet*, który Yngve dostał zaledwie przed kilkoma dniami, i powiedziałem, że to zamówiony wcześniej egzemplarz następnej płyty The

Kids. Nauczyciel muzyki był poinformowany o tym przedsięwzięciu, puścił pierwszy utwór z płyty opakowanej w białą koszulkę, ponieważ, jak wyjaśniłem, krążek jest tak świeży, że jeszcze nie ma okładki. Zespół The Aller Værste! moi koledzy uważali za najgorszy ze wszystkich; kiedy poprzednim razem puściłem w klasie ich singiel *Rene hender*^[13], przez kilka dni wołali za mną: „Czyste ręce! Czyste ręce!”, ale tym razem, kiedy w klasie rozległy się początkowe tony pierwszej długogrającej płyty zespołu, towarzyszył im wyrażony mamrotaniem podziw, który miał swoją kulminację po zakończeniu głosowania, bo okazało się, że The Aller Værste! pod pseudonimem The Kids zwyciężyli jednogłośnie. Z twarzy bił mi triumf, gdy wreszcie mogłem wstać i obwieścić, że głosowali nie na The Kids, tylko na The Aller Værste! Oświadczyłem, że dostałem dowód na to, iż nie obchodzi ich muzyka, a ich gustem kieruje zupełnie co innego. Ależ się wkurzyli! Nic jednak nie mogli powiedzieć. Za bardzo ich nabrałem.

Oczywiście mi się dostało. Usłyszałem, że mam zbyt wysokie mniemanie o sobie, wydaje mi się, że jestem kimś lepszym, zawsze podoba mi się to, co jest wyjątkowe, a nie to, co lubią wszyscy inni. Ale to przecież była nieprawda, lubiłem po prostu dobrą muzykę, a nie złą, więc gdzie w tym moja wina. Poza tym coraz lepiej się na tym znałem dzięki Yngvemu i jego pismom muzycznym, które dokładnie czytałem, i dzięki zespołom, których nagrania mi puszczał. Słuchałem Magazine, The Cure, Stranglers, Simple Minds, Elvisa Costello, Skids, Stiff Little Fingers, XTC i norweskich zespołów, takich jak Kjøtt, Blaupunkt, The Aller Værste!, The Cut, Stavangerensemble, DePress, Betong Hysteria, Hærværk Yngve uczył mnie też kolejnych chwytów na gitarze, a kiedy nie było go w domu, stałem i sam dla siebie grałem czarną kostką Gibsona na fenderze z czarnym paskiem. Na wszelki wypadek kupiłem też podręcznik gry na perkusji, wystrugałem dwie pałeczki i ułożyłem wokół siebie na podłodze kilka książek. Ta z lewej strony miała być hi-hatem, ta obok – werblem, a trzy nad nimi tom-tomami. Jediną osobą, która mi w tym towarzyszyła, był Dag Magne, z którym spędzałem coraz więcej czasu. Głównie siedzieliśmy u niego, słuchaliśmy płyt i usiłowaliśmy naśladować muzyków na jego dwunastostrunowej gitarze, ale Dag Magne przychodził też do mnie, siadaliśmy i czytaliśmy każdy swój komiks, bo restrykcje mamy przestały już obowiązywać w sposób absolutny, słuchaliśmy kaset, gadaliśmy o dziewczynach albo o tym zespole, który zamierzaliśmy założyć, przede wszystkim o jego przyszej nazwie. On chciał, żeby to byli Beziemienni Apostołowie Daga Magnego, ja wolałem Zakrzep. Właściwie obie nazwy uważaliśmy za dobre, co do tego byliśmy zgodni, a ostatecznej decyzji przecież nie musieliśmy podejmować, dopóki nasze plany się nie urzeczywistnią i nie staniamiy na scenie.

Tak minęła zima, podczas której odbyły się również pierwsze imprezy klasowe; graliśmy w butelkę, tańczyliśmy w parach, kręcąc się w koło, przytuleni do dziewczyn, z którymi od pięciu lat chodziliśmy do klasy i które znaleźliśmy niemal lepiej niż własne rodzeństwo; pamiętam, jak głowa niemal mi eksplodowała, gdy nagle poczułem tak blisko ciało Anne Lisbet. Zapach jej włosów, błyszczące oczy, takie żywe jak dawniej. I te maleńkie piersi pod cienką białą bluzką.

Cóż to za fantastyczne doznanie!

Zupełnie nowe, nieznanne przez tyle lat, ale gdy już raz było mi dane, pragnąłem, by

powróciło.

Zima minęła, przyszła wiosna i przyniosła światło, pasaż rozdzielający nocę z każdym dniem się poszerzał, ale przyniosła też zimny deszcz, od którego śnieg zapadał się i znikał. Jednego z tych marcowych poranków, smutnych od mroku i deszczu, jak zwykle wszedłem do kuchni, żeby zjeść śniadanie. Mamy już nie było, bo miała poranny dyżur. Zapomniała wyłączyć radio. Jeszcze będąc u siebie w pokoju, zorientowałem się, że w nocy coś się wydarzyło, bo chociaż nie rozumiałem słów, to głosy spikerów brzmiały niezwykle dramatycznie. Posmarowałem kromkę chleba masłem, położyłem na niej plasterki salami i nalełem mleka do szklanki. Okazało się, że był wypadek na Morzu Północnym, platforma wiertnicza przewróciła się i znalazła pod wodą. Krople deszczu wolno ściekały po szybie. Lekkie bębnienie o dach otoczyło dom jakby błoną. Przelewało się w rynnach. U Gustavsenów włączono silnik w samochodzie i zapaliły się reflektory. To była prawdziwa katastrofa, mnóstwo ludzi uznano za zaginionych, nikt nie wiedział, ilu ich dokładnie było. Kiedy pół godziny później przyszedłem pod B-Max w spodniach wpuszczonych w kalosze i z mocno zasznurowanym kapturem kurtki przeciwdeszczowej, nikt nie mówił o niczym innym. Wszyscy znali kogoś, kto znał kogoś, kto miał ojca albo brata pracującego właśnie na tej platformie. Nazywała się Alexander Kielland i prawdopodobnie zламаła się jedna jej noga. Co zawiniło? Fala stulecia? Bomba? Błąd konstrukcyjny?

Na pierwszej lekcji nauczyciel zaczął mówić o wypadku, chociaż właściwie miała być matematyka. Zastanawiałem się, co teraz powie dziadek Stale nam powtarzał, że musimy pracować przy ropie. W ropie leży przyszłość. Ale z różnych stron napływały też inne sygnały: raz materiał w wiadomościach rozpoczęto od wróżby, że złoża ropy wkrótce się skończą, bo ubywa ich szybciej, niż się spodziewano, i za dwadzieścia pięć lat będą wyczerpane. Zafascynował mnie rok wspomniany przy tej okazji. 2004. To była przyszłość tak odległa, że właściwie aż nierzeczywista, lecz tu traktowano ją z trzeźwym realizmem, w zasadniczy sposób inaczej niż w książkach i czasopismach science fiction, dlatego tak szokowała myśl, że rok 2004 naprawdę może kiedyś nadejść. Za n a s z e g o życia? Jednocześnie zaniepokoił mnie ponury ton w głosach tych mężczyzn, którzy wieszczili coś strasznego, i smutno mi się zrobiło, że coś się kończy. Nie chciałem, żeby cokolwiek miało kres. Chciałem, żeby wszystko trwało. Każdy koniec mnie przerażał. Dlatego miałem nadzieję, że Jimmy Carter będzie prezydentem jeszcze przez jedną kadencję, że premier Odvar Nordli i Partia Pracy wygrają w Norwegii kolejne wybory. Lubilem Jimmy'ego Cartera. Lubilem Odvara Nordli'ego, chociaż zawsze wyglądał, jakby był śpiący i zmęczony. Nie lubilem natomiast duńskiego prawnika Mogensa Glistrupa ani szwedzkiego premiera Olofa Palmego, mieli w sobie jakiś fałsz, dostrzegałem to w ustach i w spojrzeniach. Poślowie Partii Pracy – Einar Førde i Reulf Steen, również wydawali się fałszywi, ale nie w takim stopniu. Lubilem natomiast Hannę Kvanmo z Partii Lewicy Socjalistycznej, w przeciwieństwie do Goldy Meir i Menachema Begina, mimo umowy z Camp David. Anwara Sadata trudno mi było ocenić. To samo dotyczyło Breżniewa, chociaż z zupełnie innych względów. Kiedy widziałem, jak podczas wojskowej defilady stoi w grubym futrze i futrzanej czapie, z tymi ogromnymi brwiami nad mongolskimi wąskimi oczami w twarzy bez wyrazu i mechanicznie macha kolejnym raketom sunącym w otoczeniu tysięcy identycznych żołnierzy maszerujących defiladowym krokiem, nie traktowałem go jak człowieka, był czymś innym, czymś, do czego nie można się było odnieść.

Czy lubiłem ministra Pera Kleppego?

W pewnym sensie tak. W każdym razie miałem szczerą nadzieję, że ten jego pakiet antyinflacyjny się sprawdzi.

Lubiłem polityka Lewicy Hansa Hammonda Rossbacha, ale były premier Trygve Bratteli wydawał mi się dziwny z tym swoim szepczącym głosem i nienaturalną wymową „r”, wąskimi ramionami i wielką głową, przy pominięciu trupa i czaszki z grubymi czarnymi brwiami.

Wypadek na Morzu Północnym był omawiany przez kwadrans, potem lekcja toczyła się jak zwykle, to znaczy siedzieliśmy i rachowaliśmy w zeszytach, a nauczyciel chodził między rządami ławek i pomagał tym, którzy podnosili rękę i prosili o pomoc. Łapa ciemności powoli wypuszczała z uścisku poranek i z wolna się rozjaśniało. Na przerwie ktoś powiedział, że na platformie mogły się wytworzyć kieszenie powietrzne, w których da się przeżyć kilka dni. Inni mówili, że żadnych rodziców uczniów z naszej szkoły nie było na pokładzie, ale ojciec chłopaka, który chodził do Roligheden, został uznany za zaginionego. Trudno powiedzieć, skąd się brały wszystkie te plotki i ile w nich było prawdy. Na następnej lekcji mieliśmy norweski. Kiedy Pani usiadła za katedrą, podniosłem rękę.

– Słucham, Karl Ove?

– Czy pani już sprawdziła nasze wypracowania?

– Zaczęłam, a zobaczysz.

Ale musiała je sprawdzić, bo zaraz przeszła do omawiania jakichś słów i zasad, najprawdopodobniej związanych z błędami popełnionymi w pracach, które oddaliśmy jej w zeszły czwartek.

Rzeczywiście. Na katedrze pojawił się wyjęty z jej torby stos zeszytów.

– Tym razem było bardzo dużo dobrych wypracowań – oznajmiła. – Mogłabym je wszystkie przeczytać na głos, ale na to nie mamy czasu. Dlatego wybrałam cztery. Jak wiecie, to wcale nie oznacza, że są najlepsze. Wszyscy w klasie piszą dobre wypracowania.

Wpatrywałem się w stos, żeby rozpoznać własny zeszyt. Nie leżał na samym wierzchu, tyle przynajmniej było pewne.

Anne Lisbet podniosła rękę.

Miała na sobie biały, robiony na drutach sweter, było jej w nim bardzo do twarzy. Czarne włosy i czarne oczy bardzo pasowały do bieli, tak jak czerwone wargi i czerwone policzki, które zawsze jej się rumieniły po przejściu z zimna w ciepło.

– Słucham? – powiedziała Pani.

– Czy możemy robić na drutach, kiedy pani będzie czytać? – spytała Anne Lisbet.

– Nie widzę żadnych przeszkód – odparła Pani.

Cztery dziewczynki wyjęły robótki z tornistrów.

– A czy możemy odrabiać lekcje? – spytał Geir Håkon.

Ktoś się roześmiał.

– Masz podnosić rękę jak wszyscy, Geir Håkon – przypomniała Pani. – Ale odpowiedź

oczywiście brzmi: nie.

Geir Håkon się uśmiechnął, lekko zaczerwieniony, nie z powodu skarcenia, tylko dlatego, że w ogóle odważył się odezwać. W klasie zawsze trochę się rumienił.

Pani zaczęła czytać. Pierwsze wypracowanie nie było moje. Pomyślałem jednak, że zostały jeszcze trzy, i wyciągnąłem nogi przed ławkę. Lubiłem te pierwsze lekcje, kiedy na dworze panowała jeszcze zupełna ciemność, a my siedzieliśmy jak w oświetlonej kapsule, trochę rozczocharani, z zaspanymi oczami i z tą miękkością, nieostrością ruchów, które dzień w miarę upływu czasu wyostrzał i szlifował, aż w końcu wszyscy biegaliśmy w kółko, wymachując rękami i wrzeszcząc jedno przez drugie, z szeroko otwartymi oczami.

Drugie wypracowanie również nie było moje. Ani trzecie.

Patrzyłem na Panią niespokojnie, gdy brała do ręki czwarty zeszyt. Przecież to nie mój!

Ojej! Mojego nie przeczyta!

Z rozczarowania coś we mnie skęśło, a jednocześnie zrodził się bunt. Moje wypracowania były najlepsze ze wszystkich, wiedziałem o tym i Pani też wiedziała, a jednak poprzednim razem również nie przeczytała tego, co napisałem, i teraz tak samo. Jaki jest więc sens dobrego pisania? Postanowiłem, że następnym razem napiszę najgorzej, jak potrafię.

Nareszcie skończyła to marne wypracowanie.

Podniosłem rękę.

– Dlaczego pani nie przeczytała mojego? Było złe?

Oczy na moment jej się zwęziły, ale zaraz je otworzyła i uśmiechnęła się.

– Dostałam dwadzieścia pięć wypracowań. Nie mogę przeczytać wszystkich. Tyle chyba rozumiesz? Twoje prace zaliczają się do tych, które czytałam najczęściej, teraz przyszła kolej na inne osoby. – Klasnęła w dłonie. – Tym razem te wypracowania były naprawdę wspaniałe. Ależ wy macie wyobraźnię! Przy wszystkich świetnie się bawiłam!

Skłębła głową na Geira B., który wstał i wyszedł na środek. Był dyżurnym i miał rozdać zeszyty. Szybko przerzuciłem na koniec. Mniej więcej jeden błąd na stronę. Na końcu Pani napisała: „Dużo fantazji, ładnie, Karl Ove. Ale czy ta opowieść nie urwała się trochę zbyt gwałtownie? Zrobiłeś niewiele błędów, ale musisz więcej popracować nad charakterem pisma”.

Mieliśmy napisać coś o przyszłości. Wybrałem podróże kosmiczne. To znaczy poświęciłem tyle miejsca na opisanie rozmaitych programów treningowych, jakie musieli przejść astronauty, że miałem już dziesięć stron, zanim doszedłem do dnia przed startem, więc w końcu wymyśliłem, że start można w ostatniej chwili odwołać z powodu jakiegoś błędu, i astronauty wrócili do domu z niezłatwioną sprawą.

W jednym miejscu napisałem „hotel” przez jedno „l”, Pani dodała drugie czerwonym kaligraficznym piórem. Podniosłem rękę, podeszła do mnie.

– Hotel pisze się przez jedno „l”, wiem o tym. Widziałem to w książce, więc jestem całkiem pewien.

Nachyliła się. Z jej dłoni uniósł się zapach mydła, a z szyi lekki aromat letnich perfum.

– W pewnym sensie masz rację, a w pewnym nie. Hotel przez jedno „l” pisze się po angielsku, po norwesku muszą być dwa.

– Ale hotel Phønix ma tylko jedno „!” – upierałem się. – I jest w Norwegii, w dodatku w Arendal!

– Masz rację.

– A więc to jednak jest błąd?

– Powiedzmy, że nie jest. I to naprawdę dobre wypracowanie, Karl Ove.

Wróciła na katedrę. Jej słowa sprawiły mi przyjemność, chociaż słyszałem je tylko ja.

Na dworze deszcz i wiatr nie ustawały. Drzewa wokół szkoły kołysały się i trzeszczały, a kiedy pod koniec przerwy weszliśmy do sali gimnastycznej, wiatr uderzał w jej wysokie ściany z siłą tak wielką, jakby waliły w nie fale. W przewodach wentylacyjnych wyło i piszczało, budynek żył, zmienił się w ogromne zwierzę pełne sał, korytarzy i szybów, które ułożyło się tu, obok szkoły, i niepocieszone, wyśpiewywało smutne, pełne skargi pieśni. A może to raczej dźwięki żyją, zastanawiałem się, rozbierając się na ławce w szatni. Wznosiły się i opadały, przez moment jakby wirowały, przesłakując to tu, to tam, jak w zabawie. Wstałem nagi, wziąłem ręcznik i poszedłem do umywalni już rozgrzanej parą. Stałem pod prysznicem, w grupie bladych, wręcz marmurowo białych chłopięcych ciał, i zalała mnie gorąca woda, która najpierw uderzyła w czubek głowy, a potem spłynęła po twarzy i piersi, po karku i po plecach. Włosy przylepiły się do czoła, zamknąłem oczy. Nagle ktoś krzyknął:

– Torowi staną! Torowi staną!

Otworzyłem więc oczy i spojrzałem na Sverrego, to on krzyczał. Wskazywał na drugi koniec wąskiego pomieszczenia, w którym stał uśmiechnięty Tor z rękami wzdłuż boków i ze sterczącym członkiem.

To Tor miał największego fiuta w klasie, a może nawet w całej szkole. Zwisiał mu między nogami jak kiełbasa i nie było to żadną tajemnicą, bo zawsze nosił obcisłe spodnie, układając w nich członek ukosem do góry, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Rzeczywiście był duży. Ale teraz, kiedy dodatkowo zeszywniał, zrobił się naprawdę ogromny.

– Rany boskie! – zawołał Geir Håkon.

Wszyscy na niego spojrzeli. Nagle zapanował nastrój podniecenia i oczywiste było, że coś trzeba zrobić, tak wyjątkowej okazji nie mogliśmy przepuścić.

– Zabierzmy go do pani Hensel! – zawołał Sverre. – Dalej, szybko, zanim mu minie!

Pani Hensel była naszą nauczycielką gimnastyki. Pochodziła z Niemiec, mówiła łamaną norweszczyzną, była surowa i zasadnicza, co podkreślała jeszcze wąskimi okularkami i zawsze tak samo ściśle upiętymi włosami. Zadbana, zwracała uwagę na szczegóły, lecz jednocześnie była roztargniona, sumując to, mówiliśmy, że jest pańciowata. Jako wuefistka była dla nas koszmarem, ponieważ uwielbiała przyrządy i prawie nigdy nie pozwalała nam grać w piłkę. Teraz jeszcze sprzątała salę, wciąż z gwizdkiem na szyi, w niebieskim dresie i białych podkolanówkach. Kiedy Sverre zaproponował, żebyśmy zaprowadzili do niej Tora, wszyscy uznali to za znakomity pomysł.

– Nie – zaprotestował Tor. – Nie róbcie tego!

Sverre i Geir Håkon chwycili go za ramiona.

– Chodźcie! – zawołał Sverre. – Jeszcze dwóch!

Dołączyli Dag Magne z Geirem B., złapali Tora za nogi i podnieśli. Tor się opierał, trochę próbując się wyrwać, kiedy wynosili go spod prysznic, ale bez przekonania. Reszta poszła za nimi. To naprawdę był niezły widok Nagusieńki Tor, z ogromnym wzwiedzionym członkiem, niesiony przez czterech nagich chłopców, a za nimi cała procesja nagusów. Przeszliśmy przez szatnię do wielkiej, zimnej sali, gdzie pani Hensel, która mogła mieć około trzydziestki, odwróciła się do nas z drugiego końca.

– O co chodzi? – spytała.

Ci, którzy nieśli Tora, dosłownie z nim pobiegli. Tuż przed panią Hensel unieśli go do pozycji stojącej, jakby był posągami, który należy obejrzeć, przetrzymali tak z pięć sekund, po czym go opuścili i uciekli z powrotem do szatni.

Pani Hensel powiedziała tylko: „Nie, nie, chłopcy, tak naprawdę nie można”, i nic nie zrobiła. Nie było wycia, krzyku, żadnych otwartych ust czy oczu wychodzących z głowy, na co być może mieliśmy nadzieję. Ale operacja i tak była udana. Pokazaliśmy jej olbrzymiego fiuta Tora.

Później w szatni dyskutowaliśmy o tym, co się teraz stanie. Niewielu wierzyło w konsekwencje, z tego prostego powodu, iż uważali, że pani Hensel za bardzo będzie się wstydzić, by jeszcze komuś o tym powiedzieć. Tu jednak się pomyliliśmy. Zrobiła się z tego wielka afera, do klasy przyszedł dyrektor, ci czterej, którzy nieśli Tora, musieli zostać po lekcjach, a reszta dostała ochran jak rzadko. Jedną osobą, która z całej tej historii wyszła z podniesionym czołem, był Tor, który z jednej strony został uznany za ofiarę – dyrektor, wychowawczyni i pani Hensel uznali tę akcję za akt mobbingu – a z drugiej triumfował, bo teraz już wszyscy, również dziewczyny, wiedzieli o tym sensacyjnym szczególe jego budowy, chociaż sam nawet palcem nie kiwnął, żeby to upublicznić.

Tego wieczoru długo przeglądałem się w lustrze nagi.

Łatwiej było tak powiedzieć, niż zrobić. Jedyne duże lustro, jakie mieliśmy, wisiało na dole, w korytarzu koło schodów. Nie było mowy, żebym tam stanął rozebrany, nawet w pustym domu, bo ktoś mógł nagle wrócić i chociaż miałem szybki refleks, to i tak zobaczyłby mój goły tyłek uciekający na górę po schodach.

Nie, to musiało być lustro w łazience.

Ale ono było przeznaczone do oglądania twarzy. Gdybym przybliżył do niego głowę, jednocześnie odsuwając nogi jak najdalej, dałoby się dostrzec ciało, ale pod tak dziwnym kątem, że odbicie nic by na jego temat nie powiedziało.

Dlatego odczekałem, aż mama skończy zmywać po obiedzie i z gazetą usiądzie przy kawie w salonie. Dopiero wtedy poszedłem do kuchni po stołek. Gdyby spytała, po co mi to, mogłem powiedzieć, że chcę na nim postawić magnetofon, kiedy się będę kąpał. A gdyby się dziwiła, dlaczego magnetofon nie może stać jak zwykle na podłodze, odpowiedziałbym, że słyszałem, iż połączenie elektryczności z wodą jest niebezpieczne, a podczas kąpieli woda często wychlapuje mi się na podłogę.

Ale mama o nic nie spytała.

Zamknąłem drzwi na klucz, rozebrałem się, ustawiłem stołek pod ścianą i wdrapałem się na

niego.

Najpierw obejrzałem się z przodu.

Mój siurek ani trochę nie wyglądał jak członek Tora. Bardziej przypominał korek. Albo raczej sprężynkę, bo lekko drżał, kiedy się w niego pstryknęło.

Ująłem go w rękę. Ile mógł mieć długości?

Potem się obróciłem i obejrzałem go z boku. Z tej pozycji wydawał się trochę dłuższy.

Poza tym wszystkie fiutki w klasie tak wyglądały, oprócz tego Tora, prawda?

Gorzej było z rękami. Takie chude. I chuda klatka piersiowa. Na zdjęciu zrobionym podczas Norway Cup dostrzegłem nagle, że moja górna połowa zwięża się ku głowie. A tak na pewno nie powinno być. Przecież na treningach od czasu do czasu robiłem pompki, tyle że zawsze oszukiwałem, bo tak naprawdę, o czym wiedziałem tylko ja, tak naprawdę nie byłem w stanie zrobić a n i j e d n e j.

Zeskoczyłem ze stołka, puściłem wodę do wanny. Gdy popłynęła z ust metalowej konstrukcji, na której osadzone było dwoje oczu, jedno czerwone, a drugie niebieskie, pobiegłem do pokoju po magnetofon, ustawiłem go na stołku, włączyłem *Outlandos d'Amour*, czyli moją muzykę kąpielową, i ostrożnie wszedłem do wanny. Gorąca woda dosłownie kłuła w skórę, prawie nie dało się usiąść. Ale w końcu jakoś poszło. Usiadłem, wstałem, usiadłem, wstałem, powtarzałem te czynności, dopóki skóra nie przyzwyczała się do temperatury, i wreszcie mogłem położyć się w wodzie, pozwolić, by otoczyło mnie jej ciepło, z małego magnetofonu płynęła muzyka, a ja śpiewałem na całe gardło, marząc o sławie, i o tym, co wszystkie znajome dziewczyny wtedy powiedzą. Śpiewałem: *I feel lo lo lo. I feel lo lo lo, I feel lo lo lo. I feel lo lo lo, I feel lo lo lo. I feel lo lo lo, I feel lo lo lo. Lo, I feel lo. I feel lo. I feel so lonely. I feel so lonely. I feel so lonely, lonely, lonely, lo. I feel so lonely, lonely, lonely, lo. Lonely, lone. Oh, I feel SO LONELY! So lonely. So lonely. So lonely. So lonely. So lonely. I feel so lonely. I feel so lonely. I feel so lonely.*

Docierało do mnie każdy najmniejszy niuans w głosie Stinga. Nawet chyba popłakiwanie na końcu.

Momentami z zachwytu uderzałem pięściami o krawędź wanny. Kiedy piosenka się skończyła, wytarłem dłonie w ręcznik, przełożyłem kasetę i przewinąłem do *Masoko Tanga*, innego ulubionego utworu.

Ach, *Masoko Tanga*!

Później stanąłem przed szafą w pokoju, żeby wybrać sobie coś do ubrania. Wciąż zostało jeszcze kilka godzin wieczoru.

Zdecydowałem się na jasnoniebieską koszulę z białymi guzikami i granatowe levisy.

– Kiedy właściwie kupimy coś do ubrania na święto 17 Maja? – spytałem mamę, stając przed nią w salonie.

– Przecież dopiero koniec marca. Mamy jeszcze sporo czasu.

– Ale może teraz jest taniej?

– Zobaczmy. Nie mamy za dużo pieniędzy, kiedy tata studiuje.

– Ale trochę mamy?

– Oczywiście, dostaniesz nowe rzeczy na 17 Maja.

– I buty.

– I buty.

Święto narodowe 17 Maja wciąż było dla nas najważniejszym momentem wiosny, tak jak Boże Narodzenie – zimy. W szkole śpiewaliśmy *My też jesteśmy narodem, Norwegia w czerwieni, bieli i błękicie* i hymn *Tak, kochamy ten kraj*. Uczyliśmy się o Henriku Wergelandzie i o uchwaleniu konstytucji w Eidsvoll w 1814 roku. W domach wyjmowano kotyliony i flagi, fujarki i gwizdki. W sam świąteczny dzień wciągano flagi na wszystkie maszty i już wcześniej rano przed domami pojawiały się całe rodziny. Ludzie ubrani w stroje ludowe, w eleganckie sukienki lub garnitury, na to płaszcze, jeśli było zimno lub padał deszcz, dzieci z chorągiewkami w rękach, niekiedy z futerałami z instrumentami, bo wielu moich kolegów grało w orkiestrze dętej, te dzieciaki miały uniformy zamiast eleganckich ubrań, w które przebierały się dopiero później. Mundurek szkolnej orkiestry dętej z Tromøi składał się z musztardowożółtej kurtki, czarnych spodni z białymi lampasami i czarnej czapki przypominającej tę Legii Cudzoziemskiej. Piersi zdobiły medale zdobyte na rozmaitych konkursach. Samochody po kolei opuszczały podjazdy i kierowały się do miasta, ale musiały zaparkować poza centrum, bo ludzie zjeżdżali się ze wszystkich stron i na ulicach panował tłok wzdłuż całej długiej drogi, którą miał przejść pochód. Pochód, czyli my, dzieci. Stawialiśmy się na Tyholmen pod sztandarem Szkoły Podstawowej w Sandnes i szliśmy za nim z dumą, w prawie niekończącym się strumieniu uczniów nie tylko wszystkich szkół w Arendal, lecz również z okolic miasta. Mieliliśmy przemaszerować dwoma rzędami przez ulice, nieustannie wypatrując w tłumie rodziców, którzy robili zdjęcia, należało im pomachać, a mogli stać wszędzie.

Ten dzień, 17 Maja 1980 roku, był zupełnie inny niż wszystkie święta narodowe, jakie do tej pory przeżyłem. Kiedy wstaliśmy, padał deszcz, więc od razu zrobiło mi się smutno, bo musiałem kurtką przeciwdeszczową zasłonić nowe ubranie, jasnoniebieskie dżinsy Levisa, śnieżnobiałe tenisówki Tretorn i jasnoszarą kurtkę do pasa. Cieszyłem się zwłaszcza ze spodni. Od strony okolicznych domów dochodziły nieregularne, przeciągłe ryki papierowych trąbek, z którymi chodziły dzieciaki. Trzaskały drzwiczki aut, nawoływano się w ogrodach, panowała napięta, ale radosna atmosfera. Kiedy dotarliśmy na miejsce zbiórki na Tyholmen, deszcz lał równo. Okazało się, że w pochodzie mamy iść równolegle z klasą ze Szkoły Podstawowej Roligheden. Z kilkoma chłopakami stamtąd grałem w piłkę, ale wielu tych twarzy nigdy wcześniej nie widziałem.

Odwróciła się jakaś dziewczyna na.

Miała jasne, falujące włosy, duże niebieskie oczy i uśmiechała się do mnie.

Nie odpowiedziałem jej uśmiechem, ale i tak jeszcze przez chwilę na mnie patrzyła.

Pochód ruszył. Daleko z przodu grała orkiestra. Któryś z naszych nauczycieli zaczął śpiewać, a my się do niego przyłączyliśmy. Po mniej więcej dwudziestu minutach marszu, kiedy cierpliwość wielu z nas, zwłaszcza chłopców, powoli się wyczerpywała, zaczęliśmy się śmiać i wygłupiać, ktoś wpadł na pomysł zadzierania dziewczynom spódniczek chorągiewkami, które każdy z nas niósł w rękę, szybko się to rozniosło, a ja wtedy ruszyłem do ataku na tę jasnowłosą dziewczynę, na szczęście razem z Dagiem Magnem, bo dzięki temu stanowiłem część większej całości, a nie byłem sam. Wsunąłem chorągiewkę pod fałdę jej spódniczki i szarpnąłem do góry.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, przytrzymała spódnicę jedną ręką, wołając „Prześnij!” , ale patrzyła na mnie, a jej oczy się uśmiechały.

Powtórzyłem zabieg z chorągiewką u kilku innych dziewczyn, żeby nie wyglądało podejrzanie, kiedy znów zwróciłem się do tamtej.

– Nie rób tego! – powiedziała tym razem, podbiegając kilka kroków do przodu. – Nie bądź taki dziecinny!

Naprawdę była zła?

Minęło kilka sekund. W końcu się odwróciła i uśmiechnęła. Przelotnie, ale to mi wystarczyło. Nie była zła i wcale nie uważała mnie za dziecinnego.

Ale czy nie mówiła dialektem ze wschodnich regionów kraju?

Nie była stąd? Przyjechała tylko z wizytą?

To znaczy, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

Ale spokojnie. Przecież nikt, kto przyjeżdża z wizytą, nie maszeruje w szkolnym pochodzie!

Nagle przypomniałem sobie o trzymanej w ręku chorągiewce i ją uniosłem. Rok wcześniej tata się irytował, że kiedy ich mijalem, ciągnąłem ją po ziemi.

Dag Magne uśmiechnął się najszerzej, jak potrafił. Błysnął flesz. Jego rodzice stali w pierwszym rzędzie. W ogóle niepodobni do siebie, w eleganckich strojach wyglądali obco.

Znów spojrzałem na tę dziewczynę. Była niewysoka, ubrana w jasnoróżową kurtkę, jasnoniebieską spódniczkę i cienkie białe podkolanówki. Miała jasne włosy, lekko falujące, mały nosek, duże usta, a w brodzie niewielki dołeczek.

Aż rozboleł mnie brzuch.

Kiedy się odwróciła, by nie dopuścić do zadarcia jej spódnicy, zobaczyłem, że ma duże piersi, bo kurtkę miała rozpiętą, a pod spodem cieniutki sweterek.

Panie Boże, spraw, żebym mógł z nią chodzić!

– Hej, Karl Ove! – nagle zawołała skądś mama.

Rozjrzałem się. Stali naprzeciwko hotelu Phoenix. Mama podniosła aparat na wysokość oczu, tata kiwnął mi głową.

Kiedy już maszerowaliśmy z powrotem w stronę centrum, dziewczyna jeszcze raz na mnie zerknęła. Wkrótce potem pochód się rozwiązał i zniknęła mi w tłumie.

Nie wiedziałem nawet, jak jej na imię.

Po pochodzie wszyscy wrócili do domów, przebrano się, zjedzono coś, może obejrzano w telewizji relacje z dziecięcych pochodów w całym kraju, po czym wszyscy znów wsiedli do samochodów i pojechali do Hove. Tam miała się odbyć najważniejsza dla nas część obchodów. Rozstawiono kramy z kiełbaskami, lodami i oranżadą, stoiska, na których można było kupić losy i zagrać w tombolę, organizowano konkursy i zabawy, więc ogromna mnogość dzieciaków z dziesięciokoronowymi banknotami palącymi w kieszeniach, z rękawami wysmarowanymi keczupem, z lodami rozmazanymi na twarzy i z butelką coli ze słomką w ręku biegła to tu, to tam, tu kupić kiełbaskę, tam wziąć udział w wyścigu w workach. My też jeszcze całkiem z tego nie

wyrośliśmy, ale entuzjazm, z jakim wszystko robiliśmy, chyba trochę opadł w porównaniu z poprzednim rokiem. Osobiście przez całe popołudnie wypatrywałem dziewczyny z pochodni i za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiała się różowa kurtka czy niebieska spódniczka, serce niemal zamierało mi w piersi. Ale to nigdy nie była ona, z pewnością tutaj nie przyszła. Chociaż wiedziałem, z której jest szkoły, i chociaż grałem w piłkę z dwoma chłopakami z jej klasy, nie mogłem ich o nią spytać, bo od razu by się domyślili, o co chodzi, i bez najmniejszego wahania by to rozgadali. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później znów ją zobaczę. Wyspa przecież nie była duża.

Tata wrócił do domu dwa tygodnie później, dumny, że udało mu się skończyć studia w ciągu kilku miesięcy. Zbiór znaczków sprzedał, z politycznych funkcji zrezygnował, ogród wyglądał idealnie, pracę nauczyciela gimnazjalnego znał na wylot, aż do znużenia. Postanowił starać się o nową posadę. Gdyby ją dostał, mieliśmy się przeprowadzić w nowe miejsce. Liczył, że przyśly rok będzie ostatnim, jaki przepracuje w zwykłym gimnazjum.

Na początku tego lata kupił sobie motorówkę, Rana Fisk 17, z dwudziestopięciokonnym silnikiem Yamaha. Mama, Yngve i ja czekaliśmy na pływających pomostach, kiedy przepłynął przez cieśninę z Arendal pierwszy raz. Stał za kierownicą ślizgającej się po wodzie łódki i chociaż nie uśmiechał się do nas ani nie machał, kiedy dopływał, zrozumiałem, że jest dumny.

Zwolnił i dziób łodzi opadł na wodę, ale nie na tyle, by tata zdołał skrócić na nasze wyznaczone miejsce, jak zamierzał. Łódź za mocno poszła do przodu i uderzyła w ponton. Wycofał ją, znów wrzucił bieg i tym razem wpłynął gładko. Podał cumę mamie, która nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić.

– Dobrze pływa? – spytałem.

– No pewnie, przecież sam widziałeś.

Wyskoczył na ląd, z czerwonym kanistrem na benzyne w rękę. Przypiął brezent, przez chwilę jeszcze przyglądał się łodzi, w końcu wsiadliśmy do samochodu i odjechaliśmy, tata za kierownicą, mimo że to był samochód mamy.

Kiedy zaczął się rok szkolny, musiałem popołudniami wypływać z nim, żeby zastawić sieci, i wstawać o świcie, żeby je wyciągnąć. Zapuchnięci i zaspani, wpychaliśmy w siebie dwie kromki chleba i po ciemku wychodziliśmy z domu, jechaliśmy na pływające pomosty, pogrążone w ciszy i bezludne, zdejmowaliśmy z łódki zielony brezent, wstawialiśmy czerwony kanister, zwijaliśmy cumy, uruchamialiśmy silnik i powolutku wypływaliśmy tyłem. Siedziałem z przodu za osłoną przeciwwiatrową, skulony z zimna, z rękami wciśniętymi w ciało i dłońmi w kieszeniach, i chociaż ta łódź była szybsza od starej, drewnianej, droga na otwarte morze wciąż zajmowała nam ponad pół godziny. Tata stał za kierownicą i w skupieniu manewrował w wąskim przesmyku między łądem a wysepką Gjerstadholmen, ponieważ latem wpakował się tu na szkieł. Kiedy docieraliśmy do cieśniny, siadał i płynęliśmy dalej, czując, jak fale biją o plastikowy kadłub, zbryzgując wodę. Sieci nastawiał zwykle blisko brzegu, a moje zadanie polegało na łapaniu i wyciąganiu przywiązanych do nich boi. Z trudem sobie z tym radziłem, bo boje były śliskie, a jeśli nie udało mi się przy pierwszej próbie, tata krzyczał, żebym się bardziej starał,

przecież chodziło tylko o to, żeby je wciągnąć na pokład, ale mnie marżyły ręce, bo woda na otwartym morzu była lodowata, a poza tym o tej porze roku zawsze tu wiało. Tata miał rozzczochrane włosy, oczy błyszczały mu z irytacji, kiedy się cofał i znów podpływał do boi, a jeśli i tym razem nie udało mi się jej chwycić, zaczynał wrzeszczeć, ja płakałem, on się jeszcze bardziej wściekał, czasami podchodził, żeby samemu ją wyjąć, każąc mi trzymać kierownicę, steruj na tę cholerną boję, potrafił wtedy ryknąć, na boję, przecież mówię, idioto, czy ty niczego nie potrafisz? Wcale nie tak łatwo sterować, tłumaczyłem, a on na to, że nie mówi się stojąc, tylko sterować. R r r r! S t e r o w a ć! Płakałem przemarznęty, więc tata wychylał się przez burtę i wciągał boję na pokład. Potem kiedy już spokojnie tylko kołysaliśmy się na falach, a na horyzoncie pojawiała się smuga świtu, wyciągał sieci i wściekłość po trochu wyparowywała z jego oczu, potrafił wtedy próbować łagodzić swój wybuch, ale było już za późno, chłód zdążył już utkwic mi w duszy równie głęboko jak w rękach, nienawidziłem go tak jak tylko można nienawidzić ojca, i w drodze powrotnej, z rybami ciągle ciskającymi się w białym wiadrze, nigdy nie padało między nami ani jedno słowo. Kiedy patroszył ryby w pralni, pakowałem szkolny plecak i wyruszałem z domu, by dalej mierzyć się z dniem, który dla moich kolegów z klasy ledwie się zaczął, a dla mnie trwał już od kilku godzin.

Tej samej jesieni nasz zespół wreszcie zaistniał naprawdę. Moja nazwa wygrała, na kurtkach i plecakach pisaliśmy „Zakrzep”, a ćwiczyliśmy w piwnicy nowego domu modlitwy. Załatwił to Dag Magne, jego matka sprzątała u lekarza, który zasiadał także w radzie parafialnej. Dag Magne również jako jedyny naprawdę umiał grać i wykazywał coś, co przypominało talent muzyczny. Grał na gitarze i śpiewał, ja grałem na gitarze, Kent Arne na basie, który kupił mu matka, Dag Lothar na perkusji. Na ogólnoszkolnym zakończeniu semestru przed Bożym Narodzeniem mieliśmy wystąpić w sali gimnastycznej. Yngve nauczył mnie chwytów *Zakochanej w nauczycielu*, wielkiego hitu The Kids, i chociaż przypominało to prawdziwą drogę krzyżową, przynajmniej dla mnie, był to najprostszy utwór, jaki znał Yngve, i prawdopodobnie jedyny na tyle prosty, żebyśmy mogli go zagrać. Wprawdzie zespół w trakcie wykonywania tego utworu całkiem się pogubił, każdy grał w swoim rytmie i Kent Arne w połowie zaczął stroić bas, a większość kolegów wyrażała się o nas później krytycznie, ba, odważyli się na to nawet czwartoklasiści, zresztą słusznie, bo przecież wcale nie umieliśmy grać, to jednak późniejszych emocji, kiedy staliśmy na dziedzińcu szkoły w dziurawych dżinsach, dżinsowych kurtkach, z apaszkami na szyi, nie dało się z niczym porównać. Chodziliśmy do szóstej klasy, wkrótce mieliśmy iść do gimnazjum i graliśmy w z e s p o l e. Zespół niedługo potem się rozpadł, bo ani Dag Lothar, ani Kent Arne nie chcieli więcej grać, co było porażką, ale Dag Magne i ja na razie kontynuowaliśmy działalność jako duet, nagrywaliśmy piosenki u niego, słuchaliśmy muzyki, marzyliśmy o przełomie, na przykład o występie na festiwalu rockowym Saganatta, który latem odbywał się w mieście i na którym debiutowały też nowe zespoły. Poszedłem do starszego od nas o pięć lat Håvarda, który mieszkał tuż koło mostu i grał w jedynej w mieście punkowej kapeli, i spytałem, czy nie pomógłby nam się tam dostać. Nie mógł nic obiecać, ale powiedział, że wspomni kogoś o nas, więc pozostawało czekać.

Wiosną na szkolnej imprezie z udziałem rodziców zagraliśmy dwie piosenki, Dag Magne na gitarze, ja na werblu, najpierw jedną z moim tekstem, *Zdepcz szpanera*, i *Łobuzów Ågego*

Aleksandersena. Zanim zaczęliśmy, wygłosiłem dla rodziców krótki wykład o punku.

– Wśród klasy robotniczej w Anglii w ostatnich latach narodziła się zupełnie nowa forma muzyki – mówiłem. – Może niektórzy z państwa już o niej słyszeli. Nazywa się punk rock. Ci, którzy grają punk, nie są zdolnymi muzykami, tylko buntownikami, wyrażającymi swój protest przeciwko społeczeństwu. Ubierają się w skórzane kurtki i pasy z ćwiekami. Wszędzie mają popinane agrafki. Agrafka to w zasadzie ich symbol.

Rozemocjonowany, patrzyłem na zgromadzone fryzjerki, sekretarki, salowe, pomoce domowe i gospodynie. Miałem dwanaście lat, a one w ciągu ostatnich pięciu lat przed każdym Bożym Narodzeniem i przed wakacjami oglądały mnie na tej scenie, czy to w roli burmistrza w mieście, czy Józefa w Betlejem. A teraz znów tu stałem, tym razem jako orędownik punku, członek grupy Zakrzep.

– Zaprezentujemy kawalek tej nowej formy muzycznej. Zaczniemy od piosenki, którą napisaliśmy sami. *Zdepcz szpanera*.

Dag Magne, który cały czas stał obok mnie z dwunastostrunową gitarą, zaczął grać, a ja dość przypadkowo waliłem w werbel i śpiewałem.

Następny występ mieliśmy na godzinie wychowawczej. Zagraliśmy te same dwie piosenki. Kiedy skończyliśmy, większość klasy piszczała, a nasz wychowawca, rudobrody Finsådal, podszedł do Daga Magnego i powiedział, że naprawdę zaczyna na sobie nieźle radzić na gitarze.

To zabolalo.

W reakcji na to w największej tajemnicy wysłałem list do telewizji – w jednym z programów dzieci mogły występować ze swoimi idolami – i napisałem, że chciałbym zagrać *Lobuzów* razem z Ågem Aleksandersenem.

Długo żyłem tym marzeniem, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi, więc powoli gasła we mnie nadzieja na sławę i stanie się gwiazdą popu z dnia na dzień. Jednocześnie pojawiło się inne marzenie, ponieważ nasz trener, Øyvind, zebrał nas któregoś razu pod koniec treningu i powiedział, że być może zagramy przedmecz poprzedzający spotkanie Startu z Mjøndalen. Dla mnie, który rok wcześniej byłem na finale rundy na stadionie w Kristiansand i widziałem, jak Start wygrywa puchar niemal w ostatniej sekundzie, wbiegałem na boisko wraz z kilkuset innymi kibicami, stałem przed budynkiem szatni, śpiewając, radując się i wielbiąc zawodników, a nawet miałem w rękach koszulkę Sveina Mathiesena, którą co prawda, zaledwie sekundę później wyrwał mi dorosły facet o chciwych oczach, dla mnie, który od kilku lat w co drugą niedzielę chodziłem na wszystkie mecze rozgrywane na własnym boisku Startu i którego stryj Gunnar naprawdę trochę znał Sveina Mathiesena, przynajmniej na tyle, by załatwić Yngvemu jego autograf, tak więc dla mnie zagranie na stadionie w Kristiansand i bycie oglądanym nie tylko przez całą liczną zgromadzoną publiczność, lecz może również przez samych zawodników, miało kolosalne znaczenie. Drużyna, w której grałem, należała do najlepszych w regionie. Deklasowaliśmy większość przeciwników i co roku, odkąd do niej należałem, wygrywaliśmy rundę, a to, że byłem jednym z najgorszych w drużynie, powolnym i bez szczególnie dobrej techniki, cały czas uważałem za przejściowe, sądziłem, że t a k n a p r a w d ę jestem dobry, że t a k n a p r a w d ę umiem wszystko to, co powinienem umieć, równie dobrze jak inni, a objawienie się moich

umiejętności uważałem jedynie za kwestię czasu. Przecież w m y ś l a c h potrafiłem strzelić gola z każdej możliwej i niemożliwej pozycji, tak jak John, i wykiwać każdego na skrzydle, tak jak Hans Christian. Chodziło tylko o to, aby myśli powiązać z czynami, aby zwały się w jedno, i sprawa będzie załatwiona. Równie dobrze mogło to nastąpić w trakcie meczu na stadionie w Kristiansand, jak na treningu w Hove. Czy w ciągu kilku tygodni jesienią nie zacząłem grać l e p i e j? Nagle naprawdę wymijałem z piłką jednego przeciwnika po drugim.

Tak właśnie tak było. Wszystko się działo w głowie. I chociaż na razie jeszcze nie pokazałem nic z tego, co jak miałem nadzieję, potrafię, o dziwo, wciąż zajmowałem miejsce na środku boiska. Wczesną wiosną zagraliśmy pierwszy mecz sparingowy na żwirowym boisku przed nową halą sportową Tromøy koło szkoły Roligheden i kiedy jakiś czas po rozpoczęciu drugiej połowy schodziłem z boiska, ponieważ trener zarządził zmianę, oczy wypełniły mi się łzami. Chociaż szedłem ze spuszczoną głową, trener się zorientował i pobiegł za mną do szatni. Powinienem być zostać, żeby obejrzeć mecz do końca, ale zdjęcie z boiska tak mnie rozczarowało, że nie miałem na to siły, a poza tym oczywiście nie chciałem, by ktoś zobaczył, że płaczę.

– O co chodzi, Karl Ove? – spytał trener.

– O nic.

– O to, że cię zmieniłem? Przecież wiesz, że wszyscy muszą mieć szansę pograć. To nie znaczy, że zostałeś wykluczony z drużyny. Wcale tak nie jest. Tylko dzisiaj. Przecież to mecz sparingowy.

Uśmiechnąłem się przez łzy.

– Nic się nie stało – powiedziałem. – W porządku.

– Na pewno?

– Tak – Czuję, że łzy znów cisną mi się do oczu.

– No to dobrze.

Później pomyślałem sobie, że może mnie nie wyrzucił, bo zrobiło mu się mnie żal albo nie chciał drugi raz przez to przechodzić. Ta myśl nie była zbyt przyjemna, lecz jednocześnie najbardziej liczyło się to, że mimo swoich niedociągnięć wciąż pozostawałem w drużynie.

Trenowaliśmy i rozgrywaliśmy mecze u siebie na boisku Kjenna, położonym poniżej dużego osiedla w Brattekleiv, gdzie mieszkała większość moich kolegów z drużyny.

Właśnie tam znów ją zobaczyłem.

Początek czerwca. Niebo błękitne, bez jednej chmurki. Graliśmy między słupkami ustawionymi na połowie boiska, bo w okolicach bramek i środkowego pola trawa była już zdeptana, a podłoże nierówne, i chociaż słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie sięgały aż na boisko, wciąż było tak gorąco, że pot spływał po czole i karku, kiedy biegaliśmy za piłką. W gałęziach drzew przy obu dłuższych bokach boiska śpiewały ptaki, mewy krzyczały, od czasu do czasu przejechał z hałasem samochód. Skądś z oddali dochodził raz głośniejszy, raz cichszy warkot kosiarki, a od strony baraków, w których mieściły się prowizoryczne szatnie, dobiegały okrzyki i śmiechy, to grupka dzieciaków kąpała się w ciepłej brązowej wodzie jeziora Tjenna, a my, zdyszani i zziębnięci, dalej kopaliśmy piłkę. W tym sezonie byłem w najlepszej drużynie,

grałem z chłopakami o rok starszymi ode mnie, podczas gdy, ze względu na datę urodzenia, w przyszłym roku, tak jak w ubiegłym, miałem grać z o rok młodszymi. Zdecydowanie prowadziliśmy w rozgrywkach, a za miesiąc znów mieliśmy jechać na Norway Cup, nie bez nadziei na zagranie w finale, na Stadionie Ullevaal. Miałem białe szorty Umbro i buty Le Coq Sportif, wciąż pastowałem je po każdym treningu, wciąż zdarzało mi się brać je do ręki i patrząc na nie, czuć pulsującą w ciele ogromną radość.

Tego wieczoru przy krótszym boku boiska cztery dziewczyny zeskokczyły z rowerów. Zostały je tam, a same przeszły na ślągę przy dłuższym boku, usiadły i przyglądały się nam, rozmawiając ze śmiechem. Zdarzało się, że dziewczyny przychodziły na nas popatrzeć, ale jej nigdy wcześniej tu nie widziałem. Bo to była ona. Co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Tym razem była w niebieskich džinsach i białym T-shircie.

Już do końca treningu świadomość obecności tej dziewczyny nie opuściła mnie nawet na chwilę. Kiedy skończyliśmy, porzucialiśmy się i dostaliśmy kilka butelek napoju energetycznego XL-1, razem z Larsem i Hansem Christianem usiadłem na trawie tuż obok ślągę, gdzie ulokowały się dziewczyny. Wykrzyczały w stronę chłopaków kilka obraźliwych uwag, a w odpowiedzi usłyszały śmiech i podobne złośliwości.

– Znacie je? – spytałem najostrożniej, jak umiałem.

– Tak – odparł obojętnie Lars.

– Chodzą do twojej klasy?

– Tak, Kajsa i Sunnva. Te dwie pozostałe są z klasy Hansa Christiana.

Wobec tego miała na imię albo Kajsa, albo Sunnva.

Odchyliłem się i oparłem ręce o trawę. Oczy zmrużyłem przed promieniami pomarańczowego słońca. Przy bocznej linii któryś z chłopaków zanurzył w wiadrze z wodą całą głowę, wyprostował się i otrząsnął. Krople wody na sekundę utworzyły w powietrzu migoczący luk. Chłopak przecesał mokre włosy dłonią jak grabiami.

– Tę jedną już kiedyś widziałem – stwierdziłem. – Tę z prawej strony. Jak jej na imię?

– Kajse?

– No, chyba to ta.

Lars spojrział na mnie. Miał kręcone włosy, piegi i dość beczelną minę, ale oczy ciepłe, zawsze z błyskiem.

– Jesteśmy sąsiadami – wyjaśnił. – Znam ją, odłąd nauczyłem się chodzić. Jesteś zainteresowany?

– Nie-e.

Lars kilka razy puknął mnie palcem w pierś.

– Widzę, że tak – zachichotał. – Mam dokonać prezentacji?

– Prezentacji? – powtórzyłem, czując nagle suchość w ustach.

– A nie tak się to nazywa? Ty, wszy stkowiedzący?

– Pewnie tak Nie. Nie teraz. Albo w ogóle nie. Nie jestem zainteresowany. Tak się tylko zastanawiałem. Wydawało mi się, że już wcześniej gdzieś ją widziałem.

– Kajsja jest ładna – przyznał Lars, a szeptem dodał: – Ma duże cycki.

– Wiem. – Bez zastanowienia odwróciłem się i spojrzałem na nią. Lars podniósł się ze śmiechem. Patrzyła na mnie.

Patrzyła na mnie!

Ja też wstałem i ruszyłem za Larsem w stronę szatni.

– Dasz się napić? – spytałem.

Rzucił mi butelkę XL-1. Odchyliłem głowę i przez wąską szyjkę wlałem sobie zielonkawy płyn prosto do gardła.

– Idziesz się wykąpać w jeziorze? – spytał.

– Nie, muszę wracać do domu.

– Może Kajsja też przyjdzie.

– Aha.

Spojrzał na mnie, ale pokręciłem głową przecząco. Uśmiechnął się. Za nami już nadchodzili inni. W szatni zmieniłem tylko koszulkę i buty, włożyłem kurtkę od dresu, postawiłem torbę na bagażniku roweru i pojechałem do domu starą żwirową drogą przez las; w miejscach, do których słońce nie docierało już od dłuższego czasu, powietrze nagle okazało się chłodniejsze, więc ustawiłem się zamknięte, bo w tych szarych, chłodnych kieszeniach krążyły roje owadów. Słońce oświetlało sąsiednie wzgórza, kompletnie łyse po ubiegłorocznym pożarze, potem zniknęło całkiem, gdy droga zaczęła piąć się w górę, a po obu jej stronach pojawił się gęsty mur wielkich świerków. Rower ciągle miałem ten sam, mój pierwszy składak DBS, z siodełkiem i kierownicą podniesionymi do maksimum, przez co wyglądał jak mutant, pierwsze niezdarne posunięcie, mające przekształcić rower w coś, co nie będzie już rowerem. Jechałem szybko, starając się ominąć wszystkie dziury i wyboje, momentami ślizgając się na tylnym kole, i głośno śpiewałem:

Spiesz się!

Dodiddilidodo

Spiesz się!

Dodiddilidodo

Spiesz się!

Dodiddilidodo

You come all flattarp he come

Groovin' ut slowly he got

Ju ju eyeball he won

Holy roller he got

Here down to his knees

Got to be a joker, he just do what he pleases

Spiesz się!
Dodiddilidodo
Spiesz się!
Dodiddilidodo
Spiesz się!
Dodiddilidodo

To było *Come Together*, pierwsza piosenka z płyty *Abbey Road*, która w moich uszach właśnie tak brzmiała, toaczy wiedziałem, że śpiewają niezupełnie to samo, ale jakie to miało znaczenie, kiedy zjeżdżałem z góry przez las i do szpiku kości przenikała mnie radość? Na dole przy skrzyżowaniu z szosą zahamowałem, żeby przepuścić jakiś samochód, a potem znów przyspieszyłem ile sił, podjeżdżając szutrówką pod górę po drugiej stronie. Przełknąłem jedną czy dwie meszki, bez powodzenia próbowałem je wykasłać, przeciąłem drogę na szczycie wzgórza Speedmannsbakken i ścieżką rowerową zjechałem na Finę, gdzie inaczej niż zimą cała banda siedziała przy stolikach wystawionych na zewnątrz. Rowery i motorowery stały obok. Już się nie bałem tam chodzić, bo najgorszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać, był jakiś złośliwy komentarz, ale wciąż nie lubiłem tego miejsca, więc minąłem je drugą stroną drogi. Akurat tego dnia kręciły się tam trzy osoby z mojej klasy, oprócz Johna zauważyłem Tora i Unni, a także Mariannę z równoległej, tę, z którą dawniej chodziłem. Nikt się mną nie zainteresował, jeśli w ogóle mnie widzieli.

Rowerem najszybciej wracało się do domu szosą, ale mimo wszystko zeskoczyłem z siodła przy zbozcu, przez które biegła ścieżka, i prowadząc rower, ruszyłem pod górę. Gdy tylko drzewa zamknęły widok na szosę, okolica stała się bardziej wiejska, a ja tę zmianę lubiłem na tyle, by opóźnić powrót o kilka minut. Dalej rósł już tylko las, nie było widać żadnego domu ani żadnej drogi, wszędzie tylko drzewa, wysokie, rozłożyste drzewa pełne zielonych liści, w których śpiewały ptaki. Na ścieżce spod ubitej ziemi tu i ówdzie wystawała skała, w wielu miejscach położyły się wielkie korzenie przypominające prehistoryczne zwierzęta. Wzdłuż strumienia rosła gęsta, bujna trawa, a w płataninie zarośli leżały wywrócone drzewa o gładkich pniach, między ich suchymi, martwymi gałęziami wyrastały inne rośliny. Te drzewa leżały tak, odkąd pamiętałem. Za nimi było wzgórze pełne pniaków, między którymi z ziemi porośniętej wysoką trawą niedawno wystrzeliły młode drzewka. Na pierwszych stu metrach ścieżki mogło się wydawać, że las jest przepastny, nieskończenie głęboki i pełen tajemnic. Łatwo się zapominało, że jesienią i zimą dało się między gałęziami dostrzec długie skaliste zbocze, opadające od drogi wokół osiedla, a także pomarańczowy dach jednego z domów. Problemem nie jest to, że świat wyznacza granice wyobraźni, lecz to, że wyobraźnia wyznacza granice świata. Ale tym razem nie przyszedłem się tu bawić, tylko znaleźć się w otoczeniu, które lubiłem, i dalej hołubić w sobie to poczucie wolności wywołane przez spojrzenie Kajsy.

Kajsa, miała na imię Kajsa!

Prowadząc podskakujący na nierównościach rower, wspinałem się na kolejne pagórki.

Pokonałem łagodnie nachylone zbocze, a kiedy dotarłem do drogi poniżej domu parafialnego, znów wsiałem na rower. Przed domem Ketila pełno dzieciaków grało w piłkę, jego ojciec siedział na krzeselku turystycznym na tarasie, w szortach, z brzuchem wylewającym się z rozpiętej koszuli z krótkim rękawem. Ze stojącego kawałek dalej grilla unosił się dym.

Ach, ten zapach!

Po drugiej stronie Tom mył swój samochód. Był w dużych okularach pilotkach, w dżinsowych szortach z wystrzępionymi nogawkami, od pasa w górę nagi. Przez otwarte drzwiczki, z którymi samochód wyglądał jak mały, niezgrabny samolot, dochodziły dźwięki muzyki. To był Dr Hook. Dojechałem na szczyt wzgórza, w oddali zobaczyłem niebieską cieśninę prześwitującą zza zielonych drzew i białe zbiorniki z gazem po drugiej stronie. Wiatr wycisnął mi łzy z oczu, kiedy zjeżdżałem w dół. Przed naszym domem inna grupa dzieciaków grała w piłkę. Młodszy brat Marianne, młodszy brat Geira Håkona, młodszy brat Bente i młodszy brat Jana Atlego. Przywitani się ze mną, nie odpowiedziałem, tylko zeskokczyłem z roweru i zaprowadziłem go na podjazd, gdzie stały dwa samochody. Duży citroën Anne Mai i 2CV Dagny. Zupełnie zapomniałem, że miały przyjść z wizytą, i lekko zdrząłem z radości na widok tych aut.

Kiedy wszedłem na górę, siedziały w salonie razem z mamą. Piekała ciasto, została go mniej więcej jedna trzecia, zaparzyła też kawę. Rozmawiały w chmurze dymu. Przywitałem się, spytały, co u mnie, powiedziałem, że w porządku, że byłem na treningu, spytały, czy zaczęły się już wakacje, powiedziałem, że tak i że się z tego bardzo cieszę. Anne Mai wyjęła torebkę M, orzeszków ziemnych w czekoladzie.

– Może jesteś już na to za duży?

– Na M? Chyba nigdy nie będę na to za duży. – Wziąłem je i odwróciłem się, żeby wyjść do kuchni, a wtedy Anne Mai spytała:

– Na miłość boską, co za napis masz na plecach? Trauma? – Roześmiała się.

– Tak się nazywa jego klub sportowy – wyjaśniła mama.

– Trauma! – powtórzyła Dagny.

Teraz śmiały się już wszystkie trzy.

– A co w tym dziwnego? – spytałem.

– Wiesz, my z tym pracujemy. Kiedy dzieje się coś strasznego, człowiek przeżywa traumę. Dlatego ten napis wydał nam się taki komiczny.

– Aha. Ale to znaczy zupełnie coś innego. To od Thruma, dawnej nazwy Tromøi. Jeszcze z czasów wikingów.

Ciągle się śmiały, kiedy szedłem do swojego pokoju. Włączyłem kasetę The Specials i położyłem się, żeby poczytać. Ostatnie promienie słońca świeciły na ścianę po drugiej stronie łóżka, a odgłosy osiedla powoli zamierały.

W następnych tygodniach nie przestawałem myśleć o Kajsie. W mojej głowie przeplatały się dwa obrazy. Na jednym odwracała się do mnie, jasnowłosa i niebieskoooka, ubrana tak jak siedemnastego maja, na różowo i jasnoniebiesko. Na drugim leżała przede mną naga na łące. Wyobrażałem to sobie prawie co wieczór przed zaśnięciem. Na myśl o dużych białych piersiach

z różowymi brodawkami czułem wręcz ból. Wierciłem się w łóżku, snując mgliste, ale bardzo intensywne fantazje o tym, co z nią robię. Ten pierwszy obraz budził we mnie zupełnie inne odczucia i pojawiał się w zupełnie innych okolicznościach: w samym środku skoku ze skały, kiedy unosiłem się w powietrzu, osłepiony promieniami słońca, na moment stawała mi przed oczami, a wtedy wybuchła we mnie radość, jednocześnie stopy rozczynały taflę wody i ciało zanurzało się w zielononiebieskiej toni, hamującej po kilku metrach opadanie na dno; wynurzałem się na powierzchnię powolnymi ruchami, otoczony pęcherzykami powietrza, ze smakiem soli na wargach, z przenikającym mnie uczuciem szczęścia. Albo przy obiedzie, na przykład gdy ściągałem skórę z dorsza albo kiedy żułem paszтет z podrobów, który miał tak nieprzyjemną konsystencję i najpierw rósł w ustach, zajmując dużo miejsca, ale gdy się go żuło, zęby przebijały się przez masę, stawiającą opór dopiero pod koniec, bo się do nich lepiła, i właśnie wtedy nagle pojawiał się obraz Kajsy i jaśniał tak, że wszystko inne, co mnie otaczało, spychał jąłby w cień. Ale w rzeczy wistoci jej nie widziałem. W linii powietrznej te dwa osiedla musiało dzielić zaledwie kilka kilometrów, ale dystans towarzyski był większy i nie dało się go pokonać ani rowerem, ani autobusem. Kajsa była marzeniem, obrazem w myślach, gwiazdą na niebie.

A potem coś się wydarzyło.

Graliśmy mecz na boisku Kjenna, sezon wiosenny właściwie się już skończył, ale kiedyś odwołano jeden mecz i przełożono go na później, dlatego biegaliśmy po trawie w upale, obserwowało nas jak zwykle dziesięć czy piętnaście osób, gdy nagle kątem oka dostrzegłem jeszcze trzy idące wzdłuż bocznej linii i od razu wiedziałem, że jest wśród nich ona. Do końca meczu tyle samo uwagi poświęcałem publiczności na skale co piłce.

Po zakończonej grze podeszła do mnie jakaś dziewczyna.

– Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

– Jasne.

Błysnęła mi nadzieja tak dzika, że aż musiałem się uśmiechnąć.

– Wiesz, która to Kajsa? – spytała.

Zaczerwieniłem się i spuściłem wzrok.

– Tak, wiem.

– Mam cię o coś spytać w jej imieniu.

– Słucham?

Oblało mnie gorąco, jakby pierś napełniła się krwią.

– Kajsa pyta, czy chcesz z nią chodzić. Chcesz?

– Chcę.

– Dobrze, to jej powtórzę.

Już się odwróciła, żeby odejść.

– Gdzie ona jest? – spytałem.

Dziewczyna na się zatrzymała.

– Czeka koło szatni. Zobaczmy się z tobą później?

– Tak, możemy.

Kiedy się oddaliła, na krótką chwilę spuściłem wzrok.

Dzięki ci, Boże, powiedziałem w duchu. Bo stało się. Chodziłem z Kajszą!

Naprawdę?

Naprawdę chodziłem z Kajszą?

Z K a j s ą?

Oszołomiony, ruszyłem wzdłuż boiska. Nagle uświadomiłem sobie, że mam też duży problem. Ona tam na mnie czeka. Będę musiał do niej zagadać. Będziemy musieli coś razem robić. Ale co?

Po drodze do szatni mogłem udać, że jej nie widzę, lub tylko się do niej uśmiechnąć, no bo przecież wchodziłem, żeby się przebrać. Ale po wyjściu...

Był ciepły wieczór, powietrze pachniało trawą, śpiewały ptaki, wygraliśmy, z szatni dobiegały wesołe, rozentuzjasmowane głosy. Kajsa stała na drodze tuż obok, razem z dwiema innymi dziewczynami. Trzymała rower. Spojrzała na mnie, gdy popatrzyłem w jej stronę. Uśmiechnęła się.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć.

– Muszę się przebrać. Zaraz wyjdę.

Kiwnęła głową.

W przypominającej barak szatni przebierałem się najwolniej jak mogłem, jednocześnie gorączkowo próbując znaleźć jakieś honorowe wyjście z tej sytuacji. Wybranie się z nią gdzieś bez żadnego przygotowania nie mogło się udać, musiałem więc mieć jakąś przekonującą wymówkę.

Starałem się coś wymyślić, rozpinając ochraniacz na łydkę, na spodzie aż śliski od potu. Lekcje? Nie, pokazałbym się w złym świetle.

Schowałem ochraniacz do torby, zdjąłem drugi, przez okienko popatrzyłem na jezioro. Odwinąłem bandaż ze stopy i go zrolowałem. Pierwsi już wyszli. Jon krzyknął do Josteina, który uderzył go w policzek rękawicami bramkarskimi: „Przeستاń, durniu! Zwariowałeś, czy co?!”. Miałem ochotę im obwieścić, że chodzę z Kajszą, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Wstałem i włożyłem swoje jasne dżinsy.

– Ale szpanerskie spodnie – stwierdził Jostein.

– Sam masz szpanerskie.

– Te? – Spojrzał na swoje spodnie w czarno-czerwone pasy.

– Tak

– To punkowe, idioto.

– Wcale nie. Kupione w Intermezzo, a to z całą pewnością szpanerski sklep.

– Pasek też jest szpanerski?

– Nie, punkowy.

– No widzisz. W każdym razie twoje spodnie są cholernie szpanerskie.

– Nie jestem żadnym pieprzonym szpanerem – zaprotestowałem.

– Ale jesteś femi – skomentował John.

Femi? Co to miało znaczyć?

– Cha, cha, cha – roześmiał się Jostein. – No dalej, femi!

– A ty jesteś ukochanym synkiem tatusia.

– Co ja na to poradzę, że tata dobrze zarabia?

– Nic. – Podciągnąłem suwak niebiesko-białej bluzy Pумы. – Trzymajcie się!

– Ty się trzymaj.

Wyszedłem, nie zdążywszy nic sobie przygotować.

– Cześć – powiedziałem, zatrzymując się przed dziewczynami, ręce trzymałem na kierownicy roweru.

– Świetnie graliście – odezwała się Kajsa.

Była w białym T-shircie, piersi mocno się pod nim zaznaczały. Levisy 501 z czerwonym plastikowym paskiem. Białe skarpetki. Białe tenisówki Nike z jasnoniebieskim logo.

Przełknąłem ślinę.

– Tak uważasz? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Wybierzesz się gdzieś z nami? – zaproponowała.

– Prawdę mówiąc, akurat dzisiaj mam cholernie mało czasu.

– Naprawdę?

– Tak. Właściwie muszę już spadać.

– Szkoda. – Spojrzała mi w oczy. – A co będziesz robił?

– Obiecałem, że pomogę ojcu. Stawia jakiś murek. Ale może spotkamy się jutro?

– Chętnie.

– A gdzie?

– Mogę do ciebie przyjść po szkole.

– Wiesz, gdzie mieszkam?

– Na Tybakken, nie?

– Tak.

Przełożyłem nogę przez ramę roweru.

– No to na razie – powiedziałem.

– Na razie. Do jutra!

Ruszyłem pozornie bez wysiłku i dopiero gdy nie mogły mnie już widzieć, stanąłem na pedałach, nachyliłem się i zacząłem gnać jakszalony. To było absolutnie fantastyczne i absolutnie przerażające. Powiedziała, że przyjdzie do mnie. Wiedziała, gdzie mieszkam. I chciała ze mną chodzić. Nie tylko. Już ze sobą chodziliśmy. Chodziłem z Kajsą! Wszytko, czego pragnąłem, było

w zasięgu ręki. A jednak nie. Bo o czym będę z nią rozmawiał? Co będziemy robić?

Kiedy pół godziny później skręciłem na podjazd przy domu, mama siedziała na tarasie i czytała gazetę. Obok na stoliku turystycznym stała filiżanka z kawą. Usiadłem koło niej.

– Gdzie tata? – spytałem.

– Pojechał na ryby. Jak mecz?

– W porządku, wygraliśmy.

Na chwilę zapadła cisza.

– Coś się stało? – Mama mi się przyjrzała.

– Nie.

– Chciałbyś o coś zapytać?

– Nie, właściwie nie.

Uśmiechnęła się i wróciła do gazety. U państwa Prestbakmo grało radio. Spojrzałem w tamtą stronę. Martha siedziała dokładnie tak jak mama, na krzeselku turystycznym, z rozłożoną gazetą. Dalej, przy kamiennym ogrodzeniu od strony lasu, pan Prestbakmo z motylką w rękę pochylał się nad grządką w warzywniku. Jakiś ruch na ścieżce kazał mi obrócić głowę w tamtą stronę. To szedł Freddie, od razu się zorientowałem, albinos, jego śnieżnobiałych włosów nie dało się pomylić z żadnymi innymi. Chodził do czwartej klasy i trochę się garbił.

Znów spojrzałem na mamę.

– Wiesz, co właściwie znaczy „femi”?

Opuściła gazetę.

– Femi? – powtórzyła.

– Tak

– Nie bardzo wiem, to pewnie od słowa „femina”, czyli kobieta. A dlaczego o to pytasz? Ktoś cię tak przezwiał?

– Nie, nie. Tylko usłyszałem dzisiaj po meczu. Mówili tak o kimś innym, a nigdy wcześniej się z czymś takim nie zetknąłem.

Popatrzyła na mnie. Widziałem, że ma coś na końcu języka, więc wstałem.

– No, muszę odnieść torbę – powiedziałem.

Po kolacji poszedłem do Yngvego i podzieliłem się z nim nowiną.

– Zacząłem dzisiaj chodzić z Kajsą – oznajmiłem.

Z uśmiechem podniósł głowę znad rozłożonych na biurku podręczników.

– Z Kajsą? Nigdy o niej nie słyszałem. Co to za jedna?

– Chodzi do szkoły Roligheden, do szóstej klasy. Naprawdę ładna.

– Nie wątpię. Gratuluję.

– Dzięki. Ale jest jedna rzecz... Chyba potrzebuję rady.

– Jakiej?

– Nie wiem... No, ja jej w ogóle nie znam. Nie wiem... co mamy robić? Ona tu jutro przyjdzie. Nie wiem nawet, co mówić!

– Będzie dobrze – powiedział Yngve. – Po prostu o tym nie myśl, a wszystko będzie dobrze. Zawsze możecie się obściskować.

– Ale śmieszne.

– Naprawdę będzie dobrze, Karl Ove. Uspokój się.

– Tak myślisz?

– Jasne.

– No to okęj. A co robisz?

– Odrabiam lekcje. Chemię. Potem geografię.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy pójdę do liceum.

– Dużo nauki – stwierdził Yngve.

– Wiem. Ale mimo wszystko.

Yngve wrócił do książek, więc poszedłem do siebie. Właśnie kończył pierwszą klasę liceum i z tego co wiedziałem, chciał iść do klasy o profilu społecznym, ale tata uważał, że powinien wybrać biologiczną, no i tak się stało. Trochę dziwne, przecież sam tata studiował norweski i angielski.

Nastawiłem płytę *McCartney II* i położyłem się, żeby się zastanowić, co mogę mówić i robić następnego dnia. Momentami przenikał mnie dreszcz. Naprawdę z nią chodziłem! Może ona teraz też leży w swoim pokoju i myśli o mnie? Może już się położyła, może leży w łóżku w samych majtkach? Obróciłem się na brzuch i pocierając podbrzuszem o materac, śpiewałem *Temporary Secretary* i myślałem o wszystkim, co mnie częła.

Przyszła godzinę po naszym obiedzie. Przez cały czas chodziłem od okna do okna z widokiem na drogę i byłem tak przygotowany, jak tylko mogłem być. Mimo to kiedy zobaczyłem, jak podjeżdża rowerem pod górkę, przeżyłem szok. Przez kilka sekund nie mogłem złapać tchu. Kent Arne, Geir Håkon, Leif Tore i Øyvind stali tam przy swoich rowerach i kiedy równocześnie zwrócili głowy w jej stronę, poczułem się dumny jak nigdy dotąd. Ładniejszej dziewczyny nikt nie widział na Tybakken. A przyjechała do mnie!

Włożyłem buty i kurtkę, wyszedłem.

Zatrzymała się przy chłopakach, stała i gadała. Wziąłem rower i prowadząc go, podszedłem do nich.

– Ona się pyta, gdzie mieszkasz, Karl Ove – powiedział Geir Håkon.

– Tak? – Popatrzyłem na Kaję. – Cześć. Trafiłaś?

– Tak, bez problemu. Nie bardzo wiedziałam, który to dom, ale...

– Jedziemy?

– Możemy.

Wsiadłem na rower, ona też.

– Cześć – rzuciłem tamtym czterem. Potem odwróciłem się do niej. – Możemy pojechać tam, pod górę.

– Dobra.

Wiedziałem, że za nami patrzą i strasznie mi zazdroszczą. Zastanawiają się: Jak mu to, u diabła, wyszło? Gdzie on ją poznał? I jak, na miłość boską, udało mu się zacząć z nią chodzić?

Podjechalśmy kawałek i Kajsa zsiadła z roweru. Ja też. W lesie powiał wiatr. Liście zaszeleściły, potem zapadła cisza. Słysząc było tylko opony szurające po asfalcie. Szelest ocierających się o siebie nogawek spodni. Odgłos jej korkowych sandałów na drodze.

Odczekałem chwilę, żeby się ze mną zrównała.

– Fajną masz kurtkę – powiedziałem. – Gdzie kupiłaś?

– Dzięki. W Bajazzo w Kristiansand.

– Aha.

Doszliśmy do skrzyżowania z Elgstien, jej piersi się kołysały, cały czas przyciągając mój wzrok. Wyczuła to?

– Możemy podjechać do sklepu, zobaczyć, czy tam ktoś jest – zaproponowałem.

Już żałowała?

Czy miałem ją teraz pocałować? Czy tak powinno być?

Dotarliśmy na szczyt wzgórza. Położyłem nogę nad siodełkiem, zacząłem, aż ona postawiła stopy na pedałach, i dopiero ruszyłem. Znów powiało. Jechałem, trzymając kierownicę jedną ręką, w połowie odwrócony do niej.

– Znasz Larsa? – spytałem.

– Larsa? Tak, jesteśmy sąsiadami. I chodzimy do jednej klasy. A ty go znasz? No tak, oczywiście, przecież gracie w tej samej drużynie.

– No właśnie. Oglądałaś wczoraj cały mecz?

– Tak, świetnie wam idzie.

Nic na to nie powiedziałem. Położyłem na kierownicy drugą rękę i zjechałem z niedużego pagórka pod sklep. Był zamknięty, a koło niego nikt się nie kęcił.

– Nikogo nie ma – stwierdziłem. – Może pojedziemy do ciebie?

– Dobrze.

Postanowiłem, że ją pocałuję, gdy tylko nadarzy się okazja. A przynajmniej wezmę ją za rękę. Coś się musi wydarzyć, skoro ze sobą chodzimy.

Kajsa jest moją dziewczyną!

Ale żadna taka okazja się nie nadarzyła. Pojechalśmy starą zwirową drogą przez las w stronę boiska Kjenna, gdzie też było pusto, i dalej przez wzgórza do jej domu. Zatrzymaliśmy się przed nim. Po drodze niewiele się do siebie odzywaliśmy, ale nie milczeliśmy zupełnie, czyli katastrofy nie było.

– W domu są rodzice – powiedziała. – Więc cię nie zaproszę.

Czy to znaczyło, że kiedyś, gdy ich nie będzie, zaprosi mnie?

– Jasne. Ale zaczyna się robić późno. Chyba muszę wracać do domu.

– No tak, to dość daleko.

– Zobaczmy się jutro? – spytałem.

– Jutro nie mogę. Jedziemy na wycieczkę łodzią.

– No a w czwartek?

– Dobrze. Przyjedziesz tu?

– Tak, mogę.

Przez cały czas odgradzały nas od siebie rowery. Nie było żadnej możliwości, żeby się nachylić i ją pocałować. Może zresztą nie chciałyby tak tuż przed domem?

Wsiadłem na rower.

– No to spadam – oświadczyłem. – Na razie.

– Na razie.

Odjechałem stamtąd najszybciej, jak umiałem.

Nie, nie poszło najgorzej. Nie posunąłem się dalej, ale też i niczego nie popsułem. Wiedziałem, że dużo dłużej tak nie pociągnę, nie mogliśmy tylko gadać, bo wtedy wszystko szybko by umarło. Musiałem ją jak najszybciej pocałować, musieliśmy chodzić ze sobą na poważnie. Ale jak to zrobić? Całowałem się już z Mariann, lecz na niej nie bardzo mi zależało, więc to nie był żaden problem, po prostu ją obejmowałem, przyciskałem do siebie i całowałem. Kiedy szliśmy obok siebie, brałem ją za rękę. Z Kajsą jednak nie mogłem tak zrobić, nie mogłem ot, tak po prostu jej objąć, bez uprzedzenia, no bo jeśli tego nie chciała? A gdyby coś mi nie wyszło? To musiało się jednak stać, i to już następnym razem, tyle wiedziałem na pewno. W dodatku w odpowiednim miejscu, żeby nikt nas nie widział.

Całe szczęście, że wypadła jej ta wycieczka łodzią. Dzięki temu miałem na planowanie całe dwa dni.

Tuż przed zaśnięciem uprzytomniłem sobie, że w czwartek mam trening. To oznaczało, że muszę zadzwonić i jej o tym powiedzieć. Bałem się tego cały następny dzień. Telefon stał w przedpokoj, a stamtąd wszyscy mogli usłyszeć, co mówię, chyba że zamknęłyby przesuwane drzwi, ale to z całą pewnością wzbudziłyby ciekawość, więc pozostawało jedynie zadzwonić z budki. Była jedna przy przystanku koło stacji Fina, pojechałem więc tam na rowerze, ale najpóźniej jak mogłem, to znaczy trochę po ósmej. Jeśli nie działa się nic szczególnego, musiałem być w domu o wpół do dziewiątej, bo w powszednie dni miałem leżeć w łóżku już o wpół do dziesiątej. Ta zasada pozostawała niezmienna, chociaż wszyscy moi koledzy mogli się kłaść o wiele później.

Zostawiłem rower przed budką i w książce telefonicznej znalazłem numer Kajsy. Kolejny raz powtarzałem w myślach, co powiem.

Szybko wykręciłem cały numer oprócz ostatniej cyfry. Odczekałem kilka sekund, starając się zapanować nad oddechem. W końcu wykręciłem ostatnią.

– Słucham, tu dom Pedersenów – odezwał się kłobiecy głos.

– Czy mogę rozmawiać z Kajsą? – spytałem prędko.

– A kto mówi?

– Karl Ove.

– Chwileczkę.

Przerwa. Usłyszałem oddalające się kroki, głosy. Ze wzgórza zjechał autobus i wolno zbliżył się do przystanku. Mocniej przy cisnąłem słuchawkę do ucha.

– Halo? – odezwała się Kajsa.

– To ty, Kajso? – spytałem.

– Tak

– Mówi Karl Ove.

– Przecież słyszę.

– Cześć.

– Cześć.

– Mam jutro trening, więc nie będę mógł do ciebie przyjść, jak się umawialiśmy.

– No to ja przyjdę. Na Kjenna, tak?

– Tak

Przerwa.

– Fajnie było? – spytałem.

– Gdzie?

– Na łodzi. Czy było fajnie?

– Tak

Milczenie.

– No to do zobaczenia jutro – powiedziałem.

– Tak, trzymaj się.

– Na razie.

Odłożyłem słuchawkę i napotkałem wzrok starego, pewnie czterdziestoletniego nauczyciela, który pracował razem z tatą, siedział w autobusie i odwrócił głowę, gdy zobaczył, że na niego patrzę. Otworzyłem zakurzone drzwi i wyszedłem z budki. Powietrze było ciepłe, przesycone spalinami autobusu. Przed Finą siedziała rodzina z dwojgiem dzieci i jadła lody. Kiedy przejeżdżałem obok domu Johna, akurat wyszedł. W ręku trzymał kask Goły od pasa w górę, na stopach drewniaki.

– Cześć, Karl Ove! – zawołał.

– Cześć! – odkrzyknąłem.

Włożył kask, czarny, z czarną przyłbicą, i usiadł z tyłu na motocyklu. Kierowca uruchomił maszynę dwoma mocnymi kopnięciami. Chwilę później już pędzili pod górę za mną. Kiedy mnie mijali, John pomachał mi ręką. Czoło miałem mokre od potu. Przeczesałem dłonią włosy. Rękę też miałem spoconą. Ale włosy wyglądały dobrze. Umyłem je poprzedniego wieczoru, żeby prezentowały się idealnie na jutro, na spotkanie z Kajsą. Zatrzymałem się na przystanku na szczycie wzgórza, przed B-Maxem. Oparłem się stopą o krawężnik.

Już wiedziałem, jak to zrobić.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej stałem tu z całą bandą, skupioną wokół Tora. Sam poskładał

sobie rower, zamontował siodełko od motocykla i nowe, ogromne koło zębate z przodu. Robił sztuczki na tym rowerze, jeździł na jednym kole, do tyłu i do przodu, cały czas spluwając na asfalt. Była tam też wtedy Merethe, z którą chodził. Ja się tylko do nich przyczepiłem, razem z Dagiem Magnem po prostu się na nich napatoczyliśmy i już tam zostaliśmy. Tor podjechał do Merethe i ją pocałował. Potem z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął zegarek na łańcuszku, spojrzął na niego i spytał: „Zobaczymy, jak długo damy radę się całować?”. Widać było, jak ich języki pracują w ustach. Merethe miała oczy zamknięte, obejmowała go, on stał z rękami w kieszeniach, a oczy miał otwarte. Wszyscy na nich patrzyli. Po dziesięciu minutach podniósł zegarek i odsunął się od Merethe. Usta wytarł grzbietem dłoni.

– Dziesięć minut – oznajmił.

Uznałem teraz, że to świetny sposób. Ja też wyjmę zegarek i spytam, czy nie sprawdzimy, jak długo możemy się całować. No i potem pozostanie tylko to wykonać.

Odepchnąłem się stopą i pojechałem w stronę Holtet. Należało jeszcze znaleźć odpowiednie miejsce. W lesie, to oczywiste, ale gdzie? Gdzieś koło niej? Nie, nie znałem tych okolic. To powinno być raczej tu, w pobliżu.

Może nie tuż koło nas. Przecież mieliśmy się spotkać na boisku.

Ależ oczywiście, tak, w lesie przy ścieżce biegnącej do góry od Finy. Pod tamty mi liściastymi drzewami. Tam będzie idealnie. Nikt nas tam nie zobaczy. Leśne podszycie jest tam takie miękkie. I światło tak ładnie prześwituje przez korony drzew.

Następnego dnia po południu, żeby nie stawić się na treningu jako pierwszy, prowadziłem rower za każdym razem, kiedy musiałem podjechać pod górę, ale i tak niewiele mi z tego przyszło. Kiedy wreszcie zobaczyłem przed sobą boisko, okazało się zupełnie puste, ustawiono na nim szumiące i pluskające zraszacze, z których każdy rozpryskiwał wodę w swoim rytmie. Christian i Hans Christian siedzieli na barierce przy wejściu i mrużąc oczy od słońca, wpatrywali się we mnie.

– Nikt nie ma piłki? – spytałem.

Pokręcili głowami.

– To prawda, że chodzisz z Kajsą? – chciał wiedzieć Christian.

– Tak – Przygryzłem wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

– Fajna jest – stwierdził.

Christian nigdy nie chodził z żadną dziewczyną, nie był w tym typie. Ale poprzedniego lata na Norway Cup zaraz po przyjeździe kupił w kiosku przed szkołą pornosa. Nieszczęśliwie dla niego się złożyło, że jego ojciec, który trenował chłopców z grupy liliputów, nakrył go leżącego w śpiworze i wpatrującego się w te hipnotyzujące zdjęcia. Christian na oczach całej drużyny musiał wyrzucić pismo do śmieci i przeproszać ojca.

– Taak – przyznałem.

Wkrótce potem przyszedł Øyvind z piłkami i kluczami. Przebiegliśmy między zraszaczami do dalszej bramki i zaczęliśmy strzelać, a Øyvind w tym czasie zakręcił wodę i zniósł zraszacze z boiska. Kiedy wszyscy już się zebrali, zrobiliśmy kilka rundek dookoła, porozciągaliśmy się

i porobiliśmy ćwiczenia rozgrzewające, a potem zagraliśmy siedmiu na siedmiu na jednej połowie. Kajsa zjawiała się dopiero pod koniec, z tymi samymi trzema dziewczynami, z którymi była już wcześniej. Pomachała mi. Odmachałem.

– Skup się, Karl Ove! – zawołał Øyvind. – Najpierw trening, potem dziewczyny!

Po treningu zanurzyłem głowę w wiadrze przy bocznej linii i próbowałem udawać, że nic się nie dzieje. Ale to nie było łatwe, świadomość, że ona tam siedzi, i to nie sama, tylko z koleżankami, cały czas wwiercała mi się w mózg.

W końcu zesza.

– Idziesz się przebrać? – spytała.

Kiwnąłem głową.

– Pójdę z tobą. Mam ci później coś do powiedzenia.

Do powiedzenia? Czyżby już chciała zerwać?

Ruszyłem w stronę szatni, Kajsa wyciągnęła rękę. Ledwie musnęła moją dłoń. Przez pomyłkę? Czy może też miałem jej dotknąć?

Popatrzyłem na nią.

Uśmiechnęła się.

Szybkim ruchem chwyciłem jej dłoń.

Z tyłu ktoś gwizdnął.

Odwrociłem głowę. Lars i John. Przewracali oczami. Uśmiechnąłem się, a Kajsa leciutko uścisnęła moją rękę.

Jeszcze nigdy droga przez boisko nie wydawała mi się tak długa jak tego wieczoru. Trzymanie Kajsy za rękę było prawie nie do zniesienia, cały czas miałem ochotę się wyrwać, żeby uciąć to nieznośne szczęście.

– Pospiesz się! – powiedziała, kiedy doszliśmy do szatni.

– Dobrze.

W szatni na ławce oparłem głowę o ścianę, serce mi waliło. Wreszcie wziąłem się w garść, błyskawicznie się ubrałem i wyszedłem. Dziewczyny stały z rowerami na drodze zaraz za boiskiem. Skierowałem się do nich i zatrzymałem przy Kajsie. Wyglądała na zadowoloną. Drobną rączką odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Paznokcie miała polakierowane prawie przezroczyстым różowym lakierem. Jej koleżanki jakna sygnał wsiały na rowery i odjechały.

– W sobotę będę sama w domu – zaczęła. – Powiedziałam mamie, że przyjdzie Sunnva, więc mama upiecze pizzę i kupi colę. Ale Sunnva nie przyjdzie. Masz ochotę mnie odwiedzić?

Przełknąłem ślinę.

– Tak – odparłem.

Kilku innych chłopców z drużyny pokrzykiwało na nas od strony baraków. Kajsa stała z jedną ręką na kierownicy roweru, drugą opuściła.

– Jedziemy? – spytałem.

– Możemy.

– W dół?

Kiwnęła głową, wsiedliśmy na rowery. Na zacienionej szutrowej drodze przyspieszyliśmy, ja z przodu, Kajsa tuż za mną. Na szczycie długiego zbocza trochę przyhamowałem, żebyśmy zjechali obok siebie. Słońce świeciło na wzgórzu po przeciwnej stronie. Owady krążące w powietrzu przypominały rozsypany brokat. W połowie wzgórza odchodziła w prawo stara leśna ścieżka, pomyślałem, że może prowadzi w jakieś odpowiednie miejsce, wiatr rozwiewał mi włosy, kiedy wołałem do Kajsy, żebyśmy na nią wjechali, kiwnęła głową, skręciliśmy, podjechaliśmy jakieś dziesięć metrów, wytracając prędkość, i zeskokczyliśmy z rowerów. Kajsa nic nie mówiła, ja nic nie mówiłem, szliśmy tylko porośniętą trawą ścieżką, na której tu i ówdzie leżały kora i kawałki drewna. Kiedy dotarliśmy na szczyt, stwierdziłem, że dalej się nie da, niżej pełno było pieńków po wycince, a tam gdzie zaprzestano wyrębu, świerki rosły gęsto jak ściana.

– Dalej nie przejedziemy, zwracamy – powiedziałem.

Kajsa ciągle się nie odzywała. Równocześnie wsiedliśmy na rowery i ruszyliśmy w dół. Ona stojąc na pedałach i hamując mocniej niż ja.

Wciąż jedną możliwością pozostawała ścieżka przy Finie.

Na myśl o tym przelała się przeze mnie fala strachu. Jakbym stanął za wysoko na skale, patrzył na tafelę wody i wiedział, że albo pokonam lęki skoczę, albo stchorzę.

Czy ona miała świadomość, co się stanie?

Obserwowałem ją ukradkiem.

Ach, ależ jej piersi się kołysały!

Twarz jednak miała poważną. Co to mogło znaczyć?

Zeskoczyliśmy z rowerów i ruszyliśmy pod górę w stronę szosy, wśród głębokich cieni drzew, których korony rozpościerały się wysoko nad nami. Przez całą drogę z boiska prawie nie odezwaliliśmy się do siebie. Gdybym teraz miał coś powiedzieć, musiałyby to być coś ważnego, nie żadna błahostka.

Kajsa była w pastelowozielonych bawełnianych spodniach, w pasie przewiązanych sznurkiem, luźnych na udach, ale bardziej napiętych w kroku i na pośladkach. Miała też T-shirt i cienki, robiony na drutach sweterek, kremowobiały, na bosych stopach sandaalki. Paznokcie u nóg polakierowane na ten sam kolor co u rąk Bransoletkę na kostce jednej nogi.

Wglądała cudownie.

Kiedy dojechaliśmy do szosy i od tego, co miało się wydarzyć, oddzielała nas już tylko długa droga w dół zbocza, a potem w górę, miałem wielką ochotę po prostu od niej uciec, docisnąć pedały i zniknąć z jej życia. A gdybym już to zrobił, nie poprzestałbym na tym. Uciekłbym też od domu, zostawił za sobą Tybakken, Tromøye, Aust-Agder, Norwegię, Europę, wszystko. Nazywaliby mnie Pedalującym Holendrem, bo byłbym na wieczność skazany na jeżdżenie po świecie, ze światłem na kierownicy, upiornie świecącym na bocznych drogach.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – spytała Kajsa, gdy ze świstem pędziliśmy w dół.

– Znam jedno ładne miejsce – odparłem. – To już niedaleko.

Nic na to nie powiedziała. Minęliśmy Finę, pokazałem jej palcem zbocze między drzewami, znów zeskokczyła z roweru, gdy tylko zrobiło się bardziej stromo. Czoło miała pokryte błyszczącą warstwą potu. Minęliśmy stary biały dom i starą czerwoną stodołę. Niebo było bezchmurne,

blekitne, rozpalone słońce wisiało nad wzgórzami na zachodzie. W jego świetle liście migotały. Śpiewały ptaki. Czulem mdłości. Weszliśmy na ścieżkę, światło przesiewane przez korony drzew było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałem. Załamywało się podobnie jak pod wodą, tworząc jasne kolumny, ukosem sięgające dna.

Zatrzymałem się.

– Rowery możemy zostawić tutaj – powiedziałem.

Tak zrobiliśmy. Opuściliśmy podpórki, oparliśmy na nich rowery. Ruszyłem między drzewa. Kajsza poszła za mną. Rozglądałem się za odpowiednim miejscem, w którym moglibyśmy się położyć. Za trawą albo mchem. Nasze kroki brzmiały nienaturalnie głośno. Bałem się na nią spojrzeć. Ale była tuż za mną. Tam. Tam będzie dobrze.

– Możemy się położyć tu – zaproponowałem. Nie patrzyłem na nią, gdy siadałem. Z wahaniem usiadła przy mnie. Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem zegarek. Podsunąłem go jej na otwartej dłoni. – Sprawdzimy, jak długo możemy się całować?

– Co?

– Mam zegarek – wyjaśniłem. – Tor dał radę dziesięć minut. My musimy wytrzymać dłużej.

Kładąc zegarek na ziemi, sprawdziłem, że jest za osiemnaście ósma. Zapamiętałem to. Potem położyłem Kajsie ręce na ramionach i leciutko pchnąłem ją w tył, a jednocześnie przysunąłem usta do jej warg. Kiedy już zeleliśmy, wsunąłem jej do ust język, dotknąłem jej języka, wąskiego, miękkiego jak zwierzątko, i zacząłem obracać własnym. Ręce trzymałem przy sobie, dotykałem jej wyłącznie ustami i językiem, nasze ciała leżały na ziemi pod drzewami jak dwie łodzie wyciągnięte na brzeg. Koncentrowałem się na poruszaniu językiem tak by nie napotykać żadnego oporu, ale myśl o jej piersiach tak blisko, o jej udach tak blisko i o tym, co między udami, pod spodniami, pod majtkami, cały czas we mnie płonęła. Bałem się jednak jej dotknąć. Leżała z zamkniętymi oczami, też poruszając językiem. Ja miałem oczy otwarte, ręką wymacałem zegarek, przesuwałem go tak by widzieć tarczę. Już trzy minuty. Z kącika ust pociekło jej trochę śliny. Poruszyła się. Przycisnąłem podbrzusze do ziemi, cały czas obracając językiem w koło, w koło, w koło. Nie było to wcale tak przyjemne, jak sądziłem, prawdę mówiąc, wymagało sporo wysiłku. Kilka suchych liści zatrzęszczało pod jej głową, kiedy nią poruszyła. Usta mieliśmy pełne lepkiej śliny. Już siedem minut. No, jeszcze cztery. Kajsza mrugnęła, chyba jednak nie z rozkoszy, raczej coś było nie tak. Trochę się cofnęła, ale ja nie puszczałem, przesuwałem głowę, nie przestając obracać językiem. Otworzyła oczy, ale nie patrzyła na mnie, tylko wprost na niebo nad nami. Dziewięć minut. Czulem już ból u nasady języka. Z kącików ust ciągle spływała ślina. Od czasu do czasu stukałem aparatem ortodontycznym o jej zęby. Właściwie, żeby pobić Tora, nie musieliśmy tego robić dłużej niż dziesięć minut i sekundę. Czyli już. Już go pokonaliśmy. Ale mogliśmy osiągnąć lepszy wynik. Piętnaście minut. Powinno się udać. Jeszcze tylko pięć. Język bolał, jakby urósł w ustach, a ślina, której się nie zauważało, kiedy była ciepła, wydawała się wręcz ohydna, gdy schłodzona spływała po brodzie. Dwanaście minut, może już wystarczy? Już? Nie, jeszcze trochę. Jeszcze trochę.

Dokładnie za trzy ósma wreszcie się od niej oderwałem. Kajsza podniosła się, wytarła usta, nie patrząc na mnie.

– Udało nam się całować przez piętnaście minut – obwieściłem, wstając. – Pokonaliśmy Tora

o pięć.

Nasze rowery stały daleko na ścieżce. Poszliśmy w ich kierunku. Kajsa otrzepała ubranie z listków i gałązek

- Zaczęłaś chwilę – powiedziałem. – Masz jeszcze coś na plecach.
- Zatrzymała się. Strzepnąłem paprochy, które zaczęły o sweter.
- Już – oznajmiłem.
- Muszę wracać do domu – oświadczyła, gdy dotarliśmy do rowerów.
- Ja też. Przez las jest droga na skróty. – Pokazałem ręką w górę.
- No to cześć. – Wsiadła na rower i ruszyła po nierównej ścieżce.
- Cześć. – Położyłem ręce na kierownicy i też ruszyłem pod górę.

Tego wieczoru leżałem i aż do zaśnięcia fantazjowałem o jej piersiach, mlecznobiałych i dużych. I o wszystkim, co mogliśmy robić tam, na mchu. Musiałem do niej zadzwonić, bo nie ustaliliśmy, o której mam przyjść w sobotę, ale znów odkładałem to przez cały następny dzień i jeszcze przez kawałek soboty, dopóki nie miałem już wyjścia, więc około drugiej znów wskoczyłem na rower i popedałowałem do budki. Był jeszcze jeden problem, mianowicie ten, że musiałem wracać do domu o wpół do dziewiątej, co absolutnie nie pasowało do tego życia, jakie teraz wiodłem. Nie mogłem wyjść od Kajsy o ósmej tylko dlatego, że musiałem iść spać. Co by sobie o mnie pomyślała? Mamie napomknąłem, że mam coś ważnego do załatwienia w ten wieczór, więc czy to możliwe, żebym wrócił do domu o wpół do dziesiątej, a może nawet o dziesiątej? Chciała wiedzieć, co to za sprawa, a ja na to, że nie mogę powiedzieć. „Jeśli nie możesz powiedzieć, to ci nie pozwolę. Musimy wiedzieć, gdzie jesteś i co robisz. Wtedy może ci pozwolimy. Rozumiesz to, prawda?”. Tak, rozumiałem i byłem gotów ugiąć się i powiedzieć jej o Kajsie, ale najpierw musiałem się z nią skontaktować.

Niebo było zachmurzone, a szara, matowa pokrywa chmur jakby wysysała wszelkie barwy z krajobrazu. Szara była droga, szare były kamienie w rowie, nawet zieleń liści na drzewach przybrała odcień szarości. Zniknęło gdzieś także ciepło poprzednich dni. Nie było wprawdzie zimno, jakieś szesnaście, siedemnaście stopni, ale na tyle chłodno, że kiedy jechałem w dół, musiałem zapiąć kurtkę pod samą szyję. Wydęła się na plecach jak balon. Dwa autobusy stały na przystanku, będącym czymś w rodzaju minidworca autobusowego, czasami parkowały tu przez całą noc. Teraz ich silniki pracowały, wkrótce miały się rozjechać, jeden w głąb wyspy, drugi w stronę miasta. Kierowcy ustawili je tak, by mogli pogadać przez otwarte okna.

Zostawiłem rower za zieloną, przypominającą kapelusz wiatą z włókna szklanego. Płynący obok strumień przecisnął się przez krzaki, gałęzie i mnóstwo śmieci, głównie papierków po batonach, prawdopodobnie z Finy, zauważyłem Caramello, Hobby, Nero, Bravo, dostrzegłem niebieskie opakowanie po balonowej gumie Hubba Bubba, ale też kilka przezroczyстых butelek bez etykietek, gazety i karton pełen rozmaitych odpadków. Wszedłem do budki, wyjąłem monety z kieszeni i wrzuciłem do automatu. Znowu sprawdziłem numer w książce telefonicznej, a po głowie chodziły mi różne głupie myśli. Przypomniałem sobie dowcip o facie, który wypożyzył z biblioteki książkę telefoniczną, a kiedy ją oddawał, na pytanie, czy mu się podobała,

stwierdził, że akcja toczyła się niezbyt warto, ale za to było mnóstwo bohaterów. Z palcem wskazującym pod numerem i ze słuchawką w ręku stałem przez dłuższą chwilę, wyglądając przez lekko matową szybę i nie bardzo wiedząc, co widzę, ale w końcu zebrałem się na odwagę, przyłożyłem słuchawkę do ucha i wykręciłem numer.

– Halo?

To była Kajsa.

– Cześć, mówi Karl Ove. Kajsa?

– Tak Cześć.

– Zapomnieliśmy się umówić, o której mam przyjść. Mam przyjść o konkretnej godzinie? Mnie wszystko jedno.

– Nooo – powiedziała – to właściwie nieaktualne.

– Nieaktualne – powtórzyłem. – Nie możesz? Twój rodzice jednak nie wychodzą?

– Nie, to nie to, tylko... eeee... eee... Ja już nie mogę... z tobą chodzić.

Co?

Zrywała ze mną?

Ale... Przecież chodziliśmy ze sobą zaledwie pięć dni!

– Halo? – odezwała się.

– To koniec? – spytałem.

– Tak Koniec.

Milczałem. Słyszałem jej oddech. Po policzkach płynęły mi łzy. Minęła długa chwila.

– No to cześć – powiedziała nagle.

– Cześć – rzuciłem i wyszedłem na przystanek Łzy mnie osłepiły. Wytarłem je ręką, pociągając nosem, wsiałem na rower i ruszyłem przed siebie. Prawie nie widziałem drogi. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego? I to akurat teraz, kiedy zaczynało być tak dobrze? Akurat tego dnia, kiedy mieliśmy zostać sami u niej w domu? Jeszcze kilka dni temu jej się podobałem, więc dlaczego tak nagle przestałem jej się podobać? Za mało rozmawialiśmy?

A ona była taka fajna, tak niewiarygodnie fajna.

Niech to szlag trafi.

Niech to jasna cholera i wszyscy diabli.

Pierdolone, zajebane gówno.

Kiedy dojechałem do B-Maxu, otarłem łzy rękawami kurtki, była sobota, tuż przed zamknięciem, na parkingu pełno samochodów, ludzi z zakupami w rękach i dzieciaków, mnóstwo dzieciaków. No ale gdyby zobaczyli łzy, może uznaliby, że to od wiatru? Przecież jechałem na rowerze.

Popedałowałem mocniej pod niedużą górkę przed równiną. Momentami ogarniała mnie kompletna pustka, obojętność, potrafiło minąć dziesięć sekund bez żadnej myśli, nawet bez świadomości własnego istnienia, i nagle pojawiał się obraz Kajsy, to już koniec, i znów nie mogłem zapanować nad szlochem.

Zostawiłem zapięty rower na placyku przed domem, stanąłem przed drzwiami, żeby

zlokalizować rodzinę, bo nie chciałem się teraz na nikogo natknąć, a kiedy już uznałem, że droga wolna, wszedłem na górę do łazienki, tam starannie umyłem twarz, otworzyłem drzwi do swojego pokoju i usiadłem na łóżku.

Po jakimś czasie postanowiłem iść do Yngvego. Grał na gitarze. Kiedy wszedłem, podniósł na mnie wzrok

– Co jest, płakałeś? – spytał. – Chodzi o Kajsę? Zerwała?

Kiwnąłem głową i znów się rozplakałem.

– Nie martw się, Karl Ove, niedługo ci przejdzie. Jest tyle dziewczyn, które tylko czekają. Wszędzie jest pełno dziewczyn. Postaraj się o niej zapomnieć. To nie jest takie straszne.

– Właśnie że jest. Przecież chodziliśmy ze sobą tylko pięć dni, a ona jest taka ładna. Tylko z nią chcę chodzić, z żadną inną. W dodatku dzisiaj, kiedy mieliśmy zostać sami u niej w domu!

– Zaczekaj chwilę – powiedział. – Puszczę ci piosenkę, może to ci pomoże.

– A co to za piosenka? – spytałem i usiadłem na krześle.

– Zaczekaj – powtórzył. – Przerzucił stos singli na półce. – Ta. – Pokazał mi płytę The Aller Værste! *Nie ma drogi powrotu.*

– Aha, ta.

– Posłuchaj tekstu. – Wyjął płytę z okładki, położył na gramofonie małe kółko, dopiero potem singiel, uniósł ramię, a gdy płyta już się kręciła, umieścił igłę w pierwszym rowku. Po sekundzie trzasków rozległy się miarowe, energiczne dźwięki perkusji, potem dołączyły bas, gitara i organy elektryczne z resztą akompaniamentu, a następnie skrzekliwy, niewiarygodnie przyciągający riff gitarowy i głos solisty, śpiewającego w dialekcie ze Stavanger:

*Nie przesadzam, mówiąc, że wiedziałem,
Że daleko nam do idealności,
Ty próbowałaś to zatrzymać,
Dopóki nie pękł kondom wrażliwości.
Plany na wieczność i perspektywy
W ciągu minuty unicestwione,
Uściskałaś mnie, chciałem ci dać więcej,
Ale to już jest zabronione.*

– Słuchaj teraz – przykazał Yngve.

*Wszystko kiedyś mija, wszystko musi się skończyć,
Kładziesz się i zasypiasz, i budzisz od nowa,
Nie ma drogi powrotu, nie ma za co dziękować,
Włóż płaszcz i wyjdź, po co ta mowa.*

– No tak – powiedziałem.

*Byliśmy o centymetr od banalności,
Wkurzały mnie moje własne słowa,
Upiliśmy się na sentymentalnie,
Rozmowę już i tak toczyła choroba.
Złamałaś mi serce i żołądka mam wrzody,
W penicylinę ani trochę nie wierzę,
Po co w ten mur wciąż walimy głową,
Gdy nam na sobie już nie zależy.*

*Wszystko kiedyś mija, wszystko musi się skończyć.
Kładziesz się i zasypiasz, i budzisz od nowa,
Nie ma drogi powrotu, nie ma za co dziękować,
Włóż płaszcz i wyjdź, po co ta mowa.*

– Wszystko kiedyś mija – powtórzył Yngve, kiedy piosenka się skończyła i ramię gramofonu automatycznie wróciło na swoje miejsce. – Wszystko musi się skończyć. Kładziesz się i zasypiasz, i budzisz się nowy.

– Zrozumiałem.

– Pomogło?

– Tak, trochę. Mógłbyś puścić jeszcze raz?

Na szczęście, kiedy jedliśmy obiad, rodzice nie zorientowali się, że płakałem. Później wyszedłem, w domu nie mogłem sobie znaleźć miejsca, i ponieważ na drodze było pusto, a moi najlepsi koledzy wyjechali na wakacje, powlokłem się na pływające pomosty. Stała tam cała banda, śpiąca wokół nowej motorówki Jørna. Wielu chłopaków dostało łódki tej wiosny, mieli je Geir Håkon i Kent Arne, jeden GH 10, drugi With Dromedille, również dziesięciostopową, obie z pięciokonnymi silnikami Yamahy.

Podszedłem do nich.

– No to jest i femi – odezwał się Jørn, kiedy się zatrzymałem.

Znów to określenie.

Śmiali się, więc zrozumiałem, że nie mają nic dobrego na myśli.

– Cześć – powiedziałem.

Jørn uruchomił silnik kilka razy szarpnąwszy linkę.

– Podejź tu, Karl Ove! – zawołał.

– Nie mam po co.

– Coś ci pokażę. – Spojrzał na młodszego brata. – Cofnij, kiedy ci powiem.

Tamten kiwnął głową.

– No chodź – powtórzył Jørn i przeszedł na dziób.

Z wahaniem zrobiłem kilka kroków. Kiedy zatrzymałem się na krawędzi pomostu, nagle objął mnie za nogi.

– Cofaj! – rzucił do brata.

Łódź szarpnęła do tyłu, wyciągając spode mnie nogi, przewróciłem się, ściągany z pomostu, bo Jørn nie puszczał moich nóg, a łódź dalej się cofała. Wczepiłem się palcami w krawędź desek, młodszy brat Jørna dodał gazu, silnik zaczął warczeć, a ja wisiałem w powietrzu z nogami na lodzi, ciałem nad wodą, a rękami na pomoście. Krzyknąłem, żeby przestali. Rozplakałem się. Pozostali chłopcy patrzyli, uśmiechali się, ale nie reagowali.

– Dosyć! – zawołał Jørn.

Cały ten incydent trwał może minutę. Brat Jørna podprowadził łódź do pomostu, Jørn puścił moje nogi, wciągnąłem się na pomost i z płaczem odszedłem stamtąd najprędzej jak się dało. Nie mogłem przestać płakać aż do skarpy. Tam posiedziałem trochę w nieruchomym gorącym powietrzu, nasyconym zapachami rozgrzanej w słońcu skały, suchej trawy i dzikich kwiatów.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Kajsy i nie spytać, dlaczego ze mną zerwała, żebym się czegoś nauczył na przyszłość, ale to było zbyt skomplikowane, cały czas miałem w uszach jej wahanie i swoje niedowierzenie, no ale cóż, przecież to już był koniec, po prostu nie chciała ze mną dłużej być.

Ciągle roztrzęsiony, wstałem i wróciłem do domu. W łazience długo myłem twarz zimną wodą, zaciągnąłem nawet zasłonę w oknie, nie chciałem, żeby cokolwiek wy dobyło się stąd na zewnątrz. Potem włączyłem *Ace of Spades* Motörhead, ale to był błąd, szybko zdjąłem tę płytę i nastawiłem nowy solowy album McCartneya, sięgnąłem też po książkę Bagleya, którą kupiłem za własne pieniądze, miała tytuł *List Vivaera*, czytałem ją już wcześniej, opowiadała o piramidach w Ameryce Południowej i o ogromnych podziemnych grotach, nurkowali w nich główni bohaterowie szukający skarbu, na który czaili się też inni...

Kiedy usiadłem, żeby zjeść kolację, mama spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Chyba pora, żebyś zaczął używać dezodorantu, Karl Ove? Mogę ci jutro kupić.

– Dezodorantu? – powtórzyłem głupio.

– Nie sądzisz, że ci się przyda? Przecież niedługo idziesz do gimnazjum, i w ogóle.

– Rzeczywiście cuchniesz – włączył się Yngve. – A tego nie lubi żadna dziewczyna.

To dla tego?

Ale kiedy później w pokoju spytałem Yngvego, czy tak myśli, uśmiechnął się i odparł, że wątpi, by to było takie proste.

Następnego dnia rano przyszedł do mojego pokoju tata i powiedział, że nie mogę całe lato leżeć i czytać, muszę też trochę wychodzić, więc może bym poszedł się wykąpać w morzu.

Bez słowa zamknąłem książkę i wyminąłem go, nie poświęcając mu nawet spojrzenia.

Chwilę posiedziałem na krawężniku, ciskając drobnymi kamykami na drogę. Nie mogłem jednak tu tkwić, bo wszyscy by wtedy wiedzieli, że nie mam co robić ani z kim się spotkać, ruszyłem więc w stronę wielkiej wiśni, rosnącej na skraju lasu tuż przy drodze, od której zaczynało się pole Kristenów, żeby sprawdzić, czy przypadkiem owoce nie dojrzały na tyle, że nadają się do jedzenia. Kwestia własności tego drzewa pozostawała trochę niejasna, jedni mówili, że to dzika wiśnia, inni, że należy do Kristena, ale i tak każdego lata dokumentnie czyściliśmy je z owoców, odkąd bylibyśmy wystarczająco duzi, by się na nie wspiąć, i do tej pory nikt się na to nie skarżył. Znałem tę wiśnię jak własną kieszeń, wdrapałem się prawie na sam wierzchołek i przelazłem na koniec jednej z najwyższych gałęzi, dopóki nie zaczęła się wyginać. Owoce jeszcze nie całkiem dojrzały, skórkę z jednej strony miały twardą i zieloną, ale z drugiej zaczynały się czerwienić, to wystarczyło, żebym je żuł i przełykał, a pestkami pluł jak najdalej.

Siedziałem na drzewie, kiedy z góry zjechał na rowerze Jørn. Jedną ręką przytrzymał kanister na bagażniku, drugą kierował. Na mój widok ostrożnie przyhamował i stanął.

– Karl Ove! – zawołał.

Zląłem z wiśni najszybciej jak się dało. Zajęło mi to dokładnie tyle czasu, ile jemu zeskoczenie z roweru i podejście do drzewa, bo kiedy dotknąłem stopami ziemi, on stał w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie. Nasze spojrzenia się spotkały, na moment, bo zaraz pobiegłem w las.

– Chciałem tylko cię przeprosić! – krzyknął Jørn. – Za wczoraj! Słyszałem, że się poryczałeś.

Nie odwróciłem się.

– Nie chciałem! Wróć, podajmy sobie ręce na zgodę!

Aha, na pewno, pomyślałem i dalej przedzierałem się przez krzaki, dopóki nie stanąłem na szczycie wzgórza, skąd zobaczyłem, jak Jørn wraca do roweru, wsiada i kontynuuje swoją chwiejną jazdę w stronę przystani. Dopiero wtedy zszedłem z powrotem. Ale twarde, gorzkie wiśnie straciły już swój urok, zrezygnowałem więc ze wspinaczki na drzewo i powlokłem się dalej, w nadziei, że z czasem kogoś spotkam. Zdarzało się, że ktoś wychodził z domu, zobaczywszy znajomego na drodze, dlatego idąc, zaglądałem do ogrodów po obry stronach. Wszędzie było pusto. Ludzie wypłynęli łódkami albo wybrali się na plażę od strony otwartego morza, lub po prostu byli w pracy. Mąż Tove Karlsen leżał wyciągnięty na leżaku na środku wypalonego słońcem trawnika, obok niego stało radio. Matka Geira, Tronda i Wenche, pani Jacobsen, siedziała na werandzie pod parasolem i paliła papierosa. Na głowie miała biały kapelusik a ciało zasłonięte białym, lekkim strojem. Na podłodze obok niej bawił się jej najmłodszy synek, ledwie mogłem go dostrzec między szczeblami ogrodzenia. Za moimi plecami ktoś nagle zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się. To był Geir, biegł pod górę, wyciągając do mnie ręce.

Zatrzymał się tuż przede mną.

– Gdzie Vemund? – spytałem.

– Wyjechał na wakacje. Dzisiaj. Popłyniemy łódką?

– Możemy. A dokąd?

Geir wzruszył ramionami.

– Na Gjerstadholmen? Albo na którąś z małych wysepek obok?

– Dobra.

Geir miał tylko łódź wiosłową, więc jego akcje stały o wiele niżej niż posiadaczy motorówek. Mimo wszystko ta łódka wozila nas na wysepki, a czasami wiosłowaliśmy kilka kilometrów wzdłuż wybrzeży wyspy od strony cieśniny. Poza cieśninę nie wolno mu było wypływać.

Wsiadliśmy, odepchnąłem łódkę od brzegu, Geir włożył wiosła w dulkę, napiął się i zaczął wiosłować, tak głęboko zanurzając pióra, że grymas wykrzywił mu całą twarz.

– Uch! – jęczał za każdym pociągnięciem. – Uch! Uch!

Patrzyliśmy na jasnoniebieską powierzchnię morza, momentami marszczącą się w porywach wiatru. Głębiej w cieśninie fale już się pieniły.

Geir odwrócił głowę i nakierował łódź na niedużą wysepkę. Trochę skorygował kurs jednym wiosłem i znów zaczął stękać, a ja zanurzyłem rękę w wodzie i utkwilem wzrok w prawie niewidocznym kilwaterze.

Kiedy się zbliżyliśmy do brzegu, wstałem, wyskoczyłem z łodzi i wciągnąłem ją do malutkiej zatoczki. Nie umiałem wiązać żadnych węzłów, więc to Geir ją przycumował do jednego z niewielkich metalowych słupków, które znajdowały się chyba na każdej najmniejszej skałce wystającej z morza.

– Wykąpiemy się? – spytał.

– Możemy – odparłem.

Od strony cieśniny wznosiła się pionowo wysoka na dwa metry skała, z której skalaliśmy do wody. Na wietrze było zimno, ale w wodzie ciepło, więc kąpaliśmy się prawie godzinę, zanim w końcu położyliśmy się na skałę, żeby wyschnąć.

Kiedy już się ubraliśmy, Geir wyjął z kieszeni zapalniczkę.

– Skąd ją masz? – spytałem.

– Leżała w domku letniskowym.

– Podpalimy coś?

– No właśnie o to mi chodziło.

We wszystkich szczelinach skał rosła trawa, a na samym środku wysepki znajdowała się niewielka polana.

Geir przykucnął, osłonił płomień ręką i podpałił niedużą kępę trawy. Zajęła się od razu i zaczęła palić czystym, niemal przezroczystym płomieniem.

– Dasz mi spróbować? – spytałem.

Wyprostował się, odgarnął na bok sztywne włosy i wręczył mi zapalniczkę.

– Hej, uważaj! – zawołałem. – Ogień się roznosi!

Ze śmiechem zaczął deptać płomień. Już prawie udało mu się je zgasić, gdy nagle ogień pojawił się kawałek dalej, tam gdzie już go zdeptał.

– Widziałeś? Zapaliło się samo z siebie!

Zdeptał go jeszcze raz, a ja przeszedłem na polankę i tam podpałilem trawę. W tej samej chwili gwałtownie powiał wiatr, poniósł ogień jak dywan.

– Pomóż mi trochę – poprosiłem. – Za dużo mam do gaszenia.

Skakaliśmy i deptaliśmy ile sił w nogach, w końcu płomienie zniknęły.

– Daj mi zapalniczkę – powiedział Geir.

Oddałem.

– Podpalimy w dwóch różnych miejscach jednocześnie.

– Okej – zgodziłem się.

Podпалиł trawę w miejscu, w którym stał, podał mi zapalniczkę, a ja pobiegłem naprzeciwko i tam podłożyłem ogień, a potem znów do Geira – w tym czasie zdążył się już przesunąć i podpaliliśmy jeszcze w trzecim miejscu.

– Posłuchaj, jak trzeszczy! – powiedział.

Rzeczywiście trzeszczało. Ogień iskrzył w trawie, powoli sunąc w głąb polany. Tam gdzie ja podпалиłem, płomienie przy pominały poruszającego się węża.

Nadciągnął kolejny poryw wiatru.

– Ojej! – westchnął Geir, kiedy płomienie podniosły się o kilkanaście centymetrów, jednocześnie wgrzyzając się w głąb polany. Zaczął deptać jak oszalały. Ale teraz nic z tego nie przychodziło.

– Pomóż mi! – W jego głosie wychwyciłem narastającą panikę.

Również zacząłem deptać. Po kolejnym podmuchu niektóre płomienie sięgały nam już do kolan.

– O nie! – zawołałem. – Hajcuje się jak cholera!

– Zdejmuj koszulkę, będziemy nimi gasić. Widziałem to kiedyś na filmie.

Rozebraliśmy się i zaczęliśmy walić koszulkami o ziemię. Wiatr dalej podsycił płomienie, które zajmowały coraz większą powierzchnię.

Naprawdę porządnie się już paliło.

Waliliśmy i deptaliśmy jakszaleni, ale na niewiele się to zdało.

– Nie da się! – krzyknął Geir. – Nie damy rady ugasić!

– Rzeczywiście jest coraz gorzej!

– To co robimy?

– Nie wiem. Myślisz, że możemy użyć czerpaka?

– Czerpaka? Zgłupiałeś?

– Wcale nie zgłupiałem. To tylko taka propozycja.

Paliło się już na dobre. Czuję gorąco, chociaż stałem w odległości kilku metrów od ognia.

– Spadamy! – zdecydował Geir. – Chodź!

Płomienie trzaskały i tańczyły w trawie z coraz większą dzikością, a my odepchnęliśmy łódź od brzegu. Geir chwycił za wiosła i zaczął nimi machać jeszcze bardziej zapamiętałe niż w tę stronę.

– O cholera! – powtarzał od czasu do czasu. – Ale się zajarało!

– No. Kto by pomyślał!

– W każdym razie nie ja.

– Ja też nie. Żeby tylko nikt tego nie zobaczył.

– To nie takie groźne – orzekł Geir. – Najważniejsze, żeby nikt nie zobaczył nas.

Kiedy dobiliśmy do brzegu, wciągnęliśmy łódkę głęboko w las, żeby ukryć wszystkie ślady. Koszulki mieliśmy poplamione sadzą, więc je wypłukaliśmy i wykręciliśmy. Na wszelki wypadek to samo zrobiliśmy z szortami, a gdyby ktoś spytał, mieliśmy mówić, że się w nich kąpaliśmy, koszulki zaś wpadły nam do wody. Potem sami zanurkowaliśmy, żeby się pozbyć zapachu sadzy, i dopiero wróciliśmy do domów.

Już z daleka widziałem, że w ogrodzie od frontu nikogo nie ma. Zatrzymałem się w przedpokoj: żadnego odgłosu. Wślizgnąłem się do kotłowni, tam powiesiłem koszulkę i goły od pasa w górę poszedłem do pokoju, wzięłem nowy T-shirt z szafy, zmieniłem szorty.

Z okna pokoju Yngvego zobaczyłem, że tata siedzi na leżaku na trawniku. Potrafił wylegiwać się na słońcu godzinami, zupełnie bez ruchu, jak jaszczurka. Kolor jego skóry dobitnie świadczył o tym, ile czasu tak spędza. Gdzieś w pobliżu grało radio. Mama musiała siedzieć na tarasie, pod oknem salonu.

Godzinę później przyszła do mojego pokoju. Przyniosła mi dezodorant. Był w szklanym niebieskim flakonie, nazywał się MUM for Men, pachniał słodko i przyjemnie. Pomyślałem: dla mężczyzn. Byłem mężczyzną. A przynajmniej chłopakiem. Za kilka tygodni miałem zacząć chodzić do gimnazjum i używać dezodorantu.

Mama wytłumaczyła mi, że mam nim kilka razy potrzeć pachy po umyciu. Ale zawsze po umyciu, nigdy bez, bo wtedy pachnie się jeszcze gorzej.

Od razu zrobiłem tak, jak powiedziała. Przez pewien czas wdychałem ten mój nowy, miły zapach, a później wróciłem do książki, którą odłożyłem. To był *Dracula*, moja absolutnie ulubiona lektura. Czytałem ją już drugi raz, ale była tak samo wciągająca.

– Kolacja! – zawołała mama, więc przerwałem czytanie i poszedłem do kuchni. Tata siedział na swoim miejscu, miał ciemną skórę i ciemne oczy. Mama nalała wrzątku do dzbanka z herbatą, postawiła go na stole.

– Martha zaprosiła nas dzisiaj do ich domku letniskowego – powiedziała.

– Nie ma mowy – oświadczył tata. – Mówiła coś jeszcze?

Mama pokręciła głową.

– Nic szczególnego.

Wbiłem wzrok w stół i jadłem najszybciej jak mogłem, ale żeby nie wyglądało na to, że bardzo mi się spieszy do wyjścia.

Gdzieś w pobliżu włączono silnik, kilka razy zakrzusił się i zgasł. Tata wstał i wyjrzał przez okno.

– Czy Gustavsenowie nie wyjechali na urlop? – spytał.

Nikt nie odpowiedział. Ale tata skierował wzrok na mnie.

– Wyjechali. Rolf i Leif Tore zostali sami w domu.

Samochód znów zapalił. Tym razem ktoś ostro dodał gazu, wrzucił bieg, warkot narastał i cichł, gwałtownie i nierówno.

– W każdym razie ktoś wyjeżdża ich samochodem – stwierdził tata.

Wstałem, żeby popatrzeć.

– Siadaj!

Usiadłem.

– Co się dzieje? – włączyła się mama.

– Te cholerne bachory biorą samochód rodziców. – Odwrócił się i spojrzał na mamę. – Aż trudno uwierzyć!

Samochód, charcząc i plując, pojechał pod górę.

– Czy oni nie mają żadnej kontroli nad swoimi dziećmi? Przecież Leif Tore chodzi do klasy z K a r l e m O v e m. I k r a d n i e samochód swoim rodzicom?!

Przełknąłem ostatni kawałek kanapki, dolałem sobie trochę więcej mleka do herbaty, żeby ją schłodzić, bo dzięki temu dało się ją wypić duszkiem. Wstałem.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Na zdrowie – odparła mama. – Idziesz już spać?

– Chyba tak

– No to dobranoc.

– Dobranoc.

Przyszedł, zanim zgasilem światło.

– Siadaj – powiedział.

Usiadłem.

Długo na mnie patrzył.

– Słyszę, że paliłeś papierosy, Karl Ove.

– Co? Wcale nie paliłem! Przyśięgam, naprawdę!

– Słyszałem co innego. Że paliłeś.

Na moment podniosłem wzrok i nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Paliłeś?

Spuściłem oczy.

– Nie.

Ręka na uchu.

– Paliłeś – powiedział i wykręcił mi ucho. – Mam rację?

– Nie-e! – zawołałem.

Puścił mnie.

– Rolf mi mówił. Twierdzisz, że mnie okłamał?

– Tak musiało być. Bo nie paliłem.

– Dlaczego Rolf miałby kłamać?

– Nie wiem!

– To dlaczego płaczesz, jeśli masz czyste sumienie? Znam cię, Karl Ove. Wiem, że paliłeś. Ale

więcej tego nie zrobisz. Więc tym razem ujdzie ci to na sucho.

Odwrócił się i wyszedł, równie ponury, jak wszedł.

Wytałem oczy kōdrą, chwilę leżałem, patrząc w sufit, nagle zupełnie przytomny. Nigdy w ży ciu nie paliłem.

Ale on wiedział, że zrobiłem coś złego.

Skąd mógł to wiedzieć?

Skąd mógł to wiedzieć?

Następnego dnia nie mogliśmy się powstrzymać, musieliśmy przepłynąć obok tej wysepki.

– Przecież ona jest zupełnie czarna! – stwierdził Geir, opierając się na wiosłach.

Śmiałyśmy się tak, że o mało nie wpadliśmy do wody.

Chociaż tamto lato zdawało się nie różnić od wszystkich innych – pojechaliśmy do Sørbøvåg, byliśmy też w domku letniskowym babci i dziadka, rodziców taty, a przez resztę czasu wałęsałem się po osiedlu, raz z jednym kumplem, raz z drugim, chyba że leżałem i czytałem – to tak naprawdę miało zupełnie inny charakter, ponieważ po nim czekał mnie całkiem inny początek nowego roku szkolnego niż każdej jesieni dotychczas. Przed wakacjami dyrektor wygłosił do nas przemówienie, a to dlatego, że kończyliśmy Szkołę Podstawową w Sandnes, ten czas już minął, jesienią mieliśmy zacząć siódmą klasę w Gimnazjum Roligheden. Nie byliśmy już dziećmi, tylko młodzieżą.

Cały lipiec pracowałem u ogrodnika, tyrałem w polu od wczesnego rana pod palącym słońcem i zbierałem albo pakowałem truskawki, wrywałem marchewkę, a podczas przerwy siadałem pod skałą i jak najszybciej zjadałem kanapki, żeby rowerem pojechać nad jezioro Gjerstadvannet, wykłapać się przed powrotem do pracy. Cały zarobek przeznaczylem na kieszonkowe podczas turnieju Norway Cup. Przez ten tydzień moi rodzice chodzili po górach. Akurat przyszła fala upałów – podczas jednego meczu na zwirowym boisku było tak gorąco, że zaskąbłem i zostałem odwieziony do czegoś w rodzaju szpitala polowego na środku polany, a doszedłem do siebie dopiero wieczorem. Gdzieś w oddali ktoś puszczał Roxy Music, *More Than This*, patrzyłem w sufit namiotu i byłem taki szczęśliwy jak nigdy dotąd, nie wiedziałem dlaczego, ale się z tym godziłem.

Czy mogło tak być, ponieważ w tych dniach przyczepiłem się do Kjella, śpiewałem piosenki The Police, że aż echo odbijało się od ścian stacji kolejki, gadałem z nieznanymi dziewczynami, kupiłem sobie kilka przypinek od ulicznego sprzedawcy, między innymi ze Specials i The Clash, a oprócz tego czarne okulary przeciwsłoneczne, w których chodziłem od rana do wieczora?

Tak, z całą pewnością to mógł być powód. O rok starszy ode mnie Kjell był najbardziej oblegany przez dziewczyny chłopakiem w szkole. Miał matkę Brazylijkę, ale był nie tylko ciemnooki, czarnowłosy i piękny, uchodził również za twardziela, wszyscy czuli przed nim respekt. Dlatego ogromnie podniósł mnie na duchu fakt, że nie miał nic przeciwko mnie. Dzięki temu natychmiast oderwałem się od myśli o Tybakken i tamtejszych dzieciakach. One nie chciały

mieć ze mną nic wspólnego, za to Kjell owszem, więc jakie to miało znaczenie? W trakcie pobytu w Oslo przyczepiłem się też do Larsa, chociaż właściwie nie powinienem liczyć na jego przychyłność.

Może właśnie dlatego czułem się tak nieprawdopodobnie szczęśliwy. Ale niewykluczone, że to również dzięki tej piosence Roxy Music, *More Than This*. Taką piękną, że aż chwyciła za serce, wokół mnie zaś, w jasnym, niebieskawym mroku letniej nocy było wielkie miasto, nie tylko pełne ludzi, o których nic nie wiedziałem, lecz również sklepów z płytami, z setkami, a może nawet tysiącami krążków dobrych despołów na półkach. To właśnie tu koncertowały grupy, o których jedynie czytałem. Z oddali dochodził szum ruchu ulicznego, a Bryan Ferry śpiewał: *More than this – there is nothing. More than this – there is nothing.*

Pewnego późnego wieczoru w połowie sierpnia całą rodziną pojechaliśmy na wyspę Torungen łowić kraby. Tata kupił mocną latarkę podwodną i wziął ze sobą grabie, a oprócz tego maskę do nurkowania, płetwy i puste białe wiadro. Kiedy wychodziliśmy na brzeg, w górę wzbija się cała kolonia mew. Z krzykiem fruwały nad naszymi głowami, niektóre nurkowały tak gwałtownie, że prawie o nas zawadzały. Było to dość przerażające, ale ptaki się poddały, kiedy przeszliśmy na drugą stronę i rozpostarło się przed nami czarne jak noc morze. Mama rozpałała ognisko, tata się rozebrał, wciągnął płetwy i wszedł do morza z latarką w rękach. Włożył maskę i zniknął pod wodą. Kiedy się znów wynurzył, woda trysnęła z rurki niewielką fontanną.

– Tu nie było żadnego – powiedział. – Spróbujemy kawałek dalej.

Yngve i ja wolnym krokiem przeszliśmy po skałe. Gdzieś z tyłu nadal krzyczały mewy. Mama szykowała jedzenie.

Kiedy tata wynurzył się na powierzchnię następnym razem, w rękę trzymał wielkiego, przebierającego nogami kraba.

– Dajcie wiadro! – polecił.

Yngve zszedł nad samą wodę, tata wrzucił zdobycz i znów popłynął.

Czułem się trochę głupio, bo nie tak się łowiło kraby, należało wygarniać je grabiami, chodząc po brzegu i świecąc w wodę, no ale z drugiej strony, na wyspie nie było nikogo oprócz nas. Później, kiedy już wiadro po brzegi wypełniło się łączącymi po sobie skorupiakami, tata grzał się przy ognisku, a my piekliśmy kielbaski i piliśmy oranżadę. W drodze do łodzi, po tym jak zalane wiadrem morskiej wody ognisko potężnie syknęło, w niewielkim zagłębieniu w skałe odkryłem martwą mewę. Dotknąłem jej. Była ciepła. Jej noga nagle drgnęła, a ja odskoczyłem. Czyżby jednak żyła? Nachyliłem się i musnąłem palcem białą pierś. Nie zareagowała. Wstałem. Wydała mi się przerażająca. Nie przez swoją martwość, tylko wręcz obsceniczną wyrazistość tak zdecydowanie odgraniczonych kolorów. Pomarańczowy dziób, żółto-czarne oczy, wielkie skrzydła. I te stopy, jakby łuskowate, gadzie.

– Co tam znalazłeś? – spytał za mną tata.

Odróciłem się. Poświecił mi w oczy latarką. Zasłoniłem się ręką.

– Martwą mewę – powiedziałem.

Zniżył snop światła.

– Pokaż. Gdzie ona jest?

– Tam.

W następnej chwili ciało mewy ukazało się oświetlone jak na stole operacyjnym. Oczy błysnęły, odbił się w nich promień latarki.

– Pewnie jakimś pisklakom nie będzie za wesoło – stwierdził tata.

– Tak myślisz?

– Tak. Mewy ciągle mają pisklęta w gniazdach. Dlatego tak szalały. Chodź już.

Popłynęliśmy w stronę migoczących świateł miasta, przez cieśninę i na przystań. Z dwóch wiader pełnych krabów cały czas dochodziły upiorne chrzęsty i trzaski. Tata ugotował je zaraz po powrocie do domu. W pewną ulgą obserwowałem bezwzględność tej operacji: wyciąganie żywych skorupiaków z wiadra, wrzucanie ich do wrzątku, zaraz były już martwe i kręciły się w kółko w swoich skorupach, z jednej strony białych jak kości, z drugiej – brązowych jak zwiedłe liście.

Dwa dni po naszej nocnej wyprawie tata przeprowadził się do Kristiansand. Dostał pracę w liceum w Vennesla, za daleko, by codziennie dojeżdżać, więc wynajął mieszkanie w bloku na Slettheia. Przewiół tam pożyczoną przyczepą wszystkie rzeczy, jakich potrzebował, w trzech rzutach, i od tamtej pory pokazywał się w domu tylko w weekendy, a z czasem nawet rzadziej. Miał się rozejrzeć za nowym domem w rejonie Kristiansand, w którym wszyscy mieliśmy zamieszkać latem następnego roku.

Jego wyjazd przyniósł mi wielką ulgę. A to, że zmienił pracę akurat tej jesieni, kiedy miałem iść do szkoły, w której uczył od trzynastu lat, również było niesamowitym fartem. Gdyby dalej tam pracował, myśl o jego spojrzeniu towarzyszyłaby mi nieustannie, pewnie nie odważyłbym się nawet podnieść ręki, nie zastanawiając się wcześniej nad konsekwencjami. Tak było z Yngvem. Ale mnie ułożyło się znacznie lepiej.

Pierwsze dni w gimnazjum przypominały te, które przeżyliśmy w podstawówce sześć lat wcześniej. Wszyscy nauczyciele byli dla nas nowi i nieznajomi, wszystkie budynki były nowe i nieznajome, podobnie jak wszyscy uczniowie, oczywiście oprócz tych z naszej klasy. W tej szkole obowiązywały inne reguły i inne kody, krążyły inne plotki i inne opowieści. Panowała zupełnie inna atmosfera. W gimnazjum nikt się już nie bawił. Nikt nie grał w gumę, nie skakał na skakance, nie odbijał piłki, nie bawił się w berka ani inne dziecinne zabawy. Jedyne wyjątki stanowiła piłka nożna, grało się w nią tutaj taksamo jak w podstawówce. Ale podczas przerw stało się beczynnym. Ci, którzy palili, gromadzili się osobno w jednym kącie koło wiaty przeciwdeszczowej, gadali, śmiali się, zajęci swoimi zapalniczkami i papierosami, jedni w skórzanych kurtkach, inni w dzinsowych, prawie wszyscy mieli motorowery takiej czy innej marki, bo motocykle były nieodłączną częścią ich życia. O niektórych krążyły plotki, że na przykład brali udział we włamaniu, że przychodzili do szkoły pijani, albo nawet próbowali narkotyków, czemu oni oczywiście nie zaprzeczali, ale też tego nie potwierdzali, pozostawali więc owiani mgłą tajemnicy i zła. Któż inny jak nie John dołączył do nich już pierwszego zwykłego dnia szkoły, stał razem z nimi i śmiał się swoim ochryplym śmiechem? Ci spod wiaty gardzili książkową wiedzą, nienawidzili szkoły, większość z nich miała zdolności techniczne i chciała iść do

pracy już w ósmej klasie. Pozwalano im na to, wszystkim takim jak oni pozwalano. Szkoła tylko się cieszyła z tego, że może się ich pozbyć. Ale oprócz tych papierosów w kąciuku ust na przerwach w zasadzie nie zachowywali się inaczej od pozostałych uczniów, bo reszta również stała zbita w grupki, gadała i się śmiała. Dziewczyny osobno, chłopcy osobno. Czasami jacyś chłopcy drażnili dziewczyny, wtedy było trochę biegania i krzyku, a niekiedy dochodziło do bójek, wówczas wszystkich obecnych na szkolnym dziedzińcu dosłownie zasyłało do tych walczących, jakby nosła ich fala przypluwu, której nie mogli się oprzeć.

Minęło kilka tygodni, zanim przystosowaliśmy się do tego nowego szkolnego życia. We wszystkim należało się zorientować. Poznać granice i upodobania nauczycieli, zasady obowiązujące w szkole i poza nią.

Przyrody uczył nas Larsen, który kiedyś przyszedł do szkoły pijany. Zawsze wyglądał tak, jakby spał na kanapie w ubraniu i właśnie go obudzono; bez względu na to, którą lekcję z nim mieliśmy, zawsze był trochę nieprzytomny i nie mógł się skupić, ale uwielbiał doświadczenia, dym i huk, więc lubiliśmy jego lekcje. Muzyki uczył nas Konrad, który prowadził też szkolny klub. Nosił koszule przypominające damskie bluzki, do tego czarną kamizelkę, okulary, miał okrągłą twarz, wąsy i niewielką łysinę, był jowialny i młodzieńczy, ze wszystkimi po imieniu. Od matematyki mieliśmy dawnego wychowawcę Yngvego, Vestada, czerwonego na twarzy łysego mężczyznę w okularach, o bystrym spojrzeniu; od gospodarstwa domowego panią Hansen, siwowłosą, surową, niemal przypominającą zakonnicę kobietę w okularach, która sprawiała wrażenie, że szczerze jej zależy na tym, abyśmy nauczyli się smażyć klopsiki rybne i gotować ziemniaki; lekcje angielskiego, norweskiego, religii i nauki o społeczeństwie prowadził Kolloen, nasz wychowawca, wysoki, szczupły mężczyzna dobiegający trzydziestki, o ostrych rysach twarzy i ograniczonej cierpliwości, który trzymał nas na dystans, ale czasami potrafił się też nagle wykazać zaskakującym zaangażowaniem.

Ci nauczyciele wystawiali nam nie tylko ogólne opisowe oceny, jak w podstawówce, tutaj dostawaliśmy stopnie ze wszystkich przedmiotów. To wytworzyło w klasie zupełnie nowe napięcie, bo nagle wszystkie nasze przypuszczenia o mocnych i słabych stronach innych zostawały potwierdzone czarno na białym. Stopnie nie dawało się utrzymać w tajemnicy, chociaż oczywiście można było próbować, ale uważano, iż jest to w złym tonie. Trzymałem się na poziomie pięć, pięć z plusem, rzadko dostawałem szóstkę, rzadko też spadałem do czwórek. W klasie tego nie ukrywałem, lecz poza szkołą nie mówiłem już o tym tak głośno, ponieważ w ostatnich miesiącach powoli zaczęło do mnie docierać, że bycie dobrym uczniem wcale nie jest uważane za fajne, a szóstkę, w przeciwieństwie do tego, co można by przypuszczać, są traktowane jako oznaki pewnej niedoskonałości, wady charakteru, a nie odwrotnie. Moja pozycja od dawna spadała, teraz starałem się odwrócić ten proces i odzyskać dobrą opinię, chociaż oczywiście nie myślałem o tym aż tak konkretnie, opierałem się wyłącznie na przypuszczeniach i intuicji oraz na obserwacji reguł poprawności towarzyskiej, obowiązującej tu wszystkich. W odzyskiwaniu utraconej pozycji bardzo pomagała mi piłka nożna, bo na treningach miałem okazję poznać wielu chłopaków z ósmej albo i dziewiątej klasy, między innymi czterech czy pięciu takich, którzy cieszyli się prawdziwą popularnością zarówno wśród chłopców, jak i dziewcząt. Jako jedyny z całej mojej klasy mogłem na przykład podejść do grupy, w której stał Ronny, Geir Helge czy Kjell, i żaden z nich nie robił zdziwionej miny ani się ze mnie nie

wyśmiewał. Za bardzo się mną też nie interesowali, więc z ich strony nie mogłem liczyć na wiele, ale to wcale nie było najważniejsze, najważniejsze było bowiem, że mogłem z nimi stać i być widziany w ich grupie. Geir, Geir Håkon i Leif Tore z dnia na dzień z królów zmienili się w małych błaznów, tutaj byli zerami, musieli albo nowa budować swoją pozycję i Bóg jeden wiedział, czy im się to uda w ciągu tych trzech lat, które na to mieli. W ogóle nie patrzyłem już w ich stronę, chyba że w klasie, ale to się nie liczyło.

W ciągu pierwszych tygodni szkoły moim nowym najlepszym kumplem został Lars. Chodził do równoległej klasy i już samo to stanowiło pewną nowość, bo mieszkał w Bratteklev, gdzie my z Tybakken rzadko się zapuszczaliśmy. Trenował piłkę nożną, był towarzyski, znał wiele osób i dogadywał się ze wszystkimi. Miał kręcone jasnorude włosy, zawsze dobry humor, głośno się śmiał, był pewny siebie, żartował ze wszystkich, ale rzadko naprawdę złośliwie. Jego ojciec był dawnym mistrzem Europy w łyżwiarstwie szybkim, brał udział w kilku mistrzostwach świata i olimpiadach, między innymi w Squaw Valley, w ich piwnicy było pełno pucharów, medali, dyplomów, a nawet wielki, zasuszony i spłowiały wieniec laurowy. Był życzliwym i troskliwym, ale zdecydowanym mężczyzną, poślubił Dunkę, która ze wszystkich sił starała się nieba przychylić swoim najbliższymi.

Skoro miałem takiego przyjaciela jak Lars, wszystko, co wiązało się z Tybakken, spływało po mnie jak woda po gęsi. Jednocześnie sam się zmieniłem. Dokonało się to niemal z dnia na dzień. Przestałem myśleć o dobrych uczynkach, przeciwnie, zacząłem przeklinać, chodzić na cudze jabłka, tłukłem kamieniami latarnie i szyby w barakach, potrafiłem pyskować na lekcjach, no i przestałem się modlić. Wydawało mi się to niesły chaną wolnością! Uwielbiałem wyprawiać się na owoce do cudzych ogrodów, a im większe było ryzyko, tym lepiej. Zatrzymać rower rano w drodze do szkoły, wbiec do czyjegoś ogrodu, w biały dzień zerwać pięć czy dziesięć jabłek, a potem wsiąść na rower i jechać dalej, jakby nic się nie wydarzyło; sprawiało mi to przyjemność z rodzaju tych, jakich nigdy wcześniej nie zaznałem, a nawet nie miałem świadomości ich istnienia. Jeden z mijanych po drodze ogrodów założono całkiem niedawno, a na środku rosła jedna jedyna jabłoneczka, która wydała jeden jedyny owoc. Nie wymagało wyjątkowej empatii zrozumienie, że owo jabłko było niezwykle cenne dla ojca rodziny, który zasadził to drzewko wiosną, i dla dwójki jego malutkich dzieci, które zapewne codziennie spracowały, czy jabłko, dla nich będące jabłkiem przez duże J, już dojrzało. I właśnie to ich ukochane jabłko oglądałem codziennie po drodze do szkoły, i w końcu je zerwałem.

Nie zrobiłem tego wieczorem, po ciemku, kiedy szansa na dokonanie tego niepostrzeżenie była duża. O nie. Zrobiłem to rano. Po prostu odstawiłem rower, przelałem przez płot, przeszedłem po trawniku, zerwałem jabłko i w drodze powrotnej wbiłem w nie żęby. Otworzył się przede mną nowy świat. Jeszcze nie kradłem w sklepach, ale już o tym myślałem, stale rozważałem taką ewentualność. W domu natomiast się nie zmieniłem, zachowywałem się tylko bardziej swobodnie, byłem weselszy, więcej mówiłem, na co mama zapewne nie zwróciła szczególnej uwagi, bo brak swobody był zawsze silnie związany z obecnością taty, a jego wściekłość wybuchała w pełni tylko wtedy, gdy zostawaliśmy z nim sami. Z mamą i Yngvem zawsze byłem inny. Z mamą rozmawiałem o wszystkim, chociaż rzadko o tym, co miało bezpośredni związek ze światem zewnętrznym, zwierzałem jej się raczej z tego, co w danej chwili przychodziło mi do głowy, opowiadałem jej o różnych pomysłach i fantazjach. W tym czasie jednak zacząłem być

bardziej świadomy tego, co można mówić, a czego nie, zrozumiałem bowiem, jak ważne jest zachowanie jednego z tych światów w czystości i przejrzystości, bez wciągania do niego długich cieni z tego drugiego świata.

Tamtej jesieni oba te światy się otworzyły, lecz nie prowadziły do nich żadne mechaniczne wrota, przypominające bramę do garażu, te otwory były żywe, organiczne, jakby sterowane za pomocą mięśnia; co piątek, kiedy tata wracał do domu, świat domowy znów zamykał się wokół mnie i powtarzały się dawne schematy, więc starałem się tam przebywać jak najmniej. Ale podczas gdy świat w domu był znajomy i mimo swojej nieprzewidywalności zawsze tak sam, ten zewnętrzny stał się kompletnie nieogarniony, owszem, wydarzenia były wyraźne, nie budziły najmniejszych wątpliwości, lecz ich przychyty pozostawały mgliste i szare jak o zmierzchu.

W szkole, w starej sali gimnastycznej, co piątek działał klub. Wstęp mieli wszyscy uczniowie gimnazjum. Od paru lat było to dla mnie miejsce mityczne, równie pociągające, co nieosiągalne. Widziałem, jak starannie ubierał się Yngve, kiedy tam szedł, raz nawet włożył apaszkę; wiedziałem, że tam można potańczyć, pograć w ping-ponga, carrom i bilard, kupić colę i hot dogi, czasami pokazywano filmy, odbywały się koncerty i specjalne imprezy. O tym, że kiedyś i my uzyskamy dostęp do tego cudownego miejsca, sporo się mówiło, głównie wśród dziewcząt, bo z jakiegoś powodu to one najbardziej się z nim utożsamiały, jakby były przeznaczone głównie dla nich, ale my, chłopcy, również o tym rozmawialiśmy.

Pierwszego wieczoru, jadąc tam na rowerze, czułem się tak, jakbym miał przejść rytuał wtajemniczenia. Powietrze było chłodne, po drodze do szkoły minąłem kilka dziewczyn z siódmej klasy, wszystkie postarały się zrobić coś ekstra ze swoim wyglądem, żadna nie wyglądała zwyczajnie. Zaparkowałem rower przed szkołą, minąłem grupę palących, kupiłem bilet wstępu i wszedłem do ciemnej sali gimnastycznej, której nastrój całkowicie odmieniły kolorowe punktowe światła, migoczące kule dyskotekowe i muzyka dudniąca z dwóch ogromnych głośników. Rozejrzałem się. Było tam wiele dziewczyn z ósmych i dziewiątych klas, oczywiście żadna nawet nie zawiesiła na mnie oka, ale najwięcej przyszło siódmoklasistów, takich jak ja. Tylko dla nas klub miał interesujący posmak nowości.

Parkiet do tańca świecił pustkami. Większość dziewczyn siedziała przy stolikach pod ścianą, większość chłopców kręciła się po innych pomieszczeniach, tam gdzie znajdowały się stoły do ping-ponga i carrom, albo też wystawała przed wejściem, bo tam zawsze w ciągu wieczoru zbierała się banda motorowerowa. Wśród motorowerzystów sporo było chłopaków, którzy już skończyli gimnazjum, ale nie tak znowu dawno, bo wciąż interesowali się tymi dziewczynami.

Ale ja nie przyszedłem tutaj grać w ping-ponga ani po to, żeby sterczeć na parkingu z butelką coli w rękę. Lubiłem muzykę, lubiłem dziewczyny i lubiłem tańczyć.

Na pusty parkiet nie miałem odwagi wyjść. Ale już w chwili gdy jakieś dwie przyjaciółki zaczęły się po nim kręcić na próbę, a potem dołączyły dwie kolejne, ja też się odważyłem.

Pochłonięty rytmem i przyjemną świadomością, że jestem taki widoczny, przetańczyłem jeden utwór, drugi, w końcu poszedłem szukać znajomych. Kupiłem colę, usiadłem razem z Larsem i Erikim.

Cały mój charakter, moje zainteresowanie ubraniami, moje długie rzęsy i miękkie policzki,

moja przemądrzałość, nieumiejętne ukrywanie uzdolnień i łatwości, z jaką przychodziła mi nauka, wszystko to stanowiło odpowiedni podkład katastrofy wczesnego okresu dojrzwania. Sposób, w jaki się zachowywałem w te wieczory, nie poprawiał mojej pozycji. Ale ja o tym nie wiedziałem. Nie postrzegałem niczego z zewnątrz, przeżywałem wszystko w środku, gdzie liczył się tylko porywający rytm utworu *Funkytown*, niezwykły falset grupy Bee Gees, wpadająca w ucho piosenka *Hungry Heart* Springsteena, ciemność wypełniona migotaniem, wszystkie dziewczyny poruszające się tam ze swoimi biustami i udami, ustami i oczami, podniecające zapachy perfum i potu. Kompletnie oszołomiony wracałem do domu z tych piątkowych wieczorów, podczas których to, co zwyczajne, w magiczny sposób ulegało przemianom i nagle wydawało się czymś mrocznym, mglistym jak cień, lecz nieskończenie bogatym i kuszącym, przesyconym nadzieją i możliwościami. Mówiliśmy przecież o sali gimnastycznej! Tam była Sølvi, tam były Hege, Unni i Marianne! Byli Geir Håkon, Leif Tore, Trond i Sverre! Były hot dogi z ketchupem i musztardą! Stoliki i krzesła normalnie stały w naszych klasach. Na umocowanych do ścian drabinkach zazwyczaj wykonywało się ćwiczenia gimnastyczne. Ale to nie miało żadnego znaczenia, gdy nadciągała ciemność i wypełniały ją błyski światła, wtedy wszystko zanurzało się w czarodziejskim kręgu mroku i obietnic. Były jedynie ciemne oczy, cudownie miękkie ciała, bijące serca i rozedrgane nerwy. W pierwszy piątek wyszedłem z klubu odurzony, w następny szedłem tam pełen podniecenia i nadziei.

Genialność tego miejsca polegała przede wszystkim na tym, że dużo łatwiej było się zbliżyć do dziewczyn. Zwykle pozostawały poza zasięgiem, u wielu z nich w ostatnich miesiącach pojawiło się pewne zblazowanie, światowość, większość naszych zachowań uznawały za dziecinne, same zaś podczas przerw przesiadywały w słońcu pod ścianą szkoły z magnetofonami, gadały albo robiły na drutach, tworząc zamknięty krąg, do którego nie dało się przedrzeć. Owszem, próbowałem, bo wciąż mówiłem ich językiem, do niczego to jednak nie prowadziło i po ostatnim dzwonku rozchodziliśmy się do swoich spraw.

Ale w piątkowym klubie było inaczej. Tutaj można było podejść do dziewczyny i poprosić ją do tańca. Jeśli się nie sięgało zbyt wysoko, nie wybierało najładniejszej i najpopularniejszej dziewczątłokasistki, zawsze się udawało, zgadzały się i wtedy można było iść razem na parkiet, przy cisnąć się do miękkiego, ciepłego ciała i kołysać aż do końca utworu, z nadzieją, że rozwinię się z tego coś więcej, może później nastąpią ukradkowe spojrzenia i przelotne uśmiechy. Mimo że tak się nie działo, chwile te same w sobie były cenne, głównie z uwagi na kryjące się w nich obietnice przy szłego raję pełnej nagości. Wszystkie dziewczyny, z którymi do tej pory chodziłem, Anne Lisbet, Tone, Mariann i Kajsa, uczyły się w tej szkole i oczywiście pojawiały się w klubie, lecz chociaż wciąż zdarzało mi się czuć ukłucie w sercu, kiedy widziałem je z innymi chłopakami, były dla mnie jak martwe, zostawiłem je już za sobą. Nie chciałem od nich nic oprócz tego, by nikomu nie mówiły, jaki byłem. Szczególnie dotyczyło to Kajsy. Zrozumiałem przecież, że wtedy, w lesie, zachowałem się po prostu śmiesznie, postąpiłem jak kompletny idiota, wstydziałem się tego strasznie i już dawno postanowiłem, że nikomu o tym nie powiem, n i k o m u, nawet Larsowi. Zwłaszcza Larsowi. Ale Kajsa przecież nie miała żadnego powodu do wstydu, więc trochę ją obserwowałem, kiedy była gdzieś w pobliżu, sprawdzałem, czy się nie nachyli, nie szepnie komuś czegoś, po czym ten ktoś będzie zerkać na mnie. Tak się jednak nie zdarzyło. Cios spadł z innej, bardziej nieoczekiwanej strony. Już od czwartej klasy podobała mi się Lise z klasy

równoległej, była ładna, lubiłem na nią patrzeć, na jej uśmiech, na jej ciuchy, na jej ostrość, bo należała do tych, które się nie bały i głośno mówiły, jeśli się na coś nie zgadzały, ale rysy miała miękkie, a kiedy zaczęliśmy siódmą klasę, cudownie się zaokrągliła. Mój celownik coraz bardziej wyostrzał się właśnie na nią. Przyjaźniła się z Mariann, z którą kiedyś chodziłem. Gdy zamieszanie, które wybuchło po naszym zerwaniu, ucichło, siadaliśmy z Mariann czasem, żeby pogadać, albo razem wracaliśmy do domu. I właśnie w takiej sytuacji przekazała mi coś, co tamtego dnia powiedziała o mnie Lise.

Podobno kiedy wszedłem do starej sali gimnastycznej – w tygodniu mogliśmy na dużej przerwie jeść tam drugie śniadania – Lise, siedząca przy stoliku, przy którym wszystkie miejsca były zajęte, oświadczyła: „Fuj, rzygać mi się chce na jego widok. Aż dostaję dreszczy!”.

– Ja tak wcale nie uważam – dodała Mariann, kiedy już mi to zrelacjonowała. – Wcale nie uważam, żebyś był femi.

– Femi? – powtórzyłem.

– Tak, przecież wszyscy tak o tobie mówią.

– Co?

– Nie wiedziałaś?

– Nie.

Jakby istniała tajemna zmowa, by nie gadać tak o mnie otwarcie, dopóki nie zostanę o tym dobitnie, ale dyskretnie poinformowany, wkrótce po mojej rozmowie z Mariann zaczęto coraz częściej używać tego określenia, roznosiło się z prędkością światła. Nagle byłem ten femi, wszyscy mnie tak nazywali. Dziewczyny z mojej klasy, dziewczyny z innych klas, niektórzy chłopcy z mojej klasy, chłopcy z innych klas, nawet ci z drużyny piłkarskiej. Na którymś treningu John spojrzął na mnie i rzucił: „jesteś cholernie femi”. Podchwyciły to też młodsze dzieciaki, czwartoklasiści z osiedla, i nawet oni potrafili tak za mną wołać. Słyszałem to ze wszystkich stron. Femi, femi, femi. Zapadł wyrok, który nie mógł być gorszy. Jeśli się z kimś pokłóciłem, na przykład z Kristin Tamarą, odrzucała wszystkie moje argumenty, kompletnie mnie miażdżąc tym jednym słowem. Jesteś taki femi. Ty femi. Cześć, femi! Chodź tu, femi! Zadręczałem się tym, nie myślałem prawie o niczym innym, to było jak czarna ściana w mojej świadomości, od której nie można się oderwać. A najgorsze, że nic nie dało się z tym zrobić.

Nie wystarczyło przecież przez parę dni zachowywać się mniej kobieco, bo i tak nikt od razu by nie powiedział, że nie, jednak nie jestem femi. To utkwilo głęboko i miało tak tkwić przez całą przyszłość. Mieli na mnie haka i wykorzystywali go, jak tylko mogli. Z wyjątkiem Larsa, on mówił tylko, że mam się nie przejmować, i byłem mu za to szczerze wdzięczny, ponieważ kiedy się to zaczęło, najbardziej obawiałem się, że Lars się ode mnie odsunie, bo nagle będzie miał za dużo do stracenia. Ale tak się nie stało. Nie wykorzystywali też tego Geir, Dag Magne ani Dag Lothar. No i oczywiście nauczyciele ani rodzice. Ale wszyscy inni tak. To określenie podcinało mi skrzydła i odbierało wszelkie zalety; nie miało znaczenia, co robię i co potrafię, i tak pozostawałem femi.

Na jednej z lekcji biologii z panią Sørdsal, kiedy mieliśmy się uczyć o rozmnażaniu, Jostein z równoległej klasy, nasz bramkarz z drużyny, wemknął się do nas i usiadł w wolnej ławce. Początkowo nie został zauważony, lekcja się zaczęła, pani Sørdsal mówiła o homoseksualizmie,

a Jostein na to, że Karl Ove wie wszystko na ten temat! Przecież on jest homo! Niech mówi! Śmiechy rozległy się tylko tu i ówdzie, bo posunął się za daleko. Został wyrzucony z klasy, ale ziarno już zostało zasiane. Czyżbym był na dodatek homo? Czy właśnie o to chodziło? Sam zacząłem się nad tym zastanawiać. Byłem femi, może również homo, a to znaczyło, że nie ma już dla mnie nadziei. Nie było po co żyć. Świat nigdy nie wydawał mi się bardziej mroczny.

Oczywiście nic nie powiedziałem mamie, ale po kilku tygodniach zebrałem się na odwagę i zwierzyłem Yngvemu. Dogoniłem go, kiedy szedł pod górę w stronę sklepu.

– Spiesz ci się? – spytałem.

– Dość. A co?

– Bo mam problem.

– Jak?

– Przechybiaj mnie.

Spojrzał na mnie, ale przelotnie, jakby właściwie nie chciał o tym wiedzieć.

– Jak?

– Nooo... to...

Przystanął.

– Jak cię przechybiaj? Powiedz!

– Mówią, że jestem femi.

Yngve się roześmiał.

Jak mógł się z tego śmiać?

– To wcale nie takie straszne, Karl Ove.

– O Boże, właśnie że straszne! Nie rozumiesz?

– No to pomyśl sobie o Davidzie Bowiem. On jest androgyniczny. W roku to niezła rzecz, wiesz? David Sylvian też.

– Androgyniczny? – powtórzyłem, ogromnie rozczarowany, bo przecież nic nie rozumiał.

– Tak, dwupłciowy. Trochę kobiety, trochę mężczyzny. – Spojrzał na mnie. – To minie, Karl Ove.

– Ja tak tego nie widzę – oświadczyłem i zawróciłem do domu, a Yngve dalej szedł pod górę.

Miałem rację, to się wcale nie uspokoiło. Ale w jakimś sensie do tego przywykłem, tak już miało być, byłem femi i chociaż rzucało to długie cienie, a zdręczałem się tym jak niczym dotąd, wokół mnie działo się tyle innych rzeczy o takiej intensywności, że nawet to blakło.

Zajmowaliśmy się głównie waleśaniem. Waleśałem się właściwie zawsze, ale przez wszystkie te lata, gdy włóczyłem się z Geirem, naszym celem było odwiedzanie tajemnych miejsc, takich, które mogły być tylko nasze. Teraz stało się odwrotnie, z Larsem szukaliśmy miejsc, gdzie coś mogło się wydarzyć. Jeździliśmy stopem po całej wyspie, do Hove, jeśli tam się coś działo, na półwysp Skilsø, na wschodnią stronę, sterczeliśmy pod B-Maxem, w nadziei, że coś się stanie, że ktoś przyjdzie, kręciliśmy się na Finie, laźliśmy po mieście, jeździliśmy rowerami do nowej hali sportowej, chociaż nie mieliśmy treningu, do domu parafialnego, gdzie miał próby chór Ten Sing,

bo przy hali sportowej były dziewczyny, w Ten Sing były dziewczyny, a tylko o dziewczynach rozmawialiśmy i myśleliśmy. Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny. Która ma duże cycki, a która małe. Która może być kiedyś ładna, która już jest. Która ma najładniejszy tyłek Która ma najładniejsze nogi. Która ma najładniejsze oczy. U której moglibyśmy mieć szansę. Która jest nieosiągalna.

W pewien ciemny zimowy wieczór pojechaliśmy autobusem do Hastensund, mieszkała tam dziewczyna z chóru Ten Sing, blondynka, nieco pulchna, ale bardzo piękna, interesowaliśmy się nią, chociaż była o rok starsza. Poszliśmy do niej do domu i usiedliśmy w jej pokoju, niepewni, trochę pogadaliśmy, cały czas płonąć z żądzy, a w powrotnym autobusie emocje tak nas przepełniały, że ledwie zamieniliśmy kilka słów.

W któryś weekend, kiedy mama pojechała odwiedzić tatę w Kristiansand, Lars nocował u mnie. Jedliśmy chipsy i lody, piliśmy colę i oglądaliśmy telewizję. To było wiosną, w nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszy maja, telewizja miała nadać koncert rockowy, żeby zatrzymać w domach młodzież z Oslo, która zwykle tej nocy włóczyła się po ulicach i rzucała kamieniami. Nie mieliśmy żadnych pism pornograficznych, bo nie ośmieliłem się przynieść ich do domu, chociaż byliśmy sami, więc musiała nam wystarczyć książka *Insektssommer* Knuta Faldbakkena, ten fragment, który czytałem już tyle razy, że sama się na nim otwierała. Doszliśmy do wniosku, że nie możemy tak siedzieć tylko we dwóch, powinniśmy zaprosić jakieś dziewczyny, i Lars zaproponował Bente.

– Bente? – zdziwiłem się. – Jaką Bente?

– Tę, która mieszka tu niedaleko. Jest taka ładna.

– B e n t e? – prawie krzyknąłem. – Przecież ona jest od nas m ł o d s z a!

Widywałem ją całe życie, zawsze była mniejsza, nigdy się z nią nie liczyłem. Ale Lars zauważył, że ona już też zaczęła się rozwijać, miała cycki i w ogóle. I była ładna! Naprawdę ładna.

Nie zwróciłem na to uwagi, ale skoro tak mówił..

Błyskawicznie się ubraliśmy, pobiegliśmy pod górkę i zadzwoniliśmy do drzwi jej domu. Była zaskoczona naszą wizytą, ale, niestety, do mnie nie mogła przyjść. Nie tego wieczoru.

Okej, powiedzieliśmy, no to kiedy indziej.

Okej, kiedy indziej.

Wróciliśmy więc i znów zasiedliśmy przed telewizorem. Oglądaliśmy jeden zespół po drugim, rozmawiając o tym, co widzimy, i o wszystkich tych dziewczynach, z którymi chcielibyśmy to oglądać. Siv z mojej klasy, chociaż do tej pory też nigdy nie zwracałem na nią uwagi, nagle również zrobiła się interesująca. Ją także mogliśmy zaprosić. Co miało z tego wynikać, nie mieliśmy pojęcia.

I tak to trwało. Tak się włóczyliśmy, nie znajdując spokoju, dręczeni niespełnionym pożądaniem. Oglądaliśmy pornosy, patrzenie na te zdjęcia sprawiało fizyczny ból, były tak bliskie, a zarazem tak odległe, tak nieskończenie odległe, to jednak nie przeszkadzało im budzić w nas ogromnie silnych emocji. Na widok jakiejś dziewczyny miałem ochotę krzyknąć na całe gardło, przewrócić ją i zedrzeć z niej ubranie, od samej myśli ścisnęło mnie w gardle i serce zaczynało walić jak młotem. Wprost nie do wiary, że one wszystkie, kiedy stały obok nas, były

pod ubraniami nagie i że teoretycznie mogły te ubrania zdjąć. To było niewyobrażalne.

Jakto możliwe, że wszyscy o tym wiedzą i nie wpadają w kompletny amok?

Wypierają to z myśli, udają, że to nieprawda?

W każdym razie ja nie potrafiłem. Nie myślałem o niczym innym, tylko to miałem w głowie, odkąd się budziłem rano, aż do zaśnięcia.

Tak oglądaliśmy pisma pornograficzne. Graliśmy też w karty, wszędzie i we wszystkich sytuacjach wyciągaliśmy talię i rozdawaliśmy. Odwiedzaliśmy się w domach, chodziliśmy do klubu, słuchaliśmy muzyki, graliśmy w piłkę, kąpaliśmy się w morzu tak długo, jak pozwalała temperatura, chodziliśmy na jabłka, wałęsaliśmy się to tu, to tam, i cały czas gadaliśmy.

Kjersti?

Marianne?

Tove?

Bente-Lill?

Kristin?

Lise?

Anne Lisbet?

Kajsa?

Mariann?

Lene?

Siostra Lene?

M a t k a Lene?

Nigdy potem w życiu nie miałem takiego rozeznania w czymkolwiek, jak wtedy w dziewczynach, które nas otaczały. Później mogłem mieć wątpliwości, czy *En Australiareise* to właściwie dobra, czy zła powieść, albo czy Hermann Broch jest lepszym pisarzem niż Robert Musil, ale przynigdy nie wątpiłem, że Lene jest bardzo ładna i że to zupełnie inna klasa niż na przykład Siv.

Lars robił też sporo rzeczy osobno, między innymi dużo żeglował, zarówno z rodzicami, jak i sam, łodzią klasy Europa. Dobrze jeździł na nartach, o wiele lepiej ode mnie, niekiedy wybierał się z ojcem do Åmli albo do Hovden, cały czas spotykał się też ze swoimi dawnymi kumplami, Erikiem i Sveinungiem. Kiedy był zajęty, zamykałem się w pokoju, słuchałem muzyki, czytałem książki, rozmawiałem z Yngvem albo z mamą. Do lasu albo na Górę, na pływające pomosty czy do Gamle Tybakken już nigdy nie chodziłem.

Którejś niedzieli późną zimą pojechałem rowerem do Larsa. Wybierał się do Åmli z ojcem i Sveinungiem, by pojeździć na tamtejszych stokach. Wyjazd zaplanowali już dawno i nie mogli mnie zabrać. Kiedy to usłyszałem, poczułem tak wielkie, nieoczekiwane rozczarowanie, że w oczach zakręciły mi się łzy. Lars to zauważył, odwróciłem się więc i odjechałem. Łzy to było już kompletne dno.

Kiedy dotarłem do domu, zadzwonił. Powiedział, że jest miejsce i dla mnie. Mogli po mnie

zajechać. Powiniennem był odmówić, pokazać, że mi nie zależy, i jasno dać mu do zrozumienia, że te łyż, które, jak po nim poznałem, bardzo mu się nie spodobały, wcale nie były łyżami, to tylko wina paprocha w oku, rogówki podrażnionej wiatrem. Nie potrafiłem jednak zrezygnować. W Amlu był duży stok narciarski z wyciągiem i całą otoczką, nigdy tam nie jeździłem, więc schowałem dumę do kieszeni i pojechałem z nimi.

Jego ojciec szusował na nartach z elegancją rodem z lat pięćdziesiątych, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem.

Ale te łyż rozczarowały Larsa, rozczarowały również mnie. Dlaczego nie mogły przestać płynąć, chociaż miałem już trzynaście lat? Nie było dla nich żadnego wytłumaczenia.

Raz na godzinie zajęć technicznych, kiedy John nagle zaczął się ze mną drażnić, tak się wkurzyłem, że z całej siły uderzyłem go w głowę wytoczoną z drewna miską, a łyż oczywiście trysnęły mi z oczu. Jego musiało zboleć, mnie wyrzucono z klasy, ale on się tylko śmiał. Później, kiedy podszedł, żeby mnie przeprosić, powiedział: „Nie wiedziałem, że się rozplaczesz, naprawdę nie chciałem”. Wszyscy to widzieli, widzieli, jaki jestem słaby i żaloszny; w tej jednej chwili wszelkie wysiłki, które podejmowałem, żeby uchodzić za twardszego, poszły całkowicie na marne. John, który pokazał goły tyłek nauczycielowi już pierwszego dnia w nowej szkole, a kiedy indziej przyszedł na lekcje ze zgolonymi brwiami, zaczął wagarować i wszyscy uważali, że jest jednym z tych, którzy pójdą do pracy już w ósmej klasie. Ale chciano go ratować. Ja usiłowałem ratować się sam. Lars miał w garażu sztangę, sprzęt należał do jego ojca, ale on też ćwiczył, więc któregoś popołudnia spytałem, czy i ja mógłbym spróbować.

– Jasne, próbuj!

– A ile podnosisz? – spytałem.

Powiedział.

– Nałożysz mi?

– Sam nie możesz?

– Nie wiem jak

– Okej. No to chodź.

Zszedłem z nim na dół. Założył obciążniki i umieścił sztangę na miejscu. Spojrzał na mnie.

– Muszę to zrobić na osobności – powiedziałem.

– Wygłupiasz się?

– Nie. Idź na górę. Niedługo przyjdę.

– Okej.

Po jego wyjściu położyłem się na ławce. Sztangi nie zdołałem nawet ruszyć. Nie podniosłem jej ani o centymetr. Zdjąłem połowę obciążników. Ale nawet wtedy zdołałem ją unieść jedynie dwa, może trzy centymetry.

Wiedziałem, że trzeba ją opuścić na pierś i unosić aż do wyprostu ramion.

Zdjąłem jeszcze dwa krążki.

Ciągle nie dawałem rady.

W końcu zdjąłem wszystkie i kilka razy podniosłem i opuściłem gryf. Sam gryf.

- No i jak ci poszło? – spytał Lars, kiedy wróciłem na górę. – Ile dźwignąłeś?
– Nie tyle co ty, dwa musiałem zdjąć.
– No to przecież świetnie, widzisz? – powiedział Lars.
– Tak mówisz?

Przez wszystkie te lata, odkąd chodziłem z Anne Lisbet w pierwszej klasie, wierzyłem, że za każdym razem czegoś się ucze. Że z każdą nową dziewczyną będzie mi szło coraz lepiej. Że Kajsa była ostatnią porażką. Po niej już wszystko będzie dobrze, bo już wiem, o co chodzi, i uniknę wszelkich błędów.

Stało się jednak inaczej.

Zakochałem się w Lene. Chodziła do równoległej klasy. Urodą przewyższała wszystkie dziewczyny w szkole. Nie miała konkurencji. Była najładniejsza, lecz również nieśmiała, a z takim zestawieniem wcześniej się nie zetknąłem. Miała w sobie delikatność, której trudno było nie ulec i o niej nie marzyć.

Jej siostra, Tove, chodziła do dziewiątej klasy i stanowiła przeciwieństwo Lene. Również bardzo ładna, ale w dzikszy, wyzywający, bardziej szelmowski sposób. Obie miały wielkie powodzenie.

Ale Lene wielbiono po cichu, była taką dziewczyną, na którą się patrzyło i której pragnęło się skrycie. Przynajmniej ja. Miała wąskie oczy, mocno zaznaczone kości policzkowe, miękkie, blade policzki, nierzadko z leciutkim rumieńcem, była wysoka i szczupła, chodziła z lekko przechyloną głową i często splatała dłonie. Ale miała też w sobie coś z siostry, uwidaczniało się to czasami, gdy się śmiała, w tym błysku, który ukazywał się w niebieskozielonych oczach, a także w uporze i pewności siebie, tak trudnych do połączenia z dominującym u niej wrażeniem rozmarzonej delikatności. Lene była jak róża. Obserwowałem ją i w końcu zacząłem trzymać głowę tak jak ona. W ten sposób nawiązywałem z nią kontakt, w ten sposób zaczynało istnieć między nami połączenie. Na nic więcej właściwie nie mogłem mieć nadziei, bo zbyt wysoko ją ceniłem, by ośmielić się do niej zbliżyć jakkolwiek inaczej. Na przykład pomysł, by poprosić ją do tańca, wydawał się absurdalny. Nawet odezwanie się do niej nie wchodziło w grę. Poprzestałem więc na przyglądaniu się jej i na marzeniach.

Zamiast z nią zacząłem chodzić z Hilde. Sama mi to zaproponowała, zgodziłem się. Była w tej klasie co Lene, o pół głowy wyższa ode mnie, miała dość potężne, mocne, niemal męskie ciało, ale delikatne rysy i miły, życzliwy charakter. Zerwała ze mną dwa dni później, stwierdziwszy: „nie jesteś we mnie ani trochę zakochany, dla ciebie istnieje tylko Lene”.

Odparłem, że się myli, ale oczywiście miała rację. Wszyscy wiedzieli o moim zauroczeniu, nie myślałem o niczym innym i kiedy podczas przerw wychodziliśmy na szkolny dziedziniec, zawsze wiedziałem, gdzie jest Lene i z kim, a to nie mogło pozostać niezauważone.

Któregoś dnia Lars powiedział, że słyisał od kogoś, kto z kolei słyisał, jak Lene mówi, że wcale tak źle o mnie nie myśli. Mimo że byłem femi. Mimo że poryczałem się na zajęciach technicznych. Mimo że za wolno biegałem po boisku i że ledwie dałem radę dźwignąć sam gryf sztangi.

Wpatrywałem się w nią na szkolnym dziedzińcu. Wyczuła moje spojrzenie i uśmiechnęła się,

ale zaraz się odwróciła, lekko zaczerwieniona.

Pomyślałem, że muszę wykorzystać szansę, skoro już się nadarzyła. Pomyślałem, że teraz albo nigdy. Pomyślałem, że nie mam nic do stracenia. Pomyślałem, że jeśli się nie zgodzi, po prostu wszystko będzie jak dawniej.

Natomiast jeśli się zgodzi...

Dlatego w któryś piątek posłałem do niej Larsa z pytaniem. Przez sześć lat chodzili do jednej klasy, więc dobrze ją znał. Wrócił uśmiechnięty.

– Zgodziła się – oświadczył.

– Naprawdę?

– Tak. Chodzisz teraz z Lene.

I znów zaczęło się to samo.

Czy miałem od razu do niej podejść?

Popatrzyłem w jej stronę. Uśmiechnęła się.

A jak podejść, to co powiem?

– Idź do niej – polecił Lars. – Ucałuj ją ode mnie.

Nie popchnął mnie, ale mało brakowało.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparła.

Spuściła głowę, jedną stopą leciutko poruszała po asfalcie.

Boże, jaką ona piękna!

Ojej.

– Dziękuję, że się zgodziłaś – wyrwało mi się.

– Nie ma za co. Jaką masz następną lekcję?

– Następną lekcję?

– Tak.

– Hm. Norweski?

– To chyba ty powinieneś wiedzieć.

Dzwonek.

– Zobaczmy się później? – spytałem. – To znaczy po szkole?

– Możemy. Mam trening w hali, więc może potem.

Pytanie nie brzmiało, jak to się ułoży, tylko ile dni minie, kiedy przestanie się układać i Lene ze mną zerwie. Wiedziałem o tym, ale mimo wszystko próbowałem. Musiałem walczyć, przecież nic nie jest z góry przegrane, a ona i tak nieustannie była we mnie w każdej minucie, w postaci nieprzemijających emocji, a zarazem mglistych wyobrażeń na temat jej osoby i charakteru. Tak musiałem walczyć, chociaż właściwie nie miałem czym. Nie wiedziałem nawet, na czym polega ta walka. Na zatrzymaniu jej, ale w jaki sposób? Pozostając sobą? Nie rozmieszczać mnie. Nie, musiałem odcinać kupony od innych, tyle rozumiałem, dlatego w ciągu tych

spędzanych z nią dni szukałem towarzystwa innych osób, żeby cały ciężar prowadzenia rozmowy nie spoczywał wyłącznie na mnie. Z Lene do hali sportowej, z Lene nad jezioro Tjenna, z Lene na przystań promów na Skilsø. W szkole rozdano nam Biblię, od następnej jesieni miały się zacząć przygotowania do konfirmacji. Wymyśliłem, że spytam ją, co zrobiła ze swoim egzemplarzem, bo wtedy mogłem jej powiedzieć, że swój wyrzuciłem, no i już miałem temat do rozmów, mogłem pytać ludzi, z którymi się spotykaliśmy, jak potraktowali swoją Biblię. Lene słuchała, Lene chodziła ze mną, Lene zaczęła się nudzić. Była różą, całowaliśmy się na skrzyżowaniu, na szkolnym dziedzińcu trzymaliśmy się za ręce, ale ja byłem tylko małym chłopcem i chociaż po zdjęciu aparatu miałem zupełnie proste zęby, to nie wystarczyło, Lene się ze mną nudziła, a któregoś wieczoru, kiedy wybrała się ze mną na trening piłki nożnej, zobaczyłem, że zeszła z trybuny i gdzieś zniknęła. Nie było jej przez całą ostatnią godzinę. Poszedłem z chłopakami do szatni, już przeczuwając, że coś jest nie tak. Zatrzymałem się przy wyjściu koło recepcji, tam gdzie stał też automat z colą, i wyjrzałem. Zobaczyłem Lene Rasmussen i Vidara Eikera. Rozmawiali i śmiali się, a ja właśnie po sposobie, w jaki się śmiała, zorientowałem się, że to już koniec. Vidar Eiker w zeszłym roku skończył dziewiątą klasę, zaliczał się do grupy kręcącej się na Finie i miał własny motorower, o który się teraz opierał.

Zawróciłem na trybuny i tam usiadłem.

Pół godziny później podeszła do mnie Hilde. Siadła obok.

– Mam złe wiadomości, Karl Ove – powiedziała. – Lene z tobą zrywa.

– Wiem. – Odwróciłem głowę, żeby nie zauważyła spływających po policzkach łez, ale mimo wszystko je dostrzegła, bo poderwała się jak oparzona.

– Płaczesz?

– Nie.

– Ty ją naprawdę kochasz? – spytała zdumiona.

Milczałem.

– Ależ Karl Ove!

Jedną ręką wytarłem łzy, westchnąłem przeciągle.

– Ona tam jeszcze stoi? – spytałem.

Hilde potwierdziła.

– Wyjść razem z tobą? – spytała.

– Nie, nie. Po prostu idź.

Kiedy zniknęła na końcu trybun, wstałem, zarzuciłem torbę na plecy i wyszedłem. Jeszcze raz wytarłem łzy, pospieszyłem przez korytarz do holu i otworzyłem drzwi, za którymi stali.

Minąłem ich ze spuszczoną głową.

– Karl Ove! – zawołała Lene.

Nie odpowiedziałem. I gdy tylko nie mogli mnie już widzieć, puściłem się biegiem.

Lene zaczęła chodzić z Vidarem, a ja przez kilka miesięcy byłem załamany, ale potem przyszła wiosna i swoją mocą odsunęła wszystkie troski na bok. Ósmo- i dziewiątoklasiści na tydzień wyjechali na obóz, w szkole zostały same siódme klasy. W tych dniach opętała nas pewna

mania, zaczęliśmy napastować koleżanki, jeden podbiegał od tyłu i podciągał sweter, drugi od przodu dotykał nagich piersi, a dziewczyny się wyrywały i krzyczały, ale nigdy na tyle głośno, by usłyszał to któryś z nauczycieli. Robiliśmy to na korytarzach, na szkolnym dziedzińcu i na tych odcinkach drogi do szkoły, przy których nie było domów. Krążyły plotki, że Mini, Øystein i jeszcze kilku innych z bandy z Finy dobrali się do Kjersti, przytrzymali ją, ściągnęli jej spodnie i wtykali w nią palce, więc któregoś wieczoru Lars i ja też się do niej wyprawiliśmy, może sądząc, że uda nam się przeżyć coś podobnego, ale gdy zadzwoniliśmy do drzwi, otworzył nam jej ojciec, a kiedy Kjersti zeszła i spytaliśmy, czy możemy wejść, zdecydowanie odmówiła, powiedziała, że za nic nas nie wpuści.

Lecz błysk w jej oczach był jeszcze bardziej bezczelny niż ten w naszych. Doskonale wiedziała, po co przyszliśmy. Kilka tygodni później spotkaliśmy się na targach sprzętu pływającego w Hove. Lars i ja sprzedawaliśmy na stoisku Trauma losy na loterię, ale los wygrywający schowaliśmy i zabraliśmy ze sobą, kiedy inni przyszli nas zmienić. Długo chodziliśmy po targach, oglądaliśmy łodzie i ludzi, żeby nie wzbudzić podejrzeń, bo w planach już mieliśmy wcale nie małe oszustwo; niby przypadkiem zatrzymaliśmy się przy stoisku, kupiliśmy po losie, rozwinęliśmy je i podczas gdy ja podsunąłem swój sprzedającym przed nos, pytając, czy coś trafiłem, Lars wymienił ten kupiony na wygrywający. Christian i John, którzy wtedy obsługiwali stoisko, nie chcieli uwierzyć, gdy Lars podał im los z wygraną. Oświadczyli, że jest stary. Uparcie trwaliśmy przy swoim, aż w końcu zgodzili się dać nam połowę wygranej. Przystaliśmy na to i wyszliśmy z ogromną bombonierką pod pachą, pękając ze śmiechu, ale również obawiając się konsekwencji tego, co zrobiliśmy. Tuż przed wejściem natknęliśmy się na Kjersti.

– Przejdiesz się z nami? – spytał Lars.

– Jasne – odparła, a ja się wtedy takdziwnie poczułem.

Przez las zeszliśmy aż na plażę z otoczków. Tam się rozłożyliśmy i zaczęliśmy jeść czekoladki.

Kjersti była w czerwonych spodniach i niebieskiej puchówce. Nic nie powiedziała, kiedy lekko pogłaskałem ją po udzie. Nawet wtedy gdy dotknąłem wewnętrznej strony. Lars tak samo dotykał jej drugiej nogi.

– Wiem, czego chcecie – stwierdziła. – Ale tego nie dostaniecie.

– Niczego nie chcemy. – Z trudem przełknąłem ślinę, bo gardło mi się ścisnęło z pożądania.

– Niczego – zawtórował Lars.

Pogłaskałem ją po kroczu, przyłożyłem do niego całą rękę i gotów byłem wykrzyzczeć swoje szczęście i frustrację. Lars rozpiął Kjersti kurtkę i wsunął jej rękę pod sweter. Zrobiłem to samo. Miała bladą, ciepłą skórę. Dotarłem do piersi. Brodawki były sztywne, piersi jędrne. Znów zacząłem ją głaskać po udzie, znów dotknąłem jej krocza, ale potem, cały czas przełykając ślinę, popełniłem ten błąd, że rozpiąłem suwak jej spodni.

– O nie! – zawołała. – Co ty sobie właściwie myślisz?

– Nic.

Wyprostowała się, obciągnęła sweter.

– Zostały jeszcze jakieś czekoladki? – spytała.

– No pewnie – odparł Lars.

I dalej tam siedzieliśmy, jedliśmy czekoladki i patrzyliśmy na morze, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Fale, w momencie gdy uderzały w niskie, gładkie szkiery, przypominały nawisy śnieżne. Nad nami krążyło kilka mew, trzepocząc skrzydłami. Kiedy już opróżniliśmy pudełko, wstaliśmy i przez las wróciliśmy na teren targów. Kjersti rzuciła nam: „na razie, do zobaczenia później”, więc postanowiliśmy iść do domu. Ale żeby to zrobić, musieliśmy jeszcze zajrzeć na stoisko, bo tam zostały nasze rowery. Był tam również nasz trener, Øyvind, i na nasz widok wcale się nie uśmiechnął. Wyparliśmy się wszystkiego. Powiedział, że nie jest w stanie niczego nam udowodnić, ale wie, co zrobiliśmy, bo inaczej dlaczego zadowolilibyśmy się połową wygranej? Ciągłe wszystkimu zaprzeczaliśmy. Stwierdził, że jest rozczarowany i że tego dnia nie chce nas już więcej widzieć. Wróciliśmy do domów.

W poniedziałek, jeszcze przed lekcjami, Lars podciągnął sweter Siv, a ja przytknąłem obie ręce do jej piersi. Zaczęła krzyczeć, wyzwała nas od dzieciaków, a chwilę później spokojnie odeszła.

Na pierwszej lekcji, którą był norweski, wszyscy mieliśmy iść do biblioteki, wybrać sobie książkę, po czym przeczytać ją w ciągu tygodnia i napisać o niej wypracowanie. Oświadczyłem, że przeczytałem już wszystko w bibliotece. Pan Kolloen mi nie uwierzył. Ale to była prawda. Przy każdej wyciąganej z półki pozycji pytał mnie, o czym jest, a ja mu odpowiadałem. W końcu pozwolił mi napisać o jakiejś innej książce. To oznaczało, że podczas tej lekcji nie mam co robić. Wyjąłem podręcznik do historii i usiadłem na ławce pod oknem. Na dworze było mgliście, ale ciepło. Szkolny dziedziniec całkiem pusty. Przerzucałem kartki, oglądając ilustracje.

Nagle na jednej zobaczyłem nagą kobietę. Była tak chuda, że biodra sterczały jej jak talerze, wyraźnie widać było wszystkie żebra. Między nogami miała nieduży czarny kłębek. Za nią stał rząd piętrowych łózek, na nich dostrzegłem inne kobiety. Zadrzałem.

Nie wstrząsnęła mną chudość tej kobiety, tylko to, że mimo nagości nie była w żaden sposób pociągająca, a poza tym zdjęcie na następnej stronie pokazywało stos trupów ułożonych obok głębokiego dołu, do którego wrzucono ich jeszcze więcej. Widziałem, że nogi to tylko nogi, ręce to tylko ręce, nosy to tylko nosy, a usta to tylko usta, coś, co gdzieś wyrosło, a teraz leżało ciśnięte na ziemię. Kiedy wstawałem, czułem mdłości i kompletne zagubienie. Ponieważ nie wiedziałem, co z tym zrobić, wyszedłem na dwór i usiadłem pod murem. Słońce grzało, chociaż było zasłonięte mgiełką. Wysoka trawa, rosnąca w szczelinach i zagłębieniach niewielkiej skały na środku dziedzińca, otoczonej murkiem i asfaltem, lekko się kołysała na delikatnym wietrze. Mdłości nie mijały. Jakby przyłgnęły do wszystkiego, co widziałem. Do zielonej trawy, żółtych mleczy, nagich piersi Siv, grubych ud Kjersti, przy pominiętej szkielet kobiety w książce.

Wstałem i wróciłem do klasy. Zawołałem Geira, podszedł do mnie i popatrzył pytająco.

– Znalazłem zdjęcie nagiej babki. Chcesz zobaczyć?

– Jasne.

Otworzyłem książkę, pokazałem mu wychudzoną kobietę.

– To ta.

– O cholera! – powiedział Geir. – Fuj!

– O co chodzi? – spytałem. – Przecież jest naga.

– Fuj! – powtórzył Geir. – Wygląda jak martwa.

Właśnie tak wyglądała. Jak żywy trup. Albo jak martwe życie.

W następnym weekend pojechałem z mamą w odwiedziny do taty. Dziwnie się czułem, widząc go w jego mieszkaniu. Znajdowało się wysoko w bloku, było zupełnie białe, wydawało się całkowicie wypełnione słońcem, które wpadało przez okna, a stało w nim tak mało mebli, jakby nikt tu nie mieszkał.

Co on tam robił?

Zawiózł nas do dziadków, zjedliśmy u nich obiad, a potem pojechał z nami do domu. Wciąż jeszcze nie zostało ustalone, kiedy się przeprowadzamy, to zależało od wielu różnych rzeczy, należało najpierw sprzedać dom, kupić nowy, mama musiała znaleźć pracę, my musieliśmy zmienić szkoły, więc za bardzo nie zaprzętałem sobie tym głowy. Ale nie widziałem nic złego w opuszczeniu osiedla i szkoły. Miałem wrażenie, że tutaj wyłożyłem już wszystkie swoje karty. Popełniałem błąd za błędem. Na przykład któregoś dnia po gimnastyce, kiedy stałem na korytarzu przed klasą, podeszła do mnie Kjersti.

– Wiesz co, Karl Ove... – zaczęła.

– Nie – odparłem, ale przeczuwałem już najgorsze, bo minę miała złośliwą.

– Właśnie rozmawialiśmy o tobie w szatni. I okazało się, że żadna dziewczyna w klasie cię nie lubi.

Nic nie powiedziałem, tylko na nią patrzyłem, ogarnięty w jednej chwili gwałtownym gniewem.

– Słyszałeś? – ciągnęła. – Nie lubi cię żadna dziewczyna w klasie!

Z całej siły wymierzyłem jej policzek. Nagle zamieszanie i głośnie plaśnięcie, od którego jej policzek się zaczerwienił, sprawiły, że wszyscy zaczęli się odwracać.

– Ty draniu! – krzyknęła i zaciśniętą pięścią uderzyła mnie w usta. Złapałem ją za włosy i pociągnąłem. Wymierzyła mi cios w brzuch, kopnęła mnie w łydkę i też złapała za włosy. W całej tej kotłowaniu ciosów, uderzeń i szarpnięć ja, biedaczek żaloszny, nędzny gówniarz, znów się rozplakałem. Nagle miarka się przebrała. Z piersi wyrwał mi się idiotyczny szloch, a wśród wszystkich, którzy w ciągu kilku sekund zebrali się wokół nas, rozniosła się wieść o moim płaczu. „On płacze”, wołano, słyszałem to, ale nic nie mogłem zrobić. W końcu za kółkiem złapała mnie czyjaś wielka dłoń. To był pan Kolloen. W podobny sposób trzymał Kjersti, pytając: „co to, na miłość boską, ma znaczyć, b i j e c i e s i ę?”. Powiedziałem, że nic się nie dzieje, Kjersti też powiedziała, że nic się nie dzieje, ale trzymanym w ten sposób przez nauczyciela, zostaliśmy zaprowadzeni do klasy. Ja ostatecznie pohańbiony, bo złamałem nie tylko zasadę mówiącą, że nigdy nie wolno płakać, ale też tę zakazującą wszelkich bójek z dziewczynami, Kjersti jako bohaterka, bo nie dość, że została pobita i sama oddawała, to poza wszystkim nie płakała.

Jaknisko właściwie można upaść?

Pan Kolloen kazał nam podać sobie ręce. Tak zrobiliśmy. Kjersti przeprosiła i uśmiechnęła się do mnie. Ten uśmiech wcale nie był drwiący, tylko szczery, jakby coś nas połączyło.

Co to miało znaczyć?

W ostatnim tygodniu maja nadciągnęły upały i całą klasą wybraliśmy się nad zatokę Bukkevika, żeby się kąpać. Piasek był biały, morze niebieskie, a na niebie płonęło słońce.

Z morza wysła Anne Lisbet.

Miała na sobie majtki od kostiumu i biały T-shirt, mokry, więc oblepił jej okrągłe piersi. Mokra czarna włosy błyszcząły w słońcu. Uśmiechała się szeroko. Patrzyłem na nią, nie mogłem się powstrzymać, ale wyczułem coś obok siebie i odwróciłem głowę. Przy mnie stał pan Kolloen i też na nią patrzył.

Między naszymi spojrzeniami nie było żadnej różnicy, rozumiałem to natychmiast. On widział to samo co ja i to samo myślał.

O Anne Lisbet.

Miała trzynaście lat.

Nie trwało to nawet sekundy, pan Kolloen spuścił wzrok od razu, gdy na niego spojrzałem, ale mnie to wystarczyło i rozumiałem coś, z czego istnienia jeszcze przed chwilą nawet nie zdawałem sobie sprawy.

Trzy dni później tata zabrał mnie ze szkoły. Jechaliśmy oglądać dom, położony nad rzeką, dwadzieścia kilometrów od Kristiansand, który ewentualnie mieliśmy kupić. Miałem wyrazić swoje zdanie i mówić szczerze. Obserwując sposób, w jaki tata opowiadał, że jest tam stodoła, że dom jest stary, z dziewiętnastego wieku, działka duża, można mieć zwykły ogród i warzywnik, że rosną tam stare, wielkie drzewa owocowe i da się nawet trzymać kury, a oprócz tego uprawiać własne ziemniaki, marchew i zioła, od razu zdecydowałem, że wyrażę zachwyt, bez względu na to, czy mi się spodoba, czy nie.

Kiedy tam przyjechaliśmy, niebo było błękitne, trawa zielona, a rzeka błyszcząca w dole. Biegałem od okna do okna, rozglądając się i okazując entuzjazm, nie do końca nieszczerzy, po prostu lekko przesadzony, i było po sprawie. Gdyby się udało, miał być nasz. Mama złożyła podanie o pracę w szkole pielęgniarskiej, tata miał kontynuować nauczanie w liceum, a ja iść tu do nowej szkoły. Pozostawało dość niejasne, co dalej z Yngvem. Bo on się nie zgodził. Pierwszy raz w życiu sprzeciwił się tacie. Pokłócili się, a wcześniej nigdy się to nie zdarzyło. Nigdy nie kłóciliśmy się z tatą. To on na nas krzyczał, my to przyjmowaliśmy.

Ale tym razem Yngve się zbuntował.

Tata był wściekły.

Yngve jednak nie ustępował.

– Nie będę kończył ostatniej klasy w Kristiansand – oświadczył. – Niby dlaczego? Tutaj mam wszystkich kolegów, zostałem mi tylko rok liceum. To bez sensu zacząć gdzie indziej.

Stali w salonie. Yngve wzrostem zrównał się z tatą.

Wcześniej tego nie zauważyłem.

– Tobie się może wydawać, że jesteś dorosły – mówił tata. – Ale nie jesteś. Masz jechać z rodziną!

– Nie.

– Ach tak A czy możesz powiedzieć, jak zamierzasz dać sobie radę? Bo ode mnie nie dostaniesz złamanego øre.

– Wezmę kredyt – oświadczył Yngve.

– A jak myślisz, kto ci da kredyt? – spytał tata.

– Przyśluguje mi kredyt studencki – odparł Yngve. – Już sprawdzałem.

– Chcesz wziąć kredyt studencki przed rozpoczęciem studiów? Rzeczywiście świetny pomysł.

– Skoro muszę, to muszę – stwierdził Yngve.

– A gdzie będziesz mieszkał? Bo dom sprzedamy.

– Wynajmę pokój.

– No to wynajmuj! Ale od nas nie oczekuj żadnej pomocy. Ani korony, rozumiesz? Jeśli chcesz tu mieszkać, to mieszkaaj, ty lko nie przychodź do nas po pomoc. Masz sobie radzić sam.

– W porządku – powiedział Yngve. – Będzie dobrze.

I tak się stało.

Nadszedł ostatni dzień roku szkolnego, a ponieważ już wcześniej ogłoszono, że się przeprowadzam, moi koledzy, z którymi przez siedem lat chodziłem do jednej klasy, kupili mi pożegnalne prezenty. Najpierw dostałem główkę kapusty, ponieważ moje imię Karl, jak zwracali się do mnie niektórzy, w dialekcie wymawiane było jak „kål”, czyli kapusta, i z czasem to przewisko do mnie przyłgnęło. Potem dostałem pluszową małąkę, bo byłem podobny do mały.

To wszystko.

Wysliśmy z klasy, ja z przekonaniem, że już nigdy więcej ich nie zobaczę.

Ale to jeszcze nie był tak całkiem koniec. Wieczorem odbywała się impreza klasowa u Unni. Kilka dziewczyn spotkało się wcześniej, żeby ją przygotować, a około szóstej zjechaliśmy się wszyscy na rowerach. Impreza częściowo odbywała się w ogrodzie, a częściowo w suterenie, i podczas gdy letni zmierzch z wolna opadał na wzgórza, a czerwone dachy na osiedlu lśniły w blasku zachodzącego słońca, zabawa zaczynała wymyłać się spod kontroli, chociaż nikt nie pił, a snute przez rok sekretne myśli i żądze zaczęły szukać ujścia, czuło się to w powietrzu. Ręce wsuwały się pod bluzki bez brutalnych wstępów, przy wtórze zdyszanych oddechów pod osłoną krzewów bzu w ogrodzie, stykały się usta, całowały wargi, kilka dziewczyn rozebrało się do pasa i przechadzało, kołysząc piersiami, powoli budował się nastrój pokwitaniowej orgii, a te same dziewczyny, które zaledwie miesiąc wcześniej twierdziły, że mnie nie lubią, po kolei do mnie podchodziły, siadały mi na kolanach, całowały mnie, ocierały się piersiami o moją twarz. Ich hierarchia, ta drabina, po której jedne powoli się wspinały od jesieni, a inne z niej spadały, nie odgrywała już żadnej roli, przestała mieć znaczenie, wszystko jedno, która podchodziła, wcisnąłem głowę w ich miękkie biusty, całowałem ciemne, sztywne brodawki, gładziłem dłońmi uda i wsuwałem ręce między ich nogi, nie protestowały. Tego wieczoru odmowa nie przechodziła im przez usta, nachylały się i mnie całowały, ich oczy były ciepłe i ciemne, ale też zdumione, prawdopodobnie taksamo jak moje, naprawdę to robimy?

Ani jednej z nich nie widziałem od tamtego lata, a kiedy szukam ich w Internecie, żeby sprawdzić, jak wyglądają albo jakim się ułożyło, na żadną nie mogę trafić. One nie należą do tej klasy, która istnieje w sieci, ich klasa, dzieci z robotniczych lub urzędniczych rodzin, dorastała poza centrum i przypuszczalnie pozostała poza centrum wszystkiego, z wyjątkiem własnego życia. Nie mam pojęcia, kim dla nich jestem, prawdopodobnie mglistym wspomnieniem kogoś, kogo znały kiedyś, dawno temu. Bo od tamtej pory tyle w życiu zrobiły wbrew sobie, tyle się wydarzyło i z taką mocą, że tamte drobne wydarzenia z dzieciństwa nie ważą więcej niż kurz podrywany przez przejeżdżający samochód albo puch przekwitniętego dmuchawca poruszony oddechem dziecka. Prawda, że to ładna metafora kolejnych zdarzeń rozpierających się w powietrzu nad łąką czy jej historii i wpadających między źdźbła trawy, żeby w nich zniknąć?

Kiedy ciężarówka z naszymi rzeczami już odjechała, a my, mama, tata i ja, wsiedliśmy do samochodu i zjechaliśmy w dół do mostu, z ogromną ulgą pomyślałem, że nigdy więcej tu nie wrócę, że wszystko, na co teraz patrzę, widzę ostatni raz. Że domy i miejsca, które zniknęły za moimi plecami, znikają również z mojego życia, i to na dobre. Nie przypuszczałem, że każdy szczegół tego krajobrazu, każda zamieszkująca go osoba na zawsze wryją mi się w pamięć, dokładnie i precyzyjnie, jakby pamięć miała słuch absolutny.

Przypisy

- [1] Henryk Ibsen, *Brand*, przeł. Jan Kasprowicz.
- [2] Powieść australijskiego pisarza Ronalda McCuaiga *Gangles*.
- [3] Knutsen & Ludvigsen – dwuosobowy zespół, który wykonywał zabawne, często absurdalne piosenki, głównie dla dzieci.
- [4] Venstre – norweska partia polityczna o poglądach liberalnych.
- [5] Sigbjørn Obstfelder (1866–1900).
- [6] Hans E. Kinck (1865–1926).
- [7] Jens Bjørneboe (1920–1976).
- [8] Framtiden i våre hender – założona w roku 1974 przez Erika Dammanna organizacja działająca na rzecz ekologii i sprawiedliwego podziału zasobów Ziemi.
- [9] Norway Cup – międzynarodowe zawody w piłce nożnej dla młodzieży w wieku od 10 do 19 lat, organizowane w Oslo. W ciągu tygodnia rozgrywanych jest 3500–4000 meczów.
- [10] *Elv* (norw.) – rzeka; *Moelva* – nazwa rzeki, *Moelv* – nazwa miasta.
- [11] „Król Danii” (Kongen av Danmark) – nazwa tradycyjnych wyrabianych w Szwecji karmelków o smaku anyżkowym.
- [12] The Aller Værste! (angielsko-norweska nazwa, znaczy: „najgorszy/najgorsze!”) – norweski zespół rockowy założony w 1979 roku, inspirowany się punkiem i muzyką nowej fali.
- [13] *Rene hender* (norw.) – czyste ręce.